

Marek S. Huberath

# Portal zdobiony posągami

# I *L'Inferno*

## *1 Sen o diablím malarzu*

*(Quinten van den Cuyperen, Ioanneos)*

Malując postać diabła, dobrze jest najpierw wypełnić szkic całej jego postaci lekkim zielonym laserunkiem. Paszczę, rogi, kopyta i barwne skrzydła odrobi się w drugiej kolejności. Też odda się je wielowarstwowymi laserunkami, ale delikatny odcień zieleni położony najpierw, niejako na wstępie, uporządkuje duszę malarza i przygotowuje go do tej pracy. Po nałożeniu pierwszego laserunku deska ma stać na słońcu nawet tydzień dla wyschnięcia farby. Można długo przyglądać się zaznaczonej postaci, utrwałać sobie w myśli wyobrażenie bestii o nietoperzych skrzydłach.

Quinten lubił to, że malowidło powstawało rozdzielonymi w czasie etapami, wymuszając właściwy namysł. Umiał dobrać biały werniks brugijski i olej lniany w takiej proporcji, by farba nie schła ani za szybko, ani za wolno. Nauczył go tego ojciec, też Quinten, i też diabli malarz. A on sam, sławny Quinten od Trupa, poznał tę sztuczkę techniczną, podpatrując warsztat mistrza van Eycka. Sporo diabłów namalował van Eyckowi, wielką śmierć dławiącą potępionych też narysował, chociaż wykonanie szkieletu rozciągającego ramiona na rozmiar płótna wykraczało poza elementy Sądu Ostatecznego zwykle zamawiane u diablích malarzy.

Quinten siedział w pustej oberży i patrzył w gliniany kufel. Przyjechał tu z Tournai wezwany listem. Oto młody mistrz malarski z Brugii dostał drogie zamówienie na Sąd Ostateczny, a Quintena wezwał z daleka, bo chciał najlepszego z diablích malarzy. Aksamitny sam nie odważyłby się narysować postaci demona, bo mógłby przez to stracić lekkość dłoni zarezerwowaną na twarze pięknych kobiet, świętych czy aniołów. W parę lat stał się znany dzięki niezwyklej umiejętności oddania miękkości skóry i delikatnego światła, jakby wychodzącego spod skóry na twarz modela. Obawiał się, że to, co ledwie uchwytnie, a co decyduje

o wyjątkowości jego dzieła, może go opuścić, kiedy wyobraźnia choć raz zabłądzi w stronę ciemności.

Quinten ciekaw był umiejętności mistrza jeszcze młodszego niż on sam. „Niedawno temu był tylko heskim żołnierzem, specjalistą od broni, krwi i trupów, to skąd nagle przysłała do niego taka subtelność?”, pomyślał.

Oberżysta przetarł szmatą kubek. Podszedł do Quintena.

– Mistrz Quentin de la Cadavre, mam przyjemność? – spytał.

– A kto pyta?

– Szukają was po mieście. Chcieli godnie przyjąć gościa z Tournai, a wyście się tutaj skryli.

– Gość przybywa w porę, a ja dotarłem za wcześnie. Wypada zaczekać. Podobno Aksamitny wybrał się za morze.

– Nie on sam tam pojechał, tylko pan Angelo Tani, zleceniodawca. Długo zabawi w Londynie.

Quinten poprawił kołnierz, żeby ten nie podrażniał tak bardzo swędzącego liszaja. Oczywiście, że o tym wiedział. Tydzień temu zatrzymał się w oberży i już dwa razy w przebraniu zakradł się pod pracownię Aksamitnego. W słoneczny dzień, kiedy pomocnicy wystawili panele na powietrze, by olej sechł szybciej. Zdążył zachwycić się wspaniale oddaną piękną twarzą jasnowłosej Cateriny Tanagli. Fundatorka skromnie klęczała na rewersie bocznego skrzydła. „Jasnowłosa Śnieżynka, która nigdy nie zaznała śniegu. Piękne kobiety rodzą się w Toskanii”, pomyślał wtedy, „a Aksamitny potrafi je malować”. Heseńczyk słusznie dostał swój przydomek. Jak nikt potrafił warstwami laserunków oddać miękkość i karnację delikatnej skóry.

– Wielki, bogaty pan od nas obrazy zamawia.

– Kto...? – Quinten wyrwał się z zamyślenia.

– No, Tani.

– Pójdę do warsztatu Heseńczyka, skoro jest w Brugii.

– A znacie to drogę?

Quinten nie odpowiedział. „Zostanie bogaczem”, pomyślał o młodym mistrzu zamawiającym u niego wizerunki demonów do swojego obrazu. Myśli pobiegły w stronę umowy. Stało w niej:

*Mistrz Quinten van den Cuypereen podejmuje się namalować diabłów sztuk dwanaście, ukazanych w większości jako całe postaci, w różnych pozach i grymasach, a każdy ze*

*stosownymi przymioty demona i we właściwym dlań kolorze. Zawrze w swoim dziele wszelkie własności niezbędne, by podobizna demona była właściwa.*

Aż dwanaście postaci diabelskich, a sam wielki Rogelet de la Pasture odważył się ich tylko trzy umieścić na swoim panelu Sądu Ostatecznego, chociaż miał wtedy na zawołanie pędzel sławnego Quentina Starszego, Ojca, który wziął na swoje barki wszystko, co sływa na malarza po właściwym namalowaniu demonów. „Heseńczyk wierzy, że i ja potrafię tak mocno uwięzić biesa w wizerunku, iż ten utknie tam do końca czasów. Naprawdę tak potrafił malować demony Quinten Starszy, mój ojciec. Demony kreślone moją ręką nie są prawdziwe. Wyczuwam to, odkąd zostałem mistrzem, i nie wiem, dlaczego tak się dzieje, skoro uczył mnie tego mój własny ojciec, największy spośród diablích malarzy”.

Diabły malowane przez Quintena nie budziły grozy, były cudaczne, groteskowe, lecz nie straszne. „Ich demoniczność ma tkwić w środku, niepokój ma się budzić, dopiero kiedy ktoś uświadomi sobie, że wymalowana maskara wygląda jak rzeczywista”, powiedział kiedyś Quinten Starszy. „Strach ma być tylko dla wybranych. Nieuważny lub gnuśny widz nie zostanie ostrzeżony, bo zauważy tylko cudactwo. Natomiast ty będziesz tę grozę tłamsił w sobie latami. Zmieni swoją duszę, zmieni twoje ciało”.

I rzeczywiście, zmieniało się ciało Quintena. Pojawiały się zmiany na skórze. W wielu miejscach stawała się ona cienka, czerwona, pergaminowa. Nazywał to liszajami, ale rany nie sęczyły się. Urażane bolały, cieniutka skóra wysychała i łatwo się łuszczyła, prześwitywało przez nią czerwonawe wnętrze organizmu. Ojciec konał, sycząc, gdy tylko przesunął się skraj prześcieradła, tak zmieniała się cała jego zewnętrzna powłoka. Choć Quinten Syn uważał, że nie miał daru prawdziwego malowania demonów, jego skóra zaczęła się rozkładać. Liszaje pojawiały się w różnych miejscach i nie chciały zniknąć. Niestety, malowane demony nie stały się bardziej prawdziwe niż przedtem, przynajmniej w jego mniemaniu.

– Poślę z wami chłopaka. Zaprowadzi was do mistrza.

Quinten skinął głową, położył na blacie pieniądź. Metal zadźwięczał.

Uświadomił sobie, że skończyło się skryte podpatrywanie warsztatu Aksamitnego. Teraz współpraca będzie jawna. Heseńczyk ujawni tylko to, co sam będzie chciał. Tajniki zostawi dla siebie. Obserwowany będzie malował tylko to i tylko w taki sposób, by Quinten nie mógł przejąć sekretów jego kunsztu. Nauka się skończyła, zostanie tylko wykonanie pracy na zamówienie.

Udatne odrobienie dwunastu demonów, a znakiem fachowości malarza będą liszajowate znamiona widoczne na jego skórze, rany zadane mu przez demona.

Gorycz i bezsilność narastały z każdą chwilą. Czuł się coraz gorzej. Chciał płakać, że wszystko przepadło, że nie wróci z Brugii bogatszy o tajemnice warsztatu Aksamitnego. Było to tak przykre, że aż obraz przed jego oczami poszarzał, stracił barwy, stał się mniej wyrazisty. Postać oberżysty rozpadła się na pojedyncze ziarna, które zaraz stały się książkami na półce.

Chwilę patrzył nieruchomo na wyłaniający się z ciemności pejzaż jednoosobowego pokoju. Zaplótł ramiona pod głowę i spokojnie spozjrzał w półmrok. „Dobre wyposażenie mają na tej konferencji”, pomyślał Ioanneos. „Uczenie w czasie snu. Nie zapowiadali sesji pozaświadomych. Nic nie wspomnieli o sprzęcie. Gdzie to jest zamocowane? W poduszce? Przecież nie musiałem zakładać elektrod na głowę. Co za wyrazisty sen pełen szczegółów. Ależ nosiłem w nim dziwne imię...” Budzik na szafce przy łóżku rytmicznie pikał. Za oknami było szarawo. Pora wstać na zajęcia.

„Rzeczywistość snu nie mogła być aż tak realistyczna. Ktoś musiał ją formować. Świetne oprogramowanie... Tyle nazw, tyle imion... Zupełnie jakbym naprawdę był tym Quintenem van den Cuyperen”.

Ioanneos patrzył na sufit, w miejsce gdzie łuszczyła się jasnobrązowa farba. „Jak skóra diablego malarza”, pomyślał. „Najważniejsza konferencja historyków sztuki, a ośrodek przed remontem. Przynajmniej na sprzęcie i na wykładowcach nie oszczędzają”. Nie chciało się mu jeszcze wstawać. Kolejny dzień zapowiadał się pracowicie i męcząco. Żeby chociaż na chwilę wrócił ten dziwny, fascynujący sen. Zamknął oczy. Świadomość odpłynęła w szarą mgłę. Żadne wizje nie nadeszły. Słyszał tylko jakieś słowa, ale kto mówił i co te słowa znaczyły, nie wiedział. Znowu wracała świadomość. To mówił on sam. Powtarzał sobie rozmowy z poprzedniego dnia, wymyślał lepsze sformułowania, trafniejsze odpowiedzi. „Co za wstrętne spanie bez snu”. Spojrzał na wskazówki budzika. „Ale późno”. Przespał porę posiłku. Trzeba jak najszybciej umyć się i ogolić, by nie spóźnić się na zajęcia.

## **2 *Piękno martwych owadów***

*(Ioanneos, Soyardarghl, Eleonora)*

Wykładowca wyglądał groźnie. Uszy osadzone za nisko, jedno oko znacznie wyżej od drugiego, a na tym niższym powieka opadnięta. Twarz zbyt wysunięta do przodu, a nad nią górujące rozległe, pionowe czoło. Soyardarghl patrzył jak wilczy człowiek, który chce odgryźć ci rękę. Dochodził od niego dziwny, dźwięczny, a jednocześnie beczący głos, napętniający salę wykładową wibrującym pogłosem, który utrudniał zrozumienie jego słów. Zapowiadała się godzina ponurego bełkotu i nerwowego wiercenia na drewnianym krześle. Ioanneos sprawdził, jak jest widoczny z innych miejsc mrocznej sali wykładowej, i usiadł głębiej, oceniając możliwości skrytej drzemki.

Wykład zaczął się od reprodukcji olejnego obrazu flamandzkiego mistrza, Martimusa Uijthofa, przedstawiającego martwą ćmę leżącą na przyżółkłym obrusie. Biały znaczek odwróconej litery lambda na brunatnym skrzydełku owada jaśniał jak bystre spojrzenie rzucone w salę. Zaraz pokazał się drzeworyt przedstawiający ten sam gatunek, dalej barwna akwarela ukazująca *Autographę mi*, wreszcie inna sówka, *Autographa alfa*, na kolorowym zdjęciu, a następnie na rysunku wykonanym ołowianym sztyftem na szarozielonym papierze, też ręki Uijthofa. Na skrzydełku owada mistrz naniósł znak alfa kredą, co u oglądających rycinę wywoływało wrażenie oślepiającego wręcz blasku.

Objaśniając, Soyardarghl wyświetlił te same przeźrocza jeszcze raz, szybciej, aż przez chwilę wydawało się, że greckie znaczki ze skrzydełek mrugają jak kalejdoskop, formując świetliste sekwencje.

Ioanneos wzdrygnął się. „Aż w oczach mrowi. Przesadził z tymi technikami prezentacji...”, pomyślał.

Lewe oko wykładowcy, jak tajemniczy znaczek na skrzydełku ćmy, bacznie łypało na audytorium, podczas gdy prawe niepokojąco kryło się pod powieką. Z każdym pokazywanym wizerunkiem powieka drżała i nie było pewności, czy nie podskoczy jak furta działowa, a uwolnione z niej nagle prawe oko nie wystrzeli w kogoś bystrym spojrzeniem niby celnym pociskiem. Na razie jednak obie gałki kryły się w zbyt głębokich oczodołach, nadających im mroczny, trupi wyraz, a na bladą pergaminową twarz wprowadzających niepokojące szare plamy. Ioanneosowi wydawało się, że skoro furta powieki nie podniosła się, kiedy miał przed oczyma kalejdoskop greckich liter, to strzał z prawego oka Soyardarghla mu nie grozi.

– Martimus kiedyś powiedział, że martwe owady są piękniejsze niż uschłe kwiaty, ponieważ ich piękno zostaje zachowane w całości. – Na ekranie pojawiła się odpowiednia sentencja po

łacinie, a zaraz po niej powiększony fragment obrazu olejnego, na którym widniała *Autographa iota* i akwabela z ostatnim wymienionym z nazwy gatunkiem, *Autographa kappa*. Ta ostatnia ćma siedziała na kwiatku rumianku.

„Nie ma tylu gatunków sówek o skrzydełkach znaczonech greckimi literami. To wszystko przecież wizje artystyczne”, przypomniał sobie Ioanneos. „Istnieje tylko *Autographa gamma* i *Autographa delta*. Na wykładach też stosują techniki nauczania pozaświadomego?”, przysłała refleksja. Rozejrzał się po sali z niepokojem. „Zahipnotyzowało ich czy co...?” Inni siedzieli nieruchomo, słuchając z uwagą. „W dziwnym śnie byłem flamandzkim malarzem, a teraz słucham o innym malarzu. Tamten zwał się Quentin od Trupa czy od Trupów... Ten malował trupy, chociaż tylko owadów, nie ludzi. Zresztą cięte kwiaty w wazonie zaraz umierają, więc właściwie to też trupy”.

– Znalazłem to u Vasariego. W jego wydaniu kompletnym.

Soyardarghl nie tracił kontaktu z salą. Nikt nie notował, ale wszyscy uważnie słuchali. Było cicho.

Ioanneos ciepłej przyjrzał się wilczemu człowiekowi za katedrą. „Jest inteligentny i może sympatyczny, na pewno nie jest wcielonym potworem. Doskonale zdaje sobie sprawę ze swoich mankamentów i zgrabnie stara się ich unikać”.

– Ceną, jaką płacą owady za pośmiertne piękno, jest nadmierna sztywność przedśmiertna... – Następne przeźrocze przedstawiało piękną, jasnowłosą, nagą dziewczynę siedzącą na kwietnej łące, przyglądającą się zerwanemu kwiatkowi. Dziewczyna klęczała mocno pochylona do przodu i jej bardzo duże piersi nisko zwisały. „Ona ma prawdziwe duże piersi, a nie plastikowe pojemniki wciśnięte pod skórę”, zauważył Ioanneos. Nikogo nie zainteresowała ani nagość, ani dziwna poza, na ogół unikana zwykle w aktach, ani wreszcie uroda modelki. „Przed chwilą myślałem o ciętych kwiatach”, zaniepokoił się, „a przecież ona właśnie zerwała kwiat. Ten zerwany jeszcze żył w momencie zrobienia zdjęcia. Ona też była żywa”. Z audytorium nie padła ani jedna uwaga, nie rozległ się ani jeden śmiech czy okrzyk uznania, jak zwykle w przypadku ilustrowania wykładu takimi obrazami. Jakby nikt nic szczególnego nie zauważył. „Czy tylko ja zobaczyłem to przeźrocze, a wszyscy oni co innego? On personalizuje prezentację?” Rozejrzał się uważnie, ale otoczenie nie reagowało.

Nagle powieka Soyardarghla uniosła się, a prawe oko wystrzeliło bystrym spojrzeniem wprost w Ioanneosa. Ten zadrżał. Domyślił się, że wystrzał czekał na tę najważniejszą chwilę wywodu. Zaraz powieka opadła jak gdyby nigdy nic.

Kolejne przeźrocze przedstawiało tę samą dziewczynę w białej sukience do kolan i ciemnych okularach przeciwsłonecznych. Oślepiające światło letniego dnia nadało modelce świetlisty blask, a tło zmieniło w parę niewyraźnych szarych plam. „Taki strój nic by nie pomógł, zaraz uciekłaby w nim z tej łąki, tak samo jak gdyby była naga”, pomyślał wesoło. „Zaraz oblazłyby ją mrówki czy jaki energiczny pogoniec wbiegłby jej za dekolt. Nagiej byłoby nawet łatwiej pozbyć się małych natrętów”.

I rzeczywiście, dziewczyna znikła, a na następnym przeźroczu widniało sfotografowane w tym samym miejscu na łące kociątko bawiące się kłębuszkiem włóczki. Dopiero teraz na sali rozległ się przyjazny pomruk. „Faktycznie oni nie widzieli obu przeźroczy z dziewczyną...” Kiedy pokazały się oba poprzednie przeźrocza, wykładowca milczał. Więc może ich nie wyświetlił, a ten dziwny dzisiejszy sen nie skończył się całkiem?

Soyardarghl uśmiechnął się do sali, krzywiąc twarz i ukazując rząd mocnych, ostrych zębów. Teraz wyglądał, jakby miał już za chwilę rzucić się na pierwszy rząd słuchaczy.

– Oczywiście, że nie pokażę, jak ten obiekt wygląda pośmiertnie – powiedział. – Nawet w najkorzystniejszych warunkach. Kiedyś w Austrii kot dostał się pod próg domu. Dopiero gdy rozbierali drewniane schody, po wielu latach, znaleziono mumię kota, który kiedyś zginął dziadkowi bez śladu. Czterdzieści lat spędził w suchym, ciepłym środowisku, a potem trafił do gabloty we frankfurckim muzeum. Ów dziadek do śmierci nie dowiedział się, gdzie zgubiło się jego ulubione kocisko. Mumia kota jest bardzo dobrze zachowana, ale budzi przerażenie w porównaniu z tym przeźroczem.

„Kociątko mogłoby kogoś przerazić?”

– Dlatego wam jej nie pokażę – kontynuował Soyardarghl. – Rzecz jasna, z oczywistych względów, nie pokażę wam też mumii żadnej kobiety, chociaż można znaleźć takie w nieprawdopodobnie dobrym stanie. – Przez salę przeszedł lekki szmerek.

Następne przeźrocze przedstawiało wagę. Starą, szalkową, wykonaną z mosiądzu i wypolerowaną.

– Nie sugeruję, że istnieje ścisła reguła, ale wydaje mi się, że istnieje coś w rodzaju równowagi piękna. To znaczy pięknu przedśmiertnemu raczej nie towarzyszy piękno pośmiertne,



a piękno pośmiertne nie jest raczej poprzedzone pięknem przedśmiertnym. Nikt przecież nie powinien zostać obdarzony w nadmiarze, kosztem niedomiaru dla kogo innego.

„W życiu tak nie ma”, pomyślał. „Ale może taka równowaga jakoś wyrównuje niedostatki życiowe?”

Wykład dobiegł końca, Soyardarghl wyłączył rzutnik i złożył notatki.

Ale sobie wymyślił równowagę – na schodach zagadała do Ioanneosa szczupła ciemnooka brunetka. – Piękna kobieta na pewno będzie lepiej wyglądać jako mumia.

– Mężczyźni i wtedy mają gorzej...

Uśmiechnęła się do niego. – Eleonora Katulja z Moraw – przedstawiła się. – Chyba tak się to teraz nazywa. – Uśmiechnęła się. Odziana była w bladofioletową półprzezroczystą bluzkę, przez którą prześwitywała halka na ramiączkach, oraz granatową wąską spódnicę do kolan, która podkreślała jej smukłą sylwetkę. Bluzkę spięła pod szyją granatowym krawatem.

– Ioanneos... – urwał.

– Może Józef...?

– Nie.

– A ty nie spytasz, czy jestem Eleonora z Orsinich...?

– Nie. Dlaczego...?

– Prawie wszyscy pytają. Niektórzy dodają, że na pewno hrabina Monaldeschi della Cervara.

Oczywiście to nie ja.

– Ładnie brzmi – mruknął. Nie wymyślił lepszego komplementu.

– Podejźmy po kawę – zaproponowała Eleonora. – Myślałam, że spadnę z krzesła, tak przynudzał. I jeszcze to jego spojrzenie... Te łypy prawego oka... – Zachichotała.

„Przecież prawą powiekę Soyardarghl podniósł tylko raz...”, pomyślał Ioanneos.

– Przy slajdach z dziewczynami przysnąć było jakby trudniej – powiedział.

– Mówił o mumiach dziewczyn. Żadnego slajdu z dziewczyną nie było. Pokazał tylko kociątko na łące. – Eleonora spoważniała, ale jej czarne oczy śmiały się nadal. – Oj, chyba przysnąłeś na tym nudziarzu znacznie dłużej niż ja. Na pewno we śnie na przeźroczach były gołe dziewczyny...

„Tylko ja widziałem tę dziewczynę? Ona była tylko dla mnie?”, pomyślał Ioanneos. „Czyli nikt inny nie widział jej nagiej...?”

– Kto będzie mówił następny? – zmienił temat.

- Każdy ma swój indywidualny grafik.
- Nie dostałem.
- Na recepcji mają. Wkładają do przegródek na klucze od pokoi. Ja idę na Snijdersa. Lubię go słuchać.
- Dlaczego zapytałaś, czy mam na imię Józef?
- Nie, nic... – Wzruszyła ramionami. – Podoba mi się to imię.

### **3      *Wykład Fransa Snijdersa***

*(Ioanneos, Izabela, Aga, Dacortona, Snijders)*

Rozpadało się na dobre. Deszcz głucho dudnił w dach. Za oknem, z kłębow szarej mgły to wyłaniały się, to rozplywały w nich pojedyncze smreki.

Ioanneos poszedł na dół do recepcji zostawić klucz do swojego pokoju na czas wykładów. Nad biurkiem wisiał reklamowy plakat przedstawiający budynek centrum konferencyjnego. Wysoki prostopadłościan z równymi rzędami kwadratowych okien, wzniesiony na szczycie stromego wzgórza, otoczony był gęstym lasem świerkowym. Przyjemne otoczenie trochę łagodziło toporną formę budynku.

Ciemnowłosa recepcjonistka, odziana w granatowy żakiet, pod szyją miała zawiązaną kokardę z wąskiej granatowej wstążki. Wyglądało to może zabawnie, ale niezbyt elegancko. „Nosi krawat jak Eleonora, ale z jakże innym skutkiem”, Ioanneos zachichotał w duchu. Kobieta podniosła oczy znad lektury.

Podał jej klucz.

- Przyszedł pan bardzo późno po swój grafik. Mam nadzieję, że nie przepadło nic ważnego.
- Uśmiechnęła się. Wstała, żeby zauważył jej zgrabne biodra ujęte w wąską spódniczkę do kolan. Recepcjonistka wrzuciła kluczyk do jego przegródki i wyciągnęła stamtąd zapisaną kartkę.

Nie zaznaczono zbyt wielu pozycji. Na najbliższą godzinę trzeba było znaleźć salę na czwartym piętrze.

Irytowało go, kiedy w przerwach między wykładami wszyscy równym krokiem, jakby automatycznie, podchodzili do rzędu dzbanków z kawą, kolejno napełniali swoje filiżanki, dolewali śmietanki i odchodzili pod ścianę, ustawiając się w równych odstępach. Grupowali się

niby przypadkowo, bo za każdym razem w innym zestawieniu, ale – jak zaprogramowani – rozmawiali o tym samym. Wygłaszali podobne uwagi, a to czy wykład podobał się bardzo, czy tylko tak jak zawsze, albo zastanawiano się, kiedy wreszcie zrobi się lepsza pogoda i będzie można wyjść na dłuższy spacer, bo góry przecież niedaleko i można by je wreszcie zobaczyć.

Ioanneos pomyślał z przekąsem, że niektórzy otaczający go tutaj ludzie muszą być nieistniejącymi zwidami. On już po kwadransie słuchania wykładu czuł się zmęczony. Nawet obowiązkowy dowcip wykładowcy, padający co wymagany kwadrans, wykładu nie ożywiał. Tymczasem większość osób na sali sprawiała wrażenie trwania w nieustannej gotowości, skupionej uwagi. Żywo reagowali, zadawali pytania, kiedy jego ospały umysł ledwie był w stanie zmusić się do słuchania. „Niemożliwe, żeby się nie męczyli, chyba że to jakieś kukły, automaty. Konferencja jest po to, żeby się czegoś nauczyć, a nie tylko wykazywać gotowością prymusa”, pomyślał z sarkazmem, patrząc na siedzących w niższych rzędach.

Tematy rozmów szybko zacierały się w pamięci, imiona, nazwiska gdzieś uciekały. Tylko Eleonora wryła się w pamięć, jakby zjawisko z innego świata przemykające wśród śniętych ryb. Rozejrzał się po sali, ale nie dostrzegł jej, mimo że wybierała się na ten wykład. Może usiadła gdzieś z tyłu? Nie wypadało się kręcić i gapić.

Obserwował, jak jedna z uczestniczek powoli schodzi po stopniach wzdłuż ściany sali. Ona też wyróżniała się wśród pozostałych. Ładna, szczupła dziewczyna nieco powłóczyła lewą nogą i trzymała przy ciele lewą rękę, jakby nią nie w pełni władała. Głowę odruchowo zginała w lewo. Starła się poruszać zwyczajnie, by jej ułomność była mniej widoczna. Włosy szczelnie zawinęła białą chustką czy turbanem, a sama odziana była w bladobłękitną sukienkę. Zeszła do samego dołu i usiadła w jednym z pierwszych rzędów, na jego skraju. Zaraz się uspokoiło, sala była wypełniona.

Tuż przed samym wykładem na krzeselko obok niego dosiadła się wysoka, długonoga, ciemna blondynka z malutkim plecaczkiem. Była aż za wysoka, ale na szczęście nie garbiła się, chociaż jej smukła sylwetka przy tym wzroście wyglądała nadmiernie posągowo. Nieznajoma uśmiechnęła się do Ioanneosa modrymi oczyma. Z jakiegoś nieuchwytnego powodu jej uroda nie była od razu zauważana. Może oczy były nieco za blisko położone, a nos nieco za duży? Jednak wystarczyło chwilę na nią popatrzeć, by pierwsze wrażenie zniknęło bezpowrotnie i ulegało się jej urokowi.

Zauważył, jak ona podchodzi, jak się porusza. Odziana była w za luźną, burą spódnicę, szczelnie kryjącą kształt sylwetki. Przez pancerz niezgrabnego stroju nie wiadomo było, czy dziewczyna jest szczupła i zgrabna, czy też w taki sposób skrywa zbyt duże ilości tłuszczu.

Wykład prowadził siwy specjalista od malarstwa olejnego, profesor Frans Snijders. Białe jak mleko, dość długie włosy i także bródka kontrastowały ze świeżą, różową cerą. Snijders zwykle opowiadał o malowaniu zwierząt i roślin, ale dziś mówił o czym innym.

– Kiedyś byli diabli malarze – powiedział.

Te słowa wbiły Ioanneosa w krzesło. „Więc to jednak była pozaświadoma lekcja przygotowująca do wykładu”. Zaczął słuchać z zapartym tchem.

– Diabli malarze specjalizowali się w malowaniu demonów. Działo się to w czasach, kiedy było więcej zamówień na Sądy Ostateczne. Obecnie sprawa podupadła. Unika się wizji demonów, a jeśli już trzeba takiego narysować, to zwyczajnie kreśli się kształt człowieka z rogami, kopytami i ogonem. I starczy. Umowne przedstawienia zadowolają wszystkich.

– Może trudno jest oddać ducha, więc zrezygnowali? – spytał z włoskim akcentem siedzący w drugim rzędzie mocno szpakowaty profesor.

– Nie do końca. Wiadomo, że lepiej modlić się przed takim, a nie przed innym obrazem. Jednemu łatwiej ogniskuje się myśli, patrząc na taką, a innemu na inną modelową podobiznę Stwórcy, który przecież też nie ma ciała. Są obrazy wpadające w lepszy rezonans z pragnieniami czy uczuciami niż inne. Jeśli można użyć tutaj słowa rezonans.

– Wszyscy bali się rezonansu z demonem? – znowu zapytał ten sam człowiek. O śniadej cerze, ciemnych oczach, niegdyś niewątpliwie bardzo przystojny, chociaż obecnie o twarzy pociętej długimi, zbyt głębokimi zmarszczkami. Rzadko zdarzało się, żeby jeden wykładowca przyszedł na wykład innego.

– Kto to jest ten siwowłosy? – Ioanneos odezwał się do towarzyszki. Kątem oka zauważył, że ona ma notatnik podpisany imieniem Aga.

– Nutritor Lucas Dacortona z Hamilton w Ontario. Często przychodzi na wykłady innych i się dopytuje. Nie wystarcza mu jego własna dziedzina i stale się doucza.

– Ma mocny akcent – szepnęła Ioanneos.

– Do Kanady przeniósł się dopiero po doktoracie.

– Właśnie tak było – kontynuował Snijders. Znanym z imienia diablím malarzem był Quinten van den Cuyperen, częściej zwany Quentin de la Cadavrè, Kwintyn od Trupa.

– Nie znam takiego – nie ustawał Dacortona.

– Faktycznie nie zapisano jego imienia. Całe jego życie było skutkiem tej profesji. Długie lata zmagał się z ciężkim zapaleniem skóry. Umarł bezpotomnie. Potencję stracił, jak napletek przyrósł mu do żołądki, bo tam zapalenie skóry dosięgło go wyjątkowo wcześnie i dotkliwie. Potem rozniosło mu się na całą skórę, cierpiał coraz bardziej.

Ioanneos nadstawiał ucha. Bez wątpienia Snijders i Dacortona rozmawiali o jego śnie.

– Nie mógł dać się zoperować?

– W jego czasach nie przeprowadzano takich operacji. Zresztą było z nim coraz gorzej. Skóra stawała się coraz cieńsza, pękała, łuszczyła się, odsłaniając niegojące się rany. Potem zaczęły ją pokrywać dziwne narosła. Niektórzy mówili, że zaczyna przypominać dzieła swojej wyobraźni.

– Przeszkadzało mu to w malowaniu?

– Z początku nie, tylko wszystko go nieznośnie bolało, ale potem coraz trudniej było mu trzymać w rękach pędzle. Pod koniec życia, kiedy malował demony kuszące świętego Antoniego w zakrystii w Kaufbeuern, musiano mu przywiązywać je do rąk, bo palcami już nie władał. Jeden z czterech demonów na tym obrazie ma twarz na plecach, drugi dodatkowe twarze na tyłku i na przyrodzeniu. To mogło być wyobrażenie choroby malarza.

– Może nie były to tylko dzieła jego wyobraźni?

– On też tak mówił. Ale jego psychika miała się coraz gorzej. Na koniec oszalał i mimo że dalej malował znakomicie, był systematycznie oszukiwany przez innych malarzy, którzy zamawiali u niego demony. Wreszcie popadł w przerażającą nędzę. Niektórzy mówią, że umarł z głodu, co chyba nie jest prawdą. Gdzieś znalazłem, że namalować demona spróbował też Hugo van der Goes, chociaż nie był diablím malarzem. Wyszedł mu stojący na tylnych łapach sugestywny stwór powstały z kobiety i chyba jaszczurki, a nie diabeł.

– Mówią, że Hugo van der Goes sam namalował demony swojego Sądu Ostatecznego w Gandawie – powiedział Dacortona. – Widział w Brugii, jak van den Cuyperen maluje demony Memlingowi. Może wtedy podpatrzył od niego, jak malować demony.

– Hugo van der Goes nie namalował Sądu Ostatecznego – uniósł się Snijders.

– Jakżeż nie...? Pod koniec życia. Ten obraz kosztował go zdrowie. Kontakt z namalowanym demonem przyprawił go o szaleństwo. Opętała go obsesja, że zostanie potępiony, i zamknął się w klasztorze, gdzie wreszcie zmarł.

– Nie słyszałem o Sądzie Ostatecznym pędzla van der Goesa.

– Wielu malarzy malowało Sądy Ostateczne. Na nich trzeba było wykonać wiele podobizn demonów – ciągnął Dacortona. – Choćby taki Luca Signorelli... – urwał.

– Nie zgadzam się. On malował nagość, idealnie zbudowane ciało. Jego pasjonowało ludzkie ciało, nie demony. Nawet swojego zmarłego syna rozebrał i narysował. Na panelu *Potępieni w Piekle* zarówno ludzie, jak i demony to muskularni, dobrze zbudowani młodzi mężczyźni, którym domalował po dwa albo po cztery rogi. Najwyżej dał im szpetne twarze i siną skórę. Wszystko umowne. Potępieni, jak i zbawieni, są tylko bezbłędnie zbudowanymi ludźmi. On malował scenę odgrywaną przez aktorów, a nie prawdziwe istoty biorące w niej udział.

Dacortona poczerwieniał, milczał. Nieoczekiwanie wykład przerodził się w dyskusję między dwoma profesorami, a *nutritores* zwykle nie umieją się spierać.

– Wielu z nich zatrudniało diablích malarzy... – wrócił do tematu Snijders. – Możliwe, że niektórzy sami byli diablimi malarzami. Czyżby ten sam van den Cuyperen malował diabły do Sądu Ostatecznego van Eycka, Petrusa Christusa oraz dla Memlinga? Za dużo tego, jak na jednego malarza. Do tej pory nikt nie potwierdził, jakoby van den Cuyperen to były dwie, może więcej osób o tym samym nazwisku.

– Gdyby był tylko jeden diablích malarz, nie nastarczyłby zamówieniom, a wielu rezygnowałoby z umieszczania demonów na swoich obrazach. Tak postąpił tylko Rogier van der Weyden, a potem malarze młodszy, jak van Orley.

– Na Sądzie Ostatecznym van der Weydena są namalowane cztery demony – zaprzeczył Dacortona.

– Ależ nie ma... Widziałem ten obraz – zachnął się Snijders.

– Zniknęły? Ktoś je zamalował? – wyrwało się Dacortonie. – Mało kto potrafił znieść spojrzenia tych postaci.

Dyskusja obu profesorów nagle się urwała. Snijders podjął opowieść o malowaniu scen myśliwskich.

Ioanneos nie miał wątpliwości, że znali szczegóły z jego snu. Trzeba poszukać w pokoju zmyślnej aparatury uczącej. Niemożliwe przecież, że w oparce sennym ujawniła mu się historia życia prawdziwego człowieka, którego nie znał. Jednocześnie gubił się w szczegółach, którymi zarzucali się nawzajem obaj dyskutanci. Ciekawe, czy inni słuchacze czuli to samo?

Po wykładzie Snijders stwierdził, że dyskusja była już w jego trakcie, ale on chętnie odpowie na pytania.

– Faktycznie był jeden Quinten van den Cuyperen? – spytał głośno Ioanneos.

– Jeden jest potwierdzony. Niektórzy twierdzą, że było ich dwóch, syn i ojciec, gdyż w przeciwnym razie Quinten musiałby sześćdziesiąt lat aktywnie działać. Wtedy rzadko kto dożywał tak sędziwego wieku, a podejrzewa się, że on na dodatek był dręczony nieuleczalną chorobą. Jednakże diabły powstałe w ciągu tych sześćdziesięciu lat są w podobnym stylu. Mógłby je malować ten sam człowiek.

„Diabły malowane przez Quintena Ojca przerażały do głębi duszy, diabły malowane przez Syna były tylko wymyślne i dziwaczne”, pomyślał Ioanneos.

Podczas przerwy wyszedł z Agą na posiłek. Usiedli przy pustym stoliku.

– Wyśnił mi się dzisiejszy wykład Snijdersa – powiedział, popijając kawę. Koniecznie chciał się tym z kimś podzielić.

– Jak chodził z lewej na prawą, chrząkał i co chwilę łokciem poprawiał kurtkę? – Spojrzała wesoło.

– Nie w tym rzecz.

– To w czym? – Modre oczy Agi świdrowały jego twarz.

– Prawie wszystko to mi się wyśniło.

– Ten wykład? Sprzeczka między Snijdersem a Dacortoną?

– Nie tak dokładnie. Treść wykładu.

Spojrzała zaciekawiona.

– We śnie to ja byłem diablím malarzem, Quentinem de la Cadavre.

– Synem czy Ojcem?

– Ostatnim diablím malarzem, Quintenem Synem. Tym, który stracił umiejętność malowania prawdziwych demonów i malował już tylko zabawne straszidła.

– Może zajrzałeś wczoraj do swojego dzisiejszego grafiku?

Pokręcił głową. – Ja w ogóle nie wiedziałem o tym wszystkim. Nie wiedziałem, że Quinten Syn tracił skórę za życia i traktował to jako nieusuwalne znamię.

– To Ojciec cierpiał na ciężkie zapalenie skóry, nie Syn.

– W moim śnie było inaczej. Cierpiał zarówno Ojciec, jak i Syn.

– Sen pomógł ci w zrozumieniu wykładu czy przeszkodził?

– Faktycznie bardzo pomógł.

– To na co narzekasz? Organizatorzy starają się. Doceń to. Mnie się nic nie przyśniło.

Nie odezwał się. Miała rację.

– Śnią się różne rzeczy, nie tylko prawdziwe. Nic nie działa idealnie. – Aga poprawiła pasy od swojego plecaczka. – Śpieszę się na następne zajęcia. Pa. – Skierowała się ku schodom.

„Skąd ona wiedziała, że było dwóch Quintenów?”, pomyślał. „Przecież na wykładzie Snijders tylko przytoczył hipotezę”.

#### **4**     *Chmura ze światłami*

*(Rita, Karina, Jizoga, Ioanneos)*

Przyciskała go ciemna masa. Była lekka i elastyczna, a podnoszona, lekko sprężynowała. Musiał przyduścić się naciągniętym kocem. Sięgnął ramieniem, nieoczekiwanie łatwo odsunął przeszkodę i ujrzał błękitne niebo, a wprost nad głową rozległy, świetlisty obłok. Do reszty zdjął z siebie koc z darni.

Trawa nie brudziła, ziemia nie osypywała się z cienkiej, równej powłoki. Wietrzyk chłodził nagą skórę. Powinien powstać, ale chmura nad głową zadziwiała. Podłożył ramiona pod głowę. Nie rozumiał, jak taki obłok w ogóle mógł istnieć. Wibrował barwnie, jakby jakieś liczne światła próbowały się przebić przez mgłę, to białe, to tęczowe. Stale zmieniał barwę, od bladego fioletu, przez różne szarości, odcienie błękitu, do bladych brązów. To mienił się wszystkimi kolorami tęczy, to rozjaśniał, to znów ciemniał. Chwilami przebijały się przezeń, jak igiełki, dziesiątki barwnych światel, a to znów świeciło jakby jedno najmocniejsze, niezwykle czyste i białe. Ioanneos leżał z ramionami pod głową i nie mógł oderwać wzroku.

– Co się tak wylegujesz? – zagadał do niego prawie nagi facet, jedynie w skąpych slipach uformowanych w kształt liścia figowego, ledwie zasłaniających przyrodzenie. – Pora wstawać.

Ioanneos leniwie spojrzął na obcego. Nie odezwał się.

Nieznajomy wzruszył ramionami i poszedł sobie. Ioanneos obejrzał się za nim. „Z tyłu wygląda jak całkiem goły”, pomyślał i wyciągnął się wygodniej.

Na miękkiej trawie leżało się wygodnie, ale było zbyt chłodno. Zebrał się z ziemi. Sam też był odziany jak tamten mężczyzna: jedynie od przodu przyrodzenie skrywał liść figowy.



Zdziwiony zauważył, że to nie odzież, lecz jakby część ciała. Jakoś mu to nie przeszkadzało. Nie miał wątpliwości, że w razie potrzeby można będzie to zdjąć. Liść był ciepły i miał fakturę jak skóra. Był jego jedynym odzieniem.

Daleko, po łące, snuli się podobnie odziani ludzie. Błąkali się bez celu. Może też nie wiedzieli, dlaczego się tu znaleźli.

Ioanneos zauważył, że kilkanaście metrów dalej wysunęły się z darni dwie ręce. Ktoś chciał się wykopać. Bezradnie poruszał uwolnionymi dłońmi. Ioanneos pośpieszył z pomocą. Skóra na rękach wystających z ziemi była granatowobrazowa, napuchnięta, jednak palce nieduże, smukłe. Powstrzymując obrzydzenie, uchwycił za dłonie. Odpowiedziały uściskiem. Lekko pociągnął.

Wysunęły się przedramiona i ramiona pokryte karminowymi plamami opadowymi, wreszcie darń uniosła się na wypukłości głowy. Ponad ziemią dłonie, a zaraz i przedramiona zaczęły jaśnieć i normalnieć jak kwiaty kwitnące do słońca. Ktoś sam ściągnął sobie powłokę darni z głowy. Wyłoniły się brudnobiałe bandaże owijające głowę. Ioanneos pomógł je rozluźnić. Przerazającym matowym wzrokiem spojrzał mu w oczy trup młodej kobiety. Ale już w jej następnym spojrzeniu był normalny blask, zaraz zniknęły czarne doły pod oczyma. Cera straciła woskową bladość, zabarwił ją leciutki rumieniec. Kobieta wsparła się o trawę, aby do reszty wyciągnąć się z ziemi. Jej głowa już nie była owinięta przesiąkniętym trupimi wydzielinami bandażem, lecz czyściutkim, lnianym turbanem, spod którego wymykały się kosmyki kasztanowych włosów.

– Pomóc ci?

– Poradzę sobie – odpowiedziała za niskim, gardłowym głosem. Uśmiechnęła się samymi oczyma.

Miała szerokie kości policzkowe i grube, ale regularne, ładne rysy twarzy. To uroda modelki – kobieta nie była aż tak ładna w rzeczywistości, jak w dobrze wychwytyjącym światło na jej twarzy obiektywie fotograficznym. Napięła mięśnie raz i drugi, jednak ziemia była zbyt spoista. Drugi raz wyciągnęła ręce do Ioanneosa.

Mocniej uchwycił jej dłonie. Trochę obawiał się, co zobaczy, zanim jej ciało rozkwitnie do słońca.

– Tobie też ktoś pomógł?

– Sam sobie poradziłem. Leżałem płytko pod ziemią. – Mocniej pociągnął ją do góry.

Niżej było coraz gorzej. Wprawdzie skóra na barkach wyglądała naturalnie, niżej piersi też dobrze zachowane, ale już wiele żeber było na wierzchu, a w miejscu brzucha widniała głęboka wyrwa, w której szarzała rozłożona, brunatnoszara masa.

– Och! – Zaskoczony, puścił jej uniesione ramiona.

– Nie ciągnij mnie za szybko. Wyglądam bardzo źle – powiedziała spłoszona. Wytarła dłońmi piersi z ziemi, żeby ładniej wyglądały. – Długo przecież tam byłam.

– Każdy. Ja też – mruknął. Obserwował, jak szybko odtwarza się jej ciało, jak zasklepia się skóra na żebrach, jak wypełnia się wyrwa poniżej nich. – Na słońcu idzie to szybciej. Wyciągnę cię jednak.

– Żeby się tylko nie odłamały nogi – powiedziała.

– Dalej jest brzeg morza. Tam scalają się z fragmentów pożarci przez ryby. – Nie widział tego, ale coś w duszy powiedziało mu, że właśnie tak się tam dzieje.

Ufnie podała mu ramiona. Na odsłoniętej miednicy zachowało się sporo ciała, jednak niżej zostały dwie gołe kości udowe. Prawe podudzie i stopa trzymały się na zachowanych więzadłach, jednak lewe urwało się i zostało w ziemi.

– Wstydzę się swojego wyglądu. Odwróć się – powiedziała.

Posłusznie odwrócił wzrok. W takiej sytuacji nie wolno sprzeciwiać się kobiecie.

Nieopodal znowu nabrzmiwała darń. Ktoś inny wyrывał się z grobu do słońca. „Ile ich tutaj się budzi!”, aż pokręcił głową. „Może to jakiś cmentarz był?”

W dali widniał siny horyzont morza albo oceanu.

– Pomóż mi! – usłyszał po chwili.

Kobieta leżała na murawie i głęboko sięgała ramieniem w głąb. Prawą nogę ugięła w kolanie i celowała w niebo przybrudzoną od ziemi stopą. Wyglądała teraz bardzo ładnie. Ioaneos nie mógł oderwać wzroku od jej foremnych, proporcjonalnych bioder, talii i pleców. Już wcześniej zwrócił uwagę na jej kształtne piersi, nie za duże, ale też w żadnym przypadku nie za małe. „Czy my wszyscy teraz piękniejemy?”, pomyślał.

– Nie mogę znaleźć lewego piszczela i stopy.

Roześmiał się.

– Mnie to nie bawi. Sam sięgnij, może dostaniesz. Masz dłuższe ramiona niż ja.

„Czy wolno nam tak sobie nawzajem pomagać?”, zawahał się, jednak posłusznie zagłębił ramię w dziurę po jej ciele. Oczywiście nie dostał. Trzeba wsunąć się głębiej. „A jeśli ziemia

zamknie się i mnie znowu w sobie uwięzi?” Musiał jednak pomóc kobiecie. Gdyby została bez nogi, inni mogliby traktować ją jako pośmiewisko.

– Przestań! Już nie trzeba! – powiedziała za głośno.

– Co nie trzeba?

– Przecież jest już w porządku.

Nieznajoma przecierała z resztek ziemi foremną lewą łydkę i drobną stopę.

– Jak to się stało?

– Sama nie wiem. Zamyśliłam się, a w tym czasie stracona noga wróciła kompletna. Sama uciekła z ziemi. Może nie trzeba pomagać, bo rzecz się tylko opóźnia.

– Możesz chodzić? Myślę, że inni jednak potrzebują pomocy.



Kobieta podniosła się. Była niezbyt wysoka, miała dość szerokie biodra i niezbyt długie nogi, ale jednocześnie była niezwykle proporcjonalnie zbudowana. Piersi miała szeroko rozstawione, kształtne, o wyraźnych czerwono-brązowych kwiatach. Jej uroda nie olśniewała, ale odnosiło się wrażenie, że patrzy się na wyrzeźbiony ideał ciała. „Ona właśnie tak chciałaby zawsze wyglądać?”

Na policzku nieznajoma miała znamię, jakby bliznę po kroście. Jednak było ono nieduże, foremne, zgrabnie wkomponowywało się w jej urodę jak filuterny pieprzyk.

– Wszystko się wygoiło – powiedziała, pocierając policzek, jakby zaniepokojona, że zauważył znamię. – Prawie nie widać, prawda?

– To jakaś choroba...? – Pokręcił głową.

– Tak. Kiedyś całą twarz miałam w krostach po ospie.

– Została jedna, malutka, płaska blizna.

– Zostawili mi taki znak, wspomnienie.

Wskazał na niewielki liść figowy kryjący środek jej łona.

– To część twojego ciała?

– Nie. Mogłabym to zdjąć, gdybym chciała.

– Z moim jest podobnie.

– Nie zdejmuj. Nie wolno.

Nie odezwał się.

Kobieta spojrzała w niebo na rozległą, kłębiącą się i rozświetlaną tajemniczymi światłami, olbrzymią chmurę. – Myślałam, że niebiosa są puste – powiedziała.

– Skądże. Tam się bardzo wiele dzieje. Zdołałem oderwać wzrok od tego tańca mgieł, dopiero jak ty zaczęłaś się budzić.

– Jest więc zupełnie inaczej, niż wierzyłam. Ależ się formuje tam krzyż ze światła.

On nie dostrzegł tam krzyża. Wziął ją za rękę. – Chodź – powiedział.

Kobieta sięgała mu ledwie do ramienia. Dłonią poprawiła zawój na głowie – oprócz liścia figowego miała na sobie tylko to.

– Turban się nie przesunął?

– To znak zawodu. Pewnie dlatego mi został.

– Jakiego?

– To strój kąpielowy. Byłam łąziebną. – Spuściła wzrok.

– Nie zdejmowałaś tego do kąpeli?

– Kobiety wiążą włosy do kąpeli. Fryzura się nie rozpada. Wszystkie tak robią.

– Chcesz zajrzeć nad brzeg morza? – spytał.

– Nie chcę widzieć scalających się z kawałków. Wystarczył mi mój własny widok.

Poszli w kierunku grupy osób.

Na trawie leżał na wznak szkielet. Pochylał się nad nim mężczyzna w szarej kurtce i dżinsach.

„Odziany, tutaj...?”, pomyślał Ioanneos.

– Rita, podejźmy, zobaczymy, co on robi – powiedział.

– Ale nie za blisko. Może mieć złe zamiary.

„Przecież ona nie powiedziała mi swojego imienia”, uświadomił sobie.

Słyszając swoje imię, Rita uśmiechnęła się.

Nieznajomy klęczał koło szkieletu i rysował mu kciukiem na czole znak krzyża.

Ioanneos pochylał się, żeby lepiej zobaczyć. Nie obawiał się nieznajomego.

– Tak trzeba robić każdemu, kogo zobaczycie – powiedział mężczyzna, nie podnosząc głowy.

– Każdemu czy tylko szkieletowi? – spytał Ioanneos.

– Pomoże każdemu, ale szkieletowi trzeba najpilniej. Każdy musi przecież zdążyć.

Szkielet miał gałki oczu. Wlepił wzrok w ich dwoje.

– Odwróć się – powiedziała Rita. – Ona wstydzi się swojego wyglądu. Budzenie się to rzecz intymna.

Położył jej rękę na ramieniu. – A tobie nie zimno?

– Trochę wieje, ale może być. Możesz tę rękę tak trzymać. Wreszcie czuję dotyk ciała ludzkiego, ciepły i delikatny. Mam dosyć ziąbu, wilgoci i grud lepkiej gliny.

Usłyszeli ruch za sobą. Instynktownie się obejrżeli.

Facet w szarej kurtce gdzieś sobie poszedł. Nie było też szkieletu. Za nimi stała przepiękna brunetka, jak i oni odziana w liść figowy. Miała wielkie, wilgotne czarne oczy skrzące się blaskiem. Duże, ciężkie piersi nisko opadały, a poniżej wąskiej talii wzbierały dość szerokie biodra. Podobnie jednak jak Rita, również i ona sprawiała wrażenie idealnego wcielenia swojego typu urody. Gdyby piersi wisiały nieco niżej, nie byłyby tak piękne, gdyby biodra były szersze, byłyby już za szerokie, i przeciwnie, gdyby była tylko nieco smuklejsza, jej uroda straciłaby na tym wiele. Wiedział, że nazywa się Karina, czy jakoś podobnie.

– Chodź! – Rita pociągnęła go za rękę.

– Można iść z wami? – spytała Karina.

– Nie. On jest mój – powiedziała stanowczo Rita.

Ioanneos nie odezwał się. Nie mógł oderwać wzroku od urodziwej niewiasty.

– Tutaj już nikt niczyj nie jest – skarciła Karina. – Wszyscy się znają, Rita.

– A ty skąd znasz moje imię?

„A ja skąd je znałem?”

– Ty też znasz moje. Tu wszyscy znają swoje imiona, nie trzeba się przedstawiać.

– On znał moje imię, bo jest moim mężczyzną od zawsze mi pisanym. Czekałam na niego.

– Mylisz się. – Karina pokręciła głową. – Jest inaczej.

– Jednak nie życzę sobie, żebyś z nami poszła. – Rita wyduła wargi. – Sama się chcę przekonać.

– Skoro tak mówisz, spróbuję czegoś innego. – Karina uśmiechnęła się do nich tak radośnie, aż jakby poleciały srebrzyste iskry.

„Przepiękny uśmiech. Ile blasku”.

Karina pomachała ramionami jak ptak. – Och...! – Zrobiła okrągłe oczy. – Powietrze wspiera! Można się na tym wesprzeć.

Jeszcze jedno, drugie energiczne uderzenie ramion i dziewczyna oderwała nogi od ziemi. Z każdym uderzeniem nabierała prędkości i wysokości. Już z wysoka pomachała im rękoma. Wkrótce zmieniła się w mały punkt.

Ioanneos dopiero teraz dostrzegł wiele takich małych punktów fruujących poniżej tęczowej chmury. „Ileż ich tam się wzniosło!”, pomyślał.

– Może i my pofruniemy?

– Nie da się. Powietrze nie wspiera. Sam spróbuj.

Kilkakrotnie machnął ramionami. Oczywiście, nic.

Takie machanie nie miało sensu.

– Dlaczego Karina pofrunęła, a my nie możemy...?

– Spodziewam się najgorszego. – Rita pokręciła głową. – Chodźmy stąd. Poszukajmy spokojniejszego miejsca. Schowajmy się gdzieś, może to nie jest nieuchronne.

Nie spytał, dlaczego powinni się schować, lecz wziął ją za rękę i poszli przed siebie. Spotkali wiele osób wychodzących z ziemi, odtwarzających się, a potem wzlatających w powietrze. Mijali leżące szkielety. Wzorem nieznanego mężczyzny na ich czołach Ioanneos kreślił palcem znak krzyża. Jednak ta czynność w żadnym z nich nie wyzwoliła procesu odżywiania. Odwracali się, nie patrzyli – nic to nie pomagało.

– Kości jak leżały, tak leżą. Jestem bezradny.

– Ten facet nie był jednym z nas – powiedziała Rita. – On jeden tutaj był odziany, a wszyscy inni tylko przysłonięci listkami figowymi, jak my. Tylko odziany może im pomóc.

W oddali zauważył stojący pomnik skrzydlatego rycerza z uniesionym mieczem w jednej ręce i wagą szalkową w drugiej. Płyty zbroi jaśniały lustrzanie.

– Popatrz na niego! On się rusza! – Ioanneos przysłonił oczy dłonią.

– Kto?

– Uskrzydłony rycerz na horyzoncie. – Wskazał ręką. – Pójdziemy ku niemu.

– Trochę się boję, bo ten olbrzym jest żywy.

– No dobrze, to chodźmy do tego lasu.

Zagajnik zaczynał się równą linią, jakby ktoś skosił trawę łąki aż do granicy gałęzi smreków. Poszli skrajem lasu. Pod zwisającymi gałęziami, na ściółce znajdowali leżące fragmenty ciała, odgryzione i rozszarpane.

– To pożarci przez zwierzęta leśne – powiedziała.

Pokiwał głową. – Wiedziałem o tym bez słów, podobnie jak o tych nad morzem.

– Ja nie wiedziałam. Domyśliłam się.

– Też bez słów znałem twoje imię i imię Kariny.

– Dlaczego przede mną ta wiedza jest zakryta?

Bezradnie wzruszył ramionami. Ruszyli przed siebie.

Trafili na leśną przecinkę, a raczej utwardzony leśny dukt. Koleiny były płytkie, bez kałuż.

Zaraz zatrzymał ich nieoczekiwany gwar. Schowali się pod zrudziałyymi gałęziami świerka. Kilku osiłków w skórzanych kurtkach i spranych dżinsach pędziło przed sobą leśnym duktem kilkanaście osób odzianych jedynie w listki figowe. Nadzy nie bronili się, lecz pokornie znosili ciosy i kuksańce. Byli urodziwi, na sposób taki jak Rita czy Karina. Każdy wyglądał, jakby jego typ urody został wydoskonalony do granicy ideału. Ioanneos nie miał wątpliwości, że każda z tych osób wcześniej wyglądała podobnie, a teraz została upiększona bez utraty charakterystycznych cech swej urody. Dla kontrastu ci w skórzanych kurtkach mieli opuchłe, opalone twarze o brutalnym wyrazie, a oczy pałające wręcz zwierzęcym bestialstwem. „Jak likaony, które pożerają swoją ofiarę, nie troszcząc się nawet, by zabić ją przed jej męką”, pomyślał.



Pojmanych gnano w stronę widocznych na horyzoncie kłębow czarnego dymu i płomieni. Gdy grupa oddaliła się, oboje odważyli się opuścić kryjówkę.

– A myśmy szli właśnie w tamtą stronę – mruknął. – Gdybyśmy ich nie spotkali, sami trafilibyśmy w pułapkę.

– W lesie trudno się nie zgubić. Wcześniej tych płomieni nie było widać, las zasłaniał.

– Tak. Ten las, z początku świetlisty i jakby pełen obietnic, zaraz zrobił się mroczny.

Zawrócili więc. Może iść jego skrajem, gdzie leżały części pożartych? Może skierować się nad brzeg morza? Znowu stali na zielonej łące na skraju lasu. Pamiętał to miejsce. Pod gałęziami nie leżały już jednak fragmenty ciał nieszczęśników rozszarpanych przez zwierzęta.

– Czas się kończy – powiedziała Rita.

– Jaki czas?

– No, czas niepewności. Przecież coś musi się stać, kiedy już wszyscy się obudzą.

Jakby w odpowiedzi na słowa Rity podeszła do nich kobieta w szarej kurtce i czarnych spodniach. Nie zauważyli, skąd przyszła, bo nie pojawiła się przecież znikąd. Nieznajoma miała dużą zaciętą twarz, poprzecinaną głębokimi, ale rzadkimi zmarszczkami, i pojedyncze siwe pasemka wśród ciemnych włosów. Uśmiechała się wrogo.

– Jizoga... – wyszeptała Rita.

– Znasz ją?

– Znam jej imię, jak ty znalazłeś moje... – urwała.

Zauważył, że wargi Rity zupełnie zsiniały, mocno zaznaczył się rysunek kwiatków piersi, a ich koniuszki uniosły się. Całe jej ciało pokrywała gęsia skórka.

– Zimno ci?

– Strasznie marznę... – wyszeptała.

– Przytul się.

– Nie. Raczej ty się odsuń.

Jizoga hipnotyzowała wzrokiem Ritę. – Długo cię szukałam – powiedziała.

– Poszliśmy razem na spacer – odezwał się Ioanneos. – Przez łąkę, trochę po lesie...

Tak zimnego i odrażającego spojrzenia nigdy jeszcze nie poczuł. Jakby ten wzrok wdzierał się w głąb ciała, wyszukiwał poszczególne organy i dławił je w lodowatym uścisku. Brakowało tchu, bolące płuca nie mogły nabrać powietrza, a ściskane żelazną dłonią serce przestawało bić. Czuł, że nieznana kobieta zazdrościła mu wszystkiego: że tak wygląda, nie inaczej, że stoi obok

Rity, że Rita jest piękna, że trawa na tej łące jest tak równa i zielona, a las za nimi lekko szumi i pachnie żywicą. Że oboje przechadzali się, trzymając się za ręce, a on dyskretnie gapił się na nagie piersi Rity. Ale jakby najbardziej zazdrościła im obojgu, że są zwyczajnymi ludźmi. Szarozielone oczy Jizogi prawie wwiercały się przez oczodoły do mózgu. Ioanneos cofnął się krok pod naporem szarej, płaskiej, niepowstrzymanej nienawiści.

Nagle Jizoga rzuciła się przed siebie z prędkością niezwykłą dla kobiety w jej wieku. Schyliła się do stóp Rity i mocno schwyciła ją za obie nogi tuż nad kostkami. Następnym ruchem poderwała ją w powietrze i wysoko uniosła. Rita nie uderzyła głową o ziemię, bo Jizoga była znacznie od niej wyższa i szeroka w ramionach. Zanim Ioanneos zdążył zareagować, Jizoga zarzuciła ją sobie na plecy. Rita krzyczała z przerażenia, bezradnie machała rękami. Odwrócona, nawet nie mogła dosięgnąć prześladowczyni, wisiała tyłem do pleców niosącej. Ioanneos ruszył do przodu, ale Jizoga odwróciła się gwałtownie ku niemu. Ciało Rity wahnęło się jak serce dzwonu.

– Nie śmiesz! – wściekle syknęła Jizoga i posłała mu hipnotyzujące spojrzenie, trafiające jak piorun. Wyglądała inaczej: zniknęło jej odzienie, ujawniona naga skóra stała się chropowata, pełna znamion i narośli, szara jak nienawiść Jizogi. Z ramion wyrosły jej spore błoniaste skrzydła.

Rita dłońmi targała trawę. Walczyła. Próbowwała się czegoś przytrzymać.

Jizoga chwyciła obie kostki Rity w jedną rękę, a drugą machnęła raz i drugi. Tak lekko odbiła się od ziemi, jakby dźwigane ciało ofiary nic nie ważyło. Za połamanymi paznokciami Rity została ziemia i strzępy trawy. Zła kobieta wznosiła się jednak wolno i ciężko. Pierwszy skok miał być prawdopodobnie demonstracją dla Ioanneosa, pokazaniem, że Jizoga może, potrafi. Teraz zataczała kolejne równomierne kręgi, mozolnie wznosząc się ku górze.

Zupełnie zmienił się jej wygląd. Była już wielobarwnym rogatym potworem o długich, ostrych zębach, o palcach zakończonych szponami, kopytach zamiast stóp, niezwykle chudych, zwisających poniżej pasa piersiach, wreszcie długim ogonie zakończonym strzałką. Wznosiła się w powietrze na pastelowo ubarwionych nietoperzych skrzydłach. Nie był zaskoczony tą przemianą. Już wcześniej domyślił się jej prawdziwej postaci. Jedyne zdziwiło kolorowe ubarwienie skrzydeł. Może to należna jej odrobina radości za pochwycenie pięknej kobiety?

Ioanneos czuł dławiący żal. Nie potrafił uratować Rity przed zgubą. Nie mógł ani krzyknąć, ani nawet zapłakać. Gardło było jak zasznurowane. Rzeczywistość ciemniała, błękitne niebo

i tęcza nad głową odpływały gdzieś w dal. Wspaniałe otoczenie zamykało się w coraz mniejszej jasnej plamie, mrowiącej barwnymi ziarenkami. Wokół tężała gęsta szarość. Pojawiały się zniszczone, brzydkie meble jego pokoju. Znowu budził się ze wspaniałego snu. Żałował każdej chwili, każdego zapachu, każdego powiewu wiatru. Tam wszystko było tak piękne, wprawdzie dziwne, ale jakżeż porywające, tutaj otoczenie było małe, ciasne, jakby zaklęte.

Przypomniawszy sobie rozpacz w oczach przerażonej Rity, unoszonej w dal przez złą kobietę. Poczł ulgę, że cierpienie Rity nie było prawdziwe, i przeciągnął się. Rozległo się pikanie budzika. Znowu znajdował się w ośrodku. Za oknem było ciemno, noc albo półmrok przedświt. Trzeba zebrać się na zajęcia.

Podniósł się z łóżka, a wtedy zniechęcenie rozeszło się bez śladu. Ogarnęła go złość. Zaczł drobiazgowo przeglądać najpierw koc, potem poduszkę, wreszcie całe łóżko.

„Gdzie oni ukryli całą aparaturę?“, myślał, gniotąc poduszkę miejsce przy miejscu. „Przecież zostałem umieszczony w rzeczywistości średniowiecznego Sądu Ostatecznego. Nic tam nie ma”.

Zagładał po kolei do wszystkich zakamarków pokoju. Długopisem próbował sięgnąć do wnętrza szpar w podłodze. Kichał od kurzu. „W końcu to znajdę. Nic nie widać”. Pokój był regularnie odkurzany jedynie na środku. Po kątach kryły się całe pokłady szarości. Kichając raz za razem, poddał się wreszcie. „Cholerna miniaturyzacja”, skwitował klęskę. „Ale żadnego wykładu nie można przegapić, zapowiadają się świetnie...” Uśmiechnął się do swoich myśli i kichnął od kurzu.

## **5     *Poradnik dla posągów, jak poruszać się nie należy***

*(Quent, Ioanneos, Brenda, Aga-Adelinda, Gisleberdus, Prosper)*

Przy śniadaniu siedział samotnie. Z nikim nie zamienił słowa. Nudna rozmowa o ostatnim wykładzie, toczona nawet przy za słodkich ciasteczkach, nie może się równać z zapachem włosów Rity, chłodnym powiewem wiatru na gołej skórze, dziwnym, prawie nieistniejącym odzieniem. Tego już za dużo. Jeden nadzwyczaj plastyczny i wyrazisty sen to rzadkość, ale dwa takie sny w krótkim czasie to rzecz niemożliwa.

Nie wszyscy tego doznawali. Aga przecież prawie go wyśmiała. Może nie korzystała z materiałów do tego szkolenia? Instalacja do percepcji pozaświadomej musi być kosztowna.

Nawet tak wielka szkoła naukowa nie ma nieograniczonych funduszy. Wynajęto pomieszczenia w marnym stanie, więc i środków przekazu może nie starczać dla wszystkich. A może został wyróżniony tym drugim snem za aktywność na wykładzie Snijdersa? Ktoś ocenił, że interesują go te zagadnienia? Może jacyś psychologowie realizują swój projekt badawczy przy okazji konferencji historyków sztuki? „To nawet byłoby rozsądne. Można podzielić koszty”, pomyślał.

To doznanie było czymś dużo więcej niż snem. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że wtedy otwierała się inna, konkurencyjna rzeczywistość. Doznania z tych dwóch niezwykłych snów nie wydawały się ani trochę mniej rzeczywiste niż doznania z każdego dnia spędzonego tutaj w ośrodku. Kiwał głową z podziwem nad możliwościami nowoczesnej aparatury medialnej.

Naprzeciwko niego dosiadł się rudy chudzielec w burym golfie. Spojrzał na Ioanneosa i wyciągnął do niego rękę ponad stołem.

– Quent.

Ioanneos odwzajemnił uścisk.

– Dzisiaj nudziarstwa w grafiku – mruknął Quent. – Ileż można gadać o kuciu kamienia?

Pokiwał głową. „Tamten wybiera się na zajęcia razem ze mną?”, pomyślał. Uważał, że każdy ma swój indywidualny, przeznaczony tylko dla siebie plan zajęć, bo na kolejnych wykładach spotykał różne osoby.

Może z nim pogadać o sennej wizji? Nie. Nie można powierzać takich tajemnic świeżo poznanemu. Już raz został wyśmiany. Starczy. A, rzeczywiście! Przecież kartka z grafikiem dla Ioanneosa leżała na stole, ujawniając nazwiska wykładowców.

Quent podrapał się w szyję pod swetrem i zasyczał z bólu.

Ileż można siedzieć przy stole i milczeć? Ioanneos przeprosił i nogą za nogą powlókł się na wykład. Jednak przy schodach zmienił decyzję, zakręcił i poszedł w górę, jedną, dwie kondygnacje, wreszcie trafił na najwyższe piętro. Na każdej kondygnacji powtarzały się kolejne sale wykładowe, dalej ciągnęły się rzędy pokoi sypialnych. Korytarz mroczył w dal. Ioanneos wiedział, dokąd prowadzi, chociaż nie pamiętał, jak dawno temu wybrał się w tamto miejsce. Na samym końcu korytarza były zawsze zamknięte drzwi podpisane „Biblioteka”. Chętnie przysiadłby nad jakąś książką, by oderwać się od rutyny zajęć. Choćby to nawet był zarys księgowości przedsiębiorstwa hotelarskiego.

Nacisnął klamkę. Nieoczekiwanie ustąpiła. Pomieszczenie było słabo oświetlone. Za biurkiem siedziała drobna kobieta. Coś notowała. Uniosła szaro-kasztanowe loki i spojrzała na niego. Natychmiast ją poznał.

– Rita...? – wyrwało mu się. Widział ją przecież we śnie. Teraz była odziana w rozpięty ceglasty sweterek, a pod nim miała trykotowy podkoszulek khaki.

Nieznajoma spojrzała na niego chłodno. – Słucham pana? – odpowiedziała. Może nawet nie dosłyszała jego słów.

Ioanneos zdążył otworzyć usta, żeby odpowiedzieć, ale urwał, zanim zaczął. Co jej powiedzieć? Że uciekła z jego snu? Że naprawdę ma piękne, proporcjonalne ciało, chociaż obecnie za bardzo oddaliło się ono od swojej idealnej postaci? Że spotkała ją tragedia, bo porwał ją w powietrze rogaty i skrzydlaty potwór?

– Niebiosy nie są puste – powiedział. – Jest tam wielka przepiękna chmura, rozświetlana wewnętrznymi światłami.

– Proszę...? – Kobieta zrobiła okrągłe oczy, nie rozumiejąc.

– Można skorzystać z biblioteki?

– Biblioteka jest zamknięta. Zaczynają się już wykłady, a wtedy nie może być otwarta, żeby nie opuszczano zajęć. Jest czynna wyłącznie w czasie posiłków.

– Ale głodny może zemdleć na wykładzie i wtedy kłopot, zamieszanie. Szybko skończyłem śniadanie i zaraz pobiegłem do biblioteki.

Kobieta rozłożyła bezradnie ręce. – Ładnie pan powiedział o tych niebiosach. – Uśmiechnęła się.

– Może zdążę chociaż przez chwilę. – Odpowiedział uśmiechem. – Pani przecież jeszcze nie skończyła pracy... – Czuł do niej wiele sympatii.

Bibliotekarka skinęła ręką w stronę sali ze zbiorami. – Ja tutaj będę dalej pracować, ale pan musi wyjść już za chwilę. Proszę o tym nie zapomnieć.

Przytaknął i przeszedł do nadzwyczaj długiej, ciemnej sali. Z naprzeciwka ruszył ku niemu jakiś nieznaną mężczyzna. Energicznie się zbliżał. „Ochroniarz biblioteczny?”, pomyślał Ioanneos. „Nie czytelnik, bo zbyt wysoki i atletyczny”. Nagle uświadomił sobie, że widzi swoje odbicie w lustrze na końcowej ścianie pomieszczenia. Tym prostym zabiegiem optycznym znacznie zwiększono rozmiary biblioteki.

Rozejrzał się. Po obu stronach, jeden za drugim, odchodziły kolejne szeregi regałów bibliotecznych. Książki opatulono w szary papier pakunkowy, półki opisane nie były. Wpadł mu w oko tom oprawiony w czerwony skórzany grzbiet i zielone tekturowe okładki. Wyróżniał się spośród wszystkich innych.

Przeczytał tytuł: *Poradnik dla posągów, jak poruszać się nie należy*. Wziął ją do ręki i podszedł do końca regału, aż pod okno, gdzie jaśniej. Usiadł na taborecie, otworzył książkę na środku i zaczął czytać pierwszy napotkany rozdział.

*Wystarczy ruszać się wolno, a zasięg ruchu może być znaczny. Unikać ruchu warto tylko wtedy, jeśli kto z nich zerka. Rozpoznanie nie grozi zanedo.*

*Wydawałoby się, że przeszkodą są zdjęcia czy podobizny, lecz sprawa jest mniej ważna, niżby się wydawała. Otóż nikt nie pamięta pozy, rzadko kto w ogóle do rycin czy do fotografii zagląda. Posągowi można więc wiele, lecz bez przesady. Nowy gest czy poza są dopuszczalne nawet w obecności wielu tamtych, jednak zbyt wielkiego zakresu mieć nie mogą.*

*Pamiętać trzeba jednak o swojej pozie zwykłej i od czasu do czasu ją przybierać. Nie dla spektatorów, lecz dla siebie. Ciągłe przemieszczanie się prędzej czy później znudzi, a poza tym szkodliwie przyzwyczajają do braku stałości, do braku układu odniesienia.*

*Są dwa czasy, kiedy powściągliwość nie obowiązuje i ruszać się wolno do woli. Jednym z tych okresów jest noc – ale przykra, bo ciemno i chęć na zmianę pozycji niewielka. Trudno jest wskazać posąg, który porusza się w ciemności. Nie ma w tym nic z widowiska, brak dreszczu ryzyka, a nade wszystko chłód nocy obezwładnia.*

*Drugim z nich jest okres wojny, zarazy lub upadku. Ruszać się wtedy można, ile sił starcza. Nie przeszkadza, a nawet satysfakcję przynosi, jeśli kto z tamtych to spostrzeże i sobie to uświadomi. Nie uwierzy bowiem przytłoczony sytuacją ogólną, albo zaraz zginie, albo wreszcie jedno, a chwilę potem drugie. Jednak nie są to dobre czasy, bo niosą ze sobą groźbę. Posągowi przynieść mogą zniszczenie, szybkie lub powolne, od mchów czy erozji, co tym bardziej przykre.*

– Tutaj się ukryłeś? – ktoś spytał.

Wytrącony z lektury Ioanneos zadrżał. Podniósł wzrok.

Zobaczył nad sobą figlarnie uśmiechniętą Agę. Jak zwykle workowata spódnica na szerokich szelkach i obszerna kraciasta flanelowa bluza dokładnie skrywały powaby jej ciała. Ukryta uroda ujawniała się tylko w proporcji nóg, wąskiej talii czy wydatnej wypukłości bluzy na piersiach. Jediną ozdobą była pomarańczowa wstążka, którą spięła włosy w koński ogon. Aga taszczyła ze sobą nieodłączny malutki plecaczek z notatkami.

– Tej książki nie należy czytać w za dużych porcjach na raz – powiedziała.

– Jest jakiś zakaz?

– Skądże. – Dalej się uśmiechała. – Po prostu jest suchym zbiorem rad i przepisów. Znudzi cię. A jak będziesz do niej wracał wielokrotnie, to poznasz jej treść znacznie lepiej i wszystko zapamiętasz.

– Mam ochotę jeszcze czytać.

Pokręciła głową. – Nie dzisiaj. Jeszcze zdążysz na koniec wykładu o wykonywaniu płaskorzeźb. Lepiej realizować grafik.

– Nie sędzę, żeby ktoś zauważył moją nieobecność na pełnej sali wykładowej.

– Zaraz będzie kontrola biblioteki. Brenda będzie miała nieprzyjemności.

– Kto?

– No, bibliotekarka. Wpuściła cię tutaj niezgodnie z przepisami.

– Mogła mnie wyprosić. Przecież nie protestowałbym.

– Nie wolno jej opuścić biurka recepcyjnego. Teraz jest bardzo zdenerwowana. Popelniła wykroczenie.

„Czy dlatego została potępiona w moim śnie?”, pomyślał.

– To chodźmy szybko. – Zebrał się z miejsca. – Nie chcę, żeby miała przeze mnie nieprzyjemności. Zaczekaj, wstawię książkę na półkę.

– Chodź już! Brenda sama ją schowa. To często czytana pozycja.

Wyszli szybkim krokiem. Bibliotekarka siedziała z opuszczoną głową. Gdy ją mijali, wzięła klucz i poszła w ślad za nimi do drzwi. Nie odezwała się.

Na schodach minęli grupę kilku osób idących do góry. „Może to ta komisja?”, przemknęło mu przez głowę. „Nie zaszkodzi jej. W ostatniej chwili zdążyliśmy.

Pod koniec wykładu sala na dole była już wypełniona w całości. Ioanneos znalazł wolne miejsce na skraju. Przysiadł koło wysokiego mężczyzny o małej twarzy z jakby zaciśniętymi

rysami, bardzo długich rękach i proporcjonalnie dość wąskich ramionach. Sąsiad stale notował. Długopis niknął w jego wielkich dłoniach.

Gisleberdus wolno przechadzał się po scenie, wykładając. Był w średnim wieku, sporo po pięćdziesiątce. Zgarbiony i pochylony do przodu, jakby kościec nie wystarczał, by nosić wydatny brzuch i ciężką, dużą głowę, mocno wysuniętą do przodu. Wysokie i dość wąskie czoło otaczały dwa głębokie zakola słabo przedzielone bardzo wąskim tupetem, spod którego prześwitywała błyszcząca w świetle rzutnika skóra. Żółta sztruksowa kurtko-marynarka ciężko opadała na ramiona i na brzuch, a workowate, jasne sztruksowe spodnie z tyłu wsuwały się pod pięty, z przodu zaś były wsparte na sportowych butach. Spod rozchylonego kołnierzyka wystawał krawat wymagany w tej sali. Ioanneos zauważył kiedyś na kartce z rozkładem zajęć przepisy dotyczące odziewania się *nutritores*. Dla różnych sal wymogi były nieco inne.

„Gdzie ona się podziała?”, teraz dopiero zauważył, że Aga znikła. Wchodząc, pomyślał, że dziewczyna odnalazła odległe wolne miejsce w pełnej sali. Jednak nigdzie nie mógł jej zobaczyć.

– Należy wypełniać regułę ogólną. Jak kamień tkwił w złożu, tak ma zostać ustawiony w rzeźbie. Dzięki temu naturalne formy nie zostaną przerwane. A tylko w ten sposób można mieć pewność, że struktura nie zawali się pod swoim własnym ciężarem. Przecież tkwiąc w ziemi tak właśnie posadowiona, ta skała się nie zawałiła. Wszelkie zmiany ustawienia niosą ze sobą ryzyko zmiążdżenia dzieła jego własnym ciężarem – wywodził wykładowca.

„A cóż to? Jakby nie można było wyznaczyć odporności kamienia na zgniatanie”, pomyślał Ioanneos.

Spod krzaczastych brwi i zza okularów mówca świdrował słuchaczy parą blisko osadzonych oczu. Mówił cicho i bełkotliwie, używając niezrozumiałych słów. Spierał się ze sobą, wzmacniając wywód słabą gestykulacją. Metalowe oprawki wąskich okularów rzucały srebrne odbłaski. Twarz sprawiała wrażenie, jakby się skurczyła. Odbywało się to jednak na zupełnie inny sposób niż na twarzy sąsiada Ioanneosa, której rysy, choć zaciśnięte, wydawały się stabilne. Gdy Gisleberdus mówił, części jego twarzy starały się zbliżyć do siebie jak najbardziej. Oczy parły na siebie z obu boków, a na nos od dołu napierały usta.

Jego wykład nie budził entuzjazmu Ioanneosa. Podawane sposoby techniczne wydawały się niepotrzebne, zbyt ograniczone, jakby nawet samoograniczające się. „On nie zna podstaw mechaniki? Nie studiował budownictwa na jakiejś politechnice? Sam to wszystko wymyślił?”



– Lubię przesiadywać w ostatnim rzędzie sali wykładowej – zagadał do niego sąsiad. Na okładce jego notatek widniało wyraźnie napisane imię Prosper, ale nazwisko zaznaczono drobniejszymi literami i Ioanneos nie zdołał go odczytać. Wypadało trzymać notatki na blacie tak właśnie, by podpis na okładce był widoczny. – Dzisiaj się spóźniłem i nie było z tyłu miejsca.

– Z tyłu gorzej słychać.

– Ale widać całą salę, można się gapić na ładne panny. – Prosper skrzywił się w uśmiechu. – Albo można się wyspać. Nikt nie widzi...

– Raczej trudno zasnąć.

– Nieprawda, na każdym wykładzie śpi ta Szwedka, Katren. Choć siada w pierwszym rzędzie, zaraz zasypia.

– Która...?

Prosper wskazał mu osobę na dole sali.

Ioanneos aż poczerwieniał. To była krótkowłosa brunetka spotkana w dzisiejszym śnie. Nie była tak piękna jak tamta wyśniona, ale we śnie widział przecież ideał jej postaci. Dziewczyna jakby zgadła, że on o niej myśli, bo wolno się obejrzała. Złapał szczególny blask jej spojrzenia.

– Jeszcze na dodatek wyciąga się tak, że prawie zjeżdża z siedzenia. Ona wprost leży, nie, półleży.

Pewnie wychowali ją, by unikała stresów. Biedaczka desperacko walczy, aby wyglądać wystarczająco bezstresowo.

– Myślę, że jest autentyczna. Nie zauważyłem jej wcześniej.

– Odtąd już stale będziesz się gapił na jej piersi.

„Przecież je pamiętam ze snu”, pomyślał Ioanneos.

– Jest bardzo kształtna – kontynuował Prosper.

– Ma trochę nadwagi.

– Kiedyś zasnęła na wykładzie tak mocno, że wszystkie materiały zsunęły się jej i spadły z hukiem na ziemię.

– Nie byłem na tym wykładzie. Robią nam inne rozpiski.

– Podskoczyła przerażona tak wysoko, że prawie wyfrunęła pod sufit.

„Też poleciała w swoim śnie w Niebiosa?”, pomyślał wesoło Ioanneos.

– Fajna dziewczyna przyprowadziła cię na ten wykład – szeptał dalej Prosper. – Szczęściarzu...

– Ale jej nie widzę na sali.

– Weszła, pokręciła się, pokręciła i zniknęła. Chyba zajęłaś ostatnie wolne miejsce, a ona stać nie chciała.

– Nie wiedziałem... Sam bym wyszedł albo słuchał na stojąco.

– Złapiemy ją w przerwie. Ściągniemy ją do nas na kawę – powiedział Prosper. – Lubię z nią gadać. To Adelinda z Bawarii. Wie wszystko o wszystkim.

## **6      *Godzina integracyjna***

*(Prosper, Ioanneos, Balduga)*

W kafejce Ioanneos przysiadł się do Prospera, bo Agi nie było.

– Widziałem kartkę dla ciebie w recepcji. Ktoś przez pomyłkę wsunął ją do mojej przegródki – powiedział Prosper. Niby mówił do Ioanneosa, ale strzelał oczami po sali, kiedy tylko w pobliżu pojawiała się co młodsza niewiasta. Co chwilę przeczesywał czarne włosy palcami, by przerzedzona czupryna unosiła się i wyglądała lepiej.

– Już odebrałem swój grafik na dzisiaj.

– Dostałeś coś dodatkowego na wieczór. To są takie oddzielne skrzyneczki. Nie zaglądałeś tam nigdy...?

– Nie.

Prosper pokiwał głową ze zrozumieniem. – Wieczór integracyjny się nie zdarza, dopóki się zdarzy. Żebyś tylko nie dostał posiedzenia z uczestniczką Baldugą. Uch, ta to jest...! Można by z niej wyciskać nienawiść i wekować w słoikach. Oj, dużo by się tych słoików zebrało, dużo...

– Zaniepokoiłeś mnie, idę sprawdzić.

– Faktycznie, nie ma co siedzieć, zbieramy się. Dzisiaj wszystkie panie pouciekały przed nami – zdecydował Prosper.

Akurat przeszła zgrabna Eleonora Katuljanka w wąskiej czarnej spódniczce. Ioanneos uśmiechnął się konfidencko. – Nie wszystkie pouciekały.

– To Eleonora Monaldeschi della Cervara. Podobno jej szalony stryj, Vicino Orsini, wychował ją w pokoju, gdzie nie dość, że podłoga i sufit, to jeszcze wszystkie ściany były

krzywe. Sam był garbaty, więc chciał przed nią ukryć prawdziwy pion i prawdziwy poziom. Kochał się w niej, a w taki sposób chciał ukryć niedostatki swojej urody.

– Specjalny krzywy dom zbudował?

– Dom i cały ogród kamiennych potworów, których widok miał dziewczynie zastąpić bajki.

Dlatego ona stale chodzi w krawacie, żeby jej się kierunki nie pomyliły – powiedział Prosper i wyduł usta.

– Bredzisz...?

– Skądże! Wszyscy tak o niej mówią. Ale poza tym panna może być, szczupła, prosta i ładna.

– Ona sama mówi, że nazywa się Katulja.

– Lubi być tajemnicza. Świetnie wygląda, jak na swoje lata. Powiedziałbyś, że ona tutaj wykłada...?

– Nie uwierzę.

– Kiedyś mówiła seminarium. Nieźle jej poszło. Ma przeźroczystą bluzkę.

– Pod spodem nosi halkę.

– Ale widać było ramiączka i miseczki stanika.

– Opowiadasz...

– Na środku sali światło jest najmocniejsze i najlepiej prześwieca.

Wieczory integracyjne polegały na tym, że należało siedzieć i rozmawiać z innymi alumenami na tematy wskazane przez uczestnika prowadzącego. Młodszy, alumeni, brali udział w szkole, bardziej doświadczeni, uczestnicy, w konferencji. Inny typ wieczorów to rozmowa z jednym uczestnikiem. Na użytek właśnie takich wieczorów integracyjnych wzdłuż ścian korytarza ustawiono krzesła parami, równoległe do siebie. Integrowany alumen siedział przy ścianie, a uczestnik prowadzący obok niego. Należało nie siedzieć twarzami do ściany, ponieważ to stresujące, ani twarzami do przechodzących, bo to rozprasza, lecz właśnie do ściany bokiem, a do siebie równoległe, gdyż należało również unikać bezpośredniego kontaktu wzrokowego na wczesnym etapie integracji.

Przewidywania Prospera niestety się sprawdziły. Dzisiejszy wieczór integracyjny miała poprowadzić uczestniczka Balduga. Ioanneosowi wyznaczono krzesło 21B – znaczy nie przy ścianie. Siedzi się wprawdzie bardziej wygodnie, bo można wyprostować nogi, ale potracając przechodzący korytarzem, a wymagane jest skupienie na słowach uczestnika prowadzącego godzinę integracyjną. Jeśli Prosper nie żartował, to ukryty licznik mierzy liczbę słów

wypowiedzianych w czasie godziny integracyjnej i gdzieś przyznają za to punkty. Bez zebrania określonej ich kwoty nie można owej integracji zakończyć.

Ioanneos usiadł z ociąganiem, gdyż na krześle przy ścianie już czekała Balduga. Zgarbiona jakby pod ciężarem za dużej głowy, kobieta średniego wzrostu, o ciemnych włosach przeplatanych nitkami siwizny. „Jizoga?”, spojrzał z przerażeniem.

– Książka! – przywitała go sykiem, który wsunął się gdzieś w głąb ciała, pomiędzy płuca i serce. Pozbawił oddechu, a serce przeszył bólem. Obróciła się i z bliska spojrzała mu w oczy. Jej wzrok przerażał. To było martwe, przepojone nieopisaną wrogością, szarozielone spojrzenie węża.

Podobno nie należało spoglądać na rozmówcę w czasie godziny integracyjnej, ale jeśli czegoś potrzebowała, Balduga nie liczyła się z regułami. Skryty licznik zapisywał tylko słowa, nie gesty czy spojrzenia integrowanych.

„Co książka? Jaka książka?”, myślał w popłochu Ioanneos. Czy ostatnio rozmawiał o jakiejś książce? Unikał Baldugi jak wszyscy, ale nie mógłby przysiąc, że wcześniej nie nagabnęła go pomiędzy zajęciami. „Czy chodzi jej o Poradnik dla posągów...?”

– Książka była w worku! – Balduga nadal piorunowała go wzrokiem.

„Worek? Jaki worek?”, zaskoczony Ioanneos nie mógł pozbierać myśli.

– Mów całymi zdaniami, bo nie wiem, o co chodzi – powiedział.

– No, Ioanneos, nie przerywaj mi! – nagle podniosła głos.

Zapanowało milczenie. Rozmowa nie była przyjemnością, ale licznik powinien swoje zanotować.

– Nie wiem... – zaczął cicho, ale Balduga natychmiast ucięła:

– Książka była w worku, tym, co wiesz... – powiedziała. Nagle rozłożyła dłonie, jakby trzymała w nich nieistniejącą książkę, ruszyła nimi w dół i w górę, jakby chcąc zogniskować na tym jego uwagę.

Ioanneos nie próbował się odzywać. Ta rozmowa od samego początku była niezwykle, szokującym przeżyciem.

– No książka. Już pamiętasz.

Nic nie pamiętał, ale milczał.

Teraz Balduga postukała palcami prawej dłoni w płasko ułożoną lewą. – Tutaj, o tutaj, książka ma...

„Książka ma kartki, okładkę i grzbiet”, pomyślał ironicznie. Nie dawał się zahipnotyzować jej gestom ani słowom.

– ...no, jak to się nazywa!? – mówiła dalej Balduga.

Lepiej było milczeć.

– No oczywiście pamiętasz.

Oczywiście nie pamiętał.

– Nie wiem, o co chodzi. – Zaczynała go już męczyć integracja.

– To nie przerywaj, tylko słuchaj...! – Balduga znowu podniosła głos.

Chwila milczenia, bo i ona milczała.

– Tam, tam była mapa, na której wszystko zostało zaznaczone.

– Mapa budynku ośrodka? – poczuł blask zrozumienia.

– Nie budynku, tylko mapa wszystkiego. Ona wszystko wyjaśni, a ty przestaniesz robić nieznośne błędy.

Sposób mówienia Baldugi był jedyny w swoim rodzaju. Słowa wypadały z ust pojedynczo, jak wióry odrąbane siekierą z pnia. Ton głosu był mieszaniną agresji i pretensji. Pretensji, że Balduga znowu nie znalazła należnego sobie uznania; agresji, gdyż rozmówca mógł nie podzielać jej opinii we wszystkich punktach, od początku do końca. Nawet jeśli niewdzięcznik tego nie ujawnił bezpośrednio wypowiedzią, to przecież jakieś resztki oporu mogły się tlić gdzieś w głębi jego jaźni.

– Czy w książce jest też mapa Niebios? – odezwał się nieoczekiwanie.

– Co niebios!? Jakich Niebios!? – zaczęła krzyczeć.

– Zwyczajnych, takich ukrytych za chmurą rozświetlaną dziesiątkami barwnych świateł – odważnie brnął dalej.

– Nie zaliczam! Ja ci tego nie zaliczę! O czym ty gadasz?! – zaczęła krzyczeć Balduga. – To ma być inna rozmowa! Masz się integrować, a nie alienować! Ucieczki z wykładów! – darła się już nieprzerwanie. Przechodzący patrzyli na jej wybuch.

„Chyba trafiłem...”, pomyślał. „Naprawdę chodziło jej o to jedno zdanie, które powiedziałem do Brendy”. Milczał cierpliwie. Łatwiej było znosić wrzaski Baldugi. „Jutro trzeba zajrzeć do biblioteki, a teraz potwór niech się wykrzyczy. Licznik tyka w przyspieszonym tempie”.

Balduga zamilkła równie nagle, jak wcześniej gwałtownie wybuchła.

– Koniec! – powiedziała. – Możesz iść. Idź!

Ioanneos posłusznie zebrał się i jak najszybciej odszedł, zanim uczestniczka Balduga zmieni zdanie.

## **7     *W miękkim fotelu***

*(Eleonora, Ioanneos, Izabela)*

Nawet samo ujrzenie Baldugi, a już zawsze dłuższa z nią rozmowa, pozostawiały w głowie uczucie próżni, ssącej, bolesnej, jałowej. Myśli, jak uwiązane, nieustannie wracały do widoku jej twarzy, brzmienia słów; przytłoczone ciężkim wspomnieniem, jeszcze długo nie chciały podążyć nigdzie indziej. Jakakolwiek próba zastanowienia się nad godziną integracyjną skazana była na niepowodzenie. Wydawało się, że pretensje Baldugi wypełniały świadomość bez reszty, jak brudna, ściśnięta szara wata. Nie pozostawało miejsca na nic innego, a już na pewno nie na jakiś pomysł czy żart. Ioanneos stał twarzą do ściany, tyłem do korytarza. O niczym nie myślał, wystarczał mu widok kawałka szarego tynku.

Nagle ktoś lekko dotknął jego ramienia. Odwrócił się.

Uśmiechała się do niego Eleonora Katuljanka. Była w swojej cienkiej fioletowej bluzce, granatowej spódnicy do kolan i nieodłącznym krawacie. Na wieczór zawiązała go fantazyjnie, a nie tak jak zwykle. – Chodź pogadać... Na górnym piętrze w kącie korytarza stoją fotele wyściełane skórą. Można się zrelaksować – powiedziała.

Pokiwał głową i zgarbiony poszedł w ślad za nią. Wcześniej nie zauważył tych foteli wystawionych w korytarzu.

– Siadaj tutaj i zaczekaj. Ja zaparzę uspokajające ziółka. Mamy czajnik w pokoju. Może Izabela przysiądzie na chwilę z nami. Dzisiaj czuła się gorzej i została w pokoju.

„Niekórym pozwalają wylegiwać się cały dzień?”, pomyślał kwaśno. Zaraz poczuł niechęć do tej myśli. „Truczna Baldugi”, uświadomił sobie.

Wygodnie zapadł się w fotelu. Słowa Eleonory i to miejsce kołysły. Coś takiego było mu teraz potrzebne.

Zaczął już zasypiać, kiedy Eleonora wróciła z kubkiem gorzkiego naparu i w towarzystwie pamiętanej z wykładu miłej, ładnej, szczupłej dziewczyny, tej z niedowładem lewej ręki. Powieki nieznanym opadały na rzęsy fałdkami, nadając jej twarzy majestat wyniosłej królowej lodu.

Spojrzenie szaroniebieskich oczu też było fascynująco lodowate. Efekt chłodnej niedostępności ideału pryskał dopiero, gdy się uśmiechała. Błady uśmiech często gościł na jej twarzy. Ioanneos pamiętał, że nieznajoma zawsze chodziła w turbanie. Odruchowo zgięła głowę w lewo i utykała na lewą nogę. Z bliska Izabela nie wyglądała na młodą dziewczynę, widoczne stawały się zmarszczki, chociaż te jakby nawet podkreślały jej urodę. „Dostałaś dar piękności w każdym wieku”, pomyślał z podziwem.

Eleonora posadziła ją troskliwie i wręczyła kubek z ziołami do sprawnej prawej ręki. Niedowład lewej nie ograniczał jej sprawności w znacznym stopniu, ale pomoc przyjaciółki przydawała się. Izabela nie odezwała się, tylko uśmiechnęła.

– Dzisiaj Balduga wzniosła się na wyżyny – odezwała się Eleonora, popijając drobnymi łydkami gorące ziółka. – Wrzeszczała na ciebie tak, że było słycać w drugiej części korytarza. Pomyślałam, że będziesz potrzebował reanimacji... – Znowu się uśmiechnęła.

– Ziółka z każdym łykiem mnie reanimują. – Patrzył z przyjemnością na Eleonorę. Z kolei jej zmarszczki były w ciemności ledwie widoczne. Dzięki zgrabnej sylwetce wyglądała bardzo młodo, prawie tak młodo jak Brenda we śnie.

Podzielił się swoimi spostrzeżeniami o Baldudze.

– Też to zauważyłam. To jest gąbka. – Eleonora rzuciła badawcze spojrzenie, czy ktoś nie podsłucha, ale przecież nikogo tutaj nie było. – Balduga to gąbka do wchłaniania przyjemnych myśli i wymazywania ich z głowy rozmówcy. Emanuje z niej nienawiść, wprost wieje nienawiścią. Czujesz, że za chwilę skoczy ci do gardła.

– Jej słowa skaczą do gardła jak rozszalałe psy. Każda jej wypowiedź to bitwa, w której Balduga musi odnieść zwycięstwo.

Izabela nie odzywała się, tylko przysłuchiwała rozmowie. Może się jąkała lub miała inne kłopoty z mówieniem i nie chciała psuć wrażenia?

– To coś więcej. Odczuwam, że ona sama z najwyższym trudem powstrzymuje się, by nie skoczyć na mnie i nie zagryźć. Kiedyś byłam tak roztrzęsiona po paru zdaniach, które mi powiedziała, że poparzyłam sobie wierzch dłoni herbatą.

– Pomogła ci?

– Oczywiście, że nie. Wtedy po prostu odeszła. W sumie nie najgorzej. Mogła przecież wylać resztę wrzątku na moją rękę.

– Nie wiedziałem...

– Nic groźnego. Ręka się powoli goi. Pojawiły się ślady skóry.

– Nie dałaś po sobie poznać.

– Da się naciągnąć rękawy bluzki aż na dłonie.

– Wtedy Prosper gapi się na ciebie jeszcze bardziej.

– Przecież widzę. Naciągnięta bluzka opina się na moich piersiach, a jego to hipnotyzuje... – Zachichotała. – Obawiam się, że niesprawną mogliby mnie gdzieś stąd przesunąć. Każdy powinien być sprawny.

– Ja jestem niesprawna, a nie przenoszą mnie – odezwała się nieoczekiwanie Izabela. Mówiła pewnym, ciepłym altem. Nie jąkała się.

– Odczuwam promieniującą z niej zawiść czy zazdrość – powiedział Ioanneos.

– To uczucie ma właśnie takie odcienie, ale ono jest jedyne w swoim rodzaju, charakterystyczne wyłącznie dla Baldugi – kontynuowała Eleonora.

Było już bardzo późno. Wszystkie wykłady z rozpiski dla Ioanneosa dawno się skończyły. Za oknami szalała nawałnica. Okiennice ugiwały się pod naporem wiatru. Pomyślał, że dziewczyny chcą już iść spać, więc zaczął się zbierać.

– Nie uciekaj jeszcze – powiedziała.

– To opowiedz mi o czymś zupełnie innym. Chcę oczyścić myśli z Baldugi.

– Dobrze. Ani słowa więcej o Baldudze.

– To ja opowiem ci o naszych stronach – odezwała się Izabela. – Pochodzę z tych samych okolic, co Eleonora. Niedaleko Brunei jest głęboka dziura w ziemi, straszliwa przepaść. Postąpisz w lesie jeden krok za daleko i przepadniesz w otchłani. Niektórzy mówią, że jest tak głęboka, iż zanim dolecisz do dna, inni przestaną słyszeć twój krzyk.

– Przestanę krzyczeć ze strachu?

– Nie o to chodzi. – Machnęła ręką. – Jest tak głęboko, że głos nie dochodzi.

– Stąd się wzięła nazwa tego miasta?

– Nazwa?

– No Bruna, Studnia. Dziura w ziemi.

– Nie wiadomo, co jest na dnie tej dziury. Raczej nie woda. Mogą już być nawet płomienie.

– Deszcz by je zgasił.

– Niektórych płomieni nie da się ugasić.

– Płomienie w studni? I to płomienie nie do ugaszenia?



– To jest zmieniona studnia, przenicowana. Dlatego na jej dnie mogą być płomienie, nie woda.

– Dziwne miejsce.

– Więcej tam rzeczy przenicowanych. Trzeba patrzeć na obrazy, wizerunki. Słabi pokonują stokroć silniejszych, bezbronni uzbrojonych, zwierzyna swoich myśliwych. To takie miejsce, Przenicowana Studnia.

– Zaskakujące – powiedział, zdziwiony opowieścią.

– Wiesz, że żadna z nas nie nazywa się Orsini? – spytała Izabela.

– Ty też nie? Ani Monaldeschi della Cervara...?

Izabela szerzej otworzyła oczy. – Właśnie – powiedziała. – Chociaż to na jedno wychodzi.

– Przecież Prosper mi powiedział...

– Ach, on nawet...

„Dlaczego są rozpowszechniane ich fałszywe imiona, skoro one tak starannie to prostują?”

– Tu każdy ma imię fałszywe i imię prawdziwe – powiedziała Eleonora, patrząc na niego. – Trzeba rozpoznać imię fałszywe i posługiwać się prawdziwym.

– Drocą się z nami...?

To pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– Masz na imię Józef? – spytała Izabela, tym razem leciutko się jękając.

– Ioanneos. Dość podobnie.

– Szkoda. Już myślałam, że Eleonora odnalazła swój ideał. Przepada za tym imieniem.

– Przestań – zgasła ją Eleonora.

„Mają dziewczyny wyobraźnię, jedna historia ciekawsza od drugiej”, pomyślał, wracając do siebie. „Uspokoily mnie swoimi opowieściami. Ale moje sny s jeszcze wspanialsze”. Potem zaczął się zastanawiać, jakim imieniem jest Ioanneos, prawdziwym czy fałszywym, skoro wszyscy tak mówią do niego.

*(Ioanneos, Brenda, NN nutritor, Prosper, Izabela)*

Zbudził się jeszcze w mroku nocy. Przed oczyma wyląniał się ledwie dostrzegalny zarys sufitu. Żaden sen nie przyszedł, a pustka i zmęczenie wczorajszego dnia zostały. „Maszyna nie zadziałała. Niczym nie wyróżniłem się na wykładach. Przestali inwestować w moje kształcenie”, pomyślał. „Zresztą może stało się co innego. Balduga wyssała ze mnie nawet marzenia senne. To spojrzenie, nienawistne spojrzenie... Nie ludzkie, ale też nie rozwścieczonego zwierzęcia, lecz jakby kogoś stokroć gorszego. Destylat zła. Żaden, nawet najlepszy system do nauczania pozaświadomego nie zadziała, jeśli mózg poddany został tak straszliwej presji”.

Wywołał z pamięci wspomnienie ostatniego snu, a dokładnie spojrzenie innych szarozielonych oczu. Tak samo spjrzała na niego Jizoga, gdy już ułożyła sobie na plecach nieszczęsną Ritę. Czy Balduga i Jizoga to ta sama osoba...? Czy jest podobnie z Ritą i z Brendą? Czy wreszcie wyidealizowana Karina ze snu ma swój realny obraz w pierwszym rzędzie sali wykładowej? Katren mimo nadwagi wygląda bardzo interesująco.

Postanowił zrezygnować ze śniadania, żeby pójść do biblioteki. Nawet nie po to, żeby coś wypożyczyć, ale by zobaczyć Brendę. Przeczynał, że zarówno jego nieopatrznie powiedziane zdanie, jak i jej spontaniczna reakcja mogły mieć dla niej niedobre skutki.

Idąc korytarzem, pomyślał, że ktoś będzie chciał go zatrzymać. Na schodach natknął się na liczną grupę schodzących. Musiał stanąć, by ich przepuścić. Szło akurat ze trzydzieści osób. „Cała sala wyszła z wykładu? Skąd się ich tylu wzięło, i wszyscy idą na dół? Czy oni stanowią żywą zaporę, by mi udaremnić dotarcie do biblioteki?”, pomyślał. „To bzdurne przypuszczenia. Balduga jest tylko jedna. Inni są zwyczajni”. Machnął ręką, aż ktoś spojrzał na niego badawczo.

Szybko wbiegł po schodach. Nacisnął klamkę. „Pewnie będzie zamknięte”, pomyślał, jednak drzwi ustąpiły.

Brenda siedziała za biurkiem, coś pisała, przyświecając sobie lampką, bo dzień był wyjątkowo ciemny. Podniosła na niego wzrok. Miała dziwny makijaż: okolice oczu aż do brwi, powieki, wreszcie kości policzkowe zostały mocno przyzółcone gęstym kremem. „Na szczęście nie odsunęli jej od pracy”, pomyślał. Uważał, by używać tylko właściwych słów, gdzieś tutaj mógł być mikrofon Baldugi.

– Chciałem skorzystać z biblioteki w porze śniadania.

– Tak. – Pokornie spuściła wzrok.

Skierował się do sali zbiorów. Nie licząc jego odbicia, wewnątrz było puste. Można było przez godzinę snuć się wzdłuż zakurzonych regałów. Trochę błędził, ale wreszcie trafił na *Poradnik dla posągów*. „Jeden krótki rozdział, nie więcej”, pamiętał wskazówki Adelindy.

Usiadł na taborecie i otworzył książkę.

*O posągach najpiękniejszych*, przeczytał tytuł rozdziału.

*Poruszania się trudno uniknąć. Są tacy, którzy wyćwiczyli się w jego unikaniu. Zwiemy ich najpiękniejszymi posągami. Trzeba pamiętać bowiem, że każde poruszenie ma swoją cenę. Materia się zużywa, tworzywo lubi kruszeć. Każdy zaś ruch posągu, dostrzeżony skrajem świadomości widza, sprawia u niego wrażenie nieuchwytniej niedoskonałości posągu. Poruszając się, marniejesz, więc chcąc zachować piękno swej postaci, unikaj ruchu.*

*Zbyt gwałtowny, ale też tak naprawdę każdy ruch, nie pozostaje bez następstw, chociaż nie są to następstwa, jakich kto mógłby się spodziewać. Powoduje on utratę substancji, a to jest nie do odtworzenia. Sypie się pył, struktura traci swą czystość, a posąg staje się coraz bardziej obły. Gdy namiętność poruszania się zbyt nim zawładnie, upodabnia się w końcu do otoczaka.*

Dlaczego akurat ta książka wywołała gwałtowną reakcję Baldugi? Czy stanowiła tylko pretekst, a rzeczywistym powodem było to, że ujawnił Brendzie spostrzeżenie ze wspólnego snu? Czy wczorajszy sen był rzeczywiście wspólny dla nich dwojga? A jeśli tak, to dlaczego nie spotkał Quintena van den Cuyperen?

On też był bohaterem snu Ioanneosa. Chwila zastanowienia sprawiała, że liczba pytań rosła lawinowo. Zamknął okładkę. „Tyle na dzisiaj”, pomyślał. „Pora iść na poranny wykład. Nie można skazywać Brendy na nagane”.

Kiedy wychodził, spojrzał na bibliotekarkę. Jej oczy szklily się od łez, chociaż żadna z nich nie ściekła po policzku. Nie odezwał się, ona też nie.

„Czy ona miała dzisiaj podbite oczy, a krem miał to skrywać?”, pomyślał na schodach. Znowu schodziła liczna grupa ludzi. Teraz nie spowalniali go w drodze.

Nie spóźnił się. Wykład jeszcze się nie zaczął, chociaż na sali było już wielu słuchaczy.

Ten wykładowca był podobny do Gisleberdusa, chociaż tupetu już nie miał, a tylko skłębioną kępkę włosów. Wystarczyło, by ukryć znaczną łysinę, widoczną tym bardziej, że mówca stale

zadzierał głowę. Ukryciu nagiego ciemienia bardzo pomógł brak zatok. Wykładowca miał mówić o płaskorzeźbie z portalu katedry Świętego Landeberta z Lugdunum.

„Czy podobni do siebie wykładowcy mówią o podobnych do siebie zagadnieniach?” Ioanneos nie sprawdził, jak nazywa się ten profesor. Bez wątpienia jednak jego wady budowy były lepiej ukryte niż wady Gisleberdusa. Rozpięta ciemna marynarka w znacznym stopniu skrywała rozpływanie się brzuszyska na boki, a wąskie, rurkowate, czarne spodnie sztruksowe przydawały jego sylwetce wrażenie jakby smukłości od dołu.

Znad rozpiętej flanelowej koszuli wyłaniały się skłębione kudły krzaczastej brody.

Mówił, nie przestając chodzić. W trakcie wypowiedzi przyśpieszał coraz bardziej, ale co chwilę zatrzymywał wywód, zerkając na audytorium i w milczeniu gestykułując. Nie jękał się. Niestety, w miarę wywodu coraz słabiej się kontrolował, obracał bokiem do audytorium i niebezpiecznie pochylał głowę. Wtedy właśnie wyłaniała się blada łysina, jak łąka otoczona rzadkimi zaroślami. Rumiany kolor policzków nie sięgał na ciemię. Ioanneos nie wiedział ani gdzie jest Lugdunum, ani jak wygląda tamtejsza katedra, i już zupełnie, o który jej portal chodzi. Skoncentrował się więc na obserwowaniu mówcy.

Uwagę nutritora zwróciło wejście Izabeli, która spóźniła się na wykład i teraz wolno schodziła w dół sali. Popatrzył badawczo, przerwał gestykulację, ale nie skomentował jej spóźnienia.

Izabela usiadła koło Ioanneosa i blado się do niego uśmiechnęła. W pełnym świetle zauważył, że ona ma niesymetryczne usta, pewnie z powodu swojej dolegliwości. Że jest ładna, szczupła i zgrabna, zauważył już wcześniej. Jak zawsze miała biały zawój na głowie, bladoniebieską bluzkę kimono i wąską spódnicę do kolan, podkreślającą smukłe biodra. „Zamieniają się spódnicami z Eleonorą”, pomyślał wesoło.

Z tylnego rzędu łypnął do niego Prosper.

„Nie śmiej się, nie śmiej, wolę gadać z nią niż z tobą”, Ioanneos nie odpowiedział na uśmiech Prospera. Raz z nią zamienił parę słów, a już zdążył polubić cichą Izabelę.

– ...płaskorzeźba Sądu Ostatecznego z zachodniego portalu katedry w Lugdunum zawiera bardzo rozbudowany opis tego wydarzenia – to zdanie wykładowcy bezpośrednio nawiązywało do drugiego snu. Po pierwszym śnie był wykład będący niemal bezpośrednim komentarzem do niego, a teraz wyglądało, że ten wykład będzie komentować sen drugi. Ostatnie wydarzenia układały się w coraz wyraźniejszy rytm. Ioanneos zamienił się w słuch.

Wykładowca podniósł wzrok na audytorium, a Ioanneos przysięgłby, że spojrział właśnie na niego. „Robię się przewrażliwiony”, pokiwał głową do swojej myśli.

– Katedra w Lugdunum nie miała ozdobnego zachodniego portalu! – zagrział z sali łysy i zgarbiony słuchacz. Mimo bardzo skromnej postury mówił donośnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem. Miał skórę na twarzy pokrytą rudymi wykwitami i oczy, które mrużyły się jak u dziecka, kiedy się uśmiecha, chociaż właściciel nie miał w sobie nic dzieciennego.

– Nie znam go – szepnął Ioanneos.

– To jest nutritor m'Beleh – wyjaśniła cicho Izabela.

Ioanneos dziwił się jego zapalczywości bardziej niż dziwnej koincydencji swoich snów z rozważaniami z wykładu. „Dlaczego tak mu na tym zależy? Czy to takie ważne?”

– Nie było tam miejsca na nic więcej niż na geometryczny ornament – powiedział znowu m'Beleh.

– Która katedra? – zapytał z sali Dacortona.

To pytanie nieoczekiwanie wytrąciło m'Beleha z rozpędu. Poczerwieniał, rytmicznie ruszał żuchwą, nie wydając dźwięku.

– Najpierw był znak męczeństwa Landeberta – zaczął wyliczać Dacortona. – Potem na tym samym miejscu katedra Karola, następnie ta Ottona, później gotycka, wreszcie...

– Żadna! Żadna! – krzyknął m'Beleh.

Tym razem odpowiedziała mu cisza sali.

– Ile ich tam było, żadna z nich nie miała zachodniego portalu wystarczających rozmiarów, by umieścić tam sceny Sądu!

– Nie mogli Sądu Ostatecznego umieścić na innym portalu? – szepnął Ioanneos.

– Nie było takiej możliwości – szept Izabeli był cichy jak tchnienie. – Tylko na zachodnim albo na żadnym... Muszę wyjść. Pomóż mi. – Zaczęła się podnosić.

Ioanneos zbierał się za nią. Zostawił w ławce notatnik.

– Weź mnie na ręce, nie jestem ciężka – powiedziała. – Zaraz stracę przytomność. Już nadeszła aura. Widzę zamykające się drewniane wieko. Zaraz rozlegną się dźwięki młotka... – Sięgnęła jak ślepiec w poszukiwaniu Ioanneosa. Schylił się więc, a ona złapała go obiema rękami za szyję. Niesprawną lewą przytrzymała mocniejszą prawą ręką.

Wszyscy na sali patrzyli na nich jak na widowisko. Wykładowca przerwał na chwilę. Ioanneos starał się nie wywrócić na schodach, niosąc ją na samą górę do wyjścia. Już będąc wysoko, odniósł wrażenie, że Izabela próbuje się wyrwać słabymi rytmicznymi szarpnięciami.

Sala była tylko przymknięta. Stopą pchnął drzwi.

Na korytarzu wzdłuż ściany stały krzesła. Posadził Izabelę na jednym z nich. Chciał o coś zapytać, pochylił się ku niej, ale była nieprzytomna. Wymknęła mu się z rąk i zsunęła z krzesła, zdążył tylko przytrzymać jej głowę. Zaczęła jak ryba trzepotać głową kurczowo przechyloną ku lewemu ramieniu. Przytrzymywał ją, żeby się nie poobijała o podłogę. Zsunął się jej turban, odsłaniając łyse ciemię. Nawet nie krótko ostrzyżone, ale łyse. „Izabela jest po chemioterapii?”, pomyślał.

Korytarzem przechodziło wiele osób, jednak widocznie uznano, że Ioanneos udzieli jej wystarczającego wsparcia, gdyż nikt się nie zatrzymywał. Może przypadki padaczki były tutaj częste.

Drgawki przechodziły falami, głowa Izabeli coraz bardziej chyliła się ku jej lewemu ramieniu. Padaczka biła jej ciałem o parkiet. Ioanneos jedynie pilnował, by głową nie uderzała o podłogę. Wreszcie drgawki zaczęły słabnąć. Papierową chusteczką przetarł pianę z kącików ust Izabeli.

Delikatnie zebrał dziewczynę z parkietu i posadził z powrotem na krześle.

Spojrzała na niego. Chwilę bezgłośnie poruszała wargami, wreszcie spytała: – Wysunęła mi się na wierzch spod bluzki lewa pierś?

– Nie. Dlaczego?

– Tak mnie odziali, że stale muszę się wstydzić. Mam taką sukienkę, że podczas ataku choroby lunatycznej właśnie lewa pierś wysuwa mi się na wierzch, a to mnie bardzo krępuje. Celowo mnie upokarzają.

– Kto cię upokarza?

– Ach... długo by mówić...

– Eleonora...?

– Skądże, ona jest moim największym wsparciem.

– Czy też z tego powodu jesteś łysa?

– Nie wiem. Widocznie nie przysługują mi obecnie włosy.

Kolejna niezrozumiała odpowiedź.

– Nie zsikałam się?

– Nie ma śladu.

– Dziwne. Albo mi wyjdzie na wierzch lewa pierś, albo się zsikam. Tak to zawsze przebiega.

– Było inaczej.

– Może przy tobie zostałam ochroniona przed upokorzeniem. Mógłbyś częściej siadywać na wykładach koło mnie?

– Z przyjemnością. Chociaż nie wiem, czy i kiedy znowu cię spotkam. Nie wiem, kto sporządza rozpiski.

– Ale jak mnie zobaczysz, bez pytania siadaj obok, koniecznie po mojej lewej stronie.

– Pewnie.

– Jak znowu nadejdzie aura, spróbuję cię uprzedzić. To jest zawsze zamykane wieko trumny, odgłos wbijanych gwoździ i zapach wilgotnej ziemi. To jest straszne, mrozi do szpiku kości. A gdy już przyjdzie atak i będę rzucać się po ziemi, przysłoń mi lewą pierś.

– Ależ...

– Nie krępuj się. Jest blada, niezbyt duża, ale kształtna. Możesz ją nawet ująć do ręki i schować mi z powrotem pod bluzkę. Pozwalam ci na tę intymność.

Spojrzał badawczo. Jej bluzka kimono miała duży dekolt, niespięty ani guzikiem, ani broszą, ani czymś innym.

– Tak mi to uszyli. Nie mam nic innego. Bluzka zawsze się rozsuwa w podobny sposób. Bardzo mnie to zawstydzia. Jeśli to się znowu zdarzy, pomóż mi wtedy.

## **9 O zaprzęgu kamieni kwadratowych**

*(m'Beleh, Ioanneos, Rajga, Honoriusz Scholastyk, Prosper, Brenda)*

Przy głównym posiłku, bo trudno nazwać szwedzki stół, głównie kromki chleba i gorące paszteciki, obiadem, nutritor m'Beleh głośno komentował wykład o płaskorzeźbie Sądu Ostatecznego z portalu katedry Świętego Landeberta w Lugdunum. Ioanneos był na początku tego wykładu, ale zapamiętał tylko ciągle dygresje i chaos wypowiedzi. Może ten wykład był czymś podobnym jak wieczór integracyjny, gdzie nieważne, co się mówi czy co się usłyszy, ale ważniejsze, jak mocne uczucia zostaną przekazane? Zresztą atak padaczki Izabeli zmusił go do

wyjścia w połowie i teraz chciał się dowiedzieć, o czym tam było mówione. Podejrzał, że akurat ten opuszczony fragment mógł być związany ze snem, w którym poznał wyidealizowaną postać bibliotekarki.

– Po co tyle mówić o takim budynku? – zapytała młoda, ciemnowłosa kobieta w okularach i z szeroką diastemą między górnymi siekaczami. Faktycznie oba zęby kierowały się nieco na boki, celując pod różnymi kątami w prawo i w lewo, jakby chciały od siebie uciec. Przypominały nierówno wbite w dziąsło kawałki domina. Ta dziwna skaza na obliczu nieodparcie przyciągała wzrok jako pierwsza.

„Wygląda, jakby została celowo oszpecona”, pomyślał. „Przecież jest całkiem zgrabna i urodziwa. Może nie tak bardzo jak Katren, ale jest niewiele brzydsza”.

– Dobrze, że zrobili z nimi porządek rewolucjoniści. Szkoda, że nie zburzyli tego wszystkiego – mówiła dalej nieznajoma.

m’Beleh umilkł i tylko uśmiechał się zagadkowo, lekko kiwając się do przodu i do tyłu.

„Przecież katedry są piękne”, pomyślał Ioanneos. To już wystarczający powód, by ich nie niszczyć.

– Zniszczyć, zniszczyć... – powiedział mechanicznie kiwający się m’Beleh, jakby powtarzał niewypowiedziane słowa. – A tutaj o nich wykład za wykładem, pani Rajgo. Na dole zaraz się zaczyna Honoriusz Scholastyk. Nie można go opuścić. Chyba każdy dostał go w rozpisce. – m’Beleh obdarzył swoim pozornym uśmiechem Ioanneosa.

Ten odruchowo zerknął na swój karteluszek. Faktycznie, trzeba zaraz zejść na dolny poziom. Ioanneos odłożył talerzyk. Spojrzenie m’Beleha mogło być wskazówką tylko dla niego. Ciemnowłosa rozmówczyni wcale nie musiała iść na wykład Honoriusza. Skoro była tak niechętna porządkowi katedr, to może uczestniczyła w zupełnie innych zajęciach. Możliwe, że *nutritores* byli informowani, jakie wykłady kto dostaje w dziennej rozpisce.

Honoriusz Scholastyk okazał się niewysokim, szczupłym mężczyzną, który rozległą łysinę starał się przykryć bardzo skromną przerzutką, wąziutkim, nadzwyczaj długim paskiem ciemnych włosów. Oczy skrywał pod dużymi okularami o grubych oprawkach.

– Sąd Ostateczny można przedstawić jako kielich stojący na murze z kwadratowych kamieni – zaczął i bacznie rozejrzał się po sali.



Rozległy się szepty. Ioanneos nie tego się spodziewał. Nigdy nie widział tak dziwnych przedstawień Sądu Ostatecznego. Honoriusz miał wprowadzić wszystkich w jego porządek, ale już pierwsze słowa były niezrozumiałe.

– I nic?! I tyle?! – zewsząd dobiegały głośnie uwagi.

– Jak mamy to rozumieć? – spytała Rajga, która jednak też pojawiła się na wykładzie. Spojrzała na siedzącego obok m'Beleha, jakby prosiła go o akceptację czy o potwierdzenie.

Honoriusz zamilkł, chwilę nieruchomo patrzył na parkiet.

– No, czy to jakiś szczególny kielich, czy wystarczy szklanka ze stołówki...? – dobiegło z sali, a kilka osób się roześmiało. – Czy może być plastikowy kubek z automatu na kawę z korytarza? – nie ustawał dowcipniś.

– Nie – odezwał się głośno Honoriusz. – To musi być kielich Tassilona z Bawarii. Powiem o nim później.

– A jak rozumieć kwadratowe kamienie? – ciszej spytała Rajga. – Przecież kamienie nie są płaskie. – m'Beleh rytmicznie kiwał się w takt jej słów.

– Dobrze, jak na przedstawieniu Sądu zaznaczone są cztery rzędy kamieni – powiedział wykładowca. Nie dosłyszał ostatniego pytania. Honoriusz mówił z fatalnym francuskim akcentem.

– Cztery rzędy? – znowu się ktoś dopytywał.

– Na tej sali są tylko dwa rzędy miejsc – to znowu Rajga.

Ktoś stuknął Ioanneosa w ramię. Odwrócił się. Z następnego rzędu pochylał się Prosper. – Ona ma smuklejsze biodra niż Katren – szepnął konfidentycznie.

– Katren w idealnej postaci będzie o wiele piękniejsza od Rajgi.

– Musiałaby zrzucić z bioder parę dobrych kilogramów – bezgłośnie zarechotał Prosper.

„Ten tylko o jednym”, pomyślał Ioanneos.

– Dlaczego powinny być cztery rzędy kamieni? – spytał szeptem.

– Nie mam pojęcia. Wyciągniemy uczestniczkę Rajgę na wieczór integracyjny.

– To ci odgryzie rękę.

Prosper zatrzęsł się w bezgłośnym śmiechu.

– Faktycznie są tutaj tylko dwa rzędy miejsc... – powiedział Honoriusz. – Bo to sala na najniższym poziomie. Sale na wyższych poziomach mają po trzy, po cztery, potem znowu trzy, a wreszcie te najwyżej znowu tylko dwa rzędy miejsc. – Dwa rzędy miejsc na tej sali oddzielono

schodami pośrodku. „Jakżeż może się wiązać symbolika przedstawiana przez Honoriusza z konstrukcją budynku ośrodka?”, pomyślał Ioanneos.

„Historyk sztuki go projektował, nie architekt?”

Chyba wszyscy byli zaskoczeni tezami i odpowiedziami Honoriusza, bo gwar ucichł.

Ten skorzystał z tego, że przestali mu przerywać, i kontynuował wywód. – Budowla Ostateczna wykonana została przed początkiem czasów, ale jedna jej ściana się zawaliła. Stało się to też przed początkiem czasów – powiedział. – Jednak przed końcem czasów powinna ona zostać naprawiona kamieniami kwadratowymi.

– Czy to znaczy, że czas przestanie dotyczyć również nas? – zapytał ktoś z sali. Ten wykład różnił się od innych. Stwierdzenia wykładowcy były głośno komentowane przez słuchaczy. Nutritorowi przerywano pytaniami. Często sala wrogo reagowała na jego stwierdzenia.

– Mówi się, że nastąpi koniec czasów, koniec historii. Może to znaczyć koniec czasu.

– Dlaczego nas upośledzono, nakładając na nas więzy czasu?

– To nie jest upośledzenie. Czas jest naszym nieodłącznym towarzyszem od powstania świata. Dla jakiegoś powodu nam go dano – replikował Honoriusz.

– Co wiadomo o tych kamieniach kwadratowych, poza ich pięknem i dobrem?

– Wiezie je na budowę czterokonny zaprzęg. Po drodze niektóre kamienie spadają z wozu. To te, które nie są wygładzone, nie są kwadratowe.

– Czterokonny zaprzęg?

– Tak. Znane są nawet imiona koni.

– A jakie są? – Wykładowcy stale przerywano. Wykład przerodził się w ciągłą dyskusję ze słuchaczami.

– Facet mówi samymi zagadkami – Ioanneosa dobiegła powiedziana półgłosem uwaga z tylnego rzędu.

– Ich imiona to Młodzieniec, Wół, Lew i Orzeł.

Podobnie jak wcześniej, szmer na sali nagle ucichł.

Jakby się rozeszło coś nieuchwytnego. Lęk? Obawa, że ktoś w tym miejscu użył tych słów?

– A jak oceniać, czy kamienie są wystarczająco kwadratowe...? – wtrącił się m'Beleh. W jego głosie pierwszy raz czuło się niepewność. – Kwadrat jest płaski, bryła kwadratem być nie może.

– Ach tak... – Honoriusz machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę. – Zawsze o to pytają. Na płaskorzeźbę patrzy się zwykle z jednego kierunku. Podobnie kamień w murze eksponuje do widza jedną ścianę. Kwadrat jest symbolem doskonałości. Dla brył takim symbolem może być sześcian.

– A co z tymi innymi kamieniami? – dopytywał się m'Beleh. – Tymi, które spadną z zaprzęgu.

Na sali panowała niemal idealna cisza. Był to niezwykle kontrast do poprzedniego gwaru, komentarzy i kąśliwych uwag.

– Cóż, nie są doskonałe...

– Nie ma dla nich żadnej nadziei?

– Zostaną przetopione w piecu wapienniczym na wapno.

– Przepadną na zawsze? Marny los potencjalnych żywych kamieni.

– Nie przepadną. Powstanie z nich wapno, zaprawa spajająca odbudowywaną ścianę Budowli Ostatecznej. Rolę swoją odegrają, choć kamieniami zostać nie chcieli.

Honoriusz skorzystał, że jego słowa znowu uspokoiły salę. – Grubo pozłacany, miedziany kielich księcia Tassilona z Bawarii, z wygrawerowaną dużą postacią Pasterza, a też z Młodzieńcem, Orłem, Wołem i Lwem, w zupełności wystarczy, żeby przedstawiać Sąd Ostateczny. Jednakże lepiej, jeśli puchar Tassilona zostanie postawiony na murze z kwadratowych kamieni.

Odpowiedziała mu cisza. Niektóre uwagi Honoriusza rozbawiały ich do łez, inne rozwścieczały, jeszcze inne wreszcie trafiały jak celne pociski, zmuszając do zupełnego milczenia. Dziwne były reakcje tego audytorium. Ioanneos ich nie rozumiał, jak nie zrozumiał też uwag Honoriusza.

– Czy Pasterz na kielichu Tassilona to Woźnica zaprzęgu wiozącego kwadratowe kamienie? – odważył się zadać pytanie ktoś z tylnego rzędu.

Głos tej kobiety wydał się znajomy. Ioanneos odwrócił się. Poznał bibliotekarkę, pytanie zadała Brenda.

– Tak. Ten sam – odpowiedział Honoriusz Scholastyk.

– Czy można dodać więcej do esencji, do takiego przedstawienia? – teraz odezwała się Rajga, a m'Beleh kiwnął się z uznaniem.

Ioanneosowi wydało się, że chciała tym pytaniem zatrzeć na sali wrażenie po odpowiedzi na pytanie Brendy.

– Tak. Można dodać Dwanaście Miesięcy, znak czasu.

Te słowa zawisły w ciszy.

Wykład dobiegł końca. Wykładowca składał notatki. Ioanneos, wspinając się po schodach do drzwi, zauważył zbierającą się do wyjścia Brendę. Chciał do niej zagadać, ale zauważył, że jest zapłakana, więc przeszedł obok.

Wahał się, czy na nią nie zaczekać. Pomyślał jednak, że niedyskrecją byłoby pytać bibliotekarkę, dlaczego płakała na wykładzie. Jedyńm powodem poufałości mogło być to, że gościł ją w swoim śnie, ale przecież Brenda o tym wiedzieć nie mogła. Już raz pozwolił sobie na poufałość i miało to dla nich obojga niemiłe następstwa.

Poszedł za Honoriuszem. Zgarbiony profesor tak szybko szedł ku schodom, że trudno go było dogonić. Wreszcie Ioanneos się z nim zrównał.

– Dziwny był wykład nutritora – powiedział, kiedy stary spojrzał na niego spod grubych opraw okularów. – Treść muszę dopiero przemyśleć, ale spodziewałem się czego innego.

Honoriusz przystanął.

– A czego? – Jakby zachęcił go przyjazny ton Ioanneosa, bo był przygotowany na szyderstwa i drwiny.

– Zwykle na przedstawieniach Sądu Ostatecznego jest co innego. Niebiosa, budzący się piękni ludzie odziani w listki figowe, odmęty, płomienie, anioły i demony.

Honoriusz rozejrzał się wokoło.

– Tutaj nie mogłem o tym mówić – szepnął. – Do tych słuchaczy tamte słowa trafiłyby jeszcze gorzej.

– Przepraszam za nich – powiedział Ioanneos. Żał mu było starego profesora.

– Ech, nieważne... – Honoriusz machnął ręką. – Oni mają większy problem. – Podniósł wzrok na Ioanneosa. – W listkach figowych...? – Uśmiechnął się. Zrobił porozumiewawczy gest i sięgnął do teczki. Jednak nie znalazł tego, czego szukał.

– Ma pan kartkę i ołówek?

Ioanneos wytargał papierek z notatnika. Honoriusz coś na nim nabazgrał.

– Proszę zaraz schować do kieszeni – szepnął. – Jutro będzie mój wykład właśnie o rzeczach pana interesujących. A teraz proszę już szybko stąd iść.

Ioanneos wsadził rękę do kieszeni spodni, wyczuwając złożoną karteczkę.

## **10** *Caput mortum*

*(Eleonora, Izabela, Ioanneos)*

Po ostatnim wykładzie Ioanneos wracał zmęczony do siebie. W kącie korytarza, przed jego pokojem, ktoś głośno rozmawiał. Zatrzymał się więc i zerknął zza węgła. Eleonora i Izabela stały i o czymś dyskutowały. Izabela nie jąkała się wcale. Jednak bardziej zaskoczyła go Eleonora. Rozebrała się do pasa na korytarzu i tylko dłońmi próbowała się niedbale zasłaniać. Coś Izabeli pokazywała tuż nad piersią, coś tłumaczyła, wyjaśniała. Miała wyraziste, ciemne kwiatki, a same piersi nieduże, choć kształtne. Izabela się nie rozebrała, tylko cicho komentowała wygląd Eleonory.

Obie kobiety miały dziwnie gładką, perłowo połyskującą, świetlistą cerę. „Dlaczego ona rozebrała się w publicznym miejscu?”, pomyślał Ioanneos. „Przecież w każdej chwili mógłby tędy ktoś przejść. Nie mogą oglądać się w swoim pokoju? Tam żaden natręt ich nie zaskoczy”.

– W ciągu dnia pokoje są niedostępne, bez przerwy je sprzątają – powiedziała Eleonora. – Przez to trzeba się rozbierać w tak niedyskretnym miejscu.

„Ona słyszy moje myśli?”, zdziwił się.

– Może już otwarli – odezwała się Izabela.

Obie kobiety odwróciły się i znikły za drzwiami.

Ioanneos wyszedł zza węgła i skierował się do swojego pokoju. Przecież one tam właśnie weszły! Ale musiał przekreślić klucz w zamku, więc może jednak nie...?

Wewnątrz było jasno. Prawie całą powierzchnię podłogi zajmowało wielkie, podwójne łóżko. Wyglądało bardzo dziwnie, obramowane prostokątną drewnianą ramą z surowych desek, która dzieliła je na dwie kwatery. Nie było na nim zwykłego siennika, lecz cały obszar ujęty deskami wysypano drobnymi, obłymi, jasnymi kawałkami tworzywa, wyglądającymi jak elastyczne kamyki. Na pewno bardziej poprawiały ukrwienie niż zwyczajny materac.

Na jednej kwaterze tego łoża leżała Izabela, na drugiej zaś Eleonora. Każda z nich była naga, a tylko biodra i uda miała owinięte luźną szatą, jak sarongiem. Jedna szkarłatną, druga fioletową.

„Zwykle noszą podobne wąskie, obcisłe spódniczki”, przypomniał sobie. Uderzała perłowa bladość skóry obu pólnagich kobiet. „Jak żywe figury z porcelany”, pomyślał. Ioanneos chciał się wycofać, zawstydzony intymną sytuacją.

– Nie uciekaj. Inni w ogóle tego nie zauważają – powiedziała pewnym głosem Izabela.

– Przepraszam.

– Miałeś tutaj przyjść.

Izabela przechyliła głowę, a jej lewa pierś zsunęła się w bok poza obrys ciała. Nie miała turbanu na głowie, widać było łyse ciemię. Nie błyszczało. Gładka skóra Izabeli aż promieniowała perłową bielą. Kobieta przypominała żywy posąg.



Zaraz podniosła głowę i spojrzała na niego. – Nałóż mi turban – powiedziała.

Rozejrzał się. Na komodzie leżał zawój błyszczącej tkaniny w czerwono-fioletowej, nasyconej barwie.

– Piękny kolor – powiedział.

– Nazywa się *caput mortum* – odpowiedziała Izabela, parsknęła śmiechem i spojrzała na niego w taki sposób, że onieśmielony cofnął się z powrotem pod drzwi.

– No przestań... – przeprosiła zaraz. – Czasem spojrzenie wymyka mi się spod kontroli.

– Majestat królowej.

– No może nie aż tyle... – zachichotała. – Ale hrabiny z hrabiów, to tak.

Eleonora skrzyżowała ramiona i wpatrywała się w niego. Na szyi miała zawiązany szeroki fioletowobłękitny krawat. Kwiaty jej piersi celowały w niego jak porcelanowe oczy. Może dlatego ciemnym, za mocnym makijażem przesadnie podkreśliła brwi, rzęsy i powieki. Jej skóra sprawiała podobne wrażenie perłowej czy porcelanowej bieli, jak u Izabeli. „Dwa ideały znanych kobiet”, zauważył. „Izabela się nie jąka i nie ma przykurczu mięśni, który stale ściąga jej głowę w lewo. Teraz po prostu sama ją leniwie zwiesiła”.

Eleonora skinęła. – Co się dzieje z guzkiem bez chemioterapii? – spytała.

– Może się rozrosnąć i rozsiać – odpowiedział. – To koniec.

– A nie może sam wyschnąć?

– Tak sam od siebie?

– No właśnie. Pierś wyschnie, to i guzek wyschnie. Wtedy rak się przecież nie rozsieje.

– Przecież piersi nie wysychają.

– No tak zwyczajnie... jak ramiona, brzuch czy nogi. Wyschną na wiór.

– O czym ty mówisz? Co wysycha?

– No jakżeż. Popatrz na nas. Obie jesteśmy blade i suche.

Zauważył niezwykłą chudość obu kobiet, ale mówienie o tym byłoby nietaktowne. Eleonora była znacznie chudsza niż przed chwilą, gdy podejrział ją w korytarzu. Kwiatek jej bladej piersi był ledwie widoczny. Jej ciało stanowiło doskonałość, jednak odległą od tego, jak naprawdę mogłaby wyglądać kobieta. Decydowała o tym nie tyle idealna proporcja jej ciała, lecz ten niezwykły, porcelanowoperłowy kolor.

– Szczupłe kobiety też chorują na raka – powiedział.

– Jak trzeba więc wyschnąć, by guzka wysuszyć?

– Sam nie wiem.

– Idź już – powiedziała Izabela. – Tutaj nie wolno śnić. Sama nie wiem, jak się nam to udało.

– Nam?

– Tak, tak, nam. Idź już z tego snu.

– Zdarza się śnić wspólne sny?

– Widzisz przecież. Ale zwykle zapomina się je zaraz po przebudzeniu. Ty nie zapomnij.



Zamknął drzwi.

## **11    *Drugi wykład Honoriusza Scholastyka***

*(Ioanneos, Brenda, Quent, Honoriusz Scholastyk, Aga)*

Po drugiej stronie zamkniętych drzwi był sufit jego pokoju, ledwie wydobywający się z mroku. Futryny drżały od naporu wichru, gdy co chwilę przychodziły nowe uderzenia. Słabo wyłaniały się zarysy nierówno zbitej szafki na książki, leżące na półce notatki, niezgrabna bryła szafy na ubrania i krzywy wieszak na drzwiach wyjściowych. Po stronie jawy było ciemnoszaro i groźnie, po stronie snu szarość była perłowa i połyskliwa, a wspomnienie nasyczonego szkarłatu nie chciało odejść sprzed oczu duszy.

„To chyba był sen zwyczajny, nie sztuczki organizatorów konferencji. Może dwa poprzednie, sterowane sny wystarczająco pobudziły moją wyobraźnię”, pomyślał.

W każdym z tych trzech snów przebywał w pobliżu pięknych kobiet. Nie pamiętał, czy oczyma Quentina de la Cadavre widział tylko obraz pięknej Cateriny Tanagli, czy zajrzał w jej duże, modre, nieco matowe oczy. Wydawało mu się teraz, że widział ją w rzeczywistości. „Śnieżynka, Śnieżynka z Toskanii”, przypomniał sobie swoje myśli. Świetnie pamiętał szczególną doskonałość kształtów Rity i Katriny, a Izabela i Eleonora sprawiały we śnie wrażenie raczej żywych rzeźb niż istot ludzkich.

„Pierwsze dwa sny przygotowywały do wykładów, więc to musi być jakaś metoda uczenia snem, która jest na nas testowana w ośrodku. Ale ten trzeci był inny. Zresztą wszystkie trzy sny jakby chciały pokazać, że jesteśmy tylko niedoskonałymi odbiciami naszych prawdziwych postaci. Że dusza jest częstką doskonałą w każdym z nas. Wygląda na robotę psychologów gościnnie wykorzystujących nasze zgromadzenie. Oni pewnie pracują metodami pozaświadomymi częściej niż inni naukowcy”.

Kartka od Honoriusza Scholastyka leżała w kieszeni. Kiedy wsadzał do niej dłoń, wyczuwał papier palcami. Pójście na ten wykład byłoby naruszeniem rozpiski. Nie wiadomo, czym mogło to grozić. Spotkanie z Baldugą było przeżyciem pozbawiającym chęci do życia i śladów kreatywności na długi czas, czymś bardzo trudnym do wytrzymania, ale możliwym. Tylko czy to była największa kara, grożąca w przypadku tak dużej niesubordynacji?

„Śniadanie czy biblioteka? Śniadanie czy biblioteka?”, przyszła neutralna myśl, pozwalająca opóźnić trudną decyzję.

Prawie pobiegł do biblioteki. Chciał zająrzeć tylko do tej jednej książki. Treść intrygowała, a intuicja wskazywała, że właśnie w tej książce skrywa się jakaś wskazówka. Jak przeczyta więcej, może zrozumie, o czym w niej napisano.

Jak zwykle między wykładami grupki osób schodziły w dół po schodach, ale nie było ich aż tyle, żeby tarasować drogę. Trochę tchu brakowało od biegu po schodach. Schodzący przyglądali się, kto też może czegoś pilnie szukać o tej porze na górze. Wreszcie korytarz na górnej kondygnacji, a na jego ciemnym końcu drzwi do biblioteki.

Brenda siedziała przygarbiona za swoim biurkiem. Podniosła na niego wzrok. Oczywiście śladu łez już nie było. Przeszedł bez słowa.

Pamiętał znajomą półkę, na której leżała poszukiwana książka, jednak było tam teraz puste miejsce. Wrócił do bibliotekarki.

– Czy ktoś wypożyczył *Poradnik dla posągów*?

– Tej książki nie wolno stąd wynosić – powiedziała Brenda. – Ja go odłożyłam dla ciebie. Mniej czasu się traci, kiedy nie trzeba książki wyszukiwać na półce. – Sięgnęła pod blat i wydobyła oprawny w płótno tom.

Ioanneos usiadł za stolikiem i otworzył książkę na początku kolejnego rozdziału.

*O dziedzictwie*, przeczytał tytuł rozdziału.

*Nie jest prawdą, co mówią, że dziedzictwo zapewnia powrót zwartej substancji na właściwe miejsce w posągu. Nic takiego nie następuje, a starta substancja przepada, bezpowrotnie łącząc się z kurzem. Dziedzictwo jest zupełnie inną cechą. Doświadczony posąg nabywa dziedzictwa niezauważalnie, przychodzi ono jakby samo z czasem. Może jest sposób na przywołanie dziedzictwa wcześniej, ale nikt go jeszcze nie poznał.*

*Posąg obdarzony dziedzictwem wraca do swej postawy podstawowej na krótko, zanim spojrzy na niego jako człowiek. Potrzeba powrotu przychodzi tak naturalnie, jak bezwiedna czynność organizmu. Tym właśnie jest dziedzictwo swojej pozy zwykłej. Ów posąg może przeto pozwolić sobie na znacznie więcej niż każdy inny. Widzi więcej, odwracając chętnie głowę, a bytowanie umiła gestami swoich ramion. Bezpieczny dzięki dziedzictwu przed zniszczeniem przez dzikusów.*

Dzisiejszy fragment poradnika był zupełnie niezrozumiały. „Jak wczorajszy wykład Honoriusza”, pomyślał. „Im więcej słucham i czytam, tym mniej rozumiem”.

– Posiłek się kończy – Brenda przerwała zamyślenie. – Muszę zamknąć.

– Biblioteka jest zamknięta, bo ty też masz rozpiskę i chodzisz na wykłady, tak?

– Oczywiście.

Na korytarzu jeszcze raz zajrzał na zwiniętą kartkę. Wykład Honoriusza Scholastyka był w sali na najwyższej kondygnacji. Ioanneos poszedł po schodach do góry. Konsekwencje niesubordynacji wkrótce nadejdą, ale wcześniej może dowie się czegoś istotnego, skoro stary profesor przekazywał mu namiary na swój wykład w takiej tajemnicy.

Sala na górze sprawiała wrażenie nieoczekiwanej ciasnoty. „Sale na niższych kondygnacjach są przecież większe”, rozejrzał się. „Tu są też tylko dwa rzędy miejsc, podobnie jak w tamtej sali na samym dole, gdzie był wczorajszy wykład”, przypomniał sobie uwagę Honoriusza. „Zwykle w salach wykładowych są trzy lub cztery rzędy miejsc”.

Było jeszcze pusto. Studenci powoli się schodzili. Ioanneos usiadł w środku pustego rzędu.

Przyszedł znajomy rudzielec, Quent, w ceglastym sweterku, rurkowatych czarnych dżinsach i kompletnie rozdeptanych welurach. Usiadł obok Ioanneosa i syknął z bólu.

Ten spojrzał pytająco.

– Aa...! – Quent machnął ręką. – Jaja mnie bolą – grzecznie wyjaśnił. – Skóra mi się tam zrasta. Wszędzie na skórze robią mi się takie wżery, a najgorzej, że teraz mnie to tam dosięgło.

– Wżery? – Ioanneos spojrzał badawczo.

– Tak. Jakby ci ktoś strugiem ścinał zewnętrzną warstwę skóry, a zostawała tylko cienka błonka, która się łuszczy i cholernie ociera o odzież. Czasem siedzenie na wykładzie to męka.

– Pęka i krwawi?

– Nie aż tak, ale skórka jest tak cienka, że czasem prześwituje przez nią to, co jest tam głębiej.

– Idź z tym do lekarza. Jeśli w ośrodku nie ma, to na pewno cię skierują do kogoś poza ośrodkiem.

– Poza ośrodkiem? – Quent powiedział to z takim zdumieniem, że Ioanneos aż spojrzał na niego.

– No... – wybąkał Ioanneos. – Powiedz na recepcji, że potrzebujesz, to ci załatwią. Przy odbiorze rozpiski.

Właśnie otwarły się drzwi i pojawił się Honoriusz Scholastyk. Przyniósł plik kartek i zaczął je rozkładać na blacie. Wczoraj wykladał w żywej mowie, dzisiaj wyglądało, że będzie inaczej. Sala była wciąż prawie pusta, ale przybywało słuchaczy. Honoriusz przestał przeglądać notatki i na powrót złożył je na jedną kupkę. Dziwnie opóźnił początek wykładu.

W ostatniej chwili przyszła Aga i z drugiej strony przysiadła się do Ioanneosa.

– Co ty tutaj robisz...? – szepnęła do niego, wyciągając z plecaczka notatnik i długopis.

– Temat mnie zaciekawił. Wczoraj słyszałem jego wykład o tym samym i nic nie zrozumiałem. Chcę to jeszcze raz przemyśleć.

– Każdego wykładu słucha się raz – ucięła trochę zbyt stanowczo. – Wraca się do niego dopiero po stosownej sekwencji zajęć.

– Może będzie mówił o twoim kraju, o Tassilonie z Bawarii – zmienił temat.

– Ja nie jestem z Bawarii.

– Nie...? Prosper mówił, że naprawdę nazywasz się Adelinda z Bawarii.

– Prosper wie, jak ja się naprawdę nazywam? – Roześmiała się. – Ależ to wykoncypował...

– To jak się, Aga, nazywasz? – Też się do niej uśmiechnął.

– Tak właśnie, Agata. Agata znaczy „Dobro”. To chyba ładne imię, co? – Jej oczy modro promieniały.

– Pewnie, że tak. Jeszcze bardziej mi się podoba niż Adelinda.

– Lubi fantazjować o kobietach ten Prosper.

– Każdy lubi.

– Ja nie. – Znowu parsknęła cichym śmiechem. – Cicho bądź, słuchaj Honoriusza, skoro już tu przyszedłeś.

Było coś protekcjonalnego w jej sposobie bycia, dużo ciepła wobec Ioanneosa, ale też i to.

Honoriusz Scholastyk zaczął już mówić. Pora przestać żartować, zacząć słuchać, bo jego wywody wymagają szczególnego skupienia. Faktycznie, Ioanneos z każdą chwilą słuchał coraz uważniej.

– Głowy podnosić nie należy, bo blask za mocny i trudno rozróżnić postaci. Co jest w górze, przekazał Jan i na jego słowach wystarczy się oprzeć. Jan napisał, że najwyżej jest Pasterz... – Honoriusz urwał i rozejrzał się po audytorium. – Jezus – powiedział ciszej, jakby nie mając

pewności, czy wolno mu było użyć tego słowa. Nic się jednak nie stało. Żadnych protestów nie było. – Jezus w otoczeniu Ewangelistów i nikogo innego nie należy się spodziewać – dodał już pewnym profesorskim głosem. – W pobliżu można wypatrzeć jeszcze Marię, a niżej innych świętych, ale oczy zaraz zaczną łzawić, a wreszcie boleć od nawału światła. Na dole jest ziemia, która może być porośła trawą, chociaż powinny być też nagrobki. Nie wszyscy przecież zostaną pochowani na cmentarzach, więc budzić się będą zarówno tacy w mogiłach ziemnych, jak i ci spod płyt nagrobnych, a także wszyscy zjedzeni przez dzikie bestie, przez ryby i przez potwory morskie. Nie robi to różnicy, czy kto został pożarty żywcem i strawione ciało przepadło, czy też kogo dopiero pożarły robaki w mogile, albo czy jego ciało zachowało się jako mumia. Po obudzeniu odziewać się nie należy, bo i nie ma w co, a zimno nie będzie. I tak przyrodzenia zakryte będą listkami figowymi, jak to jest od grzechu pierworodnego. Błogosławieni idą na prawą stronę Jezusa, a potępieni na lewą. Lepiej samemu pójść po dobroci, bo można oberwać od porządkowych. Porządkowi są gburowaci i agresywni. Informacji żadnych nie udzielają. – Znowu rozejrzał się po sali, ale nikt się nie odezwał. Wszyscy w milczeniu słuchali jego słów. – Potępieni często będą odwracani nogami do góry, a głową na dół. Zarówno w czasie transportu, jak i potem już w kotłach. Należy się liczyć z kawałkowaniem potępionych, chociaż to proces odwracalny, służący tylko dodatkowej udręce. Obserwacja odciętych głów gotujących się w kotle nie musi znaczyć, że owe głowy nie zostaną później ponownie przymocowane do reszty ciała. Potępieni często będą powiązani łańcuchami, bo jak pojedyncze ogniwa utworzyły łańcuch, tak do potępienia doprowadziły poszczególne czyny.

„Czy on opisuje ogólne cechy przedstawienia Sądu Ostatecznego, czy też relacjonuje mój sen?”, pomyślał Ioanneos.

Różnica w zachowaniu audytorium między dzisiejszym a wczorajszym wykładem była uderzająca. Dziś panowała grobowa cisza. Słuchacze z uwagą łowili każde słowo Honoriusza. Ten dalej kaleczył język francuskim akcentem, ale każde słowo jego wywodu było zrozumiałe. Używał też wielu innych wyrażen niż wczoraj.

– Przedstawienia Sądu zwykle ukazują niezwykle rozległą zieloną łąkę, która nieodparcie kojarzy się ze sceną teatru, *Teatro Divino* – Honoriusz Scholastyk jakby czytał w myślach Ioanneosa. – Ludzie tam stoją jak na arenie, a nad nimi dzieje się druga, anielska część wydarzenia. Może to jednak dziać się inaczej.

– Inaczej? – Ioanneos szepnął do Agi.

– Cicho... Słuchaj go. To świetny wykładowca.

– Zamiast łąki może być Śmierć o szeroko rozstawionych ramionach. Pod nią widoczne odmęty piekielne, a między jej ramionami uciekać będą zmartwychwstający. Każdy raz ucieknie Śmierci. Właśnie wtedy.

– Już wiesz? – teraz ona szepnęła.

Czuł delikatny powiew oddechu Agi. „Czy oddech w ogóle może pachnieć fiołkami?”, pomyślał.

– Masz miętową gumę do żucia?

– Używam fiołkowej.

– Kompletne przedstawienie Sądu powinno zawierać wiele scen, które trudno pogodzić jednym obrazem – mówił dalej Honoriusz. – W odmętach trzeba ukazać różne formy tortur doznawanych, a samo Piekło może być przedstawione jako straszliwa paszcza najgroźniejszego z demonów. Ach! – Honoriusz syknął z bólu. Mówiąc, dreptał po podeście, by jego słowa padały w różne strony sali, i przypadkiem potknął się na nierówności, boleśnie skręcając stopę. – Lepiej przedstawić wszystko jako szereg scen pogrupowanych w rzędy i w poziomy. Jakby pomieszczenia na różnych piętrach rzeczywistości.

– Widzowi trudno uwierzyć w takie przedstawienie – przerwał Honoriuszowi ktoś z prawej.

Ioanneos obejrzał się. To odezwał się Dacortona.

– Przedstawienia mogą być inne, lecz powinny zawierać istotne elementy.

– To prawda, ale przedstawienie wielu scen naraz burzy iluzję uczestnictwa w zdarzeniu.

– Może, ale lepiej uczy. Widz może przechodzić od sceny do sceny, studiując malowidło.

„Dlaczego oni tak drobiazgowo wykładają właśnie te zagadnienia?”, pomyślał. „Dlaczego Dacortona włącza się tak często do dyskusji? Czy sny to jedna, a wykłady to druga strona tego samego?”

Aga dotknęła go paluszkami w nos.

– Tak...? – Ioanneos zerwał się odruchowo.

– Słuchaj wykładu, nie zamyślaj się – szepnęła.

– Czytasz w moich myślach?

Aga znowu się uśmiechnęła i podbródkiem wskazała na podest.

– Słuchaj.

Honoriusz przetarł dłonią czoło. – Realistyczne przedstawienie wyłącznie wybranego fragmentu zdarzenia stwarza groźbę, że widz nie zauważy treści. Piękne nagie postaci zaraz skoncentrują uwagę na sobie, odciągając od najważniejszego. A na Sądzie każda z dusz będzie piękna, będzie jakby idealnym obrazem żyjącego wcześniej człowieka, gdyż przecież każdy pozostanie sobą. Wtedy każdy ma prawo do swojego piękna, zbawieni, bo tacy pozostaną, i potępieni, którzy też będą piękni na czas Sądu, żeby zobaczyć, co stracili.

– Zabierzemy na kawę Prospera. – Teraz to Aga przeszkodziła mu w słuchaniu wykładu. – A ty na pewno będziesz miał w rozpisce wieczór integracyjny, skoro chodzisz na wykłady przeznaczone nie dla siebie.

Uśmiechnął się do niej, ale nie nawiązał rozmowy. Zachowanie Agi zdziwiło go. Skąd wiedziała, że nie powinien iść na drugi wykład Honoriusza Scholastyka? Dlaczego przerwała mu rozmyślenia? Przecież treści jego myśli znać nie mogła. Dlaczego przeszkadzała mu w słuchaniu wykładu, właśnie kiedy Honoriusz mówił o sprawach bardzo istotnych?

Po wykładzie Aga pokręciła się w pobliżu, ale widząc, że Ioanneos nie zbiera się z miejsca, poszła sama.

– Dlaczego oni nas tego uczą? – zwrócił się do Quenta.

Ten zbierał się do wyjścia wolno i ostrożnie, aby nieopatrznym ruchem nie urazić bolesnych miejsc.

– Wykład za wykładem o podobnych zagadnieniach – powiedział Ioanneos. – Niektóre sprawy są niezrozumiałe, ale wykładowcy przybliżają je niejako z różnych stron. Zwykle konferencja wygląda inaczej. Czego mamy się tu nauczyć? Co mamy zrozumieć?

– Niczego nie mamy zrozumieć – burknął Quent. – Mamy się niczego nie nauczyć.

– Proszę?

– To jest ta sama zasada, jaka działa przy edukacji publicznej. Niby stwarzają ci okazję do wykształcenia się i zajęcia wysokiej pozycji społecznej, jednak wysokie pozycje społeczne już są zajęte, więc wszystko zrobione jest tak, abyś nie skorzystał z tej możliwości. Wśród uczniów propagowana jest moda na nieuczenie się, a wykładowcom stwarza się warunki maksymalnie utrudniające przekazanie wiedzy. Ktoś wypełnił obowiązek, a ty nie odniosłeś z tego żadnego pożytku. Masz dostać możliwość, ale masz nie skorzystać z tej możliwości. Rozumiesz? Masz zmarnować swoją szansę.

– Czego mamy się nie nauczyć?

– Ssss... – Quent syknął z bólu. – Nie wiem czego. Posłusznie chodzę na wykłady i uważnie słucham. Mówią ciekawe rzeczy. Najwięcej o sztuce, a sztuka zawsze mnie interesowała.

– Nie jesteś historykiem sztuki?

– Nie wiem.

– Pamiętam jak przez mgłę, że lubiłem malować. Nawet zapach pokostu mi się czasem przypomina, ale nie przypuszczam, że byłem malarzem. Na Honoriusza przyszedłem wbrew rozpisce.

– To zrobiłeś ciężką głupotę. Nie wolno się wychylać. To będzie miało dla ciebie przykre następstwa. Lepiej idź od razu na recepcję po nową rozpiszę.

## **12 O wspólnym śnie czworga osób**

*(Izabela, Ioanneos)*

Obawy Quenta się nie sprawdziły. Po uwadze Ioanneosa recepcjonistka zrobiła bezmyślną minę.

– Zgubił pan swój program zajęć na dzień dzisiejszy?

– Nie. Ale mogły być jakieś zmiany. Proszę sprawdzić.

Pokręciła głową, ale zajrzała do jego przegródki.

– Nic nowego nie ma. Rozpisek się nie zmienia. Sporządzane są według indywidualnego profilu zainteresowań alumena szkoły naukowej lub uczestnika konferencji naukowej. Proszę realizować swój plan.

Według planu wypadła mu godzinna przerwa. W kawiarni zauważył samotną Izabelę. Odtargał kuponik na przysługującą mu kawę i odebrał z okienka tekturowy kubek. Przysiadł się do stolika dziewczyny.

Uśmiechnęła się do niego blado. Dzisiaj wyglądała źle. Niedbale założony turban odsłaniał za wiele bezwłosej skroni, kimonowy dekolt bluzki był za bardzo rozsunięty, a jej odzienie sprawiało wrażenie zmiętego i przybrudzonego.

– Masz ochotę na kawę? – zapytał. Miał jeszcze parę kaw na dzisiaj.

Izabela wpatrywała się w pusty stolik. – Lepiej nie. Bardzo źle się czuję. Już mną dzisiaj trzępało. Wolę być ostrożna.



– Śniłaś mi się dzisiaj.

– To zabawne, bo ty mnie też – ożywiła się.

– Owszem. We śnie przyszedłeś do mojego pokoju.

– A ja w moim śnie wróciłem do mojego pokoju i zastałem ciebie i Eleonorę leżące na dziwnym, podwójnym łóżku.

– Na podwójnym łóżku w twoim pokoju leżały dwie kobiety? W naszym pokoju mamy oddzielne łóżka.

– No rzeczywiście coś było nie tak w moim śnie. To lepiej ty opowiedz swój.

– Cóż, nie robiłeś nic niewłaściwego, chociaż byłeś prawie nagi... – Uśmiechnęła się. – Nie wstyd tak na golasa odwiedzać znajome...? – Próbowала żartować, ale wychodziło to trochę bezradnie. Chciała zrobić na nim jak najlepsze wrażenie, ale w miarę jak ożywiła się wypowiedzią, głowa coraz bardziej przykurczała się do lewego ramienia, opadał lewy kącik ust, a szczęki drętwiały.

Odpowiedział uśmiechem. – Tak ci się przyśniłem...?

– Miałeś na sobie wyłącznie bardzo mocno wykrojone slipy w kształcie liścia figowego z przodu, a z tyłu w ogóle nic więcej. Te slipy były w bardzo pięknym kolorze, jakby fioletowej czerwieni, ale bardzo zimnej, trochę tak pod błękit. Powiedziałeś, że ten piękny kolor nazywa się *caput mortum* i powstał od barwy trupich wydzielin na całunach mumii. To było takie zadziwiające zestawienie, że prawie się wtedy przebudziłam, a już wtedy wiedziałam, że to sen i bardzo nie chciałam się z niego obudzić.

Było za wiele wspólnego w tych snach. Na chwilę zapadło milczenie.

– To mógł być prawdziwy liść figowy.

– Czy ty jesteś naprawdę tak pięknie zbudowany? – powiedziała Izabela i słabo się zarumieniła. – Naprawdę taki zgrabny?

– Szczególnie zgrabny?

– No tak. Masz szerokie ramiona i jednocześnie wąskie biodra, a przy tym nie masz ani nadwagi, ani niepotrzebnych przerostów mięśni. Wygląda to bardzo ładnie.

– Ach, wiesz... Próżnemu mężczyźnie zawsze wydaje się, że jest piętnaście lat młodszy i znacznie przystojniejszy, niż jest naprawdę. Naprawdę mam suchy tyłek. Od siedzenia na drewnianych krzesłach łatwo robią mi się tam pęcherze. To potrafi zmienić pasjonujący wykład w udrękę.

Uśmiechnął się do niej. „Prawdopodobnie widziałaś idealną formę mojego typu urody, może nawet wydałem ci się porcelanowy”, pomyślał, „ale dlaczego tak było, nie potrafię wytłumaczyć”. – Coś jeszcze robiłem w twoim śnie?

– Daj spokój, to były tylko takie chorobliwe rojenia kalekiej dziewczyny... Marzenia dotkniętej chorobą lunatyczną, kulawej brzyduli. Ale to był bardzo piękny sen.

Nie odpowiedział.

– Czy w twoim śnie też byłam taką nieszczęsną, kulawą, jękającą się kaleką?

– Przesadzasz. Twoja niesprawność nie jest tak bardzo widoczna, a w moim śnie byłaś bardzo piękna, posągowo zbudowana. Zdjęto z ciebie brzemię twojej dolegliwości. Wyglądałaś jak żywy posąg z porcelany o biodrach owiniętych wspaniałą, szkarłatną tkaniną, właśnie w kolorze *caput mortum*, który tobie też się przyśnił. Eleonora również tak wyglądała, chociaż biodra miała owinięte fioletem, a krawat też fioletowy. Honoriusz Scholastyk powiedziałby, że obie byłyście w tym śnie jak żywe kamienie.

– Chciałabym, żeby Honoriusz tak mnie nazwał.

„Ona była na wczorajszym wykładzie Honoriusza?”, zastanowił się. „Nie przegapiłbym jej obecności. Nie mogła tam być”.

– Ty w pewnej chwili zmroziłaś mnie wzrokiem i powiedziałaś, że jesteś hrabiną z hrabiów. Zupełnie jakbyś chciała przypomnieć dystans, który powinien dzielić innych ludzi od ciebie.

– Ależ oczywiście, że jestem hrabiną. Hrabinią Altham, ale teraz tylko Zinsendorf. Byłaś kiedyś w Brunej?

– Pamiętam. Tam jest odwrócona studnia, a ofiary stają się czasem prześladowcami. Zwierzyna łowna poluje na swoich myśliwych. Sama mi to opowiadałaś.

– To nie opowieść. Tak jest naprawdę.

– Baśnie i sny bywają czasem częścią rzeczywistości.

– Wiem. Może właśnie dlatego stale mówią na nas obie „Orsini”. Może zresztą dlatego wyznaczono nam wspólną sypialnię.

– Wcześniej w moim śnie badałaś ciało Eleonory na korytarzu ośrodka.

– W moim śnie też ją oglądałam. Eleonora Katuljanka ma guzek w piersi – powiedziała mi Izabela. – Obawia się chemioterapii, o której kiedyś wspomniałaś. Ona nie wie, co to jest.

– Leczy się tym guzy. Łykasz tabletki, wychodzą włosy, ale rak też się cofa.

– Opowiedz jej ze szczegółami, na czym to polega. Będzie się mniej bać.

– Czy ja byłem sam w twoim śnie...?

– Stała za tobą kobieta. Przyszliście razem, ale stale ukrywała się za twoimi ramionami. Ona myśli, że ma nieładne oczy, ale jej ciało jest doskonałością pośród doskonałości, a przez jej spojrzenie mocno bije światło rozumu. Widziałam tylko badawcze, błękitne oczy i ja...sne, spię...te błękitną gumką włosy. – Stan Izabeli się pogarszał. Pojawiły się idące falami drgawki. – Ach, już ten mrok i ten młotek... – Zaczynał się nowy atak. – Przy...trzy...maj mi głowę. Chyba nie wolno mi było wspominać o twojej towarzyszce ze snu.

Ioanneos uchwycił jej trzepoczącą głowę w dłonie, by Izabela nie uderzyła się, zsuwając na podłogę. Kiedy już leżała na parkiecie, delikatnie zacisnął dłonią dekolt jej sukni, żeby przypadkiem nie wysunęła się na wierzch jej lewa pierś.

### **13    *O unikaniu szkód kaleczących***

*(Ioanneos, Rajga, Balduga)*

„Tutaj chyba zawsze trwa noc”, uświadomił sobie Ioanneos. Ilekroć wyglądał przez okno, to albo mrok nocy, albo szare gęste chmury. „Program konferencji jest tak nabity, że wracamy do swoich pokoi dobrze po zmroku. Stale obiecują wycieczkę w okoliczne góry i ciągle ją odwołują, bo pogoda okropna”. Zresztą nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz wspomniano o wycieczce.

Dzisiaj też gwałtowne porywy wiatru niosły z sobą strugi deszczu, które ostro uderzały w parapet. Niebem gnały szarobrunatne kłęby. Chwilami wydawało się, że światła hotelu je lekko rozświetlają, ale było to tylko złudzenie.

Od rana nie był w bibliotece. Otworzą ją dziś jeszcze raz przy kolacji. Może warto zobaczyć Brendę? Nie widział jej na żadnym wykładzie, chociaż wcześniej dosyć często widywał ją na sali. Może miała w rozpisce poranny wykład, który Ioanneos opuścił? Wspomnienie dziwnego snu kiedyś zacznie się zacierać. „Czy zdołam z nią o tym porozmawiać, tak jak rozmawiałem z Izabelą?”

Wchodzenie po schodach sprawiło większą trudność niż zwykle. „Mało ruchu”, pomyślał, łapiąc oddech na schodach. „Tracę formę. Nieruchawy tryb życia, człowiek godzinami siedzi na drewnianym krześle, tylko gnaty bołą, a na tyłku robią się pęcherze”. Ktoś skinął do niego. To

chyba Prosper zbiegał na niższą kondygnację, coś tłumacząc towarzyszącej mu młodej niewieście. „Skóra przetrze mi się na tych gnatach, zupełnie jak Quentowi się przeciera”.

Za biurkiem bibliotekarki dzisiaj siedziała Rajga.

Spojrzał na nią zdziwiony, ale nie odezwał się. Nie chciał, żeby mu zabroniła zajrzeć do *Poradnika dla posągów*.

Rajga podniosła wzrok znad tekstu, ale zanim zdołała się odezwać, Ioanneos przemknął w stronę znajomego regału.

Mimo marnego oświetlenia zaraz zauważył pięknie wykonany grzbiet szukanej książki. Otworzył w środku. Obszerny rozdział *O unikaniu szkód na wolnym powietrzu stojąc* podzielono na podrozdziały zatytułowane *Walka z mchem, glonem a grzybem* czy *Walka z lodem*. Zaczął od pierwszego z nich. Uniósł tom, żeby lepiej widzieć.

*Walka z mchem, glonem a grzybem*

*Zgubnych skutków porastania uniknąć się nie da. Aby je zmniejszyć, zaleca się nieznaczne poruszenia we dni słoneczne, co suszy skraje obszaru zagrożonego i sam ten obszar ogranicza. Gdy uda się go pomniejszyć poniżej nieznanej granicy, mech sam odchodzi, żółknąc i marniejąc, a grzyb zielony czyni się twardy, sztywny, w niczym od martwego nieodróżniany.*

Urwał, bo Rajga stała nad nim.

– Nie ma wiele czasu. Zamykam na zajęcia – powiedziała.

– Dobrze, już kończę – odrzekł i wrócił do czytania. Wyczuł, że choć kobieta jest uczestniczką, to jednak w jakimś stopniu liczy się z nim, czy może nawet darzy czymś w rodzaju szacunku. Taka relacja do alumena zadziwiła u uczestniczki.

Rajga pokręciła się chwilę w pobliżu, ale nic więcej nie powiedziała i wróciła do swojego biurka.

Ioanneos czytał dalej. Kolejny podrozdział zatytułowano *Walka z lodem*.

*Walka z lodem musi być prowadzona w zależności od kształtu. Powszechnych reguł tu nie ma. Każdy musi dobrze poznać swoją postać, każdy detal swej pozy. Wykryć wszelkie zagłębienia, gdzie podstępna woda gromadzić się może. Niektórzy miejsc takich wcale nie*

*mają, i ci nie zrozumieją dramatu walki pozostałych. Jednak niech tylko włosy twe wyrzeźbione zostaną z nadmierną urodą, pomiędzy nimi powstanie rozmaitość pułapek dla zdradzieckich kropel, co z wiekami zniszczy urodę twej fryzury i staniesz się nędzniejszy niżli wyrzeźbieni z mniejszym kunsztem. Podobnie rzecz się dzieje z fałdami udrapowanej szaty, której uroda przeminie, pozostawiając cię szpetniejszym, niż gdybyś wyrzeźbiony został bez szaty wcale. A takim wiele lepiej nie jest. Szczególnie mężczyznom, dla których obecność lub nieobecność liścia figowego znaczenia wielkiego nie ma, bo prędzej czy później kończy się zniszczeniem wyznaczników płci. Nic nie pomogą tu nawet znaczne poruszenia posągu, chwili okaleczenia nie oddalą, a wręcz przeciwnie, bo dodatkowo przyniosą kruszenie się materii, z której postać uczyniono.*

Dziwny dystans, jaki wobec niego okazywała Rajga, ośmielił. Wychodząc, Ioanneos odważył się do niej zagadać.

– Dlaczego dzisiaj nie ma Brendy? – zapytał. – Przecież ona jest bibliotekarką, prawda? Pani ją zastępuje?

Rajga uniosła głowę, mrużąc oczy olśnione bielą papieru. Skrzywiła usta w dziwny grymas, który miał być uśmiechem, a tylko brzydko pomarszczył jej twarz i ujawnił nieładną diastemę między krzywymi siekaczami.

– Uczestniczka Rajga ma prawo aktywnie wspomagać działanie biblioteki! – usłyszał charakterystyczny ton głosu. Zza regału wyłoniła się przykra postać uczestniczki Baldugi. Jej głos mroził. Ioanneos zamarł w bezruchu. Była nieoczekiwanie blisko, oświetlona blaskiem padającym z okna.

Balduga starzała się, rzędzące włosy przedzielały pasemka siwizny, a wokół oczu rysowały się stałe zmarszczki, zaznaczające zarys oczodołu. Jednakże ani siły głosu nie traciła, ani jej uciążliwość nie słabła. Na ogół udawało się ją omijać, z wyjątkiem obowiązkowej godziny integracyjnej.

Trzeba szybko odgadnąć jej nieznanne oczekiwania. Czy lepiej milczeć, czy lepiej się odezwać? Zaraz rozegra się bitwa słowna, w której powinna odnieść zwycięstwo. Jeśli uzna inaczej, dopadnie potem i będzie tak długo się pastwić, aż nie poczuje się zaspokojona poczuciem należytego triumfu. Ostatnio udało się jej skutecznie unikać i odwykł od tego. Teraz nadział się na nią przypadkiem.

– Wykonałeś zadane polecenia?! – natychmiast zaatakowała.

– Polecenia...? – od razu się pogubił. – Mapa?

Obiema rękoma wykonała gest jakby otwierania niewidocznych kart. – Właśnie, mapa. Mapa wszystkiego.

– Nie znalazłem...

– Nie szukałeś! Zamiast tego studiujesz jakieś fantazje, niezrozumiały poradnik.

Milczał. „Jak znaleźć właściwe słowa, które to przerwą”.

Balduga patrzyła na niego z napięciem, ale też się nie odzywała. Rysy jej twarzy powoli rozświetlał zły uśmiech. Już myślała o czym innym.

Skorzystał z chwili ciszy, w milczeniu skłonił się na pożegnanie i coś wybąkał, a następnie wolno odwrócił się i skierował do wyjścia.

– Kaina to bardzo interesujące miejsce. Można tam spędzić wiele czasu. – Wychodząc, usłyszał słowa Baldugi.

– Nigdy tam nie byłam – odpowiedziała Rajga. – Warto się tam specjalnie wybrać?

– Pewnie. W Kainie można znaleźć sporo fajnych ubrań. To, co mam na sobie, całą duszą nienawidziło własnej matki. Popatrz, jak dobrze leży na mnie.

„Ależ one poważnie traktują modę”, pomyślał, „śmiertelnie poważnie”.

Skoro panie rozpoczęły miłą pogawędkę o ciuchach, Ioanneos się wycofał. Najciszej jak potrafił, zamknął drzwi do biblioteki.

## **14 O rozkładaniu się**

*(Ioanneos o Baldudze, Vac Tayrita o Izabeli)*

Usłyszał pikanie budzika. Otworzył oczy. Z mroku ledwie wylaniał się sufit jego pokoju. Gdy rozjaśni się bardziej, ujawni się zszarzała biel dawnego malowania i stare potargane pajęczyny w kątach. Odniósł wrażenie, że zamknął oczy dopiero przed momentem, patrząc na ten sam sufit.

Żałował, że cudowny realistyczny sen znowu nie nadszedł. Tęsknił za barwnymi wizjami. Tak różniły się od przybladłej rzeczywistości ośrodka. Nie mógł przypomnieć sobie czegokolwiek, jakichkolwiek rojeń, marzeń, słów. Było tak, jakby zamknął drzwi swoich powiek

i zaraz je otworzył. Obraz na zewnątrz się nie zmienił. Żadnych wizji, barw, pięknych kobiet, dziwnych wydarzeń.

„Wystarczyło parę zdań zamienionych z Baldugą i koniec”, pomyślał. „Wszelka myśl została zduszona, fantazja zabita. Ależ ta uczestniczka dławi duszę...” Przetarł dłonią twarz. Czas ucieka, trzeba się zbierać. „Ona robi bardzo niewiele, ale każda rozmowa z nią zostawia w tej części mózgu, gdzie rodzą się pomysły, szarą płaską powierzchnię. Wystarcza parę zdań wypowiedzianych charakterystycznym tonem, a zniszczenia wyobraźni trwają godzinami, a nawet dniami”.

„Kim właściwie jest ta kobieta?”, podłożył ręce pod głowę. „Wszyscy boją się jej jak ognia”. Status Baldugi był niejasny. Wydawało się, że jej uprawnienia są większe niż innych uczestników. Było to szczególnie widoczne, kiedy porównać ją z Rajgą. Niektóre osoby nigdy nie były wywoływane na forum do obowiązkowej dyskusji, nikt nie wymagał od nich publicznych wynurzeń czy autoanaliz, i ona należała do takich osób. Prowadziła rozmowy integracyjne z nim, z Izabelą, Quentem czy z Prosperem, lecz sama nigdy nie była pouczana. Choć wydawało mu się, że nawet niektórych uczestników wywoływano do godzin integracyjnych. Oczywiście nie było to całkiem pewne. Ioanneos obracał się w dość zamkniętym kręgu lubianych osób, które stanowiły akurat grupkę alumenów podlegającą uczestnicze Baldudze. Niewykluczone, że w innym zespole to z nią ktoś prowadził rozmowy integracyjne. Przecież Rita pełniła dwie funkcje: była zarówno bibliotekarką w ośrodku, jak i słuchaczką wykładów.

Balduga stanowiła zagadkę. Czy rzeczywiście była kimś więcej niż reszta uczestników, czy tylko to udawała, a niepowtarzalne cechy charakteru czyniły ją tak przykrą w obejściu i uciążliwą dla innych? Może po prostu naśladowała sposób bycia, a nawet brzmienie głosu *nutritores*, bo despotyczna władza tak bardzo podobała się jej mrocznej naturze?

Cokolwiek stanowiło przyczynę, unikano Baldugi, jeśli to tylko było możliwe. Nawet kiedy tylko przechodziło się w jej pobliżu, nie było pewności, czy cię nie dopadnie. Jakby jej słowa stale czały się do skoku. Kto mógł, znikał z jej pobliża, słuchać jej zaś musiały tylko pochwycone ofiary. I choć omijać ją można było nawet całkiem sprawnie, to jednak godzina integracyjna była nieuniknionym obowiązkiem.

Ioanneos obejrzał dzisiejszą rozpiskę. Na początku widniało „Uczestnik-nutritor: Vac Tayrita”. Nie zaznaczono tematu, a jedynie to, że wykład miał się odbyć w sali na najniższym

poziomie. Ioanneos nie lubił tamtych pomieszczeń: słabe oświetlenie, duszno, nieznane, nieprzyjemne, często rozwrzeszczane audytorium.

Sala wypełniła się dość szybko. Ioanneos rozglądał się, ale poza Rajgą, siedzącą w pierwszym rzędzie, na sali nie dostrzegł znajomych twarzy. Otworło się dolne wejście dla wykładowców i pojawił się niewysoki, mocno siwiejący brunet, w dżinsach wypuczonych na kolanach i przyciasnej flanelowej koszuli w kratę. Koszula rozsuwała się na jego wydatnym brzuchu, jedynie guziki trzymały ją na miejscu. Chudy profesor Snijders wyglądał w podobnym stroju stosownie, jednak Tayrita sprawiał wrażenie rozpasanego niechluj.

Uczestnik najpierw wygłosił parę słów zachęty. Zapowiedział, że jako opiekun naukowej działalności alumenów do wszystkich na sali będzie się zwracał na „ty”, bo przecież zna i troszczy się o wszystkich.

– Zgredy pielęgnują dystans, by przekazywać mniej wiedzy – powiedział. – Chcą swoje umiejętności zazdrośnie ukrywać przed alumenami. Nauka należy do nas, młodych, a starzy powinni się z niej wycofywać.

Ioanneos pamiętał *nutritores* młodszych od Tayrity, więc chodziło raczej o to, że tylko Tayrita w sposób prawdziwy i szczerzy utożsamia się ze studentami, a właściwie, mimo wieku, siwizny i otyłości, jest jednym z nich.

Faktycznie na tej sali były osoby w bardzo różnym wieku, sporo wyglądało na wykładowców, choćby z racji siwizny. Wielu wydawało się starszych od Tayrity, ale nikt nie zaprotestował.

Wykładowca rozpoczął prezentację od obrazu przedstawiającego człowieka nad przepaścią.

– No! – zwrócił się do sali. – Właśnie widzicie!

„Co widzimy?”, pomyślał Ioanneos.

Ktoś odważniejszy z pierwszego rzędu spytał, co powinni ujrzeć.

– Zagrożenie! – spojrzał groźnie referent i zmienił przeźrocze. Ukazała się półka pełna słoik z przetworami owocowymi. Były to głównie starego typu weki, gdzie uszczelnienie pokrywy uzyskiwano przez dociśnięcie pod nią gumowego pierścienia.

Referent energicznym krokiem przemierzył salę w poprzek i z powrotem.

– Człowiek dawno przestał być *homo sapiens*! – zagrział Vac Tayrita. Na nowej transparencji widniały przetwory owocowe w słoikach o zakręcanych pokrywach.

Znów przebiegł w poprzek sali. Głowy słuchaczy pobiegły za nim jak za piłką tenisową.



– To jeszcze dało się wytrzymać! Ale teraz to już nie jest *homo sapiens*, ale *homo marinus*!  
– znowu krzyczał Tayrita. – Dawne przetwory, które robiły nasze babcie, były zdrowe, ale nietrwale.

„O czym on mówi? Gdzie ja trafiłem?”, zdumiał się Ioanneos. „Do czego to ma prowadzić? Najważniejsza konferencja historyków sztuki, a zakwalifikowali taki wykład...?”

– Najlepsze przetwory były w szklanych słojach, weki, bo gumę można było niezależnie umyć.

Na ekranie ukazała się rzeźba nagiej kobiety, która przyklęła w pozie Atlasa i dźwigała rzeźbę globu ziemskiego. Dzieło było dwudziestowieczne lub nieco młodsze, bo kontury kontynentów zaznaczono przesadnie głęboko, a na dodatek ich przebieg został karykaturalnie uproszczony, kobietę zaś, która zachowała powabny, posągowy kształt, odrobiono ze słabo powiązanych płatów zardzewiałej blachy. Zgodnie z ówczesną modą wyszło szorstko i topornie, bez dbałości o detal, a kończyny, piersi czy twarz brutalnie zdeformowano.

– Oto wasza babcia. Trzymała świat na swoich ramionach.

Niemal wszystkie słowa referent wykrzykiwał. Wyrzucał z siebie fragmenty myśli, urywał zdania, a ich reszta pozostawała w otchłaniach jego umysłu.

„Z czym to się w ogóle wiąże?”, myślał Ioanneos, zagubiony w gwałtowności tego wybuchu. Najtrudniej było zrozumieć, po co referent akurat o tym właśnie mówi. Cel pozostawał nieznanym, jak temat jego wykładu.

– Wasza babcia niosła na swoich ramionach cały glob ziemski, ponieważ sama robiła przetwory. Sama umiała je konserwować, gotować kompoty i robić pikle. Wy tego już nie umiecie.

Na sali rozległy się śmiechy. Dopiero teraz, bo w porównaniu z wykładem Honoriusza Scholastyka wykładu Tayrity słuchano z nabożeństwem.

– Naturalne przetwory się rozkładały. Człowiek ma się szybko rozkładać, by w porę uwolnić od siebie środowisko. *Homo marinus* przesiąka substancjami trwale konserwującymi. To sztuczne środki, wymyślone, nienaturalne. Nie rozłoży się szybko. Będzie swoją obecnością dłużej obrażał naturę.

„Kogo człowiek obraża swoją obecnością...?”, pomyślał Ioanneos. „Czy człowiek obraża kogoś swoją obecnością?”

Vac Tayrita rozejrzał się groźnie po sali, ale nikt nie podjął jego myśli.

– Kto jeszcze umie robić przetwory? – zawołał. – Ręka do góry!

Uniosło się parę ramion.

– No! To może się prawidłowo rozłożyć! – rzucił.

Sala odpowiedziała mu wybuchem śmiechu. Zabrzmiało parę pojedynczych oklasków. W pierwszym rzędzie brawo biła Rajga.

– Bo niektórzy chcieliby trwać na zawsze... Nie wystarcza im ich piękno za życia. – Tayrita nagle charakterystycznie przechylił głowę ku lewemu ramieniu i zaczął się trząść, jakby przechodziły go drgawki. – Zachciewa się swoje kruche piękno zachować, do końca czasów jak posąg wyglądać, he, he, he...? Dosyć, dosyć! Starczy tego piękna, choćby naznaczonego chorobą! Rozpaść się w pył, przepaść trzeba!

Sala znowu zawtórowała mu śmiechem.

„On naśmiewa się z Izabeli”, pomyślał Ioanneos. „Cały jego wykład miał na celu wyśmianie Izabeli? Dobrze, że nie musiała tego wszystkiego słuchać”.

– I drugie pytanie: kto jest za poligamią?

Dwie osoby uniosły ramiona.

– Więcej! Więcej! – Tayrita rozejrzał się krytycznie po sali. – Wszyscy są! – wypalił triumfalnie. – Za poligamią są wszyscy, tak jak nikt nie umie robić przetworów. Proszę!

Znowu nerwowo przeszedł z jednej strony sali na drugą.

– A kto jest przeciw poligamii?

Ioanneos jako jedyny uniosł rękę. Nie chciał włączać się do takiej dyskusji, ale rozgniewało go naśmiewanie się z Izabeli.

– O proszę, ten od struktur jest przeciw poligamii – skwitował referent, a sala znów wypełniła się śmiechem.

„Struktur, jakich struktur?”, zakłatało Ioanneosowi w głowie.

– Ależ tak, buduje struktury, buduje! – grzmiał Vac Tayrita. – Jednej głowę podtrzymuje, innej krawat chwyta, a jeszcze innej plecaczek by nosił, z jednym sobie stale żartuje na wykładach, od innego kartki bierze. Wszystko widzimy! Struktury mu się zachciewa, powiązań, a tutaj za poligamią być trzeba! – Rozejrzał się po sali. – Mam rację?! No mam rację?!

Odpowiedział mu wybuch entuzjazmu słuchaczy, jednak nikt nie odwracał się w stronę Ioanneosa, jakby nie wiedzieli, o kogo chodzi. Tylko jedna Rajga odwróciła się w pierwszej

ławce i wlepiła w niego wzrok. Z półotwartych ust wysunęły się jej długie i krzywe górne siekacze.

– Wy już jesteście *homo marinatus*, nie *homo sapiens* – wykrzyknął referent. – Może ten od struktury nie jest jeszcze *homo marinatus*!

Sala znowu wybuchnęła śmiechem. Atmosfera wiecu szybko udzielała się wszystkim. Jednak słuchacze najwyraźniej nie rozumieli słów Tayrity, a jedynie wyrażali entuzjastyczną zgodę, by się przed nim wykazać. Ioanneos zaczął zastanawiać się nad słowami wykładowcy, by mieć ułożoną wypowiedź, kiedy zostanie wyrwany pytaniem.

Twierdzenie referenta zadziwiało. Zbyt ogólne stwierdzenia zawsze budzą wątpliwość, czy to diament myśli, czy tylko błyskotka, świecidełko rzucone ludożercom. „Takie pytania należy stawiać inaczej. Samotnych, zakompleksionych mężczyzn należy zapytać, czy kobiety powinny się im obowiązkowo oddawać.

Tu zawsze odpowiedzią będzie »tak«, bo mężczyźni, którzy nie potrafią zdobyć kobiety, chcą się dowartościować, popisać przed rówieśnikami. Żonatych można spytać, czy powinni mieć prawo do zdradzania swojej żony, bo wielu z nich albo chciałoby zmienić swoje życie, albo zemścić się na żonie. Ale na pytanie: »czy każdy jest za poligamią«, odpowiedź »tak« jest bardzo wątpliwa. Najprościej spytać kolegę muzułmanina. Im wolno, ale prawie żaden z tego prawa nie korzysta. Wystarczy, że żona rządzi, ale jeśli wszystkie naraz zechcą rządzić? Albo jeśli wszystkie naraz zechcą pojechać na zakupy, ale każda do innego supermarketu? Albo jeśli wszystkie naraz zaczną narzekać, że za mało zarabiasz? Z jedną żoną jest dosyć kłopotów, po co je jeszcze multiplikować?»

Ioanneos ułożył sobie już odpowiedź na wyimaginowane pytanie, ale wykładowca zmienił temat i wyśmiewał się z innych, nieznanym mu osób.

„Co to w ogóle było?“, pomyślał, składając notatnik po wykładzie. „Co to miało przekazać?“ Do tematu konferencji nawiązywał zaledwie posąg babci, wykonany zresztą z kawałków topornie pospawanej, zardzewiałej blachy. Ioanneos nie pamiętał czegoś podobnego. Ten wykładowca nie miał nic do przekazania, trochę małych grymasów, marne żarty, niepowiązane ze sobą przeżrocza, kpiny z różnych osób. Ioanneos nie pamiętał innych równie bezwartościowych wykładów na tej konferencji. Ten był pierwszy.

Wychodząc, zerknął na kartkę z dzisiejszą rozpiską.

„Uczestnik-nutritor: Vac Tayrita”, przeczytał raz jeszcze. „Karmiciel?”, prychnął do siebie. „Raczej truciciel, albo głodziciel”.

## **15 Wyraźne oznaki dziwności sytuacji**

*(Ioanneos, recepcjonistka)*

Akurat przestało padać, kłęby mgły jakby przyśpieszyły w swej drodze po nieboskłonie. Można by teraz wyjść przed budynek, chociaż się przespacerować po wykładanych kostką chodniczkach. Ioanneos dobrze wiedział, gdzie są drzwi wyjściowe. Na dole, na placyku stał rząd zaparkowanych samochodów nutritorów, uczestników i alumenów. Jeden z nich należał do niego samego. „Krótki ten rządek, a samych wykładowców są tutaj chyba setki”, pomyślał. „Na pewno reszta parkuje na innych placykach”.

Nagle zapragnął wsiąść za kierownicę i pojechać przed siebie, wyrwać się z tego miejsca, odpocząć od uciążliwych zajęć, chociaż na godzinę, dwie. „Właściwie które z nich to moje auto?”, zastanowił się. Pamiętał przecież, że tutaj przyjechał, że zaparkował, ale teraz wszystkie samochody wydawały się identyczne – wszystkie srebrne, średniej wielkości.

„Trzeba zejść na dół i rozstrzygnąć na miejscu, który jest mój”. W szafce w pokoju znalazł kluczyk.

Recepcjonistka rzuciła mu zdziwione spojrzenie, kiedy mocował się z wielkimi obrotowymi drzwiami.

– Dzisiaj nie wydajemy kluczyków do samochodów. Kluczyki zostały oddane do konserwacji – powiedziała recepcjonistka.

– Co?

– Za często pada i powierzchnia pokrywa się niewidoczną warstwą rdzy blokującą czytnik magnetyczny.

– Mam swój.

– Proszę pokazać. Na pewno nie jest od samochodu.

Wyjął kluczyk z kieszeni. Faktycznie nie wyglądał on na kluczyk od samochodu.

– Ależ to jest klucz od pańskiego sejfu. Jest w ścianie, za szafką w pańskim pokoju.

– Nie mam nic wartościowego do przechowywania.

– A książki z biblioteki? – Zdumiona recepcjonistka uniosła brwi. – Gdzie pan przechowuje wypożyczone książki? Korzysta pan przecież z biblioteki.

Z biblioteki korzystał, ale przecież stamtąd nie pozwalają nic wynieść. „Może zajrzeć do biblioteki, zobaczyć Brendę?”, pomyślał. Jednak głód zwyciężył.

Gdy odbierał klucz od pokoju, recepcjonistka potarła nos palcem.

– Jest informacja dla pana.

– Jaka informacja? Od kogo?

– Nie wiem. Nie moja sprawa, ale podobno złożył pan podanie, żeby powiedzieć wykład światopoglądowy. Wie pan, ontologia, eschatologia... te sprawy. Chciał pan podzielić się swoimi doświadczeniami z innymi *alumenes*. – Uśmiechnęła się.

Ioanneos nie przypominał sobie, żeby prosił o coś takiego. Może przyszło mu na myśl w czasie wykładu frustrata naukowego, Vaca Tayrity, że sam przekazałby słuchaczom trafniejsze spostrzeżenia, ale z największą pewnością nikomu o tej sprawie nie wspominał.

Recepcjonistka krzątała się przy szafie z przegródkami. Niby drobna, ładna blondynka, ale coś w jej sylwetce szwankowało. Była w bardzo długim granatowym żakiecie i granatowej spódnicy. Może właśnie to zniekształcało tak bardzo proporcje jej ciała. Zgrabne, szczupłe łydki musiały przechodzić w nadzwyczaj krótkie uda i nadmiernie szerokie biodra. Wyżej jej sylwetka znowu była bezbłędna: proporcjonalnie zarysowane pod żakietem piersi i proste, wąskie plecy.

– O, tutaj jest list z odpowiedzią na pańskie podanie. – Wreszcie znalazła właściwą kopertę i podała Ioanneosowi.

Ten rozerwał palcem szary papier. Pismo było bez daty i bez autora w nagłówku, tekst wystukany archaiczną, nierówną czcionką. „Ręczna maszyna do pisania?”, pomyślał. Na szczycie kartki był jedynie znak graficzny w formie prostokąta podzielonego poziomymi i pionowymi liniami na mniejsze pola. W górę prostokąta małych pól było coraz mniej, chociaż jednocześnie wydawało się, że ich rozmiar się nie zmienia. „Tak być nie może... To prostokąt”, spojrzał dokładniej. Uważniejsza obserwacja pokazała, że coraz wyższe prostokąty stawały się coraz dłuższe, chociaż wystarczyła chwila zapomnienia i złudzenie optyczne wracało, a prostokąty znowu wydawały się jednakowe.

*W odpowiedzi na pańskie podanie informujemy, że nie powinien pan w najbliższym czasie mówić wykładu filozoficznego. W przeciwieństwie do wykładów filozoficznych to wykłady*

*poświęcone strukturze budzą ożywione zainteresowanie alumenes i powinny być kontynuowane. Jednocześnie przepraszamy, że odpowiedź przyszła z opóźnieniem. Ponadto z ubolewaniem stwierdzamy, że trzy dni temu minął trzydziestodniowy termin na odwołanie od naszej decyzji. Należy więc w najbliższym czasie powstrzymać się od wszelkich wypowiedzi na temat ontologii i eschatologii, zarówno do innych alumenes, uczestników, jak i do nutritores.*

*Podpisane: Vac Tayrita, nutritor, Balduga, uczestniczka*

Podpisy nabazgrano twardo, wyglądały jak wydrapane w papierze. Atrament nie nadążył za piórem we wszystkich miejscach kreślonej linii i zostały tylko białe rysy, jak rany zadane kartce. Nienawiść Baldugi przelewała się na każdą linię podpisu.

– No, to już jest oczywiste? – Recepcjonistka kręciła się nerwowo.

– Nie uzasadnili, dlaczego odrzucają jedno, a nakazują co innego...?

– Jest kłopot z rzutnikami i z tablicami. Żarówki przepalają się za często, a mechanizmy tablic się zacinają. Sala by się jeszcze znalazła. Jest teraz sporo wolnych pomieszczeń. Alumenów chyba jest nieco mniej.

– Ale ja pojęcia nie mam, o czym mam mówić. Nie znam się na tym.

– Wszelkie materiały zostaną w porę przekazane. Będzie czas, żeby się nauczyć prezentacji i oswoić z przeźrocami.

– A gdzie mam pobrać materiały?

– Tutaj. Na następnej zmianie.

– A kiedy będę mówił ten wykład?

– W najbliższym czasie.

## **16 Próba teatryku amatorskiego i brak łazienki**

*(Ioanneos, Prosper, Rajga)*

W rozpisce nie przewidziano dla niego żadnych wykładów na dzisiejsze popołudnie. Widać miał pracować nad swoim wystąpieniem. Problem był tylko taki, że nadal nie wiedział, o czym będzie mówił. W piśmie jednoznacznie zaznaczono, o czym mówić nie powinien, oraz

zamieszczono sformułowanie „struktury”, ale nic ponadto. Ioanneos spodziewał się, że wgląd do materiałów naprowadzi go na temat własnego wystąpienia.

Snuł się bez celu po korytarzach ośrodka, które gwarem napelniały się tylko w przerwach między wykładami. Wystawiano wtedy na korytarzach termosy z dodatkową kawą, którą można było pić bez oddawania codziennych kuponów. W niektórych termosach pozostało jeszcze trochę płynu, ale ile kawy można wypić jedną po drugiej? Od suchych ciasteczek już go aż mdliło. Zdenerwowanie nie pozwoliło drzemać w fotelu na korytarzu, a w kafejce, gdzie *alumenes* relaksowali się w przerwach między wykładami, nie działo się wiele. Połaził po korytarzach, potem znowu przysiadł. Żaden pomysł na jutrzejszy wykład się nie pojawiał.

Nie zamierzał wchodzić na wykład bez rozpiski, zresztą nie wiedział, na który warto. Można przecież trafić na wynurzenia osobnika w typie Vaca Tayrity i godzina stracona.

Wkrótce uświadomił sobie, że mimo trwania wykładów korytarze nie są całkiem puste. Nieoczekiwanie przeszły jakieś osoby. Niby nie powinno to dziwić, jednak po tej dwójce zaraz pojawiła się grupka trzech osób z Baldugą, wreszcie znów dwie osoby, a za nimi uczestniczka Rajga. „Nie siedzą na zajęciach?”

Nieznajomi zgodnie przeszli korytarzem, jedni w tę, inni w przeciwną stronę. W ostatniej chwili Ioanneos odwrócił głowę do ściany, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego z Baldugą, która pędziła przed sobą tamte trzy osoby, ale i tak po skórze przeszły ciarki. Wszyscy pośpieszyli w stronę schodów, a potem na niższy poziom. „Uczestniczki wyłapują uciekinierów z wykładów?”, pomyślał.

Z dołu, z niższych poziomów, dochodziły tajemnicze hałasy. Postanowił odkryć ich przyczynę. Zszedł po schodach poziom niżej. Tu było jeszcze więcej ludzi.

Minął go ktoś idący tyłem. Mężczyzna szedł ostrożnie, chyłkiem rozglądał się na boki, ale radził sobie całkiem nieźle. Ioanneos ustąpił mu z drogi.

– Pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt dziewięć... – obcy, mrużąc pod nosem, liczył kroki.

„Jeszcze ma sporo do końca, ale na razie idzie mu nieźle”, pomyślał Ioanneos.

W drugiej części korytarza dwie osoby dźwigały masywną dekorację teatralną, przedstawiającą kubraki z rękawami rozłożonymi na boki. Kobieta dźwigała wykonany z desek i pomalowany na szaro model zakietu, mężczyzna obszerny kubrak, też pomalowany na ołowiany kolor. Trudno było to nieść, bo nieforemne figury co chwilę zawadzały o ściany. Ioanneos podskoczył, by pomóc kobiecie, która męczyła się z wielką ramą.

– Nie przeszkadzaj! – ofuknęła go, sapiąc z wysiłku. – Muszę się sama w tym wyćwiczyć. Radzę sobie coraz lepiej.

Zszedł na niższy poziom. Tu było jeszcze ciekawiej. Jacyś nieznani ludzie chodzili tam i z powrotem, rytmicznie postukując drewnianymi chodakami. Zawsze na spotkanie jednej osobie z naprzeciwka wychodziła inna. Wyglądało to bardzo malowniczo. Coś jak dziwny, milczący taniec czy pantomima. „Chyba mają małe kamyki zamocowane w obcasach, bo drewno wydaje inny dźwięk, uderzając o parkiet”, pomyślał.

Dla odmiany dalej w korytarzu kilka osób wisiało na linach zamocowanych do haków sterczących z sufitu. Nigdy dotąd Ioanneos nie zwrócił uwagi na te haki, rozmieszczone równomiernie co parę metrów. Podtrzymujące pasy nie wiążyły jednak zawieszonym stóp, które zachowały mobilność. Osoby te rytmicznie poruszały stopami, jednocześnie wyginając ich palce we wszystkie strony.

– A co wy tutaj robicie? – spytał ubawiony Ioanneos.

Odpowiedziały serie machnięć stóp i skoordynowanych ruchów palców.

– Co to ma być? – Uśmiechnął się do nich.

Zawieszeni dalej machali nogami, patrząc na niego. W ich spojrzeniach malował się wysiłek. Ioanneos uważnie przyjrzał się ruchom palców.

– Nic z tego. Staram się, ale nie potrafię zrozumieć waszej pantomimy – powiedział.

Wiszący do góry nogami mężczyzna z wysiłku poczerwieniał na twarzy. – Taa... – mruknął.

– Cholernie trudno rozmawiać nogami. Słuchacz musiałby najpierw zrozumieć znaczenie pojedynczego ruchu każdego palca. Sprawa nie do wykonania...

W głębi korytarza Ioanneos zauważył Prospera. Ktoś mierzył w niego sporą dmuchawą, owiewając go strumieniem gorącego powietrza. Prosper zasłaniał oczy przed żarem, ale starał się jak najbardziej zbliżyć do dmuchawy. – Pod wiatr, pod wiatr! – krzyczał. – Ale mi się udało! To nie jest aż takie trudne, chociaż wieje mocno jak cholera! Aż parzy w twarz. Jeszcze gorzej będzie, kiedy struga gorąca pójdzie na gołe ciało.

– Co tutaj robicie? – spytał Ioanneos, wykorzystując chwilę przerwy, gdy Prosper umknął sprzed dmuchawy.

– Zapisalem się do teatrzyku amatorskiego. Mamy próbę przedstawienia – wyjaśnił Prosper.

– Teraz jest okazja, kiedy wszyscy inni siedzą na wykładach. Korytarze są wolne. W ośrodku nie ma specjalnej sali, więc ćwiczyć musimy na korytarzach.



– Ioanneos, możesz się przyglądać, ale nie przeszkadzaj – powiedział trzymający dmuchawę wysoki, szczupły, wygolony na łyso brunet. Na jego potylicy i ciemieniu zaznaczał się czarny odrost. – Jak ci się spodoba, możesz dołączyć do naszego zespołu, ale na razie odejdz na bok.

– Uczestnik Vargal kieruje naszym przedstawieniem – powiedział Prosper. – Może cię dopisać do naszego teatryku, prawda?

– Oczywiście. – Vargal skinął głową.

– Ale teraz musimy się śpieszyć. Trzeba skończyć próbę przed przerwą w wykładach – dodał Prosper.

– Jaką sztukę wystawiacie?

– Na razie to tajemnica. Ja jeszcze nie znam całego jej tekstu. Włączysz się do zespołu, to dowiesz się więcej. Mamy całą inscenizację rozpisaną na poszczególne sceny.

Ioanneos poszedł dalej, by im nie przeszkadzać. Zbyt frapowały go własne problemy, o czym ma powiedzieć na prezentacji.

– Spróbuj namówić Eleonorę do naszego występu! – zawołał za nim uczestnik Vargal. – Można by ją powiesić pod sufitem za jej krawat. Gdyby wisiała głową do góry, wolno by jej było normalnie mówić, a nie stopami! – Vargal roześmiał się głośno ze swojego dowcipu i włączył dmuchawę na wyższy bieg.

Ioanneos nie zrozumiał tego żartu.

Na jeszcze niższym poziomie kilka osób tarzało się po posadzce. Po kilku węzowych skrętach podnosili się oni parami z ziemi i splatali, tworząc jakby postać ludzką podwójnej grubości. Uformowany twór wykonywał kilka kroków, po czym aktorzy starali się znowu sprowadzić go na posadzkę, rozpleść, rozplywając się w węże.

– Bolge siedem! Bolge siedem! – co jakiś czas wykrzykiwali aktorzy.

– Co to będzie? – spytał Ioanneos.

– Przemiana – odpowiedziała zasapana dziewczyna. – Odwracalna przemiana człowieka w węża i z powrotem.

– No nie przerywaj ćwiczenia – pogoniła ją partnerka.

– Bardzo sugestywnie to wam wychodzi – pochwalił Ioanneos.

– Wiem, ale przeszkadzasz. Chcę, żeby wyszło naprawdę dobrze.

Podobnie jak tamci z wyższego piętra, kilka osób ćwiczyło chodzenie tyłem, jednak ci tutaj mieli przyklejone taśmą do twarzy przezroczyste, plastikowe rurki. Chodząc tyłem, unosili do

góry głowy, a następnie z rurek wystrzykiwali porcje cieczy. Nie przeszkadzało im, że małe fontanny moczyły odzież.

– Bolge cztery! Bolge cztery! – wykrzykiwali.

„Ależ inscenizacja, co za pomysły”, podziwiał ich Ioanneos.

– Podoba ci się? – zapytała uczestniczka Rajga, która cicho podeszła do niego z tyłu.

– Po co sikają tą wodą?

– W czasie przedstawienia łzy mają padać im na pośladki. Oni ćwiczą taką sztuczkę. To niełatwe.

– No pewnie. – Ioanneos pokiwał głową z podziwem. – Bardzo mi się podoba.

„Najciekawsze rzeczy dzieją się na korytarzach”, pomyślał. „W ośrodku życie kwitnie pomimo wykładów, a nie na nich”.

Dopiero wieczorem recepcjonistka powiadomiła go, że powinien zgłosić się do biblioteki po materiały do swojego wykładu, który miał odbyć się następnego dnia. W ostatniej chwili zdążył je obejrzeć, bo pora kolacji się kończyła i bibliotekę już zamykano. Tekstu żadnego nie było, tylko zestaw rysunków przedstawiających po kilka figur w różnych konfiguracjach, to kółek, to prostokątów, niezbyt poprawnie wykonanych, jakby z jakiejś plastycznej masy, i dziwnie połączonych ze sobą. Rajga, która znowu siedziała za biurkiem bibliotecznym, pozwoliła mu dodatkowo obejrzeć przezroczną. Przedstawiały podobne zestawy figur, jak te zawarte w materiałach. Uporządkowano je już do pokazu, żadnych opisów na nich nie było.

– Podpisy zostaną sporządzone na jutro – odpowiedziała Rajga, gdy zaprotestował. – Zgłosił pan swój wykład tak późno, że nie zdążyliśmy wykonać podpisów.

„Niczego nie zgłaszałem”, pomyślał, ale nie odezwał się.

– Staramy się dobrze przygotowywać występy wszystkich referentów. – Rajga zrozumiała jego milczenie jako przyganę. – Poważnie traktujemy obowiązki uczestnika.

Przeliczyła strona po stronie materiały dla sprawdzenia, czy nie brakuje jakiejś kartki. Żadnych materiałów nie wolno było wziąć ze sobą. Musiał skorzystać z nich na miejscu.

– Muszę już zamykać. – Pogoniła go do wyjścia.

Wracał bardziej zagubiony niż wtedy, kiedy szedł po materiały. „O czym powinienem mówić?”, męczył się. „Na pewno się skompromituję! Przecież to wykład przed wieloma ludźmi, a ja nawet nie wiem, o czym ma być”.

Wrócił do siebie. Można było już przebywać w swoim pokoju, zamykanym na czas wykładów. Wyłożył się na łóżku, podłożył ramiona pod głowę i wlepił wzrok w szary sufit. „Struktury...? Jakie struktury? Nanostruktury”, zastanawiał się, „znaczy najdrobniejsze, ale czyje, jakie? Przecież ja się znam na tym znacznie gorzej niż na historii sztuki”.

Ioanneos obudził się w środku nocy. Natychmiast wrócił niepokój o poranne wystąpienie. Czym to się zakończy, skoro nawet nie wiedział, o czym ma mówić? Przemawiać bez żadnego przygotowania do całej sali słuchaczy?

Nie zapalał światła. Chciał tylko wyjść do łazienki. Oczy były wystarczająco przyzwyczajone do ciemności. W mroku rysowały się kontury łóżka, szafy, stołu i krzesła.

Otworzył drzwi do łazienki. Wszedł w zupełną ciemność, jakby w dziurę we wszechświecie. Wewnątrz było nadzwyczaj ciepło. W lepkim, aż gęstym mroku nie istniały ściany, podłoga, wanna lub inne elementy wyposażenia. Światła zapalić też się nie dało. Nie wpadł w studnię, lecz jakby zawisł w niewidzialnym niebycie bez zapachu.

Ioanneos znajdował się jakby w innej przestrzeni, gdzie istnienie otoczenia zostało zawieszona. Łazienka nie istniała. Oddychać tutaj było bardzo trudno, upalne powietrze opornie wlewało się w płuca, ale nawet tego nieprzyjemnego gorącego powietrza brakowało.

Odnosił wrażenie, że bardzo wolno dryfuje zawieszony w tej pustce. Nagle ogarnęła go panika, że nie trafi na drzwi wyjściowe, lecz na zawsze przepadnie w kleistym, czarnym niebycie. Sięgnął ręką za siebie. Na wysokości głowy trafił dłonią na klamkę, na której podciągnął się w górę. Klamka leniwie, jakby niedbale, wróciła na swój zwykły poziom.

Nacisnął ją i w popłochu jednym dużym krokiem wrócił w znajomy mrok pokoju. Drugi raz nie spróbował otworzyć drzwi w nicość. Posłusznie ułożył się na wznak na posłaniu.

„W nocy otwiera się przejście między snami”, pobiegły myśli, „a większość znanej rzeczywistości znika...? Czymże więc są te plastyczne sny? Może to też część normalnej rzeczywistości?” Nakrył się kołdrą pod szyję. „Ależ bredzę... Jakie odrębne części rzeczywistości? Części czego...? Rzeczywistość jest jedna, niepodzielna”.

Nowe zdarzenie przynajmniej przytłumiło lęk o jutrzejszy wykład. Nadal nie wiedział, o czym ma mówić. Odwrócił się na bok. Zasnął.

*(Aga, Ioanneos, Eleonora, Rehot, Prosper, Quent, Dacortona, Balduga, m'Beleh, Rajga, Izabela)*

Do rana próżnia po łazience perfekcyjnie się wypełniła. Wszystko było znowu na swoim miejscu. Wróciła umywalka, lustro nad nią, toaleta, nawet kabina prysznicowa domykała się ze zgrzytem jak wczoraj.

– Śniło ci się – powiedziała Aga w czasie wizji lokalnej. – Nic takiego nie miało miejsca. Taka sama łazienka jak w każdym pokoju w ośrodku. Moja jest nawet gorsza, bardziej odrapana. – Chodziła tam i z powrotem po posadzce. Sprawdziała futryny, ściany, flizy, kąty. – Wygląda zwyczajnie – zawyrokowała.

– Przecież wiem. Sam to starannie obejrzałem wczesnym rankiem. Jednak tej nocy łazienka nie istniała. Zostały tylko drzwi wejściowe, bo schwyciłem za klamkę. Ale czy pozostały też ściany, nie mam pewności.

– To na czym stałeś, skoro posadzki również nie było?

– Unosiłem się w przestrzeni. W zupełnej ciemności. Nie frunąłem, ale wolniutko dryfowałem w nicości. Zmieniałem położenie względem klamki. Potem wróciłem z powrotem do swojego pokoju i nakryłem się kołdrą. To nie mogła być wizja senna. Realność tego była za duża.

– Kiedyś miałeś parę bardzo realistycznych snów. Już nie pamiętasz...? – Nieco świdrowała go wzrokiem.

– Faktycznie, miałem parę.

– A widzisz? W nocy trzeba spać, to niczym nie grozi. – Roześmiała się ciepło. – Trzeba leżeć na wznak, nogi przy sobie, ręce wzdłuż ciała, a kołdra pod szyję. Nie wiesz?

– Idę zaraz na swój wykład – powiedział do niej. – Masz go w grafiku?

– Tak.

– Pójdiesz ze mną? – spytał w desperackiej nadziei, że może Aga podsunie mu, o czym powinien mówić.

– Jeszcze nie. Mogę się spóźnić, wcześniej mam coś do zrobienia.

Wykład Ioanneosa przewidziano w małej, słabo oświetlonej salce na jednym z najwyższych pięter. „Jak w salach na samym dole, tutaj też są tylko dwa rzędy miejsc”, przypomniał sobie uwagę Honoriusza.

Ioanneos czuł, że zbliża się chwila egzekucji. W głowie miał zupełną pustkę. Śladu pomysłu, o czym mówić przez najbliższą godzinę.

Pierwsza pojawiła się Eleonora i usiadła na skraju rzędu, pod ścianą. Nie podeszła porozmawiać, ale on też nie podeszedł do niej. Był zbyt zdenerwowany. Chodził po podium sceny i oceniał, gdzie powinien się ustawić, żeby sobą nie zasłaniać obrazów z rzutnika. Słuchacze wolno się zbierali, ale nie przyszło wiele osób. Oprócz Eleonory zauważył Agę w towarzystwie jakiegoś nieznanego. Wysoki, szczupły brunet, o twarzy jakby wykrzywionej w sardonicznym uśmiechu, stale bawił ją rozmową, Aga zaś co chwilę uśmiechała się do niego. Z tyłu usiadła Rajga w głęboko wydekoltowanej bluzce, a w ostatnim rzędzie za nią schował się Prosper, obdarzając wcześniej Ioanneosa porozumiewawczym uśmieszkiem. Dla odmiany na samym przedzie przycupnął zaczerwieniony Quent.

„Na razie dobrze, sami znajomi”, pomyślał Ioanneos, ale akurat wtedy do sali wszedł Lucas Dacortona i usiadł w pierwszym rzędzie obok Quenta, a zaraz za nim przyszła uczestniczka Balduga.

– Wyjdiesz na arenę przed wszystkich... Staniesz w stożku światła z rzutnika i nie znajdziesz ani jednego słowa w głowie. Zobaczysz zupełną pustkę, nic – syknęła, przechodząc obok niego. – Będzie to kompromitacja... kompromitacja... Przeniosą cię do zbiorówki po czymś takim... Kompromitacja...

Powiew płaskiej, szarej nienawiści emanującej od Baldugi skuł lodem jego duszę.

„Czy rzeczywiście tak będzie?”, myślał nerwowo. Jad słów Baldugi rozprzestrzenił się na całe ciało, spinał gęsią skórka, włosy się podnosiły, płuca nie mogły nabrać powietrza. Wstrzymał oddech, by nie dyszeć na głos.

Nie zwracał już uwagi na nowych wchodzących, jak choćby m'Beleha czy wielu innych prominentnych uczestników i nutritorów.

Jako ostatnia, tuż przed gongiem na początek wystąpienia, przykuśtykała Izabela i uważając, by nie upaść, przysiadła na skraju pierwszego rzędu. Jakoś tak cicho, nieśmiało, ale pogodnie. W jej stronę poleciał piorun groźnego spojrzenia Baldugi. Czyjś plan się zawalił. W ślad za linią tego spojrzenia, jeszcze raz popatrzył na Izabelę, a potem na innych znajomych na sali i normalny oddech wrócił. Ioanneos już wiedział, o czym ma mówić.

Siedzący w rzędzie za Rajgą Prosper zaczął błaznować, usiłując karkołomnymi łypami zajrzeć za dekolt jej bluzki. „Dostaniesz, bracie, zeza od tego łypania”, pomyślał pogodnie

Ioanneos. Rzecz była niemożliwa do wykonania. Prosper poddał się i tylko zrobił z palców cztery rogi nad głową Rajgi. Sztubacki żart rozbroił Ioanneosa, lęk gdzieś odszedł.

Pokazało się pierwsze przeźrocze przedstawiające kwadrat i kółko oddalone od siebie.

– Przed utworzeniem struktury ludzie się zauważają, patrzą na siebie – odezwał się Ioanneos.

Na drugim przeźroczu kwadrat i kółko dolegały do siebie.

– Pretekst do rozmowy znajdzie się natychmiast. Wystarczy usiąść obok siebie na wykładzie i zamienić parę słów. – Oczy wyłowiły Eleonorę. – Utworzyła się struktura. Przestaliśmy być dwoma atomami. Można będzie rozmawiać ze sobą już przy każdym następnym spotkaniu. Wymieniać się wiadomościami, wspomnieniami. – Było oczywiste, kto z nich jest kółkiem, a kto kwadratem.

Szmary na sali ucichły.

„Przecież mówię rzeczy oczywiste”, pomyślał, „a niektórzy słuchają tego jak nowości”.

Trzecie przeźrocze ukazało kwadrat i kółko tak mocno przyciśnięte, że obie figury odkształcały się miękko, jakby wstępując w siebie.

Przez salę przeleciał śmiech.

Ioanneos zauważył, że kółko ma zaznaczony ciemniejszy rozszerzający się pasek.

„Wrysowali krawat Eleonory?”, pomyślał zaniepokojony.

– To państwo sobie już sami objaśniliście. Proszę następne przeźrocze.

Na ekranie były dwa kwadraty blisko siebie i w prawym górnym rogu odległe kółko. Sprawa była znowu oczywista.

– Oplaca się utworzyć strukturę. Można wymieniać informacje o innych. Plotkować. Jednak mówić trzeba życzliwie, bo w przeciwnym razie struktura staje się niegodna, a wymieniona informacja może zranić.

Samotne kółko było od lewej swej strony nieco nieregularne, kolor jakby przyciemniony.

„Izabela?”, pomyślał. „Kim więc jest ten drugi kwadrat obok mnie?”

– Czasem ciężko jest jakiejś osobie, a utworzona struktura otworzy jej oczy na świat, na nowe sprawy, problemy, wyprowadzi ją z pułapki cierpienia osobistego, z mrocznego pomieszczenia samotnego umysłu.

Ktoś zaszemrał. To chyba m'Beleh coś szybko powiedział do Rajgi. Ta odpowiedziała mu półgłosem.

Ioanneos już opisywał następne przeźrocze. Znalazł klucz, dzięki któremu potrafił sobie poradzić z zestawami figur geometrycznych ukazujących się na ekranie. Chwila namysłu i podstawiał jakąś drobną sytuację, a potem referował ją w postaci ogólnej, podkreślając korzyści z rozmawiania, wymieniania obserwacji. Coraz bardziej akcentował budzącą się wtedy troskę o przyjaciół swoich. Gdy wiele cię z nimi łączy, mówił, poznasz ich coraz lepiej, chcesz dla nich coraz lepiej i to jest dobre.

Uczestniczka Balduga zaczęła kręcić się niecierpliwie na siedzeniu.

Wreszcie pokazało się przeźrocze, na którym przedstawiono kwadrat i złotą gwiazdę. Gwiazda jaśniała ponad kwadratem, a jednocześnie nieco skrywała się za nim i swoimi promieniami oświetlała powierzchnię bryły geometrycznej. Ioanneos nieoczekiwanie stracił rozpęd. Wzruszenie zdławiło gardło. „Bardzo chciałbym mieć taką swoją gwiazdę, która by mnie strzegła, troszczyła się o każdy mój krok, poprawiała błędy, chroniła przed upadkiem”, pomyślał. Zateęsknił za opiekuńczą gwiazdą tak mocno, że w oczach stanęły łzy.

Balduga zerwała się z miejsca. – Ten wykład przekroczył już godzinę. Proszę zaraz skończyć! – powiedziała z naciskiem.

– Na koniec powiem więc, że na przeźroczach były kamienie kwadratowe, *lapides quadrati*, chociaż czasami przedstawiane w postaci kółek. Koło też jest figurą doskonałą.

– Dosyć!

Ioanneos w pośpiechu zaczął przelatywać jedno po drugim pozostałe przeźrocza. – Teraz już sami potraficie zinterpretować wszystkie nadchodzące obrazy. To są struktury możliwe do utworzenia, a powstanie ich jest dobre.

Szereg osób zaczęło podnosić się z siedzeń, ale inni nadal siedzieli, chcąc usłyszeć więcej.

– To nie do pomyślenia, żeby tak przeciągnąć! – powiedział głośno nutritor m'Beleh. – Kompromitacja! Kompromitacja! – Chciał wywołać skandowanie widowni, jednak gwar wychodzących zagłuszył jego następne słowa.

– Tylko czekałam, jak zaczniesz jawnie plagiować Saula z Tarsu – syknęła jadownicie Balduga. Wychodząc, zatrzymała się przy katedrze referenta. – Wtedy można by ci było przerwać od razu. Stale nawiązywałeś do jego wypowiedzi, płaśałeś na ostrzu, ale ci się udało nie wpaść w jawny plagiat, chociaż i tak bezkarnie przemyciłeś nam jego wymysły. – Obdarzyła go złym uśmiechem. – Drugi raz ci się to nie uda.

Milczał. Z Baldugą lepiej nie nawiązywać wymiany zdań, bo jeśli uzna, że na koniec rozmowy nie miała wystarczająco ostatniego zdania, to z pięć razy później dopadnie na korytarzu i dotkliwie zaatakuje.

W jego mniemaniu wykład był desperackim ratowaniem się. Dziwiło go, że proste, naturalne odczytanie prezentowanych symboli tak bardzo rozgrzało słuchaczy. Czy rzeczywiście powiedział im cokolwiek nowego?

Najbardziej zapamiętał Prospera i Izabelę. Błaznowanie kolegi, a potem ten kojący spokój, jaki przyniosła ze sobą cicha kaleka dziewczyna. „Jeśli ten wykład tak rozwścieczył wielu uczestników, to dlaczego akurat ci dwoje wryli mi się tak w pamięć?”, myślał. „Właściwie tym dwojgu zawdzięczam pomysł na ten wykład. Przypadek to, nie przypadek...? Oni oboje chyba nawet się nie znają”.

## **18 Prosper Zinsendorf**

*(Ioanneos, Prosper)*

Po sesji był zupełnie wyczerpany. Chciał wyłożyć się w pokoju, ale akurat klucz odebrała służba konserwacyjna i musiał szwendać się po korytarzach ośrodka. Z trudem namierzył pusty fotel i zanurzył się weń. Wypaść się można nawet na korytarzu. W bok gniotła wystająca sprężyna, więc musiał się często poprawiać. Co chwilę ktoś przechodził, więc trzeba było podwijać nogi, ale poza tym było bardzo leniwie i wygodnie. W rozpisce nie znalazł już nic, zresztą nie miałby siły wysiadywać godzinami na drewnianej ławce.

Ze zmęczenia zaczęły mu opadać powieki. Przed oczyma biegały przeźrocza z referatu. „Każdy tak przeżywa swoje wystąpienie?”, pomyślał. „Każdy aż tak długo nie wie, co ma powiedzieć?” Kwadraty zmieniały się w kamienie kwadratowe, koła zmieniały się w kwadraty, a kwadraty w koła.

Zbudził go huk burzącej się przedwiecznej budowli, wzniesionej z surowca innego niż owe kamienie. „Przecież wzniesiono ją z gwiazd, a gwiazdy są doskonalsze niż kamienie” – to było ostatnią myślą tego snu. Na parkiet wysypały się wszystkie notatki Ioanneosa. Kości bolały od długiego trwania w niewygodnej postaci. Niemrawo podnosił się z siedzenia, żeby pozbierać rozrzucone papiery.



Ktoś pochylił się nad nimi i pomógł je zbierać.

– Padłeś po wykładzie? – powiedział Prosper. – Ale na sali wyglądałeś na bardzo silnego. Nawet sam m'Beleh ci nie podskoczył.

– Siedział cicho. Raz coś powiedział.

– Coś ty...!? Stale syczał i warczał do tej swojej Rajgi. Nie zauważył nawet, jak się dzisiaj ubrała. Zalazłeś im za skórę tym swoim wystąpieniem.

Prosper rozsiadł się w sąsiednim fotelu.

– Wczoraj mi powiedzieli, że mam wykład. Nawet nie dodali, o czym. Dzisiaj to wszystko wymyśliłem. Jak już wchodziliście na salę.

– Nie wyglądałeś na nieprzygotowanego.

– Tak wyszło przypadkiem.

– Skoro tak było, to łatwo sobie poradziłeś z tym wszystkim. Na pewno jesteś dobrym historykiem sztuki i żyjesz z mówienia.

– Pewnie tak, skoro trafiłem na tę konferencję, ale faktycznie nie pamiętam, co robiłem wcześniej. A ty coś pamiętasz o sobie?

– Bardzo niewiele. Nazywam się Zinsendorf. Tak mam podpisany notatnik, ale tak jak ty nic nie pamiętam. W nawale obowiązków gdzieś to uciekło z głowy.

– Czasami odnoszę wrażenie, że to niekoniecznie nawał obowiązków.

– To co innego?

– Może nam sypią coś do kawy i zapominamy.

– Dlaczego akurat do kawy?

– Tyle jej pijemy. Co wykład przerwa na kawę. Na korytarzu stawiają termosy i możesz sobie nalać. Na dodatek jeszcze są kuponiki na obowiązkową kawę do śniadania.

– Ee... – Prosper wzruszył ramionami. – W tych termosach szybko stygnie. Nikt nie pije zimnej lury.

– Prosper, dlaczego nie pomagasz Izabeli?

– Garbatej?

– Ona nie jest garbata, przecież wiesz.

– Mówię na nią Garbata. Ona jest całkiem ładna, ale taka pocięta.

– Izabela często mdleje na wykładach i trzęsie się w ataku epilepsji. Może sobie rozbić głowę o ścianę czy o podłogę.

– Dlaczego miałbym jej pomagać? Ty jej często pomagasz. Kręcisz się w pobliżu. Tworzycie strukturę, jak to dzisiaj zgrabnie powiedziałaś. Ja też zamierzam utworzyć jakąś strukturę albo ze dwie... – Prosper wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Izabela nazywa się tak samo jak ty. Też Zinsendorf.

– Tak...?

– To może być ktoś ci bliski. Siostra, a może żona. Jest starsza od Eleonory, ale wygląda jak jej rówieśnica.

– Pewnie chowa swój krawat pod dekoltem.

– Nie błaznuj.

– Czasami za bardzo chcę wszystko obrócić w żart – strapił się Prosper. – Marnie sobie radzę z rzeczywistością. Mnie też każą kiedyś poprowadzić wystąpienie publiczne i nie będzie takie dobre jak twoje. Ten po tobie...

– Tekelhy.

– Zbłądził się kompletnie. Nic nie przekazał.

Tekelhy mówił jako następny po Ioanneosie. Mimo zmęczenia trzeba było na nim zostać, a urwać się z sesji wypadało dopiero później. Tekelhy miał prezentację alumena, podobnie jak sam Ioanneos. Pogubił się zupełnie w swoim wystąpieniu. Mówił chaotycznie, powtarzał się. Oprócz zmęczenia jego wykład nie pozostawił śladu w pamięci. Teraz Ioanneos nawet nie potrafił przypomnieć sobie tematu tamtego wystąpienia.

– Nie pamiętasz Izabeli? Może z dawnych czasów, sprzed naszej konferencji?

Prosper nagle spowaźniał, ukrył twarz w dłoniach wielkich jak bochny.

– Nie wiem... Nie przypominam sobie niczego sprzed naszej konferencji. Pamięć zakrywa szara mgła...

– Każdy tutaj niewiele pamięta. Trzymaj się blisko Izabeli. Rozmawiaj z nią, może sobie przypomnisz. Może ona ci coś powie. Pamięta całkiem sporo. Może coś ci się otworzy w pamięci?

– A w twojej pamięci coś się otwarło? – Zinsendorf spojrzał badawczo.

– Niestety nic... – westchnął Ioanneos. – Ale Izabela pamięta sporo, chociaż mówi niezrozumiałe rzeczy.

– Ona mówi niewyraźnie.

– Wcale nie. Trochę się jąka tylko wtedy, kiedy zbliża się atak. Opowiada o odwróconej studni w jej stronach, o ofiarach, których los się odwrócił i same zostały prześladowcami swych prześladowców... Ty też powinienes coś o tym wiedzieć.

– To wszystko jest w jej stronach? – Prosperowi zaświeciły się oczy. Lubił słuchać ciekawych historii.

– Tak mówiła.

## **19    *Druga godzina integracyjna***

*(Ioanneos, Aga, Rechot)*

Ioanneos zszedł na recepcję pogapić się trochę przez szklane drzwi na ulewę na dworze. Ciągnęło chłodem przez nieszczelności szklanych drzwi. „Uch...” Zadrżał od ziąbu i odwrócił się, żeby pójść w poszukiwaniu kubka gorącej kawy.

Jasnowłosa recepcjonistka skinęła na niego. – Jest uzupełnienie rozpiski – powiedziała, wręczając mu zmiętą karteczkę.

Coś tam nagryzmołono drobnym pismem na kawałku brązowego papieru pakunkowego. Ioanneos przystawił papierek do oczu. Obowiązkowych wykładów nie przybyło, ale na wieczór zaplanowano godzinę integracyjną z uczestniczką Agatą. Ioanneos lubił Agę, wyczuwał promieniujące od niej ciepło. Myślał, że jest ona zwykłą alumena, nie przypuściłby, że Aga może mieć rangę uczestniczki.

Rozmowę wyznaczono na korytarzu jednego z górnych poziomów ośrodka. Aga w towarzystwie nieznanego z porannej sesji już czekała na Ioanneosa.

– Rechota poznałeś rano – powiedziała do Ioanneosa. – Przedstawił ci się, jest pasjonatem struktur.

„Czyżbym w nerwach nie zauważył czegoś takiego?”, pomyślał Ioanneos. Był pewien, że Rechot w ogóle z nim nie rozmawiał. Owszem, pamiętał, że rozmawiał on z Agą przed wykładem, ale Rechot do niego nie podszedł ani przed, ani po jego mowie.

Jeśli jednak rano było inaczej, to nietaktem ze strony Ioanneosa byłoby teraz zaprzeczać słowom Agi. Zresztą sytuacja nie nastrajała do utarczek słownych czy kontrowersyjnych wypowiedzi. Po długim dniu ciężkiej pracy przyjemnie było zapaść się w głębokim fotelu na

korytarzu obok lubianej koleżanki. To był ostatni punkt dzisiejszego grafiku. Bawiło go, że Aga złamała niepisane reguły i dzisiaj wyjątkowo zdjęła swój nieodłączny plecaczek, odsłaniając proste, wąskie plecy. Gdzieś niżej inni uczestnicy śpieszyli na swoje zajęcia. Słychać było tupot kroków na schodach, który zaraz ucichł.

– Oceniając dzisiejsze wykłady – zaczął Rehot – najlepszy był wykład Tekelhy’ego. Dobrze powiedziany, w dobrej proporcji, były przeźrocza i wyjaśnienia słowne.

„Tekelhy pokazał przecież dziesiątki wykresów. Wszystkie wykreślone białymi liniami na jasnozielonym tle. Litery takie małe, że nie dało się ich przeczytać, też białe”, pomyślał Ioanneos.

– Ależ to nie było najważniejsze! – nieoczekiwanie ożywiła się Aga. – Nie wolno przecież wytykać takich rzeczy. To był bardzo dobry wykład.

Ioanneos spojrział na nią zdziwiony. Nie chciał się przechwalać, ale przecież choćby jego dzisiejsze wystąpienie było lepsze niż mowa Tekelhy’ego. Przynajmniej rysunki były czarnymi liniami na białym tle, a figury geometryczne wyraziste. Wszystko można było zobaczyć.

– Natomiast dzisiejszy wykład Ioanneosa był kompletnym niepowodzeniem. – Rehot wygodniej rozsiadł się we fotelu.

– Tak? Dlaczego? – zdziwił się Ioanneos. – Przeźrocza odebrałem gotowe. Sam ich nie robiłem.

– Ale były zbyt szybko pokazywane.

– Za szybko? – Ofiara próbowała się bronić. Wydawało się, że każdy typ struktury wyjaśnił wystarczająco starannie. Zresztą przeźrocza zmieniane były przez automat.

– Nie było widać objaśnień.

„W ogóle nie było objaśnień”, pomyślał Ioanneos. „Nawet gdybym wymyślił je wcześniej, nie zdążyłbym ich nanieść na przeźrocza”.

– Długim wskaźnikiem pokazywałem ważne miejsca.

– Nie ponumerowałeś przeźroczy. To jest bardzo poważna wada prezentacji.

Cóż, zdarzyło się. Trudno na to odpowiedzieć. Na wielu innych wykładach też nie było ponumerowanych przeźroczy, ale to nie utrudniało odbioru. Zresztą kiedy miał to zrobić? Widział je tylko raz wcześniej.

Jednak Rehot dostrzegł tu niedopatrzenie.

– Przeźrocza powinny być ponumerowane, uporządkowane. – Przeciągnął się leniwie. – Taak... Twój wykład zakończył się kompletnym niepowodzeniem. To była zupełna kłapa.

Ioanneos jakoś nie potrafił dostrzec dyskwalifikujących wad w swoim wystąpieniu.

– Nie pokazałeś wszystkich przeźroczy, lecz przeleciałeś kilka na końcu – Rehot jakby odpowiedział na jego myśli.

– To prawda. Dostałem bardzo mało czasu i wiele struktur nie zmieściło się w prezentacji, chociaż były na przygotowanych przeźrocach. Organizatorzy konferencji nie dali mi więcej czasu. Na wielu wykładach referenci sztucznie rozdymają wywód, żeby wypełnić nadmiar czasu, ja dostałem połowę czasu. Bo to było wystąpienie alumena.

– Chciałeś w ten sposób dać organizatorom prztyczka, prawda? Pokazać, że się pomylili, dając ci za mało czasu?

– Może tak samo wyszło. Przypadkiem okazało się, że miałem więcej do powiedzenia. Mogłem mówić dłużej. Wydawało mi się, że na sali jeszcze by mnie słuchali.

– W ogóle ta sesja była najslabsza ze wszystkich. Inne wykłady były też nieciekawe.

– Nie odpowiadam za cudze wystąpienia.

– Twój wykład był najslabszy w całej sesji.

– Możesz wytknąć konkretne wady czy to tylko ogólne wrażenie?

– Tak. Na przykład nie patrzyłeś ani razu w moją stronę. Referent nie może przez cały czas patrzeć w jedną stronę sali, a nie spojrzeć na drugą.

– Wiele razy spojrzałem na Agę, a ona przecież siedziała koło ciebie. Chyba zawsze tak jest, że referent patrzy w jedno miejsce. Jest przecież w dużym stresie.

– Ani razu nie spojrzałeś w moją stronę – przypomniał Rehot. – Sobą zasłoniłeś ekran i nic nie było widać.

– Stałem w świetle rzutnika?

– Nie wiem, nie było widać.

– Stałem w wiązce światła z rzutnika? – zwrócił się do Agi.

– Nie stałeś, ale nie przerywaj, bo Rehot chce ci to wytłumaczyć szczerze i po koleżeńsku.

– Poza tym parę przeźroczy przeskoczyłeś. Właściwie ich większość. Tak, to było niepowodzenie, twój wykład to kompletna kłapa.

W Ioanneosie zaczęła wzbierać złość. Umilkł.

Oni też się nie odezwali. Zapadło ciężkie milczenie.

Rehot poprawił się w fotelu, oparł głowę o oparcie, pólżąc. – Tak. To była kłeska. Wykład Ioanneosa zakończył się kompletnym niepowodzeniem.

– Kimże ty jesteś, że tak ponizasz moją pracę?! – wybuchł Ioanneos. – Twoje prezentacje nie są lepsze. – W rzeczywistości nie przypominał sobie ani jednego wykładu Rechota. Nie wiedział nawet, czy jest on alumenem, czy uczestnikiem. Raczej wydawało się, że tym pierwszym, nie zdarzało się bowiem, żeby godzinę integracyjną prowadziła dwójka uczestników.

– Rechot nie ma nic przeciwko tobie! – zaprotestowała Aga. – On chciał tylko szczerze i po koleżeńsku zwrócić uwagę, przekazać zastrzeżenia.

– Że nie patrzyłem na niego? Przecież to śmieszne. Nie spojrzałem na połowę osób na sali. Żaden wykładowca nie wypatruje każdego ze słuchaczy.

– Może nie potrafił swoich zastrzeżeń zgrabnie ująć w słowa, ale na pewno ma rację.

– Tak, Ioanneosie, twój wykład był kompletną klęską. – Wsparty słowami Agi, Rechot leniwie przewracał się w fotelu.

Ioanneos właściwie nie wiedział, co odpowiadać. Nie było sensu. Pod jego nieobecność podjęto decyzję, wydano na niego wyrok, a on po prostu miał to przyjąć do wiadomości. Dyskusji nad wyrokiem nie było. Możliwe, że to nie Rechot tak o tym zdecydował, skoro nie potrafił nawet umotywować swojej opinii.

Jak każdy mężczyzna Ioanneos był nieco prózny i czekał choćby na małą pochwałę. Przecież uniknął klęski dosłownie w ostatniej chwili. Nawet jeśli jego wystąpienie miało wady, to się udało. Teraz jednak intuicyjnie zdawał sobie sprawę, że to znęcanie się nad nim, a nie ocena, i że jest ono nie na miarę błędów w jego wystąpieniu.

– Położę się już – powiedział.

– Tak... rzeczywiście... – Aga też nieco uniosła się na siedzeniu. – Ta rozmowa trwa za długo. Nawet słyhać, jak zmieniło ci się brzmienie głosu.

„Faktycznie, kiedy mówię dłużej, śluzówki wysychają i zaczynam pisać”.

– Tak, trzeba iść spać – powiedział Rechot. Zabrzmiało to jak wyrażenie zgody na propozycję Agi. Teraz już można było skończyć godzinę integracyjną.

Ioanneos dwa razy sprawdził, ale łazienka nie znikła. W pokoju było zwyczajnie, a on sam czuł się bardzo nieprzyjemnie po niezręcznej rozmowie z Agą i Rechotem. Lubił Agę, ale właśnie dlatego jej dzisiejsze ataki zabolowały najbardziej. Wiedział przecież, ile kosztowało go wystąpienie przed tak wielką liczbą osób. Wiedział, z jak trudnej sytuacji się wyratował. Kim był ten Rechot, który dzisiaj adorował Agę? Wcześniej przecież go nie zauważył. Rechot interesował się jego wykładem? Może tylko tak powiedział do Agi. Interesowały go struktury międzyludzkie, które

Ioanneos wymyślił na użytek dzisiejszego wystąpienia? Używając kategorii z referatu Ioanneosa, przez cały wieczór Rehot niszczył strukturę, niczego nie budował w zamian. Może dlatego zainteresował go wykład? Może zajmował się właśnie niszczeniem struktur? Ale jak wykład mógł go zainteresować, skoro Ioanneos sam nie wiedział wcześniej, o czym w nim powie?

Jeszcze długo wiercił się na łóżku.

Balduga wcześniej wielokrotnie straszyla pozbawieniem dość wygodnego pojedynczego pokoju w razie niezrealizowania planu konferencyjnego. Ocena Rechota, sprawiedliwa czy nie, mogła właśnie to oznaczać. „Trudno, będzie, co będzie”. Wtulił twarz w poduszkę.

Po ataku Rechota wyobraźnia powinna obumrzeć, tej nocy piękny plastyczny sen nadejść nie mógł. Ioanneos nie miał co do tego wątpliwości. Wcale się nie zdziwił, kiedy rano zbudził się po ciężkim, szarym śnie bez marzeń, który zostawia wstrętny smak na języku i pot na karku.

Do budzika było jeszcze sporo czasu, ale ciągle żywe wspomnienie wczorajszego wieczora powodowało, że nie miał ochoty na wylegiwanie się. Zebrał się z posłania, mimo że do śniadania było jeszcze sporo czasu, a do pierwszego wykładu według rozpiski jeszcze dalej.

## **20    *Połączone grzbiety książek***

*(Ioanneos, Aga, Balduga)*

Nie zdarzyło mu się jeszcze tak wcześnie przed śniadaniem wstać z łóżka. Mimo wczesnej pory po korytarzach kręciło się już niespodziewanie wiele osób. Stoły zastawiono, a w dużych metalowych termosach czekała gorąca, gorzka kawa. „Ależ się z tym uwijają...”, pomyślał z podziwem o obsłudze. Słodczy brakowało czasem przed samym wykładem, kiedy uwzięli się na nie głodni alumeni, ale między zajęciami stoły czekały zawsze w gotowości. Odruchowo wziął z tacy kilka drobnych, suchych ciasteczek.

Działanie ośrodka było zogniskowane na konferencji. Spodziewano się, że każdy bez sprzeciwów będzie brał udział w zajęciach, bo pomiędzy wykładami nie było co ze sobą zrobić. Jedni szukali stołów, gdzie wystawiano tace z ciasteczkami, inni popijali kawę. Kto zdołał, zniknął w swoim pokoju, żeby choć chwilę się zdrzemnąć. Na ogół jednak się to nie udawało, bo trwało sprzątanie pomieszczeń. Wymieniano pościel, obsługa odkurzała podłogę. Rozgardiasz i hałas odkurzacza wykluczały drzemkę, a w ogóle nie wpuszczano do pokoi, jeśli sprzątanie już trwało,

kiedy mieszkaniec wrócił. Dlatego zawsze najszybciej zajmowano miejsca w wygodnych fotelach korytarza. Wyściełane fotele były mocno zużyte, w wielu miejscach obicia przetarły się, ale sprężyny jeszcze nie wystawały. *Alumenes* siedzieli zapadnięci w miękkie siedziska, a większość drzemała.

Ioanneos snuł się po korytarzu w poszukiwaniu wolnego miejsca. Większość foteli była już zajęta. Wypatrzył jedyne wolne miejsce. Na sąsiednim fotelu, oddzielonym popielniczką, siedziała uczestniczka Agata.

„Ona też nie mogła dospać śniadania?” Musiała przeżyć wczorajszą nocną rozmowę, skoro zerwała się równie wcześnie. Było trochę ryzykowne podchodzić do niej akurat teraz, bo dzisiejsza rozmowa mogła przypadkiem przerodzić się w zbyteczne następstwo wczorajszej. Jednak zbyt lubił Agatę, żeby odmówić sobie choć chwili rozmowy. Wczoraj dowiedział się, że ona też jest uczestniczką, ale to jakoś nie wpływało na jego uczucia. W kontaktach z nią nigdy nie wyczuwał śladów uczuć typowych dla innych uczestników: oznak nienawiści czy zawiści. Raczej nieśmiałą życzliwość. „Może każdy alumen z czasem zostaje mianowany uczestnikiem i mnie też to kiedyś spotka?”

Usiadł w sąsiednim fotelu.

Aga spojrzała na niego badawczo.

– Siedzi tu kto? – Teraz uświadomił sobie, że miejsce może być zajęte. Na przykład przez Rechota, który akurat poszedł po swoją kawę.

Zwykle fotele obok popielniczki zajmowano najwcześniej, mimo że w pobliżu cuchnęło papierosami. Dzisiaj przypadkiem jeden był wolny.

Aga pokręciła głową. Popijała kawę z wielkiego szklanego kubka z uszkiem.

– Nie śpisz? – zagadał do niej. Miało to być nawiązaniem do wczorajszej rozmowy.

– Sypiam na wykładach. – Zaśmiała się samymi oczyma.

– Chyba z ciebie najpilniejsza słuchaczka. Często przychodzisz wcześniej, a jeśli referent przygotował jakieś materiały, to przeglądasz je pierwsza.

– Siadam w środku rzędu, bo na skraju nic nie widać. Nie dość, że nie da się zrozumieć, to nawet nie wiadomo, co można było zrozumieć.

– Wykładowca nie ma szans, by tak się ustawić, żeby nikomu nie zasłaniać. Na ogół sale są dość ciasne.



– To duża konferencja. Sale są wykorzystywane w całości. Na ogół jest znacznie więcej chętnych do słuchania niż wygodnych miejsc na sali.

– Właśnie. A Rehot atakował mnie wczoraj, że nie patrzyłem w jego stronę. – Nie wytrzymał. – Nawet trudno go było zobaczyć wśród słuchaczy.

– Przestań! – podniosła głos Aga. – Rehot wczoraj powiedział słuszne rzeczy. Powiedział ci szczerze i po koleżeńsku, co myślał, a ty powinieneś być się zgodzić.

– Nawet gdybym ponumerował przeźrocza, to numery nie byłyby widoczne z ostatnich rzędów. – Ioanneos brnął dalej. – Typowa numeracja daje zbyt małe cyfry.

Aga nagle zerwała się z fotela.

– Jeszcze nieraz się pokłócimy! – zawołała i poszła sobie. Znikła w głębi korytarza. Na szklanym blacie stolika został po niej kubek stygnącej kawy.

Ioanneos pozwolił sobie na intymność: chwycił za uszko jej kubka i zaczął popijać gorzki brązowy płyn. „Ona gniewa się, czasem wybucha, daje sobą łatwo manipulować, jak wczoraj Rehotowi, może przez to swoim zachowaniem wyrządzić sporą przykrość, ale to zupełnie inny rodzaj przykrości niż u Rajgi czy Baldugi”, pomyślał. „Agata krzywdzi przez przypadek, nigdy z upodobania”.

Może by ruszyć się do biblioteki? Jakoś tak się ostatnio składało, że na bibliotekę czasu brakło. Zateśknił za okrągłymi zdaniem dziwne poradnika skierowanego do posągów. Po kilkunastu suchych, bardzo słodkich ciasteczkach z marmoladą śliwkową przeszła mu ochota na śniadanie.

Na schodach ruch jak na korytarzach, wszędzie sporo osób. Jedni szli w dół, inni w górę. Oddzielne jadalnie były na każdym poziomie. Głodni już się gromadzili, zanim zaczęto wydawać śniadania.

Drzwi biblioteki były uchylone, chociaż to jeszcze nie pora otwarcia. Przy biurku służbowym nikt nie siedział. Zauważył przewieszony przez oparcie krzesła ceglasty sweterek. Chyba Brenda chodziła w takim... Za chwilę przypomniał sobie, że to Rajga ma podobny. Gdzie jest Brenda? Co się z nią stało? Czy jak we śnie porwała ją ku świecącym chmurom groźna, zabijająca marzenia Jizoga...?

Przemknął obok biurka, kierując się między regały. Dzisiaj jest trochę więcej czasu, można dłużej pobuszować wśród zakurzonych tomów. Może znajdzie się coś o diablích malarzach? Albo może coś o *lapides quadrati*? Sformułowanie Honoriusza Scholastyka wryło mu się w pamięć.

„Raz, dwa, trzy, cztery”, mijał kolejne regały. Wreszcie dotarł do szukanego i skręcił w boczny korytarzyk.

Szedł na pewniaka w znajome miejsce, ale sceneria półek wydawała się dzisiaj jakoś zmieniona. Coś nieuchwytnego. Powinna być półka, na której wyróżniał się oprawiony w płótno poradnik dla posągów, jednak tej książki w zwykłym miejscu nie było.

Książki miały inny kolor niż zwykle, przez co półki wyglądały bardziej jednolicie. Wszystkie tomy oprawiono brązowym papierem, aby się nie niszczyły. Na grzbietach chemicznym ołówkiem naniesiono numery sygnatur. Brakowało tytułów i autorów. Trzeba było każdy tom oddzielnie wyciągnąć, otworzyć i przeczytać, o czym traktuje. Tomy były jednak zbyt stłoczone, by jakiś dało się ruszyć. Grzbiety książek tworzyły jednolitą taflę. Pofalowaną w kształt grzbietów, ale nie rozdzieloną. „Jakby zostały wystrugane z drewna i starannie pomalowane”. Popukał palcem. Odpowiedział głuchy dźwięk. Nie drewno.

Zdumiewające. Zaczął pukać po kolei we wszystkie tomy, w różne rzędy. Za każdym razem odpowiadał ten sam głuchy, stłumiony dźwięk.

– Jest tam kto!? – usłyszał charakterystycznie pogrubiony głos Baldugi. – Biblioteka jest nieczynna!

Balduga była wystarczająco nieprzyjemna, nie musiała sztucznie zmieniać brzmienia głosu, żeby wydawać się jeszcze bardziej odpychająca.

Porzucił badanie intrygującego znaleziska i posłusznie skierował się do wyjścia.

– Proszę natychmiast wyjść! – polecenie skierowano już bezpośrednio do niego. – W czasie śniadania biblioteka będzie zamknięta z powodu inwentaryzacji!

Próbował ją ominąć, ale uczestniczka czaiła się przy biurku bibliotecznym.

– Jak ci się udało tutaj dostać? – To było jak powiew wilgotnego mrozu wdzierającego się pod odzienie, następnie pod skórę, dalej między pasma mięśni i wreszcie stalową liną pętającego każdą kość z osobna.

– Drzwi były uchylone – wydukał przez odrętwiałe z chłodu szczęki. – Myślałem, że już otwarte.

– Co otwarte?! Gdzie otwarte?! Do obiadu nie będzie otwarte! – wrzask Baldugi szybko nabierał siły. – Ona znowu zapomniała zamknąć! Targać za nogi do góry i trzepać głową po ziemi!

Ioanneos zbliżał się chyłkiem do drzwi. Wrzask Baldugi jakby zmieniał adresata. Zawarty w nim jad i nienawiść mierzyły teraz jakby w inne serce. Trucizna trafiła w adresatkę, bo zza regałów bibliotecznych dał się słyszeć głośny szloch.

Ochłonął na korytarzu. Ciężko oparł się o ścianę i złapał oddech.

„Ona chciała przykryć brak książek swoim wrzaskiem”, pomyślał, zbiegając po schodach. „Ukryć ujawnione braki w rzeczywistości. W nocy nie ma łazienki, poza godzinami otwarcia nie ma książek w bibliotece”.

## **21    *Im wyżej, tym mniej pokoi***

*(Ioanneos, Prosper, Izabela)*

Sytuacja jakby się zmieniała. Wydawało mu się, że jeszcze niedawno było tutaj inaczej. Dlaczego wszyscy obowiązkowo oddali kluczyki do samochodów na recepcji, a nikt nie zaprotestował? Dlaczego w pokojach nie wolno przebywać w czasie wykładów? Jest taki nawet obowiązkowych zajęć, że porozmawiać można dopiero na korytarzach i wieczorami przy herbacie, a nie w ciągu dnia. A te wieczorne rozmowy takie dziwne, agresywne, dokuczliwe. To mają być spotkania integracyjne...? Jaka Balduga jest, wszyscy od dawna wiedzieli i nawzajem się ostrzegali, ale wczorajsza rozmowa z sympatyczną zwykle Agatą była bardzo przykra. Pamiętał wrogość audytorium na wykładzie Honoriusza Scholastyka czy okrzyki nutritora m'Beleha na swoim własnym, jednak najbardziej nieprzyjemnym wspomnieniem było, jak Vac Tayrita na swoim wykładzie wyśmiewał się z Izabeli.

A do tego wszystkiego to niepokojące wrażenie, że na każdym wyższym piętrze ośrodka jest mniej pokoi, a sale wykładowe są mniejsze. Dyskretnie przeliczył liczbę pokoi na piętrze bibliotecznym, potem na następnym, niżej. Niższe miało faktycznie więcej o jeden pokój. Chciał przeliczyć jeszcze następne, ale przyczepili się do niego dwaj nieznajomi alumeni, którzy zaczęli iść dokładnie o dwa metry za nim. Ktoś zaraz zorientował się, że Ioanneos próbuje coś badać, coś liczyć.

Ioanneos nagle odwrócił się do nich twarzą.

– Tak?! Słucham?! – spytał głośno.

– Tak? Słucham? – powtórzyli chórem obaj i też odwrócili się do tyłu.

– Dlaczego chodzicie za mną?!

– Dlaczego chodzicie za mną? – znowu powtórzyli chórem.

Obaj wyglądali jak kopie Rechota. Wysocy, szczupli bruneci o twarzach zakrzepłych w grymasie paskudnego uśmiechu. Nie śmiali się jednak, ale ich rysy przy każdym wypowiedzianym słowie układały się w taki sam wyraz jak na jego twarzy.

Na kanapie przy ścianie siedzieli obok siebie Prosper i Izabela. O czymś cicho rozmawiali. – Daj spokój, Ioanneos – odezwał się głośniej Prosper. – Oni inaczej ci nie odpowiedzą. Mają tutaj próbę swojego teatryku. Muszą ćwiczyć...

– Aha...

– A ja też tworzę strukturę – dodał wesoło i mrugnął do Ioanneosa.

– Co...? O czym mówisz? – Izabela podniosła głowę, jakby przebudzona z zamyślenia.

Prosper coś do niej szepnął.

– Oni powinni próbować na swoim poziomie, nad kotłownią, nie tak wysoko – powiedział zagniewany Ioanneos. – Panowie, do siebie! Do siebie! Wracamy na swój poziom! – Przegnał aktorów z korytarza.

Obaj komedianci posłusznie pośpieszyli ku schodom.

„Nieźle mi poszło”, pomyślał. „Zupełnie obcy *alumenes* posłuchali mnie bez szemrania, chociaż to cholerne bliźniaki Rechota”.

Jeszcze raz spojrzął na zatopionych w rozmowie Izabelę z Prosperem. Nie chciał im przerywać pogawędki, więc sam też sobie poszedł.

Myśl, że im piętro ośrodką wyższe, tym pokoi na nim mniej, nie odstępowała go od chwili, kiedy zobaczył symbol umieszczony na piśmie organizatorów konferencji, informującym o jego własnym referacie. „Po coś te prostokąty tam umieścili”. Dzisiaj tamtej kartki nie potrafił znaleźć między swoimi notatkami. Przepadła.

Zbiegł na parter do recepcji. Akurat pogoda nieco się poprawiła. Wprawdzie ołowianoszarym niebem nadal gnały ciemnogrnatowe burzowe chmury, ale przestało padać. Zanim recepcjonistka zdążyła zaprotestować, pchnął szklane obrotowe drzwi i wyszedł na dziedziniec wyłożony betonowymi płytami. Wszystko było mokre od deszczu. Owionął go zimny, wilgotny wicher. Ioanneos oddalił się na sam koniec dziedzińca pod trawnik i zarośla, odwrócił się i stamtąd obejrzał bryłę ośrodką.

Olbrzymi, prostokątny budynek przytłaczał swoim ogromem. W tle mknęła chmura za chmurą. Bryła ośrodka była dokładnie prostokątna, zupełnie jak na folderze reklamowym powieszonym za biurkiem recepcjonistki. Równe rzędy prostokątnych okien definiowały kolejne kondygnacje. Żadnego zwężania się ku górze. Musiał się mylić. Na pewno błędnie przeliczył pokoje na kolejnych piętrach.

Zabębniły pierwsze duże krople nadchodzącej ulewy. Przerwa w deszczu dobiegła końca. Ioanneos biegiem wrócił pod okap nad szklanymi obrotowymi drzwiami. Zdążył w kałużach przemoczyć buty.

– Proszę nigdy więcej tak szybko nie wybiegać na dziedziniec – skarciła go recepcjonistka. – Dobrze, że pana jednak zauważyłam. Mamy polecenie, aby ze względów bezpieczeństwa zamykać drzwi, kiedy nawałnica się nasila. Mógłby pan w takim przypadku zostać uwięziony poza ośrodkiem na długo i przemarznąć na kość.

Uderzenia huraganu biły w szklane obrotowe drzwi raz za razem, jakby chciały wepchnąć je do środka.

– Ledwie zdążyłam je zamknąć – powiedziała recepcjonistka.

## **22    *Z Agatą w bibliotecę***

*(Ioanneos, Aga, Brenda)*

We wnętrzu było znacznie cieplej, sucho. Koło stolika z ciasteczkami snuła się Aga. Znowu skryła się w workowatej, niezgrabnej sukience na szerokich sztywnych szelkach. Na plecach dźwigała swój malutki, trójkątny, bury plecaczek, z kieszeniami obszytymi wąskimi paseczkami skóry. „Wszystkie kobiety odziewają się w blade odcienie”, pomyślał. „Jedynie Brenda ma ceglasty sweterek i to jest chyba najbardziej jaskrawe odzienie. No tak, ale skoro jako Rita była w moim śnie łąziebną, to na pewno mogła sobie pozwolić na większe ekstrawagancje niż inne kobiety”, uśmiechnął się do wspomnienia. „Aga nie poszła na wykład?”

W jego rozpisce po śniadaniu widniała dziura aż do obiadu. Nie wiedział, czy w takim przypadku w ogóle wolno mu wybrać się na jakiś wykład, czy też lepiej spędzić czas na korytarzu, kibicując próbom teatryku amatorskiego.

Podszedł do niej.

- Zostawiasz mokre ślady na posadzce – zauważyła.
- Wyszedłem pospacerować po dziedzińcu i przemoczyłem buty.
- Spacerować w taką ulewę?
- Wtedy akurat na chwilę przestało.
- Dziwaczne pomysły. – Wzruszyła ramionami. – Było tam coś ciekawego poza kałużami?
- Niewiele. Chmury gnały. – Nie było sensu dzielić się podejrzeniami.

Pokiwała głową.

– W bibliotece jest ciekawiej.

– Pewnie.

– Rano usunęli książki i zastąpili je drewnianymi atrapami. Deskami, na których namalowano grzbiety książek. Nie dało się wyciągnąć ich z rzędu, bo tworzyły jedną bryłę.

Spojrzała na niego badawczo.

– Nie wiem, po co wynoszą książki na noc i gdzie je chowają, ale rano półki biblioteki były puste i zablokowane jakimiś ekranami.

– Znowu mnie nabierasz? A łazienka w twoim pokoju istniała tej nocy?

– Nie wiem.

– Więcej tam nie pójdę. Nie namówisz mnie.

– A do biblioteki pójdziesz?

– Wolę obiad.

– Tylko na chwilę. Ja już straciłem śniadanie, drugiego posiłku też nie chcę tracić.

– Nie potrzebujesz pretekstu, żeby gadać z Brendą.

– Dzisiaj była tam uczestniczka Balduga, nie Brenda.

– Chcesz mieć osłonę...? – Roześmiała się.

– Na Baldugę nawet ty nie pomożesz. Wyssie wyobraźnię aż po kręgosłup. Po niej zostaje suchy trup imaginacji, nic więcej.

– A po mnie co zostaje? – Znowu się śmiała.

– Zwykle samo dobro.

Za biurkiem w bibliotece siedziała Brenda. Popatrzyła na nich podejrzliwie, ale nie odezwała się.

Zaprowadził Agę do podejrzonej półki. Oczywiście wszystko wyglądało zupełnie normalnie. Rząd książek nie stanowił już atrapy. Poszczególne tomy dawały się wyjmować, kartkować.

Stronice były zadrukowane, a treść sensowna. Akurat poradnika dla posągów nie było, to miejsce zaznaczono włożoną karteczką, ale obok na półce stał rząd monografii architektonicznych. W jednym przypadku sprawdził nawet, czy treść odpowiada tytułowi. Faktycznie książkę poświęcono katedrze Świętego Landeberta w Lugdunum.

Znów się wygłupił. Rzeczywistość zdążyła splatać mu kolejnego psikusa. Najpierw ujawniały się braki w istnieniu świata, dziwaczne niedoróbki, ale tajemnicze zmiany naprawiano pod jego nieobecność. Czy ktoś był świadkiem tego łątania rzeczywistości tak, żeby wszystko znowu wyglądało zwyczajnie?

Pytać Brendę, czy widziała coś nienormalnego, nie było sensu. Nawet jeśli coś zauważyła, nie powie słowa. Z pewnością jest zastraszona. Pamiętał, jak Balduga wygrażała pod jej adresem. Brendę nauczono skrywać myśli i uczucia, co najwyżej wymkną się jej spod kontroli łzy, tak jak kiedyś.

Nie pozostawało nic innego, jak zamienić całą historię w żart.

– Czy podobnie jak książki wydają ci się jedną bryłą, tak różni ludzie nie wydają ci się jedną osobą? – powiedziała Aga, zanim zdążył się odezwać. – Tą samą osobą, która nawiedza cię w różnych postaciach?

„Wydaje mi się, że nasz znajomy Rehot występuje tutaj przynajmniej w trzech postaciach”, chciał odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Zauważył, że Agata jest zafascynowana Rehotem i nie chciał kolejnej sprzeczki.

– Jeśli tą osobą byłabyś ty, to dałoby się jeszcze wytrzymać – odpalił. – Niestety, wygląda, że to kto inny wciela się w różne osoby...

– Przestań!

Gdy wychodzili, Brenda przecierała oczy chusteczką.

– Wpadło pani coś do oka? – spytała grzecznie Agata. – Pomóc pani?

– Nie trzeba – odpowiedziała bibliotekarka. – Poradzę sobie.

## **23    *Sznurek od suszarki do prania***

*(Ioanneos)*

Rzędy książek zastąpione atrapą to drugi przykład niespójnej rzeczywistości, jaki zauważył w ostatnim czasie. Jakby świat otaczający go pozszywano z dobrze dopasowanych fragmentów, ale gdy fastryga się rozsuwała, ukazywały się dziury. „Dość to podle zrobione”, pomyślał. „Świat co chwilę pruje się, rozjeżdża”.

Ktoś jednak dbał o wygląd rzeczywistości przeznaczonej dla Ioanneosa, bo zaobserwowane dziury szybko łątano. Parę godzin później rzeczywistość znów była ciągłą całością, nitki zaciągnięto ciaśniej i dziura się zamknęła. Agata nie uwierzyła mu ani trochę. Żartował, że zwariował, choć może naprawdę miała rację. Może to nie żadne dziury w rzeczywistości, ale jego urojenia, coraz więcej urojeń? Świat pozostał, jaki był, konferencja historyków sztuki trwa dalej, tylko Ioanneos coraz bardziej oddala się od rzeczywistości? Niezmienny rytm zajęć konferencyjnych prowokuje niesforną jaźń do najdzikszych domysłów i podejrzeń? A może to silny stres spowodowany własnym referatem doprowadził do załamania psychiki?

Może Agata też nie była sobą, lecz celowo wprowadzała go w błąd? Może naprawdę była Adelindą z Bawarii, żoną księcia Tassilona, zaś Agata było jej fałszywym imieniem? Z drugiej strony jedynie Honoriusz Scholastyk wspomniał o Tassilonie, a tylko Prosper nazwał Agę Adelindą. Nikt nie powiedział, jak nazywała się żona Tassilona, to był tylko domysł Ioanneosa. Zresztą Prosper wymyślał wiele dziwnych imion, Eleonorę i Izabelę nazywał Monaldeschi della Cervara, lubił żartować, błaznować. Więc może to tylko przypadek?

„Chyba rzeczywiście grozi mi załamanie psychiczne, a dwa razy zdarzyły mi się plastyczne i niezmiernie realistyczne, ale tylko i wyłącznie przywidzenia”, pomyślał. „Jeszcze parę dni i znajdę się sam w pułapce szaleństwa. Jak się z tego wydostać? Jak przed tym zabezpieczyć?”

Od czasu, jak polecono mu powiedzieć samodzielny referat, w rozpisce dziennej znajdował coraz więcej pustych miejsc. Jakby nieznany manipulator uznał, że Ioanneos powinien bardziej samodzielnie decydować o zajęciach, w których uczestniczy. Wyjaśnienie, że próbowano ukryć przed nim niektóre ważne wykłady, nie broniło się. Przecież on sam nie wiedział, które z nich mogłyby przynieść mu potrzebną wiedzę. Na razie luźniejszy grafik skutkowało tylko tym, że Ioanneos spędzał więcej czasu na rozmyślaniach, czy nie zapada się w szaleństwo.

Była jeszcze inna niepokojąca rzecz. Otóż od czasu, jak dostał pismo od organizatorów konferencji, w którym poinformowano go, że powinien wygłosić swój własny referat, nie potrafił pozbyć się wrażenia, że na każdym coraz wyższym piętrze ośrodka jest mniej pokoi, sale wykładowe są mniejsze, a na zajęcia przychodzi tam coraz mniej alumenów. Musiał przemoczyć



buty na dziedzińcu, by przekonać się, że kształt budynku ośrodka nie upoważnia do takich przypuszczeń. Jednak stałe wędrówki po korytarzach, dokładniejszy ogląd sal wykładowych, mówiły coś innego. Jeśli chciał go dopaść obłąd, to czaił się właśnie w tym przekonaniu.

Trzeba koniecznie to wyjaśnić. Pomierzyć budynek ośrodka. Ale jak to zrobić? „Nie da się robić jawnych pomiarów. Od razu ktoś zaczyna obserwować, jak wtedy ci dwaj dziwni aktorzy amatorzy. Jednak aby przekonać się, trzeba dokładnie zmierzyć szerokość każdych drzwi przyniesioną miarką. Niezauważalne i dokładne mierzenie jest chyba niewykonalne, jak rzecz uprościć...?”

Obojętnie patrzył na kolejną próbę teatrzyku amatorskiego. Jacyś nieznani alumeni nosili innych na barana. Ochoczo biegali z ciężarem po korytarzu. Czerwone obrzmiałe twarze, wytrzeszczone z wysiłku oczy. Niektórzy pomagali sobie, wystawiając język. Wyglądali jak bracia Rechota.

Chwilę przypatrywał się ich wysiłkom. „To oczywiste!”, już wiedział, jak zmierzyć budynek w sposób niezauważalny. Trudniej wymyślić, czym mierzyć. Ależ miarka również jest pod ręką! Pora rozprawić się z nadchodzącą paranoją. Dopił kawę i zebrał się z fotela.

W łazience swojego pokoju odwiązał sznurek z suszarki do prania wiszącej pod sufitem nad wanną. Może obsługa nie zauważy braku jednej z linek? Dzisiaj chyba skończyli już pracę, skoro klucz do pokoju czekał na recepcji.

Wyposażony w linkę wędrował po okazałym budynku centrum konferencyjnego. Wypatrywał, czy nie ma zbyt wielu osób w korytarzu, i ruszał w płasy niczym aktor z teatrzyku amatorskiego. Wymach ramion w jedną stronę, wymach ramion w drugą stronę, a następnie starannie przytknąć sznurek, by zmierzyć szerokość drzwi. Jeśli było pusto, mierzył po kolei każde, jeśli snuły się jakieś osoby, mierzył przynajmniej pięć drzwi na każdym piętrze i ze dwa odstępy między nimi. Szerokości drzwi pokoiów na każdym piętrze były takie same. Dla odstępu trzeba było robić trzy miarki, więc pomiar był mniej dokładny, ale i tak wychodziło podobnie.

Zaczął od samej góry, bo tam najmniej ludzi snuło się po korytarzu. Potem pomierzył piętro dwa poziomy nad recepcją i wreszcie jedno na niskim poziomie, chyba całe wkopane już w ziemię. Skoro defekt w rozmiarach ośrodka jest niewielki, niedokładność pomiaru mogła go naprowadzić na fałszywe wnioski. Kiedy wybrał do testu odległe od siebie kondygnacje, efekt był wyraźniejszy. Im niżej, tym odstępy między drzwiami były coraz krótsze, a drzwi coraz szersze; im niżej, pokoi było więcej.

Na każdym poziomie drzwi wyglądały identycznie, odstęp między nimi też, dopiero między piętrami wychodziły różnice. Dziwiło tylko, że z zewnątrz ściana budynku ośrodka wyglądała jak regularny prostokąt z równomiernie rozmieszczonymi otworami okien, jedno nad drugim.

Większość drzwi ponumerowano – to pokoje uczestników i alumenów konferencji. Co jakiś czas przy kolejnych klatkach schodowych mieściły się sale prezentacyjne.

Na kondygnacji podziemnej przez jakiś czas towarzyszyła jego działaniom grupka ćwiczących aktorów.

Aktorzy nosili na plecach aktorki, trzymając je za nogi głowami do ziemi, aż dziewczyny miotły włosami po podłodze. To byli chyba ci sami, co wcześniej ćwiczyli nieco wyżej. Pamiętał ich, wszyscy z twarzy przypominali Rechota. Nawet ucieszył się z ich obecności, uznając, że przy nich nikt go nie nakryje. Zadowolony wrócił do pokoju, ale linki nie zamocował w suszarce, bo obsługa zdążyła już uzupełnić brak.

Wyciągnął się wygodnie na kanapie. Ramiona podłożył pod głowę, a wzrok wlepił w sufit. Budynek ośrodka faktycznie został przedstawiony na tym dziwnym znaku konferencji. To nie zbliżający się do niego obłęd, lecz kaprys budowniczego, który tak uformował centrum konferencyjne.

Ioanneos chciał się z kimś podzielić swoim odkryciem, przekazać radość, że jest zdrowy. Właściwie nie miał z kim. Z Izabelą ani z Eleonorą nigdy nie rozmawiał o podobnych sprawach, Agata lekceważyła jego obserwacje, Prosper obróciłby to natychmiast w bardziej lub mniej udany żart.

Potem przed oczyma stanęła mu grupka aktorów ćwiczących z zapalem dziwny balet. Uświadomił sobie dopiero teraz, że dokładnie w taki sposób jak ci aktorzy, tak w jego śnie Jizoga dźwigała ku niebu nagą, przerażoną Ritę.

## **24 *Samochody na parkingu***

*(Ioanneos)*

Nie potrafił pogodzić się z myślą, że traci kontakt z rzeczywistością, zauważa rzeczy nieistniejące w naturze. Jednakże jeśli porzuci się hipotezę obłędu, rzeczywistość staje się jeszcze bardziej zagadkowa. W miarę jak zastanawiał się coraz dłużej, niepokój rósł. Przypuszczenia o wewnętrznym kształcie ośrodka odbiegającym od tego, co widać z zewnątrz, nie wynikały z halucynacji, lecz z konstrukcji budynku. Może więc i wcześniejsze dziwne zdarzenia też miały

ukryty sens? Książki w bibliotece zastąpione drewnianym ekranem naśladowującym ich grzbiety dało się wyjaśnić względami bezpieczeństwa, zabezpieczeniem zbiorów w niepilnowanych pomieszczeniach. Jednak łagodny dryf w pustej przestrzeni, powstałej po zniknięciu łazienki, nie miał wytłumaczenia. Jedne pytania rodziły następne.

Konferencja odbywa się w izolowanym ośrodku, gdzieś na pustkowiu. „To akurat nie powinno dziwić, bo taka moda w nauce”. Ludzie słuchają dziwnie prowadzonych, często niezrozumiałych lub nudnych wykładów, ale to też się zdarza. Zajęcia trwają bez przerwy od świtu do nocy – bo tak powinny. W sumie spokojne siedzenie w ławce i wysłuchiwanie szkoleń oraz wykładów przedzielanych posiłkami jest przyjemne, jednak nie można sobie przypomnieć, jaki jest tego cel. Kiedy konferencja się skończy, też nie pamiętał. Niezmiennie pogoda fatalna, stale pada, często deszcz ze śniegiem albo przynajmniej mżawka. Kompletnie zniechęca do spacerów na zewnątrz. Nikt nie wychodzi na spacer, nikt nie wyjeżdża, nikt nie przybywa.

„Nikt nie próbuje się stąd wyrwać?”, pomyślał. Wyjrzał przez okno. Równy rząd zaparkowanych samochodów wyglądał tak samo jak co dnia, nie zmienił się ani trochę.

W rozpisce nie przewidzieli niczego na najbliższą godzinę. Rzecz bardzo rzadka. Chociaż równolegle biegło tak wiele wystąpień, dyskusji, a tym razem konferencja nic ciekawego mu nie zaoferowała.

Ioanneos wyszedł na dziedziniec, aby jeszcze raz przeliczyć okna na poszczególnych kondygnacjach ośrodka. Wprawdzie pomierzył wszystko od wewnątrz, ale kłóciło się to z obrazem regularnie prostokątnej ściany i do znudzenia jednakich okien w równych rzędach. Na dworze było szaro, co chwilę uderzały pojedyncze krople deszczu. Mimo tego drzwi obrotowe nie zostały zablokowane.

Zapiął kurtkę pod szyję i wyszedł spod daszku. W twarz uderzył zimny wicher niosący drobinki deszczu. Ściana wiatru prawie uniemożliwiała poruszanie.

Ustać się dało, ale każdy wir mógł rzucić przechodnia na ziemię. Zaraz go przewiało, a deszcz lunął rześście.

Skierował się do stojących samochodów. Między nimi chciał się skryć przed wichrem i deszczem. Jedno z aut było jego własne, ale teraz w deszczu Ioanneos nie potrafił go rozpoznać.

Wszedł między stojące wozy.

Coś się nie zgadzało. Przykucnął, by obejrzeć dokładniej. Sprawdził dłonią – koło tworzyło całość z płytą betonową, jedną z tych, jakimi wyłożono cały plac parkingowy i dziedziniec

ośrodka. Po prostu zmieniał się kolor z szarego betonu na ciemnoszarą gumę i tyle. Koła płynnie wyrastały z podłoża. Opony przybierały barwę gumy dopiero od połowy swej wysokości. Stawały się gumą w sposób ciągły. Czym niżej, tym coraz bardziej były płytą betonową, wreszcie całkiem chłodne, twarde, dźwięczały jak skała. Karoseria, ostukiwana palcem, odpowiadała zwyczajnie, głucho, jak pudło z blachy. Zdumiony Ioanneos uderzał w tę blachę dość energicznie – jak się komuś włączy alarm, zejdzie to na karb ulewy.

Mimo strug deszczu lejących się na głowę i ściekających za kołnierz Ioanneos chodził wokół samochodów. Chciał obejrzeć je z każdej strony. Wicher utrudniał obserwację, ale kiedy przykucnąc przy kole, jego uderzenia już tak nie dudniły. Wszystkie samochody wyglądały podobnie. Koła każdego z nich płynnie wrastały w beton. Miały taką samą rzeźbę opon, takie same kołpaki.

„Takim samochodem nikt nie odjedzie”. W miarę jak sobie to uświadamiał, rosła groza. „Stąd nie da się uciec”. Nagle poczuł się osaczony przez tych ludzi w ośrodku, przez nieustanny kołowrotek zajęć, wieczorów integracyjnych, hałaśliwe próby teatryku amatorskiego na korytarzach, przez gwałtowny wicher, ciemnoszare niebo.

Gdzieś w mroku zniknął wąski pas asfaltu, zjazd z parkingu, jedyna droga ucieczki z ośrodka. Było tak mroczno, mgła tak gęsta, że nie było widać nawet bramki i ogrodzenia.

Trzeba wracać. Zresztą gdzie tu uciekać w taką nawałnicę? W ośrodku jest ciepło, sucho i przytulnie.

Wyprostował się, wystawiając się na napór wichru, i pchany kolejnymi paroksyzmami nawałnicy pobiegł w stronę budynku. W ciągu paru minut oględzin na placu parkingowym przemókł zupełnie. Z włosów ciekło strumieniem, z butów wylewała się woda.

Na recepcji odebrał klucze do pokoju, musiał szybko przygotować się do następnych szkoleń przewidzianych w dzisiejszym grafiku.

## **25    *Rozmowa z Agatą o samochodach***

*(Ioanneos, Agata)*

Wysuszył włosy i odziany w trykotowy podkoszulek z długimi rękawami oraz w mokre spodnie jeszcze zdążył na kolację. Dziwaczne przebranie brało się stąd, że drugich spodni nie miał, koszuli też nie. Buty były przemoczone, a każdy krok zostawiał kałuże.

Przyniósł swoją kolację do stolika, przy którym siedziała Agata. „Ona zawsze wybiera stół dla dwóch osób?” Wszyscy zwykle siadają na tej sali po czworo przy jednakowych stolikach, a tylko ten jeden był dwuosobowy. Umieszczono go w niezbyt przyjemnym miejscu, zbyt blisko toalety. To nawet nie to, że stamtąd dochodził ostry zapach środka dezynfekcyjnego, bo zdarzało się to rzadko, ale co chwilę ktoś wchodził lub wychodził z toalety, trzeba było co raz przesuwać się na krzesła, poprawiać rzeczy.

Z drugiej strony, siedzenie przy stoliku koło toalety dawało możliwość w miarę intymnej rozmowy. Agata kończyła porcję zupy. On wziął się za swoją. Po talerz z drugim pójda już razem.

- Znowu leje się z ciebie woda – zauważyła.
- Przebrałem się, w co miałem.
- Spodnie masz kompletnie przemoczone. Chyba powinni cię zwać Lewiatanneos.
- Chodziłem po parkingu przed ośrodkiem.
- A cóż tam ciekawego można znaleźć?
- Pamiętasz, niedawno mówiłem ci o książkach w bibliotece?
- Posklejano je w jeden blok.
- Właśnie.
- A dzisiaj talerze z zupą poprzyrastały do stolików...?
- Przestań. To nie były żarty.
- A co? – Jej oczy już się śmiały.

Przynajmniej pocieszało, że nie uważała go za szaleńca.

- Mówiłem wtedy serio. Nie wiem, dlaczego tylko ja to widziałem.
- Znowu coś zauważyłeś? – Modre spojrzenie Agi wierciło mu gdzieś pod potylicą.
- Tak. – Nie był już taki pewien swego. Trudno było znieść wyrozumiały, lekko macierzyński uśmiezek Agi.



- Chcesz to sprawdzić?
- Przed chwilą jeszcze chciałem, ale teraz, po twoich słowach, mam wątpliwości.
- Że znowu rzeczywistość się pruje, a potem nieznani sprawcy nieudolnie naprawiają ją dla ciebie? – Dalej się uśmiechała.
- Właśnie coś takiego czuję.
- A co teraz się popruło?
- Samochody wyrastają z płyt chodnikowych parkingu.
- O, nie! Nie pójdziemy tam. Przeziębisz się.

– Zaczekasz chwilę. W moim pokoju z powrotem założę mokre łachy. Potem drugi raz się wysuszę.

– To chodźmy od razu. Trzeba posklejać poprutą rzeczywistość.

Teraz tylko padało, gęsto, ale nie ulewnie. Wiatr ustał. Recepcjonistka z niepokojem patrzyła na przemoczzonego Ioanneosa, który znowu wychodził na dziedziniec.

Oczywiście samochody na parkingu przestały być atrapami. Wprawdzie nadal kluczyków do swojego nie dostał, ale bez wątpienia wszystkie wozy stały na zwyczajnych oponach i z każdej strony były normalnymi samochodami. Niektóre miały ślady otarć czy drobnych uszkodzeń karoserii. Wewnątrz mrugały czerwone lampki autoalarmów i niebieskie immobilajzerów.

– Proszę się nie niepokoić o swój samochód – powiedziała recepcjonistka, gdy wrócili. – Pojazdy są stale monitorowane. Może się pan nie obawiać kradzieży.

– Ale w czasie burzy...

– W czasie burzy monitoring gorzej działa. Widoczność jest ograniczona. Dlatego wtedy wszystkie samochody mają założone ciasne blokady. Zostały przez nas troskliwie zabezpieczone. Nawet jeśli złodziej włamie się do środka, na takich kołach nie zdoła odjechać i zostanie schwytyany. Musieliśmy to zrobić, podjąć tak drastyczne środki ostrożności, bo plaga kradzieży samochodów zrobiła się nieznośnie uciążliwa.

– Nie uszkodzi to opon?

– To jest wykluczone. Metoda została sprawdzona naukowo. – Recepcjonistka była nieubłagana. – Nie mieliśmy zastrzeżeń ani reklamacji. Wszyscy wykładowcy są zadowoleni. Pańskiemu samochodowi z pewnością też nic się nie stanie.

Dobrze pamiętał, co widział. To nie były żadne blokady, ciaśniejsze czy luźniejsze. Koła samochodów po prostu wyrastały z płyt betonowych, a niżej stawały się ich częścią. Ale co tutaj mówić? Machnął ręką.

– Chodź się szybko przebrać – powiedziała Aga.

– Nie mam w co. Zaraz wyschnę. W środku jest całkiem ciepło. – Pokiwał głową. – Recepcjonistka знаła odpowiedź na moje wątpliwości. Jakby została ostrzeżona.

– W tak krótkim czasie jej powiedzieli?

– Może podmienili ją na inną, bardzo podobną do tamtej. – Teraz on zażartował.

– Uważasz, że za te same osoby nieznanymi sprawcy podstawiają ci różnych aktorów? – Uśmiechnęła się w swój sposób, ale zaraz spoważniała i obserwowała go.

– Różni aktorzy odgrywają tych samych moich znajomych?

– Właśnie. Dzisiaj jestem kimś innym niż wczoraj przy kolacji, i jeszcze innym niż wczoraj przy obiedzie.

– No, wiesz... Akurat ty bywasz złożoną osobowością... – Teraz on się uśmiechnął.

– No! Uważaj sobie. – Energicznym ruchem poprawiła plecak na ramionach.

– Nie przemókl ci na deszczu?

– Nie zdążył. Rzeczywistość: została wystarczająco pozszywana.

## **26 Przejazdźka z Eleonorą**

*(Ioanneos, Eleonora)*

Na recepcji odebrał kolejną rozpiskę z wykładami. Znowu przewidziano dla niego zajęcia w kratkę. Sporo pustych miejsc w grafiku. „To chyba stało się już regułą”, pomyślał. „Czym powinienem wypełniać wolny czas? Czego ode mnie oczekują? Biblioteka zamknięta, pokój w sprzątaniu”.

– Dostaliśmy już z konserwacji kluczyki od samochodów – odezwała się recepcjonistka. – Może pan odebrać swój.

Poczuł, jakby pękła obręcz pętająca duszę. Nie był już uwięziony. W każdej chwili mógł się stąd wydostać.

– Gdzie mam pokwitować?

– Tu proszę. Może go pan trzymać w swojej skrytce w pokoju albo w przegródce tutaj. Zachęcam do trzymania kluczyka na recepcji, zdarzały się kradzieże ze skrytek indywidualnych. Organizator nie odpowiada za niezdeponowane mienie uczestników konferencji.

Ioanneos bawił się breloczkiem, od niepamiętnych czasów nie kierował.

– Gdyby się pan zamierzał gdzieś wybrać, proszę dać znać. Alumenowi przysługuje jeden pełny bak paliwa. Zatankujemy go do pełna. Mówił pan już swój referat? – dopytywała się dalej recepcjonistka.

– Dlaczego pani pyta?



– W takim przypadku przysługuje panu też ładowanie akumulatora. Przy tej wilgoci akumulatory na parkingu szybko siadają. Niestety ośrodek nie może zaoferować alumenom garażu zadaszonego.

„Tutaj każdy wyklada”, pomyślał Ioanneos. „Każdy ma przynajmniej raz okazję, żeby przedstawić swoje tezy”. Podziękował, schował kluczyki do kieszeni i poszedł.

Po namyśle jednak zawrócił i poprosił o pełen bak paliwa, a kluczyki przykładowo zostawił w przegrodce. Jasnowłosa recepcjonistka uśmiechnęła się do niego.

– Ile będzie trwało tankowanie i ładowanie akumulatora?

– Z ładowaniem to by potrwało... – popatrzyła na swój zegarek – do najbliższego posiłku. Życzy pan sobie naładować akumulator?

– Tak, proszę. Skoro mi przysługuje.

Zostawił kluczyk na recepcji i poszedł do kafejki.

Pragnienie ucieczki opanowało jego myśli. Skoro zwrócili kluczyki do samochodu, stąd można się wyrwać. Nie myślał o ucieczce zupełnej, ale tylko o wypadzie gdzieś na zewnątrz. Zobaczyć jakieś inne miejsce, wreszcie porozmawiać z kimś spoza ośrodka. Może coś zwiedzić przy okazji.

– Ależ jesteś zamyślony – odezwała się Eleonora.

Podniósł na nią niezbyt przytomne spojrzenie.

– Przysiadłam się kwadrans temu, a ty nic. Co chwilę poprawiam spódniczkę, odsłaniam uda nieco wyżej, pochrząkuję, przesuwam dłonią krawat z prawej na lewą, żeby odsłonić więcej dekoltu spod półprzezroczystej bluzki, a ty dalej nic. Na pewno dumasz o jakiejś interesującej, nowo poznanej alumenie. – Rzuciła mu bystre spojrzenie. – Ale chyba nie myślisz o Izabeli, bobym uschła!

– Nie... Izabela ciągle chodzi z Prosperem. Z innymi nie chce nawet porozmawiać.

– Faktycznie, ostatnio zrobiły się z nich papużki nierozłączki. Ona umie bardzo ładnie opowiadać, a on uwielbia zajmujące historie. Prosper zakochał się w jej ulubionej bajce. Wiesz, tej o zajęcach, które pokonały myśliwych i psy myśliwskie. Zajęcze wojsko toczy zwycięskie bitwy z armią myśliwych, a szubienice aż uginają się od powieszonych psów myśliwskich. Dusza aż rwie się, żeby się coś takiego przyśniło.

– Nie znam tych szczegółów.

– Coś takiego? Izabela wszystkim opowiada o tym z najdrobniejszymi detalami, żeby oczarować wyobraźnię. A co to za nowo przybyła oczarowała ciebie?

– Wycieczka-ucieczka.

– Co takiego?

– Chcesz wybrać się ze mną na przejażdżkę?

– Dokąd?

– Gdzie oczy poniosą.

– We śnie czy w myślach?

– Moim samochodem. Zatankowali mi bak do pełna i naładowali akumulator. Możemy poszaleć.

– Ale wrócimy do ośrodka? Nie chcę opuścić tego miejsca.

– Dobrze ci tu?

– Źle nie jest. W innym miejscu byłoby gorzej. W moim wieku muszę dbać o siebie, oszczędzać się.

– Nie widać po tobie wieku.

– Właśnie dlatego. – Wyprostowała się z dumą. – Daj mi znać, jak będziesz gotowy do drogi. Poza wykładami kręcę się w pobliżu termosów z kawą. Podejdz i powiedz, że ekwipaże już spakowane, a pojazd gotowy.

– Możemy jechać zaraz.

– Zaraz? To szaleństwo.

– Wszystko dzięki mojemu referatowi. Przygotowali mi wóz dojazdy.

– Podoba mi się twoje szaleństwo.

– Weź coś cieplejszego, bo pogoda parszywa.

– Nie mam innego odzienia.

– No dobrze. Załóż moją kurtkę.

Pomógł jej wsunąć ręce do rękawów. Eleonora zaciągnęła suwak.

– Całkiem zgrabnie wyglądam, chociaż ramiona o wiele za szerokie – krytycznie oceniła swój nowy strój.

Zbiegali po schodach.

– A jak mnie zatrzyma recepcjonistka?

– Nie zatrzyma. Mam zgodę na użycie samochodu.

– Ale ja nie mam zgody na podróż.

Podeszli do biurka.

– Proszę o kluczyki – powiedział. – Akumulator miał już być naładowany.

Recepcjonistka spojrzała na nich poważnie. Otworzyła służbowy dziennik.

– Ioanneos w dwóch postaciach – przeczytała.

Oboje spojrzeli na siebie, znacząco wytrzeszczając oczy.

– Tak, zgadza się. Wóz jest przygotowany. – Podała Ioanneosowi kluczyki.

Podziękował i wrzucił je do kieszeni spodni.

Na dziedzińcu zatrzymały ich strugi deszczu.

– Który jest twój?

Nacisnął guzik zamka centralnego. W jednym z wozów zamrugały światła pozycyjne.

– Ten srebrny.

– Wszystkie są tu srebrne.

– Chodź, chodź, biegiem... Zaraz nas przemoczy.

Otworzył jej drzwi pasażera, a sam wsiadł zaraz po niej.

– Ależ ulewa – powiedziała. – Niespecjalna pogoda na wycieczkę.

– Zapnij pasy.

– Co?

Pomógł jej zaciągnąć pas bezpieczeństwa.

– Krawat mi się pomnie – zauważyła.

– Lubisz tak się nosić.

– Nie rozstaję się z krawatem, chociaż dla kobiet to rzadki element stroju.

– Dawniej może tak, teraz zrobił się bardziej popularny.

– Dodaje sylwetce smukłości, oficjalności i powagi.

– Na pewno. Ty bez tego masz smukłą sylwetkę.

– Tak. Po długim czasie wróciłam do młodzieńczej formy. Nie było to łatwe.

Samochód odpalił za pierwszym razem.

Eleonora z niepokojem popatrzyła na światelka kontrolne.

– Wszystkie szybko pogasną. To tylko w czasie rozruchu.

– Wyobraź sobie, że nigdy dotąd nie jechałam samochodem.

– Może po prostu nie pamiętasz. W ośrodku, w nawale zajęć, zapomina się wszystko.

– Skoro tak mówisz... Mnie jednak się wydaje, że pierwszy raz siedzę w wozie bez koni.

– Nie widziałaś w życiu samochodu?

– No przecież stoją na parkingu przed ośrodkiem. Co dzień je widuję. To tylko takie dziwaczne wrażenie, ale nie mogę się go pozbyć.

Samochód parkował skierowany dość ostro w dół. Kiedyś nie splantowano placyku, może po to, żeby woda się nie gromadziła. Przez to teraz trzeba było na wstecznym, wolno, zwalniać sprzęgło, jednocześnie przytrzymując hamulec.

– Ja doskonale pamiętam, jak się prowadzi wóz. – Za szybko spuszczone sprzęgło zgasiło silnik. Rozrusznik znowu zapalił komplet kontrolki.

– Coś nie tak?

– Wszystko tak – burknął niezadowolony. Ruszył dopiero z zaciągniętego hamulca ręcznego. Wolno, na wstecznym, wyprowadzał samochód z pozycji na parkingu. – Dziwacznie pochylony ten parking. Samochody celują w dół zbocza. Trochę nieuwagi i można wylądować na łące pięćdziesiąt metrów niżej, z pourywanymi wahaczami.

Eleonora uśmiechnęła się uprzejmie.

Zjechali najpierw stromym podjazdem, po ustawionych luźno dużych płytach betonowych, zaraz potem zaczęła się droga, która weszła w las. Reflektory wydobywały z mgły czarne gałęzie, które w tym świetle przemieniały się w tajemnicze powyginane kształty, jakby drapieżnie zakrzywione szpony, wychudłe ramiona.

– Smreki zwykle nie mają tak pogiętych konarów – zauważyła.

– Te tutaj wyglądają jak zdeformowane huraganowym wichrem.

Samochód podskakiwał na leśnej drodze. Dziur nie było za wiele, ale spomiędzy pni mogło wyskoczyć jakieś zwierzę, więc Ioanneos nie rozpędzał za bardzo wozu, nie przekraczał pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Droga biegła jednostajnie przed siebie, nie opuszczając lasu.

– Ależ to pustkowie – powiedział. – Ani jednego domu, ani jednej chaty, żadnych pól czy gospodarstw, tylko las i las.

– Zdarzają się niezamieszkałe tereny – zaprzeczyła. – Czasem nie ma osad kilometrami.

– Jak ona odnotowała nasze przybycie? – zastanawiał się. – Ioanneos w dwóch postaciach...?

– Jakoś tak powiedziała.

– Ona rozpoznaje nas tylko po wierzchnim odzieniu? Inaczej nie rozróżnia?

– Pierwszy raz jestem mężczyzną.  
– Jak ci z tym?  
– Nijak... – Wzruszyła ramionami. – Prowadź uważnie, bo w tym szalonym pędzie wylądujemy na drzewie albo w rowie przydrożnym.

## **27 Ciąg dalszy wycieczki**

*(Eleonora, Ioanneos, recepcjonistka)*

Starał się powstrzymać senność, ale powieki bezlitośnie opadały. Marzył o kubku mocnej, gorzkiej kawy i suchym, bardzo słodkim ciasteczku. Sceneria za oknami ani trochę się nie zmieniała. Stale taki sam las. Może tylko co jakiś czas lekko skrywany mgiełką. Wydawało się, że najpierw droga wiedzie nieco w dół, potem długi odcinek prowadził po równym, a wreszcie znowu jakby zaczęła się wznosić. Ale równie dobrze mogło to być złudzenie zmęczonego jednostajną jazdą kierowcy.

Obudził Eleonorę po trzeciej godzinie jazdy.

Półprzutomna podniosła głowę. – Czyj to wykład? – mruknęła.

Uśmiechnął się. – Wybrałaś się ze mną na wycieczkę.

– Ciągłe ten las?

– Bez przerwy. Żadnego skrzyżowania, polany, nic. Oczy mi łzawią od wypatrywania w ciemności.

– Stale te powyginane gałęzie wydobywane z mroku światłem reflektora. – Eleonora szybko uczyła się terminologii motoryzacyjnej.

– Trzeba będzie zawrócić – powiedział. – Nie może nam braknąć benzyny na powrót.

– To przecież niemożliwe, żebyśmy byli na aż takim bezludziu. Skądś muszą dowozić zaopatrzenie do ośrodka.

– Nie było ani jednego drogowskazu, żadnej informacji, nic.

– Może pojechaliliśmy w przeciwną stronę, niż jest wieś. Takie lasy mogą ciągnąć się przez całe dni drogi. Kiedy najpóźniej musimy zawrócić?

Spojrzał na wskaźnik. – Za godzinę.

Skinęła głową.

Znowu długo nic się nie działo. Las wydawał się niezmienny i nieskończony. Droga snuły się kłęby mgły, opar rzadko się rozchodził, a wtedy jezdnia była lepiej widoczna.

Nagle szosa rozszerzyła się. Las ustąpił.

– Wreszcie coś nowego – powiedziała Eleonora.

Droga wspinała się na wzgórze. Wkrótce podjechali pod mroczny, prostokątny budynek ośrodka. Mimo nocnego mroku, w wielu oknach paliło się światło.

– Jakżeż tak!? Jak to się stało?

– Zmyliliśmy drogę w lesie – powiedziała spokojnie Eleonora. – To się często zdarza we mgle. Potem jechaliśmy tą samą drogą, tylko w przeciwnym kierunku. To bardzo proste. – Ziewnęła. – Jestem zmęczona. To nie była bardzo interesująca wycieczka. Mogła trwać godzinę krócej. Mam ochotę na gorącą kąpiel, potem kawę, albo lepiej na drzemkę.

– Samochód nie może zabłądzić, jadąc drogą, na której nie ma skrzyżowań. To jest niemożliwe.

– Więc może było skrzyżowanie, ale je przegapiliśmy. Ta droga była taka mroczna. Oświetlały ją tylko reflektory naszego samochodu. Gdyby drogi się łagodnie rozwidliły, mógłbyś nie zauważyć zjazdu. Może wtedy spałam, a ty drzemałeś z otwartymi oczyma? Teraz pójdę się zdrzemnąć, kawa za bardzo mnie pobudzi o tej porze.

Na placyku miejsce jego samochodu było wolne, więc zaparkował tam z powrotem. Mocno zaciągnął hamulec ręczny, żeby wóz nie spadł z dziedzińca.

Wysiedli. Od razu go przewiało do kości. Pomógł wysiąść Eleonorze. Ta zaczęła ściągać kurtkę.

– W budynku, w budynku – rzucił. – W samej bluzce zaraz się tutaj przeziebiesz.

Razem pobiegli ku recepcji. Obrotowe drzwi nie zostały zablokowane. W korytarzu było dużo cieplej, zacisznie.

– Nie lubię chodzić w przezroczystej bluzce. Irytuje mnie na wykładach, jak się na mnie gapią – powiedziała Eleonora. – Po prostu nic innego nie mam. – Oddała mu kurtkę.

– Wszyscy gapią się, czy nie zapomniałaś założyć halki.

– O nie! Tego na pewno nie zapomnę. – Umilkła na chwilę. – Chyba że mi jej nie wydadzą, jak odzież wróci z prania. Zdrowo się już sprąła, podzółkła. Muszę ją obszywać, bo ramiączka się strzępią.

Ioanneos oddał kluczyki na recepcji.

– Kiedy znowu wolno mi będzie się przejechać? – spytał ciemnowłosa recepcjonistkę.

– Znowu przejechać się? – Recepcjonistka zrobiła bezmyślną minę.

– No na przykład.

– Przecież zużył pan już benzynę przysługującą alumenowi. Po następnym referacie prawdopodobnie dostanie pan nowy przydział.

Ta wypowiedź go zmroziła. Więc grozi mu następny wykład?

– Nie ma po co jeździć – odezwała się Eleonora. – Tam na trakcie nie ma nic ciekawego. Tylko las i mgła. Tu w ośrodku jest fajniej. Chodź! – Zagarnęła go ramieniem.

## **28    *Rozmowa o podlej kondycji alumen***

*(Ioanneos, Eleonora)*

Ioanneos nie mógł przejść do porządku dziennego nad intrygującymi spostrzeżeniami. Dziwne wydarzenia, dziwne relacje międzyludzkie. Rozmowy, inicjowane dość regularnie, w których jedni atakowali, a inni padali ich ofiarą. Ioanneos nie radził sobie z takimi sytuacjami, z reguły stawał się wtedy przedmiotem ataków. Zupełnie jakby znajdowały się tu dwa rodzaje ludzi. Jedni byli promotorami takich zachowań, a drugich wtedy rozliczano, tresowano, atakowano.

Albo wreszcie ta dziwna wycieczka. Jechać cztery godziny prosto przed siebie i wrócić do punktu wyjścia? To nie jest możliwe. Wbrew zapewnieniom Eleonory po drodze żadnego skrzyżowania nie było. Cały czas tylko jedna, wąska nitka drogi, tak wąska, że gdyby ktoś nadjechał z naprzeciwka, najlepiej byłoby dla ostrożności zwolnić i minąć się na najmniejszej prędkości. Ta szosa zatoczyła nadzwyczaj obszerną pętlę. Ale w takim razie po co w ogóle ją zbudowano, skoro prowadziła donikąd? Poza tym sceneria tej drogi. Przecież nie jest łatwo znaleźć okolicę, w której przez dwieście kilometrów z hakiem jedzie się bez przerwy przez las i nie ma ani śladu pól czy zabudowań.

Siedzieli z Eleonorą na ulubionych fotelach przy toalecie. Od popielniczki zajeżdżało starymi petami, ale tutaj było cicho, intymnie. Ioanneos popijał swoją kawę, ona swoją.

Specjalnie upolował ją przy stoliku, przy którym Balduga chwytala ofiary na godziny integracyjne. Usiłował wysondować, czy Eleonora zalicza się do pierwszego, czy też do drugiego

rodzaju ludzi. Gdyby była kimś takim jak on, można by było podzielić się wątpliwościami, gdyby zaliczała się do drugiego rodzaju, będzie się starała odwrócić jego uwagę od dziury zauważonej w rozprutej rzeczywistości, podobnie jak Agata.

Zresztą Agata przestała budzić jego zaufanie. Przesadnie ignorowała zadziwiające fakty. Nie przestał jej lubić, wyczuwał jej dobro, ale stał się ostrożniejszy.

– Wycieczka samochodowa nie była aż tak bardzo nudna – Eleonora przerwała jego zamyślenie. – Podobał mi się ten niesamowity pęd, z jakim jechaliśmy.

– Nie przekraczałem bezpiecznej prędkości.

– W życiu nie gnałam szybciej. Koń w galopie pędzi ze dwa razy wolniej.

– Tylko las, gałęzie i mgła.

– Zawsze jakaś odmiana. Chciałam jak najszybciej wracać z innego powodu.

– Tak?

– Rozpruła mi się spódnica od twojej strony. Musiałam stale zasłaniać się ręką, a szew rozjeżdżał się bardziej i bardziej. Najpierw całe biodro, potem udo i wciąż nie chciał się zatrzymać.

– Myślałem, że jesteś zniecierpliwiona.

– Udawałam zniecierpliwienie. Czułam się bardzo źle ze spadającą garderobą. Wiesz, chciałabym mieć zwyczajną, ładną, kolorową spódnicę...

– W swojej wyglądasz wyjątkowo zgrabnie. Wyróżniasz się wśród innych kobiet wyglądem i gustownym, zadbanym strojem.

– Popatrz, jakie to ma kolory. Jakby farbować tkanin tutaj nie umieli. Spódnica niby granatowa, ale raczej jakieś to wszystko poszarzałe, kolor wybladł, białawe plamy.

– Sprane jak halka?

– Sprane jak halka. Przywykłam, że halka ma być śnieżnobiała, a ta jest kremowa ze starości. Izabelę ubierają jeszcze gorzej.

– Ona też wyróżnia się swoimi błękitami. Inne alumeny odziane są na szaro, czasem na brązowo, buro.

– Suknia się jej potargała. Po każdym praniu oddają jej bardziej zniszczoną. Mam dużo szycia za każdym razem.

– Narzekała, że dali jej suknię, która ją obnaża w czasie ataku padaczki.



– Tylko lewą pierś, i to nie zawsze. Ale niedługo, kiedy znowu padaczka rzuci nią na ziemię, Izabela zostanie upokorzona do reszty. Stara suknia rozleci się na kawałki i wtedy Izabela będzie miotać się goła po parkiecie.

– Bielizny nie nosi?

– Ma łańchmany, nie bieliznę. Wszystko kompletnie zbutwiało. Rozlatuje się w palcach. Po każdym razie muszę na nowo to zszywać.

– Ktoś powinien o to zadbać.

– Znasz tego ktosia? – Eleonora uśmiechnęła się ironicznie. – Ja takiego nie spotkałam. Zresztą nam nie jest tak źle, podobno innym jest jeszcze gorzej. Kompletny brak opieki. Recepcjonistki tylko rozdają karteczki i nic więcej ich nie obchodzi.

– Moje ubranie się nie rozlatuje.

– Poczekaj. Pobędziesz tutaj dłużej, zaczną się kłopoty. Lepiej zawczasu zacznij kolekcjonować nitki.

– Nitki...?

– Nitki, sznurki, linki.

– Do czego?

– Do zszywania odzieży. Iglę mamy na spółkę z Izabelą, więc jest czym szyć, ale przydałaby się duża szewska igła do szycia butów.

– A linki po co?

– Żeby ci spodnie nie spadły, jak się pasek rozleci ze starości. Ja noszę spódnicę na lince od suszarki z łazienki. Pasek dawno zbutwiał.

„Jak krótko ja tutaj jestem?”, pomyślał.

## **29 Pierwsze wyjaśnienie sytuacji**

*(Ioanneos, Quent)*

Rozmowa z Eleonorą nie przyniosła rozstrzygnięcia. Dziewczyna nie zachowywała się jak człowiek drugiego rodzaju, jednak zdradziła się sporą wiedzą. To nawet nie jej słowa, które były mniej lub bardziej niejasne, lecz raczej dziwny stosunek do niezwykłych zdarzeń. Zupełnie jakby

już wcześniej doświadczyła tych wszystkich zdarzeń albo potrafiła je przewidzieć. Z kim więc rozmawiać? Kto mógłby zasługiwać na zaufanie? Z kim podzielić się spostrzeżeniami?

Chyba najbliższa mu była Agata. Rozmawiał z nią na różne tematy, a godzina integracyjna, chociaż zakończona sprzeczką, ujawniła raczej bezradność i prostolinijność Agaty niż tkwiące w niej ślady zła. Nie rozumiał, dlaczego mianowano ją uczestniczką. Zresztą dotąd nie rozumiał do końca, na czym polega status uczestnika. Mogło się to na przykład wiązać z wykonywaniem jakichś szczególnych poleceń organizatorów konferencji. Może na przykład zobowiązywało do informowania o tematach rozmów z alumenami. Z drugiej strony zauważył, że wystarczy podnieść głos albo tylko powiedzieć coś cicho, ale stanowczym tonem, i już alumeni zaczynają rozmówcę traktować właśnie jak uczestnika. Może tak się tu awansuje?

Zadziwiła konsekwencja, z jaką Agata starała się lekceważyć wszystkie dziwne wydarzenia przydarzające się Ioanneosowi. Nie próbowała ich tłumaczyć, lecz je negowała. Konsekwentnie nie przyjmowała faktów do wiadomości, a jego samego przekonywała, że nie zaszyły. „Ciekawe, jak wytłumaczyłaby dziwną wycieczkę z Eleonorą?”, uśmiechnął się do swoich myśli.

Z Izabelą nie można rozmawiać. Prosper mógłby odnieść wrażenie, że ma rywala. Przestał gonić za innymi kobietami, zainteresował się tą jedną. Oboje spędzali obecnie z Izabelą bardzo wiele czasu, lepiej nie ingerować w ich relacje, bo można zaszkodzić.

Przypadkiem przysiadł się Quent.

– Nie uważasz, że otaczają nas dziwaczni sadyści? – mruknął. Kiedyś już rozmawiali o warunkach w ośrodku, a Quent bardzo krytycznie wypowiadał się o wielu sprawach.

– Miałaś godzinę integracyjną z uczestniczką Baldugą? – Ioanneos wykrzywił się w uśmiechu.

– Właśnie tak. Znęcała się nade mną bez umiaru.

– Mnie też zadziwia. Zna wiele sposobów sączenia nienawiści, a każdy z nich bardzo skuteczny.

– Pamiętam jej wściekły atak na ciebie w czasie twojego referatu. – Quent palcami orał skórę pod koszulą na klatce piersiowej. – Zresztą ona zawsze gwałtownie atakuje swoje ofiary.

– A od ciebie czego chciała?

– Moim przestępstwem było, że się drapię w czasie zajęć. Co ja poradzę, że skóra mi się rozkłada? Balduga stwierdziła, że takie zachowanie nie licuje z powagą alumena. Wrzeszczała na mnie z godzinę.

– Wrzask jest jej główną bronią. Też to zauważyłem.

– A ciebie nie zrobili uczestnikiem po tym referacie? – Quent spojrział z ukosa.

– Nikt mi nic takiego nie powiedział.

– Niekoniecznie ci to powiedzą. Sam się zorientujesz.

– Parę razy posłuchali mnie rozbawieni alumeni. Naładowali akumulator do mojego samochodu. Innych apanaży nie było.

– To zwykle rzeczy. Chyba pozostałeś alumenem. Czekaj na kolejny referat.

– To w sumie dziwaczne. Uczestnicy wydają mi się innym rodzajem ludzi. Balduga ma wiele wspólnego z Rajgą, chociaż ta druga jakby jeszcze nie miała odpowiedniej wprawy i pewności siebie. Te dwie namierzyłem, może jeszcze Agata, ale tutaj nie mam pewności. Może do niedawna była zwyczajną alumeną, ale niedawno mianowali ją uczestniczką?

– Agata jest jeszcze innego rodzaju, ale prawie trafiłeś... – Quent urwał. Rozejrzał się po korytarzu.

„Są tu podsłuchy?”, pomyślał Ioanneos. „Co on wie? Tak dziwnie urwał te słowa...”

– A ty rozpoznałeś kogoś jeszcze innego takiego...?

– Na pewno to Rehot – odpowiedział Quent tak cicho, że tylko siedzący tuż obok Ioanneos mógł usłyszeć. – Jest jeszcze kilku innych rehotowatych, podobnych do tamtego jak bracia. To jest wskazówka, że on też taki...

– Idziemy po nową kawkę? – zaproponował domyślnie Ioanneos.

– Właśnie. To dobry pomysł.

Zebrali się z foteli.

– Bezpieczniej jest rozmawiać, chodząc – powiedział Quent. – Oni mają mikrofony w fotelach. Nie we wszystkich, ale nigdy nie ma pewności, czy nie przysiadłeś na takim z podsłuchem.

– Po czym to rozróżnić?

– Zaraz przyplące się do ciebie jakiś rehotowaty i będzie łąził za tobą. Oznacza to, że wysłuchali twoich zwierzeń i chcą wiedzieć więcej.

Nikt się jednak nie przyplątał. Spacerowali razem wzdłuż korytarza.

– A sny? – spytał Quent. – Plastikzne, realistyczne sny. Czy nie miałeś takich?

– Tak. Miałem ich kilka. Z początku myślałem, że to techniki uczenia pozaświadomego, ale zmieniłem zdanie. – Ioanneos nie zamierzał ujawniać Quentowi ich treści. Nie miał do niego

dość zaufania. Stale pamiętał sen, w którym był właśnie Quentem. – Ale te sny już się skończyły. Minęły. To był dobry czas, jakiś przerywnik w szarej rzeczywistości ośrodka konferencyjnego.

– Czasem tak się zdarza. Takie sny niosą ważne informacje. Nie zapominaj ich treści.

– Wystarczy jedno spotkanie z Baldugą i wyobraźnia staje się jałowa jak wyciśnięta gąbka. Sny znikają na długo.

Quent rzucił mu krótkie spojrzenie. – W ogóle nie używam gąbki. Rani moją skórę.

Ioanneos nie odezwał się. „Co to ma znaczyć?”, pomyślał.

– To nie spotkania z Baldugą pozbawiają snów – powiedział po chwili Quent, jakby nie doczekał się właściwej odpowiedzi.

– A co?

– Jeśli w ogóle jesteś w stanie zasnąć w noc po spotkaniu z Baldugą, to sen może nadejść, będzie wartościowy, chociaż może być koszmarem.

Ioanneos słuchał z uwagą.

– Sny odchodzą, jeśli dzielisz się ich treścią z inną osobą. Najgorzej, jeśli przez przypadek podzieliliś się nim z osobą, z którą śniliście wspólnie właśnie opowiadany sen.

„Skoro to prawda, to sny realistyczne Izabeli też pewnie się skończyły, a każda noc kończy się dla niej szarą, przygnębiającą pustką. Może to wyczuła, albo też o tym wiedziała, i zaczęła mnie unikać...?”

– Teraz musimy przerwać rozmowę – powiedział Quent. – Każda za długa rozmowa staje się tutaj obiektem zainteresowania uczestników. Wkrótce do niej wrócimy, nie trzeba długo czekać z rozpoczęciem nowej. Oni mają krótką pamięć. Inna sprawa, że nie wiadomo, kiedy się znowu spotkamy.

– Skoro nie wiadomo, kiedy będzie okazja dowiedzieć się więcej, to powiedz mi coś dodającego otuchy.

– Nie jestem sam.

## 30 *O Quencie*

*(Quent, Ioanneos, Cavernata)*

Ioanneos układał się już do snu, gdy usłyszał ciche pukanie do drzwi. Raz, dwa, trzy... Przerwa. I znowu raz, dwa, trzy... Wskoczył z łóżka. Na korytarzu stał Quent z kimś nieznanym.

Ioanneos uchylił drzwi, a obaj spiskowcy weszli do środka.

Nieznajomy rozejrzał się po pomieszczeniu. Był dość wysoki, śniady, ciemnowłosy, jego twarz orały głębokie zmarszczki. Nie tak szczupły jak Rehot, jednak też wyróżniał się nienaganną sylwetką. – Z kim tutaj rozmawiałeś? – spytał.

– W tym pokoju...? – zdziwił się Ioanneos.

– Tak.

– Kiedyś była tutaj Agata. Rozmawialiśmy. Innych nie pamiętam.

Nieznajomy skinął głową. – Możemy usiąść?

– To jest Cavernata. Drugi badacz ośrodka. Razem spotykamy się już od lat – przedstawił go Quent.

– Nie wolno ci się przyznać do znajomości ze mną – powiedział Cavernata. – Niezbędna jest zupełna dyskrecja, zarówno w stosunku do alumenów, jak i do uczestników. Masz zachować milczenie. Oni stale chcą nas tutaj wysledzić. Nie ma wątpliwości.

„Więc jednak nie zwariowałem”, pomyślał z radością Ioanneos. „Są inni myślący jak ja”.

– Quent cię wytypował jako kandydata do naszej drużyny – ciągnął Cavernata.

– Już w pierwszej rozmowie zwróciłeś moją uwagę – wyjaśnił Quent. – Wczorajsze spotkanie przechyliło szalę.

– Od czasu pierwszej rozmowy obserwowaliśmy cię.

– Twój referat przekonał Cavernatę, że nie jesteś człowiekiem drugiego rodzaju, jak sam ich nazywasz.

– Żaden z nich nie powiedziałby czegoś takiego do alumenów. – Cavernata pokiwał głową.

– Wymyśliłem treść na chwilę przed rozpoczęciem referatu.

– Wymyśliłeś...? – Cavernata uśmiechnął się z uznaniem. – A ja myślałem, że to głęboko przemyślane, gdzieś przeczytane, potem starannie nauczone... Brawo!

– Nie tworzymy żadnej organizacji – wtrącił Quent. – Po prostu chcemy wiedzieć więcej o naszej sytuacji, chcemy zrozumieć reguły, według jakich działa ośrodek konferencyjny. To, co wiemy, jest tylko wynikiem naszych obserwacji, spostrzeżeń. Nie spodziewaj się pełnego wyjaśnienia, bo go nie znamy.

– Nie pytaj nas dlaczego, ale przez jakiś czas będziemy się spotykali w taki sposób jak dzisiaj – powiedział Cavernata. – Zanim poznasz wszystkie tajemnice, będziemy pojawiać się w niezapowiedzianym czasie, w nieoczekiwanych miejscach. Musimy zachować ostrożność, a w ciągu długiego czasu wypracowaliśmy reguły skutecznego zachowania tajemnicy. Dotąd nas nie nakryli. Dlatego musisz nam zaufać w tej materii.

– To dla mnie oczywiste.

– Jeśli spotkasz kogoś z nas na wykładzie czy na korytarzu w czasie wolnym, zachowujesz się, jakby naszych tajnych spotkań nie było. Nie możesz wspomnieć o sprawach, o których tutaj rozmawialiśmy, nawet o sprawach przypadkowych, jednakże nie powinieneś udawać, że nie wiesz, o czym rozmawialiśmy w czasie rozmów jawnych. Nasze rozmowy na korytarzach na ogół są obserwowane i prawdopodobnie zapisywane, dlatego nie można zdradzić się niekonsekwencją wypowiedzi.

– Prosta zasada naszej konspiracji mówi, że powinieneś szczegółowo pamiętać ostatnią jawną rozmowę – powiedział Quent. – To bardzo ułatwia następną rozmowę. Oficjalnie Cavernaty w ogóle nie znasz, a ze mną rozmawiałeś mętnie o dziwnych sprawach w ośrodku, chociaż nie jest pewne, czy oni akurat to podsłuchali.

– Może zasady konspiracji wydają ci się przesadzone, ale dzięki nim obaj z Quentem trwamy tutaj tak długo. Lepiej dmuchać na zimne, niż spłonąć w ogniu.

– To oczywiste – powiedział Ioanneos. – Te reguły nie są trudne do zapamiętania.

– Dobrze. Najpierw rzecz najpilniejsza – kontynuował Cavernata. – Sny informacyjne. Niezwykłe, barwne, wyraziste sny, które wydają się jakby częścią innej rzeczywistości.

Ioanneos pokiwał głową.

– Czy nie przyśniło ci się coś związanego z którymś z nas? – Quent spojrzał na Ioanneosa. – To mogłoby mieć bardzo duże znaczenie.

Ioanneos spojrzał na nich obu. – Owszem – powiedział po namyśle. – Miałem sen, w którym byłem tobą.

– Utożsamienie. – Cavernata aż świsnęła z podziwu.

– Skąd wiesz, że byłeś mną? – Quent patrzył badawczo.

– Choroba skóry, podobne imię. Byłeś w tym śnie malarzem.

– Opowiedz z najdrobniejszymi szczegółami. To dla mnie jedyna droga, by dowiedzieć się czegoś o sobie. Ja sam nic nie wiem.

Ioanneos opowiedział swój sen o diablیم malarzu.

– Piękne imię, choć trochę wieje grozą – powiedział Quent. – Quentin de la Cadavre Młodszy, diabli malarz. Więc jestem aż kimś takim... – Zamyślił się.

– Przypuściłbyś? – Cavernata spojrział na niego z uwagą.

– Byłeś kimś wybitnym, ale nie szczęśliwym – powiedział Ioanneos.

– Nie... skądże... – Quent odpowiedział na pytanie Cavernaty. – Otaczały mnie w twoim śnie jakieś kobiety...? Takiemu Prosperowi ramiona aż się uginają od wielbicielek.

– W moim śnie podobała ci się piękna Caterina Tanagli. Mówiłeś na nią Śnieżynka z Toskanii, gdzie nigdy śniegu nie ma.

– Podobają mi się blondynki.

– Ano właśnie. – Ioanneos spojrział na niego uważnie.

– A skąd Caterina wzięła się w Brugii?

– Mąż ją przywiózł. Była żoną fundatora obrazu. Pozowała Aksamitnemu do rewersu jednego ze skrzydeł tryptyku Sądu Ostatecznego.

– Ja to mam pecha. Nawet we śnie podobają mi się cudze kobiety... – parsknął Quent. – A swojej nie mogę znaleźć.

Ioanneos pokiwał głową.

– O mnie coś ci się śniło? – w głosie Cavernaty zabrzmiała obawa. – Też nic o sobie nie wiem.

– Nie, niestety nie. – Ioanneos pokręcił głową. – Nic o tobie.

– A o kim innym?

– Chyba w innym śnie widziałem Katren i Brendę, ale we śnie obie nazywały się inaczej.

– Brendę? Tę małą, rudą z biblioteki?

– Chyba ją.

– Powiedz ogólnie, bo relacjonowanie snów informacyjnych je oddala. Im bardziej szczegółowo je przekazujesz, tym trudniej je zapamiętać.

– Wykopywały się z ziemi, ja z nimi też. Potem jedna pofrunęła w powietrze.

– Ach, to... – Cavernata jakby zniecierpliwiony machnął ręką.

„Zna takie sny?”, pomyślał Ioanneos. „Do każdego przychodzi właśnie one? Ten sen był piękny, chciałbym jeszcze raz go śnić.

– A dużo miałem liszajów, tych dziur w skórze, w twoim śnie? – spytał Quent.

– Więcej niż tutaj. Faktycznie to dziwne, bo zarówno Katren, jak i Rita w moim śnie były jakby ideałami rzeczywistej urody, a ty byłeś znacznie bardziej doświadczony swoją ułomnością.

– Bo to był inny sen – zgasił Cavernata. – Ja tu nie widzę sprzeczności.

### **31 O kulistości świata**

*(Ioanneos, Cavernata, Quent)*

Ioanneos innymi oczyma patrzył na świat otaczający. Przestał podejrzewać siebie o szaleństwo. Zauważone przez niego osobliwości faktycznie miały miejsce, a byli tu tacy, którzy próbowali to wytłumaczyć. Uczepił się tej myśli, chociaż dotąd jedynie doczekał się umocnienia swego przekonania, że niezwykle, wyraziste sny są czymś ważnym i godnym zapamiętania. „Sny informacyjne, tak nazwał je Cavernata. Ależ to tajemniczy facet. Dziwnie wygląda, trochę jak rehotowaci. Szczupły, prosty, nawet atletyczny, a te głębokie zmarszczki nadają jego twarzy wyraz zakrzepłego śmiechu. Z drugiej strony, jak się zastanowić, może akurat śnię kolejny sen informacyjny. Oni przecież nie powiedzieli nic nowego, umocnili tylko moje opinie i potwierdzili potrzebę skrytego działania, gromadzenia informacji”.

Spiskowcy przestali się pojawiać.

Ułynęło kilka dni, wypełnionych nieciekawymi wykładami, gorzką kawą i słodkimi ciasteczkami, w trakcie których nawet nie ujrzał ich obu. Wreszcie natknął się na Quenta w jadalni.

– Nie mogę się doczekać następnego wykładu Snijdersa – zaczął Ioanneos.

– Będzie o scenach z polowań.

Rozmówca wyglądał marnie, jakby nie spał od czasu ostatniego spotkania.

– Chyba o tym najczęściej mówi. Izabela zna baśń o polowaniach odwrotnych, gdzie to zające łowią myśliwych. Ciekawe, czy Snijders słyszał o czymś takim?

– Znam tę jej opowieść o studni odwrotnej. Podobno to ona tak wpływała na okolicę.



– Mnie nie mówiła, że porządek odwracał się pod wpływem studni.

– Lubię, jak opowiada, nawet kilka razy to samo. Za każdym razem historię modyfikuje i rozwija.

Ioanneos pokiwał głową.

– Dzisiaj. Cavernata się znalazł – szepnął Quent.

Oczy Ioanneosa się zaświeciły. Nie potrafił ukryć emocji.

Czekał do późna. Wydawało mu się, że to już środek nocy, kiedy rozległo się znajome pukanie. Ostrożnie uchylił drzwi. Dwie zgarbione postaci chyłkiem weszły do ciemnego pokoju.

– Nie świeć – powiedział Cavernata. – Dziwne rzeczy się dzieją. Mam nadzieję, że nie ma to związku z rozmowami z tobą. Chyba nie masz zainstalowanego mikrofonu w odzieży. Dotąd nic takiego się nie zdarzyło.

– Cavernata nagle zniknął – powiedział Quent. – Przestał się pojawiać na spotkaniach.

– Dlaczego?

– Właśnie nie wiem dlaczego – rzekł Cavernata. – Normalnie uczestniczyłem w zajęciach. Wydawało mi się, że to standardowa rozpiska, zwyczajnie dobierane wykłady, jednak przygotowali mi taki grafik, że nagle moje zajęcia i Quenta zupełnie się rozdzieliły. Oczywiście próbowałem go znaleźć na korytarzach między zajęciami, ale ani razu się to nie udało.

– Ja też go szukałem – potwierdził Quent. – Pomyślałem, że przypadł przez to, że nawiązaliśmy kontakt z tobą.

„Jak zajęcia mogą się zupełnie rozdzielić?”, pomyślał Ioanneos. „Odbywają się w tym samym budynku, w tym samym czasie. Jak oni mogli się nie spotykać?” Nie odezwał się jednak.

– Przejdźmy do rzeczy. Ty przybyłeś tutaj niedawno – Cavernata zwrócił się do Ioanneosa. – Więc wokół ciebie mogły dziać się, albo jeszcze będą się dziać, sprawy niezwykle, jakby ujawniające tajemnice ośrodka. Potem przestanie cię to spotykać. Mów, co zauważyłeś.

– Byłem na przejażdżce samochodowej poza ośrodkiem.

– Jeśli kto umie kierować, przejażdżka przysługuje po każdym wygłoszonym referacie, nie częściej.

– Jechałem przed siebie cztery godziny i znalazłem się z powrotem przed ośrodkiem.

– Normalka. Przejażdżki zawsze się tak kończą. Ile przejechałeś?

– Ze dwieście kilometrów.

– Jedyne logiczne wyjaśnienie, to że świat to kula o promieniu sześćdziesiąt trzy kilometry, a ty jechałeś po jej kole wielkim, prawda...? Nic z tych rzeczy – Cavernata uciął wszelkie domysły Ioanneosa. – Ośrodek nie został postawiony na kulistej planetoidzie. Nie próbuj tego tak wyjaśniać. To jest błąd. Tyle wiemy na pewno.

– Sam jechałeś? – spytał Quent.

– Z Eleonorą.

– Phi... – Quent świsnął przez zęby. – Mamy drugiego Prospera.

Cavernata uśmiechnął się szeroko. – Co o niej sądzisz?

– Jest ładna.

– To też widzę. Od dawna ją obserwujemy. Czy uważasz, że można ją do nas dołączyć?

– Tak zaraz?

– Ona jest tutaj znacznie dłużej. To ty przybyłeś niedawno.

– Jak niedawno?

– Trudno podać konkretne liczby, ale spotykamy cię od stosunkowo niedługiego czasu w porównaniu z innymi znajomymi.

– Nie dzielcie się swoimi wnioskami ze mną – zauważył Ioanneos.

– To jest celowe. Musisz się do tego na razie przyzwyczaić. Jak sam zobaczyłeś, dzieją się tu sprawy niezrozumiałe, ale akurat w tej materii mamy więcej doświadczenia – powiedział Quent.

– Otóż może być na to za wcześnie.

– Za wcześnie?

– Zdarzało się, że ktoś taki jak ty, to znaczy ktoś, kogo zaniepokoiła sytuacja, zaraz po nawiązaniu kontaktu z nami nieodwołalnie zniknął.

– Zniknął z ośrodka? – Kolejne wyjaśnienia zadziwiały coraz bardziej.

– Tak. Dzień wcześniej rozmawiał z tobą, przekazywał ci swoje najciekawsze wnioski, obserwacje, a potem jedna noc i już przy śniadaniu nie ma po nim ani śladu, szukasz go przy obiedzie, kolacji, kolejnych posiłkach, przez następne dni, tygodnie, zanim uświadomisz sobie, że przepadł stąd nie wiadomo gdzie.

– Często tak było?

– Było. My tylko niewielu dopuściliśmy do naszych tajemnic. Niestety, oni wszyscy szybko znikali.

Quent spojrział poważnie na Cavernatę.

– Zrozum, zasady konspiracji wymyślone przez nas mogą wydać się dziwaczne, nadmiarowe, może zresztą naprawdę są takie, jednak działają – powiedział Quent. – Nie zostaliśmy namierzeni i usunięci z ośrodka. Nie chcemy rozluźniać konspiracji, bo pomylić można się tylko raz.

## **32    *Domysły Eleonory***

*(Ioanneos, Eleonora)*

Eleonora niepokoiła nie tylko Ioanneosa. Zarówno Quent, jak i Cavernata podejrzewali, że może ona prowadzić równoległą konspirację. Jej wiedza mogła wynikać z własnych obserwacji, jednak mogła też być wynikiem wniosków większej grupy spiskowców. Skoro Ioanneos nie zniknął zaraz po nawiązaniu z nimi kontaktu, oznaczało to, że można mu bardziej zaufać. Cavernata uznał, że można wykorzystać jego zażyłość i spróbować dołączyć Eleonorę do spiskowców. Może to właśnie ona wyjawii im coś nowego.

Okazja trafiła się niedługo. Ioanneos znalazł w swojej rozpisce wykład Snijdersa o malowaniu psów myśliwskich. Przypuszczał, że Eleonora też go dostanie. Faktycznie, wyłowił ją na sali. Przysiadł się obok, a po zajęciach zaprowadził na kawę.

– Kiedyś przyśnił mi się fragment Sądu Ostatecznego – powiedział do niej.

– Teraz to mi opowiadasz swoje sny? – Popatrzyła ironicznie. – Już nie Izabeli...?

– Izabela sama teraz więcej opowiada...

– To jak było w tym twoim śnie?

Opowiedział Eleonorze zapamiętaną historię. Inaczej niż w przypadku Quenta i Cavernaty, jej opowiedział prawie wszystkie szczegóły, opuszczając tylko fragment z Katren. Nie potrafił tego racjonalnie uzasadnić, ale Eleonora wzbudzała jego większe zaufanie niż obaj spiskowcy. Może dlatego, że znał ją dłużej?

– Opowiedziałeś ten sen Brendzie?

– Nie. Był bardzo przykry dla niej.

Pokiwała głową z niedowierzaniem. – Niekoniecznie. Spotkała w nim ciebie, a właściwie ideał twojego wyglądu.

– Skoro ja widziałem ją w idealnej postaci, to pewnie ona mnie też.

– Często się odziewasz w listek figowy. Ja też cię takiego widziałam w tym śnie, z którego zwierzyłeś się Izabeli. – Eleonora uśmiechnęła się dwuznacznie, gdy skończył swoją relację.

Zrobił okrągłe oczy ze zdumienia. „Więc ona rzeczywiście sporo wie. Wygadała się przypadkiem czy celowo?”

– Właściwie jesteś bliski mojego ideału.

– Gdybym jeszcze miał na imię Józef, nie Ioanneos?

– Tak, to prawda – ucięła. – A w tym śnie wszyscy byli odziani wyłącznie w listki figowe czy tylko ty i Brenda? – zmieniła temat.

– Wszyscy byli prawie nadzy. – Udał, że nie zauważa jej ironii. – Listki figowe na ogół miały kolor skóry, ale to raczej była odzież niż część ciała, świetnie dopasowana i wygodna, cały czas miałem wrażenie, że mogę to zdjąć.

– Nie zdjąłeś...? Brenda też nie zdjęła swojego listka? Nie sprawdziłeś, czy u niej to też odzież, a nie część ciała...?

– Przestań. To był poważny sen, a nie taki, jaki masz na myśli.

– To był sen proroczy. Z pewnością tak się stanie w ośrodku.

– Dlaczego?

– Ależ dla mnie to oczywiste. – Uniosła się teatralnie. – W czym będziesz chodził, jak ci się ubranie rozsypie ze starości?

– Może wydadzą nam nowe.

– Słyszałeś o kimś, kto tutaj dostał nowe ubranie?

Nie potrafił odpowiedzieć.

– No właśnie. Będziemy odsłaniać coraz więcej nagiego ciała, w miarę jak odzież będzie butwiała do reszty. W końcu zgodnie zaczniemy chodzić w ostatnich resztkach płótna. Postrzępione, skosmaczone łachmany, zasłaniające wyłącznie strategiczne miejsca, będą rzeczywiście wyglądać jak liście figowe.

– A piersi?

– A co będę miała zrobić, jak mi na piersi nie starczy zasłony? – roześmiała się Eleonora. – To dopiero będzie dylemat: gonić z gołym tyłkiem czy biegać z gołymi piersiami?

– W moim śnie ty i Izabela miałyście tylko biodra owinięte pasami tkaniny. Więc chyba będziesz gonić z gołymi piersiami...

– Zawsze tak sypiam... – Wydęła wargi. – Zawinięta w cienki ręcznik, bo nie ma czego innego do spania.

Umilkła na chwilę.

– Zresztą to też była profetyczna wizja! – ciągnęła. – To się działo w przyszłości, kiedy nic innego nam już nie zostało do odzienia, tylko chustka na biodra i na uda. – Oczy Eleonory skrzyły się w uśmiechu jak dwa czarne diamenty. – Wystarczy patrzeć, jak się wszystkim rozlatuje odzienie, a łatwo ocenisz, jak daleko jeszcze stąd do końca świata...

Eleonora wszystko obróciła w żart. Nie była to dobra chwila, by ją wtajemniczać w dziwne obserwacje spiskowców, traktujące przecież właśnie o tym, z czego Eleonora żartowała.

– Ach! Mój biedny krawat! On też się rozsypie w proch, biedaczek...

– Myślę, że w czasie Sądu Ostatecznego akurat ty będziesz chodziła odziana w listek figowy i w krawat.

– Krawata może nie starczyć, żeby zasłonić oszpecenie chorobą – spoważniała. – Guzek w mojej piersi do tamtego czasu na pewno się rozrośnie. Wyczuwam go pod skórą, stale nabrzmiewa.

– Zgódź się na chemioterapię, jak ci zaproponują. To może pomóc.

– Wiem, Izabela mi mówiła, że kiedyś rozmawialiście o mojej chorobie.

– To było w moim śnie.

– Nieważne... – Machnęła ręką. – Na jedno wychodzi.

– We śnie mówiłaś, że piersi wysychają, a guzki z nimi.

– W ośrodku zeszczuplałam, ale bez przesady. Nie ma co na to liczyć. Jak dać znać, że godzę się na chemioterapię?

– Może zostaw kartkę na recepcji?

Nie miał wątpliwości, że Eleonora dużo wie. Dlaczego tak pracowicie wszystko obracała w żart? A potem ta jej uwaga o snach. „Powiedziała, że to wszystko jedno, czy coś ma miejsce we śnie, czy na jawie”, zastanawiał się. „Sen jest jawą, a jawa snem? To dwie równorzędne części tej samej rzeczywistości?” To były inne tezy niż jego własne czy te Quenta i Cavernaty.

Nie przekazał im swoich wniosków. Skoro oni utajniają swą wiedzę przed nim, dlaczego on ma im zdradzać wszystko, co wie...?

### 33 *Drugie wyjaśnienie sytuacji* (*Ioanneos, Cavernata, Quent*)

Ioanneos nie powiedział spiskowcom o zniknięciu łazienki, o przyrośniętych do betonu kołach samochodów ani o dziwnych atrapach książek w bibliotece. Coś za coś. Oni dotąd nie ujawnili mu żadnej ze swoich tajemnic, chociaż on sam został przez nich wykorzystany do prób rozszerzenia spisku. Wprawdzie rozmowa z Eleonorą nie przyniosła spodziewanego rezultatu, ale jej słowa i zręczne uniki dały mu wiele do myślenia.

W czasie kolejnego spotkania, kiedy Quent znowu wypytywał go o szczegóły snu ujawniającego losy Quentina de la Cadavre, Ioanneos powstał, poprawił książki stojące na półce i powiedział:

– Chyba już pora, żebyście mi ujawnili swoje obserwacje.

Odpowiedziało mu milczenie ich obu.

– Spotkaliśmy się już kilka razy. Nie zniknąłem. Nie wzięto mnie na przesłuchania, w których mógłbym was zdradzić. Nie namierzili spisku. Sytuacja znów jest stabilna.

Cavernata spojrzał na Quenta, ten odpowiedział mu spojrzeniem.

– Naprawdę chcesz wiedzieć...? – mruknął wreszcie Quent.

– Oczywiście. Przecież po to włączyłem się do waszego spisku.

– Usiądź – powiedział Cavernata.

– Dlaczego?

– Bo i tak usiądziesz.

Ioanneos znowu przysiadł na swoim łóżku.

– Nie żyjesz – powiedział po prostu Cavernata.

– Jak to nie żyję?

– Zwyczajnie. Ja też nie żyję, Quent nie żyje, podobnie jak wszyscy w ośrodku.

– Jakżeż...?

– Zwyczajnie tak jest.

– Nie ma sensu się tym przejmować – dodał Quent. – Lepiej się od razu pogodzić.

– Prawie nie różni się to od życia – ciągnął Cavernata.

– Jest podobnie, ale nie identycznie. Sytuacja jest dziwaczna, ale można ją badać. Na przykład tutaj nie sposób liczyć dni.

– Dlaczego? – zdziwił się Ioanneos. – Może za oknami niby stale półmrok, ale sypia się regularnie.

– Różni śpią w różnych porach. Zauważyliśmy to po bardzo długiej obserwacji. Każdy śpi kiedy indziej. Cykl wykładów biegnie bez przerwy. Nie wiadomo, kiedy dzień się kończy, a kiedy zaczyna następny.

– Wiem. To taki pomysł nocy nauki, konferencji czy wykładów odbywających się całą dobę. Ktoś to rozpropagował.

– Nie o to chodzi. Dzień dla każdego zaczyna się o innej godzinie. Wykłady będą bez przerwy. Jedne się zaczynają, inne kończą. Każdy z nas ma osiem godzin przerwy na sen, ale dla różnych osób różnie to wypada.

– Wielokrotnie mi się zdarzało, że kilka osób razem decydowało się położyć spać, bo dzień się skończył.

– Niektórzy są zsynchronizowani, chociaż taka synchronizacja nie trwa długo. W rozpisce masz sporo dziur, nie chodzisz na wykład po wykładzie w ciągu tych szesnastu godzin.

– Całe szczęście. Dzięki temu można chociaż trochę odpocząć.

– Właśnie wtedy synchronizacja jest poprawiana albo się rozjeżdża. Dlatego mogło się tak zdarzyć, że nagle Cavernata się zgubił.

Ioanneos pokręcił głową. – Jak się w tym wszystkim w ogóle połapać...?

– Jedynym sposobem jest liczenie wykładów. Dwadzieścia cztery wykłady plus przerwy pomiędzy nimi to doba. Tym sposobem można wyliczyć liczbę miesięcy i lat. – Quent pokazał mi kartkę zakreśloną niemal dokładnie długopisem. Wiele pionowych kresek, przekreślanych po cztery. Papier zniszczony i zmechacony. – Trudno jest mierzyć, bo kartki giną, kiedy śpisz.

– Może sprzątaczką wyrzuca? Kilka razy już wyniosła mi potrzebne notatki. Musiałem interweniować.

– Tak się stale dzieje – potwierdził Cavernata. – Znaleźliśmy na to sposób. Przekazujemy sobie dane i uczymy się tego na pamięć. Przy każdym spotkaniu uzgadniamy wartości. To na wypadek problemów z pamięcią.

– Pozbawiają nas pamięci, zsyłają zapomnienie?

– Tego nie stwierdziliśmy. Liczby się zgadzają, ale stale to sprawdzamy, bo trzeba się liczyć z czymś takim.

– Mamy udokumentowanych czterysta czterdzieści siedem lat pobytu tutaj. Ty przybyłeś później, ale niedługo po tym, jak zaczęliśmy mierzyć czas.

Ioanneos świsnął przez zęby.

– Nie odczułem tego... I nikt tutaj nie wygląda na czterysta lat.

– Nie wygląda, ale odzienie się starzeje. Rozejrzyj się, jedyne soczyste kolory widzisz w swoich snach albo na przeźroczach w czasie wykładów. Wszystkie inne stroje wyglądają jak wypłowiałe, sprane. Barwy wyblakły, poszarzały. Jedyne skóra ludzka ma swój naturalny kolor.

– Ludzie się wcale nie starzeją?

– Nie do końca. Kiedy przybywa ktoś nowy, inni proporcjonalnie się nieco starzeją, aby tamtych jakby pomieścić w skali. Zmiany są minimalne, starców tutaj nie ma. Tylko *nutritores* mają siwiznę.

– Aha... – wtrącił się Quent. – Nowo przybyli mają odzienie w żywszych kolorach. Dotąd twoja kurtka wyróżnia się szykiem i fasonem. Nadal podoba mi się ten suwak. To główna miara, że przybyłeś tutaj niedawno. Poza tym, niczyj wygląd nie ulega zmianie. Po naszej stronie starzeje się tylko odzienie, człowiek już nie.

– Czy to oznacza, że żyłem jeszcze stosunkowo niedawno temu...?

– Nie ma gwarancji. – Cavernata pokręcił głową. – My mierzymy czas w ośrodku. Nikt nie wie, ile czasu upłynęło, zanim trafiłeś do ośrodka konferencyjnego.

– Kiedyś odniosłem wrażenie, że w nocy nie istnieje wnętrze łazienki.

– Oczywiście, że nie istnieje, póki nie zaświecisz światła. Najważniejsze, żeby się nie zagapić i tam nie wpaść. Niektórzy giną. Nagle, z dnia na dzień, przestajesz kogoś spotykać. Może zaspany trafił do łazienki i nie znalazł klamki, by wrócić...? Wystarczy nie wchodzić tam po ciemku.

– Zdarzają się też inne dziwne wpadki. Ta rzeczywistość pruje się w szwach – Cavernata użył sformułowania Ioanneosa. – Dziwaczne niekonsekwencje zdarzają się stosunkowo często. Wygląda, jakby tutaj spójność świata nie była najważniejszą rzeczą.

– Dlaczego tak się dzieje?

– Żaden z nas nie wie. Teraz wiesz, że nie żyjesz. To jedyna różnica.

Nieoczekiwanie wiedza przekazana mu przez spiskowców zamiast załamać, wzmocniła Ioanneosa. Mrówcza praca ich obu, staranne obserwacje, lata wypełniania narzuconego sobie samemu obowiązku badania i obserwowania nadawały sens monotonnej egzystencji. Obudziło



się w nim uczucie, o którego istnieniu Ioanneos prawie już zapomniał. Może zresztą w ośrodku konferencyjnym było ono zbyt częste.

Odtąd inaczej patrzył na codzienną szarżę, na obowiązki, spotkania i rozmowy. Już nie wydawały się monotonne, a kontakty męczące. To wszystko tutaj musiało mieć głębszy sens, musiało do czegoś prowadzić.

W sercu Ioanneosa obudziła się nadzieja.

## II *Il'Refrigerio*

### 34 *Pomiary upływu czasu*

*(Quent, Ioanneos)*

Ioanneos chętnie włączył się do wykonywania obowiązków badawczych. Oddalało to przykre podejrzenie o zagłębianie się w obłąd. Dawało poczucie przydatności, a jednocześnie pozwalało więcej dowiedzieć się o świecie, w którym przyszło mu funkcjonować. Ten świat był inny, ale przecież nie można było się spodziewać, że po śmierci nic się nie zmieni. Faktycznie było tu inaczej, ale nie aż tak bardzo, jak można by się spodziewać.

Działanie ośrodka konferencyjnego płynęło złożonym rytmem, a raczej tętniło wieloma różnymi rytmami. Dla każdego alumena przewidziano bowiem jego tryb indywidualny. Doba każdego z nich zaczynała się o innej porze, była rządzona sporządzaną indywidualnie rozpiską, wreszcie kończyła się o indywidualnie wyznaczonym czasie.

Co najdziwniejsze, długość indywidualnej doby nie była stała, lecz zmieniała się według nieznanych reguł, jeśli takie reguły w ogóle istniały. Wahała się o jedną, dwie godziny w górę lub w dół od doby dwudziestoczworgodzinnej. Budzik, na którym zawsze widniała ta sama godzina pobudki, wrywał ze snu czasami godzinę wcześniej, innym razem dwie godziny później. Ioanneos jednego dnia był zsynchronizowany z Cavernatą. Drugiego ten był już po kilku wykładach, kiedy Ioanneos łapał go po swoim śniadaniu. Nie było tajemnicą, że śniadania, podobnie jak pozostałe posiłki, dla różnych grup odbywają się o zmiennej porze oraz w różnych jadalniach, są przecież czasem wykłady przedśniadaniowe. Nie dało się jednak określić dokładnej pory dnia, ponieważ nie używano ręcznych zegarków, a jedynym dostępnym dla każdego czasomierzem był budzik wbudowany w szafkę przy łóżku, zawsze zrywający ze snu, kiedy wyświetliła się na nim godzina siódma trzydzieści.

Ioanneosa zdumiewało, jak mógł tak długo nie zwrócić na to uwagi. Widok za oknami nie ułatwiał orientacji. Stale ciemnoszare lub czarne niebo; stale gęsty deszcz albo dla odmiany

nawałnica z huraganowym wiatrem. Nie ma czasu, żeby zwracać uwagę na pogodę za oknami, jeśli ktoś był zaabsorbowany zajęciami.

Z drugiej strony trudno wyobrazić sobie, by mimo tych wszystkich utrudnień nikt nie zauważał niczego szczególnego. Może więc jednak było jeszcze inaczej? Może każdy sen niósł częściowe zapomnienie dnia poprzedniego? U jednych w większym stopniu, u innych, tych mniej uważnych, w mniejszym?

Jakkolwiek było, oczywistą wydawała się doprowadzona prawie do absurdu konspiracja Cavernaty i Quenta.

Skoro Cavernata i Quent jednak dostrzegli niezwykłość sytuacji, a potem dogadali się i rozpoczęli swoje obserwacje, to może nie wszystkich to zmyliło? Może takich osób i lokalnych centrów konspiracji było więcej? Stale nasuwała się tutaj Eleonora. Jej uwagi na temat sytuacji w ośrodku były nieoczekiwanie trafne.

W badaniu chronologii jedynym, ale za to bardzo skutecznym narzędziem była kartka, na której kreską zaznaczano każdy kolejny wykład, zaś krótkim prostokątem okres snu. Kiedy spotykało się innego konspiratora, na obu kartkach zaznaczano wspólną literę, a jeśli było wystarczająco dyskretnie, można było od razu porównać okres od ostatniego spotkania i uzupełnić stosowną liczbą kresek prostokąt snu. Nie zawsze się to udawało, jednak liczba kresek zgromadzona na kartkach Cavernaty i Quenta była imponująca. Wypełniali któreś z rzędu strony; na ich początku zapisywano liczbę kresek z poprzednich kartek.

Ioanneos zaczął własne notatki. Solidnie budował swój czasomierz, jednak wkrótce zaczęło go niepokoić co innego. Zaczął bowiem zastanawiać się, jak dwaj ludzie mogli bez przerwy kontrolować upływ czasu. Przecież zaledwie dwóch spiskowców, pracując tak prostą metodą, nie mogło sporządzić dokładnej mapy upływu czasu w ośrodku. Różne miary chronologii dla każdego z nich nie mogły za każdym razem spowodować, że wszystkie prostokąty snu u jednego z nich zostaną wypełnione kreskami wykładów u drugiego. Wymagałoby to bardzo regularnego przesunięcia w czasie wykładów i bardzo częstych spotkań z drugim spiskowcem. Domyślał się, że spiskowców musi być więcej. Prawdopodobnie ze względów bezpieczeństwa nie poznał wszystkich członków grupy. Nawet nie mógł być pewien, czy przypadkiem Eleonora też nie należy już do spisku. Mogło być przecież tak, że Quent i Cavernata wysłali go do niej celem sprawdzenia, czy wywiąże się z zadania lub czy nowicjusz potrafi trzymać język za zębami w niezbędnej sytuacji.

– Teraz znowu będziesz miał sny – powiedział w czasie jednego z kolejnych spotkań Quent.

– Proszę?

– Przecież sny informacyjne przestały przychodzić do ciebie.

– To prawda... Przyzwyczailem się do ich braku. Myślałem, że to jakaś maszyneria do edukacji pozaświadomej je wywołuje. Tak bardzo były skorelowane z wykładami. Pomyślałem, że skoro przestały przychodzić, to albo cykl edukacyjny się skończył, albo z jakichś powodów to ja przestałem spełniać wymogi organizatorów.

– Nie ma żadnej maszynerii. – Quent pokręcił głową. – Nie wiemy, w jaki sposób są przysyłane, ale teraz wróć. To była nasza pierwsza obserwacja, kiedyśmy sobie uświadomili z Cavernatą, że nie żyjemy. Sny wróciły.

„Te barwne sny mają jakiś związek z nadzieją?”, pomyślał. „Dlaczego więc przestały przychodzić, kiedy zacząłem zwracać uwagę na dziwność obecnej sytuacji?”

– Koniecznie zapamiętaj sen informacyjny, każdy, jaki przyjdzie. To jest najprawdopodobniej skądś przekazywana wiedza. Kiedy się z kimś dzielisz ich treścią, na jakiś czas przestaną przychodzić, ale znowu wróć.

### **35 Santa Cristina di Bolsena**

*(Gattaca, Fanciullo-Rechot, Luca Signorelli, Ioanneos)*

Przez skraj Umbrii, Lazio i Toskanii przeszła zaraza szybka jak wiatr. Szerzyła się od wsi do wsi, wspinała po wzgórzach od miasta do miasta. Nie była to sroga dżuma, co parę lat otwierająca swój żarłoczny czarny pysk we Florencji na północy, ale ognisty powiew wdzierający się do płuc, serca, mięśni, ścięgien. Chorych palił ten wewnętrzny płomień, a jeśli kto przetrwał, zalewały go cuchnące poty, od których zaraza wzięła swą nazwę. Światło nieznośnie raziło oczy swym blaskiem, więc każdy prosił, by mu je jak ślepcowi przesłonić opaską, spod której w końcu wpływały krwawe łzy. Po czterech, sześciu dniach rażony strzałami zarazy odchodził na zawsze.

Poty nie wyludniały krainy, gdyż starszych na ogół zostawiały, lecz zabierały rodzicom to, co mieli najwartościowszego, ich dzieci i młodzież, plany i zabezpieczenie starych przed nędzą. Wiele domów zaraza pozostawiła bez dziecięcego gwaru, ale umierała też starsza młodzież.

Plaga jak szybko nadeszła, tak i przepadła w bagnach. Wielu przeżyło, ale strzały zarazy zabrały cały kwiat młodych istnień w tamtej okolicy. Po jej odejściu przez dwa lata nie odbył się żaden ślub, bo nie zostawiła po sobie ani jednej panny zdatnej do zamęścia. Nazwano ją Kosiarzem Młodych, *Il Falciatore degli Fanciulli*.

Luca dei Signorelli dostał od florenckiej *governo civile* zlecenie na wykonanie pary obrazów, dużych, całopostaciowych, jako wotum za ocalenie od niezwyklej zarazy, która zabierała ze sobą *fanciulli*, ale pozostawiła starców. Oba panele miały powędrować na południe, do bazyliki Świętej Krystyny w Bolsenie. Miały zanieść ze sobą do Lazio przesłanie Fra Girolamo, mówiące, że chwila gniewu Bożego się zbliża, ale po okresie koniecznych klęsk i nieszczęść świat zostanie odnowiony. A znakiem tego będą młodzi, czyści, którzy ten świat obejmą w posiadanie. Bo rzeczywiście, dżuma we Florencji zbierała tylko starych, a *fanciulli* zostawiała przy życiu, a tu stało się odwrotnie. Nieszczęście, które dotknęło południe, dobitnie pokazało, że właśnie ta kraina potrzebuje nawrócenia i przyjęcia myśli Fra Girolamo Savonaroli.

Dzieło Luki było rodzaju, jaki mistrz lubił najbardziej, to znaczy przedstawiało stojące pełne postaci. Tylko dwie, po jednej na każdym panelu. Kobieta i mężczyzna, dwa symbole ofiar strzał zarazy, dwójka patronów od niej chroniących.

Luca perfekcyjnie poznał budowę ciała ludzkiego, grę mięśni i ścięgien w każdej pozycji człowieka. Nie bez powodu nazwano go mistrzem nagiego ciała. Umiał swobodnie rysować piękne postaci, bez zerkania na modela czy na manekin, a tylko z pamięci. Oczywiście, gdy tylko miał okazję, korygował swoje szkice na żywym modelu, ale właściwie wystarczyło mu tylko skopiować twarz modela. Luca przy tym z upodobaniem oddawał ciało ludzkie piękniejsze niż prawdziwe, więc to zamówienie sprawiało mu radość.

Przesuszone deski jakby czekały w składziku na tę właśnie pracę. Stolarz Gattaca połączył je w dwa smukłe panele równej wielkości. Od młodych lat pasjonowało go malowanie, umiejętność zaklinania ludzkiej postaci, czy czego innego ze świata realnego, w plamy kolorowej farby na desce. Malarzem nie został, ale przynajmniej przygotowywał panele dla maestro Luca.

Mistrz zaś wyczarowywał swoje dzieła zwykle w podobny sposób. Najpierw długo mierzył, robił precyzyjne szkice, a potem jego obrazy malowały się jakby same.

*Męczeństwo Świętego Sebastiana* przedstawiało bezbłędnie zbudowanego młodzieńca, niemal nagiego, a tylko o biodrach przepasanych prawie przezroczystą szarfą. Ramiona Sebastiana wykręcono do tyłu i przywiązano do słupa kaźni. Ciało świętego przebijały liczne

strzały, atrybuty jego męczeństwa, ale też i znamiona zarazy, która jak strzałami trafiała chorego w różne miejsca; wreszcie jego głowę wieńczył złoty nimb. Luca nie był pewien, czy wolno głowę Sebastiana otoczyć nimbem, bo przyszyły święty kaźń od łuczników przeżył, a skonał dopiero później. Niedawno ukończył bardzo podobne zamówienie na samego Sebastiana, ale na tymym oddał świętego bez aureoli, za to z uniesionym ramieniem, którym męczennik jakby osłaniał twarz przed stadem strzał wypuszczonych przez oprawców. Tu jednak malarz ośmielił się umieścić ten złoty wyznacznik świętości dla podobieństwa z postacią na drugim skrzydle obrazu.

Nowy panel przedstawiał chwile już po zakończeniu kaźni. Święty miał oba ramiona skrepowane za sobą. Zbrodniarze już sobie poszli. Ich małe figurki jeszcze wędrowały ulicą, z kuszami i łukami na plecach. Pod udręczonym młodzieńcem zgromadziła się grupa młodych mężczyzn w bieli. Z wdzięcznością patrzyli na ciało męczennika, którego wstawiennictwo ich samych ocaliło przed śmiercią od strzał zarazy. Nieco dalej malarz dodał stos nagich, leżących ciał, całych w czerwonych plamach. To były ofiary czerwonych potów, ci, których choroba zabrała. Wszyscy mieli oczy zawinięte skrwawionymi opaskami. Bano się trupowi zdjąć tę opaskę, gdyż spod przesiąkniętego wydzieliną i krwią płótna ukazywały się straszne, zropiałe, poczerniałe oczy.

Drugim wizerunkiem było męczeństwo Krystyny, świętej patronki Bolseny. Dziewica z Volsinii skazana została na śmierć okrutnym wyrokiem własnego ojca. Po wyrwaniu języka, łamaniu na kole, poszarpaniu piersi, próbie gotowania i topienia, które to męczarnie nie złamały dziewczyny, srogi rodzic wydał ją na śmierć. Na arenie miejskiej żołdacy dla uciechy zrobili sobie z nagiej dziewczyny żywą tarczę strzelniczą.

Atrybuty świętej Krystyny są identyczne jak Sebastiana, sposób męczeństwa też. Oboje chronią przed strzałami choroby, jednak on chroni mężczyzn od chorób męskich, ona zaś kobiety od dolegliwości kobiecych.

Luca namalował więc Krystynę jako olśniewająco piękną bliźniaczą siostrę Sebastiana. Sebastian wyszedł wspaniale, ale dopiero w obrazie Krystyny uwidocznił się kunszt mistrza Luki. Jasnowłosa i niebieskooka, jak kobiety z Toskanii, święta stała przy słupie kaźni prawie całkiem naga, a ramiona miała skrecone do tyłu i skrepowane, co jeszcze bardziej podkreślało jej wyeksponowane piersi. Jedynie biodra osłaniała opaska równie przezroczysta jak Sebastianowa. Do obu obrazów pozował zresztą ten sam kawałek muślinowej taśmy.

Krystynę przeszywały liczne idące od dołu strzały, brutalnie rozrywając matową biel jej ciała. Inne rany odniesione w czasie kaźni malarz pomniejszył. Luca umiał perfekcyjnie oddać fakturę ludzkiej skóry, chociaż z wiekiem ponosiło go coraz bardziej i podobizny uciekały od rzeczywistych w stronę przedstawień wyidealizowanych. Głowę świętej wieńczył złoty nimb, równie bogaty jak Sebastianowy. Krystyna kaźni strzał nie przeżyła i tu wątpliwości nie było, czy na tym przedstawieniu mogła już nosić aureolę.

W tym wizerunku najbardziej jednak zadziwiła precudnej urody twarz świętej. Niebieskooka blondynka o jasnej karnacji miała rysy twarzy i oczy raczej spotykane na obrazach Sandro Filipepiego. Luca dotąd raczej dbał o bezbłędny rysunek ciała. Jego kobiety nie były aż tak olśniewającymi pięknosciami.

Na skrajach obrazu, tuż przy ramie, mistrz umieścił odpoczywających po kaźni zbrodniarzy, którzy z zaciekawieniem przyglądali się swej pięknej ofierze, czy aby nie trzeba jeszcze kilkoma grotami dodatkowo zbecześcić jej doskonałego ciała. Pod palem, do którego przywiązano świętą, stała grupa młodych dziewcząt w białym odzieniu, urodziwych prawie jak Krystyna, dziękujących jej za ocalenie od śmiertelnej choroby. Dalej zaś widniał stos nagich trupów dziewczęcych, pokrytych czerwonymi plamami krwawych potów i z opaskami na oczach.

Obrazy tworzyły oczywistą parę. Na męczeństwie Krystyny widniały wyłącznie trupy nagich młodych dziewcząt, zaś na męczeństwie Sebastiana młodzi chłopcy, i tylko w tle zbrodniarze byli tacy sami.

Ostatnie warstwy laserunków spokojnie schły w cieniu. Mistrz Luca był zadowolony ze swoich najnowszych dzieł. Ciała obojga świętych oddał bezbłędnie. „To najlepsze podobizny nagiego ciała, jakie wyszły spod mojej ręki”, pomyślał.

Może wota za ocalenie Umbrii od zarazy zabezpieczą na przyszłość, kiedy znowu dotrze tam złe powietrze?

Gattaca nie mógł chłodno patrzeć na dzieło siwowłosego mistrza. Wyczarowywane postaci były zbyt prawdziwe. Krystyna wyglądała jak rzeczywista przepiękna, obnażona dziewczyna, Sebastian jak żywy rozebrany młodzieniec z Florencji. Gattaca potrafił długo wpatrywać się w piękne ciało świętej. Wykorzystywał każdą okazję, by zajrzeć do warsztatu mistrza, chociaż stary nie wspominał o jakichś nowych zamówieniach. Pewnie czekał, póki *governo civile*, a może sam Fra Girolamo, nie zapłaci za najnowsze dzieła.

Gattaca stał w cieniu i zerkał na suszące się w bladym świetle styczniowego poranka barwne obrazy mistrza.

Schował się głębiej w cieniu, bo usłyszał kroki nadchodzących oraz ich rozmowę, a chciał choć jeszcze przez chwilę kontemplować niezmiernie piękno ciała świętej. Nadszedł mistrz Luca z jakimś ciemnowłosym młodym człowiekiem, nieznanym mu członkiem stronnictwa *Fanciulli*, które kręciło się wokół Fra Girolamo Savonaroli.

– Namalowałem pięknych umarłych. W Umbrii zostali starcy, tacy jak ja. I na cóż mi umiejętność oddawania piękna nagiego ciała, Fra Silvestro? – powiedział stary mistrz.

Tamten chwilę milczał, przyglądając się panelom.

– Co ty sam myślisz o swoich obrazach? – spytał nieco za głośno.

– Sam widzisz. Umiem oddać doskonale piękno, ale stale czuję, że dotąd nie namalowałem jeszcze swojego największego dzieła. Pewnie to będzie największe, bo lepszego chyba już nie zdążę namalować. Przeżyłem nawet swojego syna, zasztyletowanego tam, gdzie sam przyszedłem na świat, i teraz czeka mnie tylko samotna starość.

„To przecież jest twoje największe dzieło, mistrzu!”, pomyślał Gattaca, w mroku przysłuchujący się tej rozmowie. „Nie widziałem piękniejszej kobiety, nie widziałem piękniejszego ciała. Nikt jeszcze tak nie malował, a robiłem panele największym florenckim malarzom”.

– Krystyna jest nie do przyjęcia – zdecydował *Fanciullo*. – Sebastian może być nagi, ale ona ma być w szacie od stóp do głowy. Co najwyżej w ręku może trzymać swoje atrybuty. Może strzały, ale może być też kamień młyński.

Signorelli milczał, zwiesiwszy głowę.

– Fra Girolamo uczy nas, by tępić wszystkie przedmioty nieprzyzwoite. To jest właśnie taki przedmiot nieprzyzwoity. Nie do pomyślenia, żeby ktoś mógł oglądać takie ciało.

„*Girolamo l'Anticristo*”, pomyślał Signorelli, a Gattaca ze zdumieniem zarejestrował myśl mistrza we własnej głowie.

– Większe zło trzeba wytępić złem mniejszym, to dewiza Florencji od dziesiątków lat – odezwał się Signorelli. – Dlatego nawet przezacne niewiasty można kłaść przed oczy pobożnych nagie, bo w przeciwnym razie grożą myśli gorsze, które wiodą do przewinienia sodomii. A te kończą się haniebnym przejściem wszystkimi placami miasta na miejsce kaźni, a wreszcie spalaniem, aby taki umarł i dusza jego od ciała odłączona została.



– Nie musisz mi przypominać prawa! – uniósł się młody dygnitarz. Najwidoczniej uwaga Signorellego dotknęła bardzo wrażliwych strun.

– *La Primavera* pędzla Filipepiego jest w przezroczystych szatkach, trzy gracje w jeszcze lżejszych, a jego Wenus ma być jeszcze bardziej obnażona od mojej świętej.

„Który Filipepi?”, zastanowił się Gattaca. „Chyba Alessandro, ten malarz, nie Botticello, jego brat”.

– Pomysły Sandro di Mariano di Vanni Filipepiego zadowolają Fra Girolamo. W ostatnią Niedzielę Palmową ustawił dla niego przepiękną procesję.

– Mnie również podobał się przemarsz *Fanciulli* w białych szatach.

– To i ty też się staraj, może będziesz miał swój udział w odnowionym świecie. Z pokorą przyjmij mój wyrok i po dobroci wydaj ten nieprzyzwoity przedmiot, jakim bez wątpienia jest ten panel.

– Co czeka świętą Krystynę?

– *Bruciamiento*, ognisko próżności, na Piazza della Signoria. Krystyna będzie stała na szczycie stosu.

Signorelli nie odezwał się.

– Sebastiana masz przerobić – rzucił twardo *Fanciullo*. – Zamiast jego nimbu umieścisz w otwierających się niebiosach Boga Ojca czekającego na duszę świętego. Zamiast tych skłębionych ciał umarłych na poty umbryjskie dodasz żołdaków mierzących do męczennika.

– Już raz tak namalowałem. Dość już strzał w ciełe Sebastiana. On teraz cierpi i kona – powiedział Signorelli. – Żołdacy przenieśli się już na ulice miasta.

– W za dużych piersiach Krystyny utkwilo zbyt wiele strzał choroby. – *Fanciullo* pokręcił głową z niesmakiem. – Żołdaków na ulicach możesz zostawić, ale dodaj bezpośrednich sprawców męczarni. By kłębowski ofiar zarazy nie odwracało uwagi widza ku rzeczom nieprzystojnym, masz je w całości zakryć zbrodniarzami.

– Nie! – podniósł głos Signorelli. – Nie zmienię Sebastiana. Możesz go więc dać także na swoje *bruciamiento*. Lepiej niech spłonie ze swoją siostrą Krystyną, niż miałbym go poprzemieniać, zabijając myśl.

*Fanciullo* spojrział poważnie. Wyraźnie zależało mu, żeby ciało pięknego świętego zachować.

– Jeszcze raz to rozważ. Popraw obraz, a Krystynę daj na spalenie – powiedział.

– Nie. Albo pozostaną oboje na ołtarzu, albo spłoną oboje.

– Sam chciałeś... – *Fanciullo* wzruszył ramionami. – Masz kogoś, kto przyniesie te panele na *bruciamento*, czy mam przysłać swoich ludzi?

– Pomaga mi stolarz, Gattaca. Wykonuje dla mnie panele. Pewnie będzie chciał dłużej patrzeć na Krystynę, więc jemu powiem, żeby odniósł ci ten obraz.

– Dobrze. A ja ci gwarantuję, że oba obrazy umieścimy na siódmym piętrze schodów próżności, na samym ich szczycie, by wszyscy patrzyli na nie jak najdłużej.

Gattaca wrogo wpatrywał się w butnego dygnitarza i nagle *Fanciullo* zaczął mu kogoś przypominać. „Przecież to Rehot, a Signorelli to Dacortona”, pomyślał.

Rozległo się pikanie budzika. Należało wstać na dzisiejsze zajęcia. *Ioanneos* przetarł dłonią zaspane oczy.

### **36 *Lucas Dacortona***

*(Ioanneos, Dacortona)*

„Kto przysłała te sny?”, *Ioanneos* podłożył ręce pod głowę. Miał jeszcze przed oczyma cudownie namalowaną świętą Krystynę. Widział liczne strzały choroby przebijające jej gładkie ciało. Wizja nie odchodziła sprzed oczu, a i on nie chciał jej przegonić. „Kiedyś na wykładzie Soyardarghla ujrzałem ciało dziewczyny przedstawionej na obrazie Signorellego”, pomyślał.

Dacortona to Signorelli. Podejrzewał to od dawna, od kiedy stary profesor tak się zacietrzewił na wykładzie Snijdersa. „Czy powiedzieć o tym Quentowi i Cavernacie? A może powiedzieć o tym samemu Dacortonie?”, zastanawiał się, a obraz pięknej świętej wolno rozmywał się przed oczyma duszy. „Jak on by to przyjął? Może spiskowcy się mylą i sny informacyjne nic nie oznaczają?” Dręczyły go różne wątpliwości, jednak ani na chwilę nie stracił pewności, że był to właśnie taki sen. Kim był ów tajemniczy *Fanciullo*, który wydał wyrok śmierci na dwa dzieła sztuki? Czy Rehot żył w Kortonie, w otoczeniu mistrza Luki?

Przy najbliższym spotkaniu podzielił się swoim snem ze spiskowcami. Przypisanie Dacortony wzbudziło u nich mniejsze zdziwienie, niż się spodziewał. Z pewnością sny informacyjne przychodziły nie tylko do *Ioanneosa*. Spiskowcy dotąd nie podzielili się z nim przypisaniem osób z ośrodka do bohaterów ze swoich snów.

Koledzy przekazali mu tajemnicę upływu czasu w ośrodku, ale pytania rodziła też przestrzenna lokalizacja tego miejsca. Trasa podróży samochodowej okazała się pętlą, proste wnioski geometryczne Cavernata uprzedził i wyśmiał, jednak choćby kształt i rozmiary samego budynku pozostawały niewiadome. Skoro rzeczywistość pruła się tu na wiele sposobów, łazienka potrafiła znikać, a samochody przyrastać do betonu, to widok budynku widziany z dziedzińca niekoniecznie musiał oddawać prawdę. Podobnie jak Quent i Cavernata kolekcjonowali informacje o upływie czasu w ośrodku, tak samo powinno się zacząć badanie wnętrza, kolejnych pięter, wszystkich pomieszczeń. Tu mogła kryć się nowa tajemnica. Wskazywało na to choćby wrażenie, że rozpiski zajęć zmuszają do rutynowego odwiedzania tych samych pomieszczeń, a unikania innych, jakby ktoś próbował i tutaj coś ukryć. Ioanneos postanowił w przerwach między wykładami odwiedzać kolejne pomieszczenia, w miarę możliwości rozpoznawać ich przeznaczenie i na tej podstawie sporządzić mapę ośrodka. Może chociaż uda się przynajmniej oszacować liczbę znajdujących się w nim osób?

Zaczął od analizy najwyższego piętra, bibliotecznego. Policzył pokoje, sale wykładowe, jednak kiedy powtórzył pomiar następnego dnia, wynik wyszedł inny. Na dodatek dostrzegł kilkoro zamkniętych drzwi, które mogły prowadzić do niedostępnej części schodów. Quent i Cavernata wydawali się w zupełności zaabsorbowani korelowaniem pomiarów upływu czasu, więc na razie nie dzielił się z nimi swoimi próbami wyrysowania mapy ośrodka.

Przypadkiem zauważył siwowłosego Lucasa Dacortone, który przysiadł w stolówce przy dwuosobowym stoliku.

„Gdzie się dziś zapodziała Aga?”, pomyślał. Najczęściej to ją można było spotkać w tym miejscu. „Dacortona mi się przyśnił jako Signorelli. Powiedzieć mu to? Może lepiej podzielić się z nim częścią obserwacji? Powiedzieć tyle, co kiedyś Agacie. Jeśli nas szpiegują, to już wcześniej podsłuchali tę rozmowę, więc nikogo nie zdziwi, że o tym mówię”.

– Wolno mi się przysiąść? – spytał Ioanneos.

– Ależ proszę – uśmiechnął się Dacortona. – Koło starego profesora mało kto odważy się zatrzymać.

– Tutaj później obsługują, jeśli w ogóle pojawi się kelnerka.

– Mnie się nie śpieszy, ale możemy zaraz ją przywołać...

– Tu w ogóle jest wiele dziwnych reguł, nie tylko przy obsłudze. Czasem trudno się połapać.

– Są dziwaczne? – Stary spojrział badawczo.

Ioanneos nie odezwał się.

– Mało kto twierdzi, że są dziwaczne. Prawie każdemu wydają się zwyczajne i wygodne.

– Ja do takich nie należę. – Ioanneos opowiedział Dacortonie historię z kołami samochodów.

Lucas przetarł twarz dłonią. – Ucz się, obserwuj – powiedział cicho. – Może znajdziesz naturalne wytłumaczenie nawet tak dziwacznych faktów.

– Naturalne wyjaśnienie opon wyrastających z asfaltu...?

– Technologia się rozwija... – Lucas spojrział badawczo. – Może wymyślono takie zabezpieczenia przeciwwłamaniowe. Podobno tutaj zdarzały się kradzieże.

Spojrzenie Ioanneosa wyrażało zupełną niewiarę.

– Ta konferencja trwa naprawdę długo. Ja też zostałem zaskoczony wieloma nowinkami. Większość z nich polubiłem.

Ioanneos nie zdobył się na odwagę, żeby staremu nutritorowi powiedzieć więcej.

### **37    *Postaci Signorellego***

*(m'Beleh, Ioanneos, Izabela, Rajga)*

W kolejnej rozpisce znalazł wykład m'Beleha. Temat wystąpienia nie został zaznaczony. Ioanneos usiadł koło Izabeli. Lubił przebywać w pobliżu tej dziewczyny. Wcześniej pomagał jej, kiedy zsuwała się z ławki, a fale choroby lunatycznej zaczynały wprawiać ją w drgawki, jednak obecnie Izabela nie odstępowała Prospera. Akurat na tym wykładzie Prosper się nie pojawił, więc Ioanneos się przysiadł.

Izabela uśmiechnęła się do niego i wpuściła na miejsce. Sama zawsze siadała na skraju rzędu, by w razie ataku choroby nie osunąć się na podłogę pomiędzy krzesła i nie poobijać o wystające elementy w ciasnej przestrzeni.

Nie było już czasu rozmawiać, zaraz w drzwiach z zaplecza sali wykładowej pojawił się nutritor m'Beleh. Szedł w towarzystwie nieodłącznej Rajgi, która wyprzedziła go i przycupnęła w pierwszym rzędzie. m'Beleh poruszał się w charakterystyczny sposób. Głowę pochylał do przodu, a jednocześnie wtulał ją w przesadnie uniesione ramiona. Co chwilę rozglądał się na prawo i lewo, jednocześnie odwracając się na boki całym tułowiem, jakby jego wykrzywiony

zgarbieniem pleców kręgosłup był unieruchomiony w części szyjnej. Po kolei wyławiał na sali twarze słuchaczy, chcąc wszystkich zewidencjonować wzrokiem.

– Signorelli nie wydał owoców – zaczął – chociaż starał się jak mógł, by pozostawić po sobie coś trwałego.

Ioanneos zadrżał. Zaczął się wykład, którego podświadomie spodziewał się od ostatniego snu informacyjnego.

– Syna pogrzebał, chociaż wcześniej rozebrał go i starannie wyrysował, żeby zachować jego wspomnienie jako dzieła sztuki. Nic z tego nie wyszło. Został tylko jeszcze jeden rysunek nagiego ciała ludzkiego, nic więcej. Drugi syn umarł na zarazę jeszcze za jego życia, a mały Giorgio, któremu wieszczył wielką karierę i nawet sam wysłał na naukę malowania, bardziej rozwinął się w innym kierunku. Mało kto pamięta go jako malarza, jeśli nie zadziera głowy... – Zachichotał do siebie.

Z pierwszego rzędu odpowiedziała mu usłużnym rechem Rajga.

– Więcej jako architekta. Budowniczego muzeów... – dodał z przekąsem.

„Znowu nadszedł wykład skorelowany ze snem”, pomyślał Ioanneos. „Jak zwykle w dzień lub dwa po śnie i tłumaczący jego treść”.

– Nie zobaczył nawet niewielkich owoców swojego działania. Umarł, zanim Silvio Passerini zabrał młodego Giorgio z Arezzo do Florencji, by kształcić go wspólnie z młodymi de’Medici. Nawet tak małego owocu nie zobaczył, potwierdzenia, że słusznie zauważył talent dziecka i Giorgio wyróżnił się, znajdując protektora.

Oczy m’Beleha nadal biegały po sali. Mrużył je, co sprawiało wrażenie uśmiechu, ale nie więcej z uśmiechu na jego twarzy nie było. Stale szukał jednej osoby. Jego siwy wzrok omiótł Ioanneosa, Izabelę, potem jeszcze raz, ale się nie zatrzymał.

„Kogo szuka?”, pomyślał Ioanneos. Oczywiście, już wiedział. Sam się rozejrzał, ale Dacortony nie było na sali.

– Nie przyniosły mu owoców również jego dzieła. Za życia równie znany jak Filipepi, potem został zapomniany. Później przypomniano sobie tylko o Filipepim, a nie o nim. Z tamtego okresu we Florencji pamięta się tylko *La Pritnaverę* i *Narodzenie Wenus* Filipepiego. Ech... – Nutritor pogardliwie machnął ręką. – Pamięta się ją, pomimo że ta Wenus ma ramiona nierównej długości, a na dodatek wszyscy zapomnieli, jak się nazywał jej twórca, mianując go przezwiskiem, i to akurat nie jego, tylko jego brata. Też mi sława...

Rajga odpowiedziała znaczącym śmiechem.

„Ktoś zsyła wcześniej sny, by zneutralizować wykład mający kogoś wyśmiać?”, zastanawiał się Ioanneos.

– Obrazy Signorellego niewarte są wspomnienia – pastwił się m’Beleh. – Sama cielesność. Hymn do nagiego ciała ludzkiego, nic więcej. Postaci przesiąknięte są cielesnością. Nic więcej w nich nie ma.

m’Beleh kiwał się rytmicznie, wychylając głowę to w prawo, to w lewo, celując wzrokiem w różne miejsca na sali. Nie był kaleką, jednak jego pokraczna sylwetka była zaprzeczeniem wizji idealnej budowy ciała ludzkiego, którą przywołał swoimi słowami przed oczy Ioanneosa. „Rechot byłby zachwycony wykładem m’Beleha. Tak samo często patrzy w lewą i w prawą stronę sali”.

– Mówiono o nim, że jest mistrzem malowania nagiego ciała, jednak dziwne to ciała – ciągnął m’Beleh. – Signorelli przedstawia chodzące ideały. Postaci tak wymyślne i piękne, że w rzeczywistości ich istnienie jest niemożliwe. – m’Beleh wolno toczył wzrokiem po sali, jakby piętnował niewidzialnego przeciwnika.

Ioanneos znowu się rozejrzył. Może Dacortona jednak się pojawi i zacznie się bronić? Nic takiego się jednak nie stało. Nikt nowy nie wszedł na salę.

– To niemożliwe, by idealni ludzie istnieli. Żywe posągi z obrazów Signorellego, ludzie bez zmarszczek, kobiety bez rozstępów skóry na brzuchu i biodrach, bez cellulitu na udach. Nawet światła układają się na tych sylwetkach jak na bryłach geometrycznych.

– Siedź spokojnie – szepnęła Izabela. – On nie znosi, kiedy ktoś się kręci na jego wykładach. Wlepi ci za to godzinę integracyjną z Rajgą.

– Nigdy nie miałem takich zajęć.

– Ona jest niewiele lepsza niż Balduga.

– Piękniejsze twarze malował Filipepi, chociaż w rysunku ciała zdarzały mu się już błędy – m’Beleh nie mówił zbyt głośno, ale każde jego słowo mroziło aż do kości. – Signorelli chętnie malował świętych, ale wychodziły mu postaci tak przesycone płciowością i cielesnością, że potem usuwano je z kościołów. Nie mogły tam stać, bo wręcz promieniały erotyzmem.

m’Beleh zamilkł i toczył wzrokiem po sali, ciężko sapiąc z wysiłku. Rude przebarwienia na jego twarzy płonęły.

– Ale największy popis dał Signorelli po zarazie krwawych potów w Umbrii, która ogołociła domy z młodych ludzi. Jako wotum namalował parę obrazów świętych chroniących od zarazy. Przedstawiały całe postaci świętego Sebastiana i świętej Krystyny o ciałach podziurawionych strzałami zarazy. Świętego Sebastiana wkrótce usunięto z kościoła, uznając, że niepokoi patrzących, wzbudzając nieprzystojne myśli, a rozkosznie wygięta, młoda i prawie naga święta Krystyna nigdy nie trafiła na ołtarz. Twarz Krystyny to była rywalizacja z Filipepim. Dał świętej twarz Simonetty da Genova, którą dwadzieścia lat wcześniej wszyscy się we Florencji zachwycali, tytułując ją „królową urody”. Filipepi, dwadzieścia lat wcześniej, dał jej twarz swojej przewracającej się Wenus z Dłuższym Ramieniem, a że malował cztery lata po śmierci Simonetty, więc pamiętał lepiej i twarz wyszła mu podobniejsza. Czas zatarł rysy tej kobiety w pamięci Signorellego i po dwudziestu latach wyszedł uduchowiony ideał, a jednocześnie to badawcze, chłodne spojrzenie... – wykładowca zakończył z pogardą.

„Malował wyidealizowaną twarz świętej”, pomyślał Ioanneos. „Nie musiał trzymać się podobieństwa. Ja ujrzałem tę dziewczynę na przeźroczu z wykładu Soyardarghla o martwych owadach. Dlaczego on pastwi się tak długo nad nieistniejącym obrazem...?”

– Dużo wymysłów, mało podobieństwa i... o wiele za duże piersi – dodał dla przywołania m’Beleh.

– Nie umiał namalować proporcjonalnej kobiety? – dodała Rajga ze złośliwym uśmiechem. „Ona była cudownie proporcjonalna”.

– Specjalnie powiększył piersi nad miarę, żeby się więcej strzał w nich zmieściło – zarechotał m’Beleh. – Zresztą wzorzec nie był aż tak piękny. – Chwilę rozglądał się po sali, chcąc wyłowić słuchaczkę o podobnym typie urody. Nie znalazł, więc kontynuował: – Simonetta miała jasne włosy, niebieskie oczy i uduchowioną twarz. Tylko tyle. Filipepi dał jej rysy Madonnom, licznym Wenus, a Signorelli Krystynie i niezliczonej ilości kobiet na swoim odrażającym obrazie przedstawiającym dziesiątki rozebranych ludzi, jednych dręczonych, innych unoszonych. – m’Beleh równo wydzielał teraz razy Filipepiemu i Signorellemu. – Nie znoszę tego przedstawienia!

„Sebastian i Krystyna zostali spaleni podczas *hruciamento* w zapustny wtorek roku Pańskiego tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego i siódmego na głównym placu Florencji”, przypomniał sobie Ioanneos. „Jedynym przywilejem pary pięknych obrazów było to, że postawiono je na samym szczycie stosu”.

– Krystyna trafiła w prywatne posiadanie rodu Monaldeschi della Cervara, by zrzekli się roszczeń do miasta Bolsena. Nędzny ochłap.

– Czy Monaldeschi della Cervara nie wymarli już, kiedy Signorelli namalował nagą Krystynę? – pytanie Rajgi ociekało słodyczą i ugrzecznieniem.

– Ach... nie – m’Beleh był świetnie przygotowany. – Berardo poślubił Isabellę Orsini, a jego syn Gentile Eleonorę Orsini. Isabella była teściową Eleonory. Gentile nie umarł bezpotomnie. Deska z Krystyną przez długie lata tworzyła przepierzenie w kuchni, pokryta tynkiem. Potem spadkobiercy przypomnieli sobie o niej, odnaleźli ją i dotąd jest przechowywana i kontemplowana w prywatnym posiadaniu, niedostępna dla oka zwiedzających.

– Ach... – Ioanneosowi wyrwało się westchnienie. „Więc jednak Gattaca zdołał ocalić nieziemsko piękny obraz”.

m’Beleh wyłowił go wzrokiem z audytorium, ale nic nie powiedział.

Ioanneos też milczał. Wbrew zamiarowi m’Beleha ten wykład go uradował. „Chciał sprawić przykrość, demolując Dacortonę, ale dławiące zło emanujące z m’Beleha obróciło się w nieco dobra, niosąc ziarenko nadziei”.

– Znana jest tylko zezowata Krystyna jego pędzla – rzucił na koniec wykładowca, wywołując głośne śmiechy słuchaczy. – Kilkanaście lat później kazali mu przedstawić ją odzianą, to złośliwie namalował brzydulę. Mały człowiek, malarz taki sobie...

– Tamta Krystyna patrzy na trzymaną w ręce strzałę – szepnęła Izabela. – Widziałam przezrocza z tego obrazu. On skłamał.

Ioanneos pokiwał głową. Bardziej zaniepokoiła go zbieżność imion obu żon rodu Monaldeschi della Cervara. Czyżby faktycznie Izabela była teściową Eleonory? Obie niepytane zapewniają, że nie nazywają się Monaldeschi della Cervara, że to ich imiona fałszywe.

## 38 *Wizyta u Quenta*

*(Ioanneos, Quent, Cavernata, Dacortona)*

Niewiele później Quent wspomniał o następnym spotkaniu. Miało się odbyć w jego pokoju. Dotąd zawsze Quent i Cavernata przychodzili do Ioanneosa. Dzisiaj miało się to zmienić. Widocznie obaj spiskowcy uznali, że można go wtajemniczyć jeszcze bardziej.



Po ostatnim wykładzie Ioanneos chyłkiem wybrał się dwie kondygnacje niżej. Na korytarzach kręciło się niewiele osób, bo właśnie zaczął się kolejny wykład. Raz tylko musiał ustąpić komuś miejsca, słysząc głośny tupot. Korytarzem przebiegł mężczyzna niosący na plecach kobietę, trzymając jej stopy w dłoniach tak, żeby kolana zginały się na jego ramionach. Kobieta zwisała wzdłuż jego pleców, głową w dół. Nie było wątpliwości, że to kolejna próba teatryku amatorskiego. Ci dwoje na pewno nie zainteresują się przypadkowym alumenem, zbyt zafrapowani własnymi sprawami.

Gdy aktorzy już zniknęli w mroku korytarza, Ioanneos cicho zapukał w umówiony sposób: dwa razy, a potem znowu dwa razy po dłuższym odstępie. Drzwi uchyliły się. Wszedł do ciemnego pomieszczenia. Ktoś zamknął drzwi. Zapanowała ciemność. Zwykła procedura spotkań, którą już dobrze poznał. Ktoś podprowadził go i pomógł usiąść na kanapie. Na chwilę zapadła cisza, przerywana tylko oddechami. „To chyba Cavernata”, pomyślał Ioanneos, słysząc ciche dyszenie. „Chyba się przeziębiał”.

– Jeszcze ktoś przyjdzie – odezwał się Quent. – Nie świecimy światła i dalej nasłuchujemy. Gość musi być szczególnie chroniony, nawet kosztem naszej wpadki.

Quent i Cavernata uważali, że w ścianach są puste korytarze, którymi mogą przemieszczać się Czuwający, niektórzy uczestnicy prowadzący ciągłe obserwacje.

Podobno uważne nasłuchiwanie pozwalało zauważyć szmer uczestników przemieszczających się wewnątrz ściany. Ioanneosowi dotąd nie udało się czegoś takiego dosłyszeć. Oni obaj sądzili, że znikanie łazienek mogło być przejawem obecności pustaci w ścianach budynku konferencyjnego. Proces otwierania się i zamykania w nich pustych przestrzeni mógł być dynamiczny i wywoływany na przykład przemieszczaniem się uczestnika lub nutritora. Według spiskowców każdy nowo wtajemniczony, po pierwszym ryzykownym okresie, jest traktowany z mniejszą uwagą. Później jednak zarządzający ośrodkiem zauważają zbyt częste spotkania tych samych osób i robią się coraz bardziej ostrożni.

Ioanneos siedział w ciszy, aż zaczęła morzyć go senność. Wreszcie rozległo się charakterystyczne pukanie: dwa razy, dłuższa przerwa i ponownie dwa razy.

Cavernata uchylił drzwi i do środka wszedł profesor Lucas Dacortona.

Ioanneos zrobił okrągłe oczy, a stary odpowiedział mu wesołym uśmiechem.

– Miało mnie tu nie być? – zapytał uśmiechnięty.

– Nie... tak... – zabelkotał Ioanneos. Nutritor spiskowcem? Wydawało mu się, że *nutritores* są innym rodzajem ludzi w ośrodku, pewnie jeszcze gorszym niż uczestnicy.

– To profesor zainicjował nasz spisek – wyjaśnił Quent. – Rozpoznał nas wśród innych, a następnie obdarzył zaufaniem. Nauczył mierzyć czas.

– Mnie powiedział, że jestem tutaj dłużej od niego – dodał Cavernata.

– Quent też jest tutaj dłużej niż ja – powiedział Dacortona. – A czas zaczęliśmy mierzyć, dopiero jak było nas trzech. Sam tylko domyślałem się tego, co potem udowodniliśmy pomiarami.

– Trudno mi było się pogodzić z tak długim upływem czasu – powiedział Ioanneos. – Dowodem, że nie żyję.

– Och, to początek... – Dacortona machnął ręką. – Przestrzeń tutaj też zadziwia. Poszczególne sale ośrodka, wykłady, wydarzenia, jawią się jak odrębne kamyki układanki. Tego nie rozumiemy...

– *Lapides quadrati?*

Dacortona spojrzał badawczo na niego. – Coś w tym rodzaju. Ale nie w tym znaczeniu, jak rozumie to Honoriusz Scholastyk.

– *Lapides imperfecti?*

Dacortona pokiwał głową. – To już prędzej. A przynajmniej najczęściej takie właśnie.

– Niepowiązane ze sobą kamyki układanki?

– Powiązane ze sobą, ale często ukazują się szczeliny między nimi.

– Co to znaczy?

– Nie rozumiemy tego, ale wygodniej tak traktować nasz świat codzienny. Lepiej to opisywać rzeczywistość niż przyjęcie ciągłości.

– Każdy poszczególny element posiada tutaj swoje szczególne znaczenie – wtrącił się zaczerwieniony Cavernata. – Należy starać się go zrozumieć w oddzieleniu od reszty, a potem znaleźć powiązania z tą resztą.

– Można tak też to rozumieć – zgodził się Dacortona.

Na chwilę wszyscy zamilkli.

„Czyżby on uważał inaczej?“, pomyślał Ioanneos. „Może poszczególne epizody życia w ośrodku to niewyodrębnione fragmenty jednej rzeczywistości, lecz po prostu różne rzeczywistości, słabo zazębiane ze sobą?“

– Czy sny informacyjne też należy traktować jak oddzielne elementy układanki? – spytał.

– Na pewno tak – powiedział szybko Dacortona – ale z nimi trzeba uważać... Zdarzały się sny fałszywe. Zupełnie jakby ktoś, kto nam je zsyła, chciał czasem wprowadzić śniącego w błąd. Może zresztą sny te nadchodzą z różnych źródeł...?

– Jak sprawdzić fałszywość snu?

– Podaje fałszywe informacje. Ja na przykład podejrzewam, że jestem Luką Signorellim, ale nie mam pewności – powiedział Dacortona. – Nic z tych faktów nie pamiętam.

– W moim śnie byłeś Luką Signorellim, a ja stolarzem Gattaką.

– Wiem. Oni już mi powiedzieli. To nie pierwszy sen z takim przypisaniem mojej osoby, więc może to prawda – powiedział bez przekonania Dacortona. Potarł skórę na policzku, a głębokie zmarszczki wokół jego ust zarysowały się jeszcze mocniej. – Wielokrotnie jednak Eleonora i Izabela przypisywane były jako Eleonora i Isabella Orsini. Obie panie hrabiny Monaldeschi della Cervara. One same jednak bardzo konsekwentnie temu zaprzeczają.

– Dziwi mnie sentyment Eleonory do imienia Józef – powiedział Ioanneos. Eleonora niepokoiła go w szczególny sposób. Chciałby dowiedzieć się o niej więcej. – Izabela z niej żartuje.

– Mąż Eleonory nazywał się Józef. Śnili mi się oboje.

– Namalowałaś twarz Krystyny w manierze Filipepiego, nie swojej – Ioanneos zmienił temat.

– To niczego nie przesądza. Może kiedyś chciałem malować: piękne twarze w jego stylu i to była realizacja mojego marzenia?

– Marzenia to marzenia, fakty to fakty.

– Po tamtej stronie, nie po tej. Tutaj czasami marzenia z tamtej strony okazują się być równie realne, jak rzeczywiste dokonania – zauważył Dacortona.

Ioanneos zamilkł, zdziwiony.

– Może się tego nauczyłem, może podpatrzyłem od niego – kontynuował stary. – Te na fresku w Capella Nuova, mojej ostatniej dużej pracy, też takie są. Słodkie, anielskie twarze...

Nikt się nie odezwał. Trudno było cokolwiek oceniać, nie widząc tego.

– Tam tylko spałem szkielety... – dodał Dacortona ciszej, do siebie, bezgłośnie chichocząc.

### 39 *O korytarzach w ścianach*

*(Dacortona, Ioanneos, Katren)*

Ioanneos bardziej zainteresował się ścianami swojego pokoju. By sprawdzić, czy wewnątrz nich się coś dzieje, przed snem leżał bezgłośnie i nasłuchiwał. Długo nie można było wstrzymać oddechu, jednak szybko nauczył się go uciszać. Rzeczywiście, wkrótce zaczął rozpoznawać jakieś poruszenia wewnątrz ściany. Nieznani kontrolerzy nawet nie starali się zachowywać cicho. Wydawało się, że stąpają po niewidocznych schodach.

Czasem niektórzy potykali się albo chrząkali. Zupełnie jakby byli pewni, że nie da się ich usłyszeć. Zatrzymywali się na dłużej i nasłuchiwali, co też dzieje się w pokoju alumena. Ioanneos w takich przypadkach zaczynał głośniejsze i równomiernie oddychać, żeby nieznany obserwator nabral pewności, że alumen jest w swoim pokoju oraz że nie robi nic niepoprawnego.

Gdzie mógł się zmieścić tajemniczy kontroler alumenów? Ściany sal wykładowych były normalnej grubości. Niewiele więcej niż framuga drzwi.

– Nic bardziej mylnego – powiedział Dacortona podczas najbliższego spotkania.

Ioanneos się zdziwił. Uważał, że prawa geometrii działały w ośrodku, a jedynym niewyjaśnionym odstępstwem była malejąca liczba pomieszczeń na coraz wyższych piętrach, mimo takiego samego planu budynku i tej samej liczby okien na fasadzie.

– Pamiętasz, co mówiłem o strukturze ośrodka? – zapytał Dacortona.

Ioanneos słuchał mistrza.

– Jeśli znajdujesz się w miejscu, które składa się z wielu niedokładnie przystających do siebie rzeczywistości, jak z garści kamyków, to w szczelinach między nimi może się wiele ukrywać.

– Jak zaprawa między kamieniami?

– Choćby. Chociaż taka zaprawa może być po prostu próżnią. Może to pustać taka, jak czasem pojawia się w nocy zamiast łazienki.

– Jak oni się poruszają w pustce?

Dacortona wzruszył ramionami. – Nawet nie wiesz, jaką mają postać Czuwający... Nie masz pewności, że wyglądają jak my. Ty wolno opadałeś. Może oni potrafią poruszać się tam zupełnie inaczej?

– Słyszę wewnątrz ścian odgłosy ich kroków.

– Więc umieją tamtędy się poruszać. Ty tam schodów nie widziałeś.

– Może trzeba je umieć znaleźć?

– Może. Albo są schody tylko dla nich, nie dla nas.

– Kiedyś zastanawialiśmy się, czy wśród nas nie ma demonów. – Ioanneos urwał, jakby niepewny, czy to słowo przejdzie mu przez usta.

– Tutaj zdołasz wypowiedzieć wszystkie słowa. Przy żadnym nie będziesz się dławił, jak w czasie snu. Mój pokój jest wystarczająco wysoko. Odwrotnie niż na kondygnacjach bardzo niskich, o wiele więcej słów jest tu dopuszczonych do użycia.

– Wyliczyliśmy wtedy Jizogę, Rajgę, m’Beleha...

– Ci na pewno. Jest też wielu innych.

– Agata?

– Nie, ona nie. Prawie na pewno. Jest osobą z tamtego rodzaju, ale raczej taką z góry, nie z dołu...

– To anioł...? – spytał Ioanneos.

– Tak podejrzewam. – Mimo możliwości wymawiania tych słów obaj używali ich z przesadną ostrożnością.

Ta rozmowa zachęciła Ioanneosa do działania. Gdy wieczorem, długo leżąc w mroku, nie słyszał odgłosów Czuwających, wybierał się do łazienki. W szarym mroku nocy otwierał drzwi, uważając, by się nie potknąć i nie polecieć w przód. Ani razu nie odważył się zstąpić w nicość, ale kilkakrotnie uderzył go znajomy prąd ciepłego powietrza i poczucie, że stoi nad otchłanią. Na okres ciszy nocnej wyłączano światło w pokoju, więc nie dało się inaczej sprawdzić istnienia łazienki, jak tylko podejść i otworzyć drzwi, nie postępując ani kroku w mrok, aby nie przepaść w dziwnej próżni.

Ciekawość nie dała mu spokoju. Postanowił zbadać, czy istnieje połączenie kamyków rzeczywistości wiodące przez czarną nicość. Co noc nasłuchiwał kroków w ścianach, a gdy te ucichły, po długim czasie sprawdzał, czy za drzwiami łazienki kryje się normalne pomieszczenie. Wreszcie doczekał nocy, gdy łazienka przestała istnieć.

Należało najpierw zapewnić sobie drogę powrotu. Wiedział, że w nicości grawitacja działa słabo i chociaż powoli, lecz stale opada się tam w dół. Do dyspozycji miał dwa prześcieradła. Na jednym z nich leżał, drugim się przykrywał, kładąc je pod kratkowany koc. Nie wymagało wiele

wysiłku sporządzenie z nich obu prawie czterometrowego sznura. Co pół metra zawiązał na nich węzły, żeby można się było potem wygodniej wspinać.

Założył dzienny strój, a do kieszeni schował klucze od pokoju. Wiedział, dokąd wejdzie, ale nie wiadomo było, skąd będzie wracał. Przywiązał sznur do wewnętrznej klamki drzwi i zepchnął go w ciemność. Trzymając zań obiema rękami, zstąpił w mrok.

Wisząc na zaimprovizowanej drabince, opadał bardzo wolno. Drzwi pociągnięte jego ciężarem wreszcie zamknęły się. Bez wysiłku utrzymywał się na drabince z prześcieradeł. Grawitacja jakby nie działała, bo musiał celowo napinać obiema stopami drabinkę, aby opadała w dół. Wolno i metodycznie, krok po kroku, opuszczał się coraz niżej w pełnej ciemności. Co chwilę macał dłonią w mroku. Ściany nie było, ale spodziewał się trafić na drugą klamkę. Sięgał przed siebie, sięgał na boki, wreszcie za siebie.

Nagle w ramiona zaciśnięte na sznurze coś go uderzyło. To nie był gwałtowny szkwał, powiew, lecz jakiś obiekt. Nie ostry, nie zranił skóry, ale bardzo duży. Ioanneos wyczuł jakby napiętą błonę czy tkaninę. Zawadziło też o twarz. Poczul ostry, drażniący smród. Przecież tak wielkich nietoperzy nie ma? Kurczowo zacisnął dłonie, aby nie puścić sznura. Uderzenie obróciło go jakby do poziomu, ale pozostał miękko w nowym położeniu, cios nie wprowadził go w wahanie. I tyle. Żadnego hałasu, nic.

Znowu zrobiło się zupełnie spokojnie. Może wracał do zwyczajnego położenia, ale tak łagodnie, że nie był w stanie niczego zauważyć. Trzeba się stąd jak najszybciej wycofać.

Drabinka z prześcieradeł zaraz powinna się skończyć. Jeśli nic tu nie znajdzie, zamierzał wrócić do góry, wspinając się po węzłach. Już miał zrezygnować, kiedy dłonią, wyciągniętą na wysokości oczu, trafił w wystający kształt. To klamka. Była jednak przed nim, a nie, jak się spodziewał, za nim. Może wolno obrócił się w nicości?

Nacisnął klamkę. Drzwi otwały się, odsłaniając szary prostokąt. Ioanneos wspiął się dwa węzły w górę po drabince i wszedł do pokoju.

Zamknął drzwi łazienki za sobą. Półmrok ujawnił typowe meble, identyczne jak w jego własnym pokoju. Za oknem ciemnoszare niebo i pędzące po nim ołowiane chmury. W pojedynczym łóżku, nakryta prześcieradłem pod szyję, leżała na wznak jakaś kobieta. Podszedł, nachylił się nad leżącą. Śpiąca Katren wyglądała starzej niż widziana na wykładach. Opuszczone powieki skrywały jej wielkie, czarne oczy. Dziewczyna nie mogła go tutaj zobaczyć.

Ioanneos skierował się do drzwi wyjściowych. W samą porę, bo nagle zapikał budzik. Siódma trzydzieści migłała na czerwonym wyświetlaczu. Dla Katren zaczynał się dzień zajęć, dla Ioanneosa był ledwie środek nocy. Śpiąca poruszyła się, może nawet uniosła powieki. Ioanneos nacisnął klamkę, wyszedł na korytarz i cicho zatrzasnął za sobą drzwi.

Do swojego pokoju musiał wspiąć się trzy kondygnacje w górę. Niemożliwe, żeby na czterometrowej drabince zaimprovizowanej z dwóch prześcieradeł udało się opuścić aż tak nisko.

U niego łazienki nadal nie było. Mocno pociągnął za sznur. Nieoczekiwanie ten opadł z góry. W czarnej pustce musiały więc wiać tajemnicze wiatry. Słabe powiewy skutecznie konkurowały z grawitacją.

Na najbliższym zebraniu spiskowcy gniewnymi szeptami zrugali Ioanneosa.

– Pod żadnym pozorem nie wolno tam wchodzić! – sierdził się Cavernata. – Nie miałeś żadnej gwarancji, że trafisz w ogóle do jakiegoś pomieszczenia, do jakiejś innej nieistniejącej łazienki.

– Miałem takie przekonanie.

– A gdybyś trafił do wnętrza ściany?! – To zdanie Cavernaty zmroziło Ioanneosa. – Gdybyś trafił do jednego z korytarzy, którymi wewnątrz muru wędrują nieznani kontrolerzy? I nie znalazł drogi powrotu? Albo gdyby cię taki dopadł?!

– Cavernata złości się, bo prawdopodobnie tak przepadł Erwin, nasz najlepszy kumpel – powiedział Quent. – Nieistniejąca łazienka była naszą pierwszą obserwacją. Erwin powiedział kiedyś, że zbada, dokąd wiedzie czarna nicość, i przepadł.

– Nie wiedziałem tego, lecz teraz wiemy więcej – powiedział Ioanneos. – Czasem tą czarną pustką można przewędrować i trzy kondygnacje.

– Słyszałeś tam kroki? – spytał Quent. Ciekawość jednak zwyciężyła.

Rozgniewany Cavernata nie odzywał się.

– To charakterystyczne stukanie po kamiennych schodach, które rozbrzmiewa wewnątrz ścian?

– Właśnie.

– Ani razu. Tam jakby się unosiłem, a może jakby nieco opadałem. Sznur wisiał prosto w dół, ale trzeba go było napinać obiema zaciśniętymi stopami, żeby osunąć się do niższego węzła.

Ioanneos nie wspomniał o zderzeniu w mroku, aby nie irytować towarzyszy jeszcze bardziej.

– Jako droga komunikacyjna ta czarna pustka nie nadaje się wcale – powiedział zdecydowanie Cavernata.

Obaj spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– No... kiedyś pomyślałem, że można by taki sznur pozostawić przywiązany do obu klamek. Wskazałby drogę na skróty od pokoju do pokoju.

– Faktycznie. – Oczy Quenta zabłysły.

– Ale tylko tak długo, póki łazienka by nie istniała. Potem by przepadł, gdy wszystko znowu wróciłoby do zwyczajnego stanu.

– Wczoraj trwało to dość długo. Zdążyłem wrócić do mojego pokoju i ściągnąć sznur. Prześcieradła nie przepadły.

– Miałbyś się z pyszna, gdyby stało się inaczej. Nie wytłumaczyłbyś się przed pokojowymi. Za zniszczenie swojej pościeli dostałbyś przynajmniej ze trzy godziny integracyjne z Baldugą...

Na jednym z następnych wykładów Ioanneos przysiadł obok Katren. Odnosił wrażenie, że dziewczyna przytyła, do reszty tracąc urok swojej sylwetki. Dzisiaj Katren rozjaśniła i rozpuściła włosy. Wolał naturalną, połyskliwą czerń jej włosów, pamiętaną ze snu o Sądzie. Jej samej naturalna czerń chyba się zbyt nie podobała, bo ostatnio co dzień miała włosy w innym kolorze. „Potrafi umiejętnie maskować swoje idealne piękno”, myślał Ioanneos.

– Często barwisz włosy – zauważył grzecznie. – Przyciąga to uwagę.

– Takie szampony zaczęli mi wydawać ci z obsługi. Ja nie mam na to wpływu. Nie mogę umyć włosów, nie barwiąc ich. Nie wiem, dlaczego to robią...

– Przynajmniej jest jakaś odmiana – burknął nieprzekonany.

Zbyt mało czasu upłynęło od jego nocnej wyprawy, by zegary już się zsynchronizowały.

– Zbliża się pora obiadu – powiedział do niej.

– Dopiero...? Moja grupa ma zaraz kolację. Ależ te rozpiski są poprzesuwane. – Katren miała zbyt wysoki głos.

Przesunięcie czasowe wydawało się spójne z obserwacją w jej pokoju, chociaż wyraźnie się zmniejszyło. „Moja doba się skróciła czyjej wydłużyła?”, pomyślał.

– Śniłeś mi się – powiedziała nagle. Jej wielkie, czarne oczy zabłyszczały. – Na wielkiej zielonej łące. Przyszłście do mnie razem z bibliotekarką.

– My oboje?



– Taak... Zupełnie porozbierani. Tylko w takich dziwacznie wykrojonych fantazyjnych majtkach w cielistym kolorze, i w niczym więcej.

„Oj, opuszczą cię takie sny... opuszczą na dłużej”, pomyślał. – Nic więcej nie mieliśmy na sobie? – spytał grzecznie.

– Ona miała włosy zawinięte białym czepkiem czy turbanem. Bardzo ładnie to wyglądało.

– Ależ masz sny...

– Nic z tych rzeczy – spieszyła się. – Ale zazdrościłam bibliotekarce, że ona tak sobie chodzi z tobą po łące, a ja stoję sama jak palec.

– Pewnie byliśmy piękniejsi niż naprawdę.

– Skąd wiesz...?

Uśmiechnął się. – Nietrudno się domyślić, to przecież sen.

– Ale w tym śnie ja zachowałam się wstrętnie.

– Dlaczego?

– Bardzo chciałam się jej pozbyć i to się spełniło. Przyleciał zielonkawy potwór z rogami, ogonem i kopytami.

– O twarzy kobiety?

– Właśnie. Twarzy Baldugi i płaskich, trójkątnych piersiach. Ten potwór porwał bibliotekarkę za kostki, założył sobie na plecy, głową w dół...

– Tak jak aktorzy na próbach?

– Tak samo. Rozpostarł nietoperze skrzydła i pofrunął z nią w górę. Ależ ona płakała.

– Musiało ci się skojarzyć z próbami teatru amatorskiego.

– Kiedy to było takie prawdziwe... Musiałam ci to powiedzieć. Pozbyć się poczucia winy z tamtego snu.

– A ty sama też pofrunęłaś?

– Nie pamiętam.

– A skąd nas obserwowałaś?

– Najpierw rozmawiałam z wami, a potem rzeczywiście zagniewana oddaliłam się, ale jakoś tak do góry, że miałam was pod stopami. Obserwowałam was i zazdrościłam, że ona tak wędruje z tobą. Potem przyleciał zielony potwór i porwał bibliotekarkę.

– Może dlatego dręczy cię poczucie winy. – Nie chciał ujawnić jej swojego snu. Najpierw trzeba kogoś długo obserwować, zanim dopuści się go do konspiracji. Obie historie wydawały się wspólne. Znowu dwie osoby śniły ten sam sen.

„Dacortona powiedział, że sny informacyjne mogą być konkurencyjnymi rzeczywistościami w stosunku do rzeczywistości ośrodka. W takim przypadku często powinny bywać wspólne dla wielu śniących”, pomyślał. „To drugi znany mi taki przypadek”.

– Długo się z tym gryzłaś?

– Trzy dni. Sam dzisiaj podszedłeś do mnie. Łatwiej było zagadać.

Trzy dni temu. To mogło być wtedy, gdy on trafił do jej pokoju po drabince z prześcieradeł, jednak nie wtedy, gdy sam śnił historię o Sądzie. W takim razie co się dzieje z czasem, gdy trafia się do rzeczywistości snu informacyjnego? Nie znajdował odpowiedzi.

#### **40    *Sny o Ioanneosie***

*(Dacortona, Cavernata, Ioanneos-Vittorino di Cadore)*

Dacortona nie wyjaśnił wiele więcej. Skoro sen to inna rzeczywistość, to przecież nie musi być rządzona takim samym upływem czasu jak ta w ośrodku. Możliwe, że różne osoby trafiają w tę samą scenę snu w bardzo różnym czasie, jeśli go mierzyć rzeczywistością ośrodka.

– Te obrazki, odrębne rzeczywistości z naszych snów, mogą być jak perły nanizane na sznur, a wtedy nitka będzie wyobrażać dostęp do nich – mistrz ujął to w słowa. – Mogą jednak równie dobrze przypominać krople wody na pajęczynie, a wtedy nie musi być konieczne, by każdy trafiał do nich w tym samym czasie, a nawet w tej samej sekwencji.

„Niewykluczone, że Brendę dopiero czeka przykry sen”, pomyślał Ioanneos.

– Dzięki takim snom wiemy o sobie znacznie więcej, chociaż nie wiadomo, dlaczego one przychodzą – kontynuował Dacortona. – Albo lepiej mówiąc, dlaczego dostajemy się do takich snów. Nikt nas tutaj niczego celowo nie uczy. Jeśli nabywamy jakiejś wiedzy, to raczej wbrew okolicznościom, a nie dzięki nim.

– O sobie nic nie wiem. Śniła mi się historia Quenta, wyśniła mi się Brenda, nawet Izabelę i Eleonorę ujrzałem we śnie, ale moja własna historia jest zupełną tajemnicą – powiedział Ioanneos.

– Nie do końca – burknął Cavernata. – Może coś wiadomo na twój temat.

Zapadło milczenie.

– To straszna historia?

– Niekoniecznie... Ale jest niejasna. Nie mam pewności, że to ty mi się śniłeś.

– A co wiesz?

– Niewiele pamiętam z tamtego snu. Faktycznie, poprzedził twoje przybycie, a nie zdarzyło się jeszcze, żeby śniły się czyjeś losy, zanim ten ktoś przybył do ośrodka.

– Brenda przyśniła mi się, zanim ją poznałem. Quent tak samo. Może już tutaj byłem, a ty mnie jeszcze nie znałeś?

– Może... – Cavernata bez przekonania pokręcił głową. – Ale to mało prawdopodobne.

– Powiedz, co pamiętasz.

– W tamtym śnie byłem tobą, podobnie jak ty w swoim śnie byłeś Quentem. Zapamiętałem z tego bardzo niewiele. To był pierwszy z serii moich snów informacyjnych i nie przywiązałem do niego dość wagi.

Ioanneos słuchał z napięciem. Nie przerywał.

– Nie jesteś królem Janneuszem, jak uważasz. Prawdopodobnie to imię najwyraźniej nadano ci przypadkiem.

– To imię fałszywe? – zachnął się Ioanneos.

– Może. – Cavernata przetarł czoło.

– W moim śnie nazywałeś się Vittorino di Cadore, z pewnością nie da Caderno, chociaż ktoś tak się zwrócił.

– Usłyszałeś to imię w swoim języku, Cavernato, ale może należy je przetłumaczyć na inny język? – rzekł Dacortona.

– Może... – Cavernata zrobił bezradny gest dłonią.

– Było wielu Wiktorynów – kontynuował Dacortona. – Byli Vittorini Franchesi da Parrigi. To byli dobrzy filozofowie, mądrzy ludzie.

– Byli. Ale on nie był jednym z nich.

– Oprócz imienia pamiętasz coś więcej? – nalegał Ioanneos.

– Mówiłeś do licznego audytorium. Pamiętam oczy wlepione we mnie w tym śnie. Dziesiątki par oczu. A ja mówiłem, mówiłem... To zostało starannie przygotowane przeze mnie, a dla nich było bardzo potrzebne.

– Może byłem politykiem czy dowódcą wojskowym...?

– Chciałeś uwięzić w książce śmierć ukochanej osoby. Opisać słowami, by to nie zaszło naprawdę, lecz pozostało ukryte między kartami, zamknięte. By twoja ukochana pokonała śmiertelną chorobę. Chciałeś uwięzić żywioł, śmierć.

Ioanneos milczał.

– To królewskie marzenie, więc może faktycznie byłeś królem Janneuszem? – wtrącił się Dacortona.

– We śnie wiedziałem, że on nazywa się inaczej. Vittorino di Cadore.

– A ja nie jestem tutaj nutritorem, chociaż mam sporo siwizny – podsumował Lucas Dacortona. – Jestem zwyczajnym alumenem.

Ioanneos zamyślony wracał do siebie. „Vittorino, Vittorini”, powtarzał swoje właściwe imię. „Całkiem niezłe to brzmi. Jeszcze lepiej niż Ioanneos”.

#### **41    *Na dolnym poziomie, żarłoki na śmietniku, trzeci krąg***

*(Ioanneos, Rehot)*

Budowa ośrodka zadziwiała coraz bardziej, w miarę jak ją poznawał. Czym jest to miejsce, gdzie uwięziono tylu ludzi po śmierci? Podzielone, pofragmentowane czasem na prawie oddzielne kwatery, między którymi wiodły dziwne, nieoczekiwane ścieżki, czasem prowadzące przez pustkę, czasem przez sen. Czego jeszcze można się spodziewać, poznając nieznaną zakamarki ośrodka? Czy jego dokładniejsze poznanie sprawi, że on sam więcej dowie się o sobie?

Poświęcał każdą wolną chwilę na badania w salach i korytarzach. Starał się to robić dyskretnie, nie przebywać za długo w jednym miejscu, a raczej rozkładając obserwację każdego miejsca na kilka etapów. Okazało się to nieoczekiwanie trudne, bo czasem nie udawało się odnaleźć drugi raz tego samego pomieszczenia.

Wprawdzie oczywiste skojarzenie z relacją góra-dół nawet w odniesieniu do poziomów ośrodka nakazywało ostrożność, jednak Ioanneos odważył się penetrować najniższe kondygnacje, a nawet piwnice. Nie było to łatwe, ponieważ drzwi tam wiodące na ogół były zamknięte. Z początku kilkakrotnie próbował je otworzyć, ale obite lakierowaną blachą drzwi nie

ustępowały. Dawno ich nie odnawiano. W wielu miejscach lakier odprysnął, odsłaniając plamy rudej rdzy. Na nadprożu ktoś niezdarnie napisał czerwoną farbą „Le Balze”. Wreszcie za którymś razem zastał te drzwi otwarte na oścież.

Za blaszanymi drzwiami rozpościerał się długi, mroczny korytarz, oświetlony z rzadka pojedynczymi żarówkami. Drzwi rozmieszczono po jego obu stronach, podobnie jak na wyższych kondygnacjach. Jednakże tutaj wszystkie drzwi obito blachą polakierowaną na szaro, a strop był znacznie niższy w porównaniu z leżącymi wyżej kondygnacjami ośrodka. Betonowy sufit jakby przygniatał, czuło się duszność, brakowało powietrza. Wydawało się, że każdy następny oddech nieodwracalnie zabiera powietrze z ciasnej przestrzeni korytarza, a wydech nie zwraca wciągniętego powietrza. To było bezsensowne odczucie, ale Ioanneos nie potrafił się go pozbyć.

Jeśli chce się zbadać piwnice, trzeba pójść tym korytarzem i po kolei sprawdzać, czy są tutaj jakieś otwarte drzwi. Najbliższe były zamknięte, następne też, ale trzecie kolejne dały się uchylić.

Za nimi zobaczył szereg wanien ustawionych rzędami w zaniedbanym, dawno niemalowanym pomieszczeniu o ścianach wyłożonych do wysokości półtora metra białymi flizami. Na flizach bujały zielone i szare wykwity, a na odpadającym suficie plenił się grzyb.

Wanny wypełniała cuchnąca, półpłynna brunatna maź. Wychylały się z niej głowy znajdujących się tam ludzi. Je też pokrywała gruba warstwa półpłynnej masy. Niektórzy pólleżeli, inni siedzieli, a wtedy ich ciała wyrastały jak mroczne góry. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety byli niezwykle otyli.

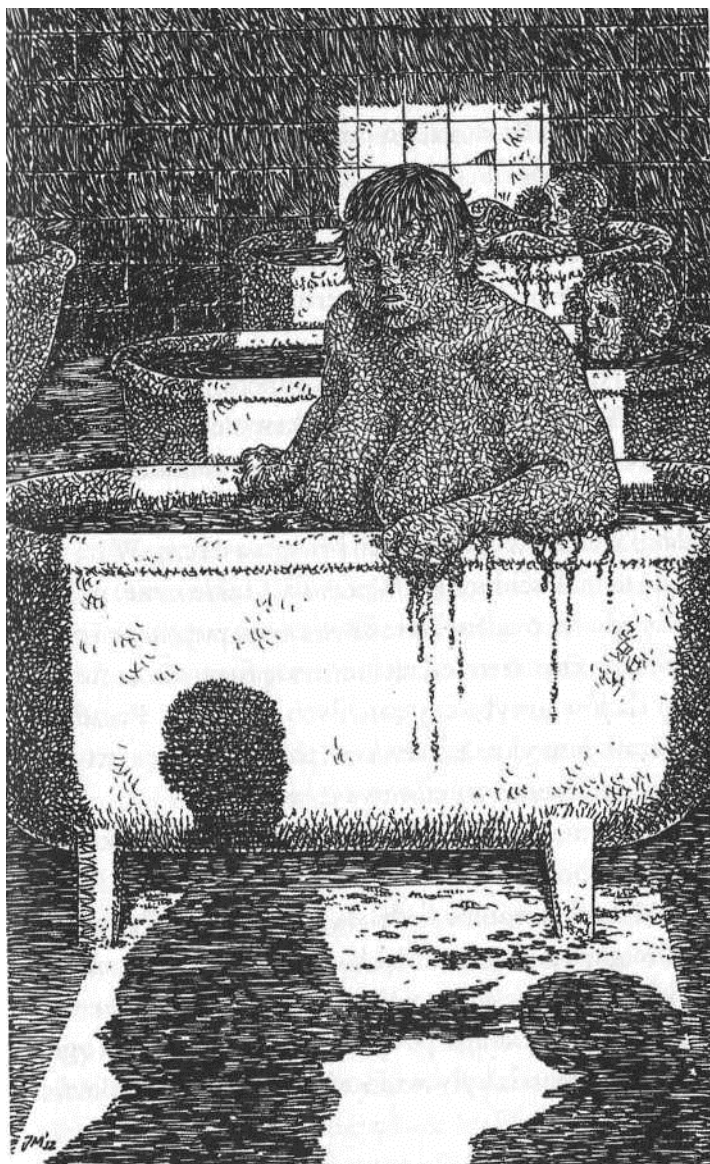
– Można jeszcze zapisać się na zdrowotne kąpiele błotne! – Uczestnik Rehot znieacka pojawił się w drzwiach.

Ioanneos ujrzał go pierwszy raz od czasu godziny integracyjnej z Agatą. – Nie myślałem o tym.

– Gorąco zalecamy korzystanie. – Rehot szerzej otworzył drzwi do pomieszczenia. Stojących w trzech rzędach wanien było tam chyba ze trzydzieści. – Mamy jeszcze kilka wolnych stanowisk.

W nos uderzył fetor śmietnika, gnijących warzyw i sfermentowanego potu. Ioanneos skrzywił się.

– To jest kąpiel ekologiczna, z użyciem wyłącznie naturalnych środków – powiedział Rehot. – Spełnia rolę terapeutyczną i jednocześnie kosmetyczną. Naturalnych środków się nie perfumuje.



Widocznie twarz Ioanneosa nie wyrażała wystarczającego entuzjazmu, bo Rehot zwrócił się do najbliższej osoby:

– Może się pani bardziej wychylić z wanny i coś nam powiedzieć o swoim przypadku?

Zanurzona w mazi kobieta zamruła, ukazując samotne białka oczu wyłaniające się z jednolitej błotnistej powierzchni. Obiema dłońmi uchwyciła za krawędź wanny i uniosła się.

Czarnobrunatna masa wolno ściekała, a częściowo zsuwała się z jej ciała, stopniowo odsłaniając jego kształt. Zarysowały się krągłe ramiona i łagodne krzywizny wielkich piersi, których reszta nadal nikła w błocie. Wkrótce nawet włosy powoli odlepiły się od powierzchni skóry, a ich pukle zaczęły się podnosić, nadając kobiecie bardziej normalny wygląd.

– Jeszcze trochę, bo nie widać wszystkiego.

Kobieta bez szemrania wykonywała obcesowe polecenia Rechota. Posłusznie wyłoniła się aż do pasa, a z jej płaskich piersi, sięgających właśnie prawie pasa, odrywały się płaty kleistego błota, a potem ich śladem ściekały duże, leniwe krople.

Kuracjusze z innych wanien z wielkim zainteresowaniem przyglądali się jej ciału. W każdej wannie z błotnej mazi wyłoniła się para białek. Żeby widzieć lepiej, niektórzy wychylali się daleko za krawędź, kurczowo przytrzymując się swoich wanien.

– Wystarczy. Teraz dobrze – powiedział uczestnik Rechot. – Teraz opowiedzieć coś o sobie.

– Wysoko sobie cenię możliwość kuracji kosmetycznej. Schudłam w jej trakcie ponad trzydzieści kilogramów, a chciałabym drugie tyle. Apetyt trudno powściągnąć, ale potem tyle kłopotów z nadwagą... A tutaj można szybko się jej pozbyć.

– Wystarczy. Można się zanurzyć. Proszę kontynuować kurację – polecił Rechot.

Przez salę przebiegł jęk zawodu.

– Aby się tu dostać, trzeba złożyć podanie na recepcji – zwrócił się do Ioanneosa. – Trochę trwa jego rozpatrzenie, bo zwykle jest kolejka chętnych. Jednak często pojawiają się wolne stanowiska. Bierze się to z tego, że niektórym kąpiel torfowo-błotna bardzo szybko pomaga i można skrócić czas kuracji odchudzającej. Trzeba złożyć podanie na recepcji – powtórzył.

„To nie torf, tylko jakiś kompost, mieszanina półpłynnych odpadków ze śmietnika, fetor, że nos chce urwać”, pomyślał Ioanneos. „Błota w tym bardzo mało, akurat tyle, aby to wszystko razem trzymało się skóry”.

– Na recepcji – przytaknął Rechotowi. Pokiwał głową potwierdzająco i wycofał się.

Przerwa już się kończyła, a w rozpisce miał kolejny wykład m'Beleha. Znowu o Signorellim. Drugi raz m'Beleh niemal w całości powtórzył swoje pierwsze wystąpienie. Nawet kpiny i inwektywy były podobne. Wyglądało, jakby już za pierwszym razem osiągnął krańce swej wiedzy. „O więcej mógłby spytać Dacortone”, pomyślał ironicznie Ioanneos.

**42** *Na dolnym poziomie, melancholiczki w bagnie, piąty krąg*  
(*Ioanneos, Rajga*)

Nie przerywał obserwowania lokalnego niebytu za drzwiami łazienki. Czekał, kiedy w środku nocy w czarnej pustce pojawi się zwisająca drabinka zaimprovizowana z prześcieradeł. Jeśli on czegoś takiego spróbował, dlaczego ktoś inny nie miałby wpaść na ten sam pomysł? Podejrzał, że zainspirowany jego śmiałością Quent mógłby w tajemnicy przed wszystkimi spróbować tego sposobu przemieszczania się. Na razie jednak nic takiego się nie zdarzyło.

Kilkakrotnie, po otwarciu drzwi w nocy, odkrył zniknięcie łazienki – sięgając ręką daleko przed siebie, nie trafił na ręcznik na wieszaku ani na umywalkę. Po zwisającej z góry linie nieznanego podróżnika też nie było nawet śladu. On sam jednak również nie odważył się opuścić znowu w próżnię na sznurze z prześcieradeł.

Znowu otwarto zwykle zamknięte na głucho stalowe drzwi do dolnej piwnicy. Skwapliwie poszedł sprawdzić, co kryje się w kolejnym piwnicznym pomieszczeniu. Pierwsze, drugie, trzecie drzwi na korytarzu tym razem były zamknięte, czwarte też. Szarpane klamki nie ustępowały. Już chciał zrezygnować, ale usłyszał wewnątrz hałas i przekręcanie klucza w zamku. Ktoś krył się za zamkniętymi drzwiami, więc raczej nie oczekiwał wizyty, a natarczywość alumena mogła go zirytować. Teraz już uciekać nie było sensu. I tak zresztą by nie zdążył. Drzwi otwarły się i wyłoniła się twarz uczestniczki Rajgi. „Dobrze, że nie Balduga, po tamtej nie mógłbym myśleć przez dwa dni”.

Rajga wyłowiła z mroku korytarza twarz Ioanneosa i wyszczerzyła dwa siekacze w uśmiechu, w którym udziału nie brały jej oczy, lustrujące otoczenie jak dwa rozbiegane, czarne koraliki.

– Nie ma cię w rozpisce, Ioanneos – powiedziała.

– Tak tylko zajrzałem, z ciekawości.

Rajga otworzyła szerzej drzwi. Podobnie jak trójkę, również i salę numer pięć zastawiono trzema rzędami wanien wypełnionych brunatną cieczą. W tej sali było jednak schludniej. Wprowadzie takie same, pokryte brudnym osadem białe flizy, często popękane i przedzielane zbyt szeroką, ciemnoszarą fugą, ale na suficie ani śladów grzyba czy zaschłych zacieków. Posadzka to szare lastryko, zaledwie w paru miejscach sztukowane i starannie wyszorowane szmatą.



– Tu nie ma po co zaglądać za często. Wyniki terapii przychodzą powoli. Rzadko się co zmienia.

W każdej wannie siedziała jedna osoba. Wystawały tylko głowy, czasem miękka linia kobiecych ramion. Niektóre miały włosy polepione brunatną mazią – te, które spały, opierając potylicę o skraj wanny. Na ogół włosy pacjentek były widoczne, na twarzach niewiele błota.

– Cisza tu, spokój – zauważył.

– Aż za dużo tu tej ciszy – powiedziała Rajga. – Nudzę się tutaj godzinami. To kobieca sala leczenia melancholii. Same zamyślane panie. Nie chce im się nawet rozmawiać. Całymi dniami siedzą w błocie. Niektóre nie chciały się przyznać do melancholii. Czasami najlżejsze ślady w ich zachowaniu nie pokazywały melancholii, ale w ośrodku potrafimy bezbłędnie ją rozpoznać.

– Po czym?

– Nie wiem, czy mogę ci to ujawnić.

Ioanneos nie odezwał się. Uczestniczka z pewnością powie mu tylko to, co zamierza i co zechce. Nic nie wymknie się jej przypadkowo.

– To są kobiety spod znaku Byka, Panny i Koziorożca. One mają obowiązek ulegać melancholii, powinny nadmiernie rozmyślać nad sobą.

– Tak rozpoznajecie melancholię? Według znaku Zodiaku?

– W tym przypadku to oczywiście wystarczy. Kobiety spod innych znaków trzeba starannie obserwować.

– Długo tu siedzą?

– Na ogół dość długo. Niektóre przedwcześnie udają, że im melancholia przeszła, więc terapeuta musi zachować czujność. – Rajga chętnie relacjonowała. Bez wątpienia lubiła swoją pracę. – Niektórych dotąd nie udało się nam nakłonić do przeciwdepresyjnych kąpielii błotnych. Przez ciebie dotąd nie trafiła do nas Izabela Zinsendorf.

– Izabela...?

– A właśnie ona! Przy swoim kalectwie musi być dotknięta melancholią. Nie ma tu żadnych wątpliwości. Ty jednak najpierw za dużo z nią rozmawiałeś, zaciekawileś otoczeniem, i przez to melancholia nie narosła u niej do poziomu terapeutycznego. Ale rozmawianie ci nie wystarczyło, bo na dodatek Izabelę skontaktowałeś z Prosperem i teraz oni oboje w ogóle się ze sobą nie rozstają.

– To chyba dobrze?

– Wręcz przeciwnie. Szkoda jest podwójna. Izabela przestała ulegać melancholii, ale to tylko zmyłka, bo melancholia z pewnością nadal w niej tkwi w postaci ukrytej. Prosper przestał interesować się wszystkimi kobietami z otoczenia, a troszczy się tylko o tę jedną. To poważna szkoda dla innych. Z tego powodu też zrezygnował z uczestnictwa w próbach naszego teatru amatorskiego.

– Może im dwojgu razem dobrze ze sobą?

– Dobrze? Dobrze?! – Rajga wymawiała to słowo ze szczególną odrazą. – A co to znaczy „dobrze”? Ludzie nie powinni za bardzo wiązać się z innymi. Nie powinni uzależniać się od siebie. Powinni przebojem zdobywać swoją przyszłość.

Ioanneos uznał, że lepiej nie dyskutować. Pokiwał głową, uśmiechnął się blado i wycofał na korytarz.

– Możesz tu zaglądać, kiedy chcesz. Może docenisz zalety tego miejsca i przekonasz Izabelę – poleciało za nim ostatnie zdanie znudzonej beczynnością Rajgi.

### **43 *Na dolnym poziomie, źli nauczyciele smagani płomieniem, ósmy krąg, trzecia czeluść***

*(Ioanneos, m'Beleh)*

Spokojna reakcja uczestniczki Rajgi zachęciła go do dalszych badań podziemi ośrodka.

Nie poszedł jednak korytarzem dalej. Bardziej zaciękały go umieszczone po drugiej stronie korytarza niskie, samotne, stalowe drzwiczki, z których luszczyl się biały lakier. Napisano nad nimi „Le Balze”. Nacisnął klamkę, by sprawdzić, czy nie kryją się za nimi schody. Faktycznie, wykonane z surowego betonu schody sprowadzały na jeszcze niższy poziom podziemi. Kręte, wąskie, wiodły w mrok. Ściany i sufit pomalowano na żółto, a do wysokości półtora metra była biała, poszarzała ze starości lamperia. Ioanneos dokręcił wiszącą na izolowanym kablu gołą żarówkę, a ta zapłonęła żółtym blaskiem. „Wyżej czyste wykładziny, jasne, dobrze oświetlone sale, w podziemiach budynek zrujnowany”. Pod butami zgrzytały wykruszone kamyczki.

Na nadprożu wejścia do niższego poziomu ktoś lakierem nierówno namalował osiem łamane przez trzy. W korytarzu znowu widniał rząd drzwi. Zadziwiała obfitość pomieszczeń

gospodarczych pod ośrodkiem. Ten korytarz też oświetlono jedynie pojedynczymi gołymi żarówkami, które w równych odstępach zwieszały się z sufitu na pojedynczych przewodach. Ciekawe, ile poziomów miały piwnice ośrodka?

Pierwsze drzwi zamknięto na głucho, drugie też, ale trzecie z nich były tylko przymknięte. Podszedł i zajrzał do środka. Skrywały pomieszczenie o rozmiarze typowym dla podziemi, pomalowane białą, klejową farbą. Na suficie umieszczono w dwóch rzędach solidne metalowe haki. Kilka osób zwisało na nich głową w dół. Nogi każdego wiszącego ujęto w zamocowane liną do haka drewniane łupki, obejmujące łydki jak dyby. Dzięki temu wisiało się wygodnie, a skóra się nie ocierała. Kilka innych osób polewało jakimś płynem stopy wiszących i podpalało ten płyn. Płomień lizał skórę i zaraz znikał. Wtedy drugi pomocnik szybko zanurzał głowę wiszącego w naczyniu z zimną wodą.

– Raz, dwa, hop...! Raz, dwa, hop...! – skandowali pomocnicy, aby wiszący zdążył w porę nabrać powietrza w płuca.

– Nie lać za dużo, bo się sparzy! – krzyknął nutritor m’Beleh, który nadzorował terapię. – To ma ożywić krążenie krwi w stopach, a nie parzyć! – komenderował. – Raz, dwa, hop...! Jeszcze dwa cykle i zmiana!

„Jakiż on jest stary”, pomyślał Ioanneos. Skórę m’Beleha pokrywały rude wykwity i gruzłowate, uszypułowane narośla. Nie były duże. Dały się zauważyć dopiero z bliska. „Jak ja tego mogłem dotąd nie zauważyć...?”

Nutritor dostrzegł Ioanneosa i podszedł. – Zmiana! Odwiązujemy kolegów i sami dajemy się podwiesić! – rzucił do obecnych.

Obsługujący podwieszonych zluźowali liny i opuścili ćwiczących na ziemię. Teraz pomagali im rozluźnić łupki i uwolnić stopy z dybów.

– Dołączy pan do kuracji? – spytał m’Beleh. – Ta terapia jest przeznaczona dla nauczycieli, ale każdy, kto wykonuje podobną pracę, polegającą na argumentowaniu czy przekonywaniu innych, może skorzystać bardzo wiele.

– Przypalanie stóp?

Jasne oczy m’Beleha już składały się w wyraz pozornego uśmiechu.

– Przypalanie? A jaka to różnica, czy wyleje się na skórę odrobinę benzyny bądź terpentyny, czy też ktoś maszeruje po rozżarzonych węglach? Za każdym razem następuje poprawa krążenia w stopach umęczonych wielogodzinnym staniem przy tablicy.

– A to przytapienie?

– Co przytapienie?! Jakie przytapienie?! Nikogo się tu nie przytapia. Choroby gardła to choroby zawodowe osób, które zarabiają mówieniem. Zanurzania w zimnej wodzie świetnie hartują gardło. Rudy, proszę dać się podwiązać! Teraz pańska kolej. Zasłużył pan sobie na to całym swoim życiem!

Łysy mężczyzna o ognistorudej brodzie zsunął trzewiki i posłusznie wstawił nogi w dyby. Ćwiczący w poprzedniej turze założył jego półbuty i pomagał mu zamocować łupki na nogach.

– Oni mają mówić stopami? – spytał Ioanneos. Przypomniawszy sobie próby teatryku amatorskiego.

– Jeszcze żadnemu tutaj się nie udało. Może zaczną... – m'Beleh tym razem roześmiał się naprawdę.

Ioanneos cofnął się o krok. Nutritor mógł zmusić go do wzięcia udziału w terapii. m'Beleh zauważył ruch Ioanneosa.

– W sąsiedniej sali to dopiero jest dziwnie wyglądająca kuracja – powiedział. – Zajrzyj tam. – Skóra wokół jego oczu znowu zmarszczyła się w substytut uśmiechu.

Niestety, żadne drzwi na tym poziomie podziemi nie były dzisiaj otwarte, chociaż Ioanneos szarpał za klamki, a nawet kilka razy odważył się zastukać.

#### **44    *Na dolnym poziomie, samobójcy zamienieni w drzewa, siódmy krąg*** *(Ioanneos, Węgliści, Quent, Cavernata, Dacortona)*

Było jeszcze trochę czasu do rozpisanego wykładu, a nie wiadomo, kiedy znowu trafi się okazja i piwnice zostaną otwarte. Zachęcony słowami m'Beleha Ioanneos wrócił więc do góry na wyższy poziom piwnic i poszedł korytarzem.

Odliczał kolejne drzwi. Znane opuścił. Szóste były zamknięte, siódme też. Ioanneos zastukał w blachę, potem jeszcze raz. Chwilę trwała cisza i chciał już zrezygnować, ale wreszcie dały się słyszeć czyjeś ciężkie kroki.

„Słysząc przez blaszane drzwi?“, zdziwił się, ale zaraz dostrzegł otwartego judasza, przez którego przenikały dźwięki. Ktoś spojrział na niego i drzwi się otwarły.

Ioanneos został wciągnięty do środka. Pomieszczenie było słabo oświetlone i niewiele dało się w nim dostrzec.

Naprzeciw niego stała naga, tęga kobieta o węgliście czarnej skórze. Miała wydatne stopy, grube nogi, szerokie uda, wystający brzuch i wiszące do pasa, płaskie piersi. Uśmiechała się ciemnymi, pozbawionymi brwi oczyma i zalotnie krzywiła mięsiste, krwistoczerwone wargi.

- Kto cię przysłał?! – powiedziała głośno.
- Nutritor m’Beleh – odpalił.
- Dobra. Rozbieraj się.
- Ale on nie przysłał mnie na kurację.
- A po co? – Węgliста zrobiła głupią minę.
- Żebym obejrzał zabiegi lecznicze.
- Nie ma co oglądać, ale cię oprowadzę. Może tutaj kiedyś sam trafisz.

W sali stało kilkanaście drzew, każde wysokości człowieka. Miały krótkie, ale masywne konary, zwykłe gałęzie i liście. W tym świetle jednak liście nie były zielone, lecz szarobrązowe, podobnie jak pnie.

- A gdzie są kuracjusze? – spytał.
- To są kuracjusze – odpowiedziała. – Obejrzyj ich z bliska.

Ioanneos przeszedł się po sali.

Oglądane z różnych stron pnie przypominały ludzkie sylwetki, a konary układały się w zarysy ramion.

Były pogruźlowane karbami kory, ale poza tym kształt ciała się zgadzał. Pnie w dole były przewężone, zaznaczając przebieg ud i niżej podudzi, a tam, gdzie powinna się znajdować głowa, często znajdowało się rozszerzenie pnia i po dwie małe dziuple w miejscu oczu.

- Co oni robią?
- To jest leczenie lekkim bólem. Nie byłeś na moim wykładzie...?
- Jeszcze nie dostałem w rozpisce.
- Urwij któremu liść – powiedziała Węglista.

Ioanneos wzdragał się.

- Urwij, urwij. To nie jest część jego ciała.

Oderwał liść z najbliższego drzewa. To zatrzęsło się kurczowo.

– Widzisz? Zabolalo ją – powiedziała uradowana nutritorka. – Tak leczymy osoby, które zabijają swoją własną osobowość, czyli potencjalnych samobójców. Wiem, że to określenie może ma mało sensu dla niektórych kategorii ludzi. Powiedzmy, że leczymy takich, którzy nie chcą się rozwijać. Każdy powinien wyrażać swoją osobowość.

Węglista stąpała od drzewa do drzewa, a jej okazałe piersi falowały w takt kroków.

– Te liście można zjadać, zawierają środek spożywczy. Chodź jeszcze tutaj, popatrz. – Specjalnie ciężko stąpnęła raz i drugi, by piersi podskoczyły. – Widzisz, jak się gapią tymi swoimi dziupelkami? Niektórych tylko to może pobudzić do jakiejś aktywności. Jak patrzą na mnie gołą, ale nieruchomą, dalej pozostają gnuśni. Chodź, Ioanneos, z powrotem.

„Nie przedstawiłem się jej”, pomyślał.

– To żadna golizna, Ioanneos. – Węglista machnęła ręką. – To strój służbowy, zmyłka, kombinezon lateksowy przylegający do skóry jak maska gazowa. Gumowe biodra i pośladki, gładka skóra na czole, bez brwi, żadnych włosów na reszcie głowy. Kazałam nawet do tego dorobić krótki ogonek dla żartu, ale dotąd nikt nie zauważył.

Ioanneos spostrzegł wijący się nad jej pośladkami krótki węzowy ogonek zakończony strzałką.

Węglista rozpięła zamek i ściągnęła maskę z twarzy. Zsuwane tworzywo wykonywało cudaczne grymasy. Pod spodem miała bardzo ciemną opaleniznę z solarium, mięsiste czerwone wargi i wyskubane brwi, odtworzone grubym łukiem czarnego ołówka.

– Zauważyłeś ogonek, dopiero jak ci powiedziałam. Za taką ozdobę dostałabym naganę, ale nikt tu nie zagląda, nikt tego nie spostrzeże.

– Ciemno tutaj i za ciepło.

– Właśnie. Pocę się pod tym kombinezonem, ale tylko kombinezon z wielkimi pośladkami i cyckami czasem jeszcze na nich działa. Można im skubać liść po liściu i nic, dalej marazm.

– A jak oni się tacy stali?

– Oblepia się ich specjalnym tworzywem. Masa przywiera do skóry i bardzo zwiększa jej wrażliwość.

Każdemu się wydaje, że masa stała się częścią jego ciała. Dlatego ich bolą te urywane liście. Jedyny powód.

– Wyglądają bardzo sugestywnie. Stoją jak prawdziwe drzewa.

– Tylko tak wyglądają. Będą tu siedzieć bez końca, to nieskuteczna terapia. – Węglista machnęła ręką. – Czasem godzinami łączę między nimi w ogóle bez kombinezonu, ale na nich też to nie działa...

„Może im wtedy brakuje twojego ogona?”, pomyślał Ioanneos, ale nie odważył się tego powiedzieć.

Węglista obdarzyła go dwuznacznym uśmiechem. Lekko zezowała, wlepiając oczy w twarz rozmówcy. Wpatrywała się weń z dziwnym wyrazem, natarczywym, a jednocześnie jakby coś obiecującym.

– Przyjdź na mój wykład – powiedziała.

– Przyjdę, jak tylko dostanę w rozpisce. Alumeni obawiają się chodzić na zajęcia poza rozpiską.

– Nie wyrzucę.

Spróbował uśmiechnąć się równie obiecująco, ale nic nie powiedział. Skinął głową i skierował się do wyjścia. Rozmowa z uczestniczką zawsze mogła się rozwinąć w nieoczekiwaną stronę. Uważał przy tym, by nie potrącić żadnego z gnuśnych drzew. Węglista poczłapała w inną stronę.

Drzwi wyprowadzające z podziemi były jeszcze otwarte.

Po paru dniach, po dłuższej przerwie, spotkał się znowu z Quentem i Cavernatą. Obaj wpadli do niego po zajęciach, chociaż nie byli umówieni. Wreszcie pory dnia znowu się zsynchronizowały.

Goście usiedli i w milczeniu wpatrywali się w Ioanneosa. Ten też milczał, zaskoczony ich zachowaniem.

– Powiedz, co odkryłeś? – nie wytrzymał wreszcie Quent.

– Dlaczego akurat ja miałbym odkryć coś szczególnego...?

– No... jakże? – Quent spojrzał na Cavernatę.

– No... – zająknął się Cavernata. – Każdy z naszych dawnych współpracowników, kto dokonał jednego odkrycia, dokonywał ich więcej.

– Zanim przepadł...?

Cavernata pokiwał głową w milczeniu. Widać koledzy taki los przewidzieli dla Ioanneosa.

– Są dwa poziomy podziemi – powiedział wreszcie.

– Penetrowałeś piwnicę? Dało się tam wejść? – Cavernata uniósł brwi. – Furtka do niej zawsze jest zamknięta.

– Trzy dni temu była otwarta.

– Możliwe, że po raz pierwszy w historii ośrodka.

Ioanneos spojrzał ze zdziwieniem.

– No tak, Ioanneos. Jeszcze nikomu z nas nie udało się wcześniej tam dostać. Opowiadaj.

– W sumie to byłem tam dwa razy. Piwnice były otwarte dwa dni pod rząd.

Quent aż westchnął.

– Na pierwszym poziomie drzwi na ogół są zamknięte. Mają tam też pomieszczenia użytkowe. Zwiedziłem trzy. Na dolnym poziomie jest podobnie, tam wszedłem do jednego pomieszczenia. Stamtąd następne schody prowadzą na poziom maszynowni i kotłowni. Klatki schodowe są zawsze pomalowane na żółto i pokryte do wysokości półtora metra białą lamperią.

– W takich kolorach są Le Balze, chociaż wiem to tylko ze snu.

– Też widziałem we śnie Le Balze – burknął Cavernata. – Ale raczej przypominały skalne ściany czy strome klify.

– Zszedłeś aż na poziom maszynowni? – pytał dalej Quent.

– Nie odważyłem się.

– Co było w tych wszystkich pomieszczeniach...?

Jego słowa przerwało charakterystyczne pukanie.

Wyglądało, że dzisiaj spotkają się wszyscy spiskowcy.

– Dacortona miał przyjść później – zauważył Quent. Zawsze tak się działo na ich spotkaniach. Najstarszy przychodził najpóźniej, jakby sprawdzając, czy wszystko w porządku, czy inni nie zostali nakryci.

Siwowłosey nutridor rozejrzał się po siedzących, uśmiechnął i przycupnął na kanapie.

– Zaczynaj jeszcze raz – powiedział Cavernata.

Ioanneos przytaknął i dokładnie zrelacjonował swoje obie wyprawy do podziemi. Miał do profesora więcej zaufania niż do pozostałych.

Gdy skończył, spojrzał wyczekująco na Dacortoneę. Ten chwilę się zastanawiał.

– Wiele wskazuje, że każdy element ośrodka ma swój odpowiednik duchowy – powiedział wreszcie. – Układa się w porządek zgodny z porządkiem Sądu Ostatecznego.

– Jak można wyprzedzać zdarzenia, które jeszcze nie nadeszły? – pytał Ioanneos.



– Może źle to ująłem... – Dacortona przetarł dłonią brodę. – To porządek Sądu Ostatecznego, taki, jak sobie go zwykle wyobrażamy. W dziełach sztuki na przykład.

– Potępieni powinni być więc niżej, bo zwykle tak się ich przedstawia.

– Tak w zasadzie powinno być.

– Jednak Brenda pracuje w bibliotece na samej górze, a przecież w moim śnie spotkało ją potępienie.

– To powinien być porządek obrazu czy płaskorzeźby, jakiegoś wizerunku, nie porządek przeznaczenia – wtrącił się Quent. – A jak było w twoim śnie? Gdzie rozstałeś się z Ritą?

– Jizoga porwała ją w powietrze i pofrunęła.

– No właśnie, więc może ona właśnie leci w powietrzu, dźwigana na plecach Jizogi. Dlatego jest na tak wysokim piętrze w ośrodku.

Ioanneos zadrżał. Czy dlatego kiedyś widział Brendę płaczącą?

Następnego dnia, kosztem śniadania, wybrał się do biblioteki. Pretekstem było to, że chciał poczytać o diablích malarzach, ale niczego nie znalazł. Brenda patrzyła na niego obojętnie, spokojnie przeszukiwała katalogi. Dzisiaj wyglądała bardzo ładnie. Podkreśliła usta wyraźną czerwinią, ale to bardzo nie przeszkadzało. Założyła kolczyki w kształcie wisienek. Zgrabnie wyglądała w swoim ceglastym sweterku z dekoltem w serek. Podobnie jak Izabela czy Eleonora, wyróżniała się atrakcyjnym wyglądem spośród większości alumen w ośrodku. Miała bardzo jasną karnację, co nadawało jej cerze odcień leciutkiej sangwiny. Mocne słońce zaraz spowodowałoby na niej nieładne, rude wykwit. Tu jednak mocnego słońca nigdy nie było.

Brenda patrzyła na niego spokojnie, jakby niczego nie pamiętała. Wtedy, zaraz po śnie o Sądzie, odniósł wrażenie, że śniła ten sam sen co on, gdyż zachowała się znacząco. Dzisiaj nic na to nie wskazywało.

Kilkakrotnie zapytał ją wprost o Quentina de la Cadavre, ale nic nie miała w zasobach informacyjnych. Połaził jeszcze trochę po bibliotece i się zmył. „Dzisiaj ona na pewno nie leci”, pomyślał.

Jednak gdy wychodził, dziewczyna przeciągle spojrzała za nim, a następnie ciaśniej zasunęła poły sweterka, żeby krzywizna piersi była mniej widoczna na dekolcie. Dla pustego pomieszczenia nie musiała tak bardzo dbać o wygląd.

### III *Il Purgatorio*

#### 45 *Powiedziała jego imię prawdziwe*

*(Ioanneos, Balduga, Quent, Danila)*

W rozpisce znalazł godzinę integracyjną z uczestniczką Baldugą. Z pewnością zasłużył sobie na to wizytą w podziemiach. Okazało się jednak, że dziś godzina integracyjna będzie we trójkę. Drugim integrowanym miał być Quent. „Akurat my dwaj? Czyżby jakiś Czuwający podsłuchał naszą rozmowę o podziemiach?” Przyszli razem. Przypadkiem spotkali się na korytarzu. Balduga już na nich czekała. Siedziała nieruchomo ze zwieszoną głową. Interesowały ją tylko własne myśli. Nie podniosła wzroku, kiedy Ioanneos posłusznie zajął miejsce obok.

Quent przysiadł naprzeciwko na obitym skajem fotelu i kręcił się, jakby zaraz chciał zerwać się i podskakiwać. Jego dolegliwość nasiliła się. Na szyi mężczyzny widać było różową plamę bibułkowej skórki.

– Siedź spokojnie! Nie wierć się! – syknęła Balduga.

Quent znieruchomiał. Ioanneos domyślał się, jak tamtemu trudno usiedzieć, żeby nie podrapać bolesnej skóry.

– Dotykałeś Brendę – wyrzuciła z siebie Balduga.

Ioanneos spojrzał z zainteresowaniem. „Tych dwoje coś łączy?”, pomyślał.

– Ja dotykałem? – zdziwił się Quent.

– Nie przerywaj mi! Słuchaj!

Quent zrobił zdumioną minę, co nie umknęło uwadze Baldugi.

– Dwukrotnie jej dotknąłeś, kiedy pożyczałeś książkę z biblioteki.

– Jaką książkę?

– Tę...! – Balduga wykonała gest przypominający otwieranie książki. – Tę, co wiesz...!

Quent jak zaczarowany wpatrywał się w dłonie Baldugi, otwierające w powietrzu nieistniejący tom.

– No! Już wiesz!

Ioanneosowi coś to przypominało. „Ona zawsze działa w taki sam sposób. Może nie jest zdolna wypowiedzieć tytułu żadnej książki?”, pomyślał.

– A ty się tak nie patrz! – rzuciła do niego. – Sam dobrze wiesz, o co chodzi!

Chyba poruszył wargami, bo natychmiast rozległo się: – Milcz i słuchaj!

Ioanneos sam kiedyś chyba delikatnie dotknął Brendę, kiedy coś do niej mówił, o czymś przekonywał. Jego gest nie został zauważony. Dzisiejsza egzekucja dotyczyła Quenta, a on sam miał w niej tylko asystować. Balduga lubiła sadzać przed sobą ludzi parami. Jednego dręczyła, od drugiego wymagała przytakiwania. Ioanneos brzydził się lizusowskiego grymasu, tej uległej miny, lepkiego uśmiechu, który musiał przywoływać, by przetrwać te godziny. Dzisiaj nie mógł się przemóc. Jego twarz nie chciała wykonywać uległych grymasów, chociaż Balduga co chwilę mierzyła go szarozielonymi, wężowymi oczyma.

– A ty co się tak przypatrujesz?! – wybuchnęła wreszcie. – Coś ci się nie podoba?! Masz jakieś migawy?!

Należało się spodziewać nowej fali ataku zogniskowanej na drugiej ofierze. Spocony Quent spojrział z nadzieją, że dręczycielka już go porzuciła.

– Chętnie byś ją dotknął trzeci raz, prawda?! – rozległo się jednak.

Quent zaczął się więc jak piskorz. Unosił ramiona, wtulał w nie głowę, nie mogąc się podrapać.

W podziemiach Ioanneos spotkał kilku uczestników. Byli tam i Rehot, i m’Beleh, Rajga i Węglista. Rozmowa z każdym z nich była zwyczajna, niemal miła. Baldugi tam nie napotkał. Ta teraz dręczyła Quenta na jego oczach, jakby celowo chcąc okazać Ioanneosowi, że jego oszczędza. A może po to, by pokazać, że właśnie jemu potrafi zagrozić?

Spojrzenie Węglistej było dwuznaczne: jakby obietnica czy pokusa, czy może chęć wejścia w jakieś porozumienie. Stanowiło dla niego tajemnicę, co pomyślała sobie tamta uczestniczka, jednak mogło to mieć następstwa w rozmowach z Baldugą, tak jak teraz. „Wymyślam najdziwniejsze rozwiązania, by zrozumieć nieprzeniknione myśli uczestników”, Ioanneos uśmiechnął się do siebie. „Gubię się w dziwacznych domysłach. To nie ma sensu”.

– A ty co się śmiejesz?! – warknęła Balduga. – Słuchaj i uważaj! To jest godzina integracyjna. Integruj się.

Posłusznie zrobił minę wyrażającą pełną chęć współpracy. Za bardzo chciał uniknąć wścieklej fali ataków. Widać było, że uczestniczka już nasyciła się dręczeniem Quenta i należało się liczyć ze zmianą ofiary.

– No! Słuchać i się integrować! – Balduga naciągnęła na twarz swój nieprzyjemny, kwaśny uśmiech, co było u niej niewątpliwie oznaką najwyższej zyczliwości. Dzisiaj atak na Ioanneosa nie nastąpi.

Quent nerwowo przecierał grzbiet lewej dłoni. Pewnie wkrótce zrobi mu się tam czerwony, bibułkowany placek.

Wzrok Baldugi pozostawał nieobecny, a rysy twarzy stężały. Nagle jednym okrężnym ruchem podniosła się z siedzenia i w milczeniu odeszła.

Ioanneos nie był zadowolony, mimo że atak go dzisiaj ominął. Brzydził się poczuciem dziwnej komitywy, jaką dała mu wyczuć Balduga. Domyślał się, że może to być rywalizacja z Węglistą, a na starciu między uczestniczkami alumen zawsze straci.

Zaraz powinien pójść na kolejne obowiązkowe odsłuchiwanie znanych prelekcji. Najpierw Gisleberdus będzie zanudzał drobiazgowymi regułami porządkowania kamieni we wznoszonej budowli, a zaraz po nim Soyardarghl znowu powie o pięknie martwych owadów. Każdy z nich już trzeci raz. Akurat tego ostatniego dało się słuchać kilka razy, a przezrocza z obrazami Martimusa Uijthofa można długo podziwiać, chociaż już nigdy więcej nie pokazał tyle ciem, by greckie literki na ich skrzydełkach zamrugały kalejdoskopem. Inne wykłady, słuchane wielokrotnie, chociaż czasem mówione na różne sposoby, śmiertelnie nudziły. Wiele tematów powtarzało się, jakby *nutritores* po ukończeniu cyklu znowu wracali do tych samych zagadnień, a nieznanemu autorowi programu nie chciało się zmieniać rozpiski dla alumenów.

Mogło tak też być i z innego powodu. Otóż obecnie pamiętał znacznie więcej niż wcześniej. Trudno orzec, czy stało się tak dlatego, że przebywał już w ośrodku wystarczająco długo i dość wspomnień ze swojej obecnej egzystencji już zgromadził, czy może dlatego, że starannie notował upływ czasu i przez to minione wydarzenia dłużej pozostawały w pamięci. Dość, że obecnie postrzegał rzeczywistość ośrodkową inaczej niż jeszcze nie tak dawno temu.

Przed salą wykładową zgrupowało się kilkanaście osób.

Nieznane, brzydkie, niesympatyczne kobiety, odziane w szarą, spłowiałą, pocerowaną wielokrotnie odzież. Zacięte, niezyczliwe twarze. Szmer cichych rozmów.

I nagle jakby Niebo się otwarło. Ona stała w grupce oczekujących na kolejny wykład. W zgrabnych, czarnych spodniach, dzianym obcisłym sweterku z białej, szarej i czarnej włóczki, z niewielkim plecaczkiem. Jasne włosy spięła błękitną gumką w niezbyt długi kucyk. Spod wąskich okularów zerkała na rozmówców. Uważnie słuchała, ukazując w uśmiechu śnieżnobiałe, równe zęby. Obcisły sweterek ujawniał opadające, bardzo duże, kształtne piersi, a jednocześnie podkreślał płaski brzusek, wąską talię i smukłe biodra.

Po chwili już nie mógł myśleć chłodno, jak wcześniej. Łapczywie obserwował każdy jej gest, każdy grymas twarzy.

Nieznajoma nosiła buty na płaskim obcasie, bo nie musiała poprawiać zgrabnej, strzelistej sylwetki, a może też dlatego, by ulżyć kręgosłupowi obciążonemu imponującymi piersiami. Nie miała też makijażu, bo nie musiała poprawiać urody, ciemnych rzęs ocieniających błękitne oczy, nie musiała przyczerwienić proporcjonalnych warg, ani zbyt wąskich, ani zbyt pełnych. Jednocześnie, aby nie wydawała się chodzącą doskonałością, mrużyła oczy jak każdy krótkowidz.

Nie widział tej dziewczyny nigdy wcześniej, widocznie dopiero co dołączyła do konferencji.

Na spotkaniu spiskowców na pewno dowie się, że wszyscy się postarzel, bo przybyła nowa. Usiadł z tyłu sali, ale stale zerkał w kierunku urzekającej nieznajomej. Zamiast słuchać wykładu, zastanawiał się, jak do niej zagadać. Jeszcze na korytarzu nie mógł nie zauważyć otaczającego ją szczelnego kółka wielbicieli. Dziewczyna nie robiła nic specjalnego, by przyciągać innych, ale wydawało się, jakby wszyscy starali się znaleźć w jej pobliżu.

Gisleberdus nudno wywodził o ustawieniu kamieni w skale i ustawieniu kamieni w rzeźbie, a duszę Ioanneosa rozpieierała radość. Chętnie przyniosłby te kamienie, rozdawał słuchaczom, żeby się lepiej przyjrżeli, podsuwał nutritorowi, żeby mógł dokładniej objaśnić swoje tezy, a wszystko po to, byle tylko wykład trwał jak najdłużej. Co chwilę zerkał na plamę jasnych włosów nieznajomej.

Ta dwa razy nieoczekiwanie spojrziała w jego stronę, jednak z pewnością go nie zauważyła, bo niby dlaczego miałyby akurat jego twarz wyłowić z audytorium?

Między Gisleberdusem a Soyardarghlem słuchacze niemal się nie wymienili. Mimo przerwy pozostali na sali. Przez nieznajomą? On też siedział jak zaczarowany i co chwilę zerkał w jej kierunku.

Po wykładzie o malowanych ómach wszyscy wyszli. Czyżby dlatego, że i ona wyszła? On sam miał w rozpisce wykład w sali o dwie kondygnacje wyżej. Wcześniej jednak zadbał, by chociaż przez chwilę znaleźć się w jej bliskości. Zręcznie podszedł do nieznajomej.

– Pierwszy raz słuchałaś Soyardarghla...? – odezwał się niepewnie.

– Piękne te obrazy, Vittorino – powiedziała.

Towarzyszył temu taki uśmiech, że Ioanneos nie zdołał znaleźć słów, by odpowiedzieć. Zupełnie się pogubił. Zamilkł, zrobił niemądrą minę.

Nieznajoma zorientowała się, jak piorunujące wrażenie wywarła, i uśmiechnęła się wesoło, ukazując równe, białe zęby. – Pójdę już. Muszę się rozpakować – powiedziała.

Spontanicznie wyciągnął do niej rękę. Jakby chciał sprawdzić, przekonać się, że cudowne marzenie może się zmaterializować. Poczł jej chłodną, suchą dłoń.

– Ty istniejesz – odezwał się cicho, jakby zdumiony.

Roześmiała się szeroko, tak radośnie, a jednocześnie z filuterną wesołością, jakby chciała zażartować z jego słów. Ale nie zdążyła się odezwać, bo zaraz wygolony na łyso uczestnik Vargal i jego towarzysz, wysoki, masywny, ciemnowłosy, podeszli do niej.

– Miałaś nam objaśnić znaczenie symboli na skrzydełkach ciem i różnaitość gatunków sówek – powiedział masywny i obaj porwali ją ze sobą.

Ioanneos pamiętał, jak powiedziała do niego „Vittorino”. To imię wymówiła z niezwykłą słodyczą. Nie przypuszczał, że ten dźwięk może być tak piękny. Skoro ona tak je wypowiedziała, to Ioanneos nie tylko uwierzył, ale i zapragnął, żeby to było jego imię prawdziwe.

## **46    *Rozmowa z Danilą***

*(Danila, Vargal, Ioanneos, Sarpata, Horagwa)*

Wkrótce dowiedział się, że ona nazywa się Danila. Próbował ją tropić na korytarzach ośrodka, jednak spotkaniami rządzila ustalana dla wszystkich indywidualna rozpiska. Wszędzie poszukiwał Danili, lecz nie mógł jej znaleźć ani na wykładach, ani na korytarzach ośrodka, chociaż w czasie jednej krótkiej przerwy między kolejnymi zajęciami potrafił przewędrować korytarze dwóch, a nawet trzech kondygnacji.

Nie mógł uwolnić się od jej obrazu. Zasypiał, mając przed oczyma postać roześmianej Danili, budził się, a resztki snu zostawiały po sobie jej zamyślane spojrzenie. Widział ją raz, ale nie mógł pozbyć się wrażenia, że odnajduje na jej twarzy jakby cierpienie, że jej schwyte spojrzenie skrywa tajemnicę.

Nie mógł nawet spytać o nią kolegów spiskowców, gdyż plany dzienne rozstroiły się również z nimi. Doba Quenta i doba Cavernaty obecnie pobiegły inną ścieżką niż ta mierzona dla niego samego. Żaden z kolegów nie dawał znaku życia.

Na domiar złego grono wszystkich znajomych się przerzedziło. Na wykładach nie spotykał ani Izabeli, ani Eleonory, ani nawet Prospera. Od dawna nie widział Agaty. Otaczali go nieznani, przygnębieni ludzie w poszarzałych, zniszczonych strojach. Z nikim nie miał ochoty rozmawiać, a już zupełnie nawiązywać znajomości. Słuchanie wywodów wykładowców utrudniała senność, a każde zajęcia kończyły się znużeniem. Wychodząc, nie rozmawiał z nikim. Może to on sam się zmienił? Kiedyś przecież nawiązywał nowe znajomości, rozmawiał z alumenami siedzącymi obok.

Obecnie tylko jedna osoba wypełniała wszystkie myśli. Tęsknił do widoku jej twarzy, chciał godzinami patrzeć, jak ona się porusza, jak przestępuje z nogi na nogę, jak lekko unosi podbródek, słuchając czyichś słów. Czasem powtarzał sobie w duchu swoje nowe imię, Vittorino. Ale jego brzmienie zaraz budziło w pamięci szarpiącą tęsknotę za Danilą.

Po paru dniach wreszcie znalazł ją na wykładzie. Przyszła po nim. Usiadła parę rzędów niżej, sama, z daleka od innych. Zaraz obok dosiadł się uczestnik Vargal. „On chyba codziennie goli pałę na gruchę, żeby mu czarne odrosty nie psuły połysku”, pomyślał ze złością Ioanneos.

Sam musiał schnąć z zazdrości, patrząc, jak Vargal co chwilę nachyla się do Danili i coś szepcze, a ona zaraz mu odpowiada. Dzisiaj wplątała koński ogon w błękitną gumkę, żeby włosy nie plątały się po ramionach. Złociste kosmyki fantazyjnie wystrzelały w różnych kierunkach z ciasnego wężła. Z tego wykładu zapamiętał tylko te złote kosy celujące w różne strony, kiedy Danila nachylała się nad notatnikiem. Łysy co chwilę zagadywał do niej. Ona czasem się uśmiechała. Ioanneos był zazdrosny o każdy z tych uśmiechów.

Po wykładzie nawet nie zdołał się do niej zbliżyć. Vargal nie odstąpił jej ani na krok. Sekundował mu wysoki, masywny, tęgawy brunet o bujnej czuprynie, uczestnik Sarpata. Ioanneos łysy nie był, jednak włosy na czubku jego głowy mocno się przerzedziły i, jak podejrzewał, obserwowany z wyższych rzędów sali wykładowej spod resztek włosów ujawniał

kółko łysiny. „Trudno przegnać uczestnika, ale dwóch to już nie sposób”, pomyślał. Status uczestnika u rywala uzasadniał niepowodzenia alumena i trochę poprawiał samopoczucie.

Wprawdzie Danila ani razu na niego nie spojrzała, ale już sam jej widok uradował. Chciał jak najczęściej na nią patrzeć, jeśli już rozmawiać nie mógł. Skoro jednak spotkał ją znowu, oznaczać to musiało, że ich cykle dobowe znowu się synchronizują i wkrótce nadejdą następne spotkania.

Faktycznie tak się wkrótce stało. Ten wykład zapowiadał się bardzo ciekawie, bo pierwszy raz Ioanneos miał usłyszeć o różnorodności przedstawień Sądów Ostatecznych w obrazach średniowiecznych, ale gdy ujrzał jej jasną główkę na sali, wszystko inne przestało dla niego istnieć. Jak zaczarowany zmierzał w stronę Danili. Usiadł po jej lewej ręce. Danila spojrzała na niego i uśmiechnęła się, jednak w jej uśmiechu oczy nie wzięły udziału. Może dlatego, że zamiast okularów założyła dzisiaj szkła kontaktowe.

– Wiele sobie obiecuję po dzisiejszym wykładzie – odezwała się pierwsza. – Za pierwszym razem przegapiłam większość ważnych informacji. Jestem zbyt nieuważna.

– Mnie też pasjonują Sądy Ostateczne.

– Jak każdego z nas, Vittorino, jak każdego... – Uśmiechnęła się do niego niezwykle ciepło.  
– To zainteresowanie wynika z niepokoju.

Dostrzegł, że na palcu serdecznym lewej ręki ona nosi złotą obrączkę. Nie widział tutaj nikogo, kto nosiłby złotą obrączkę. Danila natychmiast to zauważyła. Rzuciła pośpieszne, bystre spojrzenie, chociaż uśmiech z jej twarzy nie zniknął, tylko oczy znów nie brały w nim udziału. Chciała coś powiedzieć, ale w przejściu w rzędzie usłyszeli gwar. Danila odwróciła głowę do tyłu. Zauważył, że ona ma blisko siebie dwie dziurki w małżowinie lewego uszka. „Masz podziurawione uszki jak kotek po walce...”, pomyślał ciepło, ale gwar sprawił, że też musiał odwrócić głowę.

Między krzesłami w rzędzie w ich stronę przeciskało się kilka osób. Oczywiście obaj nie lubiani uczestnicy, Vargal i Sarpata, ale przed nimi starsza, tęga kobieta w okularach. Na jej głowie mieszały się czarne odrosty, siwizna i blond pasma z ostatniego tlenienia. Ubrana była w bordową spódnicę z dzianiny i podobny dziany żakiet. Postawa i pewność siebie nie pozostawiała wątpliwości, że to też uczestniczka.

Pochód zatrzymał się przed Ioanneosem.



– Ja byłam tutaj pierwsza – powiedziała nieznana uczestniczka, wskazując palcem na miejsce Ioanneosa.

Ten zrobił okrągłe oczy.

– Zajęła sobie to miejsce? – zwrócił się do Danili.

– Nie widziałam jej.

– Byłam tu wcześniej. Jeszcze zanim ty tutaj przyszedłeś. – Nieznajoma nie podnosiła głosu. Nie musiała. Nawet ciche słowa brzmiały wystarczająco stanowczo. – Masz mi zwolnić moje miejsce – zwróciła się do Ioanneosa. Jej twarz lekko poczerwieniała.

– Posłuchaj jej – szepnęła Danila. – To uczestniczka Horagwa. Lepiej z nią nie mieć godziny integracyjnej.

Dyskusji nie było. Ioanneos musiał przecisnąć się między krzesłami, brzuszyskiem Horagwy, a następnie brzuchem Sarpaty, wychodząc wreszcie całkiem na zewnątrz, bo żadnego wolnego miejsca już nie było.

Sala została już wypełniona po brzegi i Ioanneos musiał wyjść na korytarz. Nie wolno było siedzieć w przejściach. Nie dowiedział się, dlaczego ten temat tak intryguje Danilę.

## **47 I demoni**

*(Cavernata, Quent, Ioanneos)*

Koła zębate nieznanych zegarów znowu zaczęły splatać losy Ioanneosa z jego znajomymi. Dobrym znakiem było, że ujrzał na wykładzie Izabelę w towarzystwie Prospera. Nawet nie spróbował do nich podejść, tak byli zaaferowani sobą. Niechże chociaż oni cieszą się sobą do woli. Nie można przerywać takich rozmów. Każde jego spotkanie z Danilą było przerywane przez uczestników. A może to tylko on tak sobie wyobraził, udratyzował epizody bez znaczenia.

Któregoś wieczora rozległo się znajome stukanie i w drzwiach pojawili się dawno niewidziani Quent z Cavernatą. Po tak długim okresie niewidzenia sporo czasu zajęło uzgodnienie zapisów chronologicznych. Oni sami już wcześniej zweryfikowali swoje zapiski. W minionym okresie ich doby też się rozsynchronizowały. Pierwsze spotkanie ograniczyło się

wyłącznie do tej pracy. Co chwilę zaniepokojony Quent podchodził do ściany i nasłuchiwał, a Cavernata pracował nad notatkami. Potem sytuacja się odwróciła.

– Wszędzie pełno Czuwających – rzekł Cavernata. – W każdej ścianie.

Ciarki przeszły po plecach po tej uwadze.

– Przecież większość ze ścian jest za cienka, by się kto tam zmieścił...

– Mnie pytasz...?

Ioanneos nie przypuszczał, że Czuwający mogą wędrować wnętrzami wszystkich ścian. Dopuszczał do siebie, że tylko niektóre z nich kryją tajne korytarze.

Patrzył z widocznym niedowierzaniem, bo Cavernata prychnął: – Przyłóż ucho do ściany i posłuchaj...

– Teraz?

– Nawet teraz. Stale ich słyszać.

Ioanneos posłusznie przyłożył ucho do ściany. Zauważył nasilenie się odgłosów wewnątrz muru już wcześniej, ale nie zwracał na nie uwagi, zbyt zaaferowany myślami o Danili. W ścianie trwała nieustanna działalność. To nie czołgające się stada robaków, nie rytmicznie pulsujące czerwie, odgłos był nieco inny.

Wydawało się, jakby podróżował tam cały tłum. Może to przesada, ale trudno było trafić na chwilę, kiedy tajemnicza wędrówka wewnątrz muru zamierała.

– A wy mówicie o tym na głos? – Spojrzał na nich zaniepokojony.

– Nie zostaniemy podsłuchani, jest ich zbyt wielu. Sami hałasują wystarczająco, żeby sobie nawzajem utrudniać obserwacje.

„Skąd to wiemy, Cavernato?“, Ioanneos uniósł brwi.

– Uważamy, że ktoś, biegając w takim tempie, nie prowadzi jednocześnie zbyt starannych obserwacji – wtrącił milczący dotąd Quent.

– Czuwający miotają się we wszystkie strony. Coś ważnego wyprowadziło ich z równowagi. Ta szamotanina nie cichnie.

– Biegają, badają, sprawdzają – powiedział Quent. – Tak najprościej można wytłumaczyć ich działania.

– Czegóż jeszcze mogą tutaj nie znać?

– Penetrują najciaśniejsze miejsca, najwyższe mury.

– Ale że się tam mieszczą.

- Źle się mieszczą. Cierpią, jęczą z wysiłku, ale się wciskają, bo muszą wszystko sprawdzić.
- W ogóle obecnie ośrodek zatętnił życiem – powiedział Cavernata.
- Taak...? – Ioanneos tego też nie zauważył.
- Ciągłe próby teatryku. Korytarzem przejść się nie da.
- Kiedyś tacy dwoje biczowali się przedłużaczami – zauważył Quent.
- Do bólu?
- Skądże. Tak lekko, ale i tak chlastało im po plecach.
- Od wtyczki zawsze zaboli. Nawet jak lekko uderzy – stwierdził Cavernata.
- Mieli je złożone na pół. Wtyczki trzymali w dłoniach.
- I co to niby miało być?
- A powiedzą ci to...?
- Mnie powiedzieli – powiedział Quent. – Ogniste bicze. Ćwiczyli obrazy z wizji kazirodcy z Dublina.

– Te inne sceny to też obrazy z czyichś wizji? – spytał Ioanneos.

– Nie wiadomo. Nie mówią.

Nie rozmawiali o Danili. Ioanneos zachował myśli o niej dla siebie. Spotkanie ze spiskowcami nie trwało długo, jednak wyglądało, że dziwny okres samotności dobiegł końca. Może wkrótce uda się też spotkać Dacortonę. To z nim Ioanneos chciał porozmawiać o Danili.

## **48 La caldaia**

*(Dacortona, Quent, Cavernata, Ioanneos, Zuyaster)*

Danila zbyt się różniła od wszystkich innych osób. Zauważył to jednak z trudem, gdyż zakochał się w niej bez pamięci.

Z początku trudno mu było nawet oderwać myśli od obrazu jej jasnej sylwetki. Dystans niezbędny dla obserwacji był ponad jego siły, zresztą przyjemność sprawiało mu właśnie myślenie tylko o niej. Danila była jak snop światła wpadający od góry do mrocznego pomieszczenia. „Światło”, tak nawet czasem o niej myślał. Wszystko inne jakby usunęło się gdzieś w mrok. Zmiany w ośrodku, jakie zaszły ostatnio, uświadomili mu jego koledzy spiskowcy.

Obecnie, chociaż jego uczucie nie słabło, wróciła zdolność do obserwacji. Zauważał jej łagodność, radość, z jaką zwracała się do innych, a przede wszystkim uświadamiał sobie jej olśniewającą, wręcz promieniejącą blaskiem urodę. Zaledwie dwukrotnie udało mu się podejść do niej i zagadać. Ani razu nie siedział przy niej na wykładzie, bo jakkolwiek by się starał, zawsze miejsca obok były zawłaszczone przez uczestników.

Kiedyś, idąc korytarzem, usłyszał rozmowę Sarpaty i Zuyastera.

– Znowu Jasna – mruknął Sarpata. – Kłopot, ale oderwać się nie można. Przyciąga mnie jak magnes.

– Ta jest wyzywająco czysta. Nie zniosę takiej kobiety.

– Ona będzie należeć do mnie. Ty jesteś najwyżej rywalem do łona Danili – powiedział Sarpata.

– Wara ci. Ja zdobędę jej cudowne, dziewicze, anielskie łono! – krzyknął Zuyaster i nagle złapał Sarpatę za poły. – Posiadę ją, by nigdy nie wróciła na Górę. Potem możesz ją trzymać dla siebie do końca czasów.

Sarpata nie odezwał się. Jego nalana twarz pokryła się kroplami zimnego, lepkiego potu.

Zuyaster też się zreflektował. Puścił kolegę. Sarpata poprawiał sfatygowane odzienie.

Zorientowali się, że alumen słyszał ich rozmowę. Zresztą może właśnie była to inscenizacja przeznaczona dla niego? Nie przypuszczał, by uczestnicy mogli kłócić się między sobą, i to tak zapalczywie jak ci dwaj.

Trudno podejść do Danili i zwyczajnie porozmawiać. Krąg adorujących osób był szczelny. Jak nie Vargal czy Sarpata, to stale był przy niej Rehot, Zuyaster albo inny uczestnik. A jak uczestnika przez chwilę w pobliżu nie było, to zaraz pojawiał się niezawodny nutritor m'Beleh.

Również kobiety lubiły przebywać w pobliżu Danili. Nie odstępowała jej uczestniczka Horagwa, stale zagadywała Rajga, nawet kwaśno uśmiechnięta Balduga czasem podążała jej śladem.

Jemu zostawało siedzenie w ostatnim rzędzie na sali i gapienie się w jasną czuprynkę Danili. Rzadko, ale zdarzało się, że ona odwracała się i ich spojrzenia na moment się spotykały. Nie uśmiechała się nigdy. Były to badawcze, szybkie spojrzenia, jakby chęć zarejestrowania, czy on jest na sali. Danila obecnie wyłącznie zakładała szkła kontaktowe, jakby zgubiła okulary. Może więc dlatego jej szybkie spojrzenia wydawały się spojrzeniami chłodnego badacza.

Odmienność Danili podkreślał kontrast do otaczających ją uczestników i nutitorów. Dobroć, jaka z niej biła, była na tle tych natrętnych uczestników konferencji widoczna wyraźniej. „Czy dobroć może być widoczna? Przecież to tylko moje wyobrażenia”. Często nawet nie wiedział, o czym ona rozmawia z Vargalem czy Zuyasterem. „To tylko rojenia zakochanego po uszy mężczyzny”, powtarzał sobie. „Danila jest zwyczajną alumeną w ośrodku”.

Czasem zadawał sobie pytanie, czy tylko on zakochał się w Danili, czy może to uczucie pętało serca wszystkich, których ona spotykała. Danila była cudem. Jej ciało było arcydziełem, ale w jaki sposób tylko to mogłoby wystarczyć, żeby spotkanie z nią tak mocno działało na tak wielu, a nawet, a może szczególnie nawet, na chłodnych, pełnych nienawiści uczestników?

Koniecznym było już podzielić się ze spiskowcami swoimi nowymi spostrzeżeniami. Musiał porozmawiać o Danili. Niestety spotkania odbywały się nieregularnie, z uwagi na Czuwających. Ioanneos sam wezwał do większej ostrożności. Uważał, że nerwowa aktywność niekoniecznie musi ograniczać spostrzegawczość tajemniczych wędrowców wewnątrz ścian.

Na następne spotkanie Quent wyciągnął Ioanneosa z pokoju. Mieli spotkać się u Cavernaty. Ioanneos zdziwił się, że kolega ma pokój na tak niskim poziomie. Tutaj dało się słyszeć gwar Czuwających, nawet gdy siedziało się na krześle na środku pomieszczenia.

Obaj usiedli w ciszy. Gospodarz też nie zaczął rozmowy. Czekali jeszcze na Dacortonę.

Wkrótce rozległo się charakterystyczne pukanie i lekko zgarbiony kształt wsunął się przez drzwi. Zespół znowu był w komplecie.

– Nie świećcie – rzekł Dacortona.

Pozostali w półmroku od ołowianych chmur za oknem.

– Mistrzu... – wyrwało się Ioanneosowi.

– Wiem, jak wyglądacie – burknął stary. – Nie tęsknię do waszego widoku. Znam go jak własny. Po ciemku wygodniej się słucha. Lepiej słyszeć harce Czuwających. – Zamilkł, jakby chciał wysłuchać najświeższych spostrzeżeń młodszych kolegów.

Ioanneos spontanicznie zaczął opowiadać o Danili. Koniecznym było się podzielić z nim swoimi wnioskami, bardzo chciał coś o niej usłyszeć.

Dacortona nie odezwał się.

– Uczestnicy nie kochają się w Danili – powiedział Cavernata. – Oni starają się oddzielić ją od innych.

– Po co? – zdziwił się Ioanneos.

– Ona sieje dobro. Nie zauważyłeś tego? – Cavernata spojrział ironicznie.

– Chwilami mam takie wrażenie, ale czasami wydaje mi się, że to muszą być rojenia. Po prostu chcę być blisko niej. O tym myślę, gdy tylko ją zobaczę.

– Iść w tym samym kierunku, co ona? Patrzeć w tę samą stronę, co ona? – Cavernata wykrzywił się z przekąsem.

– Właśnie tego. Tak bym chciał.

Cavernata pokiwał głową. Nie odezwał się.

– Danila jest aniołem – powiedział Dacortona.

– Tak się czasem mówi o kobiecie – zaprotestował Ioanneos.

– Nie metaforycznie, ale faktycznie. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. – Jego słowa zawisły w ciszy.

– Przecież jest przepiękną dziewczyną, natomiast anioły to istoty płci męskiej.

– Anioły przedstawiano zarówno w męskiej, jak i w kobiecej postaci – wyjaśnił Dacortona. – Ukazywanie anioła w postaci męskiej może nieco uciszało myśli w czasie nabożeństwa, ale u niektórych stale oglądane hermafrodytyczne postaci aniołów wreszcie przyciągały marzenia homoseksualne, a sodomia to gorszy rodzaj nieczystości niż rozpusta.

– Tintoretto namalował takiego anioła – włączył się Quent. – Ten obraz jest w weneckiej Gallerie dell'Accademia. Postać niby męska, ale twarz kobieca, a skóra o białej karnacji, też jak u kobiety.

– Nigdy nie widziałeś tego obrazu – zgasił go Dacortona. – Żyłeś na setki lat przed nim. Ja zresztą też.

– Widziałem go na przeźroczach.

– Jeśli pokazali nam prawdziwy obraz Jacopo Tintoretto, a nie fałszywkę.

– Danila jest aniołem, nie mam wątpliwości – powtórzył Dacortona.

– Stale chodzi z plecaczkiem – zauważył Quent.

„Agata też lubi pojawiać się z małym plecaczkiem”, pomyślał Ioanneos. Widział Danilę kilkakrotnie bez plecaka, lecz wtedy miała zgrabną kurteczkę lub zakieciak.

– Atrybutem anioła jest plecak? – Cavernata znowu uśmiechnął się ironicznie.

– Ona nosi skrzydła w plecaku. Tak je ukrywa, bo są za duże i widać je na plecach pod cienką bluzką.

„Mogłem ją poprosić, żeby zdjęła zakieciak, ale nie zrobiłem tego”, pomyślał Ioanneos. Czasami na sali wykładowej było za gorąco i słuchacze ściągali wierzchnie okrycie. Zresztą po co Vargal i Sarpata mieli się gapić na jej drobne ramiona skryte tylko pod białą, prawie przezroczystą bluzką...?

– Ona ma kilka kompletów odzieży. Widziałem ją różnie odzianą – rzekł Ioanneos.

– Przybyła tutaj niedawno. Jeszcze się to nie rozsypano ze starości – mruknął Dacortona.

– Czasem chodzi bez stanika, a jej kuszące piersi wyraźnie zaznaczają się pod obcisłym sweterkiem. Nie tak wyobrażałem sobie anielską niewinność. W środowisku naukowym panie tak się nie ubierają.

– Tylko raz ją tak widziałeś. To był pierwszy raz, jak tutaj przybyła. Potem już się tak nie ubrała ani razu.

– Akurat to wyjaśniła mi Aga – włączył się Cavernata. – Danila czasem chodzi bez stanika, bo tak jej kazał chodzić lekarz-erotoman. Przy tak dużych piersiach ona narzeka na bóle kręgosłupa, więc powinna się często gimnastykować. Ten facet wytłumaczył jej, że powinna właśnie robić taką gimnastykę po długiej podróży. To znaczy plecaczek na plecy do trenowania kręgosłupa, a piersi wiszą sobie luzem, lekko tylko podtrzymywane elastycznym sweterkiem. Zwyczajnie, facet chciał ją oglądać jak najczęściej, bo jej pożądał, a nie mógł jej mieć. Nie wystarczało, że musiała mu pokazać swoje piersi w czasie każdej wizyty. Innym pacjentkom tak skwapliwie nie kazał się rozbierać.

– Skąd Agata to wiedziała...?

– A skąd ty tyle wiedziałeś o mnie? – spytał Quent. – Może w ten sam sposób?

– I to jest anioł...? – Ioanneos nie przestawał się dziwić.

– Oczywiście – powiedział Dacortona. – Anioł jest ufny. Skoro on jej tak powiedział, ona tego słucha.

– Szalenie naiwna.

– Wad nie ma. Już jesteś olśniony jej urodą, a to dopiero początek. Jest niezwykle inteligentna i pracowita, a jeszcze nie poznałeś zalet jej charakteru.

– Może jej wyjaśnić, że została wykorzystana przez tego erotomana? Na pewno nie chciałaby tak szafować swoimi wdziękami.

– Lepiej tego nie rób. Zranisz ją. Podważysz zaufanie do innych. Będzie cierpiała.

– Ona żyje w świecie własnych wyobrażeń o rzeczywistości? Nie widzi świata, jakim jest naprawdę?

– Inaczej. Ona postrzega świat na sposób anielski. Stara się widzieć jego najlepsze strony. Musisz się do tego przyzwyczaić, jeśli chcesz przebywać w jej pobliżu dłużej.

Ioanneos niczego innego równie mocno nie pragnął.

## **49     *Z Izabelą o Danili***

*(Izabela, Ioanneos)*

Ioanneos znowu dziś myszkował po korytarzach w poszukiwaniu Danili, lecz zamiast niej spostrzegł samotną Izabelę. Zwykle Prosper jej nie odstępował, ale tym razem jednak gdzieś się zgubił. Może on też próbował zamienić choć parę słów z nieuchwytnym Światłem?

Izabela była zamyślona. Nieco się garbiła. Siedziała w głębokim fotelu obitym brązową skórą, zwykłym miejscu spotkań towarzyskich w przerwach pomiędzy wykładami. Kiedy dziewczyna nie kontrolowała się, jej głowa nieświadomie skłaniała się w lewo.

Ioanneos skwapliwie przycupnął na sąsiednim fotelu, po drugiej stronie metalowej popielniczki. Zaraz pożałował tego, bo w końcu korytarza pojawiła się Danila, otoczona kręgiem osób, które chciały z nią porozmawiać.

Chętnie dołączyłby do tej grupki, chociaż miał wątpliwości, czy udałoby mu się przebić przez krąg jej adoratorów. Wystarczyło, że chwilę pobylby w pobliżu. Może jednak ona sama go unika, starając się zachować większy dystans? Danila była dzisiaj w białej, impregnowanej kurteczce w ciemny, geometryczny wzór i w czarnych sztruksowych spodniach, podkreślających zgrabne nogi. „Kurtkę ma jedną, spodnie też jedno, choć zostało jej kilka – dwie, może trzy – bluzeczek. Aha, jeszcze czarny zakieciak”.

Ona wygląda tego, chociaż sylwetkę ma idealną – powiedziała Izabela.

Zadrzał. – Przecież Danila nie wygląda tego. Ma smukłe biodra i proste nogi.

– Niektórym się tak wydaje, kiedy kobieta ma tak bardzo duże piersi jak ona.

„Nie bądź o nią zazdrosna”, pomyślał. „Też jesteś urodziwą kobietą”. Uświadomił sobie, że przed przybyciem Danili to Izabela była tutaj najpiękniejsza. Urodę skrywało kalectwo, ale nie było zdolne ukryć jej całkowicie. – Nie wiem – powiedział na głos.

Wystarczyło, że Danila pojawiła się w zasięgu wzroku, od razu oboje zaczęli o niej rozmawiać.



– Wyczuwam aurę, gdy jestem wokół niej.

– Zbliża się atak? – zaniepokoił się Ioanneos.

– Ależ nie to... To zupełnie inny rodzaj aury. To jest kojące, jak powiew wietrzyku...

Pamiętasz jeszcze, jak leciutko potrafi poruszać włosami taki wietrzyk...?

Ioanneos spojrział na biały turban skrywający łysę ciemną Izabeli. – Ostatnio nawałnica targała moją czupryną, kiedy biegłem do samochodu przez dziedziniec, a strugi lodowatego deszczu przeciekały mi za kołnier. To nie było przyjemne.

Izabela uśmiechnęła się.

– Ja nazywam ją Światłem.

– Też ładnie.

Ioanneos nie mógł oderwać wzroku od odległej Danili.

– Teraz nawet nie podejdziesz do niej – powiedziała.

Jakby nie dosłyszał jej słów, dalej wpatrywał się w odległy kąt korytarza.

– Nawet odzienie ma inne niż wszyscy w ośrodku – powiedziała Izabela.

– Tak. Czerń jest prawdziwą czernią, nie spłowiałą ciemną szarością, biel prawdziwą bielą.

– Przy niej moje łachy wyglądają, jakby miały ze trzysta pięćdziesiąt lat. Kolory ledwie widoczne, płótno zetlałe, sypie się, pocerowane przez Eleonorę.

– Akurat ty jesteś jedną z najgustowniej odzianych kobiet. Te blade błękity wyglądają całkiem dobrze. Eleonora też ładnie się ubiera.

– Ta aura, którą poczułam... – zaczęła, ale urwała.

– Tak?

– Ta aura oznacza, że Danila jest dla ciebie. Tak to odebrałam.

Nie wiedział, co powiedzieć. Jakby wyraziła jego marzenia. Danila odeszła już tak daleko, że nie było jej widać.

– Teraz czuję inną aurę... Tę zwyczajną, groźną, do której przywykłam – powiedziała z wysiłkiem Izabela. – Za to, co ci teraz powiedziałam, zesłało mi atak... Zamknęli wieko. Już mam ciemno przed oczami... Nadchodzi lunatyczna choroba... znowu...

Izabela zaczęła trząść się rytmicznie. Ręce wyprostowały się w łokciach, a nogi w kolanach, mięśnie zesztyniały. Wyprężyła się do przodu i zjechała z fotela na podłogę.

Wprawnym ruchem przytrzymał jej głowę, a ze znanej kieszonki jej bluzki wyciągnął specjalną deseczkę, którą trzeba było wsunąć Izabeli między zęby. Atak rozwijał się ze

wszystkimi charakterystycznymi cechami, będzie długi i intensywny. Ioanneos ograniczył się, żeby przytrzymać głowę Izabeli, a w pewnym momencie skrył jej obnażoną lewą pierś pod połę sukienki.

Drgawki trwały długo, ale wreszcie zaczęły słabnąć. Kiedy atak się skończył, Ioanneos poprawił Izabeli turban, by nie ujawniała się błyszcząca skóra na skroni i pomógł jej usiąść z powrotem na fotelu.

– Z sikałam się? – spytała z niepokojem.

– Nie.

– Coś innego?

– Tak. Ty malujesz kwiatki piersi szminką?

– Tylko lewej.

– Masz pomysły...

– Ach, to głupie żarty Prospera – zachnęła się. – On twierdzi, że wyglądam zbyt blado.

Namówił mnie i w końcu się przez to wygłupiłam.

– Skąd masz szminkę?

– Eleonora używa – powiedziała.

Oboje się roześmiali. Napięcie mięśniowe opadło. Izabela mogła już chodzić o własnych siłach. Nie trzeba jej było odnosić do pokoju.

– Faktycznie to był mój pomysł, nie Prospera – powiedziała cicho.

– Taak?

– Danila jest taka piękna, ma takie cudowne piersi, a Prosper stale za nią patrzy.

– Danila nie pokazuje swoich piersi.

– Ale je ma. To wystarczy.

– Eleonora niepotrzebnie grubo maluje powieki.

– Pęka jej tam skóra. Stara się to ukryć pod makijażem.

## **50     *Anioł stróż Ioanneosa***

*(Ioanneos, Dacortona)*

Spotkania spiskowców zwykle odbywały się w pokoju Ioanneosa, rzadziej Quenta, najrzadziej Cavernaty. Uzgadniali miary czasu, dyskutowali nowe fakty, starali się lepiej zrozumieć swoją sytuację. Zdziwienie upływem czasu dawno minęło. Nowe pomiary potwierdzały stare wnioski. Unikali rozmów w miejscach dostępnych dla wszystkich, na korytarzach, w bibliotece czy w jadalni. Wciąż trwała wielka aktywność Czuwających, choć ściany już nie brzmiały ich gwarem, było nieco ciszej, ale bez wątpienia ogromna liczba strażników nieustannie snuła się tajemniczymi ścieżkami wewnątrz muru. Łatwiej to wszystko było zrozumieć, traktując rzeczywistość jako szereg paciorków nanizanych na sznurek bądź krople wody na pajęczynie, jak to kiedyś ujął Dacortona. W obu przypadkach w przestrzeni między paciorkami mogło znaleźć się dosyć miejsca nawet dla okazałych osobników. Skoro jednak gwar i rozgardiasz wewnątrz muru osłabł, Czuwający z pewnością wrócili do bardziej precyzyjnych obserwacji i trzeba było jeszcze bardziej się ich strzec.

Może właśnie przez ostrożność Dacortona podszedł jednak kiedyś do Ioanneosa na korytarzu. Stary profesor położył mu rękę na ramieniu, a on gwałtownie się odwrócił.

– To tylko ja – powiedział Dacortona.

Ioanneos nie wiedział, czy trzeba grać, czy można tutaj rozmawiać bardziej szczerze.

– Słyszałeś już mój wykład o przedstawieniach Sądów Ostatecznych w sztuce?

– Usiadłem przy Danili, ale przyszła uczestniczka Horagwa i mnie wyrzuciła, bo zająłem jej miejsce.

– A zająłeś?

– Nie było niczym oznaczone. Ona po prostu powiedziała, że to jej miejsce. Nie wiedziałem, że to twój wykład. Może znowu dostanę go w rozpisce.

Dacortona skinął głową.

– Kiedyś słyszałem wykład Honoriusza Scholastyka, ale to było o czym innym.

– Tak... Znam ten jego wykład prawie na pamięć.

Dlaczego Dacortona zaczął rozmowę na osobności? Dlaczego bez Quenta i bez Cavernaty? Czyżby coś przed nimi ukrywał? Może po prostu grupka czterech słuchaczy spacerujących razem po korytarzu ośrodka wzbudziłaby zaraz zainteresowanie uczestników. A może faktycznie chciał Ioanneosowi powiedzieć coś w tajemnicy przed tamtymi?

– Czy powinniśmy usiąść? – spytał Ioanneos.

– Raczej nie. Chodząc po korytarzu, jesteśmy najmniej słyszalni. Do ścian daleko, a uczestników za wielu się nie snuje w jednym miejscu. Gdy spacerujemy we dwójkę, jest najlepiej.

Ioanneos chwilę milczał. Czekał, co powie profesor.

– Stałeś się centrum wydarzeń – odezwał się Dacortona.

– Ja?

– Takie wrażenie odnoszę ostatnio.

– Ja nie bardzo. Raczej Danila jest tutaj centrum wszystkiego.

– Dla ciebie na pewno. Dla innych mniej.

– Nawet nie mogę z nią rozmawiać, tak ją adorują.

– To niekoniecznie jest adoracja. Starają się udaremnić kontakty was dwojga. Coś ma się nie stać.

– Oni wszyscy? Uczestnicy? Alumeni?

– Danila może być twoim aniołem stróżem – powiedział Dacortona. – Dlatego zakochałeś się w niej od pierwszego wejrzenia. Inaczej być nie mogło. Kochasz swojego anioła.

– Ona jest moim aniołem?

– Spójrz na jej prawą dłoń. Nosi obrączki na dwóch palcach, na pierwszym, kciuku, i na malutkim paluszku. To oznacza służbę od początku do końca.

– A ta obrączka na serdecznym palcu lewej ręki?

– Nie wiem, co znaczy.

– To obrączka zaślubinowa.

– Myślę, że Danila jest aniołem stróżem, służba jest jej bytowaniem.

– Akurat dla mnie?

– Szczęściarzu. – Dacortona pokiwał głową. – Twoja miłość do niej jest dowodem waszego związku, ja nigdy nie spotkałem swojego anioła stróża. Nawet nie wiem, jak to można przeżywać.

– Tęsknota szarpie serce, kiedy jej nie widzę w pobliżu. Każdą chwilę chciałbym spędzać przy niej. A kiedy jest, może nawet rozmawiać z innymi, a ze mną nie zamienić słowa. Niewiele ich dotąd wymieniliśmy.

– Ona z tobą chętnie rozmawia.

– Bo jest grzeczną dziewczyną. Odpowiada zawsze, jak do niej zagadam. Zobacz, ile jest ode mnie młodsza. Nie jest możliwe, bym ją zainteresował.

– Jeśli jest twoim aniołem stróżem, ty interesujesz ją bardziej niż ona ciebie.

Ioanneos nie odezwał się.

– Jednak uważaj, jeśli to prawda. Nie zrób czego niewłaściwego. Bo to ty możesz najbardziej ją skrzywdzić. Nie zapomnij, że cnotą anielską jest niewinność, dziewictwo, a ona jest kompletnie bezbronna.

– Anioł jest przecież bytem niematerialnym. Jakżeż mogę zobaczyć Danilę?

– Różne sprawy różnie się plotą. Oni odziewają się w ciała. Tak mówią, ale nikt z nas nie wie, co to naprawdę znaczy. Może Danila była kiedyś jedną z nas, a dostała zadanie, by zostać twoim aniołem stróżem?

– Spytam ją o to.

– Nie będzie wiedziała. Może tego nie pamiętać, a czyni swoje wyłącznie z potrzeby serca.

– Dlaczego powiedziałeś, że to ja stałem się centrum wydarzeń? Mówimy stale o Danili.

– Ośrodek to nie jest miejsce dla aniołów. Ją wysłano tutaj w jakimś celu. Uważam, że przyszła dla ciebie.

– Rozmawiamy sami. Czy chciałeś to powiedzieć tylko mnie, mistrzu?

– Właśnie.

– Czy jest więcej takich rzeczy?

Dacortona nie odezwał się, ale zrobił jednoznaczny grymas. Chwilę przechadzali się w milczeniu.

– Trzeba się rozstać – powiedział Dacortona. – Wreszcie zaciekawimy któregoś z ospałych uczestników albo kogoś z aktorów naszego teatryku.

Ioanneos uśmiechnął się.

– Mów mało, słuchaj wszystkiego – dokończył Dacortona. – Sam nie rozumiem tej sytuacji.

– Tak.

## **51**    ***Ktoś nadmiernie obdarowany***

(Danila, Ioanneos)

Słowa Dacortony długo rezonowały w pamięci Ioanneosa. Mistrz mógł mieć rację. Jak skorzystać z przekazanej wiedzy? Ostatnią rzeczą, jakiej by chciał, to skrzywdzić Danilę. Jednak warto było walczyć chociaż o chwilę rozmowy z nią. Trzeba tylko postępować ostrożnie.

Wkrótce spotkał ją na wykładzie Soyardarghla o martwych owadach. Treść była dobrze znana, słyszana już wielokrotnie. Znajomy wykładowca łypał na boki, powarkiwiał, syczał, opadła prawa powieka drżała, grożąc eksplozją spojrzenia, a Ioanneosowi aż w sercu grało, bo trzy rzędy przed nim siedziała ona. Znowu dzisiaj zawinęła koński ogon w dziwny kłębuszek, z którego w niebo, w kilku kierunkach naraz, wystrzelały złote kosmyki. Uwielbiał te niedbale zaplecione złote kosy. Oczywiście po jednej jej stronie siedział Vargal, a po drugiej Rehot. Następne pozycje zabezpieczali Zuyaster i Sarpata, a nieco dalej Rajga. „Na chwilę odważyła się porzucić swojego nutritora, żeby tylko Światło nie mogło się wymknąć”, pomyślał Ioanneos.

Danila pilnie notowała na wykładzie. Z góry dostrzegł przez jej ramię całostronicowy, dokładny rysunek *Autography kappy*, ómy pokazywanej właśnie na przeźroczu ilustrującym wywód Soyardarghla. Danila szkicowała zwyczajnym pisakiem do notowania, a czarne kreski formowały się w czarowną podobiznę prawdziwego motyla. „Quent marzy, by położyć zielony laserunek pod postać malowanego diabła”, pomyślał Ioanneos. „Farb tu nie ma, ale on przecież może rysować na notatniku, jak robi to ona. Powierzchni barwnych nie położy, ale może ćwiczyć rysunek szrafowany. Powiem mu to”.

W trakcie wykładu spodziewał się znowu przeźroczka z dziewczyną, które Soyardarghl tylko raz wplótł w swój wywód, jednak tym razem nic takiego się nie pojawiło. Zresztą po co? Trzy rzędy niżej siedział przecież fascynujący oryginał. Ioanneos uświadomił to sobie i uśmiechnął się.

Wreszcie wykład się skończył. Ioanneos nie mógł doczekać się końca. Zwykle lubił słuchać wywodów tego nutritora, dzisiaj drżał z niepokoju.

Udało mu się pierwszemu przepchać do wyjścia i czekał na nią przy drzwiach. Wkrótce Danila zbliżyła się otoczona ochronną świtą uczestników.

– Porozmawiaj ze mną chwilę – powiedział do niej, kiedy go mijała. – Będę czekał w kafeterii. Dobrze?

– Tak. Zaraz tam będę.

Zmroziły go spojrzenia jej towarzyszy. Spodziewał się, że otoczą oni ją tym ściślej, i już zabierał się, żeby biegiem zająć jakiś stolik w kawiarni, kiedy stało się coś dziwnego. Najpierw

Vargal, potem Rehot, wreszcie Zuyaster i Sarpata zebrali się i gdzieś poszli. Danila została sama na korytarzu. Pierwszy raz, odkąd ją zobaczył.

Parę kroków i był przy niej.

– Chodźmy na kawę – zaproponował. – Gorzką, zasypywaną.

Danila była niższa od niego, więc charakterystycznie unosiła wzrok, jednocześnie leciutko rozchylając usta w półuśmiechu. Różowe wargi odsłaniały wtedy nieskazitelną biel zębów. Dzisiaj znowu założyła okulary.

– Mieliśmy rozmawiać, nie pić.

Zrobił tak żalospną minę, że aż się uśmiechnęła. W jej tonie wyczuł ślad nutki charakterystycznej dla Agaty. „Tamta też nosi plecak”, pomyślał. Dzisiaj Danila wystąpiła w czarnym zakieciku, do którego miała spódnicę do kolan i czarne legginsy do pół łydki. Plecakka akurat ze sobą nie miała.

– No dobrze. Chodź na gorzką kawę, tylko taką piję od lat – powiedziała pojednawczo.

Usiedli.

– Pięknie rysujesz. Zerkalem ci przez ramię na szkic *Autography*.

– Nie skończyłam go. Soyardarghl za szybko zmienił przeźrocze. Potem wyświetlił to z nagą dziewczyną, ale na jeszcze krócej, nawet nie próbowałam go kopiować.

Ioanneos chciał porozmawiać z nią o poważniejszej sprawie, która go niepokoiła. Obracał się wśród niezwykłych ludzi – Dacortona umiał jako pierwszy tak dokładnie przedstawić ludzkie ciało, Quent malował diabły, wiążąc oryginały w podobiznach – a on sam niczym się nie wyróżnił. Cavernata wspomniał kiedyś coś niejasnego, ale dla niego samego przeszłość była zaledwie mgłą bez wspomnień. Z tej mgły wyłaniało się jedynie mało określone przekonanie, że był kiedyś twórcą, ale w życiu stale spotykały go niepowodzenia, że były one jakby nie na miarę jego pracy. Wydawało mu się, że w swoją twórczość wkładał znacznie więcej wysiłku niż inni, osiągający w życiu to samo lub jeszcze więcej o wiele mniejszym trudem. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego jego znakomite dzieła nie są zauważane, a mniejsze dokonania innych przynoszą im nagrody i sławę. Wydawało mu się, że w życiu osobistym też działo się podobnie. Był znacznie przystojniejszy niż wielu kolegów, a kobiety jakoś go nie wyróżniały. Nie wiedział, skąd przyszły te myśli. Wcześniej nie pamiętał przecież nawet tego, co teraz wydawało mu się oczywiste.

Zastanawiał się, jak ją o to wszystko zapytać. Każdy ma wsparcie, niezawodnego stronnika, który próbuje w każdej sytuacji poprawić jego los, pomóc mu. Jest to właśnie zajęcie anioła stróża. Któż zatem, jak nie jego anioł stróż, powinien znać odpowiedź?

Danila lustrowała go chłodnym spojrzeniem. Milczenie przedłużało się.

– Masz nogi – odezwała się wreszcie.

Zamurowało go. Przez chwilę nie potrafił nic powiedzieć. – Cco...? – wydukał wreszcie.

– Nie zauważyłeś swojej zgrabnej sylwetki? – powiedziała. – Masz szerokie ramiona i wąskie biodra, dzięki czemu nawet przy sporej nadwadze wyglądałbyś jeszcze całkiem dobrze.

Nie odezwał się.

– Słyszałeś przecież o osobach wyglądających jak pół człowieka. – Spojrzała na niego badawczo. Miała w swych oczach coś z chłodu badacza. – Kiedyś był słynny John Eckhardt, Pół-Chłopiec, teraz znani są inni. Wzrost ich upośledził się podczas rozwoju jeszcze w łonie matki. To jest ten sam gen, który odpowiada za piękne proporcje twojego ciała. Bardzo wiele wymagało powstrzymanie szkodliwej strony działania tego genu. Może więc dobrego przeznaczonego dla ciebie nie starczyło już na cokolwiek innego, na pomyslnie zbiegi okoliczności, na niezastuzone sukcesy. Nie mogłeś przecież zostać znacznie bardziej obdarowany niż inni ludzie, prawda, Vittorino...?

Niespodziewane wyjaśnienia Danili zaskoczyły, ale też wywołały sprzeciw. Tak wcześniej został pozbawiony całego zasobu życiowego szczęścia i przypadkowego powodzenia?

– Było coś więcej – powiedziała Danila.

Nie zastanowił się nawet, jak przeczytała jego myśl.

– Więcej?

– Kiedyś wskoczyłeś do jeziora z drewnianego pomostu i głową wbiłeś się w dno. Miałeś wtedy kilkanaście lat.

Coś takiego zamajaczyło w pamięci, ale nie był pewien, czy to nie wpływ czarnej pięknej rozmówczynie.

– Tak. Miałem włosy pełne mułu. Głowa wbiła mi się w dno.

– I tylko tyle?

– Jak to: tylko tyle?

– Bolała cię głowa? Kark? Plecy?

– Bardzo.



– W tym skoku powinieneś był złamać kręgosłup, rdzeń kręgowy winien zostać rozerwany. Rozumiesz? Ten skok miał skończyć się kalectwem, paralizem czterokończynowym, fotelem inwalidzkim. Ale się nie skończył. Żyłeś normalnie dalej.

– Na to poszła reszta mojego kapitału szczęścia?

Danila zrobiła ruch dłońmi. Nie musiała odpowiadać.

Ioanneos spochmurniał. Spuścił głowę.

– Czasem urodzi się ktoś nadmiernie obdarowany – odezwała się znowu.

Podniósł oczy.

– Wiesz... osoba, która jest piękna fizycznie, której ciało jest arcydziełem Boga, a przy tym bardzo utalentowana i mądra. I do tego ma urzekające przymioty charakteru... – mówiła coraz ciszej.

„To ty jesteś zbudowana jak wcielona bogini”, pomyślał Ioanneos. „Danila, ty jesteś zmaterializowanym cudem. Snem, który pozostał przed oczyma po obudzeniu”.

Rzuciła mu wnikliwe spojrzenie.

– Takiej osobie przedwcześnie odebrana zostanie część jej darów... – kontynuowała. – Dobro i piękno przyciąga nieprzyjaciela, który zsyła chorobę lub nieszczęście...

Ioanneos poczuł ukłucie w serce. Znowu nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Tu ją ukrywasz, Ioanneos! – przerwał ich rozmowę Zuyaster. – Którą *Autographę* Soyardarghl powinien pokazywać jako pierwszą w serii...? – zwrócił się do Danili. – Vargal mówił mi, że mu to tłumaczyłaś.

– Myślę, że *Autographę kappę*. – Odwróciła się do niego.

– Nie przekonałaś go. – Zuyaster pokręcił głową. – Dyskutuję z nim na ławce piętro niżej. Chodź zaraz, bo jest jeszcze parę minut do następnego wykładu.

Oczywiste, że alumen nie został zaproszony do udziału w rozmowie uczestników. Ioanneos został sam.

## 52 *Pierwsza historia Danili*

(*Agata, Ioanneos*)

Może jakiś wykład został odwołany, bo na korytarzu zgromadziło się nieoczekiwanie wiele osób. Jakby nagle liczna grupa alumenów zapragnęła stanąć i porozmawiać ze sobą. Wokół nich jak wśród drzew przemykali aktorzy, chyba ćwicząc noszenie potępionych, bo każdy z aktorów biegł, mając na plecach zawieszoną nogami do góry partnerkę. Niesione aktorki tym razem zaplatały nogi wokół szyi niosącego, a ten machał rękami, naśladując ruchy lecącego ptaka. „Nawet im chce się pofrunąć”, pomyślał uradowany Ioanneos. Próby teatrzyku amatorskiego oddawały stan jego ducha.

Zauważył przemykającą wśród nich Agatę. Jakoś tak chyłkiem, jakby bała się, że wpadną na nią i zrzucą nieodłączny plecaczek.

Rzeczywiście, wpadł na nią łukiem biegnący aktor, który wykrzywił twarz w dziwnym grymasie i szeroko rozdziawiał usta.

Ioanneos uchwycił dziewczynę za ramiona, żeby nie upadła, i pocałował w policzek. Tym pocałunkiem wyraził swoje uczucia, które kierował do Danili, nie do niej. – Cześć – powiedział uradowany.

Agata zaczerwieniła się cała i zdecydowanym ruchem wysunęła z jego rąk.

Poniewczasie pomyślał, że mógł ją swoją radością zranić, jeśli ona też jest aniołem.

– Dawno cię nie widziałem. Znikłaś na wiele dni.

Agata spojrzała na niego z radością. Jej modre oczy zajaśniały, ale zaraz łypnęła zwyczajnie, zbyt badawczo.

– Przytrzymam ci plecaczek, bo spadnie – powiedział, chociaż nic takiego nie groziło.

– Przestań. Nie potrzebuję pomocy.

– Chodź na gorzką zasypywaną kawę. Daj się nacieszyć swoją obecnością. Znowu pewnie znikniesz na miesiące.

– Innej kawy nie piję.

– W kafeterii znajdzie się wolny stolik.

– Ale trzymaj ręce przy sobie. Najpierw mnie chcą porozbijać ci zwariowani akrobaci, a zaraz potem ty się na mnie rzucasz...

Musieli wynieść kubeczki z kawą na korytarz, bo jednak miejsca nie było. Trwała przerwa w wykładach. Ioanneos nic nie miał w rozpisce na następną godzinę, mógł posiedzieć dłużej. Ona pewnie też.

Usiedli przy popielniczce, ale mocny zapach kawy tłumił odór starych petów.

Zdumiewające, że w ogóle mnie zauważyłeś. – Agata świdrowała go wzrokiem. – W ogóle coś widzisz poza Danilą?

Z najwyższym trudem – odpowiedział wesoło. Zastanowił się, skąd o tym wie. Nie zwierzał się przecież Agacie. Była jego ulubioną uczestniczką, ale nie rozmawiali od bardzo dawna.

Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem.

– Danila czasem zdejmuje swój plecak, a ty stale go nosisz.

– Jest wygodny i praktyczny. – Wzruszyła ramionami. – Wszystko się w nim mieści, notatnik, pisaki.

– Właśnie. Wszystko się w nim mieści...

– Co ty insynuujesz...?

Pokręcił głową. – Dobrze rysujesz? – zmienił temat.

– Nie tak dobrze jak Danila, ale też nieźle.

– To co lubisz bardziej od rysowania?

– Śpiewać. Mieszkam z koleżanką, to sobie zrobiłyśmy małą scholę. Kiedyś cię zaproszę, posłuchasz nas.

– Uczestnicy mieszkają w dwójkach?

– Sama tak wybrałam. Nie lubię samotności.

– Zdejmiesz dla mnie plecak?

– Co ty znowu z tym plecakiem!?

– Intryguje mnie.

– Niech Danila ściągnie dla ciebie plecak.

– Ona czasem chodzi bez niego, tylko w żakieciku.

– To niech zdejmie dla ciebie żakiecik!

– Nie poproszę, żeby Danila ściągnęła dla mnie odzienie.

– Ty...! Przestań!

Ioanneos postanowił nie drażnić więcej tego tematu. Nie wiadomo, jak Agata zareagowałaby, gdyby wyraził swoje podejrzenia wprost. I tak pozwalał sobie na wiele. Zresztą przypomniało mu się, że Agata kiedyś zdjęła plecak dla Rechota. Kiedy razem przyszli na godzinę integracyjną z nim. Nie chciał jej jednak o tym przypominać.

– A była kiedyś dziewczyna podobna do Danili?

– Tak. – Agata nieoczekiwanie spochmurniała.

– Wiesz coś więcej?

– Tak. Była podobna dziewczyna. Cud, który się zdarza, chociaż nadzwyczaj rzadko. Wiesz, taka wyedukowana, bardzo inteligentna i przy tym oszalamiająco piękna.

– Wydaje się to prawie nieprawdopodobne.

– Widujesz ją często, prawie codziennie. Ona istnieje.

– Czasem mam wątpliwości co do tego ostatniego. Powinienem częściej sprawdzać. Tylko raz trzymałem jej dłoń w dłoni.

Agata uśmiechnęła się.

– Ta piękność długo zachowała anielską cnotę, dziewczyna potrafiła być wstrzemięzliwa – Agata znowu zaczęła opowiadać. – Zaraz po studiach trafiła do pierwszej pracy, akurat do dużej korporacji. Poza wszystkimi zaletami była bardzo ambitna i to przyczyniło się do jej upadku. Spodziewała się, że zrobi szybką karierę, bo wiesz... taka wielka, znana firma. Oczekiwała ciężkiej pracy oraz idących jej śladem sukcesów, ale spotkało ją co innego.

Agata urwała, Ioanneos też milczał.

– Wiesz, olśniewająca piękność, zbudowana tak, że każdy marzy, by móc ją pieścić, na dodatek jeszcze nietknięta, stanowiła łakomy kąsek dla wszystkich młodych wilków korporacji. Była dla nich kolejnym zadaniem do wykonania.

Znowu przerwała relację. Jakby osobistą przykrość sprawiało jej to, co ma mu teraz powiedzieć. Ioanneos nie pomagał. Chciał wszystko usłyszeć.

– Sprawy potoczyły się bardzo szybko. Dla pracowników korporacji organizowano bardzo atrakcyjne wyjazdy integracyjne. W zasadzie nie były one obowiązkowe, ale nie zdarzyło się, żeby którakolwiek pracownica odmówiła takiego wyjazdu. Podczas pobytu zapewniano lekkie narkotyki, występy striptizerów oraz inne atrakcje, które miały rozgrzać pracownice korporacji do pełnej dyspozycyjności względem zwierzchników. Wszystko rozstrzygnęło się już na pierwszym wyjeździe. Jego największą atrakcją miała być ona sama. Z występu striptizerów próbowała się urwać, ale jednoznacznie dano jej do zrozumienia, że ma się integrować, więc została. Nie piła wiele, lecz zdarzało się jej wypić w towarzystwie jedno piwo albo lampkę wina czy koktajl. W czasie tej imprezy właśnie do koktajlu dostała pigułki oszalamiające, a następnie, półprzytomna, bezwolna, została wielokrotnie zgwałcona przez kolegów.

– Ach... – westchnął Ioanneos.

– To jeszcze nie koniec. Następnego dnia nie pamiętała niczego, ale ktoś obiecał pokazać jej ciekawe nagranie z imprezy. Zmęczona po wczorajszej zabawie, nie miała szczególnej ochoty na pokazy. Skoro nalegano, wreszcie poszła. Oczywiście znowu to ona miała być atrakcją kolejnej zabawy, a raczej jej reakcja. W towarzystwie kolegów obejrzała długie nagranie z wczorajszego wieczoru, już umieszczone w internecie, a koledzy dowcipnie skomentowali jej zalety. Nie wytrzymała. Popelniła samobójstwo. Wyskoczyła z okna jeszcze przed końcem tego samego wyjazdu integracyjnego. Sprawę zatuszowało szefostwo lokalnego oddziału korporacji.

Umilkła. Ioanneos też nie mógł się odezwać. Nie spodziewał się czegoś aż tak złego.

– Samobójcy nie zostają aniołami... – wybąkał wreszcie.

– Oczywiście, że nie. Aniołem nie można się stać.

Znowu milczał.

– Zresztą przecież to nie była Danila, tylko dziewczyna podobna do niej.

Ioanneos odniósł wrażenie, że Agata nie powiedziała mu prawdy.

### **53     *Krąg wokół Ioanneosa***

*(Ioanneos, Danila, Vargal, Eleonora, Rajga)*

Sposób na wyciągnięcie Danili z kręgu izolujących adoratorów przestał działać. Kiedy znowu spróbował się z nią umówić na rozmowę przy kawie, Danila spuściła głowę.

– Uczestnik Vargal chciał podyskutować ze mną o tym wykładzie – powiedziała.

– To może potem?

– Przerwa między wykładami jest za krótka – odrzekła strapiona. – Obiecałam mu dyskusję.

– Chciałem, żebyśmy omówili to, co m’Beleh mówił o Dacortonie – wtrącił Vargal. Na jego łysem ciemieniu zbierały się krople potu. Widać nie był pewny swego.

– Dobrze... – Danila zwróciła się do niego. – Może innym razem? – powiedziała do Ioanneosa.

Cóż miał odpowiedzieć? Skinął głową. Plan się nie powiódł. Vargal zadziałał skuteczniej. Nie wiadomo, kiedy znowu się spotkają.

Ioanneos nie miał aktualnie wykładu w rozpisce. m’Beleha też w niej nie miał, ale zauważył wchodzącą na jego salę Danilę i przesiedział godzinę w ostatnim rzędzie. Dzisiaj ona rozpuściła

włosy i z uwagą notowała słowa m'Beleha. Dzielili ich oboje duży dystans i tylko gdy pochylała się nad notatnikiem, mógł dostrzec nieco jej włosów, fragment okularów. Starczało mu nawet tak niewiele.

Nowych ataków na Dacortone dzisiaj m'Beleh nie przeprowadził.

Gdy Danila, otoczona nieodłącznymi Sarpatą i Vargalem, znikła w korytarzu, Ioanneos nie wiedział, gdzie się podział. Chciał wypytać ją o opowieść Agaty, ale okazja przepadła.

Ktoś lekko objął go w pasie.

– Chodź, Ioanneos – usłyszał. – Wprawdzie to tylko ja, nie ona, ale możemy razem przysiąc na kawie. – Eleonora uśmiechała się do niego ciepło.

„Czy naprawdę oni wszyscy wszystko wiedzą?”, pomyślał.

Eleonora przestała malować powieki. Zauważył, że zrobiły się jej tam drobne zmiany na skórze. Pewnie właśnie to starała się dotąd ukryć pod makijażem.

– Jak ci się podoba mój nowy wygląd? – spytała.

– Mnie się podoba.

– Jest prawdziwszy. Danila w ogóle się nie maluje, Izabela też nie, to i ja mogę.

– W sumie lepiej wydobywa się blask oczu.

– Nie czaruj. Wiem, że mi skóra wysycha na powiekach i pęka.

– Wygoisz to?

– To się nie wygoi.

– Może jakiś krem natłuszczający?

– To chyba jest uczulenie o podłożu nerwowym, zresztą tutaj nie mają dobrych kremów.

Usiedli przy kubku kawy. Eleonora nerwowo poprawiała się na krześle, wyrównywała krawat. Wyglądało, jakby chciała powiedzieć mu coś ważnego.

– Świetnie leży – powiedział. – Kiedyś ci go schowam. Ciekawe, co wtedy zrobisz.

– Et... Stare, spłowiałe łachy, które mają setki lat. A przynajmniej tak wyglądają...

– Ten m'Beleh może bez końca wykladać o Signorellim – zauważył. – Mówi godzinami, ale ani jedno słowo pochwały mu się nie wyrwie.

– Sam nie umie nic namalować, a jedynie stara się poniżyć cudzą pracę. – Machnęła ręką.

Umilkła, bo ktoś się do nich przysiadł.

– Ciągle w centrum towarzystwa. – Uczestniczka Rajga wykrzywiła w uśmiechu swoje wielkie, nierówne zęby. Konfidencjonalnym gestem położyła im obojgu dłonie na ramionach, ale

uśmiechała się tylko do Ioanneosa. – Najbardziej oblegany alumen. – Pokiwała głową z podziwem. – Nie narzekasz na nudę w ośrodku.

Uśmiechnął się blado. „Co się ma nie stać, skoro oboje jesteśmy tak pilnowani? Czy Danila ma mi czegoś nie powiedzieć?”, pomyślał.

– Przyniosę moją kawę. Nie zgadzam się we wszystkim z nutritorem m’Belehem – powiedziała Rajga. Te słowa tworzyły dziwny kontrast ze wspomnieniem jej czarnej czupryny rytmicznie potakującej z pierwszego rzędu wywodom wykładowcy.

Eleonora popatrzyła za odchodzącą Rajgą.

– Ależ ona umie kołysać biodrami – powiedziała z przekąsem. – Ja nawet tego nie potrafię. Rozsypałabym się chyba ze starości.

– Uczestnicy są w nieokreślonym wieku. Ty zresztą też. Sylwetkę masz bezbłędną...

– Ale łachy wiekowe...

– Jak każdy z nas.

– Rajga... – zaczęła Eleonora, ale zaraz urwała, bo uczestniczka wracała ze swoim kubkiem.

– Przesuńcie się trochę – powiedziała przybyła.

Eleonora i Ioanneos posłusznie przysiedli bliżej siebie.

– Podobno mieliście fajną przejażdżkę?

Jak dawno temu to już było? Ioanneos zdążył prawie zapomnieć. – Deszcz, wiatr, mrok nocy i pusta droga – powiedział.

– Zazdroszczę wam. Sama chętnie bym się przejechała.

Rajga rozpuściła włosy, chwyciła gumkę w zęby, a następnie uniosła ramiona, mocno wypinając piersi. Potem obiema dłońmi przeczesła czarne kędziory i zebrała je wszystkie razem, przewiązała gumką i uplotła gruby węzeł. Przy okazji spod okularów badawczo zerknęła, czy Ioanneos zauważył efektowną pozę. Bez wątpienia była ładnie, proporcjonalnie zbudowana, może tylko biodra były nieco za szerokie, ale całe wrażenie pryskało, kiedy zza czerwonych warg wysuwały się jej wielkie, nierówne, ostre zęby.

– Cóż, obowiązki nie pozwalają mi nawet na drobne przyjemności – skwitowała.

– Nawet gdybym chciał, nie mógłbym się znowu przejechać. Benzyna przysługuje po wykładzie. Musieliby mi rozpisać nowy.

– Można przejechać się za cudzą benzynę. – Rajga spojrzała przeciągle na Eleonorę, a ta zadrżała. – Ty nie masz swojego samochodu?

– Koni tu nie ma, ani powozów.

– Zapomniałam o twoim hobby.

Szklanka Rajgi była już pusta, na dnie zebrał się zbity kawowy osad. Kiedy ona to tak szybko wypila? Ich szklanki były jeszcze pełne.

– No, na mnie już czas. Przyjemnie się gadało, ale praca czeka. – Rajga przyglądała dłońmi kremowy sweterek, żeby ładnie przylegał do ciała.

Zostawiła ich samych. Chwilę patrzyli, jak odchodzi, kołysząc biodrami.

– Powiedziała, że powinnam ci towarzyszyć.

– Ona?

– Tak. Na wczorajszej godzinie integracyjnej.

– Nawet choćbyś chciała, nie dasz rady. Przecież każdy ma indywidualną rozpiskę.

– Oni są zdolni zmieniać rozpiski.

– Lubię być z tobą, ale po co takie manewry?

– Może chodzi o to, żeby cię odciągnąć od Danili.

– Ją oddzielają ode mnie, mnie chcą odciągnąć od niej. Po co?

– Ona powiedziała, że zna historię Danili, a to by cię załamało.

– Już znam historię Danili.

Eleonora pokręciła głową. – Jeśli uczestniczka tak stwierdziła, to znaczy, że ona sama chce ci to opowiedzieć. Nie możesz jej obrazić i nie zapytać.

## **54 Il taglio della lingua**

*(Danila, Ioanneos, Rajga)*

Eleonora zaniepokoiła go swoimi słowami. Koniecznie trzeba spotkać się z Rajgą, bo uczestnicy nie żartują. Każdy z nich może zdecydować o ograniczeniu kontaktów z innymi alumenami. Rajga mogłaby mu prawdopodobnie nawet zabronić kontaktów z Danilą, a to byłoby nie do zniesienia. Starał się więc znaleźć tę uczestniczkę na korytarzach, ale na razie bezskutecznie.

Jak objawienie, nagle, nieoczekiwanie pojawiła się Danila.

– Chciałeś porozmawiać – powiedziała.



Vittorino lekko ją objął i pocałował w policzek.

Trzykrotnie. Najpierw w lewy, potem w prawy, wreszcie znowu w lewy.

Smak tych pocałunków był nieokreślony jak wszystkich, ale niezwykle. Nigdy nie poczuł czegoś takiego, całując kobietę w policzek.

Danila lekko się cofnęła, ale nie zaczerwieniła. Aga Inaczej zareagowała na jego pocałunek. Cofnęła się gwałtownie, jakby spłoszona.

– Tak, chciałem, ale w tej chwili kogoś szukam – powiedział pośpiesznie. – Nie widziałas uczestniczki Rajgi?

– Zaraz mnie znowu porwą ze sobą ci natręci. – uśmiechnęła się blado. – Usiądź, pogadajmy.

Zauważył, że Danila nie ma idealnie gładkiej cery, kilka drobnych pryszczyków widniało na policzkach.

– To może w kafeterii po tym wykładzie? – zaproponował.

– Jak chcesz – powiedziała bez entuzjazmu. Buzię zrobiła w podkówkę.

Był pewny tego, że ona przyjdzie, pochlebiło mu, że piękna dziewczyna zabiega o kontakt z nim. Jeszcze raz pocałował ją w policzek, na pożegnanie. Znowu to niezwykle odczucie, choć smak owocu awokado, jak wszystkich pocałunków.

Na końcu korytarza zauważył uczestniczkę Rajgę. Mruknął coś do Danili i szybko poszedł, a właściwie pobiegł przed siebie, aby jak najszybciej mieć za sobą rozmowę z tą uczestniczką i spokojnie usiąść z Danilą.

Rajga spojrzała na niego z wyższością.

– Tak, słucham?! – spytała poważnie. – Nie mamy w rozpisce godziny integracyjnej.

– Eleonora powiedziała o trudnej historii Danili, którą powinienem poznać.

– Faktycznie, powinieneś ją poznać, i rzeczywiście, ta historia jest trudna.

Rajga rozejrzała się wokoło, jednak otoczenie jej nie zadowoliło.

– Może lepiej siądźmy w moim pokoju. Tam jest ciszej.

Ioanneos zaniepokoił się. Nie chciał rozmawiać z Rajgą za długo. Domyślał się, co usłyszy, a umówił się z Danilą po następnym wykładzie. Jednak teraz już nie mógł się wycofać.

Rajga sprowadziła go na bardzo niski poziom w ośrodku, na jedną z kondygnacji poniżej bramy wejściowej. Były takie, bo budynek wznosił się na wzgórzu i nierówno wyrastał ze zbocza. Ioanneos zauważył, że powierzchnia pokoju uczestnika była większa. Obok łóżka, zamiast drewnianych krzesel, stały dwa obite skórą fotele. Skóra stara, w wielu miejscach

pocerowana, ale prawdziwa. W kątach pokoju także stare festony kurzu i brudu. Na jednej ze ścian tynk opadał. Widocznie kiedyś pękła rura i zalało pokój, a od tego czasu pomieszczenia nie pomalowano.

– Siadaj w fotelu – powiedziała Rajga. – To prawdziwa skóra, nie derma, hę?

Ioanneos nie odezwał się. Chciał jak najszybciej wysłuchać spodziewanej historii. Już raz to przecierpiał i chciał przez nią przejść jak najszybciej.

– Danila nie miała szczęśliwego życia. – Rajga znacząco spojrzała na Ioanneosa.

Skinął głową. To już wiedział wcześniej.

– Została uwiedziona przez swojego nauczyciela w liceum. Wiesz, niekiedy między uczennicami a nauczycielem nawiązuje się dziwna, niezdrowa więź. Nauczyciel jest przecież jedynym dominującym obcym mężczyzną, z którym dorastające dziewczęta spotykają się codziennie. Muszą wykonywać jego polecenia, są przez niego karane lub nagradzane. Kary mogą przeradzać się w karę za niezależność, za brak podporządkowania, a nie za faktyczną winę. Łatwo w takiej sytuacji o zyskanie podziwu wychowanki. Wystarczy okazywać minimum lojalności i konsekwencji.

Ioanneos słuchał, nie przerywając jej.

– Jej nauczyciel nie znalazł wcześniej kobiety. Był starym kawalerem. Żadnej nie potrafił sobą zainteresować. W młodości wyśmiewały się z niego wszystkie koleżanki na studiach. Żadna nie chciała zaryzykować swojego życia z kimś tak popapranym. Nie umiał nawiązywać kontaktów z ludźmi, a już z płcią przeciwną w szczególności. Rudy istniał sam dla siebie. Sukcesy odnosił we własnym umyśle, jego stwierdzenia były trafne tylko w jego własnej opinii, nawet kiedy budziły ubawienie rozmówców. Słyszał w uszach aplauz wyimaginowanych tłumów podziwiających jego triumfy. Lubił mówić dużo, bardzo szybko i za głośno. Wyrażał swoje racje bardziej dla siebie samego niż dla słuchaczy. Kogoś takiego określa się mianem neurotyka czy psychopaty.

To była inna historia niż ta usłyszana wcześniej. Może traktowała o innej dziewczynie? Ioanneos słuchał jej jak zaczarowany.

– Jedyłą jego bronią był głos. Donośny, dźwięczący, rezonujący w sercach nastolatków, brzmiący w sposób niedopuszczający sprzeciwu. Gęsta, ruda czupryna tworzyła wokół niego nimb kogoś niezwykłego, atmosferę umysłu nieprzeciętnego. Sprawiał wrażenie kogoś mądrego i mocnego jak skała.

Ioanneos chciał słuchać o Danili, Rajga opowiadała mu historię jakiegoś popaprańca życiowego.

– U uczennic wyrobił sobie opinię człowieka w zupełności oddanego fizyce, dziedzinie, której na ogół nauczał. Faktycznie nigdy nie pracował jako fizyk. Nie był wystarczająco utalentowany, żeby po studiach kontynuować karierę na uczelni wyższej czy w jakimś instytucie badawczym. Cała jego wiedza zawodowa pochodziła z przeczytanych książek, sam nie dodał do tej dziedziny nic od siebie. Jednak dla młodych panien, dla których było to pierwsze zetknięcie z nauką, rudy nauczyciel był uosobieniem człowieka oddanego bez reszty wielkiej nauce. Poznawały dzięki niemu jej osiągnięcia i w naturalny sposób utożsamiały je właśnie z nauczycielem. Chorobliwy blask w oku i żar wypowiedzi nie zostawiały wątpliwości: tak, to on był autorem wykładanych stwierdzeń, fizyka była bez wątpienia jego dziełem, a nawet jeśli jakieś prawa nosiły imię kogoś innego, to wspaniale dźwięczący Pan od Fizyki z pewnością mógłby je wymyślić, gdyby tylko chciał. Przed niedoświadczonymi pannami umiejętnie świecił odbitym światłem.

– Danila się nabrała na plewy. Była głupia...? – wyrwało się Ioanneosowi.

– Wręcz przeciwnie. Danila była wybitnie inteligentna. A że doświadczenia nie miała? Cóż, nie można tego wymagać od piętnastolatki. Właśnie przez to, że w lot rozumiała wywody swojego mentora, Danila została usidlona, bez szans i bez reszty.

– Ależ trafiła w pułapkę... A wystarczyłoby, żeby przez przypadek trafiła do klasy, w której nie uczył ten neurotyk.

– W jej szkole Rudy uczył fizyki we wszystkich klasach. Ucieczki nie było. Ślub odbył się, jak tylko zdała maturę. Po wakacjach zaczęła studia, oczywiście na fizyce i oczywiście na uczelni gorszej niż ta, którą ukończył i na której poniósł klęskę jej dawny nauczyciel, a obecny mąż. Wstydziła się tej przedwczesnej obrączki przed koleżankami ze studiów, więc dla niepoznaki nosiła ją na lewej ręce. Ukrywała, że jest to znak związku małżeńskiego, twierdziła, że to tylko ozdoba. Nie wstydziła się trzydzieści lat starszego męża.

– Czy coś takiego w ogóle mogło się wydarzyć?

– Ależ tak. Trudności zaczęły się z powodu jej nieprzeciętnej inteligencji. Danila pilnie pracowała i wkrótce została prymuską na roku, zaczęto ją wyróżniać. Miała teraz bardzo wielu nauczycieli. Nie mogła nie zauważyć, że każdy jest lepszym specjalistą od idola jej młodości,

a obecnie nudnego, gderającego, postarzałego mężczyzny, którego dziwaczne, bezsensowne kaprysy musiała posłusznie spełniać.

Rajga mówiła z lubością, jakby wymierzała ciosy komuś niewidzialnemu.

– Na dodatek zaczął się on starzeć w przyspieszonym tempie. Już parę lat po ślubie...

– Stąd jej obrączka na serdecznym palcu lewej ręki?

– Tak... – Rajga przetarła wierzch lewej dłoni.

– Przerwałem ci.

– Wkrótce po ślubie nie przypominał siebie samego z czasów, kiedy uczył Danilę. Pogarbił się dziwacznie. Zawsze miał zbyt uniesione, za wąskie ramiona i za krótką szyję. Lata nieruchawego życia zrobiły swoje, teraz linia ramion zrobiła się mocno nierówna. Prawy bark podchodził znacznie wyżej niż lewy, niebezpiecznie przybliżając się do zuchwy, a lewy, choć trafiał jakby niżej, był znacznie krótszy. Włosy straciły swój wspaniały, płomienscie rudy kolor i zrobiły się bezbarwne, szybko pokryły je coraz szersze pasma brudnoszarej siwizny.

– Ona była aniołem...

– Ech... – Rajga machnęła ręką. – W tym związku to ona była człowiekiem nieprzeciętnym. Dlatego małżeństwo to mimo wszystko przetrwało jej studia. Z trudem, bo z trudem, ale udało się jej utrzymać podziw dla kogoś tak nieszczególnego pomimo kontaktów z mężczyznami wyróżniającymi się talentem, osiągnięciami czy zaletami charakteru. Tak, ten okres był dla niej najtrudniejszy.

Ioanneos słuchał osłupiały. Ta historia życia Danili wydawała się jeszcze mniej prawdopodobna niż opowieść Agaty.

– Danila przeżyła całe życie w jego pobliżu, chociaż bardzo szybko zaczął jej okazywać zniecierpliwienie i niechęć. Przecież ona nie mogła być ani tak piękną, ani tak bardzo utalentowaną kobietą, skoro wybrała kogoś tak nieciekawego jak on. W skrytości ducha rudy nauczyciel nie miał wątpliwości co do swojej osoby. Latami wysłuchiwała narzekań starego, skwaszonego mężczyzny o wygórowanych ambicjach, który w życiu nie odniósł żadnego sukcesu, a tylko coraz bardziej zazdrościł żonie, że ta robi karierę zawodową w dziedzinie, w której jemu samemu nie udało się nic zdziałać. W końcu Danila nie wytrzymała i sama wycofała się z kariery naukowej. Nie uspokoiło go to. Dręczył ją jeszcze bardziej. Była młoda, więc miała coś, co on już dawno stracił, na dodatek jej widok stale mu przypominał, że aby znaleźć kobietę, musiał kiedyś uwieść dziecko, bo żadna, gdyby miała wybór, nigdy by go nie

zechciała. Danila całe życie w milczeniu znosiła dręczenie psychopaty, co najwyżej czasami cicho płakała.

Ioanneos uświadomił sobie, że rozmawiają już bardzo długo. Zaczął wiercić się niecierpliwie na siedzeniu.

– Ach! Jeszcze jedno. Na dwudziestą czwartą rocznicę urodzin mąż kazał jej, by zmniejszyła sobie piersi. To był prezent, żeby nie garbiła się i nie niszczyła sobie kręgosłupa.

– Jej cudowne, wielkie piersi...?

– Chciał, by Danila była mniej atrakcyjna dla innych mężczyzn. Nie miał wątpliwości, że jest dla niego zbyt zgrabna, zbyt piękna i zbyt inteligentna.

– Okaleczył tę cudowną piękność?

Ioanneos spuścił głowę. Oszpeczenia Danili nie zniósł. Serce krwawiło na myśl, że mógł ją ujrzeć okaleczoną. Rajga patrzyła na niego w napięciu, a wokół jej oczu wolno formowały się zmarszczki leciutkiego uśmiešku.

– Przeprowadzono jej częściową amputację obu piersi, częściową mastektomię. Na dodatek chirurg spałał robotę. Kikuty były za małe i miały nieładny kształt.

Ioanneos milczał. Każde zdanie, każda fraza jej wypowiedzi wbijały mu się w serce jak sztyło.

– A może było jeszcze inaczej...? – Rajga spojrzała na niego ironicznie. – Może ona sama też tego chciała?

– Jakżeż sama...?

– Dojrzewająca dziewczyna długo nie może się pogodzić ze zmianami swojego ciała. Jeśli w tym czasie ktoś tak ważny jak jej nauczyciel, z mniej lub bardziej subtelną ironią, wytyka jej budowę... – Rajga urwała na chwilę, wyczekując jego odpowiedzi.

– Piersi kobiety należą do jej męża – stwierdziła pewnie Rajga. – Kobieta dostaje je późno i często nie potrafi się do nich przyzwyczaić. Dopiero kiedy spojrzy na swoje piękno oczyma męża, zaczyna podobać się sama sobie. Jej mąż jednak faktycznie był skrytym homoseksualistą i obfite piersi u kobiety wzbudzały jego lęk i obawę. Rudy nauczyciel to było nadzwyczaj popaprane indywiduum.

– Ta rola należy do mamy... – bąknął. – Mama powinna wyjaśnić córce, jakim skarbem staje się jej ciało.

– Jednak jej matka była równie piękną, wspaniale zbudowaną kobietą, która właśnie zauważała pierwsze oznaki starzenia się, więc zamiast wszystko umiejętnie wyjaśnić, podświadomie potraktowała Danilę jako rywalkę i sama zachęciła do okaleczenia. Bo takie za duże piersi są niepraktyczne, niehigieniczne, nieestetyczne albo coś podobnego. Ona sama bardzo dbała o swoje wspaniałe piersi.

– Matka...?

– Nie mówię, że właśnie tak było, ale mogło tak być – Rajga wycofała się. – Konflikt osobowości, konflikt z własną płciowością, nie został u Danili rozładowany, lecz podsycony. Skończyło się to nieodwracalnym oszpecceniem. Bo amputacja jest nieodwracalna.

Nadal milczał. Która z obu opowieści jest prawdziwa? Bo obie naraz prawdziwe przecież być nie mogą. A może Rajga kłamała od pierwszego do ostatniego słowa? Dlaczego tak okrutnie igrała z jego uczuciami?

– To cała historia Danili – rzekła uczestniczka. – Teraz już możesz iść.

Pobiegł korytarzem do kafeterii. Oczywiście nikogo już tam nie było. Dawno minęła pora spotkania. Danila zapewniała, że będzie na pewno, ale godzinami czekać przecież nie mogła.

## **55    *Zniknięcie Danili***

*(Ioanneos, Agata)*

Co znaczyły te dwie historie życia Danili? Jedna i ta sama kobieta nie mogła mieć dwóch różnych życiorysów. Jeśli była aniołem, to ciało stanowiło tylko jej odzienie, jak tłumaczyli spiskowcy. Czy jego anioł stróż przywdziewał dwa różne ciała? Tylko czy ta piękna jasnowłosa dziewczyna, która radowała go swą obecnością i w której zadurzył się bez pamięci, była jedną, czy może drugą postacią Danili? Najprościej byłoby spytać ją samą.

Ioanneos węszył po korytarzach, szukał. Odważył się nawet na rzecz zabronioną, czyli zaglądał do sal wykładowych w trakcie prowadzonych w nich zajęć. Niecierpliwie znów chciał ujrzeć swoje Światło.

Nie mógł sobie wybaczyć tamtego spóźnienia. „Ależ mnie Rajga podeszła. Specjalnie gadała tak długo. Wiedziała, że Danila ma mi coś szczególnie ważnego do przekazania. Za wszelką cenę chciała udaremnić naszą rozmowę. Teraz nie wiem nic, zostałem z niczym”.

Rozpiski dzienne ich obojga rozjechały się zupełnie. Jak wcześniej spotykał Danilę codziennie, teraz zniknęła tak nagle, jak nagle się pojawiła.

Ioanneos odnosił wrażenie, że świat nagle stracił kolory, a ludzie życzliwość do siebie. Snuł się po ośrodku, ignorując zajęcia z rozpiski. Zaglądał wszędzie, starał się ją wreszcie zobaczyć. Niby była gdzieś w pobliżu. Pamiętano ją. Inni mówili o niej dość często. Ileż mogło trwać zupełne rozsynchronizowanie rozpisek? Nieobecność przedłużała się nieznośnie, tylko jej jasny obraz nie zacierał się w jego sercu.

„Przemknęła przez moje życie jak anioł. Owionęła mnie swoimi białymi skrzydłami i już jej nie było”, pomyślał. „Jakbym przez chwilę znalazł się w snopie oślepiająco białego światła, ciepła i dobra”.

Chwilami zaczynał wątpić, czy Danila istniała naprawdę, czy może tylko on sam, spragniony, wymyślił swój ideał.

Na którymś z wykładów ujrzał obraz idealnej twarzy kobiecej, uśrednionej z twarzy najpiękniejszych niewiast. Uśredniona twarz jest zawsze piękniejsza od swoich składowych. Ta twarz wydała mu się bardzo podobna do twarzy Danili, chociaż wizerunkowi brakowało tego czasem kpiarskiego, ale chłodnego uśmiechu i opuszczonych kącików ust.

Z ośrodka przecież nikogo nie ubywało, chociaż znajomi czasem rozstawali się na bardzo długo. Przestał wierzyć, że ją spotka, kiedy uświadomił sobie, że zniknęła zasłona otaczających go uczestniczek. Jakby to już nie było potrzebne. Jakby Ioanneos przestał budzić zainteresowanie, bo nie stanowił już zagrożenia. Coś ważnego udało się udaremnić.

Osamotniony błąkał się po ośrodku. Wreszcie po paru dniach znalazł Agatę. Siedziała przy znajomej popielniczce na korytarzu. Czuł, że tylko ona może mu pomóc.

Usiadł naprzeciwko. Przywitała go swoim badawczym spojrzeniem.

– Postarzałeś się – powiedziała. – Przybyło parę siwych nitki w twojej czuprynie.

– Tak? Raczej mam trochę mniej ochoty do bytowania.

– W ogóle jest ostatnio jakby smutniej.

Miał ochotę zapłakać. Dokładnie tak pomyślał.

– Lubiałam patrzeć, jak rozmawiacie oboje z Danilą. Jak często oboje patrzycie w tę samą stronę i idziecie w tym samym kierunku.

– Niewiele było tych rozmów. Jeszcze mniej wspólnych spacerów.

– Nie liczba słów się liczy.

– To były moje najlepsze dni.

– To dlaczego wszystko popsuleś?

– Ja?

– Danila przestała się pojawiać z twojego powodu. Nie ma wątpliwości. Okazałeś jej zniecierpliwienie w czasie waszego ostatniego spotkania, a ona to boleśnie odczuła.

– Nie chciałem się narzucać. Nie chciałem jej sobą zanudzać. Omówiliśmy wszystkie sprawy.

– Ona chciała z tobą porozmawiać. Udało się jej uwolnić od uczestników, miała ci coś ważnego do powiedzenia, a ty nie znalazłeś dla niej czasu właśnie w takiej chwili, bo akurat biegłeś na spotkanie z inną kobietą.

– Rajga opowiedziała mi wtedy historię życia Danili.

– A skąd wiesz, że usłyszałeś prawdę? Rajga chciała cię sobą zainteresować, odciągnąć od Danili. Może chodziło jej o to, byś właśnie wtedy z nią nie rozmawiał.

– Co chciała mi przekazać Danila?

– Nie wiem.

– Czy ona jest tutaj jeszcze?

– Myślę, że jej tu nie ma. Ja jej nie spotykam. Może teraz cię unika, bo uważa, że ty tego chcesz.

Ioanneos odnosił wrażenie, że Agata niekoniecznie mówi prawdę. Albo nie wie, albo dostała polecenie powiedzenia tego, a nie czego innego.

– Bardzo chciałbym porozmawiać z Danilą, wytłumaczyć się. Tak długo jej nie ma. Tęsknię za nią.

– Nie wiem, czy jeszcze w ogóle ją spotkasz.

– Zależy mi na niej. Agata, przecież ty to wiesz doskonale.

– Ja nie mam na to wpływu... – Wydeła wargi. – Ja ledwie ją znam. Też ją polubiłam.

– Powiedz jej przy okazji, jak bardzo mi jej brakuje.

– Nie będzie okazji.

## **56 O naturze Danili**

*(Ioanneos, Quent, Cavernata)*



Niebo się zamknęło.

Ioanneos pozostał sam wobec zwykłej, szarej codzienności ośrodka. Z perspektywy czasu obecność Danili wydawałaby się jedynie krótkim snem, marzeniem nie do zrealizowania, uniesieniem, wielodniowym świętem, gdyby nie szarpiąca tęsknota, jaką po sobie pozostawiła. Widział ją w postaciach przypadkowo spostrzeżonych, nieznanym kobiet, jej roześmiana twarz lub chłodne, badawcze, błękitne oczy wracały do niego w snach. Przez kontrast do jej nieobecnej postaci, wszystko, co pozostało, jawiło się szare, odrapane, wiekowe, pocerowane.

Poza tym było po staremu. Po krótkim czasie uniesienia wszystko wracało do stanu poprzedniego. Znow, po długiej przerwie, usłyszał znajome pukanie, aktualne hasło: raz, dwa, trzy, przerwa i jeden raz, a w drzwiach pojawili się Quent i Cavernata. Wrócili do rutynowych pomiarów upływu czasu, które nie przestawały ich fascynować. „Setki lat temu obaj zauważyli, że nie żyją, i ciągle muszą to sprawdzać”, pomyślał gorzko.

Aktywność Czuwających prawie ustała. Znowu trzeba było długo nasłuchiwać, zanim w ścianie dał się słyszeć odgłos przemieszczającego się strażnika. Może w ogóle ich ujawnienie się w tajemniczych przejściach wewnątrz ścian zostało wywołane przybyciem Danili do ośrodka?

– Zagrożenie dla nich minęło – podsumował Cavernata. – Danila jest już daleko. Czuwający uspokoili się.

– Czuli się zagrożeni?

– Na to wychodzi.

– Cóż mogłoby im zagrozić? Są wielokroć od nas potężniejsi. Jeden mnie zawadził skrzydłem, kiedy schodziłem po sznurze z prześcieradeł. Na pewno mu się nic nie stało. Pewnie nawet mnie nie zauważył.

– Nie wspomniałeś nam o tym... – burknął Cavernata.

– Uderzenie nie było zbyt mocne. Chyba musiałbym wpaść w panikę, by puścić sznur i przepaść w nicości na zawsze.

– Nie można przepaść w nicości. Wszystko dzieje się w jakimś celu – zauważył Quent.

Ioanneos spojrzał na niego poważnie. „W jakim celu ona do mnie przyszła? Dlaczego mój Anioł Stróż mnie tutaj odwiedziła?”, pomyślał. „Ona przecież wiedziała, jakim druzgocącym przeżyciem dla człowieka jest spotkanie anioła, a swojego anioła stróża w szczególności? Przecież wiedziała, że będę potem przez resztę czasu usychał z miłości do niej”.

– Co się tak zamyśliłeś? – spytał Quent.

Ioanneos nie odezwał się.

– Myślisz tylko o niej? – Cavernata spojrzał badawczo. – Ona odeszła, nie zobaczysz jej więcej w życiu.

– Ale przecież istnieje nadal.

– Oczywiście, że istnieje nadal. Może nawet przebywa niedaleko od ciebie. Tyle że ty już nigdy jej nie spotkasz.

– Gdzie niedaleko? – Ioanneos rozejrzał się odruchowo.

– Przestrzeni nie należy mierzyć tylko metrowką. Danila może być niedaleko, ale ty nigdy do tego miejsca nie dotrzesz.

– Kto tak powiedział?

– Dacortona.

– Dlaczego nosiła obrączkę na palcu lewej dłoni, skoro była moim aniołem, a nie kogo innego?

– Może Danila dostała za zadanie służbę dla tamtego faceta?

– Tak mogło się zdarzyć – powiedział Cavernata. – Ten ktoś miał odebrać należne mu powodzenie w życiu, a inaczej by się to nie zdarzyło, więc dostał na swojej drodze anioła. Losy aniołów są dla nas ukryte.

Kiedy indziej odwiedzili go wszyscy trzej, przybył też bowiem niewidziany od dawna Dacortona. Stary spojrzał przeciągle na Ioanneosa, ale się nie odezwał. Widzieli się po raz pierwszy od rozmowy na korytarzu. Ioanneos opowiedział mu drugą historię Danili, tę podaną przez Rajgę.

– Danila została okaleczona z innego powodu – przerwał Cavernata.

Ioanneos podniósł oczy.

– Mając tak duże piersi, musiała mieć w nich zmiany mastopatyczne. Badanie USG pokazało te niegroźne zwłóknienia jako śmiertelny nowotwór. Wiele kobiet okaleczono wskutek tego błędu.

– Ona żyła w takich czasach...? – spytał Ioanneos.

– Nie. Ona żyła później, kiedy już tego błędu nie robiono. Amputację piersi spowodował jej lekarz, który nie chciał, by nikt inny oprócz niego samego dotykał jej piersi, więc je obciął, a przynajmniej mocno oszpecił. Celowo wydał fałszywą diagnozę.

Ioanneos milczał, porażony nową informacją.

– Nie dało mu to szczęścia. Piersi kobiety należą do jej męża – kontynuował Cavernata. – Do nikogo innego, nawet nie do niej samej. Miejsce po amputowanej piersi też należy do męża kobiety.

– Ten lekarz też to wiedział, jednak ją okaleczył.

Ioanneosa przygniatało poczucie bezsilności.

– Mogło być jeszcze inaczej – rzucił Quent, a Ioanneos spojrzał na niego. – Nie, ja nie miałem snu informacyjnego o niej... – Quent machnął ręką. – Ale w wieku, w którym widzieliśmy Danilę, jest pierwsze maksimum zachorowań na raka piersi. Ona mogła stracić piersi z powodu nowotworu.

Wszyscy zamilkli, bo ze ściany doszedł chrobot. Za chwilę Czuwający był już bezpiecznie daleko.

– Czy z jej imienia da się wywieść, że Danila jest aniołem? – spytał wreszcie Ioanneos. Przecież to nie musiała być prawda. Może oni wszyscy się mylą? Może to była zwykła dziewczyna, zwykła alumena w ośrodku, i jak teraz rozsynchronizowały się ich rytmy dobowe, tak po jakimś czasie znowu się dostroją?

– „Ga” to końcówka imienia anioła – odezwał się Cavernata. – Nie mam wątpliwości. Aga, Rajga, Jizoga, Balduga, to one wszystkie.

– Aga to skrót jej imienia, Agata.

– Rzeczywiście, ona do nich niezbyt pasuje. Akurat ona pewno nie jest z Dołu, może jest jedną z Czuwających.

Quent rozejrzał się przerażony po pokoju. Zadziwiła go odwaga Cavernaty. Ioanneos też był zdziwiony. W ścianie mógł akurat skrywać się niewidzialny szpicel.

– Imię Danila brzmi inaczej.

– Nie znasz jej prawdziwego imienia... – Cavernata wyjął wargi.

– Nie sędzę, by skrywała swoje prawdziwe imię. Po co miałyby to robić? – Quent pokręcił głową.

– Dziwne to imię, Danila. Jakaś Serbka, może Włoszka, może Flamandka.

– A jak naprawdę powinno brzmieć?

– Daniela.

„Prawie jak Aniela”, pomyślał Ioanneos. „Nie skrywała prawdy. Ona faktycznie jest moim aniołem stróżem”.

– Daniela to jest imię anioła. Tu nie ma żadnej tajemnicy. Wszystko jest jasne.

– Jeden z Czuwających miał na imię Daniel – powiedział Dacortona.

– Czuwających trzeba się strzec.

– Każdy z nas się ich strzeże. To imię noszą nie tylko Czuwający. Inne anioły też.

– To imię oznacza, że lwy się jej nie imają, może wśród nich przebywać bez szkody – powiedział Dacortona. – Dlatego zstąpiła do ośrodka.

– Żaden lew się na nią nie rzuci?

– Chodzi tu raczej o lwy symboliczne. Ryczący lew jest odpowiednikiem płomieni. Płomieni zwyczajnych, takich z ogniska, ale też tych bardziej groźnych, tych z dołu.

– Płomienie się jej nie imają?

– Daniel, a więc i Daniela, może zstąpić w obszar, gdzie szczególne płomienie działają.

Ioanneos nie musiał pytać, o jaki rodzaj płomieni może chodzić. – Żle to świadczy o naszym ośrodku – powiedział.

– Dopiero teraz na to wpadłeś...? – Quent wybuchnął nerwowym śmiechem.

– Ee... nie przesadzaj – burknął Cavernata. – Chyba aż tak źle tu nie jest.

## 57 Le frecce

*(Quent, Dacortona, Ioanneos, Cavernata)*

Następne spotkanie spiskowców nastąpiło po dłuższej przerwie.

– Miałem dziwny sen – powiedział po przywitaniu Quent.

Spojrzenia pozostałej trójki zatrzymały się na nim. „Znowu przychodzą sny”, pomyślał Ioanneos. „Ośrodek znowu umacnia swoją władzę nad nami, zaczyna nas edukować. Anioł przemknął przez naszą rzeczywistość, jak promień słońca, i przepadł na zawsze, zostawiając znajomy szary półmrok, czarne chmury, strugi deszczu, a w moim sercu siad nie do zagojenia”.

– Sen przyszedł po bardzo długiej przerwie. – Quent sięgnął dłonią pod rękaw i metodycznie tarł skórę. Drapać się nie mógł, bo zaraz by się skrwawił.

„Znowu cierpi. Jego skóra znów przemienia się w różową bibułkę”.

– Nie spodziewałem się, że jeszcze przyjdzie do mnie taki sen.

– Nie drażnij swoich ran, tylko opowiadaj – powiedział Dacortona.

– To był straszny sen. Gardzę sobą po tym śnie.

– Aż tak? – Dacortona skrzywił się. – Nie należy utożsamiać się ze swoim snem. Patrzyłeś w tym śnie oczyma innego człowieka.

– Wydawało mi się, że to ja tam jestem, ja napinam łuk. Nie potrafię się uwolnić od tego poczucia.

– Mnie też kiedyś wydawało się, że jestem tobą. Czułem to samo, co ty teraz – powiedział Ioanneos.

– Czułeś co innego. Pamiętam zapach dymu. Paliło się kilka drewnianych zabudowań. Obok stał pał, chyba reszta żurawia studziennego, do którego przywiązaliśmy dziewczynę. Wyciągnęliśmy ją z tej chaty, chowała się w piwniczce pod ziemią. Młoda, schludna, bardzo urodziwa. Wywlekliśmy ją za jasne włosy. Broniła się desperacko, wierzgała, podrapała nas, więc Cavernata wpadł na pomysł, żeby się z nią zabawić inaczej.

– Kto? Ja?

– Tak. Ty też byłeś w moim śnie.

– Przywiązaliśmy ją do tego pała, zdarli odzienie, odłożyli spathy.

– Co to jest? – spytał Ioanneos.

– No spathy, *gladiata*. Tak mówiliśmy na nasze krótkie miecze.

– I co dalej?

– Odmierzaliśmy dwanaście kroków i zaczęliśmy do niej strzelać z łuków jak do tarczy. Ale nie tak, żeby od razu zabić, tylko to w ramię, to w udo, to w pierś, to w bok. Cavernata komenderował, w co mierzyć.

– Krzyczała z bólu?

– Tylko trochę. Jęczała tylko, jak strzała ją przesywała, ale zaraz zaczynała coś recytować albo śpiewać. Z twardych ludzi pochodziła. Oni tam lekko nie mają, to i śmierci bardzo się nie boją.

– Mówisz jak żołdak – zauważył Dacortona.

– Bo w tym śnie myślałem jak żołdak. Zabawa nie trwała długo, bo tak jakoś ją trafiliśmy, że się za szybko wykrwawiła i ścichła. Pewnie we wątrobę dostała. Cavernata powiedział, że

poszukamy następnej, i jednym strzałem skończył naszą zabawę. Trafił ją tuż nad lewą piersią, blisko mostka. Wtedy w jednej chwili zwiła bezwładnie, przyszpilona do słupa jak wielki motyl.

– Ach – westchnął Cavernata.

– Chyba szefowałeś nami w tym śnie. Wtedy powiedziałeś: „To dzielna panna była. Zostawimy w niej te strzały. Należy się jej, żeby ładnie stała, a nie leżała w błocie, bo taka czysta była”. Sarkaliśmy, bo dobra strzała kosztuje, ale zostawiliśmy pannę z tymi strzałami. Pewnie inni wzbogacili się naszym orężem.

Zapadło milczenie.

– Może to był kto inny, nie Cavernata? – spytał Dacortona.

– Twarz ta sama, głos ten sam, tyle że pancerz z drobnych płyt i płaszcz przerzucony przez ramię.

– Może we śnie ktoś inny tak się do niego upodobił? Codziennie spotykasz Cavernatę.

– Sny nigdy nie dają pewności – powiedział Quent. – Może ten nic nie zawierał. Ostatnio bardzo wiele się działo, a wcześniej takie sny już od nas odeszły. Myślę, że to tylko odzwierciedlenie naszych dziennych spraw, kłopotów. Kobieta zwała się pewnie Krystyna. Cavernata powiedział na nią pogardliwie *La Fredda*, bo tak mocno broniła niewinności, chociaż gdy sam pomyślę o tej dziewczynie, stale przypomina mi się Danila.

– Była podobna do Danili? – spytał Dacortona.

Quent pokręcił głową. – Bardzo podobna, ale imię miała inne, choć też jakoś tak dźwięczało... To na pewno nie Danila. Mój sen nic nie zawiera. Pamiętałem historię o świętej Krystynie, głęboko wryła mi się w pamięć. To na pewno tylko z tamtego powodu.

– Daj spokój. – Cavernata machnął ręką. – Te sny nas uczą. Teraz już wiem bez wątpienia. Za życia byłem niegodziwcem, kimś innym niż wy, kimś podłym. Ulgą było, że tego nie wiedziałem tak długo.

Dacortona spojrział na niego poważnie.

## **58 O naturze imienia fałszywego**

*(Ioanneos, Dacortona)*

Istnienie w ośrodku jest jak przekładanie podobnych do siebie kamyków. Wykłady dobrze znane – Ioanneos nie pamiętał, kiedy ostatni raz słyszał coś nowego. Ci sami ludzie, chociaż znikający na miesiące, a potem znów się pojawiający. Stałe niejasne przekonanie, że przebywa się w rzeczywistości złożonej z prawie rozłącznych fragmentów, pomiędzy którymi, poza zwykłą drogą, można się przemieszczać z naruszeniem praw fizyki. Rzeczywistość przytłaczała swoją niemal duszącą ciasnotą, małością. Tylko ten dziwny sposób przemieszczania się dawał jakieś poczucie przestrzeni, rozległości, chociaż towarzyszyło temu równie dziwne zagrożenie od nieznanymi istot.

„Dopiero spotkanie Danili uświadomiło mi małość, ograniczenie świata, w którym bytujemy”, pomyślał. „Może to był rzeczywisty powód jej przybycia? Dlaczego przybyła? Co Danila chciała przekazać? Dlaczego odziała się w ciało dziewczyny zamęczonej przez odrzuconych zalotników? A może w ciało tej drugiej, uwiedzionej przez nauczyciela-psychopatę? Dlaczego wybrała ciało takiej piękności? Gdyby przyszła pod inną postacią, może łatwiej poradziłbym sobie z miłością do niej?”

Ioanneos przesiadywał na wykładach z rozpiski. Na ogół z nikim nie rozmawiał. Nie chciał nawiązywać nowych znajomości, a znajome osoby jakby znów się przed nim ukryły.

Nieoczekiwanie na korytarzu spotkał Dacortone. Stary wyraźnie polował na niego. Od razu podszedł i zagadał.

– Sen Quenta był fałszywy – powiedział.

Korytarz wydawał się najbezpieczniejszym miejscem na ważne rozmowy.

– Jakżeż? – uniósł się Ioanneos.

– W jego śnie była inna święta. – Dacortona spojrzął odruchowo w stronę ściany. – Krystyna faktycznie zginęła od strzał, ale w amfiteatrze miejskim. To był wyrok wydany przez jej własnego ojca, nie szaleństwo wizygockich żołdaków, którzy zakatowali dziewczynę broniącą się przed gwałtem.

– Sen informacyjny może być fałszywy?

– Oczywiście. Nie ma pewności, który z nich mówi prawdę, a który wprowadza w błąd.

– Dlaczego?

– Gdybym to wiedział... – Dacortona przetarł dłonią podbródek. – Chodźmy na wyższe piętro. Łatwiej będzie rozmawiać. Uczestnicy zauważyli, że interesują cię wykłady o Sądach Ostatecznych, może pomyślą, że właśnie o Sądach rozmawiamy.

Na korytarzu wyżej było prawie pusto. Jedynie para aktorów ćwiczyła scenę polegającą na tym, że jeden stał na rękach, drugi utrzymywał jego nogi w równowadze, jednocześnie lekko smagając mu stopy miotełką.

– Niech zgadnę – powiedział Ioanneos. – Trenują do trzeciej czeluści, *le balze*.

Dacortona uśmiechnął się do niego.

– *Le balze* to klif, nie czeluść. Jego zbocza wyżej są żółte, a niżej stają się białe. Dlatego na klatce schodowej ściany są pomalowane ochrą, a niżej poszarzała białą lamperią. Klifem w dół zstępujesz do czeluści, *la bolge*. Klify oddzielają kolejne kręgi czeluści. Faktycznie, ostatnio to ulubiona czeluść. Pewnie dla tych, co zsyłają sfalszowane sny – cicho prychnął.

– Trzecia czeluść, trzecia czeluść – faktycznie zaraz usłyszeli, jak teatralnym szeptem recytował aktor.

– Sen Quenta może być fałszywy całkowicie, może też częściowo.

– Ty namalowałeś świętą Krystynę ze strzałą wbity tuż ponad lewą pierś. Widziałem ten obraz w moim śnie.

– Quent rzeczywiście mógł przyśnić przetworzony obraz, nie prawdziwe męczeństwo świętej. A może częścią prawdziwą snu jest powiązanie Danili z tamtą świętą...?

– Może Quent coś poprzekręcał albo zmyślił?

– Raczej nie. On jest prawdomówny. Sny informacyjne tak głęboko wbijają się w pamięć, że nie sposób czegoś przekręcić. Sam zresztą wiesz.

Chwilę szli w milczeniu.

– Z jednej strony przygnębia jednostajność naszego bytowania, a z drugiej przeraża jego tajemnicze skomplikowanie. Przeplatające się stale kłamstwo i prawda.

– Wcześniej też tak było. Kłamstwo ciągle mieszało się z prawdą – odparł Dacortona. – Może tylko nie było to tak dobrze widoczne w jednorodnej rzeczywistości.

– Jesteśmy nawet zwodzeni swoimi imionami. Każdy ma dwa. Prawdziwe i fałszywe. Dlaczego tak jest?

– Nikt nie wie. Czasem myślę, że imię fałszywe też niesie jakąś informację o posiadaczu. W takim sensie nie byłoby imieniem całkowicie fałszywym.

– Danila też ma imię fałszywe?

Dacortona spojrzał badawczo na Vittorina.

– Myślałem o tym. Jedno mi się nasuwa.



– Cristina?

– Śniła ci się właśnie jako ta święta.

– Podobieństwo fizyczne?

– Nie tak. Szukaj inaczej. Pasja tej świętej składa się z wielu obrazów. Pierwszy to ścięcie włosów, oszpeccenie...

– Taak...

– Nie pamiętam chronologicznie. – Dacortona przetarł czoło. – Gotowanie w kotle, a ona zimna pozostała. To *La caldaia*. Wrzucono ją do jeziora z kamieniem u szyi, ale nie utonęła. Język jej odcięto, aby nie mogła mówić, *Il taglio della lingua*. Danilę od ciebie oddzielono, by nie mogła powiedzieć ci najważniejszego.

Ioanneos milczał.

– Następnym jednak nie potrafię przypisać. To *Il serpenti*, węże. Nie pokonały jej jadowite węże. Wreszcie łamali ją na kole, *La ruota*.

– Co jeszcze? Przecież to imię fałszywe, więc nie wszystko musi się zgadzać.

– Zstąpiła do otchłani, uciszając demony. Nawet one nie mogły oprzeć się jej urokowi i na jakiś czas zaprzestały dręczenia potępionych.

Chwilę milczeli. Nie było co mówić.

– Co jeszcze?

– Została zabita strzałami, *Le frecce*.

– Jak we śnie Quenta?

Znowu obaj zamilkli.

– A ty sam czegoś potrzebujesz?

– Nie potrafię się odnaleźć po jej zniknięciu.

– Jeśli jest twoim aniołem stróżem, to nawet gdy już nigdy jej nie zobaczysz, ona zawsze będzie w pobliżu.

– Mistrzu, chciałbym więcej. Chciałbym z nią chociaż rozmawiać, jeśli widzieć jej nie mogę.

– W sercu układaj słowa dla niej. Potem wyobrażaj sobie te słowa napisane w powietrzu.

Może pojawi się odpowiedź.

– Jakżeż?

– Kiedyś Belszarusur syn Nabonida nie prosił o odpowiedź, a trzy słowa dla niego same ukazały się w powietrzu. Może takim sposobem Danila przekaże ci odpowiedź na twój list? Słowa napisane ręką anioła mogą się ukazać.

## **59    *List pisany myślą w powietrzu***

*(Ioanneos)*

Co za przedziwna rada: najpierw układać słowa w myśli, a potem wyobrażać sobie te same słowa napisane w powietrzu. Ale jak? Czy litery mają być duże, świecące jak neon? Jaka czcionka? „A właściwie jakie rodzaje czcionki jeszcze pamiętam?” Może pójść do biblioteki, żeby obejrzeć formę liter, jakimi drukowano książki? Wydawało się, że litery we wszystkich książkach wyglądają jednakowo. Zaintrygowany uwagą mistrza Ioanneos myślał nad tym coraz więcej.

„Będzie widział słowa napisane przez nią dla niego. Wszystko to jednak dzieć się będzie w jego wyobraźni, przed oczyma duszy”, Ioanneos nie pamiętał, gdzie przeczytał te słowa. Nie ma przecież książki opisującej kontakty człowieka ze swoim aniołem stróżem. Może to było w jakimś śnie?

Kiedyś przed zaśnięciem wreszcie spróbował wysłać list ułożony z marzeń.

„Jak formułować myśli? Co jest jeszcze treścią listu, a co nie jest? Kiedy mam kartkę przed sobą, wiem, co napisałem. Nieważne myśli same odchodzą”, zastanawiał się.

To był dobry pomysł. Jeszcze nie wyłączyli światła. Mógł zapalić lampkę na szafce przy łóżku.

Wstał z łóżka, usiadł i zaczął notować.

*Danila, nie powiedziałem Ci nawet części z tego, co chciałbym, a Ty zniknęłaś.*

Przyjrzał się tym słowom. Czy tak wolno mu do niej napisać, czy może jest to nadużycie? Czy wolno do anioła mieć pretensje? Nawet tak delikatne. Czy to jej nie zrani? Sprawienie jej przykrości było ostatnią rzeczą, jakiej by chciał.

*Nie spotkamy się już nigdy, chociaż czuję, że jesteś niedaleko ode mnie. Może czasem pomyślisz o mnie.*

To ostatnie zdanie było zupełnie nietrafione, złe. Przecież jego anioł stróż myśli o nim stale, a on od razu zarzucił ukochanej niedbalstwo. Skreślił ten fragment.

Ten wcześniej napisany też przestał mu się podobać. Przecież ona stale uczestniczy w jego myślach, więc domyśla się, o czym on chciałby ją poinformować. Nie to tutaj najważniejsze. Anioł stróż kieruje naszą ręką, chroni nas przed następstwami naszych własnych czynów i decyzji, więc czasem nawet lepiej od nas wie, co akurat myślimy. Nigdy nie powiedział Danili, jak bardzo się zakochał, ale przecież wyznawać jej tego nie trzeba, bo jego anioł stróż i to wie. Danila siedzi w jego duszy, kiedy tylko tego chce czy kiedy on tego potrzebuje.

Właściwie jej kontakt z nim jest pełny. Jednak to kontakt tylko w jedną stronę, od anioła do człowieka. List jest więc pisany znacznie bardziej dla Ioanneosa niż dla Danili.

*Napisz mi o sobie. Co teraz robisz, gdzie przebywasz, co myślisz.*

Te zdania były lepsze. Najważniejsza jest przecież jej odpowiedź, sam fakt, że odpisała. Danila nie napisze przecież, czy jest nieszczęsną dziewczyną, która chciała dzięki swojej pracy zrobić karierę życiową, a spotkało ją upokorzenie i śmierć samobójcza. Nie napisze, czy przez całe życie z powodu swojej młodzieńczej miłości cierpiała pod jarzmem psychopaty. Czy rzeczywiście sama okaleczyła swoje piękne ciało? Cokolwiek Danila do niego napisze, będzie balsamem na jego poranione serce.

Jeszcze trzeba podpisać. *Ioanneos*. Nie! Przecież ona nigdy nie zwróciła się do niego tym imieniem. Przekreślił to słowo. *Vittorino* – napisał w prawym dolnym rogu.

Kilkakrotnie przeczytał kartkę. Zdań nie było wiele, bo wiele ich być przecież nie musiało. To powinny być właściwe słowa.

Zgasił światło, podłożył ręce pod głowę i powtarzał w duchu to, co ułożył.

„Danila” – to słowo pojawiło się pierwsze przed zamkniętymi powiekami. To promieniało błękitem jej oczu, to znowu bladą barwą jasnej cery, to ciemniało jak szaroblond włosy, to znowu chwilami pojawiał się na tych literach czarno-szaro-biały wzór nitek z jej sweterka. Sweterek był niebezpiecznym skojarzeniem, bo zaraz przywołał wspomnienie piersi Danili i słowa listu uciekły.

„Nie powiedziałem Ci nawet części z tego, co chciałbym, a Ty zniknęłaś”. Słowo „Ty” jarzyło się jak czerwony neon przed oczyma. „To najpiękniejsze słowo zaraz po słowie Danila”,

pomyślał. „Dobrze, że wolno mi było mówić Ty, a nie Pani, chociaż Pani powiedziane o Tobie to byłoby trzecie najpiękniejsze słowo”. Niesforne myśli uciekały w różne strony. Trudno było je zdyscyplinować.

Długo powtarzał treść listu. Ile z tych słów udało mu się ujrzeć w powietrzu na podobieństwo napisu ułożonego z neonów, tego nie wiedział. Sen przyszedł niepostrzeżenie, prawie zdradziecko.

## **60 La ruota dei serpenti**

*(Vittorino, Brenda, Danila, Balduga)*

Ioanneos postanowił zmienić imię. Będzie o sobie myślał odtąd Vittorino, skoro ona tak na niego mówiła.

Na środku korytarza wystawiono miękko wyściełane fotele w kształcie łupin z owoców. Kiedy usiadło się w takim, człowiek miękko zapadał się, jakby leżał w hamaku, i zaraz morzyła go senność. Brenda szła korytarzem w ceglastym sweterku. W uszach miała swoje szmaragdowe wisiorki w kształcie wisienek. Niosła w ręku teczkę, która pulsowała wewnętrznym światłem. Nie miał wątpliwości, że to wiadomość od Danili, odpowiedź na jego list ułożony w powietrzu z marzeń. Brenda szła wężykiem wokół kolejnych foteli. Prawdopodobnie roznosiła wszystkim pocztę od ich aniołów stróżów. Wręczała im pachnące, kolorowe koperty. Vittorino obawiał się, że przypadkiem jego ominie, chociaż niosła już tylko tę jedną świetlistą stronicę.

Na szarobrązowej kartce czerpanego papieru, którą przyjemnie trzymało się w dłoni, płonęły litery ułożone ze światła. „Więc anioły tak piszą”, pomyślał Vittorino.

*Vittorino*, przeczytał, a ten wyraz przypomniawszy mu, jak ona to kiedyś powiedziała. Niemal ujrzał twarz Danili, jej śnieżnobiałe równe zęby i czerwone wargi. „Ona przecież nie używa szminki, a jej wargi są w tak intensywnym kolorze”.

*Jest mi trudno, tu, gdzie teraz jestem. Wyznaczono mi dziwne cele, dziwne zadania, nie wiem, czy im podołam, bo ich nie rozumiem, pisała Danila. To niby daleko od ciebie, o tysiące kilometrów, ale kiedy chcę, mogę ujrzeć twoją twarz, chociaż to trudne. Krótki czas w ośrodku jawi mi się jako chwila spokoju, uciszenia. Zbyt mało rozmawialiśmy.*

„Starałem się do ciebie dostać, przebić przez kordon uczestników”, pomyślał. „Jak tylko się tego nauczyłem, ty odeszłaś”.

*Tutaj też pada, stale uderzają paroksyzmy szarego dżdżu, pisała. Czuje się wodę, pył wodny napiera zewsząd, bo to miasto z trzech stron otoczone jest morzem, na którym nie cichnie sztorm.*

Teraz kartka wydawała się nasiąknięta drobinkami słonej wody. „*Il lago?*”, pomyślał.

*Mogę chodzić wzdłuż nabrzeża, ale trzeba uważać, bo z morza wylaniają się węże, pisała dalej Danila. Są one nadzwyczaj długie i wraz z falami na brzeg wychylają się ich głowy, które zaraz się chowają z powrotem do morza, kiedy fala się cofa.*

„Miasto nad morzem to nie jest rzeczywistość duchowa”, zastanowił się Vittorino. „Mój anioł nadal przebywa w świecie materialnym”.

*Część z tych węży kiedyś opuściła fale i obecnie tworzą one regularny krąg wokół miasta. Co jakiś czas ruszają do biegu. Wtedy nie można się do nich zbliżać, bo mogą skrzywdzić.*

„Ani koło ciebie nie skrzywdzi, ani one”, pomyślał. „Krystyny nie skrzywdziły”, czytał, coraz bardziej zafascynowany tamtym miejscem.

*Niektórzy mówią, że niedaleko miasta w stojącej wodzie bagniska mieszkają ludzie, którzy obywają się bez kości. Moim zadaniem tutaj jest opanować jednego z węży podążających w wielkim kręgu. Jest najgorszy z nich. Nazywa się Python. Boję się go. Nie umiem walczyć z węzami. Nie jestem dość silna. Myśl o mnie często, Vittorino.*

„...bo ja stale myślę o tobie, jako twój anioł stróż”, dopowiedział sobie sam.

Kartka niemal płonęła. Z każdej litery wydobywało się białe światło. Nie pamiętał nawet, że takie światło może istnieć: tak jasne, tak czyste.

„Danila, ty pokonasz Pythona”, pomyślał.

W końcu korytarza zaczęła się jakaś szamotanina, kobiece krzyki. To Balduga popychała obiema rękami Brendę. Pchała ją przed sobą krok za krokiem.

– Jak mogłaś mu to dać?! – pokrzykiwała Balduga.

– Nie mogłam tego nie zrobić.

– Widłami cię dźgać, a nie tylko popychać, cholero! Czterozębnyimi widłami!

Brenda głośno pojękiwała, kiedy Balduga uderzała ją obiema dłońmi.

– Sama się w nim podkochujesz, poszłabyś za nim, gdyby tylko palcem skinął! Nie znalazłabyś słowa sprzeciwu!

– Ach! – jęknęła boleśnie uderzona Brenda.

– A jeszcze dajesz mu list od rywalki.

– Nie mogłabym zrobić inaczej.

– Ty! – syknęła wściekle Balduga. – Zabieram cię ze sobą! Nogi do góry, raz! – sama sobie wydała komendę.

Za chwilę już niosła Brendę na plecach, trzymając ją za kostki. Dziewczyna obiema dłońmi przytrzymała uszy, żeby nie pogubić swoich kolczyków. Innych przecież nie miała.

Vittorino pomyślał, że Brenda nie do końca jest w szponach uczestniczki Baldugi, może nie zostanie porwana przez nią za nogi na Sądzie, skoro teraz tak często jest przez nią karana.

Krzyki Brendy powoli ucichły, Balduga gdzieś zniknęła, Vittorino patrzył na szary sufit w swoim pokoju. Sen odszedł, chociaż słowa listu od Danili pozostały w pamięci.

„Wyśniłem sobie jej odpowiedź”, pomyślał. „Bo tak bardzo chciałem, żeby mi odpowiedziała. Litery w powietrzu się nie ukazały. Dacortona nie miał racji. Danila mi nie odpowiedziała”. Ta myśl jednak nie uspokoiła. Chciał więcej śnić o liście od Danili, ale sen nie przychodził.

Nawet postanowienie, by odtąd posługiwać się swoim prawdziwym imieniem, zaczęło słabnąć. Wszyscy przecież mówili na niego inaczej. Trzeba się więc każdemu tłumaczyć ze zmiany? Wszystkich powiadamiać?

## **61 Górna droga przez łazienkę**

*(Vittorino, Eleonora)*

Leżał i leżał, od prześcieradeł robiło się za gorąco, a budzik uparcie milczał. Była jeszcze prawie godzina do pobudki. Wreszcie zebrał się, wstał i od razu poszedł do łazienki. Dawniej przecież stosunkowo często zdarzało się, że zniknęła. Skoro wszystko wraca do stanu sprzed otwarcia się Nieba, ożywienie wśród Czuwających dawno minęło, więc może znowu ujawni się korytarz wiodący między nieistniejącymi łazienkami.

W pokoju panował prawie mrok, jednak za drzwiami łazienki ziała pełna czerń. Vittorino doskonale znał ten mrok, gęsty, o konsystencji niemal kremu. Sięgnął przed siebie. Natrafił na zwisający sznur z węzłami. Wątpliwości nie było: nie tylko on odkrył ten sposób wędrowania.

Takiej okazji nie można było zmarnować. Nie obawiał się nawet zderzenia z Czuwającym. Szybko założył dzienny strój, nie zapomniał klucza.

Sznur zwisał nieobciążony, więc tajemniczy wędrowiec już go odwiedził i teraz wracał do siebie. Vittorino bez wahania schwycił za prześcieradło i oparł nogi na węzle. Węzły rozmieszczono gęściej, niż on sam zrobił w swojej drabince.

W pustce nie ważyło się wiele i wspinanie się po prześcieradłach przychodziło bez większego trudu, więc za gęste stopnie nie przeszkadzały. Krok za krokiem wznosił się w nieznane. Droga liczona po drabinie nie powinna być długa. Mieszkaniec pokoju dysponował co najwyżej trzema prześcieradłami. Tymczasem nadal było całkiem ciemno, cel wędrówki niewidoczny.

Wreszcie w górze zarysował się szary prostokąt drzwi do pokoju. Jakżeż on mały i jak odległy!

Vittorino szedł i szedł, a jaśniejszy obszar przybliżał się ledwie zauważalnie. „Droga w górę jest dodatkowo utrudniana?”, pomyślał.

Nagle poczuł na twarzy powiew i usłyszał szum skrzydeł. W pobliżu przemknął jakiś niewidoczny kształt. Vittorino dostrzegł tylko koniec błoniastego skrzydła na tle jaśniejszego prostokąta w górze. „Trafi cię taki gość, to przepadniesz”, włosy podniosły się na głowie. Wrócił zracjonalizowany wcześniej lęk.

Przyśpieszył wspinaczkę. Wreszcie osiągnął jaśniejszy prostokąt. Sznur z prześcieradeł przywiązany był do klamki otwartych drzwi. Wisząc całym ciężarem ciała, Vittorino nie zdołał pociągnąć drzwi do łazienki, by te się zamknęły, tak słabo działały normalne prawa fizyki w czarnej pustce. Schwycił za framugę i wszedł do pokoju.

Rozejrzał się. Łóżko było puste. Wystarczyło teraz zaczekać na nocnego wędrowca.

Pokój sprawiał wrażenie bardzo zaniedbanego. Wydawało się, że nie ma tu podłogi, a tylko równo ubita ziemia. Łóżko to rama drewniana, otaczająca ubitą ziemię wyłożoną drobnymi okrągłymi kamykami. Tak być w ośrodku nie mogło. Czyżby trafił do jakiejś innej rzeczywistości?

Pod ścianą stało drugie łóżko, w którym ktoś spał. Leżąca wyglądała bardzo źle, wychudła, jakby wysuszona, blada, jakby pozbawiona barw. Przypominała mumię. Tylko biodra miała przewiązane zetłaną szmatą. Podobnie wszyscy odziewali się tutaj do snu, bo wycierane ruchami

śpiącego podżamy dawno rozsypały się w proch. Wraz ze zmianami pościeli porządkowe dostarczały niewielki ręcznik do przewiązywania bioder do snu.

Leżąca charakterystycznie przechylała głowę ku lewemu ramieniu, chustka zsunęła się z niej, prawie całkiem zasłaniając twarz. Było ciemno, ale domyślił się, kogo ma przed sobą. Pochylił się nad nią. Przysiadł na kanapie. Wydawało się, że to tylko gołe deski bez obicia.

Z każdą chwilą otoczenie wyglądało coraz normalniej. Jakby przyniósł ze sobą do tego miejsca nieco innej rzeczywistości, tej właściwej dla mroku nieistniejących łazienek, ale teraz jej resztki gdzieś się ulatniały. Pokój coraz bardziej przypominał inne pokoje w ośrodku. Łóżko było już ramą z surowych desek. Cera roznegliżowanej leżącej była coraz gładsza, a ciało piękniejsze. Zniknęły zmarszczki wysuszonej skóry. Tylko brakowało wszystkich prześcieradeł, które, powiązane, zwiślały gdzieś w czarny niebyt.





Wkrótce usłyszał, jak ktoś przekręca klucz w zamku. Schował się w cieniu kąta pokoju.

Ktoś wszedł i zamknął drzwi za sobą. Szczupła, drobna postać kobieca. Vittorino poznał ją od razu.

– Szszt! – syknął. – Eleonora! To ja, Vittorino!

Kobieta gwałtownie odwróciła się.

– Ach, to ty!

– Wpadłem z rewizytą.

– Widziałeś mnie u siebie?

– Nie. Obudziłem się, jak już poszłaś, i przypadkiem znalazłem drabinę w łazience.

– Mów ciszej, bo się Izabela obudzi. Ona o niczym nie wie.

– Nie zauważyła, jak wyciągałaś spod niej prześcieradło...?

– Miała wtedy atak. Podwiązałam jej szczękę, żeby sobie języka nie odgryzła. – Eleonora podeszła do leżącej i zdjęła płótno z jej głowy. Rozwiązała pasek tkaniny kneblujący usta Izabeli i wyjęła płaski kawałeczek drewna. Śpiąca odetchnęła z ulgą.

– Wiele razy już tak wędrowałaś?

– Kilka razy.

– Dlaczego mnie ani razu nie obudziłaś? Nie wiedziałem, że macie pokój dokładnie nad moim.

– Nie mamy pokoju nad twoim. Dzieli nas kilka kondygnacji. Pierwszy raz do ciebie trafiłam. Droga przez nieistniejącą łazienkę w różne dni wiedzie do różnych pokoi.

Nie odezwał się.

– Szybko wracaj do siebie, bo twój budzik już dzwonił. U mnie jest jeszcze środek nocy.

„Więc i o tym wie”.

– Pośpiesz się – pogoniła go. – Pogadamy przy okazji.

– Wasz pokój wyglądał przerażająco, kiedy tutaj wszedłem. Przypominał raczej jakiś podziemny korytarz czy katakumbę. Dopiero potem wydał mi się bardziej normalny.

– Może on tak wygląda naprawdę? Ja też czasem odnoszę tutaj dziwne wrażenie. Naprawdę pięknie wygląda we śnie, na jawie znacznie gorzej. Gdy zbudzę się w środku nocy, czasem pokój przypomina koszmar senny. Nie ma podłogi, tylko ubita ziemia. Nie ma łóżek, tylko kilka drewnianych skrzyń, może trumien przykrytych szybami. Obok leży Izabela, ale też Prosper i kilka nieznanymi osób. Wszyscy dziwni, wysuszeni, bezbarwni, z popękana skórą.

– W takie noce nie ma łazienki?

– Na ogół tak. Raz widziałam swoją twarz w lustrze. Drobne pęknięcia skóry na powiekach, które leczę kremem, to wtedy były przerażające, czarne dziury. Ale może to tylko koszmarny sen...

Izabela jęknęła przez sen i poruszyła się.

– Idź już.

– Przykryj ją prześcieradłem, żeby nie marzła. Pogadamy później.

Vittorino wymknął się na korytarz, a Eleonora zamknęła za nim drzwi.

## **62    *Rozmowa z Eleonorą***

*(Vittorino, Eleonora)*

Vittorino co noc sprawdzał, czy przypadkiem łazienka nie znikła. Zwykle długo nie mógł zasnąć, a przed oczy duszy powracał jasny obraz Danili. Gdy starał się dokładniej wpatrzeć w jej oczy, przyjrzeć się twarzy, sylwetce, cały obraz zniknął, a on odbierał to znikanie jako znak, że jej już nigdy nie zobaczy. Nie uwierzył w to, że sen był odpowiedzią na jego list wypisany marzeniami w powietrzu. Jakże mógłby uwierzyć, że ona sama odpowiedziała mu spoza świata, spoza ośrodka? Drugi raz nie pozwolił sobie na taką naiwność i nie spróbował ponownie wysłać do Danili listu napisanego literami wyobraźni.

Ileż można bezsennie leżeć na wznak z ramionami podłożonymi pod głowę i zamkniętymi oczyma albo gapiąc się w mroczny sufit? Po dwóch godzinach leżenia bez nadziei na zaśnięcie wstawał, aby się nieco poruszać. Oczywiście podchodził do łazienki i sprawdzał, czy ta nie znikła.

Czasami wstawał nawet dwa razy, zanim wreszcie sen uciszył jego myśli. Od czasu ostatniej wędrówki ani razu pustka nie zastąpiła pomieszczenia łazienki. Aby ułatwić pomiar, myjąc się przed snem, kiedy jeszcze nie wyłączyli prądu, zostawiał na środku posadzki mały taborecik, akurat w takim miejscu, żeby można go było dosięgnąć ramieniem, stojąc w drzwiach. Gdyby taborecika nie było, miałby pewność, że wewnątrz łazienki naprawdę znikło.

Po długiej przerwie znowu spotkał na wykładzie Eleonorę. Może go unikała, a może przyczyną było tylko rozszynchronizowanie się ich cykliów dziennych.

Usiedli na korytarzu przy fotelach rozdzielonych popielniczką. Chwilę rozmawiali o bieżących sprawach, wreszcie zapytał:

– Ile razy schodziłaś ze swojego pokoju do mnie?

– Kilka – Eleonora mówiła cichym, matowym głosem. W sam raz, żeby docierał tylko do niego, a nie do Czuwających patrolujących wnętrza ścian ośrodka. – Czasem trafiałam do twojego pokoju, ale na ogół do innych.

– Od tamtego dnia przejście przez nicość się nie otworzyło ani razu.

– Czuwający je otwierają z sobie wiadomych powodów. Widocznie wtedy chcą, abyśmy z niego korzystali.

– Zawsze dawali mi odczuć swoją obecność. Raz jeden mnie zawadził skrzydłem.

– Tak też może być. Mogą to otwierać dla kogoś, kogo chcą porwać ze sobą.

Zadrżał. Pokiwał głową. – Ale to cię nie powstrzymało przed wędrówką.

– Ciebie też nie.

– Mogłaś mnie obudzić.

Zrobiła zdziwioną minę.

– I tak się dowiedziałem o twoich wyprawach.

– Nie dzięki mnie. Pewnych rzeczy nie należy mówić.

– Na przykład czego...?

– Sypiasz prawie nago. Należy zawijać do snu biodra w ten ręczniczek, a ty sypiasz tylko w przepasce... – Roześmiała się.

– Slipy się rozsypują. Na dzień nie starczą.

– Dlaczego przedstawiłeś się takim dziwnym imieniem?

– Vittorino. Myślę, że to jest moje prawdziwe imię.

– Mnie wszyscy najpierw nazywają Eleonora Orsini. Muszę długo przekonywać, że nie byłam pasierbicą Vicino Orsiniego.

– Ja tak cię nie określiłem.

– Ty byłeś wyjątkiem. Od razu zwróciłam na ciebie uwagę.

Rozmowa zmieniła temat. Po chwili zorientował się, że Eleonora zgrabnie uniknęła odpowiedzi. Ona była dla niego zagadką. Co jakiś czas zaskakiwała go swoją wiedzą. Czyżby istniało więcej grup spiskowców w ośrodku? Osób, które badają i próbują zrozumieć sytuację, w której się znaleźli.

– Izabela jest wtajemniczona w twoje wędrówki? – Nie dał Eleonorze uciec od ważnych tematów.

– Izabela to pierwsza odkryła. Jednak ona sama nie da rady wędrować.

– Przez niedowład lewej połowy ciała?

– Też dlatego.

– A co jeszcze?

– Ona zawsze dostaje ataku choroby lunatycznej, kiedy znika łazienka.

– Wtedy wystarczy wsadzić jej kołek między zęby i w drogę.

– Przestań. To w stylu Prospera.

– On też wie?

– Nie powiemy mu o tym. On zaraz by rozgadał, a to nie jest wiedza dla wszystkich.

Vittorino nie odezwał się. „Może wtajemniczyć Eleonorę w nasz spisek?”, pomyślał.

Eleonora spojrzała na niego badawczo. – Ty nie mów mi przypadkiem, kto jeszcze zna tajemnicę – uprzedziła jego słowa.

– Dlaczego nie...?

– Ci, którzy wiedzą, za szybko znikają z ośrodka. Mniej wiem, mniejszej liczbie osób zaszkożę.

Vittorino nie odezwał się.

## **63    *Wątpliwości spiskowców***

*(Quent, Cavernata, Vittorino, Dacortona)*

Wkrótce po skończonych zajęciach rozległo się znajome stukanie do drzwi Vittorina. Spiskowcy przybyli na spotkanie. Tajemniczym zrządzeniem losu miary upływu czasu dla wszystkich czterech znowu się zsynchronizowały. Jak zwykle pierwszy zjawił się Cavernata, po nim przyszedł Quent, a wkrótce po nich Dacortona. Jak oni się umawiali, że zawsze najpierw pojawiali się młodszy? Z pewnością nie przychodzili razem, żeby nie budzić podejrzeń snujących się po korytarzach uczestników.

Vittorino wcześniej zastanawiał się, czy opowiedzieć kolegom o swojej wyprawie po sznurze z prześcieradeł Eleonory i Izabeli. Eleonora wprawdzie nie poprosiła o dyskrecję, ale wyraźnie

dała do zrozumienia, że wiadomości o tym nie należy szerzyć. Dacortonie może by powiedział, ale pozostali spiskowcy wydawali mu się nie dość godni zaufania. Quent był impulsywny, a Cavernata zbyt dziwaczny, by powierzać im cudze tajemnice.

Vittorino spodziewał się, że znowu będą rozmawiać o nim i o Danili, jednak pierwszy odezwał się Quent.

– Kimże jestem? – powiedział.

Wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni.

– Imię usłyszane, wspomnienia wyuczone. To wszystko.

– Przyśniłeś mi się – zauważył Vittorino.

– Właśnie. Tylko tyle. Ja sam nic nie pamiętam.

– Chciałbyś więcej? – Cavernata uniósł brwi.

– Tak. Chciałbym położyć zielony laserunek pod wizerunek diabła.

Wszyscy odruchowo rozejrzeli się po ścianach. Ostatniego słowa nie powinno się za często wypowiadać. Czuwających nie było słyhać, ale nigdy przecież nie ma pewności, czy jakiś się nie zaczął i nie nasłuchuje.

– Tu nie ma farb, nie ma blejtramów ani drewnianych paneli. Jak sprawdzę, czy jestem tym, za kogo mnie uważacie?

– Danila długopisem rysowała przeźrocza z wykładu Soyardarghla, martwe ćmy. Pięknie jej wychodziły. Ty też spróbuj rysunku linearnego. Płaszczyzny nie położysz, ale oddaj ją szrafowaniem – odezwał się Vittorino.

Czuł, że innych męczyły podobne wątpliwości, chociaż Cavernata pozbyłby się chętnie swojej przeszłości, a on sam nie wiedział o sobie prawie nic.

– Quent jest starszy niż ty, mistrzu – Vittorino zmienił temat. – Więc dlaczego on wygląda młodo, a ty...

– Staro? – Dacortona przejechał dłonią po włosach i pokiwał głową.

– Wiek alumenów jest dla nas zagadką, którą nie do końca zgłębiliśmy. Może każdy z nas niesie znak wieku, w którym umarł? Nie mamy pewności przypisania osób do snów informacyjnych. Wydaje ci się, że Quent to Quinten van den Cuyperen Syn, a Snijders mówił na swoim wykładzie o jego pracach wykonanych w bardzo sędziwym wieku. Czy masz jednak pewność, że nikt inny z van den Cuyperenów nie malował demonów? Któryś stryj czy siostrzeniec...? Quent przecież nic nie pamięta o sobie.

– Myślę, że byłem we śnie właśnie nim, chociaż niczego nie pamiętałem o jego rodzinie, tylko o ojcu.

– Nie mamy pewności, czy każdy przybywa tutaj natychmiast – powiedział Quent. – Może mistrz zdążył się zestarzeć w innym miejscu pobytu, zanim trafił do ośrodka?

– Jakimś zegarem jest odzież – wtrącił Lucas. – Jednak i tutaj należy raczej patrzeć na nasycenie barw niż na fason. Wszyscy jesteśmy tu odziani w podobnym stylu i każdemu wydaje się, że odziewamy się jak w jego czasach.

– Jakżeż? – zdziwił się Vittorino.

– Czy zauważyłeś coś niezwykłego w odzieniu któregoś z alumenów?

Odpowiedź była oczywista.

– A przecież pochodzimy z różnych epok. Różnych krajów i okolic. W różnych czasach ludzie odziewali się w zupełnie inny sposób, inne barwy, inna moda, bo ja wiem...

– We śnie byliśmy w strojach ze stosownej epoki – powiedział Vittorino. – Pamiętam krój tych strojów.

– W moim śnie nie nosiliśmy strojów legionowych, tylko jakieś brunatne płaszcze i skórzane kubraki – powiedział Quent.

Dacortona i Vittorino wymienili spojrzenia. Nie można było rozmawiać o wszystkim. Vittorino nie mógł nawiązać do spraw, o których mówili w cztery oczy. Miał nadzieję, że wkrótce spotkają się sami.

Wiele ich ustaleń było wątpliwych. Vittorino gubił się w codziennej rzeczywistości. A jeśli sen był prawdziwą odpowiedzią Danili? Wysiłkiem wyobraźni rzeczywiście zdołał ujrzeć pod zamkniętymi powiekami litera po literze te słowa, a w odpowiedzi przyszedł dziwny sen o liście napisanym blaskiem. List o mieście nad szarym morzem i kręgu z biegnących węży. Przecież on też układał dla niej litery ze światła. Może więc to jednak były jej słowa? Czy jeszcze raz spróbować tej metody?

Leżąc przed snem, spróbował wyobrazić sobie przesłanie dla Danili. Nie przychodziły właściwe słowa. „Szczeliną między światami udało mi się wspiąć o dwie kondygnacje”, ułożył w myślach. „Trafiłem aż do pokoju Eleonory i Izabeli. Proszę, odpowiedz”. Może powinien zwrócić się do niej słowem „Pani”, przecież ona jest tak daleko?

Bycie aniołem stróżem to godność. Danila jest kimś ważnym poza ośrodkiem. Może wolno tylko tak do niej mówić? „Może dlatego nie odpowiedziała, bo zwracałem się do niej imieniem

z ośrodka?” Ta myśl jak pasożyt rozwijała się sama. „Z utęsknieniem czekam na Pani odpowiedź”, zamajaczyła formułka. Gdzieś uciekło, że jeszcze niedawno uważał słowo „Ty” za najpiękniejsze.

Wreszcie usnął zmęczony rozmyślaniami, a pikanie budzika wyrwało go z szarego nieistnienia. Odpowiedź nie przyszła. Danila nie odpisała. W ciągu kilku kolejnych nocy zaden sen nie przyszedł.

Korespondencja z Danilą urwała się ostatecznie.

## **64 O przyszłości Rity i Vittorina**

*(Vittorino, Dacortona)*

Rozmowa ze spiskowcami nie odpowiedziała na najważniejsze pytania. Nie można ujawnić ich Quentowi ani Cavernacie. Vittorino nie rozumiał do końca, dlaczego Dacortona ostrzegł go przed nimi, jednak posłusznie się do tego stosował. Cierpliwie czekał na spotkanie z nim samym. Był prawie pewien, że stanie się to tak, jak poprzednio. Mistrz znowu podejdzie do niego i zaczepi na korytarzu. Stało się jednak inaczej.

Po prostu wieczorem po zajęciach znowu rozległo się ciche pukanie do drzwi. Raz, dwa i dwa razy. Otworzył i tuż przed sobą dostrzegł pociętą głębokimi zmarszczkami, śniadą twarz Dacortony.

Nutritor usiadł na kanapie.

– Zaświecić?

– Obojętne. – Dacortona machnął ręką, rozsiadł się na kanapie i wlepił oczy w rozmówcę.

Vittorino opowiedział o najważniejszym: o swojej próbie napisania listu do Danili.

Stary pokiwał głową. – Od razu ci się udało – rzekł. – Odpowiedziała już na pierwszy list. To jest twój anioł.

– Jakżeż odpowiedziała...!? To był tylko sen.

– Inaczej się nie stanie.

– A ja nie uwierzyłem... Uznałem, że to moje marzenia, nie przekaz od niej.

Dacortona wzruszył ramionami. – A następne listy?

– Listy?



– Chyba piszesz do niej stale, nie...?

– Długo nie spróbowałem, wstydziłem się przed sobą tego snu. Jak mógłbym przypuszczać, że ona odpowiedziała mi snem.

– To błąd. Bezpośredni kontakt z aniołem jest nadzwyczajną rzadkością. Dotąd nie rozumiem, jak ona zdołała do nas zstąpić. Bardzo chciała przyjść do ciebie. Jednak raz przerwany, bezpośredni kontakt raczej nie zostanie odtworzony. Nie znaczy to, że ona przestanie opiekować się tobą.

– Napisałem do niej drugi raz. – Vittorino zrelacjonował mu swój ostatni list do Danili.

– Nie zadałeś jej żadnych pytań – zauważył Dacortona. – Ona przecież wie, co się dzieje u ciebie. Jak miała odpowiedzieć na twoje przesłanie?

– Myślałem, że uraziłem ją słowem „Pani”.

– Ona czyta w twoim sercu. Rozumie prawdziwe znaczenie, jakie chciałeś nadać swoim słowom. Jest przecież twoim aniołem stróżem.

– Dlaczego więc nie odpisuje?

– Może właśnie dlatego... – Dacortona nagle urwał. Zorientował się, że mógł tym urazić Ioanneosa. – Twój list nic nie zawierał. Zresztą tak zadziwiająca rzecz, kontakt z aniołem twarzą w twarz, nie mogła trwać długo. Nie obwiniaj się.

Vittorino nie odezwał się. Te słowa trafiły bardzo głęboko.

– Brenda przyniosła ci list od Danili? – przypomniał Dacortona.

– Została za to brutalnie ukarana w tym śnie. Balduga swoim zwyczajem porwała ją ze sobą.

– Nie rozumiem jej czynu. Losy tej dziewczyny wydawały mi się oczywiste, wynikały z jej miejsca na mapie ośrodka. A teraz taki czyn... – Dacortona zwiesił głowę. – Ona to zrobiła dla ciebie. Dostarczenie listu od Danili to mogła być próba dla Brendy. Nie zrobiła tego tak, jak żądała od niej Balduga.

– To znaczy, że Brenda sprostała tej próbie?

– Tak. Gest Baldugi mógł być wyrazem bezsilności. Może podopieczna się jej wymknęła? Może Brenda nie jest stracona? Może tym czynem poświęciła coś bardzo ważnego dla siebie.

Vittorino nie odezwał się.

– Może wcześniej oczekiwała, że twoja miłość do Danili wygaśnie? – spytał Dacortona.

– Ona...?

– W twoim śnie o Sądzie byliście bardzo blisko siebie. To nie bez znaczenia.

– Wtedy długo razem spacerowaliśmy. – Vittorino wzruszył ramionami.

– To mogło mieć małe znaczenie dla ciebie, ale dla niej znacznie większe. Może nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak wielkie.

– Wyglądała wtedy wyjątkowo ładnie i zgrabnie, miała tak proporcjonalne ciało...

– Ech... ty znowu swoje! Zawsze to samo! – Dacortona machnął ręką. – Wcale się nie dziwię, że Danila nie chce z tobą korespondować.

Vittorino umilkł, zamurowany. – Przecież to twoje całe życie było hymnem dla ciała ludzkiego, dla jego piękna... – odpalił.

– No dobrze... – Dacortona machnął ręką, jakby odganiał muchę. – A ty sam...? – powiedział.

– Kiedy opowiadałeś swój sen o Sądzie, widziałeś światła przebijające przez chmury.

– Tak. Były piękne.

– Co przypominały te światła? – Dacortona spojrzał badawczo.

– Nie wiem... Migaly to jaśniej, to ciemniej, zmieniały się ich barwy, choć światła stale pozostawały przyjemne, tęczowe.

– To oczywiste. Ci nad chmurami poruszali się.

– Tak też myślałem.

– Jedno z tych światel było wielokrotnie silniejsze od innych. Pamiętasz, jaki ono miało kształt?

– Te wszystkie światła były jakby odbiciami tego najważniejszego. Tu nie miałem wątpliwości.

– Chodzi o kształt. Czy przypominało sylwetkę człowieka, czy może przypominało świetlisty krzyż z mniejszą postacią Ukrzyżowanego?

– Pojęcia nie mam. Jakie to mogło mieć znaczenie?

– Mogło wiele powiedzieć.

– O kim?

– O tobie.

Dacortona umilkł na chwilę.

– Jeśli zobaczylesz świetlistą postać z rozłożonymi ramionami, pójdziesz do góry. Jeśli świetlisty krzyż z wiszącym na nim, pójdziesz w dół.

– Kto tak twierdzi?

– Honoriusz Scholastyk. Myślę, że pora cię z nim poznać.

## 65 *Pełne wyjaśnienie sytuacji*

*(Honoriusz Scholastyk, Vittorino, Dacortona)*

Spotkanie z Honoriuszem Scholastykiem miało miejsce w pokoju Dacortony. Pozostałych spiskowców nie było, zresztą Vittorino spodziewał się tego. Nutritor bardzo dokładnie znał wszystkie obserwacje i przemyślenia Vittorina. Wyglądało, że Dacortona relacjonuje mu wszystkie spotkania spiskowców.

– Dlaczego w niektórych salach rzędy miejsc ułożone są w cztery grupy, a w innych po dwie? – spytał Vittorino.

– Na Sądzie będą cztery grupy ludzi. Jedni bez sądu pójdą w dół, bo wina ich jest oczywista – powiedział Honoriusz. – Drudzy będą wymagali osądzenia, by zostać potępieni. Trzeci znowu po osądzeniu zostaną zbawieni, wreszcie ostatni bez sądu pójdą do Nieba, bo ich miejsce tam jest oczywiste, jako uznanych świętych lub męczenników. To są cztery grupy miejsc dla słuchaczy.

– Dodaj do tego pionowe uporządkowanie wszystkich miejsc w ośrodku, a znajdziesz wyjaśnienie, dlaczego w niektórych salach podzielono miejsca słuchaczy na cztery grupy, a w innych na trzy, a w jeszcze w innych wystarczą dwie grupy – wyjaśnił Dacortona. – Nawet ten szczegół da się spójnie wyjaśnić.

– Ale słuchacze siadają przypadkowo na miejscach.

– Potępieni mogą ujrzeć zbawienie, a zbawieni potępienie. To tylko tyle oznacza.

– Skoro każda ze scen, niemal każde z wydarzeń, które nas dotykają, a nawet liczba rzędów na sali da się przedstawić jako epizod, a przynajmniej część fabuły jednego z przedstawień Sądów Ostatecznych, to może Sąd właśnie nadszedł? – spytał Vittorino. – Może koniec czasów nadszedł jak złodziej, może właśnie teraz następuje, a my zwyczajnie nie zdajemy sobie z tego sprawy?

– Tak może się dziać, ale wtedy byłby on zbyt przewidywalny. – Honoriusz błysnął szkłem okularów. – Nie przypuszczam, żeby Jan powiedział nam wszystko, że prorocy przekazali nam cały scenariusz tego wydarzenia. Prawdziwy Sąd przyniesie ze sobą daleko bogatszą oprawę. Będzie fascynującym widowiskiem, które oczaruje każdego. Wybranych wprawi w zachwyt, potępionych urzeknie potęgą nieuchronności.

– No więc...? – bąknął Vittorino.

– Nie będzie tylko sekwencją scen, które przewidywali teolodzy lub wizjonerzy. Przecież każdą z tych scen ja znam, podobnie jak zna je Lucas Dacortona. Wszystko wymyślone, wszystko przewidziane.

Dacortona przysłuchiwał się ich rozmowie. Teraz przytaknął w milczeniu.

– Ale Dacortona żył ponoć czterysta lat po tobie – nie ustępował Vittorino. – Przez czterysta lat nic nowego nie przybyło, żaden nowy epizod. A właśnie to oznacza, że te sceny z naszego życia w ośrodku to prawdziwe epizody Sądu Ostatecznego.

– Dalej się nie rozumiemy, Vittorino. Nie twierdzę, że nasza rzeczywistość, nasze bytowanie, to nie są epizody z prawdziwego Sądu Ostatecznego.

– Honoriuszu, powiedz mu – włączył się Dacortona. – Sam się nie domyśli.

– Jesteśmy wszyscy przedstawieniem Sądu Ostatecznego. Stąd właśnie te wszystkie epizody, które tak zgrabnie rozszyfrowałeś, ale nie ma wśród nich żadnego, który nie byłby wcześniej wymyślony ani wcześniej przedstawiony. To jest jakaś płaskorzeźba przedstawiająca Sąd Ostateczny, albo obraz. Zdaniem Dacortony to płaskorzeźba na portalu katedry w Lugdunum, ale nie jest to całkiem pewne.

Vittorino głośno wciągnął powietrze.

– My jesteśmy płaskorzeźbą...?

Właściwie podejrzewał to wcześniej, stale fascynowały go pojawiające się zadziwiające zgodności i podobieństwa. Dotąd sytuacja czasem bawiła, częściej zadziwiała, czasem urzekała. Odkąd Danila opuściła ośrodek – a szczególnie teraz, kiedy Dacortona uświadomił mu, że już nigdy nie spotka swojej miłości – całe otoczenie wydało się ciasnymi, duszącymi okowami, pułapką, z której gorąco pragnął się uwolnić.

Każdą ze scen z życia w ośrodku można sprowadzić do epizodu z przedstawień Sądu Ostatecznego. Zamknięto wszystkich w nieustannym, wiecznie trwającym przedstawieniu, spektaklu teatralnym, odgrywającym sceny ze średniowiecznego obrazu. Wydarzenia można było wpasować w pojedyncze sceny, niektóre wprost, inne po namyśle i odkodowaniu jej znaczenia, jednak wszystkie składały się jak kamyki tej samej układanki.

– Właśnie. Sam wiesz, że każdy z nas dawno już nie żyje. Zostaliśmy zamknięci w przedmiocie, w przedstawieniu Sądu Ostatecznego. Jesteśmy posągami, może płaskorzeźbami, raczej nie wizerunkami namalowanymi na desce.

– Też nie jestem pewien lokalizacji ośrodka, ale są trzy ważne argumenty – dodał Dacortona.  
– W bibliotece jest poradnik dla posągów, jak poruszać się nie należy, a nie poradnik dla wizerunków wykonanych w oleju czy temperze.

– Od dawna nie mam dostępu do tej książki – powiedział Vittorino.

– My obaj jeszcze dłużej – rzekł Honoriusz. – Ale sporo pamiętałeś i powiedziałaś nam wiele nowego.

– Drugim argumentem jest książka o katedrze w Lugdunum. Nie ma książek o innych katedrach, na przykład w Anvers, w Orvieto czy w Autun, a jest tylko ta o katedrze Świętego Landeberta z Lugdunum.

– W bibliotece mogą być książki o innych katedrach.

– Mogą, ale nikt nie podniósł takiej z półki – powiedział Dacortona. – Monografię o katedrze Świętego Landeberta łatwo znaleźć na półce, niejako sama wchodzi do rąk.

– Ja jej nawet nigdy nie przeglądałem.

– Dla mnie teraz też pozostaje ukryta, ale wcześniej sporo z niej przeczytałem i pamiętam wiele. W rzeczywistości nie wiemy, czy jest w niej portal z Sądem Ostatecznym.

– Sądy Ostateczne przedstawiano wyłącznie na zachodnich portalach, zwykle nad wejściem – powiedział Dacortona. – Z nieznanego powodu po śmierci staliśmy się posągami. Portal przedstawia Sąd Ostateczny, więc dotyczą nas cierpienia przewidziane dla grzeszników z tego przedstawienia.

– To mogą być nasze cierpienia, dla nas przeznaczone. Po prostu właśnie w taki sposób są realizowane. – Honoriusz pokiwał głową. – Każda kara musi mieć konkretną realizację.

– Nagroda też? – spojrzał uważnie Vittorino.

– Nagroda też, ale pamiętaj, że to, co dla jednych jest karą, dla innych może być nagrodą.

– Kara może być nagrodą?

– Przerwa w karze, albo jej mniejsze nasilenie, może być nagrodą.

– Jest jeszcze jeden argument, że jesteśmy duszami uwięzionymi – powiedział Dacortona.

Vittorino spojrzał teraz na niego.

– To twój własny sen o diablím malarzu. Quentin de la Cadavre umiał wwięzić demony w płótnie obrazu.

– Quent nas zamknął w ośrodku?

– Oczywiście, że nie dokładnie. Nie jesteśmy przecież demonami... – urwał Dacortona, a wszyscy trzej spojrzeli po sobie nieswojo. – Nie... no nie... – Machnął ręką. – Przecież tak być nie może... Wolno mi wymawiać wszystkie słowa... – Chwilę coś szeptał pod nosem. – Nie... nie... Nie myślę się, nie mogę być demonem.

– Ktoś inny nas uwięził? – domyślił się Vittorino.

– Właśnie. Może istnieli też rzeźbiarze, którzy umieli więzić dusze w swoich posągach. Żydzi pisali o duszach uwięzionych w przedmiotach, o *dybukaim*. My możemy być uwięzieni w kamiennej płaskorzeźbie Sądu Ostatecznego.

– Co jeszcze można zamknąć w przedmiocie? – spytał Vittorino. Jakoś ta perspektywa go nie przeraziła. Tyle dziwnych rzeczy już odkrył.

– Demona można zamknąć, duszę też można – odpowiedział Lucas. – Będzie tam tkwić do końca czasów.

– To wiemy. A uczucie też można tam zamknąć...?

– Nie wiem... Nikt o czymś takim nie mówił.

– Czy można na przykład miłość zamknąć w rzeźbie, w posągu? Albo w obrazie czy w książce? Zamknąć tam, by się od niej uwolnić. Niech zostanie między kartkami książki do końca czasów, by nie raniła. – Skojarzenie z książką dała Brenda, bibliotekarka, która we śnie przyniosła mu list od Danili.

– Książkę można podnieść z półki, otworzyć i przypomnieć sobie, co zawiera. – Dacortona pamiętał opowieść Vittorina. – To nie uwolniłoby od niechcianej miłości.

– Niektóre książki sprawiają wrażenie, jakby tkwiła w nich jakaś dusza... Ale czy miłość również można tak uwięzić...? – Honoriusz pokręcił głową. – Kto miałby zamykać w książce właśnie miłość?

– A jeśli to miłość bezsilna? Nie do zrealizowania? – dopytywał się Vittorino. – Która musi na zawsze pozostać nieszczęśliwa? Która szarpie serce jak wieczne katusze?

– Chciałbyś zamknąć w książce dwa żywioły? Miłość i śmierć? To się jeszcze nikomu nie udało. Vittorino patrzył nań natarczywie.

– Cavernata twierdzi, że próbowałaś kiedyś uwięzić w książce śmierć ukochanej kobiety, aby ta naprawdę przeżyła raka. Już samo to byłoby wyczynem niezwykłym. Jeden żywioł tak, ale naraz uwięzić oba te żywioły?

– Jeśli chodzi o tę samą kobietę... – burknął Dacortona. – To może byłaby jakaś szansa...

## IV *Il Paradiso*

### 66 **Psychostasis i Dolna Furtka**

(*Vittorino, Quent, Cavernata, Balduga*)

Vittorino pogodził się z tym, że nie spotka tu Danili. Nie załamał się. Czuł się mocny, bo nadzieję zdobył już wcześniej, wiary tu się nie traci, a teraz umacniała go miłość do niej. Skoro w ośrodku Danila jest niedostępna, trzeba ją odnaleźć. Postanowił pójść za nią. Podjął decyzję, wiedział, co ma zrobić, chociaż nie wiedział jeszcze, jak to zrealizuje. Nikt przecież stąd nie wyszedł. Nigdy niepoznany Erwin dawno temu zniknął, jednak nie było pewne, czy rzeczywiście opuścił ośrodek, czy może jest gdzieś tutaj przechowywany. Nie wydawało się prawdopodobne, żeby można było rozpiski z wykładami zmodyfikować tak, by trwale uniemożliwić spotkania.

Honoriusz i Dacortona pozwolili mu powiadomić Quenta i Cavernatę o naturze ośrodka.

– Chcesz nam coś powiedzieć? – Quent nerwowo drapał się po przedramieniu. – Miałeś sen informacyjny o Danili, tak...?

– Nie całkiem.

– Ale wiesz więcej?

Cavernata nie odzywał się, tylko uważnie przysłuchiwał ich rozmowie.

– Będzie dzisiaj Dacortona? – spytał.

– Nie wiem... Może się pojawi.

– Ale ty masz dla nas wiadomości do przekazania od niego?

– Dwie rzeczy. Pierwsza to nasz stan. Odgrywamy tutaj w ośrodku sceny Sądu Ostatecznego. Niby dlaczego tak się dzieje?

Quent skrzywił się. Ruch głowy podrażnił jego skórę na szyi. – Nasz stan nie tłumaczy się... – burknął.

– Można znaleźć spójne wyjaśnienie – przerwał mu Vittorino. – Oto jesteśmy *dybukaim*, duchami uwięzionymi.

Umilkł na chwilę, sprawdzając, jakie wrażenie zrobiły jego słowa.

– Że nie żyjemy, o tym sami kiedyś ciebie powiadomiliśmy. A ty uważasz, że nas uwięziono.

Powiedz, w czym? – spytał Cavernata.

– Myślę, że w płaskorzeźbie przedstawiającej Sąd Ostateczny. Stąd ta sceneria.

– Po co niby niektórzy mieliby być zatrzymywani na swojej drodze i zamykani w przedmiotach?

Vittorino wzruszył ramionami.

– Może być powód – powiedział Quent. – Sam tego nigdy nie malowałem, ale było to elementem wielu obrazów. Proces nazywa się ważeniem dusz, *psychostasis*. Nie dziwię się obecnej sytuacji. Jesteśmy obecnie ważeni, Ioanneos.

– Ważeni?

– Osądzani. Nie ma powodu uważać, że Sąd nie dzieje się tu stale. Czas dotyczy tylko żyjących, nie jest ograniczeniem po naszej stronie.

– Jak długo będzie trwać *psychostasis*?

– Tutaj czas płynie inną miarą niż za życia, chociaż może lepiej powiedzieć, że to wtedy płynął dziwną miarą.

– W czasie snu o Sądzie widziałem w dali postać skrzydlatego rycerza w zbroi, dzierżącego w dłoni wagę. Szliśmy z Ritą w jego stronę.

– Więc może twoje zważenie wkrótce dojdzie do skutku.

– Ktoś mi to powie?

Quent uśmiechnął się. – A skądże miałbym wiedzieć?

– To pierwsza rzecz – odezwał się Cavernata. – A o jakiej drugiej rzeczy chciałeś nam powiedzieć?

– Chcę stąd wyjść.

– Hiii... – Quent głośno wciągnął powietrze.

– Nie chcę spędzić wieczności w kawałku kamienia. Wiem, jak nie powinienem się poruszać, czytałem poradnik, ale nawet nie mogłem skorzystać z tych wskazówek. Oznacza to, że nawet na powierzchni tej płaskorzeźby nie siedzę. Ośrodek mi nie wystarcza. Duszę się w jego ciasnocie.

– To nie jest złe miejsce – zaprzeczył Cavernata.



– Nie jest złe. Mało kto tutaj cierpi. Jednak nie mogę wytrzymać tego niezmiennego rytmu wykładów i posiłków. Nawet zaprzyjaźnionych ludzi wolno mi spotykać, tylko jeśli taki będzie kaprys uczestnika układającego rozpiskę.

– Możesz trafić w gorsze miejsca – zauważył Cavernata.

– Każdy z nas może.

– Każdy z nas? – Quent uniósł brwi.

– Myślę, że pójdziecie ze mną.

– My?

– Dlaczego nie?

Twarz Quenta rozjechała się w szerokim uśmiechu.

– Ona osłania cię swoim białym skrzydłem. Prawie widzę, jak stoi za tobą. Ona przyszła tu po ciebie – powiedział.

– Ona?

– Danila. Patrzyliście w tę samą stronę, chyba to się nie zmieniło.

– Trzeba się jak najszybciej rozstać – syknął Cavernata. – Nie jest bezpiecznie. Skończymy naradę następnym razem. Słyszę, jak Czuwający gromadzą się w ścianie.

Vittorino rozstał się ze spiskowcami bez jasnej deklaracji, czy obaj do niego dołączą. On sam był zdecydowany. Wiedział, gdzie chce pójść. Obojętne, czy pójdą z nim koledzy, czy będzie musiał iść sam. Wystarczyła jedna uwaga Quenta, by umocnił się w wierze. „Danila naprawdę jest tak blisko mnie, chociaż już nigdy jej nie ujrzę ani nie usłyszę?”, pomyślał.

Trzeba tylko odnaleźć wyjście z ośrodka. Nawet nie brał pod uwagę możliwości, że ono może nie istnieć. Nie mógł nim być las poza budynkiem, gdyż najpewniej każda droga w nim doprowadziłaby tutaj z powrotem po trudnej do wyobrażenia pętli. Vittorino nie miał co do tego wątpliwości. Drugą możliwością była czarna pustka po zniknięciu łazienki. Mroczna przestrzeń między koralikami pomieszczeń ośrodka, nanizanymi na linie kontaktu między nimi. To straszne miejsce było ostatecznością. Opuszczając się w czarną nicość, bez liny asekuracyjnej, podróżnik wcześniej czy później skazywał się na spotkanie Czuwających, niejako oddawał się w ich moc. Vittorino nie miał wątpliwości, że w taki sposób wydostałby się poza ośrodek, ale obszar, do którego by trafił, napawał przerażeniem. To było straszniejsze niż szare miasto nad smaganymi wichrem falami oceanu, miasto stale okrążane przez biegnące w szaleńczym pędzie węże, a najstraszliwszy z nich Python.

Skoro uświadomił sobie, że cały ośrodek jest portalem, a raczej płaskorzeźbą przedstawiającą Sąd Ostateczny, zaczął penetrować zakamarki budowli. Sąd Ostateczny oferuje przecież znacznie więcej możliwości, prawie każda jego scena może kryć furtkę prowadzącą dalej. Należy tylko je odkryć. Drzwi do wszystkich sal były znane. Gdzie szukać skrytych furtek?

Próbował penetrować piwnice, gdzie pozostało jeszcze wiele drzwi, za które do tej pory nie zajrzał. Zaczął metodycznie, przy każdej okazji, sprawdzać, czy przejście na niższe poziomy przypadkiem nie jest otwarte. Wreszcie udało się. Tym razem nie poszedł schodami w głąb, ale zatrzymał się na pierwszym, najwyższym poziomie.

Znajdowały się tu składziki, pusta narciarnia, prasownia, jakaś kuchnia turystyczna. Na końcu znalazł suszarnię. W dusznym, za ciepłym pomieszczeniu wisiały na sznurach mokre prześcieradła. Dalej wiódł mroczny korytarz. „Trzeba sprawdzać wszystkie pomieszczenia”, pomyślał.

Naciśnięta klamka zgrzytnęła. Z ciemnego pomieszczenia rozszedł się charakterystyczny smród. „Zgniłe ziemniaki w składziku”. Następne drzwi były zamknięte. „Trzeba tu wrócić jeszcze raz”.

W tej części korytarza sufit biegł nisko. Należało uważać na podwieszane ocieplane rury. Tu i ówdzie ciemniały lizaje wilgoci. Na ścianach krzyżowały się przewody w czarnych plastikowych izolacjach. Sprawdzał mijane metalowe drzwi. „Tyle tego, że właściwie przydałby się plan”, pomyślał. Czy będzie pamiętał, do których drzwi akurat zaglądał, gdy tu wrócić?

Wydawało mu się, że coś zamajaczyło na końcu korytarza. „Szwenda się ktoś z obsługi”. Poszedł w tamtą stronę. Nikt nie zakazywał schodzić do piwnic, a może czegoś się dowie od obcego.

W końcu korytarza znajdowały się otwarte drzwi. Zajrzał. W dół wiodły schody. Rozświetlał je żółtawy blask. Chyba nimi zeszła tamta postać. Wąski korytarz szybko sprowadzał w dół. Schodów było tak wiele, że z pewnością Vittorino już znajdował się poniżej poziomu obu korytarzy z pokojami kuracyjnymi. Tutaj znowu znalazł rząd drzwi po obu stronach korytarza, znowu rury podwieszane pod sufitem, jakieś metalowe szafy ustawione wzdłuż ścian. „Tak głęboko nigdy jeszcze nie byłem”.

Pomieszczeń wielu nie było, jednak dalej jedne drzwi były otwarte i to zza nich było czerwone światło. Podeszedł. Za nimi znowu wąski korytarzyk ze stromymi schodami. Widać

podobne korytarzyki łączyły kolejne poziomy podziemi ośrodka. „Ile tu jest poziomów piwnic?”, pomyślał.

Z głębi dochodził miarowy odgłos pracujących maszyn. W takt ich dudnienia pulsował zamglony blask. Pełgał to na żółto, to na czerwono.

Z mgły wyłoniła się zgarbiona postać.

– Zszedłeś aż tutaj? – spytała Balduga.

Pokręcił głową. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Nie chciał wyjaśniać jej, dlaczego się tu znalazł, a do głowy nie przychodził żaden wykręt. Balduga już ssała myśli.

– Tutaj wolno schodzić – sama wybawiła go z trudnej sytuacji.

– Taak...? – wyrwało mu się.

– Możesz zejść jeszcze dalej. Obejrzeć kotłownię i maszynownię.

– Już stąd słychać, jak pracuje.

– Dzisiaj włączyli agregat, bo linię zerwała burza. Mam nadzieję, że hałas nie przeszkadza w zajęciach.

– Nie, skądże.

– To co, schodzisz w dół?

– Nie, nie... – wycofał się. – Chyba skończyła się przerwa w zajęciach. Muszę już wracać.

– Nie szkodzi. Możesz zwiedzić kotłownię i maszynownię, kiedy zechcesz. – Balduga nie potrafiła ukryć zawodu.

– Może kiedy indziej. Teraz już wracam. – Pośpiesznie skierował się ku schodom na górę.

Twarz Baldugi pulsowała złym uśmiechem.

## **67    *We cztery demony***

*(Quent, Cavernata, Vittorino)*

Wkrótce znowu zegary spiskowców zestroiły się i znowu się spotkali. Nie było już problemem, czy uciekają. Obaj się zdecydowali. Quent powiedział, że to decyzja przemyślana. Cavernata podkreślił, że nie sztuka jest stąd wyjść, sztuka trafić do lepszego miejsca.

– Znalazłem wyjście z portalu – pochwalił się Vittorino.

– Noo... – Cavernata spojrział z uznaniem. – A gdzie?

Vittorino zrelacjonował swoją wyprawę do najgłębszych piwnic bezpośrednio nad kotłownią. Cavernata wpadł w popłoch.

– Na Dół...? Iść na Dół? Przecież to najgorsza możliwość! – uniósł się.

– Na przedstawieniach Sądu czasem droga po murawie wiodła do góry, a wylot wysoko w powietrze oznaczał pochwylenie przez demona – zauważył Quent. – A właściwie dlaczego uznałeś to za wyjście?

– Było inne, nowe, wydaje mi się, że wiodło ku Światłu.

– A czułeś tam powiew jej skrzydeł?

– Danili?

– Ona tutaj przyszła po ciebie, więc teraz szukaj wskazówek od niej.

– Nie pomyślałem o tym wtedy. Wystarczająco przeraziła mnie obecność Baldugi.

– To nie było wyjście do Światła. – Quent pokręcił głową. – Wiodło do płomieni, do maszynerii. Pójść tam to byłby najgorszy błąd, jaki można zrobić.

Od czasu sekretnych rozmów z Dacortoną i Honoriuszem Scholastykiem Vittorino miał mniejsze zaufanie do młodszych kolegów, jednak teraz trudno było odmówić słuszości słowom Quenta.

– Nawet jeszcze nie ustaliliśmy, kto ucieka – zauważył Cavernata.

– Jak to nie? No my i Dacortona – powiedział Quent.

– Nie wiem, czy mistrz się zdecyduje.

– Trzeba uciekać we czterech – powiedział Cavernata. – Ta liczba jest optymalna.

– Niby dlaczego? – mruknął Quent.

– Na obrazie Sądu Ostatecznego Rogeleta de la Pasture za czasów Signorellego były cztery demony, a za czasów Snijdersa już nie było żadnego. Skoro demony uciekły we czwórkę, to może i nam byłoby najłatwiej w tej właśnie liczbie?

„Skąd te ciągle odniesienia do demonów?” pomyślał Vittorino. „Dlaczego właśnie takie myśli stale się plotą, stale wracają? Kimżeż my naprawdę jesteśmy?”

– Może to przypadek – powiedział.

– A może być jeszcze gorzej, przecież co dobre dla demona, to na ogół fatalne dla człowieka – dodał Quent.

– Niekoniecznie. One są stokroć potężniejsze od nas, zaś ich sposoby działania wyróżniają się wielką skutecznością. Skoro tak zrobiły, można spróbować je naśladować. Może grupa czterech uciekinierów ma przewagę nad grupą trzech, dwóch albo pięciu?

– Porozmawiamy z Dacortoną, tak czy inaczej – powiedział Quent.

„Jeśli nawet Dacortona odmówi, jest jedna osoba, którą warto wziąć pod uwagę”, pomyślał Vittorino. „Ale czy ona będzie chciała nam towarzyszyć?”

– Jednak zadbałbym o czwartą osobę – powtórzył Cavernata. – Myślę, że warto zaryzykować, aby nas była dokładnie czwórka.

Vittorino nie odezwał się więcej. Nie zgadzały się liczby. W jego śnie o diablím malarzu demonów na obrazie Rogeleta de la Pasture było mniej, tylko trzy. Potem na wykładzie Dacortona sprzeczał się ze Snijdersem, twierdząc, że były na panelu aż cztery diabły. Jeśli prawdą był sen Vittorina, należało uciekać w trójkę, jeśli rację miał Cavernata, we czwórkę.

Jedna rzecz nie budziła wątpliwości. Skoro zostali zamknięci w przedmiocie, w kawałku kamienia, ucieczka będzie polegała raczej na rozwiązaniu zagadki, znalezieniu skrytej furtki niż jakimś gwałtownym działaniem, przewrocie w ośrodku. W kamieniu można oddać najbardziej gwałtowne ruchy, akcję i uczucia, jednak w żadnym stopniu nie pomoże to posągowi w próbie poruszania się, a tym bardziej w próbie ucieczki z płaskorzeźby.

A może w bibliotece znajdzie się rycina z Sądem Ostatecznym Rogeleta de la Pasture sprzed ucieczki demonów? Dacortona przytoczył monografię o katedrze Świętego Landeberta jako argument. Może więc ich ucieczka jest tam także przedstawiona na rycinie?

Drzwi do biblioteki były zamknięte mimo pory posiłku. Zastukał. Po dłuższej chwili usłyszał ciężkie kroki. Duże stopy szurały o deski. Drzwi się uchyliły.

– Czego?! – rozległ się beczący głos uczestniczki Baldugi. Lubiała celowo obniżać jego wysokość, by brzmiał groźniej i bardziej odpychająco.

– Do biblioteki – powiedział cicho Vittorino. – Szukam monografii o *Sądzie Ostatecznym* Rogeleta de la Pasture.

– Nie ma! Inwentaryzacja!

Balduga zasłaniała sobą cały prześwit uchylonych drzwi. Nie dało się nawet dostrzec, czy Brenda też jest w środku.

Trudno, trzeba spróbować innego sposobu.

## 68 *Trzy lub cztery*

*(Brenda, Vittorino, Horagwa)*

Czy Signorelli mógł zobaczyć *Sąd Ostateczny* Rogeleta de la Pasture? Przecież nigdy nie był w Tournai ani w Brukseli. Musiał obejrzeć czyjś sztych, może poznać relację ustną. Panel polptyku, z którego uciekły demony, nie jest wielki, są na nim skały, płomienie, grzesznicy. A może one uciekły z sąsiedniego panelu, na którym jest więcej miejsca na łące, gdzie mogły poganiać grzeszników? Chmura ze świętymi jest tam bliżej ziemi i demony musiałyby zginać karki. Mogło się zdarzyć, że jedna z sylwetek częściowo skryła się za innymi, więc Quentin de la Cadavre jej nie zauważył. Vittorino nie widział tego obrazu we śnie, Quentin znał go ze słów swojego ojca, Quentina Starszego. Jak dociec, ile ich tam było?

A może podzielić się z Dacortoną planami ucieczki? Vittorino zaczynał się wahać, czy słusznie zrobił, mówiąc o tym najpierw dwóm młodym spiskowcom. Może Dacortona oskarży ich o dezercję? Zresztą nie widzieli się od dawna.

Ile było demonów na obrazie Rogeleta de la Pasture? Pomoże tylko biblioteka. Tylko tam jest wyjaśnienie. Jeśli liczba i rodzaj demonów na tym obrazie nie ma znaczenia, nic na ten temat nie znajdzie się w bibliotece. Jednak jak się tam dostać? Inwentaryzacja przeciągała się. Drzwi do biblioteki były zamknięte na głucho.

Dostał w rozpisce wykład Snijdersa. Może znowu pokłóć się z Dacortoną i będzie można, przy okazji ich sprzeczki, zadać jakieś pytanie?

Siedział pogrążony w myślach. Nie tak dawno temu na końcu tego korytarza pojawiała się Danila. Jak olśniewający blask, który zaraz rozpałał setki iskierek ciepła. Każde jej poruszenie, każdy grymas rysowały się w jego sercu. Nie przeszkadzało, że szczelnie otaczali ją łysy Vargal, okrągłooki Zuyaster oraz otyły, masywny i sapiący Sarpata, a z tyłu za nią dreptała w rozciągniętej na tłustym brzuszysku spódnicy z dzianiny uczestniczka Horagwa. Wystarczało szybkie badawcze spojrzenie modrych oczu Danili, którym czasem się spotykała z jego spojrzeniem, by cały dzień serce rozpierała radość. Ten czas się skończył, ale nie chciał zniknąć z pamięci. Zostawił po sobie najważniejszą broń, niezbędną do opuszczenia ośrodka, zostawił mu miłość.

Poczuł na ramieniu delikatne dotknięcie. Aż się wzdrygnął. Danila?

Niepewnie patrzyła na niego Brenda. Zrobiła taki grymas, jakby nie wiedziała, czy wolno się jej uśmiechnąć. Dzisiaj założyła swoje ulubione szmaragdowe kolczyki o kształcie wisienki, zresztą jedyne, jakie miała. Pod pachą trzymała biblioteczny tom oprawiony w papier pakunkowy.

– Wolno tu usiąść? – spytała niepewnie.

– Pewnie. – Przesunął się na kanapie.

– Mam książkę dla ciebie... – mówiła szeptem. Siedziała tak blisko niego, że wyczuwał ciepło jej ciała. Swoją białą bluzkę dzisiaj nisko rozpięła, odsłaniając gładką, białą skórę i bardzo przyjemne, regularne krzywizny górnych części obu piersi. Tylko na twarzy miała kilka płytkich blizn, dekolt zaś idealnie gładki, jak rzeźbiony z białego marmuru, o leciutko różowym odcieniu. Nie mógł nie patrzeć za jej dekolt, kiedy wsunęła książkę między nich dwoje, że prawie nie dało się jej otworzyć.

Nie wolno było wynosić żadnych tomów z biblioteki. Zrobiła to dla niego. Może ta głęboko rozpięta bluzka była tylko kamuflażem, by szwendający się uczestnicy pomyśleli, że ta para zajmuje się sprawami wprawdzie w ośrodku niedozwolonymi, jednak tolerowanymi przez uczestników.

– To cała książka?

– Nie. Na stronie siedemdziesiątej pierwszej jest kopia drzeworytu przedstawiającego ten obraz.

– Których paneli?

– Trzech. Zobacz, czy o te ci chodziło.

Sam nie wiedział, z którego panelu uciekły demony. Domyślał się, że jeśli ma to jakieś znaczenie, Brenda pokaże mu właściwy panel.

– Schyl się bardziej nade mną, jakbyś mi zerkał za dekolt.

Nie wiedział, czy wolno mu to robić. Czuł się związany wiernością do Danili, a tu kremowy staniczek Brendy odsłania się tak głęboko, że jeszcze tylko dwa centymetry, a ujawni się kwiatek jej prawej piersi.

Brenda otworzyła stronę zaznaczoną zakładką. Czarno-biały drzeworyt ciągnął się na całą wysokość strony, jednak był bardzo wąski. W górze strone, wąskie płomienie, jakby wielu świec. Niżej skały. Potępieni spadali w otchłań przed tymi skałami, a w górę sprawnie wspinały się po nich cztery demony.

O ile grzesznicy byli nadzy, a ich listki figowe tak małe, że ledwie zauważalne, to demony odziane były w spodnie i w kubraki. Widać było rogi, kopyta i długie ogony wystające spod kubraków, jednak najbardziej zadziwiał ich strój. Jeden z nich wyróżniał się jeszcze bardziej. To bez wątpienia była kobieta. Miała wąską spódnice do kolan. Ten obraz wyglądał, jakby utalentowany rysownik skopiował czwórke alumenów z ośrodku.

Brenda szybko zamknęła książkę, bo korytarzem zbliżała się uczestniczka Horagwa. Tęga, niechlujna niewiasta w dzianej bordowej spódnicy i podobnie dzianym żakiecie. Chyba ostatnio jeszcze bardziej przytyła, bo dziurki na guziki rozjeżdżały się mocno na wystającym brzuszysku.

Usiadła po drugiej stronie Vittorina.

– No nie siedźcie tak blisko siebie na korytarzu – powiedziała. – Najłatwiej się spotykać na kąpieliach sanatoryjnych.

– W trzecim kręgu? – odezwał się szybko. – Przecież tam się odchudzają, a Brenda nie ma nadwagi.

– Mogłaby się wcześniej trochę zaokrąglić.

– Najwyżej dostalibyśmy kąpiele wiatrowe, a tam się stoi daleko od siebie.

– Ale na golasa, na golasa...

Horagwa miała karykaturalnie umalowane usta, a brwi przesadnie podkreślone grubymi, czarnymi kreskami.

Widać oboje nie wykazali wystarczającego entuzjazmu, bo Horagwa spoważniała: – A skąd ty wiesz, że to właśnie kąpiele wiatrowe są dla was?!

– Byłyby dla nas odpowiednie – zasugerował grzecznie.

Horagwa skrzywiła się i coś fuknęła.

– Bicze ogniste też? – spytała Brenda.

„Skąd jej to do głowy przyszło?”, pomyślał zaskoczony. „Skąd to wiedziała?”

– Oczywiście, że nie aż tak – jowialnie odpowiedziała Horagwa.

Nie odezwali się.

– A ty już wracaj do pracy – odezwała się do Brendy. – Wprawdzie biblioteka jest nieczynna, ale masz obowiązek jej nie opuszczać. Nie pierz tak często bluzki, bo ci się rozsypie. Samych dziur nie da się cerować i jak wtedy będziesz się pokazywać? W samej halce nie wolno chodzić na wykłady.

Brenda nerwowo zebrała się i poszła. Skryła książkę przed ospałą Horagwą.



„Czy to dlatego niektórzy znikają? Nie opuszczają swoich pokoi, bo ich odzież dawno zbutwiała?”, zastanowił się potem.

## **69 Czwarty towarzysz**

*(Vittorino, Eleonora, Dacortona)*

Spotkanie z Brendą nie wyjaśniło wiele. Zaskoczyła go postać demonów oraz odzież typowa dla ośrodka, a nie dla obrazów Rogeleta. Czyżby Brenda sama wykonała tę rycinę? Jak wyglądał oryginał *Sądu Ostatecznego* pędzla Rogeleta de la Pasture? Żaden z nutritorów nie pokazał go na swoim wykładzie.

Jeśli jednak rycina przedstawiała prawdziwy widok z obrazu i Quinten Starszy faktycznie narysował Rogeletowi diabły w tak niezwykłych dla swoich czasów strojach, to kim była kobieta wśród nich? Rozwiązanie nasuwało się samo. Jeśli demony w kubrakach i spodniach to ich trzech, wtedy kobietą w wąskiej spódnicy do kolan musiała być Eleonora. Nie należała do spisku, ale wiedziała bardzo wiele. Świetnie nadawałaby się na towarzyszkę wyprawy, oboje objechali przecież razem cały świat dookoła. Jednak czy Eleonora będzie chciała do nich dołączyć? Przecież gdy przypadkiem niemal równocześnie odkryli, że drugie czasami wędruje mroczną nicością między łazienkami, ona nie chciała się dzielić zbyt wieloma informacjami. Starła się zachować swoją wiedzę w tajemnicy. A poza tym, czyjej samej można tak dalece zaufać?

Z drugiej strony ich rozmowa o wędrownym światem pozaośrodkowym miała miejsce już dość dawno temu i nie było żadnych następstw. Ani nikt nie zniknął, ani nie nastąpiło pobudzenie Czuwających, ani też żaden z uczestników nie zaczął ich karać, dając do zrozumienia, że wie i reaguje.

Jednakże by spotkać Eleonorę, zegary ich dziennych rozpisek musiałyby się zsynchronizować, a tym rządziły nieznane reguły. Vittorino obserwował otoczenie ośrodka, a ujrzenie Eleonory na korytarzu potraktowałby jako znak. Znak nie do końca zrozumiał i nie wiadomo przez kogo wysłany.

A właśnie tak się zdarzyło, jakby w odpowiedzi na jego rozważania.

Snijders już skończył mówić o malowaniu zwierząt. Vittorino, zmęczony po godzinie nieruchomego siedzenia na wykładzie, nieoczekiwanie zauważył w kafeterii dawno niewidzianą, samotną Eleonorę. Popijała gorzką kawę. Skóra na jej powiekach wyglądała jeszcze gorzej niż ostatnio, posmarowała je grubo kremem, ale przez to otoczenie jej oczu nienaturalnie błyszczało. Bluzka miała przyjemny blad różowy kolor, ale mógł to być tylko przypadkowy efekt wywołany płowieniem.

Przysiadł się do niej.

– Znowu zauważasz kobiety? – przywitała go w swoim stylu, jakby widzieli się zaledwie godzinę temu.

– Tak...?

– Anioł odszedł. Nie zrobiłeś na niej większego wrażenia, to wróciłeś do zainteresowania starymi znajomymi. Wcześniej wystarczyło, że pojawiła się w zasięgu wzroku, a przestawałeś dostrzegać wszystkie inne.

– Coś z tego było. – Pokiwał głową. – I pozostało...

– Ale szybko ci przechodzi. Spotkanie z aniołem ora duszę mężczyzny, ale twojej nie przeorało.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Ledwie Danila zniknęła, ty zaraz wsadzasz nos za dekolt bibliotekarce. Rzeczywiście Brenda ma ładne piersi, chociaż za szeroko rozstawione. Jak je ładnie wypchnie watą w staniku, to wyglądają fantastycznie.

– Waty nie dostrzegłem.

– Wystarczy, że wypycha skrawkami płótna. Prawie każda to robi. W ośrodku wysychamy.

– Widziałaś nas?

– Nie ja. Izabela widziała i była zniesmaczona. Każda zrozumie, że szalejesz za aniołem. Zgoda, bo to anioł. Danila jest nadnaturalna, z taką pięknnością żadna nie może konkurować. Ale żeby tak zaraz po jej odejściu adorować bibliotekarkę?

– Dalej kocham Danilę.

Eleonora spojrzała na niego inaczej.

– Tego słowa się tutaj nie używa – powiedziała cicho.

– Nachyliłem się nad Brendą z innego powodu...

– Za chwilę, ściana szemrze...

„Ależ ty masz uszy”, pomyślał z uznaniem.

– W swoich wędrówkach trafiasz do pokoi, gdzie leżą całkiem nadzy ludzie? – zmienił temat.

– Każdy śpi porozbierany, żeby zachować ubranie na dłużej.

– Uczestniczka Horagwa powiedziała, że jak ci się rozsypie bluzka, nie będziesz mogła opuszczać swojego pokoju i uczestniczyć w wykładach.

– Takich osób jest podobno wiele, ale nie spotkałam tam nagich ludzi. Porządkowe przynoszą ze zmianą pościeli małe ręczniczki, którymi każdy przewiązuje biodra. Nie musi mieć swojej odzieży.

– Może uczestniczka Horagwa chciała zachęcić Brendę i mnie do czegoś?

– Bez wątplenia. Ona zajmuje się drugim kręgiem.

– To krąg z pędzących węży? – spytał.

– Nieustannie biegnący w koło wąż Python, czy Gerion, jest dopiero między siódmym a ósmym kręgiem.

– A ten krąg?

– Ten jest raczej z rozpędzonych płomieni. Płomienistego wiatru, smagającego nagie ciała.

„Wiesz pewnie tak wiele, jak sam Honoriusz Scholastyk, a przynajmniej jak Lucas Dacortona”. Spojrzał na nią z podziwem.

– Ściana ucichła, możesz opowiadać dalej – odezwała się.

– Brenda pokazała mi sztych z czterema demonami, które później uciekły z *Sądu Ostatecznego* Rogeleta de la Pasture.

– Dlaczego akurat ten...?

– Chcemy powtórzyć ich ucieczkę. Uciec z ośrodka.

– Wielu znika stąd, chociażby nie chcieli.

– To mój pomysł. Chcę pójść do góry za Danilą. Dwóch chce mi towarzyszyć.

– Ale...?

– Jeden z demonów na tym sztychu to kobieta. Myślałem o tobie.

– Dlaczego nie Izabela? Jest piękniejsza ode mnie, chociaż schorowana. Wielokrotnie widziałeś jej ciało.

– Przedsięwzięcie może wymagać sprawności fizycznej. Izabela nie opuściłaby Prospera.

– A ja Izabeli. Trzeba podtrzymywać jej głowę i wsuwać deseczkę między zęby. Prosper gdzieś przepadł. Dawno go nie widziała.

– Nie musisz decydować od razu. Sam nie wiem, czy naśladowanie demonów ma sens. Są potężne i skuteczne, ale działają na swój sposób.

– Niewiele cierpisz w ośrodku. Znudził ci się pobyt tutaj?

– Jesteśmy uwięzieni w kamieniu, w płaskorzeźbie Sądu Ostatecznego.

– Wiem. Domyśliłam się sama. Uczyniono z nas *dybukaim*. Ale co w tym złego? Tutaj możemy się chować do samego końca czasów.

– Chcę, pragnę być bliżej Danili.

Eleonora znowu spojrzała na niego.

– A do tego chcesz mieć świtę przyjaciół?

– Ileż można tkwić w płaskorzeźbie? Nawet jeśli to portal przepięknej katedry Świętego Landeberta w Lugdunum.

– Mylisz się. Katedra w Lugdunum nie istnieje. Została zburzona, kiedy ja jeszcze porządnie nie wyszłam.

– Skąd to wiesz? – spytał Vittorino. – To przecież już nie twoje czasy.

– A ty wiesz, kim byłeś? – Eleonora spojrzała zagniewana.

– No nie pamiętam tego...

– Ani imienia, ani nazwiska, ani skąd pochodzisz, prawda...?!

Pokiwał głową. Powtarzała oczywistości.

– A ja wiem dużo więcej. Nie pamiętam skąd, może z wykładów, a może to wiadomość spoza mojego czasu.

Nagle podniosła się z krzesła. Dłońmi przyglądała spódniczkę.

– Chodź ze mną na wykład Dacortony, może cię zaciekawia – ucięła rozmowę.

Też miał ten wykład w rozpisce. Poszedł za nią. Usiedli w środku rzędu. Miejsca było dość.

– Demony uciekły z dwóch paneli obrazu Rogeleta de la Pasture – powiedział Dacortona. – Najbardziej na lewo, patrząc według Sędziego, jest panel z płomieniami i skałami. To nie o ten panel chodzi.

Vittorino zamarł w bezruchu, a potem słuchał wykładu jak zaczarowany. Dacortona znikł na długi czas. Nie pojawiał się na spotkaniach spiskowców, gdzieś przepadł, a tu nagle w rozpisce właśnie jego wykład i właśnie o ucieczce demonów z obrazu, który pokazywała Brenda.

– Jeden z nich był na panelu z parą grzeszników, których niektórzy błędnie utożsamiali z Prarodzicami. Uderzał widłami w klęczącego, a wcześniej naigrawał się ze zmartwychwstającej, która nie pójdzie do niego, a ledwie z ziemi wychynęła, już z radości rozpościera ramiona.

„Szkoda, że mistrz mówi z pamięci, że nam nie pokazał żadnej ilustracji”, pomyślał Vittorino. „A może żadna ilustracja się nie zachowała?”

– Pozostali trzej byli na panelu następnym. Jeden szarpnął do przodu kobietę, ale ona instynktownie cofnęła ramię, kiedy demon już uciekł, i teraz wygląda dziwacznie i nienaturalnie, jakby chciała rzucić się w otchłań, a ktoś niewidzialny ją powstrzymywał. Drugi z nich pchał rudą niewiastę z rozwianym włosom. Teraz jej lżej i ona bez trudu utrzymuje się w niewygodnej pozycji. Trzeci naigrawał się z płaczącej. Dotąd nie zauważyła, że go już nie ma, i nadal zasłania uszy przed jego obelgami.

– Były cztery demony? – rzucił Vittorino z sali.

– Cztery postaci, nie więcej, nie mniej. Obecnie na tych panelach nie ma żadnego demona. Trudno tylko zrozumieć, dlaczego zmartwychwstali tak ochoczo garną się do otchłani.

– Czy czarna nicość między łazienkami jest otchłanią? – szepnęła mu do ucha Eleonora.

– Nie wiem... Nie wiem, czy to nie zwyczajna szczelina między światami, dla której nie ma osądu, czy jest z góry, czy też z dołu – odpowiedział równie cicho Vittorino.

„Co to za wykład, w którym można mówić tak otwarcie?”, niepokoił się. „Czy to jest jeden ze snów? Te słowa, których zwykle nie można używać. Te problemy, dla prawie wszystkich innych nieznane, a tutaj dyskutowane”.

Jednak wykład się toczył, a nic niezwykłego się nie działo. Zwykła sala wypełniona alumenami. Może tylko tyle, że oprócz Eleonory w audytorium zauważył Izabelę, a w pierwszym rzędzie na skraju siedział Honoriusz Scholastyk. Honoriusz wyglądał źle, był blady. Do tej pory nosił cieniutkie pasmo włosów przecinające wąską linią łysinę, teraz ściął te włosy.

Dacortona mówił, lekko czerwieniejąc, jakby sam dziwił się zakresowi swojej wolności. Nikt mu nie przerywał, nikt nie syczał ani nie gwizdał, jak zwykle na jego wystąpieniach.

„Dlaczego dopuszczono w ośrodku do czegoś takiego? Gdzie uczestnicy? Gdzie nutritory?”

Faktycznie Dacortona przedstawił zupełnie inny układ zbiegłych demonów z obrazu Rogeleta de la Pasture, niż było na rycinie z książki.

– Jak je namalowano? Jak wyglądały? – Dacortona pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że nie pamięta.

– W leciutkiej zieleni... Chociaż to może był tylko wstępny laserunek, który nadał ton barwny każdej postaci.

– Czy jednym z demonów była kobieta? – spytał z sali Vittorino. Wykład, zwyczajem Dacortony, przerodził się w przyjazną dyskusję, której nikt nie zakłócał.

Dacortona wyłowił go wzrokiem z audytorium.

– Nie kobieta, ale on wyglądał inaczej, zwyczajnie. Kolor taki sam jak u innych, ale w oczach jakby strach, a nie nienawiść ani szaleństwo.

– Tylko tyle? – odważył się odezwać jeszcze raz Vittorino.

– On stoi prosto. Wszystkie pozostałe demony przyginają karki, bo złota chmura niosąca świętych jest na tych panelach dość nisko.

Vittorino rozejrzał się po sali. Ze środka rzędu nie sposób było usłyszeć szmeru w ścianach. „Mistrz mówi niebywale rzeczy”, pomyślał.

## **70    *Z portalu katedry w Lugdunum***

*(Vittorino, Izabela, Horagwa)*

Vittorino dostał trzy wersje tego samego wydarzenia: jego własny sen, wykład Dacortony i wreszcie sztych, który narażając się dla niego, pokazała Brenda. Opis z wykładu Dacortony wydawał się najbardziej rzetelny. Mistrz nie kłamałby. Drobiazgowo opisał szczegóły. „Skąd więc wziął się sztych w książce? Kto go namalował? Czy był fałszerstwem?”, rozmyślał. „Dlaczego ktoś miałby fałszować szczegół bez znaczenia?” No chyba że to nie był nieznaczący szczegół.

Ale dlaczego Dacortona powtórzył liczbę czterech demonów, a w jego własnym śnie zbiegłych demonów była tylko trójka...? Cały wykład Dacortony pozostawał zagadką. Dlaczego pozwolono mu to powiedzieć?

Jak rozwiązać tę tajemnicę? „A może cztery demony wykuto właśnie na płaskorzeźbie Sądu Ostatecznego, którą my tutaj wszyscy jesteśmy?”

Czy wyjaśnienie tego pomoże w znalezieniu wyjścia z ośrodka, z portalu wykutego w kamieniu? Musi on mieć rozmiar co najwyżej parę metrów na parę metrów. Wyjście powinno znajdować się gdzieś blisko, trzeba tylko je znaleźć.

Pytania tłoczyły się jedno za drugim.

Sala, w której wykładał Dacortona, znajdowała się na wysokiej kondygnacji, ale nie najwyższej. Miała dwa rzędy miejsc, co symptomatyczne, ale z reguły sale na wysokich kondygnacjach miały miejsca zgrupowane w tylko dwa rzędy, z przejściem pośrodku. W przerwach między zajęciami Vittorino wielokrotnie do niej zaglądał. Nie wyróżniała się niczym, tyle że okna były przysłonięte zasłonami, jakby na każdym wykładzie pokazywano tam przeźrocza. Rzeczywiście, rzutnik był tu stale włączony. Na katedrze nawet nalepiono kartkę z napisem „Nie wyłączać rzutnika”.

Ta sala intrygowała nie tylko jego. Po wykładzie w półmroku zauważył snującą się po pustym pomieszczeniu Izabelę. Lekko utykała, chodząc między ławkami, potem zeszła ku katedrze. Vittorino zbliżył się do niej. Izabela zadrżała, przestraszona, że nie jest sama, a może dlatego, że ją nakryto.

- Izabela – powiedział. – To tylko ja.
- Nie jestem ślepa, tylko kulawa – odparła nadąsana.
- Nie przesadzaj. Jesteś proporcjonalnie zbudowana. To dolegliwość duszy, nie ciała.
- Mózgu. Doskonale wiem, nie musisz mnie pouczać.
- Ja też stale wracam do tej sali.
- Jest zagadkowa, prawda? – Izabela spojrzała na niego.
- Nie potrafię zrozumieć dlaczego.
- Ja też szukam powodu.

Ani razu nie wspomnieli o swoich obserwacjach z wykładu Dacortony, ale nie było wątpliwości, że oboje mówią o tym samym.

- Najlepiej ukryte tajemnice leżą na widoku – powiedziała Izabela.
- Ty jesteś tajemnicą.
- Jak każda kobieta. Przestań mnie kokietować. Szukaj. – Nie jąkała się wcale. Atak był daleko.

Uśmiechał się, obserwując jej krzątanie. Szukała przecież tego samego, co on. Co powodowało, że w tej sali wolno było więcej niż w innych salach? Dlaczego tutaj władza uczestników i Czuwających słabła?

– Co w tym pokoju jest oczywiste, ale inne niż w pozostałych salach ośrodka? – głośno myślała Izabela.

Nagle oboje spojrzeli na zasłony w oknach. We wszystkich innych salach i pomieszczeniach ośrodka okna były odsłonięte na szary półmrok nocy, a za nimi szalała nawałnica. Nie trzeba było ich przyciemniać, bo obraz z rzutnika i tak był dość kontrastowy. Po co więc ktoś zasłaniał okna akurat w tej sali?

Podbiegł pierwszy, a ona za nim, lekko utykając.

– Stop! Ioanneos, nie tak! – zatrzymała go. Zwróciła się do niego jego starym imieniem. – Zrób inaczej.

Spojrzał zdziwiony.

– Nie odsuwaj zasłon – powiedziała Izabela. – Spróbuj otworzyć okno.

Jedno z nich sięgało aż do ziemi. Vittorino nacisnął klamkę. Ustąpiła. Odsunął ciężkie skrzydło drzwi. Posypał się stary kurz, spadło trochę złuszczonego lakieru.

Oboje przysunęli się bliżej, by lepiej widzieć. Po drugiej stronie był jakby balkonik z żelaznych prętów.

Nie wystawał poza zarys budynku, ale chronił, by nieopatrzny widz nie przechylił się zaudto i nie wypadł.

Tak przywarli do jego prętów, że aż wpiły się w ciało. Po drugiej stronie otwarł się fascynujący widok. Znajdowali się na portalu katedry.

Po bokach i z góry widniały fragmenty innych rzeźb. Vittorino był posągiem nagiego potępieńca, który chylił się przed dręczącą go diablicą z wydatnymi rogami i płaskimi obwisłymi cycami. Naga i marmurowa Izabela kuliła się pod kuksańcami innego demona, starając się osłonić piersi przed ciosami wideł. Spojrzeli na siebie, a wtedy z oczu posypał się kamienny pył. Nie wolno zapominać o regułach z poradnika dla posągów. Vittorino domyślił się, że później zapłacą za to wewnątrz ośrodka jakąś dolegliwością wzroku. Można było patrzeć w dół, na plac katedralny, bez poruszania gałkami ocznymi. Posąg się nie kruszył, oczy nie bolały.

Trudno było wytrzymać nagłe przeniesienie się do innego świata. Vittorino cofnął się gwałtownie do sali wykładowej. Oprócz rozległości placu katedralnego pamiętał jeszcze blask



słońca, błękit nieba, białe skłębione obłoki, zupełnie inne niż te widziane przez inne okna ośrodka, a może jeszcze nawet parę gołębi, choć tego akurat nie był pewien.

Izabela patrzyła dłużej. Widział jej biodra i nogi, wyglądające zwyczajnie. Parę chwil wcześniej, oglądana od zewnątrz portalu, dziewczyna była posągiem.

Wreszcie i ona się cofnęła. Jednym ruchem starannie zamknęła za sobą drzwi.

– Czemuś zaraz uciekł? To było niezwykle.

– Pierwszy raz widziałem coś takiego.

– Ja widziałam to już kilka razy, ale nigdy w tym oknie. Schnie się od tego. Widok jest piękny, ale szkodliwy.

– Dlatego Eleonorze popękała skóra na powiekach?

– Tak. Teraz już unika tego widoku.

– Więc znaliście go już wcześniej?

– Oczywiście. Ja myślałam, że ty tego właśnie tutaj szukasz.

– Zawsze otwiera się w salach, gdzie wolno używać wszystkich słów?

– Nie zawsze, ale tylko w takich salach.

Zrobił ruch, jakby chciał odsunąć zasłony.

– Chcesz to zobaczyć przez szybę? – ożywiła się.

Uśmiechnął się do niej i podciągnął zasłonę.

Za oknem szalała nawałnica. Ołowiane niebo rozcinały co chwilę zygzaki błyskawic. Rozszalały żywioł chciał wypchnąć szybę. Kontrast był nadzwyczajny. Oboje głęboko nabrali tchu.

– Nie może być! – wyrwało mu się. Zrobił szybki ruch, jakby chciał otworzyć okno, by sprawdzić, który z wykluczających się widoków jest prawdą.

– Nie! Nie rób tego! – krzyknęła Izabela. – Rozpętasz coś naprawdę złego. Wystarczyło, że Eleonora dwukrotnie spojrzała tam w krótkim odstępie czasu, i dotąd nie może wyleczyć oczu. Ty chcesz zrobić coś znacznie gorszego. Chcesz wprost wytknąć im kłamstwo.

– Im?

– No, wiadomo... Uczestnikom i Czuwającym.

– Tak.

– I jeszcze jedno...

Spojrzał na nią uważnie.

– Nie mów o tym Prosperowi. Jemu jeszcze nie można zaufać. Mógłby zaszkodzić swoją wiedzą sobie i innym.

Od wejścia rozległ się hałas. Uczestniczka Horagwa, sapiąc, schodziła rząd za rzędem. Jej dziany surdut rozpiął się na wydatnym brzuszysku.

Odwrócili się do niej.

– No proszę... Tu się chowamy – zaczęła z uśmiechem ledwie wyglądającym spod grubej warstwy makijażu.

– Chciałem podnieść zasłony – powiedział Vittorino.

– A po co? A po co? Teraz błyskawic nie widać, a o tę ścianę opiera się burza.

– Aha – grzecznie odpowiedział Vittorino.

– Nie wolno kryć się po salach w przerwach między wykładami – zganiała Horagwa. – Z koleżankami można rozmawiać na korytarzu – dodała konfidencko.

Oboje uśmiechnęli się do niej znacząco.

– Prosto się ostatnio trzymasz – powiedziała do Izabeli.

– Myślę o kąpielach błotnych na moją chorobę lunatyczną, ale jeszcze się nie zdecydowałam.

## **71 *Nieistniejąca katedra w Lugdunum***

*(Vittorino, Eleonora)*

Vittorino nie miał wątpliwości, że właśnie znalazł wyjście z ośrodka. Sala wykładowa była na jednej z najwyższych kondygnacji, a on szukał wyjścia z ośrodka w górę. Światło, piękne niebo, obłoki, to były wyznaczniki wskazujące, że tamtędy wiedzie prawdziwa droga. Polował na Eleonorę. Wydawało mu się, że ona wie najwięcej, na pewno więcej niż Izabela.

Znalazł ją w końcu w kafejce, znowu siedziała przy szklance gorzkiej kawy. Zamieszała ją aluminiową łyżką i rozlało się trochę spienionego naparu. Teraz brunatna warstwa zasychała na gorącym szkle.

Zmrużyła oczy w uśmiechu, kiedy się do niej przysiadł.

– Goją się? – spytał grzecznie.

– Tutaj nic się nie goi. Przynajmniej nie jest z nimi coraz gorzej.

Pokiwał głową.

– A ty jesteś rozanielony, jakbyś Danilę spotkał.

– Gdybym spotkał Danilę, tobym za nią poszedł. – Zirytowały go jej kpiny.

– Dobrze. Nie gniewaj się. Powiedz, o co chodzi.

– Wyrząłem przez okno w tej sali, gdzie wykładał Dacortona, pamiętasz?

– Deszczyk zmoczył?

– Wiesz, ona istnieje.

– Kto? Co?

– Katedra w Lugdunum. Oboje z Izabelą wyszliśmy aż na jej portal – powiedział. – Byliśmy rzeźbami na tym portalu. Dwojgiem cierpiących potępieńców.

– Wiem bez wątplenia, że katedra Świętego Landeberta w Lugdunum została zburzona.

– Widziałem tam przechodzących ludzi, gołębie na placu katedralnym. Jak można wyglądać z portalu nieistniejącej katedry?

– A jak można patrzeć oczyma posągu, formy przecież tylko wykutej w kamieniu?

Nie znalazł odpowiedzi. – Może pójdziemy razem popatrzeć? – zaproponował.

– Ale po kawie. Podobno po wypiciu określonej liczby kaw przestają je wydawać alumenowi. Nie chcę ani jednej zmarnować. – Celebrowała swoją.

Niecierpliwie czekał. Często nie wiedział, czy Eleonora mówi poważnie, czy żartuje. Co miałyby być kryterium wydawania kawy w kafeterii? Długość pobytu w ośrodku? A może jakość powiedzianych seminariów?

Vittorino chciał znowu przeżyć to niezwykle połączenie światów, kiedy w jednej części stawał się marmurowym posągiem na portalu katedralnym, a w części drugiej pozostawał normalnym alumenem w ośrodku.

Wreszcie tam poszli. Sala pozostawała pusta. W środku było ciemno, bo zasłony nie wpuszczały nawet światła błyskawic.

– Dlaczego ta sala jest pusta? – zdziwiła się Eleonora.

– Tak?

– Między wykładami zawsze w salach kręcą się uczestnicy. Ta jest wyjątkiem.

– Może właśnie dlatego. Popatrz... – Podeszedł do okna i z trzaskiem przekręcił klamkę.

Wrażenie było jak poprzednio bardzo mocne.

Oboje wychylili się z kamienia. Tym razem rozświetlony plac pokrywały płaskie kamienne płyty, dziwnie odziani ludzie podążali w sobie znajomym celu. Przejechał żółty autobus, po nim drugi. Było wilgotno po lekkim majowym deszczu. Niebem sunęły gęste chmury.

– Dosyć – powiedziała.

Oboje cofnęli się do środka.

– Widzisz, jaki piękny widok? Nie pamiętam, kiedy coś takiego ujrzałem poprzednio.

– Dziesiątki albo setki lat temu, kiedy byłeś jeszcze po tamtej stronie.

– Tam jest pięknie.

– Zapłacisz za to swoją cenę. Ja schnę. Nie wiadomo, co się stanie z tobą. – Eleonora cofnęła się jeszcze bardziej.

– Jestem posągiem na katedrze. Coś pięknego.

Eleonora nie dzieliła jego radości. – Przypomnij sobie, co zobaczyłeś – powiedziała.

Dzisiejszy widok był inny niż ten za pierwszym razem. Jeszcze piękniejszy. Cudownie przezroczyście niebo, widok nieco tylko ograniczany sąsiednim wzgórzem, na które wspinały się domy. W tym pięknie jednak coś niepokoiło. W najbliższym otoczeniu brakowało innych rzeźb panelu Sądu Ostatecznego, brakowało pilastrów, fryzów, innych motywów architektonicznych.

Pod ich stopami nie istniała żadna kamienna powierzchnia płaskorzeźby, nic. Jakby oboje unosili się w powietrzu. Gdy zaś spojrział wprost w dół, widział taki sam plac i przechodniów w skrócie perspektywicznym, jakby byli oglądani dokładnie pionowo z góry.

– Teraz rozumiesz? – rzuciła surowo Eleonora. – Tej katedry nie ma. Ona nie istnieje. Została zburzona. To inne miasto, oni pozbyli się tej katedry, bo jej nie chcieli. Nie odbudowali jej po zniszczeniach zadanych przez fanatyków.

– My jednak na czymś stoimy, choć to niewidzialne i wydaje się tak kruche i ułudne. Porządki światów się mieszają. Ta katedra nadal tam stoi. To katedra naszych serc – odpowiedział, zamknął okno i przekręcił klamkę.

72    *Dacortona gasi zapal*  
(*Dacortona, Vittorino*)

Vittorino jeszcze raz wrócił do tej sali. Trafił tam w czasie wykładu Vaca Tayrity. Tym razem jednak zasłony były rozsunięte, a za oknem szalała nawałnica. Na sali zauważył Rajgę i Baldugę. Obie uczestniczki sprawdzały czystość sali po wykładzie. Rozrzuconych papierów nie znalazły i poszły sobie. Vittorino zaczekał i zasunął zasłony. Po otwarciu okna w twarz uderzył gwałtowny poryw wiatru, w powietrzu rozniosły się rozpylone krople wody. Ziąb przeszedł po kościach.

Bez wątpienia tajemnicze okno poza świat ośrodka już się zamknęło. Żeby się stąd wymknąć, trzeba szukać innego wyjścia. Znakiem rozpoznawczym może być nieobecność uczestników w pobliżu takiego miejsca.

W lustrze łazienkowym z niepokojem zauważył wśród ciemnych włosów na skroniach pierwsze nitki siwizny. Ostatnio znacznie podłysiał, kiedy pochylił głowę do przodu, włosy na ciemieniu nie tworzyły już zwartej gęstwy, lecz zaledwie przerzedzony zagajnik. Z pewnością miał na czubku prawie bezwłose kółko. Ciężkie przemęczenie zryło głębokimi bruzdami zmarszczek jego twarz. Pierwsze oznaki starzenia się przypominają przemęczenie. Twarz zmieniła się, skóra jakby opadła. Szczególnie źle to wyglądało na szyi, gdzie zwisał drugi podbródek, chociaż Vittorino ani trochę nie przytył.

Przynajmniej wreszcie spotkał Dacortonę. Po prostu któregoś wieczora usłyszał znajome pukanie. Uchylił drzwi i ujrzał przyjaciela.

Stary słuchał, sam mówił mniej.

Vittorino zaczął od tłumaczeń, dlaczego Dacortonie pierwszemu nie wspomniał o pomysłe ucieczki. Faktycznie mógł to zrobić już wcześniej.

Stary machnął ręką. Już wiedział o ich planie.

– Danila przyszła po ciebie. Serce by ci pękło, gdybyś za nią nie poszedł. Człowiek zawsze pójdzie za aniołem. Może wyznaczono dla ciebie inne zadania, którym masz podolać, a ona tylko miała ci to oznajmić? Może masz już opuścić ten nasz mały świat, naszą płaskorzeźbę?

– Cóż można robić w płaskorzeźbie? Spotykać się, rozmawiać, niewiele więcej. I tak przez całą wieczność.

– Nie sędę, żeby to było miejsce wiecznego pobytu, raczej spokojny przystanek dla wytchnienia, odświeżenia się dla niektórych, a przerwa w cierpieniach dla innych. To faktyczny *Il Refrigerio*.

– Inni też chcą ze mną uciekać.

– Raczej nie wybiorę się z wami...

– Mistrzu...

– Nie wszystko w waszym planie mi się podoba.

– Że chcemy uciekać we cztery demony?

– Cokolwiek dla nich dobre, niekoniecznie dobre dla ludzi.

– Mam osobę, której można by zaproponować ucieczkę. To Eleonora. Ona samodzielnie poznała wiele z tego, do czego i my doszliśmy.

– Eleonora bardzo się ostatnio postarzała. Ty zresztą też.

– Tak...?

– Ta jej przyjaciółka, Izabela, jeszcze gorzej wygląda. Wyszła jak mumia.

– To bardzo ładna dziewczyna – zaprotestował Vittorino.

– Widziałeś ją ostatnio?

Nie odezwał się.

– Obserwowałem ją na wykładzie. Przyszła z najwyższym trudem, pod rękę z Eleonorą. Tutaj nikt nie choruje, więc obawiają się chorej. Nawet Prosper jej obecnie unika.

– Nie spotkałem jej od tamtego razu.

– Jakiego razu?

– Kiedy znaleźliśmy wyjście. Nie powiedziałem ci jeszcze o najważniejszej rzeczy.

Dacortona skinął głową. – Tak myślę.

– Wyjście z ośrodka było w tamtej sali, gdzie wykladałeś o ucieczce demonów z polipptyku Rogeleta de la Pasture.

– Było...?

– Tak, bo już się zamknęło. Ale powiem po kolei... Najpierw zadziwiło mnie, że pozwolili na taki wykład, potem zauważyłem brak na nim uczestników i *nutritores*.

– Mnie samego to też zdziwiło.

– Później zacząłem szukać w tej sali czegoś szczególnego. Spotkaliśmy się tam z Izabelą. Ona szukała tego samego.

– Eleonora też to znalazła...? – spytał domyślnie Dacortona.

– Tak... ale...

– Mów wszystko.

– Wyjście z ośrodka to okno zasunięte zasłonami. Wystarczyło je odemknąć i pokazywał się widok prawdziwego świata. Słoneczny dzień, chmury na niebie, rozległy plac, po którym spacerowali dziwnie odziani ludzie, dziwne pojazdy. Pięknie i jasno. Obok widać było inne rzeźby z przedstawienia Sądu Ostatecznego. Sam czułem się jedną z rzeźb, posągiem, dla którego napisano poradnik.

– Spozregłeś podobieństwo którejś twarzy?

– Uczestniczka Balduga... – Vittorino zachichotał. – Ją trudno pomylić z kimkolwiek. W swojej prawdziwej, demoniej postaci, wyglądała jeszcze paskudniej niż zwykle.

– Jak chciałeś wyjść tamtędy?

– Zwyczajnie. Rozpierała mnie sprawność fizyczna. Myślę, że zdołałbym się wspiąć po innych rzeźbach.

– Rzeźba wspinałaby się po innych rzeźbach? Rozpierał cię entuzjazm, a nie szczególna siła. Spadłbyś właśnie jak rzeźba, która odpadła z fasady, i roztrzaskał się o bruk tego placu.

– Tam były gładkie płyty.

– Obojętne... – Dacortona machnął ręką.

– Drugi raz było gorzej.

– Był drugi raz? – Dacortona zaniepokoił się.

– Wróciłem tam z Eleonorą. Po otwarciu okna oboje jakby wisieliśmy w przestrzeni, jakby katedra i płaskorzeźba nie istniały. Eleonora twierdzi, że ta katedra została zburzona.

– Może już ją odbudowali?

– Jeśli wspinaczka jest niebezpieczna, to można przecież sporządzić sznury z prześcieradeł i spróbować opuścić się poniżej poziomu płaskorzeźby.

– Po tamtej stronie byłbyś posągiem. Obojętne, czy chciałbyś się wspiąć w górę, czy opuścić w dół.

– To gdzie jest moje ciało...?

– Nie wiadomo, czy w ogóle się jeszcze zachowało. Kontakt z tamtym światem powoduje, że twoja tutejsza postać upodabnia się do tamtej. Dlatego tak gwałtownie się postarzałeś. Może w ogóle twoje ciało już nie istnieje?

– Izabela i Eleonora wyglądały na plac katedralny już w przeszłości, a nadal są piękne.

– Mówisz, że schną jak mumie. Może to ich tamtejsza postać. Dlatego mogły zachować tak dobrą pamięć, pamięć ciała.

– Ależ znalazłem się w niebezpieczeństwie... – zdał sobie sprawę Vittorino. – Mogłem stracić nawet to, co dotąd zachowałem.

– Trudno jest powstrzymać się od patrzenia na tamtą stronę.

– Stąd się wzięła twoja siwizna, mistrzu...? – spytał domyślnie.

– Tak. To jest prawdziwy powód starzenia się w ośrodku. Niszczące pragnienie ujrzenia drugiej strony. Chciałem to przed wami ukryć jak najdłużej, bo to groźniejsze niż najmocniejszy narkotyk.

– Na długo to ukryłeś przed Quentem i Cavernatą.

Dacortona pokiwał głową potakująco.

– Bez wątplenia różne wyjścia prowadzą z ośrodka, ale nie każde z nich jest bezpieczne. Wyglądając przez wyjście do dawnego świata, postarzeliście się niepotrzebnie, jednak wybierając dolne wyjście, przepadłbyś zupełnie.

Vittorino nie odezwał się.

– Natomiast pomysł, że wyjścia należy szukać w miejscu koniecznie unikany przez uczestników i przez Czuwających, wydaje się trafiony.

### **73    *Nawiedzenie chorej Izabeli***

*(Vittorino, Eleonora, Izabela, ekipa sprzątających uczestników)*

Gdy wreszcie spotkał Eleonorę, z trudem ją poznał. Jej szykowna biała bluzeczka była pocerowana w bardzo wielu miejscach. Szwy przebiegały w kilku poziomych liniach, jakby zbutwiała tkanina darła się, gdy tylko Eleonora pochyli plecy, przysiadając. Zamiast bieli bluzka była nieco kremowa, przyżółcona, wisiały wystrzępione nitki. W ciemnych włosach Eleonory bielilo się sporo siwizny.

– Masz ochotę na kawę?

– Nie wiem, czy mi się nie wyleje przez dziurawy podbródek.

– Nie przesadzaj.



– Wreszcie zaczynam wyglądać na tyle lat, ile naprawdę mam – powiedziała.

– Ja też straciłem sporo młodości.

– Dla mężczyzny to mniej ważne. – Wzruszyła ramionami. – Kobiętę ocenia się na podstawie wieku, a ja mam setki lat.

– Ja pewnie też.

– Gdybym starła makijaż, naprawdę byłbyś mną przerażony. Dziury w powiekach, dziury na czole, dziury w podbródku.

Patrzył na jej twarz, ale nie dostrzegał tych zniszczeń.

– Piersi mi przysychają do żeber. Nie chciałabym ci się przyśnić drugi raz. Jedyne pożytek z tego to guzek, który zmalął i stwardniał na kość.

– No widzisz.

– Przynajmniej zęby mi nie brązowieją, tylko zostały białe.

– To wszystko przez tamten widok.

– Wiem.

– Ty przecież już wiele razy wyglądałaś na tamtą stronę. Szkody po tym nie cofają się?

– Bardzo wolno, jeśli w ogóle. Izabela wygląda jeszcze gorzej. Z trudem wstaje z łóżka. Przykurcz się nasilił, że prawie nie może ruszać głową.

– Chodźmy do niej. Może chce pogadać.

– Nie wiem, czy jest w pokoju. Wstaje, kiedy ja śpię, śpi, kiedy wypadają moje zajęcia. Nawet rytmyienne nas dwóch się rozjechały, chociaż dotąd wydawało mi się, że skoro nas razem kwaterują, to chcą, żebyśmy razem spędzały czas.

– Może czuć się skępowana, że ją ujrzałem roznegliżowaną we śnie.

– Nie będzie skępowana. Już ją widziałeś i dotykałeś nie raz, i we śnie, i na jawie. Teraz Izabela trochę wychudła i zbrzydła, ale da się ją poznać.

Poszli do ich pokoju.

Zasłony były zasunięte. Izabela leżała na łóżku wyłożonym perełkowatymi kamyczkami poprawiającymi krwiobieg. Tylko biodra miała przewiązane krótkim prześcieradełkiem. Wyraźnie zaznaczały się jej wystające zębra. Łydki schudły tak bardzo, że uwidaczniały się piszczele, a biodra podkreślały kształt skrzydeł kości biodrowej. Głowę przyciskała do lewego ramienia, a cała lekko drżała.

– To ty, Prosper?

– To Ioanneos.

– Czemu Prosper nie przychodzi?

– Nie mogłam go spotkać – odpowiedziała Eleonora.

W pokoju rozchodził się lekki, stęchły zapach, chociaż było czysto i schludnie, nie jak wtedy w mroku, gdy trafił tutaj, wędrując przez niebyt łazienki.

Domyślił się, co się dzieje. – Poleciliście powiesić zasłony na oknach?

– Łaziebna sama powiesiła.

– Nie kłam, Eleonora – powiedziała cicho Izabela. – To ty powiedziałaś jej, że czujesz się naga, śpiąc przy odsłoniętych oknach.

– Okno do tamtego świata jest jeszcze otwarte?

– Nie wiem – powiedziała Eleonora. – Rano jeszcze było.

– Wyglądaliście przez nie?

– Wielokrotnie.

– Dlaczego to robiłaś? Przecież w krótkim czasie stracisz wszystko, co tutaj miałas. Twoje postaci z obu światów dążą, by się uzgodnić. Stracisz swój wygląd z ośrodka, a może w ogóle stracisz swoją postać.

– Wiem. Skoro się nie rozpadłam po tylu razach, to znaczy, że i po tamtej stronie jeszcze się nie rozpadłam.

– Może i tak, ale szybko przestaniesz być piękną, młodą kobietą. Izabela też.

– Nie potrafię się powstrzymać.

– Nikt nie potrafi. Trzeba oddać zasłony, to przejście samo się zamknie. Sama sprowadziłaś tu pokusę. Okien możesz nie zasłaniać, bo poza ośrodkiem nikogo nie ma, nikt cię nie podejrzy wbrew twojej woli.

– Ośrodek jest dla mnie zbyt niebezpiecznym miejscem. Gdybym mogła, chciałabym stąd odejść – rzekła Eleonora. – Widok zza zasłoniętego okna obudził tęsknotę, której nie potrafię ugasić. Będę śledzić po wszystkich pomieszczeniach, czy przestali do nich zaglądać uczestnicy, czy umilkł w ścianach szmer Czuwających, i sprawdzać, czy akurat w oknach nie powieszono zasłon, dzięki którym można zajrzeć poza świat. Czuję, że to mnie zniszczy, ale nie wytrzymam bez tego widoku.

– A ja nie odeszłabym stąd – powiedziała Izabela. – Tutaj lepiej wyglądam i lepiej się czuję niż po tamtej stronie. Za często mi się śniło zamykanie wieka i wbijanie w nie gwoździ. Tam jest

piękniej, ale tutaj ja jestem piękniejsza. Może po jakimś czasie miną mi dolegliwości i znowu skończy się tylko na sporadycznych atakach choroby lunatycznej.

Nagle z impetem otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła ekipa sprzątających. Vittorino i Eleonora odruchowo odsunęli się na bok. Izabela zasłoniła piersi skrzyżowanymi ramionami. Niewysoki uczestnik w gumowym fartuchu, zielonym jak laserunki Quentina de la Cadavre, rozejrzał się badawczo. Wciągnął powietrze i poruszył wargami.

– Gylhab – mruknął pod nosem. Szybko podbiegł do umywalki, wlał do niej porcję detergentu i roztarł go jednym ruchem szmatki trzymanej w drugiej dłoni.

Zbyt duży nos, zbyt krzaczaste czarne brwi, jak obce zwierzęta poruszające się na jego twarzy. Głowa o niezwykle wyrazistych rysach i wystających wałach nadoczodołowych została jakby przełożona od znacznie większego ciała, może od mężczyzny wzrostu Vittorina czy nawet Prospera. Uczestnik chwilę jeszcze badawczo się rozglądał, marszcząc nos i łapczywie wciągając powietrze, wreszcie zakręcił się w miejscu i wyszedł, nie zamykając drzwi.

Zaraz po nim wparowała niewysoka, dość tęga uczestniczka o bezbarwnych włosach, również w zielonym, gumowym fartuchu.

– Ona już nie wstaje?! – rzuciła, wskazując na Izabelę.

– Zaraz pomożemy jej się podnieść – powiedziała Eleonora.

– Nie trzeba. Poradzę sobie.

W dwa kroki uczestniczka podbiegła do Izabeli i zdarła z niej chustkę przepasującą biodra. Izabela opuściła ręce, osłaniając nagie przyrodzenie. Nawet tam straciła wszystkie włosy.

– Czemu nie leży na prześcieradle? – rzuciła sprzątająca.

– Te ziarenka lepiej masują skórę – powiedziała Izabela.

– Do czasu. Wreszcie zaczną od nich robić się dziury w skórze, to się ona przeprosi z prześcieradłem.

Nie odezwali się.

Sprzątająca zebrała wszystkie cztery prześcieradła duże i dwa mniejsze prześcieradła do spania.

– Zaraz przyniosę nowe. Nie sączy się skóra? – rzuciła do Izabeli.

– Nie.

– Wysycha i bieleje?

Eleonora pokiwała głową.



– Chcecie zasłony do okna?

– Nie!! – krzyknęli zgodnie Vittorino i Eleonora.

– A leżąca też nie chce?

– Nie – szepnęła Izabela.

Sprzątająca pokiwała głową i zniknęła na korytarzu. Zaraz wróciła, rzucając na łóżko Eleonory stertę prześcieradeł.

– Przewiąż mi biodra – powiedziała Izabela. – Jak znowu wejdzie nieznajomy, nie zdołam się całkiem osłonić.

Vittorino rozumiał teraz, jakim wyróżnieniem dla niego było to, że Izabela dopuściła go do niektórych tajemnic jej ciała.

Ledwie Eleonora skończyła zawijać jej biodra nową chustką, do pokoju wbiegł kolejny uczestnik, ciągnąc za sobą odkurzacz. Był niski, pulchny, miał rzadkie czarne, tłuste włosy i żółtośniadą cerę. Jego zielony, służbowy fartuch nosił kilka brunatnych plam. Podobnie jak pierwszy, również i ten rozglądał się badawczo, chociaż jego tłusta, nalana twarz pozostawała nieruchoma. Energicznie przejechał odkurzaczem po podłodze. Parę razy sięgnął pod łóżka.

– Stęchlizna, stęchlizna... – zamruczał. – Mało co czuć tego u was. Obie chude, białe, twarde, tak...? Nawet skóra nie pęka?

– Pęka – powiedziała Eleonora.

– Dobrze. Dodam trochę kremu.

Za chwilę wrócił i wręczył Eleonorze szklany słoik, do połowy wypełniony białawą mazią.

Gdy tylko gwałtownie zamknął za sobą drzwi, w pokoju ucichło.

– Często tak przychodzą? – spytał Vittorino. – Ja nie spotykam ich prawie nigdy.

– Regularnie co pięć dni – powiedziała Izabela. – Szarpnęła ze mnie tę chustę, jakby mi chciała tyłek oderwać...

– Prawie już nie masz tyłka – powiedziała Eleonora.

– Ee... na pewno jeszcze coś zostało – zawstydziała się Izabela.

## **74 Gumphis subtilibus**

*(Vittorino, Honoriusz Scholastyk)*

Na korytarzu, w przerwie wykładów, Vittorino dostrzegł zgarbioną sylwetkę Honoriusza Scholastyka. Nutritor też go zauważył i sam podszedł.

– Spokój zapanował wokół ciebie – powiedział Honoriusz.

– Tak? – Vittorino nie zrozumiał.

– Naprawdę niczego nie zauważyłeś?

Vittorino zrobił taką minę, że nutritor się roześmiał.

– Pozostałeś centrum wydarzeń, ale wszystko inne uległo zmianie. Spotykasz ludzi, których chciałbyś spotkać, z dala od ciebie trzymają się uczestnicy i *nutritores*. Kiedy ostatni raz widziałeś m'Beleha?

Vittorino pokiwał głową.

– A kiedy miałeś ostatnią godzinę integracyjną?

– Nie pamiętam.

– Właśnie. Uważam, że nie udało im się udaremnić skutków przybycia Danili do ośrodka.

– Czy to oznacza, że jeszcze kiedyś ją zobaczę?

– Nie wiem. Nie wiem też, co ma nastąpić.

– Planujemy ucieczkę.

– Powiedział mi to Dacortona. Pomyśl, by naśladować ucieczkę czwórki demonów, też nie jest zły. Wykorzystuje ich skuteczność, nie inne przymioty, więc może i wam przynieść sukces.

– Może nas nawet być pięcioro. Oprócz mnie Quent, Cavernata i Eleonora. Dacortona jeszcze się waha.

– Skoro się zdecydowałeś zabrać ich wszystkich ze sobą...

– Ja...?

– No tak. To ty, Vittorino, jesteś centrum obecnych wydarzeń wewnątrz płaskorzeźby.

– Nieistniejącej płaskorzeźby.

– Może kiedyś zostanie odtworzona i dlatego wszyscy w niej jakoś tymczasowo egzystujemy, chociaż jej na razie nie ma...?

Rozmawiali półgłosem. Opinia Honoriusza opinią, ale w ścianie mógł przecież czaić się jakiś Czuwający.

– Natrafiliśmy na fałszywe wyjście wiodące z powrotem do minionego świata – powiedział Vittorino.

– To oczywiste. Zauważyłem, że się postarzałeś.

– Nie da się tego odwrócić?

– Ciało z duszą spajają gwoździki subtelne, *gumphis subtilibus*. Tak delikatne, że nie mają one materialnej natury, bo w przeciwnym razie ich znalezienie byłoby dowodem wyprowadzającym żyjącego z niepewności koniecznej. Fakt śmierci, przejścia na tę stronę, poważnie naruszył naturę owych gwoździków. Niektórzy z nas, z przebywających w ośrodku, może w ogóle ciała już nie mają – ich ciała już zupełnie rozsypały się w proch. Tkwimy w jakimś

miejscu przejściowym, skąd można zerknąć z powrotem na tamten, pierwszy świat. Może dlatego pojawiła się ta dziwna interakcja, że obraz człowieka niesiony oczyma jego duszy po każdym zetknięciu ze światem poza płaskorzeźbą stara się upodobnić do tego, co zostało z ciała właśnie tam, po drugiej stronie.

– Więc to właśnie *gumphis subtilibus* sprawiają, że starzejemy się w ośrodku?

– Tak myślę.

– Czy stąd wzięli się ci *alumenes* nieopuszczający swoich pokoi? Eleonora mówiła, że spotykała ich w swoich wędrówkach.

– Może tak być. Izabela jest już jedną z nich, chociaż nie straciła nawet swojej odzieży.

– Izabela powiedziała, że jej się poprawi, że wcześniej już była w tak złym stanie i to się cofnęło.

– Moim zdaniem ona się ludzi. Nie słyszałem, żeby komuś się poprawiło, chociaż bardzo bym się ucieszył, znowu widząc ją na sali wykładowej. Lubię Izabelę.

– Co więc czeka tych, co się rozsypią w proch? Nie spotykamy tutaj ludzi wyglądających jak mumie.

– Może się kryją po swoich pokojach, szczelnie otuleni prześcieradłami? Może z ich prochu uczyniono meble, sprzęty, rzutniki, ekrany i tablice w ośrodku...? A oni sami zapadli w sen bez marzeń, oczekując na dzień Sądu? Kto wie.

Vittorino milczał, porażony słowami mistrza. Jak siadać na krzesłach? Jak chodzić po korytarzach ośrodka, jeśli depta się być może prochy innych alumenów, towarzyszy losu? Tych, którym tęsknota nie pozwoliła oderwać oczu od minionej strony ich egzystencji?

– Zniszczyła ich tęsknota – powiedział. – A ja też tęsknię bardzo mocno. Czy jestem też zagrożony jak i oni?

– Co im grozi? Śpią w prochu, czekają w ciszy. Bez upokorzeń godzin integracyjnych, bez złośliwości uczestników.

– Mną włada miłość nie do zaspokojenia – powiedział szczerze Vittorino. – Jestem bezbronny, jak ci wszyscy, co zbyt często zerkali na tamtą stronę.

– Ale ty nie pragniesz wyglądać na plac katedralny za wszelką cenę, prawda? Nie tęsknisz, by godzinami gapić się na białe obłoki sunące po błękitnym niebie. Wolalbyś patrzeć na kogo innego.

– Tak. Ja pragnę Danili. Choćby tylko znowu ją ujrzeć.

– Myślę, że Danila wiedziała, co robi, ukazując się ci odziana w ludzkie ciało. Miłość do Przedwiecznej jest ponad opór człowieka. Nie walcz, nie próbuj zapomnieć. Danila jest twoim aniołem stróżem i na pewno chciała dobra dla ciebie.

## 75 *Wyjście z ośrodka*

(*Vittorino, Rajga, Balduga*)

Vittorino wrócił do znużających obserwacji. Metodycznie szukał wyjścia z ośrodka. Zastanawiał się, w którym miejscu nigdy nie znajdzie żadnego z uczestników. Godzinami bacznie obserwował ich zachowanie w różnych lokalizacjach w ośrodku. Sale wykładowe odpadały. Do pokoiw alumenów na ogół nie udawało się dotrzeć, więc jeśli w którymś z nich ukryte jest przejście, to znalezienie go będzie naprawdę trudne. Z drugiej strony coś tak ważnego jak wyjście powinno być równie dostępne dla każdego z *alumenes*, natomiast pokój był intymną przestrzenią każdego, do której dostęp miały tylko ekipy sprzątających oraz zaproszeni goście. Stopniowo eliminował różne możliwości, gdy w tych miejscach spotykał uczestników.

Bardzo brakowało leciutkiego, ledwie wyczuwalnego powiewu anielskiego skrzydła. Brakowało, by Danila przywiała trafny pomysł.

Obecnie nieco trudniej było mu penetrować zakamarki ośrodka, ponieważ sytuacja zmieniła się w nieoczekiwany sposób. Otóż jego bliskości zaczęły szukać znajome alumeny i uczestniczki. Rajga dopadała go na korytarzu i długo z nim rozmawiała. Długo niewidziana Katren kilkakrotnie podeszła i zagadała o materiały do wykładu. Uważał ją za normalną alumenę, ale odkąd okazało się, że niektóre sny informacyjne są fałszywe, nie miał takiej pewności. Brenda nie rozmawiała z nim, odkąd przyniosła mu rycinę z monografii, lecz kilkakrotnie pojawiła się w jego pobliżu. Nawet odpychająca Balduga z daleka posyłała zachęcające spojrzenia. Może tylko Agata na trwale zniknęła, bo od bardzo dawna jej nie widział. „By oddzielić ją ode mnie, Danilę oblegali to Rehot, to Vargal albo Sarpata, czy wreszcie najbardziej nieznośny z nich, ten Zuyaster”, pomyślał Vittorino. „A ja od czego lub od kogo mam zostać oddzielony?”

Rajga gdzieś zgubiła nutritora m'Beleha i szczególnie często snuła się za Vittorinem, jednak właśnie to nasunęło pomysł skutecznych poszukiwań. Zaczął oto właśnie z nią spacerować po



ośrodka. Oglądać korytarze, sale wykładowe, ćwiczenia teatrzyku amatorskiego. Przecież ona nie podejdzie blisko wyjścia z ośrodka.

– Nie chciałbyś dołączyć do ich prób? – spytała Rajga.

– To nie dla mnie. Wolę łązić i rozmyślać. Ćwiczenia fizyczne wydają mi się zbyt ciężkie. Tylko ubranie szybciej się ściera.

– W czasie prób ubranie im się nie ściera.

Kiedyś spacerował z nią w pobliżu obrotowych szklanych drzwi poziomu zerowego, rozmawiając o nowym wykładzie Vaca Tayrity. Wywody opiekuna alumenów z nieznanymi powodami fascynowały Rajgę. Rozwodziła się nad wspaniałością argumentacji, a Vittorino cierpliwie potakiwał. Nieustannie zachwycała się zdjęciem pomnika babci dźwigającej świat dzięki kompotom. Pamiętał to przeżycie ze wszystkich wykładów Tayrity, w tym ostatnim wykładzie też nie było nic nowego. Rajga nie cichła, a nie wypadało się oddalić od uczestniczki, która zaszczycła swoją rozmową alumena. Wkrótce Vittorino był już zmęczony jej natrączywymi zachwykami nad koszmarnym wywodem.

– Może pospacerujemy po dziedzińcu? – zaproponował. – Akurat przestało padać.

– W żadnym wypadku! – uniosła się Rajga. – Nie muszę wychodzić na ten ziab!

– Nie musimy tam chodzić. Nie denerwuj się. Fascynuje cię sposób argumentowania Vaca Tayrity?

– Nie... no wiesz. Jak chcesz, to możesz się przespacerować po dziedzińcu. Nie zabraniam przecież. Ale ja się tam nie wybiorę, w ten ziab i w szarugę.

Skwapliwie uśmiechnął się i poszedł na dwór. Zaraz musiał się skulić pod uderzeniem wiatru. Nie chciało mu się akurat sprawdzać, czy dzisiaj samochody wyglądają normalnie, czy może ich koła wyrastają z betonu. Zadziwiła reakcja uczestniczki. Nie było przecież powodu, żeby się tak denerwować. Wystarczyłoby, gdyby Rajga zwyczajnie odmówiła.

Rozwiązanie nasunęło się samo: wyjście skrywało się na dziedzińcu. Vittorino zaczął więc go starannie badać. Nie było to łatwe, bo chwile bez deszczu zdarzały się rzadko. Przynajmniej jego samotności nikt nie zakłócał. Obserwacje musiał prowadzić dyskretnie, by nie zainteresować za dużo żadnego uczestnika ani co gorsza jakiegoś Czuwającego, tym bardziej że nikt nie wiedział, które okolice dziedzińca są przez nich kontrolowane. Jednak już sam widok samotnego spacerowicza na wietrze i mżawce musiał budzić u wielu duże zainteresowanie.

Vittorino sprawdzał szczeliny między płytami, stąpał specjalnie nierówno, żeby ruchoma płyta chodnikowa się przemieściła, odsłaniając wyjście. Kilkakrotnie nawet wsparł się rękoma o płot, może ustąpią jakieś wrota. Nic z tego. Nie mógł wskazać ani jednego miejsca wyglądającego podejrzanie.

Wreszcie za którymś spacerem nieoczekiwanie spotkał na dziedzińcu uczestniczkę Baldugę.

– Po co się ciągle szwendasz po dziedzińcu!? – zaczęła ostro. – Zimno, co chwilę leje, a ty stale tutaj spacerujesz. Wystarczy. Jeszcze przeziębisz się w tej cienkiej kurteczce.

Obecność Baldugi przekreślała hipotezę, że wyjście z ośrodka jest na dziedzińcu.

Vittorino zauważył jednak, że Balduga wyszła na dziedziniec kuchennymi drzwiami, nie głównymi, obrotowymi. Od razu podsunęło to kolejny pomysł.

Wracając z dziedzińca, skrzydło drzwi obrócił znacznie wolniej niż zwykle, zauważając małe drzwiczki, tak wąskie, że można by przez nie przejść tylko z najwyższym trudem. Nie miał wątpliwości. Wyjście z ośrodka znajdowało się wewnątrz obrotowych drzwi. „Wystarczy”, powtórzył w myśli słowo Baldugi.

## **76    *Oczyszczenie postaci przed opuszczeniem ośrodka***

*(Vittorino, Honoriusz Scholastyk)*

Od chwili znalezienia wyjścia Vittorina rozpierało uczucie euforii. Płomyk nadziei tlił się w nim od chwili, gdy uświadomiono mu, że nie żyje. Teraz już samo rozmyślanie o możliwych perspektywach opuszczenia dotychczasowego, ciasnego i ograniczonego lokum wywoływało żywe bicie serca i bezsensowność. Nadzieja, że znów mógłby spotkać Danilę, była motorem nie do zatrzymania. Motorem, który kierował jego postępowaniem.

Kilkukrotnie zmókł na dziedzińcu tylko po to, żeby sprawdzić, czy tajemnicze maleńkie drzwiczki dalej tam istnieją. Zmarzł, przemókł, bo trzeba było uzasadnić przejście przez drzwi obrotowe chociaż krótkim spacerkiem po dziedzińcu, ale nie potrafił sobie odmówić przyjemności ponownego obejrzenia wyjścia. Drzwiczki istniały, ale były bardzo wąskie. Trzeba będzie pewnie przeciskać się przez nie bokiem. Może drobniejsza Eleonora dałaby radę przez nie przejść zwyczajnie.

Chciał koniecznie jeszcze raz spotkać się z Honoriuszem Scholastykiem. Ten mistrz wiedział najwięcej o ośrodku i innych miejscach możliwych do osiągnięcia. Oczywiście Vittorino nie znał numeru pokoju Honoriusza, jednak snuł się po korytarzach, wypatrując znajomych okularów w grubych rogowych oprawkach i błyszczącej ponad nimi łysiny nutritora.

Czasami nie spotykał go przez setki dni, jednak obecnie Honoriusz sam też chyba polował na Vittorina. Spotkali się na korytarzu i od razu zaczęli rozmowę o planie ucieczki.

– Przed opuszczeniem tego miejsca musisz starannie oczyścić swoją postać – powiedział Honoriusz Scholastyk.

– Co to znaczy? – Vittorino gubił się, gdy mistrz mówił symbolami.

– Każdy z nas jest konglomeratem istot. Tu w ośrodku nauczono mnie, że mieści w sobie nieprzebrane rzesze bakterii. Sam wiedziałem już wcześniej o zwierzętach zamieszkujących nasze ciała, o pasożytach.

– To jest istotne? Żeby nie unieść ze sobą jakiegoś zwierzęcia w rejony, gdzie nie wolno im przebywać?

– Nic takiego. Nie wolno stąd zabrać kogo innego...

– Jego? – Vittorino nie chciał użyć słowa, które przyciągnęłoby czyjąś uwagę. – Jednego z nich?

– Właśnie.

– Jakżeż może się zmieścić w moim ciele tak duża istota?

– One nie mają rozmiaru. Mogą odziać się w różne ciała. Zarówno wielkie, jak i małe.

– Jak go poznać?

– Najpierw trzeba rozpoznać imię twojego uczestnika prowadzącego.

– Są tu jakieś wskazówki?

– To bies pomniejszy, pogardliwie traktowany przez swoich wielkich kolegów. Czyni zło małe, skarłale, lecz nieznośnie przykre. Zdaje sobie sprawę ze swojej małości, ma mocny kompleks niższości. Stykasz się z nim. Pojawia się w twoich snach.

„To Balduga”, pomyślał Vittorino. „Moja uczestniczka prowadząca. Pełna wymaginowanych pretensji i zapiekłej, szarej nienawiści. We śnie o Sądzie nazywała się Jizoga”.

– Domyślam się, kto może nim być – powiedział.

– Ja też myślę, że to ona. – Honoriusz znał przecież opowieści Vittorina.

– Jak rozpoznać miejsce, w którym się kryje?

– Uczestnik prowadzący jest zamocowany w twoim ciele na trwałe. Żaden gigant, raczej osobnik wtórny, mały, towarzyszy ci przez całe życie. Na ogół takim wyznaczają pojedynczych ludzi jako zadania.

– To może być część ciała? Powiniennem się okaleczyć, by pozbyć się Jizogi?

– Na pewno nie. Pójście w górę nie może być połączone z niszczeniem własnego ciała. Ciało to nie tylko twoje odzienie, jak dla uczestników. To część twojej osoby. Wielokroć nam podkreślano, że w górę pójdziemy z ciałem. Na pewno nie powinieneś się okaleczać.

– Jeśli nie jest częścią mojego ciała, to czym w takim razie?

– Jakąś patologią. Czasem bywa to zaczerwieniona, zaogniona narośl na skórze. Przed próbą wydobywania się z płaskorzeźby trzeba to bezwarunkowo usunąć, wydrapać z siebie. Jeśli tego nie zrobisz, twój uczestnik prowadzący natychmiast doniesie na ciebie, a próba wydostania się z przedmiotu, z goszczącej nas płaskorzeźby, zostanie udaremniona.

– Czegoś jeszcze trzeba dopełnić?

– Tak. Oczyszczenie ciała należy przeprowadzić jak najkrócej przed opuszczeniem ośrodka, by uczestnik prowadzący nie zdążył na powrót zagnieździć się w twoim ciele.

– Powiedziałaś to samo Erwinowi?

– Tak – mruknął Honoriusz. – Ty jednak nie mów mi, jakie wyjście znalazłeś. Nie mogę wiedzieć.

Wieczorem, po zajęciach, w łazience Vittorino obejrzał swoją skórę przed lustrem. Czego szukać? Bolesnych pryszczycy, wystających i otoczonych zaczerwienioną skórą, miał kilka. Każdy z nich mógł być miejscem zagnieźdzenia uczestniczki prowadzącej. Wyciskać to było trudno. Niektóre były jakby niedojrzałe. Z dwóch innych udało się wycisnąć żółtą ropę. „Ona zagnieźdza się we mnie w wielu miejscach?”

Jeden z charakterystycznych pryszczycy był na przedramieniu, dwa na udzie, trzeci na plecach. „Zupełnie jakby wbiła mi dwa szpony w udo, a ramionami schwyciła za moją rękę i korpus”, pomyślał. Zaraz stracił przekonanie do tej hipotezy. To przecież zaledwie zwyczajne lokalne zakażenia skóry, jakich wiele wcześniej i później. Jizoga powinna być lepiej zakotwiczona.

Dalej badał wygląd swojej skóry. Ostatnio zestarzał się znacznie. Pojawiło się sporo brunatnych znamion na wierzchach dłoni i przedramionach. Skórę rąk spowiła siateczka

drobniutkich zmarszczek. W lustrze rysowało się widoczne kółko łysiny. Nie. Nic z tego. To są zmiany drobne, oszpecenia mało znaczące.

Na lewym boku, wysoko pod łopatką, niemal na linii bocznej ciała, odszukał rozległy krater w skórze. Pozostał po jakimś ropniu czy kaszaku. Vittorino od dawna wiedział o jego istnieniu, zawsze go miał.

Z tego ubytku co jakiś czas wydobywała się łożowata wydzielina. Obecnie jednak ta zmiana była znacznie bardziej rozległa. Ioanneos podniósł ramię i uważnie obejrzał krater w lusterku nad umywalką. Oстрым kątem paznokcia sięgnął do tego zagłębienia. Znalazł tam mazistą, kremowozółtą wydzielinę. Jakby była częścią większej całości, nie chciała dać się wydłubać. Wreszcie urwał jej kawałek, potem drugi.

„Co czynisz?!”, rozległo się nagle w jego głowie. „Jestem częścią ciebie, odkąd w wieku paru lat mnie zauważyłeś!”

„Nigdy ciebie nie chciałem”, odpowiedział myślami.

„Nienawidziłeś mnie od pierwszej chwili, gdy mnie zobaczyłeś”.

„Poznałem cię od razu. I od razu się ciebie obawiałem”.

„A ja cię kochałam”, dziwne, ale właśnie to słowo zabrzmiało wyjątkowo nieprzekonywająco, jakby zostało użyte bez zrozumienia. „Kocham wszystkich alumenów prowadzonych. Rozmawiam z wami, pouczam was”.

„To nie miłość”, pomyślał na swój użytek. „Miłość jest uczuciem ci nieznanym”, to już było adresowane dla obcego głosu brzmiącego w głowie. „To co najwyżej chęć posiadania, podporządkowania sobie, zawłaszczenia duszy”.

Vittorino wyrwał z boku następną porcję kremowej masy.

„Pozbywam się twojej zawiści, już mnie nie zrani”, pomyślał.

„Nie pozbędziesz się wszystkiego! Zostanę w tobie! Nie da się mnie usunąć!”, pojawiała się co chwilę w jego głowie.

„Teraz odchodzi twój kompleks niższości. Nie będę musiał cierpieć z jego powodu”, starał się jakby zakłść słowami skutki swojej czynności. Teraz maż wydobywało się łatwiej.

„A teraz pora na twoją zazdrość, Jizoga. Odtąd będę już poza jej zasięgiem”, upewniał siebie samego, że jego działanie przynosi efekt.

Rzeczywiście, głos wewnątrz jego głowy odzywał się coraz ciszej. Trafił na miejsce demona i skutecznie się go pozbywał.

„Nie rób tego, Vittorino”, usłyszał. Wzdrygnął się, Jizoga użyła jego prawdziwego imienia. Zaraz przyszła refleksja, że przecież jako jego uczestniczka prowadząca musiała je znać. Nie było ono wspólną tajemnicą jego samego i jego anioła stróża. W ustach Jizogi imię to brzmiało jak świst wydobywający się przez gwizdek, jak skrzypiący po szkle wizg. Zupełnie inny dźwięk niż kiedyś w ustach Danili.

Vittorino metodycznie oczyszczał kraterowate znamię. Resztki żółtej masy dawały się usunąć bez oporu.

Pamiętał, że usunąć demona na trwałe się nie uda, a tylko można mocno ograniczyć jego działania. Wiedział, że nawet bezpośrednio odsunięty, stale będzie miał go na oku. Miał nadzieję jednak, że usunął go dość, by dało się zrealizować plan ucieczki z ośrodka.

## **77 *Luca d'Egidio di maestro Ventura dei Signorelli***

*(Dacortona, Vittorino, Cavernata, Quent)*

To było ostatnie spotkanie spiskowców. Najpierw przyszli Quent i Cavernata. Dacortona trafił nieco później. Czekali w ciszy na jego przyjście. Vittorino był nieco zniecierpliwiony. Jemu te środki ostrożności wydawały się zbyteczne. Wierzył słowom Honoriusza, zresztą w ścianach panowała cisza. Nie udawało się usłyszeć Czuwających.

– Najlepiej będzie wyruszyć od razu – powiedział. – Mogą coś pozmienić i wyjście zostanie zamknięte przed nami.

– Lepiej wcześniej się przespać, wzmocnić – zaproponował Cavernata.

– Każdy z nas ma inny cykl snu i czuwania, to nic nie zmieni, a tylko niepotrzebnie opóźni naszą wyprawę.

– Też tak uważam – zgodził się Quent.

– Mogą zauważyć brak czterech osób – rzekł Cavernata. – Stąd wszyscy znikają pojedynczo.

– Trzech osób – poprawił Dacortona. – Ja nie idę.

– Ależ jak to? – Vittorino aż się wzdrygnął.

– Powinno nas być czterech. We cztery demony.

– Tylko dzięki tobie wiemy tyle.

– Mówiłem to do wielu takich jak wy. Może trzeba to powtórzyć następnym.

– Sam też powinieneś wreszcie stąd wyjść.

– Jeśli prawdą jest, co m'Beleh opowiada o Signorellim, to dobrze będzie, jeśli jeszcze trochę tu posiedzę... Miałem skomplikowane życie i trzeba to wyrównać. Tak powinno być. Zresztą ja tu nie cierpię. Jestem tutaj kimś w rodzaju drogowskazu. Obserwuję innych, poznawam. Obcowanie z nimi sprawia mi przyjemność.

– Oni mogą ci w każdej chwili zesłać zapomnienie. – Cavernata skrzywił usta.

– Jednak dotąd tego nie zrobili. Może trafi tutaj mały Giorgio. Muszę mu wszystko wyjaśnić. On tak dobrze rysował.

– Giorgio już dawno poszedł inną drogą. Wiele razy to przeliczyliśmy. Kiedyś powiedziałeś mu już odpowiednie słowa.

– „Ucz się, wnuku”?

– Właśnie te. Ale Giorgio wyrósł na mniejszego malarza, niż myślałeś. Dostał za to inny talent: zachował pamięć o tobie i o wielu innych, to więcej niż bycie nieco lepszym malarzem.

– Giorgio nie był małym malarzem, a trafić tutaj ciągle może, bo jego droga mogła być jeszcze bardziej pokręcona niż nasze drogi.

– Oni dotąd nie zesłali ci zapomnienia, bo nie mogli – powiedział Quent. – My stale wymienialiśmy się wiadomościami między sobą. Dlatego to im się nie udało.

– Tak. Ale teraz zostaniesz sam – powiedział Cavernata. – A oni to mogą wykorzystać i pozbawić cię wspomnień.

„Jest przecież jeszcze Honoriusz Scholastyk”, pomyślał Vittorino. Już miał otworzyć usta, ale trafiło go stalowe spojrzenie Dacortony. „Czy oni dwaj tego nie wiedzą?”

– Powinniśmy uciekać we czwórkę – odezwał się po chwili. – Na sztychu Rogeleta de la Pasture przedstawiającym Sąd Ostateczny była jedna kobieta, więc ma być wśród nas kobieta... Wy uciekajcie teraz, a ja spotkam Eleonorę i do was dołączymy.

– Dlaczego nie Brenda? – zdziwił się Cavernata. – Zaraz ją mogę sprowadzić z biblioteki.

– Dlaczego mielibyśmy uciekać z Brendą...?

– Śniła ci się...

– Eleonora też mi się śniła, Izabela także.

– Nie to nie. Raczej Brendę widziałbym w naszym towarzystwie. Do Eleonory nie mam zaufania.

Spojrzenia Dacortony i Vittorina spotkały się. Przecież to właśnie Brenda we śnie Vittorina fruwała unoszona przez Jizogę.

– Jak sobie chcecie – powiedział Vittorino. – Wejście nie zamknie się natychmiast. My z Eleonorą dogonimy was. Nie ma zresztą pewności, jak tam biegnie czas. Może po przejściu napotkamy was od razu.

– Jak ją spotkasz? – Cavernata był rozzłoszczony.

– Zaczekam, aż się na nią natknę. Będę szukał po ośrodku.

– Czy ona chociaż zgodzi się uciekać z nami? – spytał Quent.

– Powiedziałem jej wiele, ale z ostrożności nie mówiłem wszystkiego. Jestem jednak przekonany, że nie odmówi.

– Ona nie zostawi Izabeli w takim stanie – rzucił Cavernata.

„Skąd on wie, jak teraz wygląda Izabela?“, pomyślał Vittorino. „Kontaktuje się z nimi obiema, a my o tym nie wiemy?“

– Izabeli już nikt nie pomoże, a sam mówiłeś, że mamy uciekać we czwórkę i że ma być między nami jedna kobieta.

– *Nutritore* Dacortona – Cavernata zwrócił się do mistrza – nie zostawiaj nas.

– Nie chcę udawać kogoś, kim nie jestem. Nie jestem *nutritorem*, jestem i zawsze byłem tutaj zwykłym alumenem, pomimo siwizny, którą nabyłem, wyglądając na plac katedralny. Nie nazywam się też Dacortona. Przekonaliście mnie, że jestem Luca d'Egidio di maestro Ventura dei Signorelli, a ja w to uwierzyłem. Zbyt wielu przyśniły się moje losy, by mogło być inaczej. Wiem już, które obrazy namalowałem, chociaż do końca nie rozumiem, jak udało mi się coś takiego stworzyć. Wiem, które zostały zniszczone, a których namalować nie mogłem. Odnalazłem swoje imię. Wam obu życzę tego samego, bo wielki Quentin de la Cadavre już wie, kim był. – Stary uśmiechnął się ciepło do Quenta.

Vittorino uściskał mu ramię.

– A tobie życzę, byś spotkał Danilę i by wolno ci było powiedzieć jej właściwe słowa.

Vittorino poczuł się jak rażony gromem.



## 78 *Oczyszczenie ciała Eleonory* (Vittorino, Eleonora, Izabela)

Spotkanie Eleonory mogło okazać się dość skomplikowane, drzwi do jej pokoju były dla niego zamknięte. Nie miał wątpliwości, że na łóżku stale leży tam słaba Izabela, która może nawet słyszy jego pukanie, jednak ich nie otworzy, bo nie ma przyzwolenia na jego wizytę u niej. Vittorino wierzył, że jego staraniami, by spotkać Eleonorę, towarzyszy niewidzialne wsparcie Danili. A jeśli Eleonory nie zobaczy przez długi czas, to znaczy, że Danila uznała, iż nie powinien uciekać z Eleonorą.

Następnej nocy łazienka znowu nie istniała, Vittorino nie skusił się na nocną wyprawę w nieznane, ale jeśli świat po tamtej stronie czarnej nicości nie uległ zmianie, to może znowu połączył jego pokój właśnie z pokojem Eleonory i Izabeli. W takim razie warto zaczekać.

Dwie godziny drzemał, siedząc na łóżku oparty o ścianę, zanim zbudził go ruch za drzwiami łazienki.

Na palcach podszedł w pobliże i spokojnie obserwował, jak nocny intruz opuszcza się po sznurze z prześcieradeł.

– Deptasz prześcieradła, a potem będziecie obie leżeć na brudnych, póki porządkowi nie zmienią pościeli? – powiedział.

Eleonora zadrżała zaskoczona.

– Najpierw stąpasz po nich trzewikami, a potem leżysz na nich nagim ciałem – dodał.

– Co ci z nagiego ciała takiej starej, zasuszonej baby? – odparła. – Żywa mumia. Zupełnie jakbyś oglądał mumię.

– Aż tak źle z tobą?

– Bardzo źle. Zupełnie nie przypominam siebie z naszego snu. Właśnie teraz to była próba, czy jeszcze potrafię wędrować czarną nicością poza światami. Pomyślałam sobie, że jeśli już tego nie umiem, to lepiej niech przepadnę w niebycie, niż sprzątający mają mnie zmieść z podłogi. Denerwuje mnie szczególnie ten z dużą głową, krzaczastymi brwiami i ruchliwymi nozdrzami.

– Może lepiej powędrować gdzie indziej?

Eleonora spojrzała na niego. Jej pokryta grubą warstwą makijażu twarz nie wyrażała żadnych uczuć. „Jak nieruchoma maska”, pomyślał. Gdy Eleonora mrugnęła, naruszona warstwa podsuszonego kremu odsłoniła czarny otwór w pękniętej skórze.

– Co masz na myśli?

– Ośrodek to płaskorzeźba z zachodniego portalu katedry w Lugdunum.

– Nieistniejącej katedry?

– Przecież się tego sama domyśliłaś. Obojętne, czy ta katedra obecnie istnieje, czy nie, jesteś jedną z rzeźb przedstawienia Sądu Ostatecznego. Kiedy poruszyłaś się, wyglądając na plac katedralny, sypał się z ciebie kamienny proch.

– Nie poruszałam się, starannie przeczytałam poradnik.

– Więc się zgadzasz...

– Oczywiście, że masz rację, ale dokąd chcesz stąd uciec...? Może twoim samochodem, który wyrasta z betonu dziedzińca?

– Znalazłem wyjście.

– Stąd jest wiele wyjść. Prowadzące na dół, te w piwnicy, wprost w płomienie kotłowni. Spalą każdego, nawet taką mumię jak ja. Nie chcę płonąć przynajmniej do końca czasów, chociaż może taka jest pisana mi potem wieczność.

– Nie takie wyjście.

– Są wyjścia, które ładują cię pięknem, ale potem trują jadem rozkładu. Okna za kotarami znam aż za dobrze. – Pokręciła głową. – Które z nich chcesz mi zaoferować?

– Jeszcze inne. Znalazłem wyjście, którego unikają uczestnicy.

– Unikają? – zainteresowała się wreszcie.

– Nigdy nie ma ich w pobliżu. Chodzą innymi drogami.

– Chcesz tam iść, żeby jeszcze choć raz spotkać Danilę?

Pokiwał głową. – Właśnie po to.

– A ja mam iść z tobą?

– Tak.

Chwilę milczała.

– No dobrze. To kiedy?

Vittorino spojrzał na nią. – Najlepiej zaraz. Wyjście może się zamknąć.

– Tak zaraz? Już iść?

– Może pożegnamy się z Izabelą?

Eleonora pokręciła głową. – Ona prawie nie reaguje. Nieruchomo leży z głową przygiętą do lewego ramienia.

– Jest nieprzytomna?

– Nie. Jak się ją przytuli, to reaguje bladym uśmiechem.

– To pójdziemy uściskać Izabelę na pożegnanie.

– Dobrze. Czy coś jeszcze?

– Musisz oczyścić swoje ciało.

– Może się postarzałam, ale regularnie biorę prysznic. – Eleonora wydeła wargi.

– Masz się pozbyć uczestnika prowadzącego. Każdy z nas ma go zainstalowanego w swoim ciele. Jeśli go nie usuniesz, zdradzi nas i ucieczka się nie powiedzie.

– Jak go poznać?

– Ja miałem Jizogę zagnieżdżoną w lewym boku, od strony pleców. Była w postaci mazistej, żółtej wydzieliny. Krzyczała mi w duchu, kiedy ją usuwałem.

– Jizoga to Balduga z twoich snów?

– Tak. To jej prawdziwa postać.

– Ja mam całkiem czyste ciało. Może wyschnięte, może pobladłe, bez kolorów, ale pozbawione wyprysków, ropni czy wrzodów.

– Gdzieś jednak musiał się schować.

– Guzek w mojej piersi! W nim się schował. Ty go usuniesz! Rozkroisz moje ciało. Ty mi to zrobisz! – powiedziała stanowczo.

– Nie tknę twojej piersi. Zbyt wiele kobiecych piersi jest kaleczonych. Ja się nie dołożę do tego bezmiaru krzywdy.

– Przestań. Marzysz o piersiach Danili, bardzo dużych i bardzo pięknych, chociaż może już nieistniejących. Nie zdradzisz jej, nie przestaniesz marzyć o nich, gdy spojrzysz na moje albo nawet kiedy ich dotkniesz, wysuszonych jak u mumii. – Nie zauważył goryczy ukrytej w jej słowach.

– Nasze ciała nie są dokładnie takie, jak po tamtej stronie. Nie wiem, czy można je kroić.

– Lepiej się zastanów, czym rozciąć moją skórę.

– Ostrą krawędzią łyżeczki do herbaty. Taką mi specjalnie dali. Parę razy nieostroźnie się nią zraniłem.

Eleonora skinęła głową, wyciągnęła bluzkę ze spódnicy i zaczęła rozpinąć guzik po guziku.

– Odwróć się.

– Nie musisz. Nic tam nie mam, tak mi przyschły. Nawet ich kwiatków nie zobaczysz, bo takie blade.

Eleonora zdjęła bluzkę i zaczęła wyciągać ze spódnicy kremową halkę, jednak zbutwiała tkanina trachnęła i się rozpruła.

– Nie tak gwałtownie. Ubranie przyda ci się w podróży.

– Taak...? – Eleonora rozpięła guziczek i rozsunęła suwak spódniczki.

– Jeszcze się sprawnie ruszasz.

– A co? Mają mi ręce odpadać przy gwałtownych ruchach?

– Gwoździki subtelne przybiły nas do naszych ciał, dlatego, poruszając się, możemy te ciała porozrywać.

– *Gumphis subtilibus* ukrzyżowały nas na naszych ciałach.

– Udało ci się to powiedzieć? – Spojrzał na nią z podziwem.

Eleonora rozpięła stanik i go ściągnęła. – Widzisz? Nic tu nie mam.

Jej skóra rzeczywiście przywierała do kości. Piersi owszem, nieznacznie zaznaczały swój kształt na łukach żebrowych, ale odstawały bardzo niewiele, formując nieregularne, wysuszone zmarszczki. Kwiatki były w kolorze reszty skóry, chociaż nadal widoczne. Powyżej lewego rysowała się kulista wypukłość.

– To twój gość?

– To musi być on, bo reszta skóry jest kremowo biała i zupełnie gładka.

– Nie masz otworków po owadach?

– Czego?

– Takiej czarnej ospy drobnych dziurek wygryzionych przez larwy. Mumie często są tak pogryzione.

– Tam też mógłby się ukryć?

– Nie wiem. – Vittorino skrzywił się. – Ale twój uczestnik prowadzący może być zaczepiony w tobie w kilku miejscach.

– Muszę się go pozbyć... – Eleonora wpadła w panikę. Zsunęła spódniczkę, a w chwilę potem majteczki.

– Eleonora...

Usiadła na jego łóżku i zaczęła z bliska obserwować swoje stopy, łydki, uda, swój brzuch. – Reszta mojego ciała jest równie odczłowiczona jak moje piersi – rzuciła zdawkowo. –

Wyglądam jak żywa mumia. Patrzenie na mnie ani trochę nie zagrazi twojej miłości do Danili, a ja muszę nabrać pewności, że to tylko ten guzek.

Vittorino w milczeniu przyglądał się jej krzątaniu. Eleonora rzeczywiście wyglądała jak żywa mumia, chociaż jej skóra i tkanki nie zeszywniały.

– Teraz położę się, żebyś mógł obejrzeć nogi.

Ciało Eleonory było zupełnie gładkie, nogi też. Śladów po owadach nie było. Jedynym miejscem, gdzie mógł się schować uczestnik prowadzący, była ta nabrzmiała kulka na jej wyschniętej piersi.

– Nic tam nie ma. Masz czystą skórę – rzekł.

– Dobrze. To teraz operacja. – Eleonora odwróciła się na plecy. Instynktownie jej ramiona skrzyżowały się na podołku.

– Eleonora, waham się... Czy to naprawdę muszę zrobić ja?

– Przestań już. Bierz tę łyżkę. – Dziewczyna wyciągnęła się wygodniej, eksponując ku niemu lewy bok. – Tak ci wygodnie? Dobrze widzisz pierś i guzek?

– Tak. – Vittorino ujął wystający guzek w palce.

– On coś do mnie szepcze – powiedziała Eleonora.

– Nie wiem, jak ciąć... Zacznę od góry. – Ostrą krawędzią łyżki przejechał po powierzchni wypukłości.

Eleonora syknęła.

– To będzie bolało.

– Cięcie nie boli, ale głowę jakby chciało rozerwać. Tnij.

Skóra łatwo dała się rozciąć i zaraz zaczęła się rozsuwać, gdy cięcie się wydłużyło. Uważał, żeby nie naciąć guza, bo jego wydzielina mogłaby zanieczyścić ciało Eleonory częścią uczestnika prowadzącego.

– Umilknij, łajdaku! – krzyknęła Eleonora.

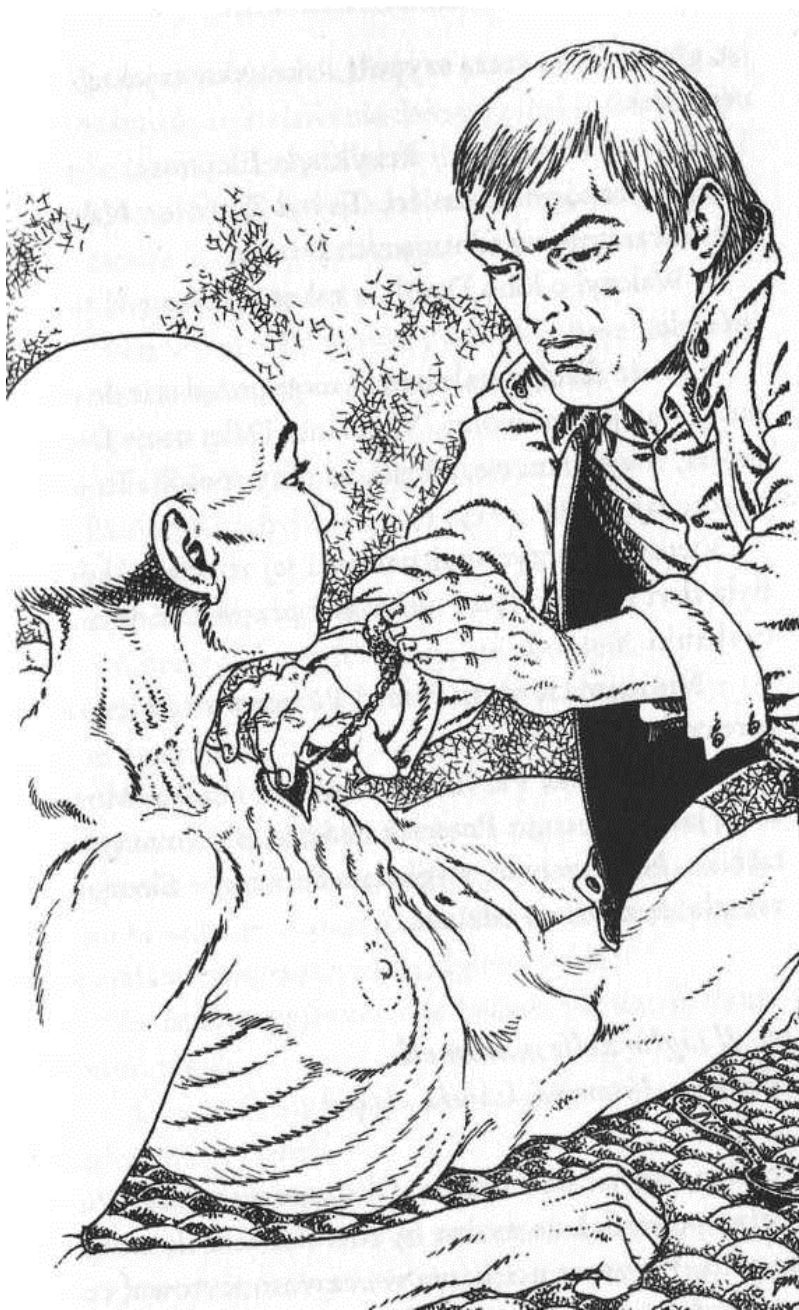
Vittorino jej nie słuchał. Domyślał się, co teraz dzieje się w głowie Eleonory. Obszerne cięcie odsłoniło pomarańczową, pogruźlowaną kulkę. Tylko wąska szypuła łączyła ją z ciałem Eleonory. Rana nie krwawiła. Wyglądało, jakby wewnątrz ciała Eleonory były puste, suche przestrzenie.

– Spróbuję go wyszarpnąć – powiedział. – Nie chcę, żeby jego resztki pozostały w twoim ciele.

– Już nie mogę wytrzymać... – powiedziała. – Ale wrzeszczy!

Vittorino spojrział na nią.

– Nie przerywaj! Wyrwij to wreszcie! – powiedziała twardo.



Sięgnął palcami jeszcze dalej, ujmując za szypułę najgłębiej, jak się dało. Mocno pociągnął, wrywając guz z długą szarą szypułą i skrawkiem jakiejś innej tkanki.

– Ach! Wreszcie! – krzyknęła Eleonora. – Ale ulga. Wyrzuć go do śmieci. To był Zuyaster. Najgorszy z uczestników adorujących Danilę.

– Walczył o łono Danili, a zakotwiczył się w twoim ciele.

– Może dlatego stale budził moje pożądanie do ciebie. Teraz jestem wolna, Vittorino. Dalej mnie fascynujesz, uwielbiam cię, ale już na inny sposób. To jest jeszcze fajniejsze.

Vittorino przycisnął palcami jej rozciętą skórę. Była zbyt rozciągnięta i sucha, aby przywrzeć do reszty tkanki.

– Nie mam cię czym zeszyć. Pionowe cięcie jest na parę centymetrów.

– Nie szkodzi. Przycisnę stanikiem i halką. Może to się jakoś dopasuje. Przecież widzisz, jakie mamy tutaj ciała. Nie krwawię, wyglądam dziwnie. – Eleonora zebrała się z łóżka i odziała.

## **79 Il taglio delle mammelle**

*(Eleonora, Vittorino, Izabela, Agata)*

Poszli pożegnać się z Izabelą. Dlaczego pożegnać? Vittorino pomyślał, że można by również Izabelę wziąć ze sobą. Przymus uciekania we czworo irytował coraz bardziej.

Eleonora przekręciła klucz w zamku i weszli. Panował półmrok, tu światła nie dało się zapalić. Okna były nadal odsłonięte. Izabela leżała nieruchomo. Nie słyszał jej oddechu. Miała na sobie jedynie ręczniczek przepasujący biodra. Kołdra była złożona we czworo na krześle.

– Nie jest jej zimno?

– Nie wiem. Nie przykrywam jej. Boję się, żeby nie zaczęła się osypywać, ocierana kołdrą.

– Jest świadoma?

– Stale, lecz ciało ma bardzo słabe.

Eleonora nachyliła się nad przyjaciółką.

– Śpisz?

Izabela lekko zadrżała.

– Chcesz się przejść? Mogę cię podnieść.

– Nie... – szept Izabeli był ledwie słyszalny. – Jestem zmęczona.

Vittorino milczał, zszokowany jej stanem. Ręce skrzyżowane na podołku, głowa przyciągnięta do lewego ramienia, skóra wyschnięta, poprzecinana długimi bruzdami. *Gumphis subtilibus* ukrzyżowały ją do jej ciała w niesymetrycznej, zgiętej pozie.

Nie było wątpliwości, że Izabela nie jest w stanie z nimi pójść.

– Czy to Prosper przyszedł z tobą? – znowu rozległ się szept Izabeli.

– To Vittorino.

– Znowu on. Tylko on mnie jeszcze odwiedza.

„Czy Eleonora powie jej o naszym zamiarze?”, pomyślał.

– Coraz mniej potrzebuję towarzystwa. Prosper wie, że teraz nie należy mnie oglądać. Przyjdzie dopiero, jak mi się poprawi. Tylko Vittorino jest taki wścibski i mi się przypatruje, kiedy jestem w tym stanie.

Zachnął się. Myślał, że Izabeli podobają się jego odwiedziny.

– Dobrze – powiedział i pocałował leżącą w policzek. Był przyjemnie chłodny i matowy, ale gdzież mu było do smaku policzka Danili, niby też tylko chłodnego i matowego. Potem dłonią przejechał po jej łysym ciemieniu.

– Tylko nie bierz mojej piersi w dłoń, bo mi się ukruszy – spłoszyła się. – Jak mi się poprawi, znowu pozwolę ci pomagać w czasie ataku mojej choroby.

Eleonora też ją pocałowała w policzek.

– Ty przestań, boś sama nie lepsza niż ja. Też ci już nic nie pomoże.

Pożegnanie okazało się trudniejsze, niż myśleli. Jak można było zostawić ją samą tak bezradną? Wiedzieli, że Izabela nie chciałaby opuścić ośrodka, ale porzucić ją bez pomocy było inną rzeczą.

– Idź stąd, Vittorino. Wstydzę się swojej brzydoty. Wolno ci oglądać mnie we śnie i na jawie, tylko kiedy jestem piękna, nie teraz.

Eleonora skinęła, że chce zostać sama z Izabelą.

Zaczekał na korytarzu. Rozsiadł się w obitym dermą głębokim fotelu. Czekał kilkanaście minut, zanim Eleonora wyszła. Markotna, przysiadła obok.

– Idziesz ze mną...?

– Tak. Idę...

– Powiedziałaś jej...?



– Ona na to zasługiwała. Powiedziała, że nie ma dość siły, żeby iść z nami, a gdyby nawet mogła pójść, to nie jest przekonana, czy naprawdę by chciała. Obawia się, że możemy stracić to, co mamy.

– Że to wyjście prowadzi na dół?

– Tak właśnie powiedziała. Chodźmy już.

Pomógł się jej podnieść.

– Ależ mnie gnaty bolą.

Kiedy schodzili po schodach, spotkała ich niewidziana od dawna Agata. Szła na górę. Jak zwykle zamyślona, trochę zgarbiona, w workowatej, brązowej sukience na grubych szelkach i z malutkim plecaczkiem. Spojrzała na nich.

– Ach, to wy... – powiedziała.

Oboje uśmiechnęli się ciepło do lubianej uczestniczki.

– Razem na wykład?

– Na spacer – odpowiedziała Eleonora.

– Dobry pomysł. Przejdę się z wami. – Agata zawróciła i poszła z nimi.

Vittorino struchlał. Eleonora zerkała na niego. Po chwili przestał się obawiać. Przecież uczestniczka nie zbliży się do wyjścia.

Zeszli na parter i skierowali się do drzwi obrotowych.

– Pada na dziedzińcu – powiedziała Agata i spojrzała na niego. To spojrzenie znowu stało się zbyt badawcze, zbyt świdrujące.

– A tam... Można zaczerpnąć trochę wiatru. – Vittorino wzruszył ramionami.

– To chodźmy – powiedziała Agata.

Eleonora i Vittorino spojrzeli na siebie. Ten jednak nie powiedział nic, wierzył, że wystarczającą zaporą będzie bliskość wyjścia.

Jednakże uczestniczka nie wycofała się i razem z nimi weszła do szklanego cylindra. Drzwi obrotowe miały obszar podzielony na dwie części. Wszyscy troje zmieścili się do jednej z nich. Vittorino wolno popychał przed sobą przeźroczystą taflę. „Czyżby jednak nie była uczestniczką?”, pomyślał. „Ale przecież prowadziła z nami godziny integracyjne”. Z drugiej strony w czasie godzin integracyjnych Agata nigdy celowo nie zadawała psychicznego bólu, nie znęcała się nad alumenami.

– Co tak wolno? – Agata przewierciła ich wzrokiem.

Oni oboje też na nią popatrzeli.

– Co chcecie zrobić?

– My idziemy do tych drzwi. – Vittorino pokazał wąski prostokąt stalowych drzwi ukrytych w ścianie.

– Tam?

Pociągnął za klamkę, ale przejście było zamknięte na głucho.

– W ośrodku tylko ja mam klucze od tych drzwi – powiedziała Agata.

– Możesz je dla nas otworzyć? – spytała Eleonora.

– Czy wy oboje wiecie, czego chcecie? – To raczej była próba upewnienia co do tego samej siebie, a nie pytanie.

– Chcemy zaryzykować – powiedział Vittorino.

– Ty też? – Agata zwróciła się do Eleonory.

– Ja też.

– Zostawiasz Izabelę?

– Ona mi pozwoliła. Sama nie poszła.

– Skoro oboje chcecie... – Agata wzruszyła ramionami, ale jej głos aż kipiał radością. Wyjęła z kieszeni klucz i przekręciła go w zamku. – Teraz już wam wolno.

Tym razem naciśnięta klamka ustąpiła. Oboje się zawahali.

– Powiedz mi jeszcze, czy ten guzek na mojej piersi był groźny? – spytała Eleonora.

– Zwykły gruczolako-włókniak. – Agata wzruszyła ramionami. – Można z nim żyć przez lata. Trzeba go było usunąć z innego powodu...

Agata spojrzała na Vittorina, jakby oczekując teraz jego pytania.

– Która z historii Danili jest prawdziwa? – wypalił.

– Ta, którą ona sama ci opowiedziała.

– Ona nie opowiedziała mi swojej historii.

– Całej nie zdążyła, ale króciutki fragment usłyszałeś.

– Przeciwnik uderzył w nią pazurami jeszcze za jej życia? – spytał domyślnie Vittorino.

– Przeciwnik poszarpał jej przepiękne piersi, ponieważ została zbyt obdarowana. – Agata skinęła głową. – Taki klejnot nie może za długo świata świecić. Albo ktoś Przeciwnika przywołał złorzeczeniem na nią lub przekleństwem, albo to on sam podniósł swą ciężką powiekę... Najpierw częściowo ją okaleczył. Ktoś, kto ją kochał, mówił na jej raka, że to Czarna Wrona,

która dopadła przecudnego motyla i potargała mu dwa skrzydełka. Potem ona sama zaczęła tak mówić o swojej chorobie. Potargane skrzydełka nadal pozostały piękne.

– Danila nie chciała pokazać się mi okaleczona, dlatego odeszła?

– Dla jej ciała nadchodził wiek okaleczenia.

– Dalej bym ją kochał. Miejsce po odciętej piersi tak samo należy do męża kobiety jak jej pierś.

– Ona to wiedziała. Powód był inny...

– Ona się nie zestarzała...?

– Tak.

– Zabiły ją strzały choroby?

– Tak.

– Czy Danila umarła na raka piersi?

– Sam się domyśliłeś. Gasła, ale nigdy nie przyjęła tego do wiadomości. Myślała o pracy, o karierze. Nie widziała tam miejsca na Czarną Wronę. Tak się broniła.

– A jej mama nie traktowała jej jak rywalkę?

– Nigdy. To Rajga chciała tak ją poniżyć. Danila i jej mama były do siebie bardzo podobne. I fizycznie, i psychicznie. Przez jakiś czas nawet wyglądały jak siostry. To też nie podobało się Przeciwnikowi.

Vittorino nie odezwał się.

– Vittorino, chodźmy już – powiedziała Eleonora. – Ona jest stale blisko ciebie. Przecież wiesz... A my wszyscy też dawno temu umarliśmy, nie tylko ona.

– To prawda. No idźcie już, idźcie oboje... Tylko zamknijcie drzwi za sobą – powiedziała Agata.

Vittorino odwrócił się do Agaty.

– Ale przecież ty nie jesteś zwykłą uczestniczką, skoro zdołałaś podejść aż tak blisko tego wyjścia?

Agata nie odezwała się, lecz jej modre oczy zaiskrzyły się. Obdarzyła go najbardziej promiennym ze swoich uśmiechów.

Świetlisty uśmiech zmarnował się. Przygnębiony Vittorino ciągle słyszał słowa o losie Danili.

## 80 *Wąska brama*

(*Vittorino, Eleonora*)

Po drugiej stronie drzwi było bardzo ciasno. Duszny korytarzyk szeroki na jedną osobę. Pierwszy poszedł Vittorino, Eleonora za nim. Zamknęła drzwi, jak poprosiła Agata. Zrobiło się bardzo ciemno, korytarz był ledwie widoczny.

Długo szli w zupełnym milczeniu. Vittorino jakoś próbował pogodzić się ze słowami Agaty. Domyślał się czegoś podobnego już wcześniej, chociaż starał się unikać takich myśli.

– Przystań już rozpaczać – powiedziała Eleonora.

Nie odpowiedział, ale przystanął.

– Ona nie żyje. My wszyscy nie żyjemy. Czy to teraz ważne, w jaki sposób przeszła na naszą stronę? Danila musiała odejść z ośrodka, bo jej ciało nie mogło się dalej starzeć wraz z innymi.

– Tak.

– Przynajmniej dowiedziałeś się, co ona chciała ci powiedzieć wtedy, kiedy Rajga udaremniła waszą rozmowę. Widzisz? Jednak uczestnicze się nie udało i nie zdołała was rozdzielić.

– Tak.

– Przystań rozczulać się nad sobą. Tylko tobie udało się poznać swojego anioła stróża. Ja tego daru nie dostałam.

– Trzymałem w dłoni jej dłoń. Pocałowałem ją cztery razy.

– Jesteś dobry w całowaniu Przedwiecznych... – burknęła sarkastycznie. – Wiesz, jakie znaczenie ma dla nich pocałunek. Pamiętasz, jak zareagowała Agata...?

– Ja będę te cztery pocałunki wspominał przez resztę czasu.

– Pewnie ona też. Danila bardzo ostrożnie się z tobą obeszła. Wiedziała, czym grozi ci kontakt z nią. Kochaj ją dalej.

– Tego nie przestanę.

Znowu wędrowali w milczeniu bardzo ciasnym, ciemnym i dusznym korytarzem.

– Nie wpuściłeś nas w pułapkę, w której utkwimy do końca czasów? A jeśli to jakiś opuszczony składzik, nieużywany od lat, dzięki któremu Agata wreszcie się nas pozbyła z ośrodka?

– Dobre drzwi powinny być wąskie i ciasne. Szeroka brama wiedzie na manowce. Uch... – jęknął, bo zawadził bokiem o coś wystającego. Zakaszłał, łapiąc w płuca wzniesiony obłok kurzu. Wzdłuż korytarza stały zakurzone szafy, stare graty czy spiętrzone zapasy. Trudności zmuszały, by przestał rozmyślać.

– Podziwiam twoją wiarę – powiedziała sarkastycznie.

– Twoja wiara też musi być niezłej klasy, skoro poszłaś za mną. Tylko czasami trochę udajesz.

– Phi...

Dalej droga nie była lepsza, chociaż poprawiła się widoczność. Jakby wolniutko zbliżali się ku światłu. Coraz rzadziej obijali się o wystające graty, rzadziej kichali od kurzu.

– Ile już idziemy? – spytała wreszcie Eleonora.

– Może dwie godziny, a może dzień...

– Stopy bolą suchą mumię – poskarżyła się.

– Przynajmniej nie jest to ślepy korytarzyk do składzika, ale coś większego.

Wolno szli przed siebie. Nie było całkiem ciemno, jednak często oboje macali przed sobą dłońmi.

– Boisz się, że się rozsypiesz? – po chwili zrozumiał jej słowa.

– Ledwie czuję stopy. Nie wiem, czy skóra nie ściera się ze mnie jak z prawdziwej mumii.

– Przynajmniej w ciemności nie widzisz mojej łysiny.

– Mężczyźni jednak bardziej dbają o swój wygląd niż kobiety. Potrafiłeś powstrzymać się od wyglądanego przez okno. Wyglądasz tylko staro, ale nie trupio.

– Może jestem mniej wrażliwy na piękno.

– To czym urzekła cię Danila?

– Wszystkim, całą sobą, ale pięknem swego ciała też.

– Od piękna się zaczęło.

– Pewnie tak. Teraz już nie ma to znaczenia.

– Innych kobiet już nie zauważasz?

– Zauważam piękno innych kobiet, ale to nic nie zmienia. Czy na pewno wyrwałem całego Zuyastera z twojej piersi...? Znowu jakby się odzywał.

– Dobrze, dobrze... Wiem, że jesteś dla niej, nie dla mnie. Tylko tak się z tobą droczę...

Znowu umilkli. Przyzwyczaili się do tego korytarza. Nie objali się już, chociaż ze stert gratów po obu stronach wystawało jakby coraz więcej niedbale ułożonych starych gazet, desek, pakunków tkaniny czy płyt budowlanych.

– Tu są skarby pod ścianami – zauważyła.

– Eee... stare rupiecie.

– Ty wiesz, ile można by uszyć odzieży dla alumenów w ośrodku? To płótno jest zakurzone, ale nie zbutwiałe. Tyłu z nas, chociaż wygląda jeszcze nieźle, nie może opuszczać swoich pokoi tylko dlatego, że im się już odzież rozsypała w proch. Słuchanie wykładów jest dla wielu największą przyjemnością, ubarwiającą ośrodkową egzystencję. Przynajmniej dla mnie tym było, póki nie zaczęłam otwierać okien przykrytych zasłonami.

– Myślałem, że póki nie poznałaś mnie.

– To Izabela zwróciła na ciebie uwagę. Byłeś znacznie młodszy, przystojny i bardzo zgrabny.

– Gdybym jeszcze miał na imię Józef...

– Równie dobrze wygląda wielu uczestników, ale oni tak wyglądają w ściśle określonym celu – zbyła jego ostatnią uwagę. – Dlatego każda wie, że musi się strzec podobnie wyglądających mężczyzn. Ale rozmowa z tobą nie raniła. Była przyjemnością. Tak nie mówi żaden uczestnik. Dlatego obie lgnęłyśmy do ciebie.

– Ciemny korytarz, a tu tak świetliste słowa – powiedział. – Mrok się rozprasza.

– Ciekawe, czy Quentowi i Cavernacie też się udało wejść do tego korytarza – powiedziała.

– Przed naszym wyruszeniem nie spotkałem ich w ośrodku, więc pewnie też tu weszli. Na pewno pokonali korytarz i zatrzymali się gdzieś dalej.

Znów szli w milczeniu niekończącym się tunelem.

– Może przeszliśmy już bramę – powiedziała Eleonora.

– Co masz na myśli?

– Brama niekoniecznie musi znajdować się na końcu tego korytarza. Może kryć się za jedną ze stert gratów.

– Trudno wszystkie poprzestawiać, żeby sprawdzić.

– Ale chociaż jedną... Bram może być wiele.

– Jak chcesz – rzekł bez przekonania. – Powiedziałaś, że sterty płótna są skarbami dla alumenów.

– Tu jest jedna.

Trudno było przestawiać ledwie widoczne bele tkaniny. Z początku robili to zupełnie bez przekonania, potem w coraz większym zadziwieniu, bo za nimi zaczęła się odsłaniać pusta przestrzeń. Wreszcie dało się tamtędy precyzyjnie. Wąskie drzwiczki, które znaleźli, były otwarte na oścież. Wiodła nimi także wąska droga, ale korytarz obity był heblowanymi deskami. Wzdłuż jego ścian stert nie było.

– Skąd wiedziałaś? – zaniepokoił się.

– Ta myśl sama przyszła. Może mi ją zesłała twoja Danila?

Nie odpowiedział. Wyjaśnienie było dobre jak każde.

Spróbowali iść tym korytarzem. Wkrótce sceneria zaczęła się zmieniać. Macając po ścianach, przestali wyczuwać heblowane drewno, a zamiast niego pojawiła się poźłobiona kora. W nozdrza uderzyły zapachy świeżej ziemi, trawy i roślinności. Zrobiło się ciepłej.

Dawno zapomniane wrażenia działały jak magnes. Przyśpieszyli. Zaraz zaczęło się rozjaśniać. Miast wśród ścian szli pomiędzy szpalerem pni o drobno gruzłowanej, równej korze, a nad nimi jaśniało niebo modre jak oczy Agaty.

## **81** *Tańczące sylwetki*

*(Vittorino, Eleonora)*

Oczy ledwie miały czas, by się przyzwyczaić do światła. Ostatnie metry pokonali prawie biegiem. Już nie po posadzce, lecz po równo przystrzyżonej, zielonej, miękkiej trawie. Szpaler drzew się rozstał i oboje znaleźli się na rozległej polanie, otoczonej z każdej strony gęstymi zaroślami oraz drzewami o niezwykle uformowanych pniach, powyginanych konarach i szumiących na wietrze liściach. Mocno pachniały kwiaty.

– Udało się – powiedziała Eleonora. – Przeszliśmy przez bramę. To już nie jest ośrodek. Za wiele tu piękna.

On też tak pomyślał.

Wiatr niósł ciche bębnienie. Vittorino nie przypuszczał, że napięta membrana może dźwięczeć tak pięknie. Uderzenia jakby rezonowały z wnętrzem organizmu, jakby wibrowała od nich przepona i organy wewnętrzne. „Tak słyszy się bęben jedynie z bardzo bliska, a tamtych

nawet jeszcze nie widać”, pomyślał. Za chwilę rozbrzmiały chyba drewniane cymbały. Młotek uderzał w wypolerowane deszczułki, a te mu dźwięcznie odpowiadały.

Eleonora zatańczyła. Zataczyła kilka oberków, unosząc w górę ramiona.

Za chwilę, zasapana, przestała. – Kiedyś lubiałam tańczyć – powiedziała – a ta polana jest jak sala balowa.

– Czy wolno mi poprosić cię do tańca? – Lekko przyklęknął i zaraz wziął ją w ramiona. – Nie byłem specjalnie dobrym tancerzem, ale to miejsce jest szczególne.

– Przestań. To nie ma sensu. Stara mumia wreszcie się rozsypie. – Uwolniła się z jego objęć.

– Ależ młoda ta mumia... i w całkiem dobrej formie – roześmiał się.

– W dobrej formie, jak na mumię, nie jak na tancerkę.

Poszli przed siebie, ku środkowi polany. Właściwie bez celu, a tylko po to, żeby rozkoszować się miękką, elastyczną murawą.

– Tak przecież nie wyglądają prawdziwe polany, prawdziwe lasy. Jeszcze przecież coś pamiętam. To zbyt piękne, jakby zbyt regularne. To raczej jak sen, jakbyśmy weszli do czyjegós snu lub do marzenia...

Urwał, bo spośród odległych drzew wyłoniło się kilka postaci i zaraz zaczęło przybywać następnych. Barwne sylwetki wirowały w nieustannym tańcu. Z daleka przypominały ludzi w wielobarwnym odzieniu powiewającym w takt ruchów. Wyłaniały się spośród drzew i otaczały Eleonorę i Vittorina wirującym, powoli zacieśniającym się kręgiem. Oboje stali nieruchomo, zachwyceni spektaklem. Sylwetki tańczyły w rytm bębnow i cymbałów.

Kiedy krąg się zacieśnił, lepiej przyjrzeni się tańczącym. Te postaci wyglądały raczej jak pokryte długimi, jedwabistymi, rzucającymi metaliczne połyski piórami. Tancerze przypominali ptaki o klinowatych głowach, przechodzących miękko w ostre dzioby, choć ich ciała miały proporcje ludzkie. Ptasiogłowi wirowali w szybkim tanie, a kolejne warstwy piór unosiły się i opadały. To błękitne, to szmaragdowozielone, czerwone, to wreszcie żółte.

Oboje podziwiali dziwny taniec obcych, jednak wkrótce musieli się cofnąć i odskakiwać. Ptasi tancerze zupełnie na nich nie zważali. Przekraczali wielkością rozmiary człowieka, a zderzenie z rozpędzonym, niekontrolującym ruchów Ptasiogłowym mogło zakończyć się obrażeniami. Niektórzy przebiegali tak blisko, że przypadkiem jeden zaciął Eleonorę piórem. Na szczęście nie do krwi. Przestraszona przywarła do Vittorina.

– Może przykucnąć?



Pokręcił głową. – W żadnym wypadku. Wtedy zupełnie nie będą nas zauważać i zaczną na nas wpadać.

Krąg tancerzy sam się oddalił, rozluźnił. Zaczęli go przerywać dziwni włochaci biegacze o wielkich, jasnobrązowych, podłużnych głowach i głębokich oczodołach umieszczonych jakby za blisko siebie. Wkrótce to oni uformowali wirujący krąg wokół Vittorina i Eleonory, odsuwając Ptasiogłowych nieco dalej. To nie były włosy pokrywające ich ciała, lecz długie, wąskie i giętkie ciemnobrązowe pióra, sięgające do ziemi.

– Ten ruch nie jest dla mnie – powiedziała Eleonora. – Piękny ten ich taniec, ale jakiś taki dziki, nieokiełznany.

– Obawiam się, że trafiliśmy do krainy Pythona. Danila napisała mi kiedyś o nim w liście.

– Przesyłała ci listy?

– Jeden. We śnie.

– Pisała o tym kraju?

– Niezupełnie. Trafiła do obcej krainy, gdzie rozpędzone węże tworzą wirujący krąg.

– Pierzaste węże to metafora. Podobnie jak tańczące.

– Niekoniecznie. Może nawet oprócz nich są w tamtej krainie też tancerze pokryci piórami?

– Obok był tam las, łąka?

– Nie. Gęste chmury i rozszalałe morze w barwie ołowiu. Pamiętam jej słowa.

– Tu jest zupełnie inaczej – mruknęła nieprzekonana.

Wśród niezliczonych ptasich tancerzy zaczęli pojawiać się jeszcze inni mieszkańcy owej krainy. Ci wyglądali jeszcze groźniej. Mieli posępne twarze, oczy otoczone czarnymi obwódkami i rozmierzwione, sztywne włosy. Oni dla odmiany odziani byli w worki z grubo tkanego lnu, wielokrotnie przewiązane grubymi sznurami. Ich ręce były nadzwyczaj długie, a w miejscu przedramion płynnie przechodziły w drewniane pałki. Wywijali nimi we wszystkie strony. Pały śmigały w powietrzu. Ptasiogłowy, znacznie wyższy od człowieka, trafiony rozpędzoną maczugą padał jak skoszona trawa. Dopiero po dłuższym czasie zbierał się z ziemi i wracał do swojego tańca.

„Jeśli tu można umrzeć”, pomyślał Vittorino, „to taki cios na pewno zabije człowieka”.

Nieruchomo stali w środku kręgu, by się trzymać jak najdalej od wirujących w szaleńczym tańcu groźnych tancerzy.

– Nie rozumiem porządku tego świata. – Eleonora wydeła wargi.

– Ten świat może w ogóle nie mieć porządku. Czyjeś marzenia nie muszą mieć porządku. Nam też podsyłano fałszywe sny.

– Tu jest gorzej niż w ośrodku – kwaśno zauważyła. – Chociaż znacznie piękniej.

Na dodatek w powietrzu jak pociski zaczęły przelatywać wykrzywione złością, drewniane, ludzkie twarze. Pałkoręcy starali się trafić w przelatujące maski, a te próbowały dopaść ich od tyłu, przylgnąć do pleców i ugryźć. Ukąszenie powodowało, że tancerz wyginał ciało w łuk, prężąc się do przodu, a następnie zrywał do szaleńczego biegu, wreszcie padał bez sił.

– Jak się uwolnić od nich wszystkich? – spytała zaniepokojona.

– Odkąd się od nas oddalili, nie jest już tak groźnie. Został barwny spektakl z akompaniamentem bębnow.

Koło jego głowy świsnęła przelatująca drewniana maska. Eleonora parsknęła.

– Oni mogą tak robić bez przerwy. Sytuacja się nie zmienia.

– Przyszli tu za nami. Może po prostu tańczą dla nas, bo ich życie jest tańcem.

– Dziwnym, okrutnym tańcem.

– Powstają po tych uderzeniach i tańczą znowu. Chodź, spróbujmy wycofać się w stronę lasu.

Ujął chłodną dłoń Eleonory i ruszył przed siebie.

Krąg tancerzy jakby to zauważył, gdyż zaczął przesuwać się tak, by oboje wędrowców było stale w centrum ich kręgu. Vittorino i Eleonora coraz śmieiej zacierali ku ścianie lasu. Gdzie jest wejście w szpaler strzelistych drzew?

Nie przyśpieszali, aby krąg tancerzy miał dosyć czasu na przemieszczenie. Wolnym, równym krokiem miarowo zbliżali się ku drzewom. Vittorino uśmiechał się, podziwiając taniec Ptasiogłowych i Pałkorękich. Groźny, ale barwny spektakl oderwał go od smutnych myśli.

Wreszcie krąg się rozstał i dopuścił ich do ściany drzew. Tancerze wirowali wokół środka polany, płąsali dla siebie samych, dla swojej radości.

Wśród drzew widniało wyjście.

– Ależ mieliśmy szczęście – powiedział.

Przytaknęła ruchem podbródka.

Wkrótce szpaler drzew zaczął stopniowo przemieniać się w ciemniejszy korytarz obity heblowanymi deskami. Na końcu znaleźli nieoczekiwanie zamknięte drzwi. Vittorino popchnął je

barkiem, ustąpiły, a po drugiej stronie rozległ się łomot spadających przedmiotów. Dalej napierał na drzwi, a te z hurgotem, wolniutko się odsuwały, odpychając warstwę przewróconych gratów.

– W ścianie korytarza jest więcej drzwi do krainy Pałkorękich, a ja już pomyślałam, że to Danila znowu ci pomaga.

„Jedno nie wyklucza drugiego”, pomyślał z sarkazmem.

– Trzeba to będzie poustawiać przy ścianie – powiedział, kiedy już obojgu udało się przecisnąć przez półotwarte drzwi.

Ruszyli w dalszą drogę, zakładając, że opuszczona kraina mieściła się po lewej stronie korytarza. Wkrótce wpadli na stertę tkanin wcześniej ustawioną przez nich, by odsłonić wejście.

– Ciekawe, czy Quent i Cavernata też zajrzeli do dziwnego, małego świata Ptasiogłowych i Pałkorękich.

– I żywych latających drewnianych masek.

## **82    *Wśród żywych panopliów***

*(Vittorino, Eleonora, Quent, Cavernata)*

Co chwilę mijali sterty rupieci. Nie odsuwali ich, choć domyślali się, że za większością z nich skrywają się drzwiczki.

– Może by sprawdzić, co jest po prawej stronie? – zaproponowała. – W krainie po lewej Quenta i Cavernaty nie było.

Spróbował odsunąć najbliższą stertę płótna. Faktycznie odsłoniły się wąskie drzwiczki. Zza nich rozbłysło światło dnia.

– Tak od razu? – Spodziewał się jakichś utrudnień, może znowu wąskiego, ciemnego korytarza.

– No.

Ujął Eleonorę za rękę i poprowadził, bo ciemno, trzeba zstąpić z trzech stopni, a drewniany parkiet śliski. Z parkietu wyrastały precyzyjnie rzeźbione w drewnie orzecha kępki trawy, a pośród nich drewniane kwiaty. Ściany pokrywała snycerka oddająca jakieś pnącza czy gałęzie.

Im dalej, tym sceneria stawała się bardziej tajemnicza. Wkrótce już cała podłoga była odrobiona z drewnianej rzeźbionej trawy, a tylko środkiem szła wąska alejka z także

wyrzeźbionych w drewnie płyt kamiennych. Wreszcie ściany korytarza rozeszły się na boki, a ich miejsce zajęły drzewa o brązowych, błyszczących pniach. Niby to drzewa, ale każde z nich to rzeźba drzewa, chociaż w dotyku powierzchnia sprawiała wrażenie szorstkiej kory. Widać było uproszczenia w rysunku listowia. Zawiał wietrzyk, a liście zaczęły się kiwać i szeleścić. Miały złoty kolor, jakby wykonano je z polerowanego drewna. Na niektórych z nich nawet widać było słoje, ale fornir był tak cienki, że wiatr się nimi bawił.

– Czyje marzenia stworzyły to miejsce? – powiedziała z podziwem.

Uśmiechnął się do niej. Jemu też się tu spodobało.

Szli dalej i zachwycali się sztuką snycerki. Znakomicie oddanymi pąkami, naturalnie wywinętymi płatkami kwiecia.

Niektóre drzewa miały zielone liście, zbyt gładkie, zbyt błyszczące, jakby malowane. One też szeleściły na wietrze. Vittorino zmiął jeden z nich w palcach: bez wątplenia grubość i faktura zwyczajnego liścia, choć ciągle wrażenie, że to rzeźba.

– Jakby najpierw ktoś je wykonał z cieniuszkiego forniru i pomalował – powiedział – a teraz stały się prawdziwymi liśćmi.

Drewniany las wyglądał jak prawdziwy, zarówno rzeźbione pnie, jak i liście o dobrze widocznych żyłkach. Eleonora i Vittorino wędrowali leśnymi ostępami, mijając gęstsze kępy i rozległe polany; podziwiali niezwykle rozległą grupę rzeźbiarską. Leśna ścieżka nie była szeroka, ale wiodła prosto między potężnymi drzewami, których rzeźbione korzenie wystawały wysoko ponad poziom trawy, szczegółowo oddanej dłutem snycerza.

Na wyrzeźbionym w drewnie lipowym, ściętym pniu siedzieli Cavernata i Quent. Obaj odwrócili się, słysząc kroki nadchodzących.

– Wreszcie jesteście – odezwał się Quent. – A już myśleliśmy, że po nas wejście się zamknęło. Cavernata powiedział, że jeszcze jest nadzieja i żeby na wszelki wypadek zawrócić i poczekać, bo w przeciwnym razie was nie odnajdziemy. Miał rację.

– Te drzwi były nienaoliwione. Otwierały się z trudem – powiedział Cavernata.

Vittorino nie podjął tematu, chociaż pamiętał przecież słowa Agaty. W zamian opowiedział im o kraju Ptasiogłowych i Pałkorekich, krainie po lewej stronie korytarza.

– To chyba są światy wyobraźni różnych ludzi – powiedział Quent. – Dziwne to miejsce w drodze, lecz można spróbować to zrozumieć. Skoro Ojciec dał nam prawo do tworzenia,

czyniąc nas tym swoimi dziećmi, no to może jakieś części Raju też są dziełem ludzi. Może i na to nam pozwolił?

– Skoro tak, to może i niektóre części Piekła winny być ludzkim dziełem – dodał Vittorino.

– Siedziałeś w *Il Piccolo Inferno* paręset lat – mruknął Quent. – Ono mogło być dziełem czyichś myśli.

– Już jesteśmy wszyscy razem. Możemy pójść dalej – uciął dyskusję Cavernata i zebrał się z miejsca.

Dalej las się przerzedził, ale kępy trawy nadal sprawiały wrażenie, że to czyjaś rzeźba. Droga się poszerzyła. Była teraz odrobioną w drewnie rzeźbą polnej drogi.

Przy drodze stał złocisty tors, chyba też dzieło rzeźbiarza. Bez głowy i ramion, kończył się w pasie, a z miejsc, gdzie się urywał – z uciętych ramion i szyi – wystawały brzechwy strzał, natomiast z dolnej części tułowia ich groty.

– Tutaj już je spotkaliśmy. Zdarzają się całe zgrupowania – powiedział Cavernata.

Zaciekawiony Vittorino podszedł bliżej obejrzeć to dzieło. Położył dłoń na jego powierzchni. Bez wątplenia dało się odczuć dochodzące od złotego torsu drzenie. Wzdrygnął się: przecież coś takiego nie mogło być żywe.

– Przewróć go.

– Po co?

– Zadziwi cię.

– Położyć go?

– Obojętne. Najlepiej zwyczajnie przewróć. Vittorino schylił się i przewrócił złocisty korpus.

Ten przypominał w dotyku zwykłe ludzkie ciało, nawet troszkę się poccił, chociaż niewątpliwie był rzeźbą. Teraz przez korpus przeszły drgawki agonalne. Z miejsc, gdzie wystawały groty strzał, zaczęła sączyć się krew.

– Co mi kazałeś zrobić? – wzdrygnął się Vittorino. – On umiera, krwawi.

– Właśnie. Stygnie już? – spytał Cavernata. Eleonora nachyliła się nad leżącym korpusem. -  
Przestał się ruszać.

– Jest chłodniejszy. Chyba już nie żyje.

– Poczekaj jeszcze, żeby się upewnić.

– A co teraz? – spytał Vittorino po kilku minutach.

– Znow go postaw – powiedział obojętnie Cavernata – a znowu się zadziwisz, jak i my.

Vittorino postawił rzeźbę z powrotem, oparł o drewniany pniak, by korpus stał pewnie. Złota powierzchnia znowu zaczęła się ogrzewać. Ze skóry zniknął zimny pot, mięśnie się napięły.

– Ożywa – powiedział. – Dla niego żyć oznacza stać?

– Tak. A śmierć jest zdarzeniem odwracalnym, rodzajem choroby, z której można wyleczyć, jeśli czas, jaki od niej upłynął, nie był zbyt długi.

– Kiedyś żyć oznaczało stać prosto – powiedziała Eleonora. – Pamiętam z wykładu Honoriusza Scholastyka. Widocznie więc leżeć znaczyło po prostu nie żyć. Te panoplia dokładnie realizują znaczenie słów Honoriusza. Ale chyba nie wędrujemy wewnątrz jego marzenia...?

Każdy stojący korpus wznosił się na grotach strzał wystających z jego podstawy. Nie stał nieruchomo, lecz drżał, wydając ciche stuki. Z dala odpowiadało mu postukiwanie o drewnianą powierzchnię innych panopliów. „Sporo tutaj dziwadeł”, pomyślał Vittorino.

– Czekajcie! – Eleonora znieruchomiała. – Przecież to jego drżenie czy stukanie brzmi jak śpiew – zauważyła. – Iio-oio-oi-iiioo-oo-o – wyrecytowała. – To zupełnie jak śpiew.

– Kiedyś w historii przez krótki czas używano alfabetu stukowego – zauważył Vittorino.

– Ja go umiem – ożywił się Cavernata. – To był alfabet Morse'a. Już wcześniej o tym pomyślałem, ale nie pasuje.

– Może trzeba zrobić inne przypisanie znaków. Spróbuj jeszcze raz.

Chwilę trwała cisza.

– Z-i-e-s-i-g... – wolno sylabizował Cavernata.

– Ziesig...? – zdziwił się Quent.

– Przecież on stale powtarza dwa słowa: *Grazie, Signore*.

– Dziękuję, że go postawiłeś. To rozumna istota.

– Odwrotnie przypisywałem długie i krótkie dźwięki i dlatego nie wychodziło...

– Wystukaj mu, że nam też jest miło go poznać – poleciła Eleonora. – Pierwszy raz w życiu widzę żywe panoplium... Bo to najpodobniejsze do panoplium – prychnęła jakby zagniewana trudnością nazwania spotkanej istoty.

Cavernata zerwał łądźkę drewnianej trawy i zaczął wystukiwać odpowiedź.

## 83 *Stukany alfabet*

(*Vittorino, Eleonora, Quent, Cavernata, Stella*)

Napotykali coraz więcej gładkich, jakby wyrzeźbionych z drewna korpusów. Wszystkim w głąb szyi i miejsce po brakujących ramionach wchodziły pęki strzał, a ich groty wzywały dołem, w talii lub poniżej bioder, gdzie korpus się kończył. Większość z nich była korpusami męskimi, lecz zdarzały się też żeńskie. Te miały widoczne piersi, węższą talię i jeśli sięgały dalej, to szersze biodra. Wyglądały jak drewniane rzeźby, ale wszystkie przypominały w dotyku zwykłe ludzkie ciało. Kiedy korpusy leżały, obumierały, stygły. Kiedy się je postawiło, ożywały, stawały się ciepłe, leciutko drżały, mięśnie ich to się napinały, to rozluźniały, nieustannie wystukując grotami strzał słowa wypowiedzi.

Jedynie Cavernata znał alfabet Morse'a i tylko on mógł się z nimi kontaktować. Uważnie śledził drobne ruchy strzał przeszywających korpusy – i litera po literze tłumaczył ich odpowiedzi.

Delikatny stukot przenosił się przez drewniane podłogę i wywoływał wibracje odbierane przez inne korpusy. Wszystkie one stale porozumiewały się ze sobą. Eleonora określiła pierwszego z nich słowem „panoplium”, ale one też znały tę nazwę i również tak o sobie mówiły. Powiedziały, że wywodzą się z Butschov z okolic Odwróconej Studni, gdzie na murze ukazał się wizerunek żywego panoplium.

– Z moich stron – z dumą powiedziała Eleonora.

– Tam robili żeńskie panoplia? – zdziwił się Vittorino. – Nie słyszałem o takich.

– Ja też nie – odpowiedziała. – To korpusy kariatyd, nie żywych kobiet. Ich piersi mają wyidealizowany kształt jak na rzeźbach, a nie prawdziwy.

Vittorino uśmiechnął się.

– Może to zrealizowane marzenie twórcy panopliów z Butschov...? – powiedział.

Poza podstawowymi wiadomościami panoplia nie chciały zbyt wiele ujawniać, chociaż chwilami podłoga aż mrowiała od licznych rozmów, jakie one same toczyły między sobą.

Korpusy umierały, zarówno kiedy leżały na plecach, na brzuchu, jak i na boku. Dla panoplium było to za każdym razem bardzo bolesne przeżycie. Prosiły, żeby je podnosić, a nawet jakoś zabezpieczać, by się łatwo nie przewracały.

Gdy korpusy były zbyt długo martwe, zaczynał się rozkład. Znaleźli kilka panopliów w różnych jego stadiach. Trafiały się białe fragmenty szkieletu: pas barkowy, kręgosłup z żebrami i miednicą. Pomędzy łukami żebrowymi tkwiły pęki rzeźbionych strzał. Szczególne wrażenie zrobiło na nich wykonane z żółtego drewna, kobiece panoplium o już widocznych żebrach, dziurze na miejscu brzucha, ale nie rozłożonych jeszcze piersiach i niezłe zachowanych biodrach. *Transi* wyglądała jak piękna złota rzeźba rozkładającego się kobiecego korpusu, obejmującego sobą snop ostrych strzał.

– Powiedzieli, skąd się wywodzą, ale nie powiedzieli, jak powstał – zauważył Vittorino.

– Może nic nie wiedzą. – Cavernata wykrzywił wargi.

– To niemożliwe – powiedziała Eleonora. – Muszą mieć jakieś podania, legendy, opowieści. Tyle legend snuje się wokół odwróconej studni w okolicach Brunej.

– Są tak zagadkowi, a nie chcą rozmawiać – mruknął Quent. – Boją się nas czy co skrywają...?

Eleonora chwilę się rozglądała. – Podejźmy do tamtej pani. – Wskazała stojące opodal żeńskie panoplium. – Spróbuję się z nią dogadać. Cavernata, stukaj.

Lekko pochyliła panoplium, aby trochę ją postraszyć, potem znowu postawiła równo i zaraz zaczęła wypytywać o znajomych, o okolicę, a jak ona znosi pogodę, wreszcie przeszła do trudniejszych pytań. Kobieta-panoplium z początku starała się odpowiadać zdawkowo, półsłówkami.

– Mów, bo cię przewrócimy całkiem – upomniała ją Eleonora. – Słysząc, że między sobą mówicie bardzo wiele.

– Dobrze, ale najpierw postaw *transi* – zażądała panoplium w odpowiedzi.

Rozsiedli się na ciepłym podłożu. Zapowiadał się dłuższy postój.

– Po co ją stawiać? Przecież ona już nie żyje – wystukał Cavernata. Łatwo się odpowiadało i rozmawiało, bo powolny przekaz pozwalał naradzić się przed każdą wypowiedzią.

– Ona nie żyje, ale stojąc, nie rozłoży się – wyjaśniła panoplium. – Pozostanie piękna, chociaż wyschnie.

„Skąd oni to wiedzą, przecież oczu nie mają?”, zamyślił się Vittorino.

Obaj z Quentem postawili napotkaną wcześniej *transi* do pionu. Nie śmierdziała rozkładem.

– Jak się nazywasz? – kazał spytać zdyszany Quent.

– Stella.



– Powiedz, skąd pochodzicie.

– Panoplia rodzą się, gdy z nieba pada deszcz strzał Apollina – zaczęła morsem wystukiwać swoją opowieść rzeźba kobiecego korpusu. – Musi ich padać tak wiele, by przy ziemi się zderzały. Jak zderzą się dwie albo trzy, to nic się nie dzieje, ale kiedy zderzy się ich naprawdę wiele, utworzą pęk czy snop, a wtedy...

Gubili się w jej wypowiedzi, bo Stella stuknęła morsem bardzo swobodnie, nie dobierała specjalnie słów, lecz brzmiało to jak zwykła, chaotyczna wypowiedź w rozmowie.

– Tak...? – spytał Cavernata, kiedy skończył im tłumaczyć jej słowa.

– Snop strzał skleja się i tworzy tkanę. Gdy jest ich wiele, to powstają biodra, kiedy za mało, wtedy tors jest wycięty od góry i nie ma szyi ani barków. To ubogi brat, który żyje krótko, bo strzały szybko obluzowują się w jego ciele i destabilizują pozycję. Upadnie szybciej niż kto inny.

– Zawsze tak się dzieje?

– Tak, jeśli coś nie postawi go z powrotem... – urwała.

– Opowiedz wszystko, chcę wiedzieć prawdę – Cavernata wystukał słowa Eleonory.

– Gdy od strzał zaćmi się niebo – Stella wróciła do swojej opowieści – zdarzyć się może, że zderzy się ich w jednym miejscu aż tak wiele, by skleiły się w postać całego człowieka. Będzie miał barki i biodra, ręce i nogi, głowę i włosy też. Taki piękny. To będzie Człowiek Apollina, tak jak i strzały są jego. Ów człowiek będzie mógł poruszać się tak jak wy i odejdzie stąd, jak wy odejdziecie – skończyła opowieść.

– Czy tutaj pada deszcz strzał? – spytał Vittorino.

– Z pewnością, skoro tu wszyscy jesteśmy.

– A skąd twoje imię?

– Strzały lecą od gwiazdy Apollin.

– Dlaczego nie chcecie z nami rozmawiać?

– Nie należy rozmawiać, bo to przybliży śmierć. Wbite strzały przesuwają się i poza robi się niestabilna. Wcześniej się upada.

– Między sobą papłacie bez przerwy.

– Trudno się powstrzymać. Każdy jest słaby.

– Skąd znacie te wszystkie szczegóły swojej budowy, swojego wyglądu, jeśli nie macie oczu?

– Widzimy oczyma duszy.

„Używa tego słowa”, zauważył Vittorino. „Czy ona ma duszę?”

– Nas też widzicie? – kazał przetłumaczyć pytanie.

– Ja was widzę. Wy wszyscy jesteście sługami Apollina, pana waszego świata. Możecie nas zabijać.

– Dlatego opowiedziałas nam swoją historię?

– Bo się boję, że mnie zabijecie. Budzicie grozę i władacie niezwykłą mocą.

– Jak wyglądamy?

– Odrażająco. Jesteście demonami. Starzy, pomarszczeni i pogarbieni.

– Nie boisz się tego mówić?

– Nie, bo ta przerażająca starucha, która omal mnie nie zabiła dla kaprysu, zażądała prawdy, więc może inni z was też tego chcą. Tym mnie zadziwiliście, bo przecież jesteście miłośnikami kłamstwa.

– Jesteśmy miłośnikami kłamstwa?

– Tak, wasz pan Apollin jest władcą pychy, a pycha wymaga kłamstwa.

Ta wypowiedź zmusiła ich do milczenia.

– Inni stukają co innego – zauważył Cavernata.

– Potrafisz zrozumieć?

– „Demonie, ujawnij swoje imię”. Tak stukają bez przerwy.

Eleonora gniewnie prychnęła. – Jest nas czworo. Przekaż im – powiedział.

– „Ujawnij swoje cztery imiona” – wysylabizował odpowiedź Cavernata.

– Eleonora, Vittorino, Quent i Cavernata. Można im to przecież powiedzieć. – Eleonora wzruszyła ramionami.

Teraz dopiero zrobiło się głośno. Stukały chyba wszystkie panoplia.

– Co oni się nagle zrobili tak rozmowni?

Cavernata nasłuchiwał. – „W imię Pana, Eleonoro, odejdz od Stelli. W imię Pana, Vittorino, odejdz od Stelli...” – tłumaczył.

– Oni nas zwyczajnie egzorcyzmują... – zauważył Quent.

– Stale powtarzają tę formułę. Tylko po kolei zmieniają nasze imiona.

– Nawet nie chce mi się śmiać – burknął Vittorino. – Chodźmy już. Nie ma sensu im tłumaczyć. Nie uwierzą. Szkielety też stawiać? – przekazał na koniec pytanie.

– Tak. Przynajmniej nie rozsypią się w proch – odpowiedziała Stella. Tylko ona odpowiadała na ich pytania.

Wciąż mijali nowe panoplia, a im bardziej w głąb krainy, tym było ich coraz więcej. Niektóre miały barki, inne biodra, jeszcze inne jedno i drugie. Człowiek Apollina nie nadszedł. Może to tylko była legenda, a prawdą było Butschov?

– Trochę mi głupio – burknęła Eleonora. – Ona naprawdę pomyślała, że chcę ją zabić. – Wzruszyła ramionami. – Faktycznie była ładnie wyrzeźbiona, ale przecież korpus to tylko część człowieka. Nawet wykonana z drewna przypominającego w dotyku ciało. Choć ten kawałek rzeźbionego drewna był piękniejszy ode mnie.

– Nie wyglądasz tak źle. – Vittorino otoczył Eleonorę ramieniem.

– Daj spokój. Wiem, jak wyglądam.

Od tego spotkania dbali, aby postawić każdego leżącego mieszkańca tej krainy.

## **84    *Złote fauny***

*(Vittorino, Eleonora, Quent, Cavernata, para satyrów z bazyliki w Koblencji)*

Na drewnianej rzeźbionej trawie spało się nieoczekiwanie miękko. Listki uginały się i nie gniotły. Wystarczyło rozciągnąć się wygodnie.

Vittorino zwykle przykrywał Eleonorę swoją kurtką, żeby ta nie marzła w cienkiej przezroczystej bluzce. Często rozdzielali się w tej wędrówce przez rzeźbione pola, lasy i zagajniki, wtedy Vittorino wędrował z Eleonorą, a Quent i Cavernata trzymali się razem.

Spali nieregularnie, bo słońce tutaj nie zachodziło. Zresztą nigdy go nie widzieli. To był tylko jaśniejszy krąg skryty za białą, świetlistą mgłą, spowijającą niebo i ograniczającą widoczność. Vittorino odnosił wrażenie, że śpią tylko, aby się uspokoić po natłoku wrażeń – kiedy wspólnie decydują, że trzeba się przespać. Ale w zasadzie sen nie był tu potrzebny. Podobnie nie czuli tutaj głodu. Na drzewach wisiały drewniane banany, drewniane ananasy. Może nawet były jadalne, ale na razie ich nie próbowali, głód jeszcze nie nadszedł.

Zza świetlistej mgły w oddali wyłoniły się dwie postaci. Niby dwoje zgrabnych, wysokich ludzi, ale coś się nie zgadzało. Dopiero gdy tamci zbliżyli się bardziej, okazało się, że to para faunów. Mężczyzna i kobieta.

Oboje mieli jasne włosy do ramion, a mężczyzna zgrabnie przystrzyżoną brodę. Nosili na czołach wieńce z kwiatów w kolorze zimnego kraplaku, biodra zaś mieli porośnięte złotym runem. Uda były nagie, gładkie jak u człowieka, ale niżej kolana znowu otaczał pas złocistego włosia. Ona miała na sobie wykonany ze złocistego metalu łeb kozła czy antylopy, zasłaniający jej przyrodzenie, a jeszcze niżej złote koźle racice. Długie rogi kozła opasywały wąską kibić kobiety, zdobiąc ją złocistym metalowym pasem. On nosił na honorowym miejscu wykonany ze złotej blachy łeb lwi i miał złote lwie łapy miast stóp. Jego biodra opasywał złocisty, blaszany pas. Oboje stąpali jakby na palcach, choć kolana zginały im się do tyłu, jak ludziom, nie do przodu, jak zwykle satyrom.

Nie było pewności, czy ich łapy lub racice to nie są po prostu buty na bardzo wysokim obcasie, wykonane ze złotej skórki. Mężczyzna miał na sobie również niewielki półpancerz, osłaniający szyję i pierś przed ciosem szabli, oraz podobny ciemny metalowy hełm z pasem osłaniającym szyję. Na hełmie dopiero nosił wieniec z kraplaczego kwiecia. Jedyne odzieniem złotowłosej kobiety były buty i ten metalowy pas osłaniający przyrodzenie. Oboje stąpali z godnością, nieco z góry zerkając na napotkanych wędrowców.

Kobieta przeciągnęła się, unosząc ramiona i wypinając nagie piersi. Uważnie spojrzała, czy robi wrażenie na wędrowcach. Zupełnie jakby to był gest powitalny.

Wszyscy zatrzymali się. Nie wiadomo było, jak zagadać do spotkanych. Nieznajomi byli wysocy, ale nie wyżsi od Vittorina.

Kobieta podeszła bliżej i kopnęła jeden ze stojących opodal korpusów, potem kopnęła drugi. Panoplia, przewracając się, zarezonowały głuchym, jęklwym dźwiękiem.

– Dlaczego to robisz? – nie wytrzymał Vittorino.

Faunessa wzruszyła ramionami. – Tak trzeba. Podobno zawsze tak się robi.

– One tracą życie, leżąc.

– Przecież wiem.

– Czy ty, leżąc, też umierasz?

Spojrzała na niego okrągłymi oczyma. Cofnęła żuchwę, aż zarysował się drugi podbródek. – Nigdy nie leżałam... – wybąkała kobieta. – Musiałabym wtedy zdjąć wieniec, a to za wiele.

– Za wiele...?

– Nie mam dużo, jeszcze pas i buty, ale to właśnie mój wieniec jest dla mnie powodem do dumy. Nie chcę go utracić.

– One też nie chcą ginąć.

– To żywe panoplia, nic więcej. Sądzę, że one nie mogą nic chcieć.

– Cierpią, umierając. Z nimi można rozmawiać delikatnymi stuknięciami – wtrącił się Quent.

– Naprawdę? – zdziwiła się faunessa.

Quent postawił oba panoplia. Wkrótce odżyły, a jedno wzięło się do stukania.

– Myślałam, że one cierpią, żyjąc. Te wbite strzały przesuwają się w ich ciałach.

– Nie cierpią. Kochają życie. Już są przebite na wylot. Przesuwanie się strzał niewiele wzmacnia ich ból.

Pokręciła głową. – Myślę, że strzały Apollina próbują przyrosnąć, a przemieszczając się, rozrywają ranę.

– A kim wy oboje jesteście? – spytała Eleonora.

– Dziećmi Kastora z Koblencji.

– On też tutaj jest z wami?

– Nie znamy naszego mistrza, Ojca, który nas stworzył. Oboje długo pilnowaliśmy ołtarza w bazylice Świętego Kastora w Koblencji, tego w północnej nawie, wiesz...? – odezwał się mężczyzna.

Vittorino neutralnie pokiwał głową. Znał nazwę tego miasta, o tym kościele nigdy nie słyszał.

– Ale od pewnego czasu wędrujemy tą krainą. Nie pamiętam, jak opuściliśmy ołtarz, ale bardziej fascynuje nas obecna sceneria.

– Nas też. Ilu was jest?

– Też czworo, jak was, ale dwoje pozostałych gdzieś się pogubiło. Chodzimy, przyglądamy się drewnianym roślinom, drewnianym liściom, drewnianym kwiatom i owocom, potem spotykamy swoich i znowu się gubimy. Pięknie tu i dziwnie – powiedziała kobieta.

– Czy wasi towarzysze są podobni do was? – zapytała Eleonora.

– To nasi brat bliźniak i siostra bliźniaczka z tego samego ołtarza – wyjaśnił mężczyzna.

– Czy uniesienie ramion i wypięcie się do przodu oznacza u was powitanie? – zapytała Eleonora.

– Stałam w tej pozie przez setki lat, więc chyba jest najważniejsza, nie...? Tak najłatwiej mnie rozpoznać. Tak, to powitanie. Ty nie wypięłaś swoich piersi, a poza tym zakryłaś je płótnem. Niezbyt to grzeczne.

– Jak masz na imię? – spytał Vittorino.

– Tildis. – Faunessa aż pokręciła głową. – Nikogo dotąd nie zainteresowało moje imię. To niezwykle miejsce, skoro innych tak bardzo zaciekawiam tu sobą. – Uśmiechnęła się przyjaźnie.

Para faunów oddaliła się, lecz Tildis wkrótce zawróciła. W wysoko uniesionych ramionach niosła rozpostartą girlandę kraplakowych kwiatów. – Znalazłam te kwiaty i nie wiem, czy to rzeźba, czy kwiaty prawdziwe – powiedziała uradowana. – Są równie piękne jak te w moim wieńcu.

Wszyscy spojrzeli na nią.

Tildis trochę się speszyła. – No nic... Ale że tych kwiatów może być aż tyle...

– My czujemy to samo zadziwienie – powiedziała Eleonora. – Nie kop panopliów, Tildis.

– Dobrze.

## **85    *Dwie ważne decyzje***

*(Quent, Cavernata, Eleonora, Vittorino)*

Eleonora i Vittorino usiedli na chwilę w cieniu krzewu winorośli, misternie oddanego w jasnym drewnie. Krzew wił się na pergoli z drewnianych polerowanych kolumn. Wąsy winorośli obejmowały kanelury, grona oddane z lipowego drewna ciężko opadały bogatymi kiśćmi. Wietrzyk sprawiał, że wyrzeźbione liście szeleściły jak prawdziwe. Quent oddalił się, mierząc proporcje gałęzi. Próbował rysować tę roślinność, wydrapując linie drewnianą łodyżką liścia na jego powierzchni. Zostawały szare, cienkie, ale widoczne ślady. Cavernata już wcześniej został z tyłu, drzemał.

Eleonora przysiadła na leżącym pniaku, składając razem nogi i poprawiając spódniczkę, by nie odkryła zbyt wiele z jej ud.

Vittorino spojrział na nią uważnie raz i drugi.

– Eleonora! – nie powstrzymał okrzyku. – Jaka ty jesteś piękna! – Uchwycił ją dłońmi za ramiona.

– Proszę?

– Jesteś piękna. Odmłodziłaś.

Skóra na jej twarzy była jasna i gładka. Spod warstwy pudru nie wycierały dziury w podbródku, w skórze na czole i na powiekach. A jeszcze niedawno było na niej tak wiele znamion rozpadu ciała. Zresztą warstwa pudru też gdzieś zniknęła.

Spłoszona kobieta zaczęła przecierać dłońmi skórę na twarzy.

– Zablizniły się? – wydukała.

– Piękna dziewczyna z ciebie. – Z podziwem patrzył na jej regularne rysy, duże, ciemne oczy i białe, równe zęby. Włosy Eleonory znowu zrobiły się czarne i błyszczące, siwizna gdzieś znikła. Nawet jej bluzeczka miała świeży bladoliliowy kolor.

– Poczekaj, sprawdzę jeszcze... – powiedziała i bezceremonialnie wsadziła sobie dłoń pod bluzkę.

– Ech... – Uśmiechnął się.

Eleonora zaczęła się gwałtownie szamotać, macając dłońmi pod bluzką. – O nie! Ach! Ależ one są piękne! Popatrz. – Szeroko rozchyliła dekolt. – No nie... – Zaraz cofnęła się, spłoszona. – Wstydzę się...

Vittorino, ubawiony, patrzył na jej krzątaninę.

– One wyschły na wiór, dolegały do żeber, jakby ich wcale nie było. A teraz znowu są piękne, na swoim miejscu. – Patrzyła od góry za swój dekolt. – A kwiatki jakie ciemne. W ośrodku poprawiałam je brązową szminką.

– Rodziłaś?

– A nie, skoro one takie ciemne? Ależ teraz wyglądają dziewiczo! Porody ich nie popsowały.

Pokręcił głową z podziwem.

– Poczekaj jeszcze... – Eleonora dalej badała swoje piersi. – Guzka rakowego nie ma. Usunąłeś mi go w całości. Skóra się zablizniła.

– Podnieś się, poruszaj, sprawdzę, czy znów trzymasz się prosto jak trzcina.

Eleonora przestała się garbić. Oglądała samą siebie.

– Ależ ja świetnie wyglądam. Nawet brzusek nie jest zapadnięty jak u mumii, tylko płaski. Zaznacza się, jak zawsze chciałam, nie bardziej i nie mniej. Kości mnie przestały boleć.

Vittorino uśmiechał się, obserwując zachwyty dziewczyny nad własnym wypiękniałym ciałem.

– O! Krawat! – Ujęła w dłoń wąski pasek tkaniny. – Ale głęboki ten granat. Piękny, soczysty kolor. Przewiążę go jako kokardę pod szyją. Będzie z większą fantazją.

– Po raz pierwszy od trzystu pięćdziesięciu lat?

– Pewnie tak.

– Wygląda, że *gumphis subtilibus* znowu się rozluźniły. Związek między duszą a ciałem jakby nieco osłabł. Znowu oddaliliśmy się wyglądem od aktualnego stanu swojego ciała.

– To już z pewnością jest *Il Piccolo Paradiso* – dodał po namyśle. – Światy wyobraźni to już część Raju, może jeszcze niska, ale jak piękna. Daleko temu miejscu do ideału, satyry z bazyliki w Koblencji dla zabawy kopia bezbronnie żywe panoplia, ale popatrz, co się tu z nami dzieje.

– Vittorino! – Mocno złapała go za włosy i zaczęła żartobliwie ciągnąć. – Masz na głowie czuprynę jak gęstą poduszkę.

– Kiedyś miałem taką, za studenckich czasów... – mruknął.

– Znowu jest taka. I zmarszczki... Ale się spłyciły. Zostały tylko takie, żeby podkreślać twoją drapieżną urodę.

– Drapieżną...? Jak jaki Rehot...?

– Trochę tak. Właśnie taki, we śnie, najbardziej mi się podobałeś. Izabeli też.

Oboje umilkli na chwilę.

– Izabela... – wyszeptała.

– Jej losy ułożyły się zupełnie inaczej niż twoje – powiedział smutno. – Chociaż przeleżałyście obok siebie kilkaset lat.

– Nie inaczej, tylko tak samo.

– Proszę...?

– Zwyczajnie. Wracam po nią. Tu jest znacznie piękniej niż na placu katedralnym. Przyprawdę tu Izabelę, chociaż miałabym ją nieść na rękach. Jestem dość silna. Nie porzucę jej, aby wewnątrz płaskorzeźby rozsypała się w proch.

– Nie rozsypie się w proch, wyschnie na mumię i tak dotrwa Sądu.

Eleonora pokręciła głową.

– Izabela zasługuje na coś lepszego. Niech na własne oczy ujrzy *Il Piccoli Paradisi*. Ten z Ptasiegłowymi i Pałkorękami też. Całe życie męczyła ją choroba lunatyczna, a po śmierci było tak samo przez parę setek lat. Niechże Izabela też zazna tego piękna, światła i wiatru.

– Powiedz to chociaż naszym towarzyszom. Nie idź od razu.

Wrócili po pozostałych. Pod krzakiem drzemali obaj, Quent i Cavernata.

– Ryzykujesz utratę tego, co osiągnęłaś? – spytał obudzony Cavernata.



– Skoro tak mówisz...

– A jeśli wejście już się zamknęło za nami?

– Myślę, że do ośrodka wrócić zawsze można.

– A jeśli jednak wyjście już się zamknęło? – Cavernata dalej odwoził ją od tego zamiaru.

– To się znowu otworzy. Vittorino wymyślił skuteczny sposób jego znajdowania. W ośrodku jest tylu przystojnych uczestników... Vargal, Rehot, Sarpata... Zaraz mnie obiegają. Albo ten najprzystojniejszy z nich, Zuyaster, rywal do łona Danili. Z braku Danili zacznie gonić za moim, chociaż go nigdy nie dostanie... – Eleonora zachichotała w głos.

– Nie ryzykuj, możesz stracić wszystko – włączył się Vittorino. – Zuyaster właśnie tobie szczególnie zagraża.

– Już zdecydowałam. Ona postąpiłaby podobnie.

– Dasz radę wrócić?

– Pamiętam drogę. Wystarczy iść od światła w większy mrok i ku mniej doskonałym rzeźbom. Nie martwcie się. Wrócimy tutaj obie. Izabela też będzie piękna.

– Ty jesteś teraz piękna jak w moim śnie, chociaż nie masz alabastrowo białej skóry, lecz leciutkie rumieńce.

– Izabela też będzie piękna jak w twoim śnie.

Decyzja Eleonory okazała się brzemienna w skutki. Skłoniła pozostałych do namysłu. Zatrzymali się na naradę. Vittorino chciał podążać dalej, lecz Cavernata się sprzeciwił.

– To jest mylna droga – powiedział.. – Prowadzi donikąd.

– Piękno nie jest dowodem?

– Droga ma prowadzić do góry. My idziemy po równym – rozbijał argumentację Vittorina. – Stale jesteśmy na poziomie wyjścia z ośrodka, i na poziomie lasów i drogi. Nie spotykasz tutaj cech *Il Paradiso*.

– Odmłodniałem, wyprzystojniałem. Eleonora znów jest piękną.

– Ja dalej mam uszkodzenia skóry – mrugnął Quent. – Bolał mniej, nie rozprzestrzeniają się, ale nie znikły.

– Co najwyżej trafiliśmy do krainy ludzkiej wyobraźni. Jej mieszkańcy to ożywione dzieła, sztuki. Spotkaliście panoplia z zamku w Butschov, a teraz dwie hermy z ołtarza w północnej nawie bazyliki w Koblencji – powiedział Cavernata. – Ktoś kiedyś narysował Tildis i jej towarzyszy jako spójne postaci i nadał im taką formę. Słyszałem o nich na wykładnie nutritora

m'Beleha. Naprawdę dla ołtarza bazyliki w Koblencji wyrzeźbiono tylko bezrękie korpusy, a biodra i nogi oddzielone. Tylko dlatego, że ktoś ich narysował, mają kolana jak ludzie, a nie przetrącone jak satyry.

Vittorino milczał. Bawił się wąsem krzewu winorośli i uśmiechał do siebie.

– Nie wiesz wszystkiego – powiedział Cavernata. – Myśmy zaszli dalej korytarzem.

– Taak...?

– Korytarz zaczyna się wspinać. Najpierw nieznacznie, potem na jego końcu zaczynają się schody.

– Dlaczego więc wróciliście?

– Dla was – powiedział Quent. – Przecież uciekaliśmy razem. To ty znalazłeś wyjście. Przekonałem go, żeby na was zaczekać. Przecież uciekaliśmy we czworo.

– Eleonora się wyłamała – zauważył Cavernata. – Brenda by czegoś takiego nie zrobiła.

– Eleonora wróci. Przecież nie wychodziliśmy razem, a i tak się udało.

– Właśnie nie udało się. Trafiliśmy w ślepy zaułek. Tylko Eleonora twierdzi, że to już jest część Raju.

– Ja też uważam jak ona. To może już być *Il Piccolo Paradiso*.

Quent milczał. Zwiesił głowę.

– My pójdziemy do góry – powiedział Cavernata.

– Myślę, że z korytarza dało się wejść do dwóch *Piccoli Paradisi*, a do każdego wiedzie wiele wejść. Trzeba tutaj szukać dalszej drogi. Jeśli się już nasycimy...

– Nasz naturalny kierunek wiedzie do góry. Tam powinniśmy podążać, tam skrywa się cel naszej drogi.

Vittorino wyciągnął się wygodnie na miękko sprężynującym kobiercu rzeźbionych źdźbeł trawy. Miał ochotę się zdrzemnąć. Nie potrafił udowodnić, że należy iść dalej w krainę żywych panopliów i faunów z Koblencji, choć nie miał wątpliwości, że droga wiedzie właśnie tędy.

– Nie idziesz do góry? – spytał Quent.

– Jeszcze nie. Najpierw rozejrzę się tutaj.

– Możesz spotkać dziwnych mieszkańców. Nie wystarczą ci leżące, żywe torsy...?

– Panoplia nie mogły nam zaszkodzić.

– Inni mogą być groźniejsi.

– Pałkoręcy byli tacy. Nie przeszkadza mi to. Urzeka mnie piękno tego miejsca. Kraina pośrednia nie powinna być gorsza niż miejsce, skąd wyszliśmy.

– Wkrótce warunki mogą się zmienić.

– Będę miał dość czasu, żeby poznać to miejsce.

– Myślisz, że spotkasz tu Danilę?

– Jeśli ona jest moim aniołem stróżem, to stale jest blisko mnie. Nawet jeśli znajduje się po drugiej stronie świata, to wyczuwam jej serce. Dla jakichś powodów nie wolno mi jej spotykać. Może zakaz ustanie?

– A jeśli to tylko nieszczęśliwa dziewczyna, która musiała na krótko odwiedzić ośrodek konferencyjny i dawno poszła już do góry? Jedna lub druga, z tych, o których mówiliśmy? Wtedy trzeba jej szukać właśnie w górze – nie ustawał Quent.

– Czuję bliskość Danili, chociaż wiem, że jest obecnie niezwykle daleko – powtórzył. – Nie potrafię racjonalnie uzasadnić bliskości jej serca, ale co tutaj można racjonalnie uzasadnić...? Już pójdę. A poza tym w tym miejscu jest pięknie. Chcę je lepiej poznać.

## 86 *W górę*

*(Quent, Cavernata)*

Cavernata dobrze pamiętał drogę. Pewnie prowadził w głąb wyrzeźbionego lasu. Quentowi chwilami trudno było za nim nadążyć. Zwrócił uwagę towarzyszowi.

– Zamyśliłem się – burknął Cavernata i zwolnił tempo. Zrównał się w marszu z kolegą.

– Jak myślisz, dokąd prowadzą te schody w korytarzu? – spytał Quent.

– Wysoko. Przynajmniej na dzwonnice katedry. Przez setki lat była to najwyższa dzwonnica. Cavernata rozgarniał dłonią delikatne listki, cieńsze niż płatki forniru. Odchyłał gałązki.

– To tędy?

– Myślę, że tak – powiedział Cavernata. – Najwyżej zawrócimy i spróbujemy po raz drugi. Oni mówili, że z korytarza wiedzie tutaj wiele wejść. Ja też tak myślę.

Quent patrzył z podziwem, jak towarzysz świetnie radzi sobie w wyrzeźbionym gąszczu.

– No, jest! – powiedział ten z triumfem. – Dobrze zapamiętałem drogę. Mamy korytarz.

Rozchylone gałęzie ukazały drzwiczki wiodące do ciemnego wnętrza.

Quent uważał, żeby na pewno skręcili w prawo. Chwilę odczekali, zanim oczy przyzwyczyły się do ciemności korytarza. Cavernata zamknęła drzwi, teraz oczom było łatwiej. Przestali się potykać o wystające graty.

– Zaraz zacznie się wznosić – powiedział Cavernata.

– Vittorino ma szansę znaleźć tam Danilę? – zapytał Quent. Myślał o decyzji towarzysza.

– Nie wiem. Może liczy, że jeśli wpadnie w kłopoty, to jego anioł stróż spróbuje go z tego wyciągnąć i przy okazji znowu się ujawni. Ale ona tego nie zrobi. Przedwieczni tego nie robią.

– To dlaczego nie poszedł z nami do góry? Tam miałby większą szansę na spotkanie swojej miłości.

– Myślę, że Vittorino nie był gotowy. Sam będzie dokładnie wiedział, kiedy nadejdzie dla niego czas wyruszenia w tę wędrowkę. Może bał się, czy w pobliżu Największej Miłości będzie miejsce na inne miłości. One mogą okazać się klejnotami fałszywej próby. Bał się stracić miłość do Danili.

– Co ty mówisz? Tam miłości się nie traci.

– Skoro tak mówisz... – mruknął Cavernata. – Vittorino nie spotka jej już nigdy – kontynuował. – Może w myślach mówić do niej, może słyszeć jej słowa, mogą one nawet ukazywać mu się napisane. Zawsze bez pewności, że to właśnie mówi ona. Nie wolno mu nic powiedzieć o tej miłości, wyznać jej, że ją kocha. Te słowa zwyczajnie nie pokażą się przed oczyma duszy. Nigdy nie dotrą do Danili, bo nie zostaną przesłane. Uczucie musi zostać w jego sercu.

Quent zadrżał, zmrożony tymi słowami. – Dlaczego tak będzie?

– Anioł nie może usłyszeć takich słów, bo wróci do niego za wszelką cenę, a kontakty ich obojga nie zostały dopuszczone. Dawno przekroczyli zezwolenie.

– Więc Danila jednak jest aniołem...

– A kto powiedział, że nie...? – burknął Cavernata.

– Sam tak twierdziłeś.

– Vittorino tak myśli. Ja rozważam różne możliwości. Może on sam bał się, że Danila naprawdę jest inna niż w jego wyobrażeniach. Że sam zbudował sobie w myślach jej wyidealizowany obraz. Skoro trafiła do korporacji, może była tylko ambitną, upartą dziewczyną, która myślała wyłącznie o karierze, a jej tragedia zdarzyła się przypadkiem?

– Ona jest fascynującą zagadką – powiedział Quent. – Dla mnie też.

– Anielskość Danili jest niepewna. Mogliśmy wszyscy pomylić się w swoich przypuszczeniach. Przecież żaden anioł nie wyzna ci, że jest aniołem, a ona powiedziała coś bardzo dwuznacznego.

– Nic nie powiedziała. Roześmiała się. Tak mówił Vittorino.

– Zaczynają się kręte schody – zmienił temat Cavernata. – Z lewej jest barierka. Idź pierwszy.

Quent go wyprzedził. Obaj zaczęli wspinać się stopień po stopniu, ostrożnie, bo było ciemno. Słabe, żółte żarówki, wiszące na izolowanych przewodach, rozmieszczono bardzo rzadko.

– Myślę, że to jest już dzwonnica katedry – powiedział Quent. – Wspinamy się w jej wnętrzu.

– To zajdziemy niezwykle wysoko, wielokrotnie wyżej niż Vittorino. To najwyższa dzwonnica, jaką wzniesiono, zanim długo po czasie katedr ich miłośnicy dobudowali im wieże jeszcze wyższe.

– To dobry znak, może na samym szczycie będzie właściwe wyjście – ucieszył się Quent.

Było jednak coraz trudniej podchodzić. Im wyżej, tym korytarz stawał się węższy. Ściana gniotła w jedno biodro, a pionowy słup wspierający środek wieży w drugie.

Quent mógł w każdej chwili utknąć. Zaczął dyszeć. Czoło zlał zimny pot.

– Blokuję się w tej drodze. Nie dam rady wyżej. To nie jest droga do przejścia. Dalej w tym korytarzu człowiek się nie zmieści.

– Spróbuj się ostrożnie wycofać. Krok za krokiem. Uważaj, żeby nie spaść ze stopnia i nie skrzyć nogi.

Quent spróbował postawić stopę na niższym stopniu.

– Dobrze. Teraz następna – komenderował Cavernata. – Uważaj! Z każdym metrem będzie łatwiej.

Quent wkrótce mógł się odwrócić. Obaj schodzili krok za krokiem.

– Dlaczego nie dało się wyjść tym przejściem? Ty mogłeś spróbować.

– Jestem jeszcze wyższy i szerszy.

– To było ślepe przejście?

– To nie była droga dla ciebie.

– Co teraz?

– Cóż... wracamy do ośrodka. To nie była twoja droga.

– Ale też nie dla Vittorina. On uległ ułudzie. Został w krainie żywych torsów, drewnianych drzew i złotych satyrów. Jemu też się nie udało.

– Może wolno mu było tam trafić. Może wolno mu chociaż wspólnie myśleć z Danilą.

– To chodźmy jego śladem. Może właśnie w tamtej krainie znajdziemy przejście dalej.

– Przecież tam ci się nie spodobało. Czego będziesz szukał?

– Można poszukać nowej drogi.

– Wejście już się zamknęło. Nie pójdziesz za Vittorinem. Nie powiedziałem ci, ale drzwiczki się zatrzasnęły, kiedy wróciliśmy do korytarza.

– Ale dlaczego?

– To było przejście tylko dla niego. Vittorino szedł śladem swojej miłości.

– A ty skąd to wiesz!? Skąd wiesz to wszystko? Kim ty naprawdę jesteś, Cavernato?

Ten brzydko się uśmiechnął. – Zwykłym uczestnikiem – odpowiedział.

Quent nie odezwał się. Nie był przerażony. Od jakiegoś czasu domyślał się tego, lecz okłamywał samego siebie.

Zrozumiał, że ucieczka ich czworga z ośrodka nie była powtórzeniem, lecz odwróceniem ucieczki demonów z obrazu Rogeleta de la Pasture. Nie były to trzy demony i jeden uprowadzony człowiek, przebrany za demona, lecz troje ludzi i jeden demon udający człowieka, który to ich próbował uprowadzić.

„Potrafiłem ich uwięzić do końca czasów na powierzchni deski, to teraz oni mnie pilnują w tym kawałku kamienia”. Quent zwiesił głowę i podrapał się po plecach, bo rozkładająca się skóra mocniej zaswędziała. Ta myśl nieoczekiwanie go wzmocniła. Kiedyś potrafił przecież skutecznie zmagać się z tak potężnymi istotami, chociaż ich zemsta jest dolegliwa. „Wyjdę stąd, choć jeszcze nie tym razem”, pomyślał z nadzieją.

## **87    *Drzwi do świata***

*(Vittorino, Jutta)*

Vittorino gapił się na odchodzących kolegów, a potem zdrzemnął na miękkim posłaniu z cieniutkich drewnianych listków. Zbudził się wypoczęty, kości nie bolały, jakby spał w pościeli,

nie na deseczkach. Podłożył ramiona pod głowę i wyciągnął się wygodnie. Ileż jednak można się wylegiwać w ciepłym, miękkim blasku? Trzeba zaplanować dalsze działania. Wydawało mu się, że ucieczka z ośrodka się udała, a tutaj nagle ich grupka się rozpadła i został sam. Eleonora postanowiła wrócić, skąd uciekła, a Quent i Cavernata uznali, że wszyscy zabłądzili, i wyruszyli samodzielnie szukać właściwej drogi.

Ta kraina nie mogła być celem. To co najwyżej *Il Piccolo Paradiso*, czyjeś ucieleśnione marzenie albo może wiele marzeń. Piękna kraina, którą warto poznać, lecz celu trzeba szukać gdzie indziej.

Podniósł się i poszedł przed siebie.

Panoplia stały rzędem wzdłuż drogi i lekko wystukiwały swoje słowa o drewno ścieżki. „Bez przerwy gadają ze sobą”, pomyślał. „Skoro nie dano im zmysłów prócz dotyku i tylko umiejętność rozmawiania, cieszą się nią bez umiaru. Co można ujrzeć oczyma duszy? Jak dokładnie? Może tworzą wiersze niezwykłej piękności?”

Napotkał kilka leżących torsów, więc je podniósł, ciesząc się, że zmiana pozycji budzi je do życia, obserwując, jak rośnie temperatura ciała, znika zimny trupi pot, a cera staje się rumiana. Jeden leżał z pewnością dłużej niż trzy dni, bo widać już było na nim ślady rozkładu: dziury w powłokach brzucha i odsłonięte niektóre żebra. Tego też postawił pionowo, spełniając prośbę Stelli. Może *transi* padł ofiarą kopnięcia Tildis albo kogoś z jej towarzyszy?

Miał ochotę pogadać z tymi rzeźbami, ale stukać morsem nie potrafił. Cavernata poduczył go kilku liter, ale to wszystko. Nie potrafiłby zadać sensownego pytania.

Dostrzegł z daleka smukłą postać Tildis. Stała z uniesionymi ramionami i patrzyła na trzymaną w dłoniach girlandę splecioną z kraplakowych kwiatów. „Jakby nie mogła stać w innej pozie”, pomyślał ironicznie. Podeszedł do niej.

– Tildis! – zawołał.

– Jutta, nie Tildis. Ale ona też gdzieś tutaj wędruje. Przestała kopać panoplia.

Faunessa wyglądała niemal identycznie jak Tildis. Takie samo złote futro pokrywające biodra i kolana. Też złote kopytka, jak butki na wysokich obcasach. Podobne ciało i podobna twarz. „Jak dwie siostry”, pomyślał.

– Splotłaś sobie nowy wieniec? – spytał.

– Tak. Drewniane kwiaty nie wyglądają gorzej niż te na mojej głowie. Płatki przeświecają pod światło. – Opuściła ramiona, ujęła girlandę jedną ręką, a drugą podparła się pod bok.

– Trafiłem tutaj z mrocznego korytarza w głębi ciemnego lasu. Szukam wyjścia, żeby iść dalej.

– Tak ci się śpieszy? Długo już tędy wędruję i jeszcze się nie znudziłam.

– Ach... to prawda, trudno się tu znudzić. – Uśmiechnął się do niej. – Ale szukam wyjścia.

Nie znalazłaś czegoś takiego?

– Tak. Są drzwi. Medar nawet je otworzył, ale oboje baliśmy się przez nie przejść.

– A ty nie bałbyś się drzwi stojących samotnie i widocznych tylko z jednej strony?

– Zaprowadzisz mnie do nich?

– Skoro chcesz...

– Daleko są te drzwi?

– Ależ bardzo chętnie się tam przejdę jeszcze raz – powiedziała grzecznie. – One są dla nas wszystkich zagadką. Widziałam je wiele razy i dalej nie potrafię się temu nadziwić.

– A mnie się nie dziwisz?

– Widziałam wielu ludzi, już kiedy stałam, podtrzymując fragment ołtarza. Tutaj jest ich znacznie mniej.

Drzwi znajdowały się niedaleko, ale okoliczne drzewa osłaniały je dokładnie. Widać je było dopiero z bardzo bliska.

Wyglądały dość zwyczajnie. Ot, skrzydło drzwi stojące na łące i ujęte drewnianą, rzeźbioną framugą.

– Dziwaczne – powiedział. – Kto i po co je tutaj ustawił?

– Ależ to nie jest tu najdziwniejsze. Obejdź je z drugiej strony.

Vittorino wcisnął się między gałęzie, żeby zajrzeć na drzwi od strony wyrzeźbionych drzew. Od drugiej strony drzwi nie było. Przeszedł ich miejscem ku Jutcie.

– Aleś zrobił... – Złapała powietrze w płuca. – Przeszedłeś przez zamknięte drzwi. Odważyłeś się.

– A jak ty wracałaś od strony drzew?

– Na wszelki wypadek przyciskałam się do zarośli i szłam tak jak w tamtą stronę. Drzwi mogły być przecież niewidzialne. Nie chciałam się o nie rozbić.

– A ich od tamtej strony nie ma. Zresztą może w ogóle nie istnieją, a to tylko jakiś miraż – powiedział i chwycił za mosiężną klamkę. – To nie miraż.

Jutta stała, obserwując go.



Vittorino nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Po drugiej stronie odsłoniło się niebo, płynące obłoki, kamienne płyty, którymi wybrukowano rozległy plac. Powiał chłodny wiatr.

– Co chcesz zrobić? – zaniepokoiła się. – Wejdiesz tam?

– Czemu nie – powiedział Vittorino i przestąpił próg. – Jak chcesz, chodź ze mną – dodał już z drugiej strony.

Na placu też stały drzwi ujęte framugą. W oddali widać było śnieżnobiałe postaci w różnych pozach. Kamienne podobizny, posągi, dziesiątki posągów.

– A co tam jest? – spytała.

– Sama zobacz.

Jutta starannie owinęła włosy girlandą splecioną z kraplakowych rzeźbionych kwiatów. – Podaj mi rękę – powiedziała.

Vittorino wyciągnął ramię i pomógł jej przejść. Jutta miała chłodną, wąską dłoń o długich palcach i nieoczekiwanie – małe kępki złocistych włosów między palcami.

– Wszystkie faunessy mają takie dłonie – powiedziała ubawiona, widząc jego zaskoczenie. – Każda z nas, Tildis i ja.

Vittorino zamknął za nią drzwi. Jutta rozejrzała się po placu. Przysłoniła oczy przed blaskiem słońca. Tutaj też drzwi nie istniały od drugiej strony. W ich miejscu widać było tylko powietrze. Teraz to ona odważyła się przejść przez drzwi od strony ich nieistnienia.

Przechodząc, odruchowo podniosła ramiona w górę. Patrząc od strony Vittorina, wyglądało to tak, jakby wyłoniła się z drewnianej, rzeźbionej powierzchni, przez chwilę rzeczywiście przypominając hermę z bazyliki Świętego Kastora w Koblencji.

Dla sprawdzenia Vittorino znowu otworzył drzwi. Ukazały się wyrzeźbione drzewa i delikatna drewniana trawa.

– Wystarczy mi tego – powiedziała Jutta.

– Tak...?

– Wracam do swoich. Tam jest nas czworo, a tutaj byłabym samotna. Zresztą w moim świecie bardziej mi się podoba.

– Nie intryguje cię ten plac i posągi w oddali?

– Intrygują mnie, ale są obce. Piękne, ale obce. Może kiedyś tutaj zajrzę, już znam drogę, ale nie dzisiaj. Chciałabym to kiedyś pokazać Medarowi.

Jutta zamknęła za sobą drzwi. Wróciła do świata żywych panopliów.

## 88 *Wśród żywych posągów*

(Vittorino, Berta, Bertrand, Klio, Charles)

Vittorino znowu został sam. Jeszcze raz się rozejrzał po placu. W odróżnieniu od świata za drzwiami pierwszym, co się rzucało tutaj w oczy, była przestrzeń, rozległość placu, wiatr, którego powiewy pachniały. W oddali widać było wiele postaci nadnaturalnej wielkości. Niektóre niemal oślepiały bielą, inne słały złote, metaliczne błyski. W świetle panopliów było zacisznie, przytulnie, wszystko miało kształty wysmakowane, wyczelowane pociągnięciami dłuta wyśmienitego rzeźbiarza.

Krainy, które uznali za światy ludzkich wyobraźni, miały niezrozumiały status. Nazywali je *Il Piccoli Paradisi*, ale nie wiadomo było, czy faktycznie były fragmentami Raju. Dopiero co widział szkielety martwych panopliów. Poznał strach Stelli, która tak łatwo mogła zginąć wskutek kaprysu człowieka czy fauna, a której śmierć przyspieszało choćby gadulstwo. Nowa kraina oznaczać będzie z pewnością nowe wyzwania.

Drzwi były dobrze widoczne z daleka, więc zawsze można do nich wrócić. Znikały tylko, jeśli obejść je z drugiej strony.

Vittorino skierował się ku odległym postaciom. Niektóre z nich chyba się poruszały.

Jego obecność też została zauważona. Nagle ruszyły ku niemu dwie potężne bestie. Lew i lwica biegły szybkim truchtem. Zamarł w bezruchu. Do drzwi było już za daleko. Oba drapieżniki zbliżały się wielkimi susami. Większy, ale wolniejszy lew biegł na wprost, nieco mniejsza, ale sprawniejsza lwica starała się go okrążyć łukiem, zająć od tyłu. Vittorino stał się obiektem polowania olbrzymich szarych bestii. Grozę zwiększała nadnaturalna skala. Oba zwierzęta znacznie przekraczały wielkość zwykłych drapieżników. Czyniło to opór bezsensownym.

Tildis słusznie obawiała się tego miejsca, choć nie wiedziała, czym ono grozi.

„Może każdy musi najpierw umrzeć w każdym ze światów?”, zdążyło zaświtać w głowie. „A ja w tym przeżyję parę minut...”

Bezradnie czekał, co się stanie.

Tymczasem obie bestie zbliżyły się ku niemu, lecz nie zaatakowały. Lew i lwica zaczęły go okrążyć wolnym truchtem, co chwilę zerkając w jego stronę, czy aby przypadkiem nie próbuje uciekać.

Przyjrzał się obu drapieżnikom z bliska. Dziwne to były lwy. Wykonane z marmuru żywe posągi, a nie prawdziwe zwierzęta. Bloki marmuru połączone przegubami ze złocistego metalu, co umożliwiało im sprawne poruszanie się. Gdy pochylały głowy lub gdy wyciągały łapy, odsłaniały się metalowe cięgła i prostowody. Mechanizm działał bardzo sprawnie. Jego hałas dało się słyszeć dopiero, gdy lwy znajdowały się w bezpośredniej bliskości. Lew ryknął. Zabrzmiało to dziwnie, dźwięk był nieco zmieniony, metaliczny, jednak nie było najmniejszych wątpliwości, że to jest ryk lwa.

– Bertrand! – rozległ się głośny okrzyk. – Gdzie ty się wrywasz!?

Do Vittorina zbliżał się pięciometrowy mężczyzna w rozpiętym garniturze i w kamizelce. Posąg wetknął kciuki w kieszonki kamizelki i przypatrywał się gościowi osaczonemu przez obie bestie. W słońcu błyszcząca dewizka od zegarka. Posąg wyjął zegarek, otworzył kopertę i sprawdził, która godzina. Sposób, w jaki obchodził się z zegarkiem, nie pozostawiał wątpliwości, że dla niego posiadanie takiego przed miotu jest wyznacznikiem prestiżu.

– Południe, a moja Klio jeszcze nie uwiązała Bertranda.

Wykonany z brązu zegarek wydawał się zwyczajny, ale zdumiewało unoszenie się płyt kamiennej kamizelki, kiedy posąg wsuwał marmurowy palec do kieszonki, by zegarek wydobyć.

Wezwany lew podbiegł do kamiennego mężczyzny i zaczął się do niego łaścić jak kot. Lwica też przestała namierzać Vittorina, tylko pobiegła do przybyłego. Mężczyzna podkręcił kamiennego węża i lekko poprawił faworyta na policzku. Poruszony kamień ujawnił metalowe przeguby.

– Może by się pan przedstawił, młody człowieku? – zadudnił tubalnie.

– Sądzę, że nazywam się Vittorino di Cadore.

– Sądzisz? Tylko sądzisz, nie wiesz na pewno?

– Przez jakiś czas mówili na mnie Ioanneos.

– Ach... to stamtąd przyszedłeś – powiedział olbrzym. – Nie szkodzi. Na ogół do nas zaglądną fauny. Zawsze to jakaś odmiana. Nic ci tu nie grozi. Bertrand i Berta nigdy by krzywdy nie zrobiły. One są zupełnie oswojone. Musisz tylko uważać, żeby cię zauważały, bo przypadkiem mogłyby cię zmiażdżyć samą swoją postacią.

– Powiedz, skąd przyszedłem?

– Stamtąd, gdzie przychodzą sny niosące wiadomości, a każdy ma imię fałszywe i imię prawdziwe. Uważam, że byłeś uwięziony w przedmiocie.

– Tak, chyba to prawda – stropił się Vittorino.

– Chociaż pięknym?

– W płaskorzeźbie, wielkiej scenie figuralnej.

Olbrzym uśmiechnął się z uznaniem. Inaczej spojrział na przybysza, jakby w jego oczach piękno było niezbywalną wartością. – Pora, żebym sam się przedstawił – powiedział. – Charles d’Avroy. – Leciutko skłonił głowę.

Zza niego wyłoniła się wysoka naga kobieta w laurowym wieńcu na skroniach. Dla odmiany była wykonana w całości z brązu, więc przeguby umożliwiające ruch jej ciała były słabiej widoczne. Patyna nadała przyjemny zielony kolor jej ciału. Kobieta lekko położyła dłoń na ramieniu olbrzyma. W prawej niosła smycz z miedzianego łańcucha i mosiężną obrozę.

– Och, Klio! Jest pani wreszcie – powiedział Charles uradowany. – Bertrand znowu kogoś zdrowo nastraszył.

Klio przykucnęła i założyła lwu obrozę z metalu. – Jak będziesz straszył ludzi, to przestanę cię w ogóle wypuszczać, a twoja Berta pogoni do innych lwów – przyganiła i powstała.

Lew nie przestawał się łąsić do wspaniale zbudowanej, olbrzymiej niewiasty. Próbował stawać na tylnych łapach, obejmować ją, lizać jej twarz złocistym jęzorem.

– No, Bertrand, przestań już – powiedziała Klio. – Porysujesz mi połowę twarzy. Nie chcę zbrzydnąć po twoich czułościach.

Vittorino zadrżał, przypomniały mu się zdania z poradnika dla posągów.

– Charles, może zaproponujemy naszemu gościowi spacerek? – spytała Klio.

– Vittorino, czy spacerował pan kiedyś z prawdziwą muzą i parą lwów?

– Nie, nigdy. To robi wrażenie.

– Wiem, każdy z was tak odpowiada.

– Dlaczego pani nie uwiązała lwicy?

– Nie bój się jej! – włączył się Charles. – Ona jest równie łagodna jak Bertrand. Sam ją sobie wyszukał w czasie nocnych wędrówek, a ona już dawno dołączyła do nas trojga.

Lwica uważnie go obserwowała. Vittorino wolał, by trzymała się po stronie Charlesa, z dala od niego samego. Nie miał zaufania do czterometrowej bestii.

– Dlaczego oboje jesteście tak różnie odziani? – spytał.

– Nasz mistrz tak postanowił. Ja jestem muzą. Charles ma wspaniałą garnitur i zegarek, a ja wieniec laurowy jego sławy.

– Faktycznie jesteś naga.

– Żartujesz? Uważam, że jestem rzeźbą, a rzeźba nie jest naga. Jest wyidealizowana, a przez to odcieleśniona. Tu nie ma nagości.

– Skąd wiecie, że jesteście rzeźbami?

– To chyba widać. A potrafisz wskazać inne racjonalne wyjaśnienie naszego bytu? – spytała Klio.

– Nie potrafię znaleźć racjonalnego wyjaśnienia swojego bytu.

– Więc może ty też jesteś rzeźbą...?

– Przez jakiś czas byłem... Wiem, co jest w moim wnętrzu – dodał po chwili. – Ciało ma strukturę wewnętrzną wyjaśniającą jego działanie.

– Właśnie – włączył się Charles. – My nie mamy takiej struktury. Feliks zeskoczył z postumentu, żeby sprawdzić granice naszej wytrzymałości, i rozleciał się na fragmenty niezawierające żadnej struktury wewnętrznej poza stalowym zbrojeniem.

– Feliks był tylko z betonu, a we wnętrzu trochę zbrojeń z prętów stalowych – wyjaśniła Klio. – Wszyscy uważaliśmy go za szaleńca. Głosił przedziwne i szkodliwe rzeczy. Służył okrucieństwu. Stale sprawdzał granice ludzkiej wytrzymałości.

– Tak, Feliks był zagadkowy – zamyślił się Charles.

– Wiesz, on był z jednolitego kamienia. Beton jest przecież kruchy. Feliks nie miał przegubów, które by umożliwiły ruchy, zginanie rąk, nóg, wiesz... Zdejmowanie czy zakładanie surduta albo czapki.

– A mimo tego sprawnie się poruszał.

– Ścierał się? – powiedział Vittorino.

– Nie klnij! – zganiała go Klio. – Wam, przybyszom, czasami brakuje dobrych manier.

Vittorino nie odezwał się.

Gospodarze zrozumieli, że Klio potraktowała go zbyt surowo.

– Poruszając się, nie wypada zostawiać śladów po sobie – wyjaśnił Charles.

Vittorino zrozumiał, że zaproponowany spacer jest wyróżnieniem dla niego, bo przecież poruszanie się wiedzie do zniszczenia, przyspiesza koniec posągu.

– Macie wspaniałe działające przeguby. To stal czy mosiądz? – spytał grzecznie.

– Stal rdzewieje, mosiądz pokrywa się patyną, to złote przeguby – powiedział zadowolony Charles.

– Ja mam mosiężne. Dzięki temu złocisty kolor ładnie kontrastuje z patyną mojej skóry – dodała Klio.

„Klio jest dla Charlesa kimś takim jak Danila dla mnie”, pomyślał Vittorino. „Ale ten szczęśliwy posąg mają stale w pobliżu, rozmawia z nią. Nawet posąg lwa, Bertrand, ma przy sobie swoją Bertę. Tylko ja jestem zupełnie sam, a Danila utknęła gdzieś po drugiej stronie świata światów”.

## **89    *Wierzchem na marmurowej lwicy***

*(Vittorino, Charles, Klio, Berta, Bertrand)*

Zbliżyli się do innych posągów. Vittorino chciał jakoś uwolnić gospodarzy od swojego towarzystwa. Sytuacja robiła się kłopotliwa. Ich mechanizm, działając, bez wątpienia szybko się zużywał. Słysząc było, jak metalowe przeguby trą o łożyska, jak ocierają się o marmurowe korpusy, marmurowe ramiona. Uświadomił sobie, jak wielkim poświęceniem dla posągów jest przechadzka w towarzystwie gościa. Oboje doskonale wiedzieli, że każdy krok odbiera im cząstkę ich piękna, odrobinę pozbawia kształtu. Berta co chwilę zerkała na Vittorina, stąpając przy nodze Charlesa. „Lew też jest świadomy tego, co się z nim dzieje?”

Mijane posągi na ogół się nie poruszały. Niektóre odwracały za nimi głowy, podnosiły powieki. Dużo wśród nich było przedstawień nagich, urodziwych kobiet. „Cóż, cieszymy się, że na ogół takie kobiety rzeźbiono”. Żadna z marmurowych ani brązowych niewiast nie zdecydowała się do nich dołączyć. Pewnie gdyby Bertrand nie pognał w jego stronę, również Charles i Klio spróbowaliby go ominąć.

Wreszcie napotkali płaskorzeźbę. Szli od jej nieatrakcyjnej, gładkiej strony.

– Co jest po drugiej stronie? – spytał Vittorino.

– Ściana frontowa budynku. Możemy obejrzeć – powiedział Charles.

Vittorino ich wyprzedził, aby niepotrzebnie nie szli, jeśli to nic ciekawego.

W rzeźbionej w białym kamieniu fasadzie wyróżniały się drzwi wejściowe z mosiężnej, pokrytej patyną blachy. Tylko klamka została wypolerowana na złocisty kolor dotknięciami setek rąk.

– Dokąd prowadzą? – zaciekał się Vittorino.

– To za mała klamka, żeby dało się ją nacisnąć. Charles uśmiechnął się jowialnie. Nie był w stanie ująć masywnymi palcami tak małego przedmiotu.

Vittorino nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Intuicyjnie spodziewał się przejścia, korytarzyku. Nic nie było. Gładka powierzchnia marmuru. Jakby nie wierząc oczom, Vittorino kilkakrotnie popukał palcami w powierzchnię białego kamienia.

Żadnego wejścia nie było. Ktoś obluzował mosiężną ozdobę marmurowej płaskorzeźby, a po nim setki innych wędrowców powtórzyły ten błąd.

– Nic tu nie ma – powiedział Charles. – Więcej atrakcji znajdziesz w kopercie mojego zegarka – zażartował.

„W kopercie zegarka?”, pomyślał Vittorino. „A właściwie dlaczego nie...”

– Nie jestem aż tak mały, żeby do niej wejść – powiedział. – Nie macie tu większej koperty od zegarka...?

Podparta pod boki Klio dłonią przesunęła laurowy wieniec na skroniach. Ten gest był jakiś zabawny, sztubacki, niepasujący do majestatu posągowej muzy z brązu.

– Jest, ale daleko – powiedziała, jakby wygadała niewygodną tajemnicę, skutkującą koniecznością długiego, niszczącego marszu.

Vittorino nie odezwał się. Nie zamierzał narażać gospodarzy, a jednocześnie nie chciał urazić ich pytaniem o kierunek drogi.

Berta zaczęła się ocierać pyskiem o łydkę Klio. Lwica delikatnie, ale stale sygnalizowała swoją obecność. Co chwilę przy tym zerkała na Vittorina. Oba lwy poruszały się znacznie sprawniej niż stateczny Charles czy nawet piękna Klio. „Posągi lwów są rozumnymi istotami?”

– Przejechałbym się na lwicy – powiedział.

– Znudziło cię nasze towarzystwo? – Charles d’Avroy uniósł brew.

– Ależ nie, ale jazdy na posągu nigdy nie próbowałem.

Nieoczekiwanie włączył się Bertrand, który zaczął łączyć się do Klio. Zupełnie jakby rozumiał, o czym mówią.

– Czego ty chcesz? – zapytała muza. – Przecież na tobie jechać się nie da. Marmurowa grzywa przeszkadza.

Lew opuścił łeb i nadal wtulał się w nogi Klio.

Zachowanie lwa wzbudziło zainteresowanie pozostałych.

– Ależ oczywiście... – powiedziała Klio. – Vittorino musi się czegoś trzymać, bo spadnie z gładkiego grzbietu Berty. Twoja obroża i smycz.

Klio uwolniła Bertranda i założyła obrożę olbrzymiej lwicy. Ta trochę przysiadła na łapach, żeby człowiek zdołał wdrapać się na jej grzbiet.

– Łańcuch nie za ciężki? Dasz radę go utrzymać? – Klio podała mu smycz z brązu.

– Tak. – Faktycznie łańcuch był ciężki, ale w dwóch dłoniach dało się go dzierżyć. Żeby tylko bieg nie był za długi, bo mięśnie omdleją.

Vittorino wybąkał parę słów pożegnania.

– Nie żegnaj się – powiedział Charles. – Wy na ogół tutaj wracacie. Zbyt wiele tu pięknych posągów, a wam to nie daje spokoju. Jest kogo oglądać, jest z kim rozmawiać.

Berta ruszyła wolnym truchtem, żeby nie zrzucić jeźdźca. Bertrand jej towarzyszył. Biegł obok, co chwilę kierując głowę ku towarzyszce.

Vittorino uważał, by się nie przesunąć. Siedział na jednej marmurowej płycie grzbietowego pancerza, jednak niewiele dalej znajdował się przegub, który mógł wciągnąć ubranie i potem zmiażdżyć jego samego. Mijali wiele posągów, którym nawet nie było czasu się przyjrzeć. Musiał uważać, by przypadkiem nie zginąć.

Berta wyczuła jego obawę, bo zwolniła. Mógł lepiej obserwować.

Dzierżąca miecz, leżąca na brzuchu kobieta o otwartych do krzyku ustach oraz o uniesionych rękach odłożyła oręż, wstała, przeciągnęła się, zawiązała na biodrach tkaninę z brązu, a wreszcie przyjaźnie pomachała dłonią do Vittorina. Chwilę wspierała się na mieczu, potem zeszła z postumentu i przysiadła. Berta, widząc ich wzajemne zainteresowanie, obiegła siedzącą wokoło. Kobieta uśmiechnęła się, gniew zniknął z jej twarzy. Wspaniale zmrużyły się powieki z brązu, ukazując subtelny mechanizm umożliwiający ich ruch. Równie znakomity mechanizm sterował fałdowaniem szaty opasującej biodra.

Vittorino lekko poklepał Bertę, by ta przyśpieszyła. Napatrzył się już, a nie chciał, by akurat ta piękna rzeźba odważnej kobiety zużyła się, wykonując dla niego zbyt wiele gestów. Berta pognąła dalej.

Zatrzymała się jednak niedaleko. Stojący pod niebem na placu marmurowy zegarek niezwykle wielkości odrobiony został nadzwyczaj szczegółowo. Brązowe ogniwa dewizki malowniczo układały się przed rzeźbą, jakby podprowadzając ku zegarkowi każdego zaciekawionego widza. Vittorino z ulgą odłożył metalowe wodze. Zsunął się z grzbietu lwicy



i zeskoczył na ziemię. Bertrand zaczął się tarzać na plecach. Słychać było zgrzyt metalu o kamień. Niefrasobliwy kot przedwcześnie zniszczy swoją wspianą grzywę.

Po chwili Bertrand rozejrzył się badawczo, zgrabnie odwrócił na czterech łapach, utkwił wzrok w jednym punkcie, a jego uszy jakby przylepiły się do głowy. Lew przyczał się do skoku i groźnie ryknął.

Zaskoczony Vittorino odwrócił głowę. Nieznajoma kobieta zbliżała się do nich, dzierżąc w dłoni miecz. To jej obecność zaniepokoiła łagodnego dotąd drapieżnika.

Piękna nieznajoma też się zatrzymała. Vittorino zauważył, że inaczej uchwyciła rękojeść miecza. Nie było wątpliwości, że atak Bertranda spotka się z jej zdecydowaną odpowiedzią.

– Bertrand, spokojnie – Vittorino zwrócił się do lwa.

Wielki kot spojrzał na niego poważnie, ale uszu nie podniósł.

– Nie zrobię wam krzywdy – powiedziała kobieta. – Jak chcesz otworzyć wrota bez pomocy mojego miecza? – zapytała.

– Więc to są wrota? Znalazłem je.

– Skoro jestem z tobą, to zwyciężyłeś.

– Jesteś zwycięstwem...? – spytał niepewnie.

– Nazywaj mnie Krystyna, choć zdjęłam spódnicę półtryby.

– Krystyna Zwycięska?

– Dla niektórych.

– Ja przegrałem. Straciłem swoją miłość.

– Może właśnie odniosłeś jakieś zwycięstwo.

Vittorino obszedł zegarek wielkości człowieka, wejścia nie znalazł.

– No to pomóż mi go otworzyć – powiedział.

– To już zupełnie proste. Sam też byś potrafił. – Lekko uderzyła płazem w wystający przycisk na szczycie zegarka. Koperta odskoczyła. – Zobacz, czy to właściwy czas.

Po tarczy biegało wiele wskazówek, z których jedne kręciły się w prawą, a inne w lewą stronę. Trudno było ocenić, która z nich co mierzy.

– Proste to nie jest – rzekł.

Oba lwy podeszły bliżej i gapiły się na cyferblat.

– Skoro przyświecasz zwycięstwom, przyświeć i mnie.

– Czasem zwycięzca najpierw leży na ziemi.

– Niedawno sama leżałaś pokonana, ale bardzo sprawnie się zebrałaś.

– Podniosłam się po klęsce.

– Czasem krępujesz nogi, żeby było trudniej zwyciężyć czy żeby zwycięstwo miało lepszy smak?

– Tak szybciej się pływa.– Uśmiechnęła się.

– Stała rywalizacja, walka, zwycięstwo. – Odwzajemnił uśmiech. – Nie czujesz się czasem trochę zmęczona...?

– Taką mnie wyrzeźbiono. Nie znam nic innego. Ty też znajdź swoją drogę.

Jedna ze wskazówek właśnie dobiegała dwunastej. Zgodnie z sugestią posągu Vittorino lekko ją nacisnął. Cyferblat z trzaskiem odsunął się ku otwartej kopercie, odsłaniając przejście na zieloną łąkę. Powiało chłodnym porannym wiatrem.

Krystyna uśmiechnęła się. – Nie mówiłam?

– Zamkniesz za mną?

– Nie trzeba. Te drzwi zamykają się same.

## **90 I Misteri di Santa Cristina**

*(Vittorino, Paolina, Carla i wielu innych)*

Vittorino stanął na miękkiej murawie przesiąkniętej poranną rosą. Stopy odczuły chłód – odmiana po wygrzanych słońcem marmurowych płytach placu. „Zaraz buty przemokną”, pomyślał i zaciągnął suwak kurtki. Po tej stronie drzwi wyglądały jak rewers koperty zegarka. Już się zatrzęsnęły.

Rozejrzył się wokoło. Był wczesny, bezchmurny, letni poranek. Jeszcze chłodno, ale zapowiadał się upalny dzień. Wiatr przynosił skądś zmoczone rosą, drobne, cięte kwiaty, które lepiły się do skóry. Łąka była rozległa, w oddali przykrywała ją poranna mgła. Opodal rosło kilka drzew. Po drugiej stronie ciemniał zagajnik. Jeszcze w innym kierunku piętrzyło się połogie wzgórze.

Poszedł skrajem łąki tuż obok linii, za którą ta zaczynała się wznosić, przeradzając w zbocze.

Zaraz odsłoniło się przed nim zgromadzenie młodych ludzi, stojących w malowniczej grupie na zboczu wzgórza. Niektórzy stali tyłem, lecz większość zwrócona była jakby wprost do widza

nadchodzącego od strony łąki. Z prawej strony grupy dwie osoby klęczały. Sporo postaci patrzyło do góry, a niektórzy mieli ręce złożone jak do modlitwy. Większość z nich była jasnowłosa, jednak zdarzali się też ciemnowłosi czy osoby o włosach kasztanowych.

Postaci były prawie nagie, zwykle tylko z biodrami przepasanymi węższą lub szerszą taśmą. Stojący tyłem mężczyzna miał na głowie błękitny czepek i nic więcej. Jedna z kobiet nosiła skrywającą ciało, błękitną szatę długą do ziemi, a druga podobną, lecz w kolorze szmaragdowej zieleni. Obie dzierżyły w dłoni złote korony. Kolory tkanin były mocne, zdecydowane. Uderzała uroda postaci i ich posągowa budowa. Twarze zgromadzonych były piękne, rysy regularne.

„Żywy obraz. Oni odgrywają *Wysłanie zbawionych do Nieba* Signorellego”, pomyślał.

Pamiętał tamten fresk, wielokrotnie wyświetlany na przeźroczech w czasie wykładów. Coś jednak się nie zgadzało w tej scenie. Zgrupowane tutaj osoby były piękniejsze niż u Signorellego, bezbłędne, doskonałe.

Po lewej stronie grupy Vittorino dostrzegł jasnowłosą dziewczynę i już nie mógł oderwać od niej wzroku. „Danila?”, pomyślał. „Na fresku stała tam też piękna blondynka, ale nie ona przecież...”

Dziewczyna stała po lewej stronie grupy, obok mężczyzny na samym jej skraju, który uniósł lewą rękę, jakby właśnie jej coś wyjaśniał, chociaż faktycznie milczał. Biodra miała przewiązane szmaragdową szarfą, a ręce złożone jak do modlitwy. Ta dziewczyna miała ciało i twarz Danili. Przepiękna, smukła blondynka o bardzo dużych, foremnych piersiach, smukłych biodrach i prostych nogach. „Przecież Signorelli nigdy jej nie namalował!”, pomyślał Vittorino. „Ujrzał ją dopiero w ośrodku. Nigdy tej kobiety nagiej nie widział. Czyżby wśród dzieł, które namalował za życia, zamieszkiwały tutaj też wszystkie niezrealizowane pomysły, jakie mu przyszły do głowy po śmierci?”

Odziana w długą jasnoblękitną szatę kobieta zaklaskała w dłonie. Na ten znak zgromadzeni ożywili się i zaczęli rozchodzić.

Skorzystał z okazji i podszedł do przepasanej szmaragdową szarfą blondynki. Chciał chociaż przez chwilę obcować z żywym obrazem Danili powstałym w wyobraźni przyjaciela i znakomitego malarza.

– Zwykle się tutaj gromadzicie? – spytał wprost.

– Każdy dzień zaczynamy w tym miejscu. To chyba jakaś tradycja albo prawo. Nikt tego nie spisał, ale wszyscy tak postępują.

– Ranek jest wilgotny. Nie zimno ci?

Nieznajoma spojrzała na niego nieoczekiwanie chłodnym, badawczym wzrokiem. Dokładnie jak Danila.

– Naprawdę nie masz mądrzejszych pytań? Zimno nie zimno. Ja się cieszę, że muszę tylko trochę postać tutaj w udatnej pozie, a potem wolno mi robić, na co mam ochotę. Zaraz słońce ogrzeje łąkę i wysuszy rosę. Będzie przyjemniej. Tu można całymi dniami zwiedzać okolicę, wędrować. Co mi przeszkadza, że trochę zmarzną?

– Dzisiaj też masz ochotę wędrować?

– Jeszcze nie wiem, co zrobię. – Spojrzała na niego nieufnie.

– Mogłabyś mnie oprowadzić po waszej krainie.

– To nie nasza kraina, lecz cały świat. Poza tym ty jesteś brzydki, pomarszczony i dość stary. Na dodatek odziałeś się w bure, dziwacznie uformowane pod samą szyję szaty. Nie spotkałam jeszcze kogoś takiego. Byłaby z nas bardzo nieudana para.

– Bardziej naturalnie układają się cienie na mojej skórze, a twoja gładka skóra wygląda zbyt malarsko.

– Ja wyglądam nienaturalnie?

– Wyglądasz jak przepiękny wizerunek olśniewającej kobiety, nie jak rzeczywista istota ludzka.

– Bo te cienie nie są w porządku? – Znowu spojrzała z ukosa.

– Nie masz ani jednej zmarszczki.

Skręciła się. – A teraz? Tutaj. – Wskazała paluszkami. – Marszczy mi się skóra na boku.

– Faktycznie, jest jedna zmarszczka czy dwie, ale jakby zbyt liczne na twoim doskonałym ciele. Mogą takie być. Wyglądasz fascynująco, jak żywy wizerunek.

– Też mi pociecha. Zresztą mam za małe oczy. Carla ma naprawdę duże. Czarne, skrzące się blaskiem, głębokie, wilgotne, majstersztyk Naszego Mistrza – powiedziała. – Carla! – zawołała, jednocześnie machając ramieniem. – Chodź do nas! Chciałam ci kogoś przedstawić.

– Boję się go! – odpowiedziała ciemnowłosa piękność przepasana kraplankową szarfą. Vittorino już wcześniej zauważył, że tamta dziewczyna zerka na niego z mieszaniną niechęci i strachu. To ją właśnie zamierzała ukoronować odziana w błękit kobieta, lecz jakby zmieniła zamiar i zaklaskała, kończąc zgromadzenie.

– Ledwie go widać spod tych dziwacznych, burych szmat – powiedziała Carla.

- Nie szmat, tylko szat. On tak się odziewa.
- Po co się tak odziewa? Wszyscy ubierają się inaczej niż on.
- W naszej części świata. Może gdzie indziej odziewają się jak on. Nie bój się.

Urodziwa brunetka wreszcie się zbliżyła, ale zatrzymała o dwa metry od Vittorina, żeby móc odskoczyć w razie potrzeby.

- Nic ci nie grozi z mojej strony – powiedział Vittorino.
- Proszę! On nawet potrafi zrozumiale mówić – prychnęła Carla.
- Wszyscy mówimy tutaj jednym językiem – odpowiedział. – Kiedyś było to dla mnie samego wielkim zadziwieniem.

– Takie dziwadło może się czymś zadziwić? – Piękna dziewczyna wydeła wargi. – Nie widziałeś swojego odbicia w wodzie...? – W jej wielkich, wyrazistych, czarnych oczach stale czaił się strach.

- Wy obie mnie zadziwiacie. Zresztą wszyscy inni ludzie spotkani w tym miejscu też.
  - W tym miejscu? Chyba na całym świecie?
  - On uważa, że przyszedł do nas spoza świata.
  - Paolina, nie powinnaś z nim rozmawiać – powiedziała Carla.
- „Więc namalowana Danila tak się tutaj nazywa”, pomyślał.

Paolina jednak nie odezwała się. Po chwili milczenia Carla odwróciła się na pięcie i odeszła. „Chyba się nie obraziła?”

– To chodź ze mną... – rzekł. – Objaśnij, co kryje się za tym zagajnikiem. Pokaż mi twój świat.

- Chodź ze mną... Chodź ze mną... – zaczęła go przedrzeźniać.

Spojrzał, zdziwiony. To było zupełnie niepodobne do Danili.

– Powiesz słowo, a ja mam zaraz pójść za tobą? Wszystkie kobiety biegną na twoje skinienie?

– Nie wiem. Ciebie jedyną o to poprosiłem – te słowa przyszły do niego jakby same. Przed oczyma duszy miał Danilę.

– Mnie jedyną... – stropiła się i zamilkła na chwilę. Zmarszczyła brwi. Zerknęła z ukosa, a powiew wiatru porwał kosmyk jej włosów.

„Jakże jesteś w tej chwili podobna do niej”.

- Ale ja nigdy nie byłam za tym zagajnikiem.

– To gdzie pójdziemy?

– Właśnie zajrzeć za ten zagajnik, skoro chciałeś.

Chwilę szli w milczeniu. Przemoczył buty od rosy.

– Te słowa były przeznaczone dla innej kobiety? – spytała nieoczekiwanie.

– Nie zdążyłem jej powiedzieć tych słów.

Ledwie minęli pierwsze drzewa, otoczyło ich zbiegowisko. Jacyś mężczyźni w brunatnych szatach nieśli pokryte czerwonymi plamami nagie trupy młodych kobiet. To nie były karminowe plamy opadowe. Te przebarwienia otoczone były rąbkami łuszczącej się skóry i równomiernie rozsiane po całym ciele.

– Oni są odziani podobnie jak ty – zauważyła Paolina. – Boję się, źle im z oczu patrzy.

Tragarze obleśnie gapili się na rozebraną kobietę.

– To chyba twoja kraina. Moja szarfa wydaje się im niewłaściwa.

– Zaraz... – Vittorino opuścił suwak. – Załóż moją kurtkę.

– Tę twoją dziwną szatę?

– Właśnie. – Okrył kurtką jej ramiona. – Teraz cieplej.

– Ależ to dziwnie uszyte – powiedziała, gdy pomagał jej wdziać rękawy.

– A tu możesz zapiąć.

– Prawie nie widać mojego ciała.

– W innych stronach świata twoje ciało nie dałoby spokoju żadnemu mężczyźnie. Gapiliby się na nie jak urzeczeni.

– Tak łąpczywie, jak ty na moje piersi? – Znowu spojrzała na niego chłodnym spojrzeniem Danili.

Pokiwał głową, uśmiechając się samymi oczyma.

– Dziwni są ci twoi – powiedziała.

Nad tłum wyrastał pał, do którego przywiązany był nieprzytomny młody mężczyzna podziurawiony strzałami. Za nim wznosiła się sterta nagich męskich trupów, których skóra była mozaiką naturalnej bieli i czerwonych plam chorobowych. Niemal każdy ze zmarłych miał oczy przewiązane opaską. Jeszcze dalej stał drugi pał, umieszczony na solidnym podeście. Ten był pusty.

– Chyba domyślam się, gdzie trafiliśmy... – teraz on się zaniepokoił. – Najlepiej będzie stąd zmykać jak najszybciej.

Nie zdążyli. Zostali zauważeni przez zbrojnych. Truchtem biegli do nich uzbrojeni w piki żołnierze w morionach, półpancerzach i w bufiastych pludrach. Uciec się nie dało. Zbliżali się naraz z kilku kierunków.

Vittorino spróbował zasłonić sobą dziewczynę, ale został odepchnięty. Paolinę wywlekli ze sobą ku tłumowi koło samotnego pała. Otoczył ją tłum starych kobiet o paskudnych twarzach i zaciekłych minach. Zdarły z niej kurtkę, gdzieś pofrunęła szmaragdowa szarfa. Żołdacy wywlekli ją i wyprowadzili na podest. Paolina pozostała tylko w cienkiej, wykonanej z półprzezroczystej woalki opasce na biodrach. Następnie skrępowali ją grubym sznurem, by jej ramiona otaczały pał. Kompletnie zaskoczona ofiara nie krzyczała, lecz tylko przyglądała się oprawcom. Domyślił się, który z obrazów Signorellego właśnie się dzieje. Chciał się przedostać bliżej, jakoś pomóc, lecz stanęły mu na drodze skrzyżowane halabardy strażników.

Przewidywał, co nastąpi. Zdążył ją polubić, zachwycić się jej urodą, a zaraz ją straci. Wiedział, czyją rolę przyszło odegrać Paolinie. Zresztą wkrótce sprawa została dopowiedziana. Jeden ze złoczyńców przyniósł drabinę, przystawił do pała, wspiął się na stopnie i przybił nad głową Paoliny deskę z napisem „Santa Cristina Vergine di Bolsena”.

Pluton żołnierzy ustawił się w szereg, a dowódca wydał szczekliwą komendę.

Kiedy strzała trafiła w ciało Krystyny, rozległo się jakby stłumione uderzenie drewnianym młotkiem, które zadźwięczało echem w jej płucach. Vittorino krzyknął, poczuł na twarzy kroplę krwi z jej rany.

Kolejne trafienia przeszywały ciało z tym samym przerażającym odgłosem.

Znów bezskutecznie naparł na kordon strażników. Widzów dziwiło jego zachowanie. Krystyna każde z trafień kwitowała jękiem. Chwilę szlochała, potem przestała. Z ran ciekła prawdziwa krew. To nie była inscenizacja, lecz prawdziwa kaźń. Oprawcy metodycznie szpikowali jej ciało jednym pociskiem po drugim. Nie mógł na to patrzeć. Przysłonił oczy ręką, kiedy białą pierś Krystyny przeszła kolejna strzała. Z ran na jej ciele ciekły strużki krwi. Wreszcie ofiara zwiśla zemdlona.

Zadowoleni oprawcy przyglądali się swojemu dziełu. Oparli łuki o ziemię. W ich twarzach Vittorino rozpoznawał rysy Rechota, Zuyastera, Vargala i Sarpaty.

– Uwważaj... – stara kobieta o twarzy Horagwy szepnęła mu wprost do ucha. Poczuł powiew jej nieświeżego oddechu. – Teraz będzie najważniejsza chwila. Może zobaczysz najpiękniejszą.

Ciało Krystyny rozświetlił wewnętrzny blask. Jej włosy stały się złocistoblond, a niebieskie oczy promieniały. Teraz jej postać już zupełnie przypominała Danilę. Święta podniosła leniwie powieki. W jej wzroku nie było już cierpienia, lecz radość, spokojna pewność zwycięstwa. Ponad głową uniósł się świetlisty nimb. Jeden, dwa, trzy złociste kręgi. Za chwilę migały wszystkimi barwami tęczy.

„On to tak namalował...?”

Oprawcy upadli na kolana przed triumfującą Krystyną. Zwiesili głowy, opuścili łuki, jakby błagali o zmiłowanie za swój podły czyn. Gdzieś z tyłu za podium leżał stos kobiet zmarłych na poty umbryjskie.

– Nawet oni nie potrafią teraz inaczej – burknęła starucha. – Klękają, nie mogą się powstrzymać. Tak ich okiełznała.

Nie odezwał się. Ledwie poznał Paolinę, już ją stracił.

Twarze oprawców wygładziły się. Stężały, sardoniczny grymas zniknął na chwilę.

„Signorelli więził w swoich wizerunkach postaci świętych?”, pomyślał. „Obraz ma być zwierciadłem dla myśli modlącego się. Ma je ogniskować. Tylko tyle. Wizerunki pędzla Signorellego są prawdziwymi relikwiami? Czy Paolina jest teraz wcieleniem świętej?”

Krystyna spojrzeniem wyłowiła z tłumu twarz Vittorina.

„Na mnie patrzy”, pomyślał.

– Chcę mieć w szczególnej opiece kobiety chore na raka piersi. Strzały przebijają moje piersi w chorych miejscach. Chcę mieć chore na tę dolegliwość w mej szczególnej opiece – powtórzyła. Po chwili zamknęła oczy i opuściła głowę. Nie odezwała się więcej. Jej ciało bezwładnie zwiślało w więzach.

Spektakl się skończył. Widzowie rozchodzili się. Żołdacy też zabierali się z nimi. Łuki przewiesili przez ramiona. Rozmawiali o swoich sprawach. Kilku przyglądało się Krystynie z oddali.

– Cudzoziemcze, rozumiesz jej słowa? – Stara kobieta, z którą wcześniej zamienił parę słów, natarczywie wpatrywała się w jego twarz.

Nie odezwał się. Zbyt przeżył śmierć ledwie poznanej dziewczyny, która obudziła w nim wspomnienie tej, którą kochał najmocniej.



– Krystyna jest patronką od raka piersi, od innych chorób piersi jest Agata – rzuciła starucha, odczekała jeszcze chwilę na jego odpowiedź, wreszcie uznała, że nie zrozumiał, wzruszyła ramionami i odeszła.

Został sam naprzeciwko zmarłych. Nieco dalej podziurawiony strzałami Sebastian, przed nim Paolina, którą ledwie poznał, a już stracił, a za nimi dwie sterty nagich trupów, których bladą skórę pokrywały rozległe czerwone plamy. „Czy wszystko będzie mi odbierane za to, że mam nogi i kiedyś nie złamałem kręgosłupa, unikając paraliżu?”, pomyślał gorzko. „Z Danilą zamieniłem niewiele słów i odeszła na zawsze, z jej żywym wizerunkiem przespacerowałem niewiele metrów, a już została zabita”.

Stał i nieruchomo patrzył na ciało Paoliny, gęsto podziurawione strzałami. Nie wiedział, czy zostać tutaj, czy gdzieś pójść. A jeśli już, to po co iść? Miał przed sobą przynajmniej wizerunek Danili.

## **91    *Eleonora i Izabela***

*(Vittorino, Paolina, Eleonora, Izabela)*

Co z tego, że scena wyglądała pięknie? Żywy obraz powstały w wyobraźni Signorellego przerażał. Vittorino miał przed sobą wizerunek nagiej Danili podziurawionej kilkunastoma strzałami, wygiętej w przedśmiertnej męce. Cierpiał, patrząc na ten widok, ale głowy odwrócić nie potrafił.

Wzdrygnął się. Kątem oka ułowił czyjeś poruszenie. Na stosie trupów jedna z dziewcząt poruszyła ręką. Podbiegł, żeby udzielić jej pomocy. Przywalona stosem ciał, chrapliwie oddychała. Spróbował zepchnąć trupy, ale te uginały się i zaraz wracały na swoje pozycje, jakby celowo ją trzymając. Powtórzył próbę, ale znów wysunął ją tylko trochę.

– Ja... sobie... poradzę... – wycharczała chora. – Zdejmij mi tylko opaskę z oczu...

Delikatnie rozwiązał zakrwawiony opatrunek. Twarz dziewczyny wyglądała przerażająco. Oczy miała całkiem zapuchnięte, wokół zakrzepnięte krwawe łzy. Spojrzała na niego przez szparki powiek.

– Już mi lepiej. Jej pomóż.

– Komu...?

– Krystynie.

„Jakże mogłem nie pomyśleć! Przecież tutaj wszystko dzieje się inaczej! Może jeszcze jest nadzieja?!”, pomyślał i zaraz zatupotał o deski pomostu.

Spod dwóch strzał, które przeszły między jej żebrami, sączyła się czerwona piana. Wyjątkowo dużo pocisków było wbitych głęboko w piersi. „To rak piersi”, tłumaczył sobie. „Od czego zacząć?”, myślał gorączkowo. „Musi stać pionowo, panoplia umierały położone płasko. Jej może to też dotyczyć”. Paolina bezwładnie wisiała na ramionach ciasno przywiązanych do pala. „Trzeba raka usuwać od końca, od przerzutów”. Spróbował obluzować drzewce wbite w udo. Nie poddało się za pierwszym razem. Na szczęście nie miało zadziorów, ostrze było gładkie. Mocniej pociągnięte, ustąpiło. Teraz wątroba. Vittorino już wiedział, jak mocno ciągnąć.

Ostrze pozostawiło po sobie ciemny rombowy otwór. Rana nie krwawiła. Najłatwiej wyszły te z piersi. Trzeba było tylko przytrzymać rozciąganą tkankę. „Guz pierwotny był w płucach?”, uświadomił sobie, że naruszył regułę. Machnął ręką. „To moja własna reguła”. Wolno wyciągnął obie strzały wbite pomiędzy żebrami. Tu dalej sączyła się piana. Przewiązał więc jedną ranę muślinową opaską zdjętą z bioder Paoliny, a drugą skrwawionym łańchem z oczu dziewczyny na stosie trupów. Spojrzał w tamtym kierunku. Więcej nagich ciał poruszało się na stosie. Jedne drugim zdejmowały opaski.

– Rozwiąż mnie, bo nie wytrzymam z bólu... – szepnęła Paolina. – Tak długo się dusiłam...

Wyswobodził ją z więzów. Położyła się na deskach pomostu.

– Nie umierasz, leżąc?

– Skądże. Zemdlałam. Nie mogłam wytrzymać z bólu. Teraz mi się poprawia. Mogę oddychać.

– Myślałem, że zginęłaś.

– Też tak myślałam. Przeprasza mi biodra. Jestem naga.

Znalazł jej szmaragdową przepaskę. Zauważył, że rany nie krwawią, a lekko głaskane palcami, powoli zaciskają się. Podobnie działo się z miejscem po uczestniku prowadzącym wyłyżeczkowanym z piersi Eleonory.

– Jeszcze, jeszcze – powiedziała Paolina. – Dotyk twoich palców działa kojąco.

Spróbował zacisnąć rany między jej żebrami. Jeszcze sączyła się krwawa piana, ale gojona jego dotykiem rana wolno się zamykała.

– Pomóż mi się podnieść. Spróbuję sama iść.

– Nie za wcześnie?

Pokręciła głową.

– Zimno mi.

Założył jej swoją kurtkę. Leżała opodal, porzucona przez oprawców.

Zaraz wzięła go pod ramię. – Boli, kiedy drętwią skrupowane przeguby, a każde trafienie strzały to jakby wbijano ci gwóźdź, ale ta chwila triumfu była niesamowita, warta tych cierpień. Zagościło w moim sercu tak wiele dobra... Chyba parę kropel tam jeszcze pozostało.

– Rany szybko się zagoiły.

– No, szybko. Jakby to wszystko samo ze mnie opadło. Jakby choroba opuściła ciało. Może krew spłuka najbliższy deszczyk i nie będzie śladu...

Przytulił ją jak odzyskany skarb.

– Pójdiesz ze mną?

– Muszę wrócić w tamto miejsce na zboczu. Rano trzeba się ustawić w żywy obraz.

– Zmarzniesz znowu.

– Na dodatek te spadające kwiaty tak lepią się do skóry, że ciarki przechodzą z zimna. – Uśmiechnęła się do niego. – A blisko tego wzgórza zawsze są chłodne powiewy. Zimno tak tam siedzieć.

„Kim ty jesteś, Paolino?”, pomyślał. „Dzieckiem dziecka czy tylko dziełem?” Spojrzał na nią życzliwie. „Nie powiem ci przecież, że osobiście poznałem twój Ojca, bo byłoby to dla ciebie zbyt trudnym przeżyciem. Zniesiesz wieść, że istnieje Ojciec wszystkich ojców, twój też...? Czy potrafisz kontynuować Jego dzieło i sama tworzyć?”

– Kiedy zamyślasz się, twoje zmarszczki się pogłębiają – powiedziała. – Wyglądasz jeszcze dziwniej.

– Starzej...?

– Może trochę, ale ciekawiej. O czym myślałaś?

– O tobie. Co cię pasjonuje, kiedy nie musisz tworzyć obowiązkowego żywego obrazu?

– Każdą chwilę poświęcam na zwiedzanie mojego świata, choć dopiero z tobą oddaliłam się od wzgórza aż tak daleko.

– Nie chcesz go upiększać czy zmieniać?

– Po co? Jeszcze nie nasyciłam się jego pięknem. Ma trochę irytujących cech... – Uśmiechnęła się. – Choćby te spadające z nieba mokre kwiaty, ale w sumie da się wytrzymać...

Przy wzgórzu niewiele się działo. Młodzi ludzie szwendali się bez celu. Ktoś wylegiwał się na trawie, ktoś inny próbował grać na trąbie pozostawionej przez latającą kobietę w błękitnej szacie. Powrót ich dwojga wzbudził zainteresowanie. Inni zaczęli zbierać się i podchodzić do Paoliny.

– Zostałaś podziurawiona – odezwała się Carla. – Tak musiało się skończyć łązenie z tym dziwnym stworem.

– Nie pasujesz już do nas – zauważył długowłosey, muskularny mężczyzna. – Odejdź. I tak jest nas za dużo i wszyscy nie mogą się zmieścić na żywym obrazie. Inne kobiety są teraz piękniejsze niż ty.

– Wróciłam, bo uważałam, że to mój obowiązek. – Paolina ułożyła wargi w podkówkę.

– Naprawdę nie wiedziałaś, że tylko najpiękniejsi trafiają do sztucznego obrazu?

– Zawsze tam trafiałam.

– Bo byłaś najpiękniejsza z nas wszystkich. Teraz jesteś podziurawiona.

„Signorelli wymyślił znacznie więcej postaci do swojego Sądu Ostatecznego, a utrwalił tylko nieliczne z nich”, pomyślał Vittorino.

Rozgniewana Paolina odwróciła się na pięcie.

– Widzisz, że nie jestem tu niezbędna! – powiedziała trochę za głośno. – Jeśli chcesz, pójdę z tobą. Oni już nie uważają mnie za swoją.

– Dziwni są ci twoi.

– Jesteśmy dziećmi mistrza Luki, naszego Ojca. Jesteśmy na jego obraz i podobieństwo. Z pewnością on też taki jest.

– To chodź, nie warto z nimi tutaj tkwić.

Objął ją w pasie i poszli dalej razem.

– A ty? Dlaczego podszedłeś właśnie do mnie? Tam stało wiele pięknych kobiet, choćby Carla. Ale ty wybrałeś właśnie mnie, dlaczego? – spytała. – Wiem, że mam wyjątkowo duże piersi. Myślałam, że przez to niektórzy wytykają mnie palcami, a na koniec dowiedziałam się, że byłam wśród najpiękniejszych. Czy moja uroda to był powód? – Patrzyła chłodno.

– Przypominasz mi pewną kobietę – powiedział. – Chociaż nosisz inne imię.

– Straciłeś ją?

– Nigdy jej nie miałem, ale przez jakiś czas mogłem się cieszyć jej bliskością.

– Została głęboko w twoim sercu?

– Bardzo głęboko. Nawet nie wiem, czy ona była człowiekiem, czy aniołem. Zresztą nosiła imię anioła. Zetknięcie z aniołem jest bardzo mocnym przeżyciem.

– Wiem. Te odziane niewiasty wśród nas to anioły. Nie sposób oderwać się od nich myślami, póki która nie da znać, że już wolno się rozejść.

– Człowiek powinien unikać zbliżenia się do anioła. Danila była aniołem, dlatego rana po niej jest tak poważna.

– Chciałabym, żeby ktoś o mnie powiedział takie słowa. Teraz wiem przynajmniej, jak się nazywała.

– Bardzo ją przypominasz. Jesteś podobnie zbudowana, a twoja twarz to jakby jej wizerunek oddany przez mistrza Lukę, a właściwie...

– Co właściwie?

– Właściwie wyglądasz jak jego wyobrażenie o idealnej twarzy... On chyba chciał malować piękne kobiety w stylu innego mistrza, Filipepiego, ty masz tak właśnie oddane rysy. Podobnie jak jego cudowna Krystyna, której rolę zagrałaś.

– Nie powiedziałaś mi tego wcześniej.

– Może dlatego tak łatwo się z nimi pożegnałaś...? Może nie należałaś do tamtego żywego obrazu? I dlatego tak szybko odżyłaś po kaźni?

Wędrowali razem. Paolina też wyciągnęła ramię i objęła go w pasie.

– Mówisz niezwykle rzeczy. Jesteś dziwny, brzydki, obcy, ale... – powiedziała – jeśli chcesz, wybiorę się z tobą na tę wędrowkę. Może przyda ci się żywy wizerunek anioła. Jeśli chcesz, mogę nosić tę twoją burą opończę, bo faktycznie, inni noszą na sobie więcej niż ci w moim świecie.

– Ale ją czasem zdejmuj, żebym to ja mógł się na ciebie napatrzeć...

Nagle Paolina zamarła w bezruchu.

– Co się stało...? – ocknął się.

– Popatrz tam! – Wskazała ręką. – One są w podobnie brzydkich strojach jak twój.

Dwie piękne kobiety siedziały na świątym, okorowanym, gładkim pniu.

– Eleonora?! – poznał jedną z nich.

Eleonora obejrzała się, a jej towarzyszka podbiegła i rzuciła mu się na szyję.



– Vittorino, Eleonora ma rację, ty jesteś bardzo przystojny! Fascynujące! – zaczęła nieznajoma. Miała dość krótko ścięte, jasne włosy i błękitną suknię kimono o głębokim dekolcie spiętym sypiącym blaski brylantem. Vittorino czuł zapach jej włosów na twarzy.

Paolina czekała z niepokojem, jak Vittorino odbierze te komplementy. Nieznajoma kobieta niewątpliwie była z jego kraju. Może zbyt pomarszczona tu i ówdzie, ale nieodparcie przyciągająca wzrok czymś nieuchwytnym, uwodzicielskim – autentycznością.

Kobieta lekko odsunęła go od siebie i spojrzała z uśmiechem. – Nie rozpoznajesz biednej kaleki? Nieustannie upokarzanej w ośrodku swoją chorobą?

– Izabela? – spytał niepewnie.

Kobieta była bardzo piękna, choć miała fałdki skóry na powiekach opadające na rzęsy i chłodne, szaroniebieskie oczy. Te niesforne fałdki nadawały niezwyklej oryginalności jej urodzie. „Jak *La Primavera* Filipepiego”, pomyślał z podziwem.

– Już się pogodziłeś z moim wyglądem? – Izabela patrzyła na niego pewnie i zalotnie.

Natomiast Paolina czuła się coraz gorzej. Przywołała na twarz uśmiech, w którym oczy nie wzięły udziału, a usta w końcu ułożyły się w podkówkę.

Vittorino objął ją ramieniem.

– Danila z gołymi nogami? – spytała Izabela. – Już krótszych szortów nie mogłaś wdziać. Przecież one w ogóle nie mają nogawek! Nie tylko ty masz znakomite nogi... – Wydęła wargi.

– Paolina, nie Danila – powiedziała pewnie. – Niebieskie szorty to jedyne moje odzienie. W kurtkę on mnie wtłoczył. – Rozpięła suwak i zawiązała poły, odsłaniając wąską talię, którą kulminowały kształtne biodra. – Teraz lepiej? – Spojrzała ironicznie na rozmówczynię.

Izabela się nie odezwała.

– Paolina jest bardzo podobna do Danili – powiedziała Eleonora.

„Danila nigdy by się tak nie zachowała. Była wyciszona, nieśmiała”, pomyślał. „Paolina jest ekspresyjna, nawet przesadnie, pewna siebie. Mówi głośniej, ma niższy głos”.

– Może fizycznie... – burknęła Izabela.

– Jak wizerunek Danili pędzla... Luki Signorellego albo Sandro Botticellego – powiedziała Eleonora.

Modre oczy Paoliny zabłysły radością.

– Właśnie. Wspaniały wizerunek – powiedział Vittorino. – Razem wędrujemy po *Il Paradiso*. Jak wam się udało drugi raz uciec? Izabela nie wstawała już z łóżka.

– Pomogła mi Agata – powiedziała Eleonora. – Poprosiłam ją o pomoc, a ona nie odmówiła. Obie wyprowadziłyśmy pod rękę ledwie żywą Izabelę z pokoju, potem korytarzem i dalej. Najgorzej było na schodach. Na szczęście nikt nas nie widział. Natychmiast by nas zawrócili, bo nie można chodzić po ośrodku prawie całkiem nago. Wreszcie dotarliśmy do drzwi obrotowych. Recepcjonistka piorunowała nas wzrokiem, ale nie zabroniła. Potem Agata otworzyła furtkę kluczykiem i powiedziała, że dalej musimy sobie radzić same. Powiedziała też, że ta furtka już się zamyka, a jej klucz już jej nie otworzy.

– A skąd masz teraz tę suknię? – spytał.

– Nie wiem. Usnęłam stara, chora i słaba, tylko opasana w biodrach zbutwiałym ze starości płótnem. Zbudziłam się wypiękniata i odziana w tę suknię.

– Dlaczego tutaj poszłyście, a nie do góry?

– Do góry...?

– Korytarzem do końca i potem schodami w górę. Tak poszli Quent i Cavernata.

– Quent wrócił. Widziałam go w ośrodku – powiedziała Eleonora.

– W ośrodku?! Co powiedział?

– Nie rozmawiałam z nim. Nie chciałam, żeby mnie zobaczył. Ukrywałam za sobą nagą Izabelę. Na szczęście Quent był czymś bardzo przejęty, zamyślony.

– A poza tym co nowego w ośrodku?

– Rozmawiałam z Brendą – powiedziała Eleonora. – Wiedziała o naszej ucieczce.

– Ona też...? I nas nie wydała?

– To Cavernata kazał jej skopiować rycinę z *Sądem Ostatecznym* Rogeleta de la Pasture, zmieniając położenie i postaci demonów. Kobieta wśród tych postaci miała przedstawiać ją samą. Brenda płakała, mówiąc mi, że wzięła udział w fałszerstwie.

– Ale dlaczego to zrobił?

– Cavernata nalegał, żeby to Brenda uciekała z nami, ty jednak zaproponowałaś ucieczkę mnie.



## 92 *Szkielet na ławce*

(*Vittorino, Paolina, NN szkielet*)

Izabela i Eleonora nie poszły z nimi. Może patrzył na Paolinę w taki sposób, że zdecydowały, iż lepiej zostawić tych dwoje ze sobą. Może Izabela chciała poznać Charlesa d'Avroy, jego muzę i dwa lwy? A może miała stale cichą nadzieję, że podąży za nimi Prosper?

– One poszły do zegarka, ale ja znam inną furtkę – powiedziała Paolina, zerkając na niego, kiedy obie przyjaciółki zniknęły za drzewami.

Z ulgą pozbyła się tych dziwnych kobiet. Od chwili, kiedy je zauważyła, przestała uważać Vittorina za kogoś starego, brzydkiego i pomarszczonego, choć interesującego. Skóra tych kobiet też marszczyła się jak u niego, a mimo to nie można było powiedzieć, że nie są olśniewająco piękne. Przy tym obie wyglądały tak różnie. Uczucia tego nie nazwałaby tęsknotą za realnością, choć realności już zaznała, lecz niepokój w jej myślach został zasiany. Imponowało jej, że ten niepokojący mężczyzna właśnie ją wybrał na towarzyszkę swojej wędrówki, a nie tamte intrygujące piękności.

Z drugiej strony, kiedy ofiarował jej swoją kurtkę, stało się bardziej widoczne, że mimo zmarszczek jest bardzo harmonijnie zbudowany. Wyczulona na piękno Paolina nie mogła nie zauważyć, że Vittorino jest lepiej zbudowany niż jej towarzysze z żywego obrazu.

Przede wszystkim jednak urzekł ją pomysł wędrówki w nieznaną. Właściwie dlaczego trzeba stale trzymać się tego samego wzgórza, a co rano ustawiać się w tę samą scenę żywego obrazu? Może gdzie indziej jest jeszcze ciekawiej, skoro tam mieszkają tak niepokojący ludzie?

– Znasz tu furtkę? – zainteresował się.

– Inną niż zegarek, z którego ty wyszedłeś, a do którego one wróciły. My nazywamy to miejsce Końcem Świata.

– Świat ma swój koniec?

– To chyba oczywiste... – Wzruszyła ramionami. – Skoro świat tam się kończy...?

„Ona ma rację. Ja już kilka razy przekroczyłem koniec świata...”, pomyślał.

Przejściem okazała się dziupla pomiędzy czterema bardzo blisko rosnącymi drzewami albo jednym drzewem, które w młodości rozszczepiło się na czworo. Dziupla była zamknięta wykonanymi z desek, rzeźbionymi drzwiczkami. Deski połączono kołkami, które zgrabnie

zszlifowano, a teraz tylko zaznaczały się jaśniejszymi plamami. Na drzwiach wyrzeźbiono kilka mokrych kwiatów.

„Tu nie mogłyby się przylepić, bo liście przed nimi zasłaniają”, pomyślał.

Klamki nie było. Wystarczyło odchylić skrzydło drzwi.

Vittorino wspiał się i stanął na progu dziupli. Widok go zatrzymał. Po drugiej stronie niebo było miedziano-złociste, a na nim rzeźbione chmury. „Drzeworyt?”, pomyślał.

Podał rękę niższej od siebie Paolinie.

– Au! – Stąpnęła na nierówny karb kory.

Przytrzymał ją ramieniem.

– Przecież tak być nie może! – powiedziała zdumiona. – To nie może istnieć!

– Rzeźbione chmury czy złoty kolor nieba? Popatrz, tu ziemia wykonana jest z klepanej miedzianej blaszki.

– Zadziwiające.

– Byłem już w krainie drewnianej trawy.

– Tam też mnie zaprowadzisz – powiedziała dziwnie stanowczo, aż spojrzał na nią. Paolina potrafiła spojrzeć równie chłodno jak Danila i miała tak niebieskie oczy jak ona. – Chodźmy. Stopy mnie bolą od tej kory.

Zeskoczył, aż miedziana blacha zadudniła. Paolina też zeskoczyła.

– Ależ to zimne!

– Muszę ci znaleźć jakieś buty. Nie dasz rady chodzić tak wszędzie na bosaka. Stąpaj ostrożnie. Ostra krawędź blachy może zranić.

Druga strona furtki była z miedzianej blachy, ładnie młotkowanej w kłębiaste obłoki i w drzewa. Vittorino zamknął ją za nimi i przekręcił w zamku ozdobny duży klucz.

Paolina się uśmiechnęła i pokręciła głową, pokazując swoje zadziwienie.

– Nikt z was tu nie zaglądał? – spytał.

– Niektórzy pewnie tak, ale nikt mi nie powiedział, że tutaj jest aż tak dziwnie i tak bardzo pięknie. – Ujęła go za rękę. – No chodźmy...

Cieszyła go spontaniczna radość tej kobiety-wizerunku, jej pragnienie piękna i poznania. Nieoczekiwanie często odnajdował w niej cechy Danili.

– Chyba spotkaliśmy pierwszego mieszkańca – powiedziała do niego. – Ale jest dość nieruchomości...

– Gdzie?

– Tam, na ławce.

Niedaleko za framugą Końca Świata, pod mozolnie wymłotkowanym z miedzianej blachy kwitnącym krzewem, na metalowej ławeczce siedział szkielet wykonany ze złocistego metalu.

– Podejdźmy obejrzyć to dzieło sztuki – powiedział.

Naturalnej wielkości szkielet rzeczywiście był dziełem sztuki. Kości, wykonane z wielką precyzją, dokładnie oddawały kształt prawdziwych. Wszystkie były z wypolerowanego brązu, natomiast ledwie widoczne, łączące je więzadła – z brązu pokrytego zieloną patyną. Vittorino obejrzał kształt czaszki, a jeszcze dokładniej kształt miednicy, bo umiejętność oddania właśnie tych dwóch elementów świadczy o klasie rzeźbiarza. Nieznany mistrz odrobił je wyjątkowo dokładnie.

– To jest twoje wnętrze? – spytała ironicznie Paolina. – Tego właśnie mi brakuje?

– Prawdziwy szkielet jest wykonany z kości, nie z formowanych blaszek.

– Ależ ma wiele drobnych elementów. To zapewnia giętkość korpusu, prawda?

– Pewnie. To kręgosłup. – Zaczął tłumaczyć jej nazwy kolejnych kości i ich rolę.

– Pięknie wyglądają, ale nie muszę ich mieć w sobie – stwierdziła, ale jednak wyděła wargi w podkówkę.

– Ktoś go znakomicie uformował. Nie znajduję ani jednego błędu.

– Każdy z was tak zna swoje wnętrze?

– Ja znałem budowę ludzkiego szkieletu.

– Skąd...?

– Nie pamiętam.

Nieoczekiwanie szkielet obrócił ku nim głowę, spoglądając mrocznymi oczodołami na Vittorina, który palcem pokazywał Paolinie poszczególne kości.

– Ach...! – westchnęli oboje.

Szkielet podniósł się z ławki i poszedł sobie. Nie słyhać było szelestu jego metalowych kości. Chwilę patrzyli w ślad za nim.

– Coś niesamowitego... – wyszeptał Vittorino. – On żyje...

– Może wszyscy mieszkańcy tak tutaj wyglądają? Chcę ich poznać jak najszybciej. Chodź. – Paolina pociągnęła go za sobą.

### 93 *Złociste ciało Zofii*

(Vittorino, Paolina, Zofia)

Paolina miała rację. Wkrótce trafili na następnych mieszkańców. W zagajniku było ich całkiem sporo. Złote szkielety chodziły pod niewysokimi drzewami o regularnych koronach i miedzianych gałęziach, przypatrywały się liściom. Niektóre wyszukiwały niewielkie białawe owoce i dłońmi lekko sprawdzały stan ich rozwoju. Zajmowały się swoimi sprawami, ignorowały przybyłych. Intrygowały Vittorina, a jeszcze bardziej Paolinę.

Jeden ze szkieletów zafrapował ich szczególnie. Miał długie, złote włosy, wykonane z cieniutkich drucików, wyklepane ze złotej blachy powieki, przysłaniające wielkie, złote, wyraziste oczy, ale przede wszystkim piękne, wykonane z plecionki maleńkich ogniwek piersi. Wyglądały one jak tkanka, którą kobieta ma na piersi pod skórą. Mimo iż wykonane z metalu, układały się miękko, delikatnie, jak prawdziwe piersi, a nie jak sztywne półkuliste pojemniki. Szkielet kobiety owinął szyję skrzącym się złoto szalem.

Zauważyli, że kierowała ona pracą innych szkieletów. Pokazywała, które gałęzie powinni przyciągać niżej, które białawe podłużne owoce oglądać staranniej.

– Obejrzyjcie jeszcze ten lewy konar i przeniesiemy się dalej – powiedziała kobieta-szkielet.  
– One są jeszcze zupełnie niedojrzałe. Możliwe, że jest jeszcze dużo za wcześnie.

Vittorino zdumiony spojrział na Paolinę. „W jaki sposób ona mówi?”, oznaczało to spojrzenie.

Paolina podeszła do szkieletu.

– Ma pani piękne piersi – powiedziała taktownie, na wszelki wypadek zaciskając kurtkę na swoich. Trafiała w dziesiątkę. Kobiety zwracają niewiele mniejszą uwagę na piękno piersi innych kobiet niż mężczyźni. Kobieta-szkielet natychmiast się nią zainteresowała.

– Zofia – przedstawiła się niewiasta. – Proszę mi mówić Zofia. Piersi przysługują, bo są blisko żeber, więc jest je na czym umocować. Ale zobacz, jak bogato są zdobione.

– Mają regularne zagłębienia i wypukłości, podzielone są na fasetki – pochwaliła Paolina. – Trochę jak szyszki wykonane ze złota.

– Wyglądają jak piersi pod skórą. Dopiero na nie trzeba nałożyć odzież.

– Odzież? – spytał Vittorino.

– No, ciało.

Nie zrozumiał. – Ich ruch ładnie harmonizuje z rytmem żeber – powiedział więc.

– Mnie też się podoba. – Zofia lekko rozwarła szczęki w uśmiechu. – O, zobacz, tu z boku jest takie suche pasmo...

– Blaszka, która łączy pierś z żebrem. Takie są po obu stronach.

– To nie blaszka, tylko pasmo mięśnia. Dzięki temu więzadłu pierś się rusza naturalnie.

Zofia z przyjemnością opisywała swoje ciało i wystawiała się do oględzin, żeby mógł lepiej zauważyć każdy szczegół. „Ona ma w sobie coś z Paoliny”, pomyślał Vittorino.

– Mistrz Anatomos opisał wszystkie te szczegóły jako pierwszy, a mój Ojciec, mistrz Benvenuto, oblekł je w moje ciało.

– Masz dwóch twórców? Jeden rzekł Słowo, drugi oblekł Je w ciało? Najwyższy wymyślił, a Demiurg stworzył? – Vittorino spytał o eschatologię Zofii.

Nie odpowiedziała. Woląa dalej chwalić się swoim ciałem.

– O, widzisz, jak się ruszam, to piersi też nieco się przemieszczają dzięki temu mięśniowi. Nie za mało, ale i nie za wiele. O! Patrz! – Podskoczyła, a metalowe piersi zakolebały się w dół, w górę i jeszcze raz w dół.

– Rzeczywiście bardzo naturalnie wyglądają – pochwaliła Paolina.

– Na ogół tak, ale czasem się zacinają. Głupio wygląda, jak jedna ładnie podskoczy przy szybkim ruchu, a druga się zablokuje i zostanie nieruchoma.

Trudno było się nie roześmiać.

– Ale w jaki sposób mówisz? Przecież nieodziana, nie masz czym mówić – spytał.

– Jak to, nie wiesz? Mówię tak samo jak ty albo jak ona.

Paolina uśmiechnęła się niewyraźnie i przeczesła dłonią włosy.

– Wszystko muszę przed wami ściągać z siebie... – droczyła się Zofia, udając zniecierpliwienie. – Popatrz...! – Rozluźniła złocisty szal otulający jej szyję. – To też myśl mistrza Anatomosa i ręka mistrza Benvenuto. Jak cała reszta mnie samej.

Oprócz kręgosłupa, wdzięcznie odrobionego ze złocistego metalu, Zofia miała fragment przełyku niknący za żuchwą oraz sugestywnie odrobioną tchawicę.

– Masz też płuca? – spytał zdumiony.

– Oczywiście, popatrz uważniej. – Wypięła się przed nim. – Patrzysz, nie widzisz. Zauważyłeś tylko piersi, a nie to, co pod spodem.

– Ja też zauważyłam tylko piękne piersi – podkreśliła Paolina.

W klatce żeber Zofia miała starannie odrobione w metalu złote płuca, stale uciskane oddechem.

– Ty oddychasz...!

– Pewnie. Tego też nie widziałeś? Teraz rozumiem, dlaczego jest tak ważne, że mistrz Benvenuto dał nam prawo do piersi. Widocznie mieli do nas dotrzeć tacy dziwni ludzie jak wy.

Uświadomił sobie, że dla Zofii oni oboje nie różnili się zbyt wyglądem. – Masz więcej części ciała. Oczy i powieki też, chociaż bez rzęs.

– To moja ulubiona ozdoba. Często ją zakładam. Gałki oczne bez powiek robią przykre wrażenie, dlatego muszą im towarzyszyć powieki.

– A włosy?

– To peruka. Włosy na czaszce zawsze budzą grozę, poza tym nie da się na nie nakładać odzieży. Włosy są przecież jej częścią. Rzęsy też powinny być zakładane z odzieżą.

Zofia przechadzała się wolno z dwójką przybyszów. Zdołali ją zaciekawić. Nie sobą, ale raczej zainteresowaniem nią samą. Mijali inne szkielety.

– Wszystkie kobiety tak wyglądają?

– Popatrz tam. – Zofia wskazała ręką. Kilka postaci miało powłóczyście złote rzęsy, inne złote kędziory na czaszkach. – Nie wszyscy się tak odziewają, ale wielu nosi peruki, sztuczne rzęsy...

Niektóre szkielety nie miały piersi ani długich rzęs i powiek, ale za to nosiły złote trójżone kapelusze, które umiały zdejmować.

– Mężczyznom jest chyba niezręcznie...

– Tak musi być. – Popatrzyła uważnie. – Nic tam mieć nie mogą, bo i kobiety powinny wtedy nosić coś na szkielecie. To byłoby niesmacznie dosłowne. Wystarczą im kapelusze. Zwykle nie zakładają złotych oczu.

Mężczyznę-szkielet spotkali na samym początku.

– Nie jest im trudniej patrzeć? Tak pustymi oczodołami...?

– Widzą normalnie. Zresztą niewielka strata, mężczyźni nie mają pięknych oczu.

– Ależ to dziwne...

– Mistrz Benvenuto tak zdecydował. – Kobieta wzruszyła ramionami.

– Czy mistrz Anatomos ma też inne imię? – Vittorino spojrzał na nią badawczo. Domyślał się, czyja to wyobraźnia stworzyła ten *Il Piccolo Paradiso*.

– Jeśli nawet, to jest nieznane.

– Może Andreas Vesalius?

– Piękne imię. Mógłby się też tak nazywać. Jestem wdzięczna obu moim mistrzom za piękno, jakim mnie obdarzyli. Jesteśmy piękni. Zarówno odziani, ale i jako szkielety.

– Jak wyglądasz odziana? – spytała Paolina.

– Niedługo nadejdą bartłomiejki, to zobaczysz, wszyscy zobaczą!

– Co to są bartłomiejki?

– Karnawał Świętego Bartłomieja. Wszyscy wtedy przebieramy się na bale.

– Kiedy to będzie?

– Niedługo, już niedługo – powiedziała Zofia, wyraźnie ucieszona. Wskazała ręką na okoliczne krzaki. – Zobacz! Owoce jeszcze niewielkie, ale już dojrzewają!

## **94    *Kraina istot z płomienia***

*(Vittorino, Paolina)*

Wąskie spiralne schodki, wiodące wnętrzem pnia z blachy miedzianej, doprowadziły do samego sufitu. Dalej drogi nie było. Jednak po co by wznoszono te schody aż tak wysoko? Vittorino napał na gładką powierzchnię ramieniem. Nie poddała się. Nacisnął mocniej, wtedy strop ustąpił. Kłapa uniosła się, odsłaniając szary nieboskłon. Wszedł po schodach i wyciągnął rękę do Paoliny.

– Świetnie znajdujesz wyjścia – powiedział.

– Intuicyjnie. To nie są miejsca brzydkie, ale nie tak piękne, jak inne – odpowiedziała. Wsparła się na jego rękę i stanęła na gładkiej powierzchni.

Znaleźli się w miejscu, gdzie rozpościerała się tylko rozległa równina pod szarym nieboskłonem. Nic. Płaska powierzchnia, bez kamieni, bez krzaków, bez wyraźnych nierówności. Gdy opuściło się kłapę wejściową, ta trafiała tak pasownie, że przestawała wystawać.

Paolina mocniej zakutała się w jego kurtkę.

– Czuję się tutaj nieswojo – powiedziała. – Czy to naprawdę dobre miejsce...? Czy musimy próbować każdej nowości? Jeszcze nie rozejrzeliśmy się u Zofii, a ty już gnasz przed siebie. Nigdy nie widziałam szkieletów. Sama nie mam takiego w sobie. Dotąd żyłam na łące w pobliżu jednego pagórka, a tobie nie wystarczyła nawet Kraina Żółtych Szkieletów.

– Wcześniej nie widziałem żywych szkieletów. Możemy do nich wrócić.

– Gnasz pchany niepokojem nie do zaspokojenia.

– Może.

– Nie chcę drugi raz zostać zakatowana.

– Czym mogłaby nam zagrozić pusta przestrzeń? Można chociaż się rozejrzeć, dokąd trafiliśmy, zanim stąd wrócimy.

– Zaraz zapomnimy drogę wyjścia. Chociaż czymś zaznacz tę klapę, żeby nie utknąć tu na zawsze.

– Nie ma czym – burknął.

– Oczywiście, że jest czym – powiedziała i zdjęła kurtkę. – Namalowano mnie tylko w najkrótszych możliwych szortach, bez nogawek, jak łaskawie powiedziała Izabela.

– W błękitnej przepasce na biodrach. Ona nazwała to szortami, bo tak się jej skojarzyło.

– Właśnie. To jest mój naturalny strój. Do kurtki się przyzwyczaiłam, ale zakładam ją, by nie budzić sensacji wśród takich jak ty. Tutaj jednak jesteśmy sami, nikogo innego nie widać. Nie musisz wyłącznie patrzeć na piersi Zofii, możesz przypomnieć sobie, jak wyglądają moje.

– Nagie mogą się przypadkiem zranić.

– Będę uważać. Unieś klapę.

Okazało się to trudniejsze, niż myślał. Płaska klapa weszła szczelnie w wyżłobienie futryny. Wreszcie wcisnął paznokcie w szczelinę. Klapa była lekka i dało się ją unieść, nie łamiąc ich.

Przycisnęli klapą jego kurtkę. Wiatr jej stamtąd nie wyrwie.

Nie był do końca przekonany, czy powinni zaznaczać wyjście z nowej krainy. Tutejsza rzeczywistość rządziła się dziwnymi prawami i takie wejścia mogły równie dobrze manifestować się w inny sposób.

Wkrótce oddalili się od nieznaczonej wypukłości terenu, ale miejsce było nadal widoczne, czasem wiatr poruszał rękawem kurtki.

Teren był przeraźliwie pusty. Można było iść przed siebie, ale wkrótce traciło się wiarę, że to prowadzi do jakiegoś celu, krajobraz nie zmieniał się w ogóle. Stale czasza szarego nieba nad równą płaszczyzną, coraz częściej jednak włosami ruszał powiew wiatru. Dzięki niemu, chociaż oddalili się już znacznie od klapy, nadal widać było powiewającą połą kurtki Vittorina.



Wiatr wzmagał się z każdą chwilą i stawał się coraz cieplejszy. Coraz gorętsze porywy uderzały jak wąskie języki. Kiedy taki trafiał, trzeba było osłaniać twarz przed żarem. Paolina odwracała się wtedy plecami do wiatru, bo tak skóra mniej parzyła.

Wreszcie, po szczególnie mocnym powiewie, ziemia zapłonęła. Uniosły się z niej słupy ognia, idące strzelistym rzędem, i mocno zawirowały. Biegły one ku nim od horyzontu i znowu się oddalały, jak żywa, rozedrgana kolumnada. Dobrze, że gorący powiew, który je wzniecił, przeciął przestrzeń z dala od nich, boby zostali spaleni. Czuć było gorąc idący od serii wirujących, płomienistych kolumn.

Słupy płomieniste to wznosiły się, to opadały. Nie można było oderwać wzroku od ich tańca. Widać było, że ten proces ma jakiś cel. W niektórych miejscach płomienie wirowały, otaczając kolumnę ciaśniejszym pasem, w innych wystrzelały w górę niczym płomienista głowa czy wyciągnięte ramiona.

Wkrótce nie było już wątpliwości: oto kolumny ognia przerodziły się w płomienistych ludzi. Niektórzy stali nieruchomo, inni szli przed siebie, jeszcze inni jakby płasali w podrygach. Jedni gonili się nawzajem, inni znowu tańczyli, zataczając kręgi.

Kilku zbliżyło się do Paoliny i Vittorina, ale zatrzymało z daleka. Najwyraźniej zdawali sobie sprawę, że mogą łatwo skrzywdzić ich oboje. Jedna kobieta aż uklękła i pochyliła się do przodu, by obejrzeć ich lepiej.

Kłęcząca przecesała dłońmi miedzianozłote włosy. Jeśli płomień może się uśmiechać, to jej twarz, uformowana z rozigranego płomienia, uśmiechnęła się do nich. Czyżby oczy uformowane z płomienia mogły widzieć to samo, co zwyczajne? Upinając niesforne, pełgające loki, kobieta powstała z klęczek. Towarzyszący jej mężczyzna, uformowany ze smukłego słupa ognistego, pociągnął ją za sobą. Gest był jednoznaczny. „Chodź”. Para uradowanych ludzi z płomienia uśmiechnęła się do nich jeszcze raz i poszła w dal.

- Oni nie mieli bioder przepasanych – zauważyła Paolina.
- Ogień jest nagi.
- Mogli nas spalić, a nie uczynili tego.
- Może już wcześniej spotkali innych ludzi... takich jak my.
- Jak ja? Czy jak ty? – zapytała Paolina.
- Dla nich to bez różnicy.

Wszyscy płomieniści oddalali się ku horyzontowi, nie tylko ta para, która jakby rozpoznała ich dwoje. Było nadal gorąco, ale coraz bardziej znośnie, bo żywe płomienie były już daleko. Wkrótce oddaliły się tak bardzo, że widać było tylko jedną jasną plamę na horyzoncie.

– Chyba spalą twoją kurtkę i stracimy drogowskaz. Nie będziemy mogli stąd wrócić – zauważyła.

– Na ogół nie wracamy. Raczej jest tak, że nieoczekiwanie otwiera się dalsza droga. Może kurtka nie będzie już potrzebna?

– Oni wskażą nam drogę? Obawiam się ich.

– Interesują się swoimi sprawami. Obudzili się i na razie fascynuje ich po prostu istnienie. Może to dobrze, bo nawet niechcący mogliby nas skrzywdzić.

– Wróćmy lepiej do Zofii – powiedziała Paolina. – Ludzie z płomienia to dla mnie zbyt mocne przeżycie. Wystarczą mi żywe szkielety. Są wystarczająco obce.

Kurtka nie spłonęła, chociaż powiewający rękaw zwęglił się na końcu.

– Czy ty znasz imię mojego mistrza? – Paolina rzuciła okiem, kiedy Vittorino ciągnął za kurtkę, by podnieść klapę.

– Znam jego imię i znałem go osobiście. A on znał kobietę, której ty jesteś wizerunkiem.

– Zdradź mi jego imię.

– Zapamiętany został jako Luca d’Egidio di maestro Ventura dei Signorelli.

– Piękne imię – powiedziała, naciągając rękaw kurtki.

– Dobry człowiek.

– Człowiek taki jak ty albo któraś z tych twoich dwóch przyjaciółek? Czy taki jak Zofia? Albo ci z płomienia?

– Taki jak ja. Nawet trochę podobny z twarzy, tylko jeszcze starszy. Siwowłosa.

– Mistrz powinien być najstarszy.

## **95    *Karnawał Świętego Bartłomieja***

*(Zofia, Paolina, Vittorino)*

W Krainie Złoty Szkieletów zmieniła się sceneria, jakby czas biegł tutaj w innym rytmie i upłynęło go znacznie więcej niż w Krainie Płomienistych.

Drzewa nie miały już liści z miedzianej blachy. Z gałęzi zwisały podłużne, białawe, spore owoce. Kształt miały nieregularny, jakby zwisał zwój miękkiej tkaniny. Wokół kręciło się wielu mieszkańców. Wśród zgromadzonych dało się wyczuć podniecenie. Szkielety podchodziły, zrywały te owoce i zabierały ze sobą. Niektóre wybierały rosnące na samych końcach gałęzi małe orzeszki czy jagody i wciskały je sobie do oczodołów.

– Zofia? – spytała Paolina, podchodząc do jednego ze złotych szkieletów, który właśnie zerwał dwa orzeszki z krzaka. Były jeszcze częściowo otoczone łupinkami.

Vittorino też ją poznał. Zofia wyróżniała się piersiami z niezwykle starannie odrobionym żłobkowaniem zrazików.

– Tak – potwierdziła, odwracając się ku nim. Spojrzała na Paolinę mrokiem pustych oczodołów. – Ach, to ty...! – parsknęła. – Udało się ci przyczepić do odzianego syna Mistrza Mistrzów!

– Nie masz nic do mnie – powiedziała zadziornie Paolina.

– Nie jesteś tutaj pierwsza. Wielokrotnie już twój zaglądał do naszej krainy. Puszczycie się swoimi odzieniami, ale brak wam tego, co u nas piękne i na wierzchu.

– Znaczą szkieletu...? – włączył się niepewnie Vittorino. Nie rozumiał przyczyny gniewu Zofii. Zapamiętał ją zupełnie inną.

– To oczywiste. Nikt nie potrafił oddać kształtu szkieletu lepiej niż mistrz Benvenuto.

– Dlaczego tak jej nie lubisz?

– Nasz mistrz nie ceni jej mistrza, więc i ja jej nie cenię.

– Mistrz Paoliny potrafił niezrównanie oddać ciało, które ty nazywasz odzieniem. Choćby tylko za to jest wart szacunku.

– Można być mistrzem odzienia?

– Ależ tak... Oczywiście.

Złoty szkielet nie odezwał się. Zofia wyłuskała oba orzeszki z łupinek. Zobaczyli ciemniejsze plamki na białawej gałce. Obie gałki wcisnęła do oczodołów i palcami lekko poprawiła ich ułożenie. Przeciągle spojrzała na Paolinę. Oczy bez powiek i rzęs wyglądały nienaturalnie.

– Nadeszły właśnie bartłomiejki – powiedziała po chwili. – Festiwal odziewania się.

„Może dlatego tak zazdrości Paolinie jej bezbłędnego ciała?”, pomyślał.

Zofia podeszła do najbliższego krzaka i zerwała z łądyżki jeden z białawych, jakby spływających pod własnym ciężarem owoców.

Teraz dopiero Vittorino zauważył, że każdy z nich to miękkie, flakowate ludzkie ciało przypominające kombinezonik, a miejsce po zerwanej łądyżce formuje w nim pępek.

– To będzie najbardziej odpowiednie dla mnie – powiedziała. – Musisz mi pomóc się ubrać.  
– Naciągnęła na stopy cielesne nogawice. Poprawiła palce, by dokładnie leżały.

Vittorino i Paolina z podziwem obserwowali proces odziewania się szkieletu w ciało. Teraz Zofia równo dopasowywała podudzia.

– Trzeba uważać, żeby łądyżki nie przesunęły się na bok – powiedziała. – Nie wiem, czy ma to inne znaczenie niż estetyczne.

– Ma. To są ważne mięśnie zginające nogi w kolanie. Umieszczone z boku, złamałyby ci kolano.

– Coś takiego...? Będę miała czym się chwalić przed tymi plotkarami. Te bulwy złamałyby kolano! Proszę. – Naciągała na siebie mięsiste uda i biodra. Górna połowa ciała zwiślała przed nią jak fartuch. Kobieta podskoczyła, by biodra ułożyły się ładniej.

– To jest prawdziwa skóra? – spytał Vittorino. Naciągane tworzywo układało się międko, czasami tworząc naturalne zmarszczki, czasem dziwaczne bruzdy. Faktycznie była to więcej niż skóra, kombinezon zawierał w środku mięśnie, wiele organów, a naciągnięty na brzuch nadawał mu przyjemny, naturalny wygląd.

– Sprawdźisz, jak skończę. Ocenisz efekt. – Zofia włożyła ramiona w cielesne rękawy, starannie ułożyła skórę na swoich metalowych piersiach, by kwiatki wypadły symetrycznie i dokładnie na obu szczytach, a następnie założyła głowę. Układała palce od rąk, przekręcała skórę na bicepsach.

Vittorino pomagał jej ustawić wypukłości ciała w prawidłowych położeniach. Paolina milczała, zafascynowana.

– Dlaczego te bulwy są tak ważne? Uczono mnie, jak należy je zakładać, ale nigdy nie widziałam w tym sensu. Niektórzy, dla żartu, zakładali je inaczej.

– To wszystko są mięśnie. Wprawiają ciało w ruch. Podobnie jak łądyżki, uszkodziłyby stawy, gdyby je krzywo umieścić.

– Chyba nie do końca. Dla nas to tylko dekoracja. Może wykwinna, może jej właściwe umieszczanie świadczy o dobrym wychowaniu, ale to wszystko.

W karnawale niektórzy uwielbiają zakładać ciało tyłem do przodu, tylko że wtedy nic nie widać, bo oczy przykrywa skóra. Przyjaciele muszą cię prowadzić, bo samemu nie wiadomo, gdzie iść.

Zofia odziała się już całkiem. Raz jeszcze poprawiła skórę obejmującą piersi. – Prawie gotowe, ale teraz ty musisz mi pomóc.

– Tak?

– Obejrzyj mnie.

Wyglądała bardzo sugestywnie. Jej skóra była w wielu miejscach dość pomarszczona, włosy siwe, jednak umieszczone we właściwych miejscach. Nie była to jednak postać staruchy, gdyż sylwetka stała młodzieńczo wyprostowana, a piersi i brzuch nie obwisły pod ciężarem wieku i porodów, lecz wyglądały wzorcowo zgrabnie. Uderzał widok młodzieńczych oczu, patrzących spod długich, choć siwych rzęs i puszczających żywe blaski.

– Odziałaś się w skórę starej kobiety, ale wyglądasz nie tak jak one, lecz jak każda stara kobieta marzyłaby, żeby wyglądać.

– Celowo takie wybrałam. Lubię stroje starych kobiet. Są ciekawsze niż młodych. Skóra nie jest tak gładka, tylko ma ciekawą fakturę, zmarszczki, wykwit, jakieś gruzdelki czy pajęczkowate przebarwienia.

– Tylko z tyłu jesteś pęknięta – zauważył. Długa szczelina szła od rozdzielenia pośladków aż na kark pod włosy, odsłaniając złote kręgi i fragmenty złotych żeber.

– Trzeba z tego krzaka zerwać kolec i długi kawałek tego nitkowego wąsa. Kolec ma pośrodku przewężenie i na nim się oderwie, a z grubszej strony ma ucho. Nawlecz kolec urwanym wąsem i zeszyj mi skórę na plecach.

– Ja to zrobię – zadeklarowała Paolina. Wzięła się do pracy. Zakładała szew za szwem, jednak nitka nieładnie marszczyła odzienie. – Wychodzi nieładnie – powiedziała. – Trzeba kłaść oddzielne szwy.

– W miejscu, z którego oderwałaś igłę, zawsze jest taki mały liść o bardzo ostrych krawędziach... – Zofia pochyliła się nad gałęzią i oderwała mały listek. – O, ten... Masz! – Jej gniew gdzieś zniknął. Nie obawiała się, że Paolina może ją złośliwie oszpecić.

Listek miał krawędzie ostre jak brzytwa. Bez trudu przecinały nitkę. Paolina usunęła prymitywne węzłki i jeden za drugim zakładała oddzielne szwy, odcinając nitkę przy supełku.

Gdy doszła do włosów, rozczesała siwe loki na dwie połowy i przeniosła na dekolt. Zofia przytrzymała je, żeby jakiś włos nie wkręcił się w szew.

– No, już gotowe! Wyglądasz znakomicie. Przecziesz włosy.

Zofia przykucnęła, jednocześnie ramionami obejmując nogi, by sprawdzić, czy szwy się nie rozejdą.

– Wytrzymały.

Popatrzyła z ciekawością na Vittorina. – Jak moja kreacja?

– Wyglądasz świetnie.

Rozdziawiła usta i zamknęła je raz i drugi. – Trzyma się wokół ust? To szczególnie ważne.

Przytaknął.

Zmrużyła oczy, żeby zaznaczyły się zmarszczki w kącikach oczu. – Mimika twarzy decyduje o jakości kreacji.

– Masz w ogóle sporo zmarszczek na twarzy. Jeśli cokolwiek ułożyło się niedokładnie, to one i tak to zamaskują. Masz też trochę zmarszczek na szyi. Jedynym dysonansem jest ta wspaniała młodzieńcza sylwetka. Brzuch trochę ci wisi, ale stanowczo nie jak u staruchy, piersi wyglądają jak u dziewicy, pośladki też są za jędrne. Mówię jeszcze raz, to nie starucha, ale marzenie starych kobiet o dobrym wyglądzie.

– To fajnie. O to mi chodziło. Możemy się przejść po okolicy. Mam się czym pochwalić przed znajomymi.

Niektórzy odziani mieli dziwacznie poprzekręcane ciała: miejsca, w których człowiekowi rosną włosy na ciele, wypadały niesymetrycznie, czasem na udzie, czasem na plecach zamiast pod pachami. Obecnie mogli znowu zakładać złote kapelusze. Niektórzy rozmawiali. Wkrótce zaczęło się to przeradzać w sprzeczki i awantury. Dwaj nadzy mężczyźni zaczęli okładać się skrytymi pod skórą, metalowymi pięściami z taką siłą, że pękała skóra i przyskała krew. Paolina z odrazą patrzyła na ich gwałtowność.

– Karnawał Świętego Bartłomieja – wyjaśniła z uśmiechem Zofia. – Wszyscy tak będą robić.

Miała rację. Wkrótce zobaczyli dwie kobiety, które biły się pięściami po twarzach. Obszerne zamachowe ciosy rozbijały wargi i puszczały krew z nosów. Świeżo założone ciała przesuwwały się i defasonowały.

Naraz Zofia wymierzyła Paolinie łokciem mocnego kuksańca. Paolina syknęła z bólu. Przed następnymi ciosami Vittorino zdążył już zasłonić dziewczynę swoim ciałem.

Odziani bili się parami, mężczyzna z mężczyzną, kobieta z kobietą, aż pryskały krople krwi i potu. Nie dostrzegali, aby gdzieś mężczyzna znęcał się nad kobietą czy odwrotnie.

Zamieszanie wśród stojących rozszerzało się z każdą chwilą, sytuacja zaczęła się robić groźna. Wkrótce już każdy bił się z każdym, nie bacząc na płeć przeciwnika. Vittorino osłaniał sobą Paolinę, co chwilę zbierając razy od przypadkowych osób. Starał się przedrzeć z powrotem do wyjścia z tego świata. Paolina zerkała zza zasłony i korygowała kierunek. Lepiej pamiętała, gdzie stoi miedziane drzewo o grubym pniu. Wreszcie byli na miejscu. Z ulgą zamknął za sobą furtkę. Obite plecy mocno bolały. Jeszcze schodkami do góry, podnieść klapę własnymi barkami i można usiąść na gładkiej, pustej płaszczyźnie.

## **96    *Ludzie z wody***

*(Vittorino, Paolina)*

Tu wcale nie musiało być bezpieczniej. Bliskość ludzi z płomienia groziła spalaniem, jednak oboje właśnie umknęli z centrum bijatyki i sycili się ciszą. Do krainy istot z płomienia wrócili jakby parę minut po poprzedniej wizycie.

Płomienie były prawie niewidoczne, nie dlatego, że oddaliły się już bardzo, lecz dlatego, że przykryła je szybko gęstniejąca mgła. Wkrótce Vittorino z Paoliną trzęśli się z zimna, kropelki mgły kondensowały na skórze. Zaraz zatęsknili do bliskości tajemniczej kobiety z ognia i jej życzliwego towarzysza.

– Bardzo cię boli?

– Nikt wcześniej mnie nie bił. Jako Krystynę zakatowali mnie strzałami, nie ciosami. Już te ich uderzenia były przeżyciem, ale ty bardziej oberwałeś. Ból jest przykry, ale już minął. – Zdjęła jego kurteczkę, złożyła we czworo i przysiadła na niej.

– Nie jest ci zimno?

– Co rano marzłam odziana tylko w opaskę na biodrach. Ten chłód przypomina mi rodzinne strony.

„Tylko cięte kwiaty tutaj nie lecą z nieba”. Pokiwał głową.

– Kręgosłup też mnie boli.

– Musi czasem poboleć, dźwigając twoje imponujące piersi. – Zaczął lekko masować jej plecy.

– O tak. Tak jest dobrze. – Paolina wypinała się i łaśiła jak kot, podsuwając plecki pod jego palce. – O, jeszcze trochę... – mruzczała. – Już mniej boli.

– Jesteś dziwnym wizerunkiem, którego boli kręgosłup – powiedział. – Może raczej prawdziwą dziewczyną?

– Po spotkaniu Zofii czuję się pusta w środku. – Roześmiała się, wyciągając zgrabne nogi przed siebie. – Złoci uświadamiają mi potencjalne bogactwo ludzkiego wnętrza... Jestem zafascynowana ich budową.

– Ja też nie mam w środku metalowego szkieletu.

Na chwilę umilkli.

– Przeraziła mnie ich gwałtowność, ten nieokiełznany gniew, jaki ich nagle opanował. Oni są zupełnie inni niż ja czy nawet moi towarzysze-wizerunki, jak ich nazywasz. Zresztą zupełnie inni nawet niż ty, Vittorino.

– Ich mistrz był taki, więc i oni są podobni. Benvenuto był gwałtowny, zapalczywy i mściwy, chociaż wybitny. Natomiast mistrz Anatomos, Andreas Vesalius, który nauczył go budowy ciała ludzkiego, obficie zaznał widoku ludzkiego wnętrza. Może oni nieświadomie próbują doznań swoich mistrzów?

– Bezwładne twory, dzieła – powiedziała, krzywiąc się. – Ja sama też taka jestem w twoich oczach, prawda?

– Właśnie nie. Dzieci zawsze podobne są do swoich rodziców.

– Oni są prawie tak doskonali jak ty.

– W rzeczywistości są samymi wnętrzami.

– Ale jakże piękne te wnętrza, te złote blaszki, te złote plecionki... A takie Paoliny jak ja, czy takie Carle, ściągają sobie z krzaków i nadziewają na siebie. Są bardziej kompletnymi istotami niż my obie. – Układała się przed nim, by jak najpiękniej wyglądać.

– Jesteś narcystyczna. Chcesz być bezustannie podziwiana.

– To chyba oczywiste...! Przecież po to powstałam, żeby mnie podziwiano. Mistrz godzinami pieścił każdą linię zarysu mojej sylwetki, każdą plamę cienia. To wszystko właśnie w tym celu. Jestem zaledwie dziełem Dziecka.

– Mam wątpliwości, czy jesteś tylko dziełem – mruknął. – Stale mnie zadziwiasz.



– Uważasz, że jestem zbyt podobna do ciebie?

– Właśnie tak uważam. To najbardziej mnie niepokoi. Z nimi też tak jest. Mówisz o szkieletach „istoty” i jakby tylko na końcu języka zostaje ci druga część nazwy – „ludzkie”. Paolina, ja też tak myślę!

– Opowiadasz mi ze szczegółami, jak powstawałam, jak mistrz kreślił moje ciało.

– Pytałaś, to wyjaśniłem zasady rysowania fresków czy malowania obrazów. Ty niewiele przypominasz taki wizerunek. Ruszasz się jak ja, mówisz, żyjesz.

– Wytykasz mi wady wynikające ze sposobu, w jaki powstałam. Wy, jak rozumiem, takich wad nie macie. – Układała się tak, żeby wielkie, ciężkie piersi imponująco spływały po jej młodzieńczo szczupłym, pozbawionym grama zbyt dużego tłuszczu ciele.

– Próżność jest tylko jedną z wad. Nie decyduje o człowieczeństwie. Możesz inne wady mieć w mniejszym nasileniu. Po prostu powstałaś za pośrednictwem Jego dziecka. Nie oznacza to wcale, że jesteś tym nieodwracalnie upośledzona. Widzisz, my dostaliśmy dar powoływania nowych dusz, bo możemy mieć dzieci. Dlaczego więc ty, dziecko duchowe mistrza Signorellego, nie miałabyś być kimś równorzędnym jego dziecku poczętemu fizycznie...?

– Uświadomiłeś mi bardzo ważny podział. Twierdzisz, że jestem ożywionym dziełem sztuki. Tworem wyobraźni jednego z największych, ale tylko człowieka. Nazywałam go dotąd mistrzem. Ty jesteś dzieckiem Mistrza Mistrzów. Czy to znaczy, że ja jestem bytem upośledzonym...?

– Nie wiem – stropił się. – Nie potrafię jednym zdaniem odpowiedzieć na najtrudniejsze pytanie, jakie mi postawiono. Wędrujemy razem, rozmawiamy. Nie znajduję różnic w myśleniu nas obojga, Paolina. Choćby to twoje pytanie...

– To jednak nie dowód.

Chwilę się zastanowił. – Może jednak będzie okazja. Sama spróbuj coś namalować albo wyrzeźbić.

– A potem może napotkamy moją córkę czy syna?

– Właśnie tak pomyślałem. Cechą *Il Paradiso* jest bogactwo, różnorodność i rozmach. Dlaczego nie miałyby się tam znaleźć i miejsce dla twoich dzieci?

Ich uwagę odwróciło nowe zjawisko.

Kondensującej mgły było już tyle, że zaczęła ściekać. Najpierw ściekała z nich pojedynczymi kroplami, potem zaczęła strużkami, dalej strumyczkami, wreszcie zlewała się

całymi strugami. Przecież nie mogło aż tyle wody kondensować ze zwyczajnej, nawet bardzo gęstej mgły!

Wkrótce podnieśli się i zaraz już stali w wodzie. Parocentymetrowa warstwa wystarczyła, żeby zaczęli trząść się z zimna. Paolina była boso i co chwilę przestępowała z nogi na nogę, bo stopy marzły.

– Popatrz! – wskazała. – Tam woda wcieka pod ziemię! – W nieodległym miejscu tworzył się nawet mały wierek. Woda znikła w ponorze.

Wkrótce jednak wody przestało przybierać, a i mgła zaczęła się rozchodzić. Powiał cieplejszy wietrzyk. Przyniósł przyjemne ciepło, przestali drżeć z zimna. Paolina miała gęsią skórkę na ramionach, piersiach, brzuchu i na nogach. Okazałe kwiaty jej wielkich piersi podniosły się i zarysowała się piękna, wyrazista rzeźba ich płatków.

– Wizerunki mogą mieć gęsią skórkę? – Uśmiechnął się. Sam był zupełnie przemoczony.

– Lepiej się rozbierz. Szybciej wyschniesz.

– Za chwilę. Najpierw wysuszę ubranie na sobie, tak schnie szybciej.

Coraz silniejszy wiatr najpierw rozfalował wodę, a teraz zrywał ją z ziemi. Ostrzejsze szkwały uderzały w twarz, moczyły dopiero co wysychające ciała.

– Ależ tutaj jest... – powiedziała Paolina. – Ani chwili spokoju.

– Zaczyna się dziać coś nowego.

– To nowy spektakl na nasze przybycie?

– Nie sądzę. Oni wszyscy tutaj słabo sobie zdają sprawę z naszej obecności. Dobrze, że Płomieniści w porę nas zauważyli.

Strugi wody nie opadały, uderzenia wiatru wprawiały je w bardzo szybkie obroty, formując z nich małe wodne tornada. Jeszcze chwila, a te zaczęły przypominać znajome kształty. Kolejna chwila i zewsząd otaczały ich postaci ludzkie uformowane z wirującej wody. Pobliscy wodni ludzie przyglądali się im badawczo.

Kobieta, na której twarzy zarysowywały się wyraźne zmarszczki, a skóra i ciało jakby nadmiernie obwisały na szkielecie z wody, wyciągnęła rękę i dotknęła twarzy Vittorina. Poczul na skórze tylko letnią wilgoć, nic więcej. Otworzyła usta ze zdziwienia. Dla niej dotyk ludzkiej skóry też stanowił niezwykle doznanie. Stara kobieta uformowana z wody odeszła, utykając. Paolina i Vittorino nie wzbudzili zainteresowania u jej towarzyszy. Wodni ludzie odeszli ku horyzontowi, lecz w inną stronę niż tamci uformowani z płomienia.

– Ależ to piękne – odezwała się Paolina.

– Są piękni, ale ty jesteś piękniejsza.

Pokręciła głową.

– Naprawdę piękna jestem nie ja, lecz Danila. To jej obraz stale masz w sercu, patrząc na mnie.

– Wpatrując się w twoją twarz. Powiedziałem ci, że jesteś jej młodszą siostrą.

– Może faktycznie twoje uczucie do niej jest trochę podzielone i ja też mogę ogrzać się w jego blasku.

Nie mógł jej nie objąć.

– Zaraz znowu się zacznie – powiedział. – Spektakl wody chyba się skończył.

– Nic się nie skończyło. Obudzili się ludzie z płomieni i ludzie z wody. Na razie poszli sobie w dal, żeby się lepiej rozejrzeć po swoim świecie, ale znowu wrócą.

Spojrzał za nimi. Na horyzoncie nadal widać było jasną plamę, oznaczającą obecną pozycję grupy Płomienistych. Wodni też nie odeszli jeszcze daleko. Niewielki obłok nad horyzontem oznaczał miejsce ich pobytu.

– Może wróćmy na chwilę do złotych szkieletów? – powiedział z uśmiechem.

– Proszę...?

– Zobacz, tutaj czas biegnie bardzo powoli. Stale wracamy jakby w kolejne sceny tego samego wydarzenia. A tam za każdym razem jest co innego. U złotych szkieletów wiele się zmienia. Na pewno skończył się już Karnawał Świętego Bartłomieja, a oni się uspokoili. Warto chociaż trochę ogrzać się po tej zimnej wodzie.

## **97    *Kraina istot z czterech żywiołów, ludzie z powietrza i ludzie z ziemi***

*(Vittorino, Paolina)*

Musiał szamotać się z klapą, bo tym razem zapomnieli jej zablokować. Złamał paznokiec, zanim udało się ją zadrzeć do góry. W Krainie Złotych Szkieletów światło dnia było bardziej czerwone, miedzianozłote, słabsze niż w czasie Karnawału Świętego Bartłomieja, gdy świeciło mocne, bardziej żółte. „Słońce tu zmienia barwy jak materiał rytownika czy grawera, od miedzi, przez złoto, do brązu”, pomyślał.

Sceneria zmieniła się zupełnie. Karnawał dawno już się skończył. Mieszkańcy snuli się apatycznie. Wyglądali źle, resztki ciał wiszące na nich były potargane, zdekompletowane, podziurawione. Na niektórych zaschła krew. Spomiędzy rozszarpanych ciał i ran wystawały złote żebra i piszczele. Niektórzy wyglądali tak, jakby zostali celowo okaleczeni, albo może nawet sami okaleczyli się dla zabawy. Przeszedł mężczyzna, który miał normalne stopy, potem odsłonięte piszczele i kości strzałkowe, następnie nietknięte kolana, uda i znowu odsłoniętą całą kość miednicową i żebra, a dalej dopiero ciało na ramionach, szyi i głowie. Takie ubytki nie mogły nastąpić wskutek chaotycznej bijatyki.

Wielu było znowu tylko złotymi szkieletami, jedni w trójrożnych kapeluszach, a inni z metalowymi piersiami i gałkami oczu. Fragmenty ciał, pozostające nadal na kościach, cuchnęły rozkładającym się trupem. Dziwne, że niektórzy nadal je nosili.

– Chcesz poszukać Zofii? – spytał Paolinę.

– Gdyby chciała, sama mogłaby nas znaleźć. Wie przecież, skąd moglibyśmy nadejść. Może nie chce nas spotkać, bo jest jej głupio, że cię uderzyła?

– Oni wszyscy są tacy apatyczni.

– Zofia siedzi na pniu, przy tamtym drzewie. Poznałam ją po piersiach. Nie uszkodziła ich w czasie karnawału.

– Widzi nas. Wypada zagadać do znajomej.

Podeszli do niej.

– Zofia! – powiedział Vittorino.

Szkielet podniósł ręce i zasłonił twarz.

– Nie patrzcie na mnie – powiedziała Zofia. – Wstydzę się. Gdzieś zgubiłam moje złote oczy i perukę. Wyglądam brzydko. Odejdźcie.

– Nie chcesz z nami pogadać?

– Nie dziś. Proszę.

– Chodźmy stąd – zdecydowała Paolina. – To miejsce mi się nie podoba. Może wrócimy tu kiedy indziej.

– Oni nie narzekają. Chyba im z tym dobrze, skoro właśnie tak ozdabiają swój wygląd?

– Są dziwniejsi niż ty.

Na miedzianych drzewach znów pączkowały blaszane liście. Post po Karnawale Świętego Bartłomieja zbliżał się ku końcowi. Życie w krainie dwóch mistrzów wolno wracało w zwykłe koleiny, ale na razie było smutno i markotnie.

– Chcesz znowu na górę? – spytała Paolina.

Nie zaprzeczył.

– Pójdziemy do miejsca, gdzie woda znika.

– Polubiłaś wędrowanie.

– Tak. Wędrowanie razem z tobą.

Wrócili więc do krainy pustki i ludzi z żywiołów.

Tutaj spektakl jeszcze trwał. Wiatr znowu się nasilił. Już nie niósł ze sobą strug wody, jednak jego porywy były bardzo nieregularne. „Ale szarpie. Potarga mi koszulę”, pomyślał.

Paolina uchwyciła go pod ramię.

– Zaraz nas poprzewraca – rzekła.

– Może bezpieczniej przysiąść albo się położyć? Wzbiera nieznany żywioł.

– Decyduj. Dla mnie to też nowość. Ty jesteś dzieckiem Mistrza Mistrzów.

Wiatr wzmagił się z każdą chwilą, ale jego narastający ryk nie oznaczał, że coraz mocniej uderza w ich dwoje. Nie trzeba było przysiądać. Porywy wiatru biegły podobnie jak wcześniej strugi ognia: wąskimi, ostrymi, szpilowatymi trasami. Chwilami te tory mijały się, biegnąc z naprzeciwka, a wtedy formowały się kolumny wirów, kolumny trąb powietrznych. Powietrza nie widać, ale one niosły ze sobą tyle kurzu czy pyłu, że wyraziście rysowały się nadzwyczaj szybkie wiry o wysokości człowieka każdy.

– Budzą się Powietrzni Ludzie – powiedziała Paolina.

Pokręcił głową. Uformowanie postaci ludzkiej akurat z takiego surowca wydawało się niemożliwe.

Jednak stało się właśnie tak. Niewielkie wiry powietrza zacieśniły się jeszcze bardziej, zwiększając prędkość wirowania. Wkrótce oboje mieli przed sobą grupę zdumiewających postaci ludzkich uformowanych z powietrza. „Personifikacje wiatru”, pomyślał.

Wiatrowi w podskokach obiegali Vittorina i Paolinę, przyglądając się im z różnych stron. Nie było wątpliwości, że zadziwienie jest wzajemne. Wiatrowych widać było tylko dzięki temu, co przypadkiem unosili ze sobą: mgłę, dymowi czy drobinkom pyłu.

Temperament powietrza nie dawał im się zatrzymać w jednym miejscu. Jednak kilkoro przystanęło. Vittorino ujrzał nawet, jak kobieta z szarego wiatru uniosła ramiona, potem uklękła. Przeczesać włosów dłońmi, jak kiedyś Płomienista, już nie dała rady. Potem powstała, sprawdzając możliwości swojego ciała uformowanego z powietrznego żywiołu. Było to jednak wyjątkiem. Nowo obudzonych pasjonował ruch, bieg, a przynajmniej intensywne ćwiczenia fizyczne: salta, podskoki, wymachy ramion.

Paolina przytrzymywała dłonią włosy szarpane porywami wiatru, mocno zaciskała kurtkę. Syczała z bólu, kiedy w jej uda trafiały ostre drobinki kurzu.

– Ośloniłeś moje piersi, plecy i brzuch, ale czuję uderzenia pyłu na udach i na łydkach – powiedziała.

Nie chciał, żeby jej nieskalane ciało straciło swoją doskonałość. Natychmiast zdjął spodnie i założył je Paolinie. Za długie nogawki oparły się o ziemię, osłaniając także jej stopy.

Następnie koszulą owinął jej głowę i twarz, tak że tylko oczy wystawały spod turbanu. Myśl, że jej idealna postać mogłaby zostać okaleczona, wydała mu się nie do zniesienia. Poza tym nie wiedział, czy rany zadane przez Wiatrowych się goją. Rany po strzałach wbitych w ciało świętej Krystyny szybko znikły, jednak tamto zaszło w innym świecie.

Vittorino został w przepasce na biodrach.

– Teraz ty jesteś nagi, a ja odziana. Wszystko wbrew naturze – powiedziała Paolina. – Kraina Żywiołów nas zamieniła.

Wiatrowi swoimi harcami wznosili kłęby kurzu, które wkrótce też zaczęły formować się w postaci ludzkie. „Czy w tym kraju wszystko przemienia się w człowieka?”, pomyślał.

Nowo powstałe ludzkie z kurzu już zaczęły się poruszać, a bliskość Wiatrowych nie niszczyła ich.

– Popatrz, Wodni i Płomieniści wracają. – Pokazał ręką w dal.

Faktycznie, zarówno obłok znad horyzontu, jak i odległa jasna plama zaczęły się przybliżać.

Wkrótce otaczali ich ludzie uformowani ze wszystkich czterech żywiołów. Był w tym jednak jakiś porządek. Wodni Ludzie unikali pobliza Płomienistych, a Ziemi unikali bezpośredniego pobliza Wiatrowych.

Oprócz tego ograniczenia starali się chodzić jak najbliżej siebie, by nawzajem lepiej się obserwować. Vittorino podziwiał spektakl żywiołów.

Na twarzy to osadzał się drobny pył, to rozbijały się kropelki wody, które omywały skórę, to znowu suszył je powiew wiatru, a wreszcie gorąc idący od bliskiego ognia.

– To może już nie być *Il Piccolo Paradiso* – powiedział.

– Więc co?

– Zwyczajny Raj, *Il Paradiso*, nie kraina cudzej wyobraźni.

– Bo mieszkańcy są uformowani z żywiołów? Dlatego tylko?

Jej pytania naprowadzały na odpowiedź. Rzeczywiście, świat złożony z żywiołów to też pomysł zaledwie ludzki, lecz starszy niż rzeźba czy malarstwo.

## 98 *Niebiańskie Miasto*

(*Vittorino, Paolina*)

Na powierzchni świata ludzi z czterech żywiołów, pokrytej lustrzanie gładką warstewką wody, bez trudu odnaleźli ponor. Kryjąca go kłapa była ledwie widoczna, jednak miała zagłębienie w krawędzi, akurat takie, by wsunąć palce i ją podnieść. Wyglądała, jakby przewidziano ją do otwierania od tej strony. Niżej widniały zlane wodą kamienne schody.

Przez moment zaniepokoił się, czy aby te schody nie wiodą z powrotem do ośrodka.

– Co tu zastaniemy? – Spojrzał na nią.

– Byle nie jakiś szalony karnawał.

Zsunął się w głąb. Schody były mokre, jednak nie śliskie. Upadkiem nie groziły. Wyciągnął ramiona, a Paolina zeskoczyła mu w objęcia. Poczul w ramionach zwyczajną dziewczynę.

Schody nie były kręcone, lecz szerokie, proste. Sufit zaraz urósł nad ich głowami. Klatka schodowa była szeroka, na ścianach po obu stronach umieszczono stiuki przedstawiające tańczące konie morskie, *cavalli marini*. Niżej pojawiły się odrobione z gipsu delfiny i syreny pływające wśród fal.

– Jak tu pięknie – powiedziała Paolina.

– Stąpamy po rozlanej wodzie, a ona nie ziębi, lecz jest przyjemnie ciepła.

Na piętrze w obie strony od klatki schodowej odchodziły boczne korytarze. Stropy pokrywały freski przedstawiające unoszące się wśród chmur postaci.

Paolina rozglądała się dookoła, zadziwiona pięknem pomieszczenia, do którego trafili. – Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Nigdy nie byłam w takim miejscu – powiedziała, jakby się tłumacząc.

– To pałac. Piękna budowla.

– Trudno od razu przyswoić tyle nowego. – Pokręciła głową. – Mam ochotę zatrzymywać się przy każdym wizerunku.

Gipsowe *cavalli marini* wolno poruszały się. Były uosobieniami fal i naśladowały ich ruch. Spośród nich wyskakiwały w górę roztańczone gipsowe morświny, a długowłose syrenki przyglądały się ich harcom. Spektakl działał się na ścianie. Nie przeszkadzało to, by ruch stiuków był niezwykle sugestywny.

– Ależ tego nie może być... – powiedziała Paolina.

– Ja też nigdy nie widziałem takiego miejsca. Widziałem piękne pałace, ale nigdy żywych, bawiących się płaskorzeźb... – urwał.

Paolina spojrzała na niego zbyt chłodno i badawczo.

– Ja byłam czymś takim, jak te syrenki? – spytała, jakby śledząc jego myśli.

– Raczej byłaś freskiem. Wasz żywy obraz naśladuje duży fresk z Capella Nuova.

– To jak te skrzydlate istoty na stropie?

– Właśnie. Chociaż ciebie na tamtym fresku nie było. Na twoim miejscu stała inna dziewczyna, chociaż też jasnowłosa.

– Więc mała strata, że mnie stamtąd przegnali. Obrazka nie popsulo... – powiedziała troszeczkę nadąsana.

Lekko dotknął palcem stiuku przedstawiającego syrenkę. Ta wzruszyła ramionami tak bardzo, że zagrały mięśnie na jej wąskich plecach. Następnie wyciągnęła przed siebie gipsowe ramiona, odepchnęła od nieistniejącej wody i przepłynęła na powierzchni ściany w inne miejsce. Tam zatoczyła piruet i odwróciła się twarzą do Vittorina, jakby sprawdzając, kto ją obserwuje. Nieznany artysta ładnie odrobił jej urodziwą, dziewczęcą twarzyczkę i otwarte usta. Na powierzchni ściany pojawił się gipsowy stiuk przedstawiający bańkę powietrza wypuszczonego z ust przez nurkującą istotę, a długie gipsowe włosy rozpląły się w półprzezroczystą, delikatnie odrobioną mgłę.

– Ja sam byłem przez długi czas fragmentem płaskorzeźby – powiedział Vittorino. – Na kilkaset lat uwięziono mnie w płaskorzeźbie Sądu Ostatecznego na zachodnim portalu katedry



Świętego Landeberta w Lugdunum. Tam nie dało się tańczyć jak ona, a jakikolwiek kontakt ze światem powodował natychmiastowe starzenie się. Wtedy dopiero wydawałbym ci się stary...

– Jak tam wytrzymałeś?

– Nie byłem sam. Było nas wielu *dybukaim*. Wreszcie uciekłem stamtąd. Danila zstąpiła tam po mnie.

– Za to ją kochasz?

– Nie kocha się za coś. Bardzo mocno ją Kocham. Twój mistrz, Luca Signorelli, powiedział mi, że swojego anioła stróża nie sposób nie pokochać.

– Te dwie kobiety, te twoje znajome, też uciekły stamtąd?

– Tak.

– Ciemnowłosej nie jesteś obojętny.

– Tak myślę.

– Mój mistrz też pokochał Danilę?

– Nie wiem. Może tylko zachwycił się jej ciałem, skoro ciebie stworzył na jej obraz i podobieństwo?

– Chciałabym kiedyś porozmawiać z moim mistrzem.

– Może kiedyś Luca też zdecyduje się wyjść z płaskorzeźby. Na razie pomaga to zrobić innym.

Nie tylko stiuki poruszały się. Postaci z fresku na stropie tańczyły w namalowanym powietrzu. Jedne wznosiły się, inne obniżały lot, jeszcze inne wirowały w szalonym tańcu. Widać było radość na twarzach skrzydlatych mężczyzn i niewiast.

– Oni są podobni do Danili?

– Nigdy nie widziałem jej nagiej, nie widziałem jej skrzydeł, chociaż niektórzy twierdzili, że je ma.

– Ja też nie chodzę nago. Mam biodra przepasane. Najkrótszymi szortami, jak była łaskawa powiedzieć Izabela.

– Mocno dopiekła ci tymi słowami, skoro to powtarzasz.

– Powiedziała to, jakbym robiła coś niewłaściwego. Jakbym nieprzyzwoicie wystawiała na widok publiczny całe białe nogi, jak na jakimś targu.

– Izabela nosiła długie suknie. Danila odziewała się jak ja, nie jak ty.

– Danila nie wdziałaby najkrótszych błękitnych szortów bez nogawek? A białych piersi nie wystawiłaby na wierzch ani całkiem, ani przez rozpięty głęboko dekolt?

– Przecież ty jesteś prawie nagi... – Zaczęła zdejmować z siebie jego spodnie, potem kurtkę i koszulę.

– Masz, odziej się jak Danila. Ja powinnam wyglądać jak fresk mistrza Signorellego.

Vittorino niepewnie trzymał w dłoni swoją odzież.

– Tu mi nic nie grozi – powiedziała Paolina. – Nie muszę chronić swojego piękna przed zniszczeniem. Nie gap się już na te syrenki, chodźmy dalej.

Niżej schody wiodły ku światłu. Szeroka brama wyprowadzała wprost nad wodę. Wystające z jej tafli cztery helisy kręconych marmurowych kolumn dźwigały kamienny baldachim przyjemnie ocieniający dziedziniec wypełniony wodą. Falowanie przepełnione było rozedrganym blaskiem słonecznego dnia. Zadziwiła rozległość przestrzeni wodnej. To z odbić od wody brało się tyle światła. Mimo baldachimu oboje mrużyli oczy od blasku.

Pałac wznosił się tuż nad brzegiem szerokiego kanału. Kilkadziesiąt metrów dalej stał rząd innych budynków, wzniesionych po jego drugiej stronie. Domy były piękne, ozdobne, każdy z nich inny, ale razem tworzyły niezwykle rytm piękna.

– To jest Niebiańskie Miasto. Niektórzy widzieli je w swoich wizjach.

Paolina zbiegła po kamiennych stopniach, przyklękła i zanurzyła dłoń w wodzie.

– Uważaj, mokre mchy są śliskie.

– Przyjemnie chłodna – powiedziała. – Pozwolisz mi się w niej wypłuskać?

– Umiesz pływać?

– Nie boję się wody.

– Tu z lewej nie ma mchu, spróbuj tam.

Paolina zsunęła się do wody i zanurzyła po szyję.

Cały czas jednak stała na podwodnym stopniu.

Po chwili wyszła z wody, ściekały z niej strugi.

– Ładnie wyglądałam pod wodą?

– Nie zdążyłem się napatrzeć. Mogłaś się jeszcze popłuskać.

– Zmarzłam.

Podpłynęła ku nim dziwna łódź. Jasnokremowa, jak kość słoniowa, miała dziób przypominający dużą owadzią głowę z wielkimi wyrazistymi oczyma, smukły, podłużny,

posegmentowany kadłub, wreszcie kilka par wiosł. Zatrzymała się przed nimi, podnosząc ponad wodę gładko strugane, wypolerowane wiosła. Przyglądali się dziwnemu stateczkowi, który z przodu miał wąsy czuciowe, a z tyłu dwie witki rozszerzające się na końcu, którymi pewnie sterował.

Chyba zbyt długo go obserwowali, bo galera opuściła rząd wiosł, odbiła się od wody i odpłynęła.

– Można było jej dosiąść – zauważyła Paolina poniewczasie. – Była oswojona.

Miała rację. Lepiej wyczuwała przydatność zwierząt niż Vittorino. Może wychował się już w cywilizacji technologicznej, a może w ogóle zabrano mu pamięć historii...?

– Przejedziemy się następną – powiedział. – Teraz możesz jeszcze trochę popływać. Na pewno chcesz pokazać, jak kusząco podpływają w kąpielni twoje imponujące piersi.

– Głupi dowcip.

## **99**    *Ojciec i Matka*

*(Adam, Ewa, Vittorino, Paolina)*

Płynęli kanałem, mijając stojące na obu brzegach, rozświetlone blaskiem dnia pałace. Paolina z początku próbowała powozić galera, ujmując udami jej głowę i lekko naciskając ze strony przeciwnej do tej, w którą chciała skręcić. Potem zauważyła, że wystarczy lekko klepnąć dłonią, a galera i tak rozumie.

Zresztą wzdłuż kanału nie trzeba było sterować, galera sama niosła, wystarczyło dawać jej znak tylko na skrzyżowaniach. Paolina wylegiwała się na dziobie, a co jakiś czas nabierała dłonią chłodną wodę.

Kiedy wypłynęli na główny, bardzo szeroki kanał, gdzie powiew bryzy był mocniejszy, galera uniosła wiosła nad wodę i wysoko rozpostarła dwa podwójne, cieniutkie, błoniaste, przezroczyste żagle, przypominające musze skrzydełka. Wiatr zaraz je wypełnił i popchnął łódź. Na przezroczystej błonce żagli pojawiały się wszystkie barwy tęczy, ale najwięcej szmaragdowej zieleni i chłodnej purpury. Na Canale Grande fale były wyższe, galera kiwała przypadkowe uderzenia wiatru. Oboje przysiedli razem, podziwiając, jak żywy okręt radzi sobie z falami.

Mijały ich inne galery. Jedne płynęły z naprzeciwka, inne ich wyprzedzały. Jedne pływały same, na innych siedzieli pasażerowie. Ktoś ich pozdrowił gestem. Z jednej nieostrożny pasażer wypadł za burtę, a teraz wrzeszczał i desperacko machał ramionami. Jego galera podpłynęła, opuściła żagiel, a wiosła z jednej strony ułożyła w pomost. Zmoknięty człowiek wyciągnął się z powrotem na grzbiet pojazdu.

Zaniepokojona kołysaniem Paolina wróciła na dziób i skłoniła galerę, żeby skierowała się do wylotu najbliższego węższego kanału.

– Dlaczego tam?

– Teraz tam. Zwiedzimy całe miasto.

Wpłynęli w meandry mniejszych kanałów, otoczonych rzędami pałaców. „Ciekawe, kto tutaj zamieszkuje?” Pałace urzekały formą, lekkimi kolumnami, proporcjonalnymi oknami, kamiennymi schodami sięgającymi w głąb toni wodnej czy dziedzińcem, na którym można było wygodnie przysiąść przed drzwiami. Schody jakby zapraszały w gościnę każdego, czy spod wody, czy z powietrza, czy z łądu. „Czy byli kiedyś wodni ludzie?”, pomyślał Vittorino.

Mijali pałac za pałacem. Na dziedzińcu przed jednym z nich, niewyróżniającym się wielkością, lecz co najwyżej pięknnością i harmonią, na drewnianych, rzeźbionych fotelach, wystawionych niemal na brzeg kanału, siedziała młoda śniadoskóra kobieta, a obok niej szczupły, atletycznie zbudowany mężczyzna. Oba fotele miały główki oparć rzeźbione w kształt ugryzionych jabłek. Mężczyzna lekko wodził dłonią po drewnianym owocu. „Czy to znamię królewskie?”, pomyślał Vittorino.

Uderzały majestat i uroda tych obojga.

Kobieta miała czarne kędzierzawe włosy, długie i unoszące się nad głową jak korona, duże, wilgotne, brązowe oczy, jednak jej rysy nie były negroidalne. Wprawdzie miała obfite wargi, lecz wąski nos, a jednocześnie wyraźnie zaznaczone, wysokie kości policzkowe. Jej uroda była jakby sumą urody wszystkich kobiet.

Mężczyzna był śniady podobnie jak ona, też o kędzierzawych włosach, jego urodziwa twarz, poza mięsistymi wargami, nie wykazywała znamion negroidalnych. Wąski europejski nos i orientalne, wysokie kości policzkowe, tworzyły razem jakby wzór urody mężczyzny.

Oboje odziani byli jedynie w listki figowe, skrywające przyrodzenia.

Kobieta trzymała na smyczy sporego węża w kagańcu i co jakiś czas się z nim droczyła.

Paolina niechętnie, jak na konkurentkę do uczuć Vittorina, patrzyła na nieznajomą. Tamta miała piersi podobne do jej biustu. Równie duże, ciężkie, jak dojrzałe owoce, opadające, lecz we wspaniałej proporcji, podkreślone ciemnobrązowymi kwiatami o bardzo wyrazistym rysunku faktury, z mocno zarysowanymi drobnymi zmarszczkami.

– Ona rodziła, a ma takie piersi jak ja, dziewica stworzona jako ideał z wyobraźni – odezwała się Paolina. – Gdybym rodziła, moje wisiałyby mi do pasa. I te kolory jej ciała, ja mam kwiatki blade, ledwie widoczne.

– Jesteś olśniewająco piękna. Nie bądź zazdrosna. Domyślam się, kogo spotkaliśmy. Ona jest matką nas wszystkich.

– Wyglądam blado. – Paolina wydeła wargi.

– Taka mi się podobasz.

Galera samodzielnie podpłynęła do siedzących, a Mężczyzna i Kobieta wstali z foteli.

Kobieta miała długie proste nogi, leciutko wystający brzuszek, który nie psuł sylwetki, ale delikatnie podkreślał, że wielokrotnie rodziła.

Mężczyzna był wysoki, gibki, proporcjonalnie zbudowany i atletyczny, jednak jego mięśnie były płaskie i nie wystawały zbyt mocno poza zarys sylwetki.

Paolina obawiała się węża, który wił się w pobliżu stóp Kobiety.

– Nie bój się go – powiedziała Kobieta ciepłym matowym głosem. – Nie ukąsi cię. Smycz i kaganiec znalazła na niego moja najlepsza Córka, nasze dziecko najukochańsze.

– Kto?

– Matka dziewica. Córka swego Syna.

– Twoja Matka też się gada nie obawia – powiedział Mężczyzna. – Trzyma go przy sobie jako znak naszego zwycięstwa, na wszelki wypadek chce go stale mieć na oku.

Wąż miał małe różki, a jego ogon kończył się strzałką. Oblicze stworzenia niepokojąco przypominało ludzką twarz.

– Teraz to kobiece oblicze. – Matka zauważyła, że Vittorino obserwuje dziwnego gada. – I nieoczekiwanie całkiem urodziwe, prawda?

– Tak – odważył się powiedzieć Vittorino. Ojciec i Matka wyglądali bardzo młodo, lecz ich sposób bycia w naturalny sposób wzbudzał szacunek.

– To tylko taki znak, że kiedyś właśnie najpierw mnie dopadł – powiedziała Matka. – Zobacz, że ta twarz jest podobna do mojej.

– Potem dopadł mnie. Jego twarz stale się zmienia, zaraz będzie miał rysy bardziej podobne do moich – powiedział Ojciec.

Oboje powstali i zaczęli się przechadzać, obracając lekko to w prawo, to w lewo. Piękno ich ciał urzekło. Matka obróciła się, zataczając powolny piruet.

Vittorino zrobił zdziwioną minę.

– Żebyś się napatrzył do woli – powiedziała do niego, szczerząc w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

– Ale dlaczego...? – wybąkał oszołomiony Vittorino, podziwiając sumę wszystkich kobiet.

– Zwykle chcecie nas dokładnie obejrzeć. Poznać, jak wyglądaliśmy naprawdę.

– Na mnie patrzą mniej niż na nią – wtrącił Ojciec. – Może dlatego, że liczne porody tak bardzo zmieniają sylwetkę kobiety, a ona zachowała sylwetkę dziewicy.

– W jakim języku mówiliście? – spytał Vittorino.

Matka parsknęła śmiechem. – Odpowiedz mu.

– Nawet gdybyśmy rozmawiali w twoim języku, to przecież bardzo wielu słów nie znaleźliśmy. Wiele pojęć nie istniało jeszcze za naszego życia. Skoro tak wielu słów w nim nie było, to jak porównywać nasz język z waszymi? Nauczyliśmy się języka od naszych dzieci, w miarę jak przybywały do nas z odwiedzinami.

– A jak ty sam mówisz na Matkę?

– Hawwah – Ojciec wymówił imię Matki niezwykle dźwięcznie, jakoś tak pięknie, z głębi czasów. Jakby celowo chciał dać im obojgu zaznać piękna wymowy Rodziców.

Paolina uśmiechnęła się. – A jak ty mówisz na Ojca? – spytała.

– Had'dam – to też zabrzmiało pięknie, głębokim, niskim altem. – Wy mówcie jak dotąd, Ewa, Adam. My oboje przepadamy za tym, by słuchać, jak nasze dzieci na różne sposoby przetworzyły nasze imiona, zachowując co najważniejsze.

– A kiedy żyliście? Jak dawno temu? – nie wytrzymał Vittorino.

– To proste do odkrycia w historii. Musisz tylko dowiedzieć się, kiedy ludzie zaczęli się odziewać. My oboje właśnie odziliśmy się jako pierwsi.

Vittorino uśmiechnął się niewyraźnie. Rodzice byli przecież prawie nadzy.

– Liść figowy to najskromniejsze odzienie – powiedziała Hawwah. – Zawsze nas tak przedstawialiście, więc my musimy stale tak wyglądać, byście nas rozpoznawali.

– A dlaczego się roześmiałaś?

– Bo przybywając do nas z wizytą, najpierw zawsze chcecie nas sobie jak najdokładniej obejrzeć, szukając podobieństw do siebie, a potem zadajecie na ogół te same pytania.

– Ja też?

– Ty też, synu – powiedziała Hawwah. – Zadałeś dwa z trzech najczęstszych pytań.

– A trzecie?

– Sam spytaj, może akurat ciebie interesuje co innego.

– A jaka jest natura grzechu pierworodnego? – podsunęła Paolina.

– Właściwie to ty jesteś dla mnie zagadką – zwróciła się do niej Hawwah. – Wiele tutaj was przychodzi, takich jak ty, Paolino. Ale czy jesteście naszymi dziećmi, czy nie...? Innych różnic, poza postacią fizyczną, nie widać.

– Paolina jest twoją wnuczką – powiedział Vittorino.

– No właśnie. Właściwie ty już odpowiedziałeś na pytanie Paoliny. Ojciec nas wszystkich oddał nam część swej wielkości, czyniąc nas swoimi dziećmi, nie tylko dziełami, przekazał nam zdolność tworzenia, samodzielnego powoływania nowych bytów do istnienia.

– Dzieci?

– I dzieci, i dzieł. Innego atrybutu boskiego nam jednak nie podarował. To On określił, co jest dobrem, a co złem. Bo poznać znaczy zdefiniować, zrozumieć. Nie nam to definiować, bo dobro i zło może mieć jedną trafną definicję. My oboje spróbowaliśmy to zrobić jako pierwsi, popełniliśmy ten błąd. Niestety, raz zrobiony, odtąd pojawia się bardzo często. Bolejemy nad tym.

– Kobiety wcześniej uczą się władać słowem, szybciej gromadzą doświadczenia życiowe, trafniej formułują myśli, dlatego Hawwah pierwsza popełniła ten błąd, a jej myśl wydała mi się tak atrakcyjna, że pociągnęła mnie za sobą.

– Możemy już usiąść? Napatrzyliście się już na nasze ciała? – spytała Hawwah.

– Na tronach? – spytał Vittorino.

– Na razie nie... – Hawwah przywiązała smycz do oparcia fotela, aby wąż się nie uwolnił. – Tu obok was, dzieci.

Położyła dłoń na dłoni Vittorina, a ten zdrzął, czując delikatny opiekuńczy dotyk kobiety kobiet. – Nie musisz już sprawdzać, czy ja istnieję – powiedziała.

– Zadziwiasz mnie, wnuczeko – rzekł Had'dam do Paoliny. – Niby jesteś dzieckiem mojego dziecka, a jednocześnie niesiesz w sobie wiele mądrości mojej starszej siostry.

– Stale bardzo mu jej brakuje. – Paolina wskazała na Vittorina. – Poznał Przedwieczną i tego nie zapomni.

Had'dam pokiwał głową.

– Rzeczywiście wszyscy zadają te same pytania? – zmienił temat Vittorino. Hawwah wydawała mu się bardziej podobna do Danili niż zbyt wyidealizowany, żywy wizerunek, jakim była Paolina.

– Niewielu w ogóle pyta o coś, ale jeśli już, to zadaje zwykle te pytania, które zadaliście i wy. Najbardziej chcecie się na nas napatrzeć, porównać ze sobą. Każde z was wygląda tutaj jak ideał swojego typu budowy, tak jak najbardziej chcieliście wyglądać, ale z zachowaniem podobieństwa do swojej ziemskiej postaci, a mimo to staracie się nieustannie porównywać do Prarodzców. Kobiety bardziej na mnie patrzą, mężczyźni na Adama jakby mniej. Może kobiety są bardziej wrażliwe na piękno. Nawet Paolina, która przecież jest zbudowana idealnie. Najbardziej ze wszystkiego kobiety interesują moje piersi... – roześmiała się Haw'wah.

– Może zrozumiałam lepiej istotę cielesności... – mruknęła Paolina. – Cielesności, której mi brakuje.

– Nie nudzi się wam tutaj z nami wszystkimi? – spytał Vittorino.

– Nudzi?! – uniósł się Had'dam. – Wiesz, ja uwielbiam ludzi. Rozmawiać z moimi dziećmi, dowiadywać od nich, co nowego działali tam, na dole, uczyć nowych słów, jakie wymyślili. Oni wszyscy to przecież moje i jej dzieci. – Przytulił Ewę. – Dla mnie to coś niesamowitego. Nie ma tu miejsca choćby na cień nudy.

– Jeśli nikt do nas długo nie zajrzy, Ojciec wsiada na galerę, mnie pomaga wsiąść, żebym przypadkiem się nie zamoczyła, i sami szukamy kogoś. Rodzice są ciekawi swoich dzieci, a my mamy was tak wiele. Ale Niebiańskiego Miasta na razie nie opuszczamy – wyjaśniła Haw'wah. – Nie dane nam było żyć w mieście, a to dla nas cudowność niezwykła, jeszcześmy się nią nie nasycili. Żeby zbudować coś takiego, jak miasto, ależ mieliście pomysł... – Pokręciła głową.

– Tutaj jest bezmiar fascynujących rzeczy, każda nowa pociąga za sobą poznanie jeszcze ciekawszej – powiedział Ojciec. – Poznawajcie jak najwięcej, a kiedyś zajrzyjcie do nas znowu, opowiecie nam, a może zadacie nowe pytania.

Rodzice wstali, by pomóc im wsiąść do galery. Vittorino uściskał dłoń Had'dama, a potem przytulił się do niego. Ojciec odwzajemnił uścisk. Następnie Vittorino podobnie uchwycił dłoń



Haw'wy, a ta mocno przytuliła go do piersi i pocałowała w czoło. Usłyszał bicie serca matki wszystkich ludzi.

## **100 Im dalej wwyż**

*(Vittorino, Paolina)*

W miarę jak płynęli kanałami miasta, galera zmieniała się coraz bardziej. Jej oczy przestały być bladokremowe, lecz nabrały intensywnie brązowej barwy. Pod bladym oskórkiem jej grzbietu uwidaczniały się ciemniejsze poprzeczne pręgi. Jednak najbardziej zmieniły się krótkie, przypominające skrzydła żagle. Pociemniały, stały się kruche i nieprzezroczyste, na ich krawędziach zwisały oderwane pasemka. „Stale ruszała nimi w czasie naszej rozmowy, że je tak bardzo postrzępiła? Może spotkanie z Prarodzicami tak ją zmieniło? Czy nas też zmieni?”

Łódka straciła smukłą formę. Jej grzbiet nieco się uwypuklił, był zbyt tęgi. Ruszała się ociężale. Wprawdzie reagowała na uderzenia stopy czy dłoni Paoliny, jednak działało się to z opóźnieniem. Dziewczyna aż prychnęła, kiedy ospała galera nie skręciła w wybrany przez nią, odchodzący w bok, rozświetlony migotającą wodą kanał, lecz skierowała wprost w ścianę budynku, niemal się z nią zderzając. W ostatniej chwili zorientowała się i zahamowała, rozcapierzając wszystkie wiosła i wyrostki sterowe. Wreszcie wróciła na środek nurtu.

– Ona chce do nich zawrócić? – spytał zaniepokojony Vittorino.

– To coś innego. Jest otępiała, może zasypia, może kona. Muszę mocno walić w nią piętami, zanim zareaguje. Jakby planowała co innego niż jazdę z nami.

– Może zaatakować?

– To nie to. Nie wyczuwam jej nieposłuszeństwa. Jest to jakby niezależne od jej woli. – Paolina wyszczerzyła w grymasie równe, białe zęby.

„Takie miała Danila”.

– Ona czegoś szuka – powiedziała. – Szuka miejsca dla siebie.

– Może będzie składać jaja – mruknął. – Trzeba znaleźć inną. Kto wymyślił takie stwory...?

– Piękne stwory. Ale tu nie ma żadnej innej. Kanał pusty.

Ruchy galery stały się jeszcze wolniejsze, natomiast coraz częściej zadzierała głowę do góry. Płynęła blisko brzegu, unikała środka. Przestała reagować na polecenia kierującej.

Nagle szarpnęła się gwałtownie, a oni oboje wpadli do wody.

Nalało mu się do nosa. Byli blisko brzegu i po paru uderzeniach ramion stopy znalazły dno, schody najbliższej willi. Vittorino otrzepał się jak zmoknięty pies. – Ale przygoda – burknął.

Paolina też dopłynęła do schodów i usiadła obok niego. – Przynajmniej woda ciepła – powiedziała. – Nie taka, jak te cholerne kwiatki, które spadały na mnie co rano, zanim ciebie spotkałam.

– Zimno ciągnie od kamienia.

– Siądź w słońcu, tu cieplej.

Galera chwyciła się gzymsu i znieruchomiła. Dwoma pierwszymi wiosłami wspierała się o ścianę. Uniosła głowę i patrzyła wprost w górę, wyginając ciało w łuk.

– Myślałam, że jednak nas zaatakuje.

– Jętka żyje krótko, w ogóle się nie odżywia. Zresztą nie wiem, żadna jętka tak nie wygląda. Ta nie dość, że wygląda dziwacznie, to jest potężna, a nas mogła pokaleczyć samymi uderzeniami ciała.

Słońce szybko suszyło skórę.

– Popatrz!

Galera ruszyła do góry. Chwytała się kolejnych gzymsów, wystających cegieł, pilastrów czy innych detali architektonicznych i wolno, mozolnie wspinała na fasadę pałacu.

– Nieźle jej idzie – zauważyła Paolina. – Ja bym tamtędy nie weszła.

– Ma duży zasięg ramion. Specjalnie wybrała ten pałac. Dodatkowo może końcówki wiosel wciskać w załomy muru.

Zwierzę znieruchomiło na wysokości pierwszego piętra. Z pyszczka wysnuwało białą nitkę, którą przymocowywało się do muru. Nie formowało całego kokona, lecz tylko mocną opaskę z wielu splecionych nici. Znowu nic się nie działo. Oni też się nie ruszali. Inna galera nie nadpłynęła kanałem. Zresztą pewnie by na nią nie wsiedli po ostatnich doświadczeniach.

– Wylazła, przykleiła linkę do ściany, z jej pomocą trzyma się muru i w ogóle przestała się ruszać – burknął.

– Jej ciało się przemienia. Kadłub stale pęcznieje, chociaż bardzo powoli.

– Nie zdążyłem zapytać o naturę ich rodzicielstwa – zmienił temat.

– To znaczy?

– No, czy oni oboje, zanim poczęli swoje dzieci, byli samotni tylko przed Ojcem nas wszystkich, czy może towarzyszyli im inni ludzie, a oni oboje zostali wybrani, żeby potomstwo tylko ich dzieci się rozmnożyło.

– To ma znaczenie...? Tylko oni oboje są Rodzicami nas wszystkich.

– Faktycznie, nie ma.

– Ona się wcale nie rusza.

– Za głową ciemnieje coraz bardziej.

– Chcesz do nich wrócić?

– Na pewno kiedyś tak, ale jest tu przecież tak wiele ciekawego, tak wielu ludzi, których też chciałbym spotkać. Had’dam mi to podsunął. Płynimy na spotkanie innych.

– Można było na jakiś czas zamieszkać w którymś z sąsiednich pałaców. Mieć za sąsiadów Prarodzców... – powiedziała Paolina.

– Nie pomyślałem, że wolno. Można by wtedy nagadać się z nimi do woli, pobyć razem do syta...

– Popatrz! – Chwyła go za ramię.

Oskórek za głową galery pękł na całej szerokości. Szczelina rozszerzała się, ujawniając jasnożółtą zawartość. Zwierzę zaczęło się wyginać, w miarę jak coraz więcej wystawało przez szczelinę. A ujawniały się tam dziwne, mocno pomarszczone formy, przypominające mięsiste liście kapusty. Dotychczasowa powłoka coraz bardziej zsuwała się z wyłaniającego się nowego ciała.

– My też przejdziemy podobną przemianę?

– Rzeczywiście ona jest owadem. Teraz przechodzi wylinkę. Ludzie tego nie robią.

– Ja jestem tylko wizerunkiem, jak mi to łaskawie przybliżyła Izabela. Może po wylince wydłużą mi się trochę nogawki w najkrótszych szortach...

– Nie przypadła ci do gustu moja znajoma.

– Wolę naszą galerę. – Paolina wydeła wargi w podkówkę.

– Teraz nie przypomina galery.

Zwierzę już prawie całkowicie uwolniło się ze swojej skórki. Było teraz bladokremowe, kolor wpadał nawet nieco w leciutki seledyn. Szereg nitek, czy może rurek, łączył jego segmenty z porzuconą wylinką. Zdziwiwały cztery duże, mięsiste i pomarszczone wyrostki na grzbiecie. Zbyt gruby, obrzmiały korpus nie wyglądał ładnie. „Nie będzie się dało jej dotrzeć”, pomyślał

Vittorino. Po wyciągnięciu pokrzywionych, za krótkich wyrostków ogonowych, galera znowu znieruchomiła. Niżej, jak dziurawy łań, zwisał odrzucony oskórek.

Paolina, pólżąc, oparła się o niego plecami. – Pójdę z tobą, dokądkolwiek poprowadzisz, wiesz? – powiedziała. – Nie mogłeś mieć jej, masz mnie.

Vittorino nie odpowiedział. Czuł ciepło jej ciała. Chwilami przestawał zauważać, że obcuje z wizerunkiem ukochanej. Danila i Paolina były różnymi osobami, lecz wspomnienie pierwszej zlewało się z obrazem tej drugiej.

– Skoro spotkaliśmy tutaj ich oboje, to bez wątpienia już jesteśmy w *Il Paradiso*, a nie gdzie indziej – odezwał się.

Galera dyszała rytmicznie. Widać było pulsowanie segmentów jej korpusu. Wolno, oddech za oddechem, pompowała pogruźlowane wyrostki na grzbiecie. W miarę jak stawały się coraz okazalsze, jej odwłok smukłał.

– Ona to robi dla nas? – spytała Paolina.

– Dla nas?

– Może ktoś wymyślił ją w takim celu.

– By służyła jako pojazd?

Paolina skinęła głową. „Dlaczego nie?”

Galera wolno, lecz stale zmieniała kształt. Wyrostki ogonowe wydłużyły się. Na ich końcach rozprostowały się nieduże, płaskie, przezroczyste płaty. Przypominające mięsiste liście kapusty wyrostki grzbietowe przemieniły się w dwie pary wąskich, smukłych skrzydeł. Wreszcie przeobrażone stworzenie wróciło ze ściany do kanału, przyskając wodą na plecy Vittorina. Otrzepał się odruchowo. W cieniu nie było zbyt ciepło.

– Wsiadamy na nią?

Dziwna to była galera. Wyglądała raczej jak jętka o dwóch parach wąskich, przezroczystych skrzydeł. Jednak złożyła je na boki jak wałka, a nie trzymała nad grzbietem jak jętka. Smukły kadłub wyglądał, jakby wyrzeźbiono go z bladokremowego kamienia, może kości słoniowej. Dwa rzędy wiosel wystawiła parami równolegle ponad powierzchnią wody. Po przemianie miały bardziej widoczne, mocne przeguby. Długie, pierzaste wiosła sterowe, wyrastające z końca odwłoka, przypominały stateczniki statku powietrznego. Teraz lekkimi ruchami kontrowały uderzenia fal, aby stworzenie pozostawało w jednym miejscu. Dużymi oczyma, przypominającymi kremowe opale, badawczo zerkało na nich oboje.

Gdy powstali, galera-jętka lekko podплыnęła do brzegu, układając wiosła w pomost. Ostrożnie przeszli po nich na jej korpus. Po wylince jętka miała grzbiet uformowany jak kadłub łodzi. Jego środkiem wiodła szeroka, płytka bruzda, na której znajdowało się miejsce przypominające otwartą od góryabinę samolotu. Można było w nim wygodnie przysiąść. Paolina pierwsza, Vittorino zaraz za nią. Brzegi kabiny lekko się zasunęły nad ich ramionami, nie zamykając całkiem we wnętrzu, lecz tylko zabezpieczając przed wypadnięciem. Powierzchnia pancerza była ciepła i szorstka, lekko ugięła się pod ciężarem człowieka.

Vittorino zauważył potężne mięśnie napędzające długie, wąskie płyty skrzydeł. Chitynowy pancerz był w tamtym rejonie wykrojony, a elastyczny oskórek ujawniał spłoty mięśni.

Mocniej objął Paolinę. – Będzie wiało. – Wyobraził sobie pracę skrzydeł jętki. – Daj jej znak, że lecimy.

– A nie zrzuci nas? – Paolina odwróciła się ku niemu, lekko rozchylając wargi.

Znowu uśmiech Danili. Pomyślał, że ona jest teraz bardzo blisko i stale o nim myśli.

Też się uśmiechnął do towarzyszki. Pokręcił głową.

Paolina lekko uderzyła piętą w pancerz jętki.

Galera tylko na to czekała. Kilkoma energicznymi ruchami uniosła się nad wodę i zaczęła szybko wznosić w powietrze. Powierzchnia wody szybko oddalała się. Już byli na poziomie dachów pałaców, a wkrótce jeszcze wyżej. Praca skrzydeł galery powodowała taki wir powietrza, że rozpuszczone włosy Paoliny wchodziły mu do oczu, do ust. Przytulił się do niej jeszcze bardziej, żeby widzieć cokolwiek. Ona odwzajemniła ten uścisk. Czuł ciepło jej ciała.

– Gdzie teraz? – krzyknęła mu do ucha.

Gdzieś w dole, jak mapa przedzielona esowatym Kanałem Wielkim, zostało pod ich stopami Niebiańskie Miasto.

– Może tam. – Wskazał na zgrupowanie olbrzymich słupów czy monolitycznych kolumn wyrastających z mgły aż do chmur.

Galera pomknęła w tamtym kierunku. To były olbrzymie postaci kobiece, złociste hermy, całe kariatydy w udrapowanych szatach sięgających od talii do ziemi, dzierzące w wyciągniętych rękach jakby zdobione lampy oliwne na grubych, połyskujących złociście łańcuchach. Najbliższa trzymała w każdej dłoni po jednej tacy. Druga dzierżyła tych tac aż po pięć w obu rękach – każda została nadziana na rozcapierzony palec.

– To wielkie kandelabry czy szalki wag.

– To nie lampy – poprawiła go Paolina. – To kandelabry miast, wiosek czy tace z polami uprawnymi i lasami. Te miasta mają okna też od spodu. Ależ... – urwała. – Te kariatydy poruszają się...

Ogromne złociste posągi wolniutko zmieniały pozycje. Jedna właśnie przyklękała, inna wstawiała, jeszcze inna, ta dzierżąca po pięć tac w dłoniach, wolno obracała się. W takt wolnego, płynnego ruchu olbrzymich niewiast zmieniało się oświetlenie wiszących miast, gór czy ogrodów.

– Wiszące miasta, wiszące ogrody. To śni się właśnie złoty sen Semiramis.

Oboje śmiali się do siebie oczyma, a jętką gnała w kierunku wiszących światów.

– Niezależnie od tego, jak daleko byś tu wstąpił, wydaje się, że dopiero stoisz na progu – powiedziała Paolina.

*Kraków – Zakopane – Leuven,*

*styczeń – maj 2010*